PISMA

NARCYZY

Żmichowskiej

5

B. W.

PISMA GABRYELLI.

PISMA
NARCYZY ŻMICHOWSKIEJ
(GABRYELLI)

z życiorysem autorki, skreślonym

przez

D-ra Piotra Chmielowskiego.

Wydanie uskutecznione staraniem

Redakcyi Bluszczu.

TOM PIĄTY.

WARSZAWA.

NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.

1886.

Дозволено Цензурою.

Варшава, — 15 Февраля 1886 года.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ul. Krakowsk.-Przedm. 66.

BIAŁA RÓŻA.

(CZĘŚĆ II-ga.)

Nie wiem, czy kto z państwa widział u nas kiedy prawdziwie oryginalnie urządzony pokoik? Lecz najpierw zrozumiejmy się dobrze: co ja właściwie oryginalnością nazywam? Wiele osób robi z tego wyrazu trochę ubliżające dla twórczości przezwisko: oryginalne dzieła znaczyć mają bardzo często pierwszy raz odsłoniętą nową jakiej prawdy lub piękności stronę. Jest w tem słuszna przyczyna, zaiste, jeśli zwrócimy baczność na źródłosłów oryginalności, w której zarazem przypomnienie pierwotności leży; jednakże potoczna mowa zupełnie inny ma dykcyonarz, o źródłosłowy nadzwyczaj rzadko pyta, lada zbiór szumniej brzmiących sylab bierze, stempel zwyczajowy na nich wyciska i puszcza w obieg na podobieństwo biletów skarbowych; czasem się który, z rąk do rąk przechodząc, tak zedrze i zabrudzi, że go potem nikt brać już nie chce, czasem na całej masie ten lub ów bankier upadłość swoję ogłosi. Dość byłoby na przykład w krótkości przebiedz tutaj kilku wyrazów

koleje: honor, przyjaźń, poczciwość, a kolosalne nomenklatury filozofów; lecz toby pewnie dużo czasu nam zabrało, ja zobowiązałam się tylko do objaśnienia tego, co przez oryginalność rozumiem. Oryginalność więc przyjmuję nie według znaczenia początku, ale według potocznej mowy i w jej bieżącej wartości. Skoro powiemy, że ktoś jest oryginalnym człowiekiem, lub oryginalną kobietą, nikomu pewnie ani Adam, ani Ewa na myśl nie przyjdzie, tylko w rodzaju męzkim co najmniej to jaki Anglik — w rodzaju żeńskim co najwięcej to jaka zręczna i dowcipna kokietka. Ztąd widzimy, że oryginalność jest pewną wyłącznością, pewnym znakiem jednej tylko osobie lub rzeczy służącym, niby drugiem imieniem własnem, które mogło być wprawdzie innym osobom i rzeczom już nadawane, które przeto nie jest zupełnie nowo skomponowanem, ale które my przynajmniej pierwszy raz słyszymy, wymawiamy, czytamy lub sylabizujemy, że zaś pierwszy raz okropnie nas to zaciekawia, zaciekawienie więc możemy położyć jako warunek niezbędny, prawie synonim oryginalności. Oh! kosztowny też to jest klejnocik! Spotkany w sklepie życia, na wagę czystych dyamentów przepłaca się niekiedy, a jednak póty ma wartość jedynie, póki go kto do ręki nie weźmie, na wszystkie boki nie obejrzy, wszystkich zeszlifowanych fasetek nie przeliczy i stanowczo się nie przekona, do jakiego gatunku krystalizacyi należy, czy przez ogień, czy przez wodę, czy przez grę promieni słonecznych; póki tego nie wiemy, póty nas bawi i draźni, dajemy zań wszystko, co mamy najdroższego w życiu: wyobraźni naszej skarby, piękne a niepowrotne lata naszej młodości, czasem nawet prawdziwy średnowiecznej cudowności karbunkuł, ten czarny dyament, co blaskiem swoim najgrubsze ciemności rozprasza — dajemy serce! Później żal serca, żal lat młodych i zmarnowanych rojeń miodowej fantazyi — co bawiło, to nudzi, co draźniło, to brzydzi; odgatunkowaliśmy nabyte cacko: oryginalność spowszedniała, jak pierwszy dzień

tygodnia. Ale mnie pokoik oryginalny spowszednieć nie mógł, bo go nie odgatunkowałam dziś jeszcze.

W jednym z najwykwintniejszych pałacyków Nowego-Świata — znają go przecież wszyscy: ten, co to rozłożyste drzewa koło niego rosną, a za nim gęsty ogród się cieni... I cóż? jeszcze państwo nie wiecie? Chyba musiałabym palcem wskazać, a mnie w dzieciństwie uczono, że to bardzo nieobyczajnie. W tym więc oto pałacyku na dole, od strony ogrodu, po prawej ręce, gdzie okrągła ścięta wieżyczka skrzydło poboczne zakończa, był śliczny pokoik; trudno powiedzieć, jak teraz wygląda, lecz w czasie odpowiadającym dacie powyżej przytoczonego listu był, według mego zdania, prawdziwie oryginalnie urządzonym. Widziałam dosyć świetnych salonów i pięknych buduarów; wszystkie jednak mniejwięcej do siebie podobne, wszystkie tak łatwe do podzielenia na kategorye, że wprawniejszy badacz nigdy się nie omyli i z pierwszego rzutu oka wywnioskuje, czy właściciel obywatelem, czy urzędnikiem? — już nie mówię, czy i w jakim stopniu bogaty? ale czy rozumny, czy nie rozumny? czy próżny, czy prawdziwy komfortu i upiększenia amator? — właścicielka czy jest elegantką, czy tylko zbytnicą? czy piękną, czy przystojną, czy brzydką? —gdzie literatura, a gdzie muzyka? gdzie malarstwo, a gdzie bigoterya przeważa? wnet to można z pewnych tradycyjnych cech rozpoznać. Tymczasem w pokoiku przy Nowym Świecie na dole, od ogrodu, wiele rzeczy zaciekawiało, a żadna nie tłumaczyła, jak nudny cicerone, przyczyny swego umieszczenia, duszy swej pani czy pana, bo nawet tego nie zgadniesz odrazu.

Proszę sobie wyobrazić okrągłą, jak namiot, rotundę, obwieszoną, jak namiot, zwojami zielonej jedwabnej materyi. U sklepionego sufitu złocista rozeta skupiała wszystkie jej fałdy, a trochę niżej złocista obręcz, miejsce gzemsu zastępująca, jeszcze je w lekkiej przytrzymywała karności, lecz od obręczy aż do posadzki płynęły już sobie swobodnie, jak ciężkie i gęste fale

jakiejś ciemno-szmaragdowej kaskady. Rząd gwiazd złocistych, porozsadzanych o kilka stóp nad ziemią, znaczył miejsca, w których można było tę ścienną kotarę rozchylać i na stiukiem wyłożonych murach powłóczystemi festonami firanek układać. W jednem takiem, między innemi, rozsłonięciu, przez gotyckie okno biły latem promienie słońca i płynęło świeże ogrodu powietrze, w drugiem ukazywał się czarnym marmurem wyłożony kominek, w trzeciem drzwi, któremi niekażdemu, zaiste, wchodzić było wolno. Pod oknem z aksamitnych poduszek usłana otomanka. Naprzeciw kominka stał wygodny, jak próżniacze rozmarzenie, fotel. Podłogę w różnokolorowe drzewa mazajkowaną przykryto miękkim, a zielonym także, niby kawał podesłanego trawnika, dywanem; na dywanie tu i owdzie rozrzucono kuszące do sennego przeciągnięcia się wezgłowia. Słowem mógłby kto sądzić, że to jakiejś leniwej odaliski, albo chorowitego nababa schronienie. Dwa świeczniki ku środkowi wysunięte, a w doskonałym odlewie spiżowym przedstawiające dwie indyjskie niewolnice, które na schylonych głowach niosły mleczne jasnych lamp globusy, jeszcze dokładniej uzupełniały ten azyatycki obrazek. Dopiero śliczne pianino Pleyela, między Indyankami stojące, przypominało trochę europejską cywilizacyą, a kiedy wzrok się dokoła uważniej potoczył, cywilizacya ta niespodziewanie występowała w godłach osobliwie dobranych. Z jednej strony od drzwi do okna półwieńcem wznosiło się sześć białych marmurowych kolumn, a na nich z kararyjskich łomów biegłem dłutem wydobyte popiersia najsławniejszych arcymistrzów cierpienia i poezyi. Ślepy Homer pierwszy zrzędu witał przybywających u proga; za nim Dante wygnaniec, Kamoens w szpitalu konający, Tasso szalony rozpaczą więzienia, Milton oślepły w nędzy i zapomnieniu, Adam nakoniec tuż przy otomance, rodzic wszystkich nowego pokolenia udręczeń i pociech — rozbolały aż do bluźnierstwa ich męką, natchniony aż do proroctwa ich ukochaniem. Dalej,

po drugiej stronie, od okna do kominka, jeszcze mniej spodziewane przedmioty zadziwionemu ukazywały się oku. Skrajne kolumny dźwigały w całych postaciach przedstawione dwie najczystsze dziejowej niewiasty uosobistnienia — bliższą była królowa Jadwiga, według pomysłu jakiegoś artysty, w królewskim płaszczu a cierniowej koronie, dalszą Joanna d'Arc, przerobiona z wersalskiego księżniczki Maryi wzoru — obok tych pięknych ofiarnic ludzkości, więcej już zbliżone ku środkowi podstawy, dźwigały białe alabastrowe naczynia, w których, stosownie do pory roku, narcyze. lilie, białe róże lub białe kamelie, ale zawsze białe kwiaty w pełności swego życia, w świeżości swego blasku się rozwijały. Zpośrodka tych kwiatów nagle istna sprzeczność z resztą komnaty, urągowisko jej sybarytowskim wygodom, może groźba dla zbytku i próżniactwa, może błoga nadzieja dla marmurowych posągów i twarzy, symbol piołunny goryczy, a wiekuistego zbawienia, krzyż ogromny, wyższy od wszystkiego, nad wszystkiem, uroczyście ramiona swoje rozciągał, a był-to krzyż poprostu z dębowego drzewa wyżłobiony, nie zheblowany nawet, szorstki, trochę już żółkniejący i grubemi ćwiekami wbity do jednego z owych wielkich kamieni, które czasem na miedzach granicznych leżą.

To też pomimo wszelkich aksamitów, wezgłowi, kobierców — gdy rozpuszczono i szczelnie zesunięto draperye namiotowe, cała rotunda, w jednostajnej a ciemnej barwie swojej, z białemi jak duchy posągami, z tym nagim krzyżem od tła ponurej zieloności odstającym, cała rotunda mówimy — nagle, jak dekoracya teatralna, w oczach się mieniła i przybierała surowy jakiejś pustelni charakter. Niczem to jednak było w porównaniu z owem majaczeniem wrażeń i marzeń, które poniewolnie przystępniejsze fantazyowaniu ogarniało głowy, gdy, jako właśnie w tej chwili, co ją opisywać mamy, zimowy wieczór głuchą ciszę rozciągnął dokoła, a na odsłonionym kominku rozniecony ogień płomiennemi połyskami zaczął swobodnie wśród zapa-

dłej ciemności dziwaczyć. Wtedy popiersia marmurowe, i białe niewiast natchnionych i czarne wschodnich niewolnic postaci, pianino czworonożnemu potworowi, a wezgłowia pełzającym gadzinom podobne — wszystko to zdawało się ożywiać, ruszać i potrzaskami ognia, piskiem rozpalających się głowni, szelestem wypryskujących iskier sobie tylko zrozumiałą prowadzić rozmowę.

W onej więc chwili mistycznych widziadeł, na otomanie pod oknem, między królową Jadwigą u głów na straży stojącą, a poetą Mickiewiczem, którego jej drobne stopy dosięgały — taż sama panna Augusta, co kilkanaście dni pierwej list żartobliwie rozpaczający do Urszulki swojej pisała, tażsama, jak nowoodkopany z przed-Peryklesowych czasów posąg, wyciągnęła się poważnie i zadumała głęboko.

Sięgnęliśmy porównaniem do przed-Peryklesowych czasów dlatego, że wtedy snycerze doskonale już dłutem swojem władali, już umieli najcudniejszemi kształty pomysły swoje przyodziewać, a nie poważyli się jeszcze uchylić ani tajemniczego znaczenia religijnych alegoryj, ani spadającej na ciało bogiń zasłony. Panna Augusta więc, jak owych wieków czy wzór, czy z wzoru wykonane dzieło, spoczywała na miękkich aksamitach, uwinięta w białej kaszmirowej szaty draperye, bo juścić nie godzi mi się tych fałd, co po jej członkach rysunkowo spływały, nazywać zniemiecka po gospodarsku „szlafrokiem.“ Wiele bardzo osób jest tego zdania, że się na nic żadne opisy kobiecej piękności nie zdadzą, bo nikt sobie takiej właśnie, jaką opisujący chciał przedstawić, nie wyobrazi. Prawda, nikt oczyma duszy swojej nie ujrzy „takiej właśnie“—ale zobaczy inną, może stokroć wdzięczniejszą i milszą jego sercu. W każdym opisie jest chociaż jedno słowo, chociaż jeden szczegół, który natychmiast uprzytomnia nam czy twarz niegdyś w ranniejszej godzinie życia napotkaną, czy postać, co nam wśród tłumu jak zjawisko mignęła, czy dawne jakieś marzenie, czy niespełnioną nadzieję, czy zapomniane

już szczęście — dość, że nam uprzytomnia i że my później z opisaną istotą, jak z dobrą znajomą naszą, krok za krokiem idziemy przez wszystkie jej życia koleje. Nietylko wszakże dla zaskarbienia sobie tej magnetycznej pomocy w umyśle czytelnika, lecz i dla innych powodów jesteśmy prawie zmuszeni portret panny Augusty o ile się da, najwierniej, tutaj odszkicować. Wszakże to głównem być miało założeniem w przeniesieniu kilku ustępów z jej życia na scenę literacką, aby młodzieży, która była wówczas młodzieżą, dowieść, że istotnie ręka milionowej dziedziczki wyciągnęła się ku jej niebrakowanym szeregom, że każdy mógł ją był pochwycić, byle tylko pewnych nadzwyczaj łatwych dopełnił warunków. Z dalszego toku rzeczy pokaże się jakich, a teraz czuję się tylko w obowiązku stwierdzenia tożsamości i rzeczywistości tak niepospolitego fenomenu; należy mi się przeto choć mniej zręczną próbą, przy braku wszelkich malarskich zdolności, o malarskie właśnie przedsięwzięcie się pokusić. Może ten, może ów, może ktokolwiek nareszcie przypomni sobie zimną a świetną jednak gwiazdę, która nad horyzontem warszawskim przez cały karnawał 18* roku najżywszym blaskiem jaśniała, może pozna królową balów, przykład doskonałości wyprowadzanych na świat panienek, owę młodą piękność tak wzorowo ułożoną, że gdy raz ją wszyscy w kolej obchwalili, nikt, nawet pani Z., panny X. i panowie Y. nic o niej do powiedzenia nie znaleźli, bo jej nie było z czego obmawiać. Otóż w tej chwili, w której ukazaliśmy ją przy świetle gorejącego kominka, na otomance posągowo leżącą, panna Augusta miała już rok dwudziesty piąty. Łatwo się można domyśleć, że to nie był rok jej modnych tryumfów, lecz natomiast rok życia stokroć piękniejszy, punkt zenitowy biografii niewieściej, dla takich przecież tylko, co wcześniejszem małżeństwem z jego przywilejów się nie wyzuły. Augusta — jako wiemy — wolną była. Niezaprzysiężone nikomu jutro pod jej zarządem, wszystkie marzenia i życzenia w jej prawach zo-

stawały jeszcze; ale świat już zrozumiany, możliwość różnych wypadków w rzeczywistości swojej przejrzana, rozsądek z fantazyą amalgamowany, proza z poezyą spleciona, więc też i marzenia, choć dziwacznym arabeskiem, zawsze jednak na tle stałych wyobrażeń i pojęć się snują, a życzenia, choć śmiałem skrzydłem poprzed siebie, choć bardzo daleko lecą, nigdy przynajmniej tak w górę nie biją, jak się to zdarza przy pierwszej nowych piórek próbie. Zbyt młoda ptaszyna Boża ani wie nawet, że powietrza i słońca pod miarą wciągać trzeba: wypełnia się eterem, upija słońcem i dalej w chmury, obłoki, na złote gwiazdy, na srebrne księżyce, na dyamentowe drogi mlecznej błonia... A tu między ziemią i niebem wielka próżnia do przebycia! Jeśli zapas oddechu, i ciepła i jasności wystarczy, to może, może wicher nie rozedrze, piorun nie spali—i ptaszyna zanuci na wysokiem drzewie, co rośnie w ogrodzie jej Ojca; lecz czyż podobna wystarczyć przez szlaki drogi niewymierzonej, niepodzielonej na mile i staja, przez szlaki drogi pustej i bezwodnej, głuchej i ciemnej — gdzie niema ranka i wieczora, gdzie nigdy nie można sobie westchnąć — oh! już blizko! — oh! już niezadługo! — nawet westchnąć—„tam" lub „wtedy"—choćby najdalej, choćby najpóźniej — ale „tam" — na promień mego wzroku — „wtedy"—na miarę wiekową! — przez szlaki tej drogi lecieć i snuć ciągle z własnej piersi nitkę pajęczą wytrwania, nadziei, siły — przebaczcie, bracia, ptaszynom, co wzleciały i upadły! Ale w dwudziestym piątym roku piękna kobieta nie upada jeszcze — lot jej równiejszy, więcej horyzontalnej niż wertykalnej trzyma się linii; zawsze jednak pewny siebie i wolno mu ostateczny niżej lub wyżej przyjąć kierunek. Z tej przestrzeni, w której szybuje swobodnie, jeśli nie widać wszystkiego, co niebo ukrywa, wszystko dokładnie widać, co się na ziemi znajduje — królestwa i chwałę ich. Święć się, święć się—dwudziesty piąty roku życia niezamężnej kobiety! Pełnia jej władz ciała i duszy, świadoma siebie rozwiniętego organizmu taje-

mnico i najwszechmocniejsza rozwiniętego umysłu potęgo!

Trochę pierwej była dziecinna nierozwaga, trochę później będzie może zniechęcenie, odrętwiałość, zepsucie lub śmieszność; teraz jest siła, chęć i uznanie — teraz w każdym uścisku jej ręki rzetelność, w każdem spojrzeniu słowo, w każdem słowie wartość jego gramatykalna i wiekuista. A w miłości? Oh! w miłości — jeśliś kochany, to jest miłość właśnie. Młodsza dziewczynka przyjmie cię z pustoty, na zabawkę, na urozmaicenie wesołych dnia każdego igraszek, na to, żebyś jej dogadzał i służył, żeby przez ciebie otrzymała dyplom dorosłej osoby, a jeśli go jej nie zaprzeczają, to świadectwo pewnej wyższości nad rówiennicami swojemi. Trochę zaciekawienia, trochę próżności, trochę tego, że jej z tobą lepiej, niż bez ciebie: oto cała miłość jej. Nigdy z drżącego głosu, z nabiegającej rumieńcem twarzy, ze wzniesionej westchnieniem piersi, z gwałtowniejszych serca jej uderzeń, nigdy pewnym być nie możesz, czy to prawdziwe ukochanie, wybór wolnej woli, jedyne przeznaczenia jej wytłumaczenie, lub też nagle przy zdarzonej sposobności zbudzona wyobraźnia, sztucznie zadraźnione nerwy, naśladownictwem wywołane twego uczucia odbicie—coś, do szczepionej ospy i zwierzęcego magnetyzmu podobne.

Jeszcze niebezpieczniej o starszą kobietę romansem zaczepiać. Przecież starsza umyślnie tak długo nie czekała na ciebie: albo niedołęztwo, albo grzech, albo zawód i cierpienie w jej przeszłości leży. Jeśli to jakaś limfatyczna natura, co w nikim sympatyi nie umiała wzbudzić, a względem ciebie żywszą niby okazuje przychylność, o dziewięćdziesiąt dziewięć przeciw jednemu założyć się możesz, że to jest praktyczne wyrachowanie jedynie, potrzeba rodzinnego w społeczeństwie stanowiska, bojaźń osamotnionej starości, tęsknota [*tak*] za ważniejszemi obowiązkami — wszystkie poboczne i towarzyskie przyczyny, których skutkiem dopiero owa miłość, owa niepokala-

na miłość, właśnie według piękności młodzieńczych marzeń i według prawdy swojej przyczyną wszelkich przyczyn być mająca. Kobieta zaprzęga się do wspólnej społecznej pracy, przyjmuje chaotyczne stosunków ludzkich zawikłanie; przyjmuje na swą odpowiedzialność gospodarstwo domowe, pielęgnowanie dzieci, tych jej samej nieznanych duszyczek, które ją zbawić lub potępić mogą, które ona bezwiednie w piekło wtrącić może, a koniecznie wprost do Boga wznieść powinna; kobieta przyjmuje te wszystkie trudy, niebezpieczeństwa, grozy wieczności swojej — przyjmuje dlatego tylko, że cię kocha. Jakże to śmieszniej i smutniej wygląda, gdy właśnie ciebie przyjmuje, dlatego tylko, że jej się chce tamtego wszystkiego skosztować; mimowolnie na myśl przychodzi staropolskie a wybornie takie wypadki przewidujące przysłowie: „Nie miała baba kłopotu, kupiła sobie...“ dalej nie pamiętam — lecz tobie radzę pamiętać; gdy ci wpoprzek drogi stanie przeszło dwudziesto-pięcioletnia panna lub wdowa-kochanka — o mężatkach nie piszę, boć to byłby wyraźny plagiat z Balzaka romansów, a między nami nie takie zwyczaje. Kiedy więc spotkasz pełnoletnią Galateę, ani kochaną, ani kochającą, niechaj cię Pygmaliona parabola na pokuszenie nie wodzi; lecz gdyby ta kobieta kochaną już była kiedyś?... Wtedy masz dwie drogi do wniosków, naoścież roztwarte przed sobą. Jeśli kochała wzajemnie, jeśli nie była, jak ja mówię, limfatyczną albo marmurową, wtedy koniecznie grzeszną albo nieszczęśliwą być musiała, to jest musiała skłamać czyjemuś uczuciu, musiała zawieść, oszukać, zmarnować czyjś najpiękniejszy duchowy majątek, lub sama oszukana, zawiedziona, w bankructwie zupełnem ostatnie grosze swoje, jak szuler niczem niezrażony, na kartę swego życia ryzykuje. Niech będzie jeszcze ponętniejszą, niż w ośmnastej wiośnie swego życia, niech jej wdzięki zawracają puste głowy elegantów, niech jej słowa upajają artystów i marzycieli: ty, co nie jesteś elegantem nerwowym, artystą chwytającym pomocnicze do

wydania dzieł rozmaitych wrażenia, marzycielem szukającym jakiejbądź formy na przesypanie w nią gotowych już i nazbieranych u siebie materyałów; ty, co jesteś człowiekiem i chcesz kochać istotę różną od swojej własnej istoty, a jednak zgodną z wszystkiemi jej właściwościami, chcesz kochać ją dlatego, że taką, jaka ci się objawia, ty cenisz, pojmujesz i widzisz udoskonaleniu swej własnej natury potrzebną, a nie dlatego, że taką być może, jaką sam sobie nakształt obiadu u Marego z karty dysponujesz; ty, co chcesz być warunkiem prawdy, rzeczywistości i ideału kochany — ty nigdy na łonie żadnej Dydony, ani żadnej Heleny Menelausowej spokojnie głowy wesprzećbyś nie zdołał. Jak widmo złowrogie, w każdej chwili ta myśl za każdą goniłaby pieszczotą, że jej serce już raz kochać przestało, że dla niej zmiana jest niemożliwą, że ona wie, jak to zapał ostyga, uwielbienie się krytykuje, skrzydła anielskie łamią, nieskończoność na lata, miesiące, dni i godziny rozpada. Grzesznej ty nie uwierzysz, nieszczęśliwa tobie wierzyć nie będzie. Obok jednej całe piekło trwogi, zazdrości, podejrzeń, w złych chwilach mimowolna wzgarda, w najlepszych sofistyczne usprawiedliwienie; od drugiej wymagań tysiące, kodeksem nieobjęte, a jednak mordercze okrucieństwo. Tobie się nawet nie śni, żeby kogo innego ukochać było podobnem; a tu już argusowe, łzami zalane oczy twe postępki śledzą; ty rozszalejesz namiętnością i zachwyceniem, a tu słówko szydercze lub wątpiące, jak ton fałszywy na klarynecie orkiestry w twoje „tutti“ się wmiesza, jak nietoperz piwniczny wleci do twoich jarzącem światłem promieniejących salonów. Gdyby to można jeszcze rozstać się spokojnie! — ale gdzież tam właśnie: niema uporniejszego serca nad serce trochę starzejącej się już kobiety, która po pierwszym zawodzie drugą próbę przedsięwzięła—uczuciowej karyery.

Bądź pewny, że jak tonący brzytwy, tak ona ciebie, choćbyś jej duszę zakrwawił, całemi siłami trzymać się będzie. Bez wyrzutów sumienia opuścić

jej niepodobna: płacze, boleje. choruje. Są takie, co i umierają z rozpaczy — strach doprawdy wspomnieć o tem! Dwudziestopięcioletnia jedynie tych kłopotów ci oszczędzi. Ona w przeszłości swojej mogła swobodą i żartem szafować, mogła zdawkową monetą zalotności na wszystkie strony rozrzucać; ale żelazny fundusz jej uczuć nietknięty jeszcze na dnie serca leży, słoneczny pierwiastek jej krwi i ducha nie ulotnił się żadnem zastosowaniem, ani żadnem rozbiciem; jeśli się czasem zadumała trochę dłużej nad czyjemś imieniem, lub w pamięci dokładniej odbitym wizerunkiem, to zadumanie dowiodło jej tylko, że nie tego i nie tamtego Bóg jej na ukochanie przeznaczył. Kiedy ciebie ukocha, będziesz jej jedynym, jej wybranym, jej z przeszłego na przyszły żywot sądzonym oblubieńcem. Ona też tobie będzie i szczęściem, i rozkoszą, i niebem i ziemią. W niej zrozumiesz wszystkie starożytnych bóstw symbole; zrozumiesz Izydę, dziewicę-karmicielkę, Westę niepokalaną i Astarte z płomiennych ołtarzy. Cóż ty na to, mój przyjacielu? Ty na to troskasz się bardzo, że ci trzeba wśród kobiet z aktami kościelnemi chodzić i cokrok, cospotkanie, cotwarzyczka ładniejsza, metryki wszystkie przeglądać. a dowiadywać się, czy już te czarne oczy dwudziesty piąty rok na ludzi patrzą—czy te jasne warkocze od dwudziestu pięciu wiosen na składnej główeczce rosnąć zaczęły; czy białe perełki, co w rubinowych usteczkach świecą, przed ośmnastu laty, czy po ośmnastu leciech miejsce mlecznych zębów zajęły? Istotnie, trudny obowiązek; ale też, Symplicyuszu! — chciej zrozumieć o co rzecz idzie. Toć uczyłeś się bezwątpienia, że różne miejsca o różnym czasie południe miewają. Z kobietami taksamo się dzieje, iż południk niezawsze pod dwudziestym piątym stopniem długości, od wschodu na zachód, od kolebki do grobu się posuwając, przypada — lub raczej ich rok dwudziesty piąty stosownie do rozmaitości temperamentu, organizmu, wychowania, klimatu i spływu różnych okoliczności może wcześniej lub później nastąpić; między dwu-

dziestym a trzydziestym skala dla niego otwarta — pomnieć trzeba jedynie, że przed dwudziestym szkoda się jeszcze zakochać, po trzydziestym już nie warto— są to dwa zwrotniki serdecznych dziejów kobiety. Jeśli tutaj na środkowym punkcie rozwinęła się tutejsza [*tak*] teoryjka, to dla przystępniejszego jej wykładu, dlatego głównie, że nam do myśli przyszła wtenczas, gdyśmy zaczęli opisywać kobietę, która właśnie dwudziesty piąty rok miała. A była to przepysznie piękna kobieta. Kształtami całej postawy przypominała greckie posągi, ale rysy jej twarzy, głębszą nacechowane inteligencyą, przewyższały temsamem arcytwory klasycznej rzeźby.

Pierwsze spojrzenie było tylko zdumione czystością zakreślonego owalu i jednostajną, a przecież świeższą, zdrowszą prawie od rumieńca bladością jej cery; im dłużej kto się wpatrywał, tem więcej dopiero piękność innych szczegółów zrozumieć mu się dawała. Kolor włosów z kolorem oczu dziwnie się jednoczył, nawet rzecby można, odbijał się wzajemnie: warkocz ciemno-blond i oko ciemno-żółte; warkocz niby brunatną sepią napuszony, w przygładzeniu i w karności sztucznego uczesania prawie czarnym zdawał się niekiedy; lecz aby tylko z więzów plecionek go uwolniono, włos każdy osobnem życiem drgający odpryskiwał w swoję stronę, a jeżeli światło po tak rozpryśniętych zagrało, to w przezroczu widać było wszystkie żywiczne i bursztynowe blaski.

Z oczami też same działy się cuda. Spotykasz po raz pierwszy piwne oczy; przy świetle prawie czarne i nic więcej. Przypatrz się im: oszalejesz, a właściwego wyrazu na oznaczenie ich koloru nie znajdziesz; bo to niby trochę zielone, jak morska woda, niby brunatne, jak bistr najciemniejszy — ot, gdyby można złoto w piorunie trochę roztopić, trochę na węgiel spalić, toby się dla nich porównanie znalazło.

Nad takiemi oczami brwi wązkie, ale gęste, jak dwie proste linijki, ku osadzie nosowej lekko tylko nadół przegięte, granicę otwartego czoła znaczyły. Od

ich spadku rysunek profilowy z większą swobodą niż na helleńskich marmurach wzdłuż wydatniejszego nosa się rozwijał: znać, że Lais Praksytelesa, Tycyana szkołę przeszedłszy, inne sobie wyrobiła zdolności, że gotowa była czynniej i szlachetniej we wspomnieniach dziejowych się zapisać, że chociaż jeszcze nie Madonną, to przynajmniej już Dogaresą obok Doży, jakąś Laurą obok Petrarki stanęła.

Przejrzyjcie państwo Lawatera, jaśli się na prawdę chcecie dowiedzieć, jak ważnym organem i hieroglifem umysłowego wykształcenia jest ta część twarzy, która dla wielu mizantropów do ucierania jedynie przeznaczoną być się zdaje.

W nawiasie muszę też czytających te kartki dobrem życzeniem pobłogosławić, a to jest, ażeby nigdy kosztem własnego serca nie odbywali kursu fizyognomiki na tych trochę szablastych, trochę orlich nosach, których typ zidealizowany przechowały nam obrazy pięknej lecz niebezpiecznej do pokochania Maryi Stuart, a których parodyą spotkać można i w arystokratycznem kole balowego kontredansa, i w środkowej alei Ogrodu Saskiego, i na modnej mszy u kapucynów, i na schodach sławniejszych mecenasów, i przy tualecie złocistej i przy kuchennym garnku z krupami — wszędzie, gdzie tylko dla próżności, światowego znaczenia, intrygi, zysku i skąpstwa — krótko mówiąc, dla wszystkich samolubstwa konarów, drażniące do wybujałości znajdą się podniety. Niech każdego Bóg dobry strzeże od podobnych nosów! Stokroć lepszy chłopski bez charakteru, nawet murzyński spłaszczony, najlepszy jednak taki, jak go panna Augusta miała. W samę porę szeroki i długi, ku środkowi wypuklejszy, ku nozdrzom trochę rozdęty, ale nie mięsisty i nie zatyły — pod słońce widać, że tam krew purpurowa dobiega — dość powiedzieć, cudowny nosek! A co za usta pod tym noskiem! jakim świeżym rubinem wezbrane, a jak powściągliwie przywarte! jakie czyste w swem odkrojeniu, a jakie wabne w swej pełności! Gdyby się uśmiechnęły — musiałbyś uciec, bo pocałować nie wol-

no—lecz w tej chwili nie uśmiechają się: i owszem, całe oblicze, znieruchomione pod wpływem głębokiego zamyślenia, mogłoby nawet uśpionem się zdawać, gdyby kształtna ręka jednostajnym, lecz ciągłym ruchem nie zwijała i nie rozwijała jedwabnego sznura, który, w pasie zasupłany, przytrzymywał gęste fałdy wełnianego odzienia i dwoma nierównemi końcami aż za kolana spadał.

Naprzeciw tej monarchicznej piękności, w fotelu przy kominie, siedziała druga kobieta. Szczupła, miernego wzrostu, przechylona trochę ku płonącemu ogniowi, drażniła się z nim długiemi stalowemi szczypcami i w milczeniu głębokiem przypatrywała się ruchliwości jego migotania, jak guślarka uważna, wróżbiarskie z tej gry połysków wyprowadzająca wnioski. Była to właśnie taż sama Urszula, którą list Augusty wzywał do Warszawy. Urszulę zapewne tacy jedynie pamiętają dzisiaj, co byli bezpośrednio do jej życia wplątani. Między obcymi przesunęła się cichuteczko, niepostrzeżenie. Musiałby ten mieć dobrą pamięć, a bystrą uwagę, musiałby jednak zachowywać wspomnienie każdego dnia łagodnie pogodnego wciągu roku, każdej szklanki wody świeżej i orzeźwiającej ze smakiem wypitej, każdego drzewa cienistego, pod któremby z przyjemnością odpoczął, słowem każdej drobnostki życia błogiej, a mimowiedzy przejętej, musiałby, mówię, zachowywać to wszystko żywem bardzo wspomnieniem, aby mu Urszuli odpowiednie wspomnienie, miłe bez rozgłosu, wdzięczne bez zwracania na siebie baczności, w zapomnieniu dalekiem nie przepadło. Jej rysy to najzawilsza dla estetyki zagadka; trudno powiedzieć że piękne, niepodobna zarzucić, by znów brzydkie były, pospolitemi także zwać ich się nie godzi. Są-to rysy prawdziwie słowiańskie; krągławość nad pociągławością w nich przeważa, ale nigdzie spłaszczeniem nie razi: pewna wrodzona szlachetność urok wdzięku zastępuje, pewna powaga serdeczności dopełnia. Czoło szerokie i śmiałe, oczy duże, błękitne, w nienagannej oprawie niebem na świat

patrzeć się zdają, policzki trochę kościste, nos, wprawdzie nie typowy, dość składny jednak, choć, jakby to rzec można, swego własnego kształtu; usta o pół linii szerzej rozcięte może nad wymagania malarskich przepisów, ale raczej zbyt skąpe, jak to się w rysopisach paszportowych i książeczkach legitymacyjnych wyrażają, niż zbyt namiętnie zgrubiałe, ogólny wyraz oblicza zmienny, jak dzieje duszy człowieczej, ma swoje dni powszednie, swoje niedzielne swobodne i swoje wielkie uroczyste święta. Sto razy powiesz to, co Gustawowi jego znajomi o portrecie Maryli mówili: — „At sobie kobieta“—z dziesięć razy będziesz musiał wykrzyknąć: — „Ach! doprawdy śliczna kobieta!“ — Raz może ujrzysz ją w chwale Taboru i sam przed sobą się zawstydzisz; kto wie nawet, czy nie pożałujesz mimowolnie, że tak długo jej prawdziwej, zatajonej nie odgadłeś piękności. Na tę chwilę, o której właśnie jest mowa, tylko niedziela przypadała.

Już tak przez czas jakiś głuche milczenie między dwiema przyjaciółkami panowało, gdy je nakoniec panna Augusta przerwała swoim dźwięcznym, a trochę kontraltowym głosem:

— Czemuż to nie północ już!

Jej towarzyszka spojrzała na zegarek nad kominkiem stojący i uśmiechnąwszy się, odrzekła powoli:

— Najpewniej dlatego, że jest dopiero dwadzieścia minut po ósmej.

— Oh! doctissima, doctissima! — powtórzyła z lekkim przyciskiem niecierpliwości milionowa dziedziczka; — trzeba ci przyznać, że masz zadziwiającą przenikliwość w odgadywaniu najjawniejszych przyczyn, najnieosobliwszych wypadków.

— Zdaje mi się, że dość stosownie odpowiedziałam na zapytanie najjaśniejszej Augusty.

— Cóż to? znowu doctissima nie umie znaku zapytania od wykrzyknika odróżnić?

— Alboż tam był wykrzyknik na końcu?

— I wykrzyknik i cały szereg kropek okrągłych.

— Czy była kreska po kropkach?

— Na cóż tobie kreska potrzebna?

— Bo same kropki znaczą proste zawieszenie głosu. W takim razie czekam, co dalej będzie? Kreska zaś na czytelników i słuchaczy wkłada obowiązek domyślenia się reszty niedopowiedzianych wyrazów.

— Oh! to była ogromnie długa kreska — dwie kreski—trzy kreski nawet!

— Ja się i pierwszej zrzędu nie podejmuję domyśleć.

— Cóż to za niedołęztwo znowu!

— Powiedz mi, Augusto, czy podjęłabyś się zgadnąć, o czem duma za piecem w waszej kuchni stara Wojtkowa jednooka? Wszak nie zawszebyś w karykaturę lub w sielankę wpadła, tak samo jak nie mogę zgadnąć, ja, niepiękna i niebogata, co i kiedy przez głowę pięknej, bogatej kobiety przeleci; zawsze najniewłaściwiej w nutę hymnu lub satyry głos rzucę [*tak*].

— Urszulko, nie godzi się tak ze mną postępować. Ja listy po listach z modlitwami wzywającemi wyprawiam do ciebie, i kiedy przyjechałaś nakoniec, kiedyś już zamknęła się ze mną na stanowczą i długą rozmowę, kiedyś widziała, jak się do niej namysłem i rachunkiem sumienia przygotowywam, ty nawet półsłówka odgadnąć nie umiesz, nawet mojego wykrzyknika pojąć nie chcesz.

— Usprawiedliwiłam się dlaczego. Wykrzyknik pięknej, rozpieszczonej powabami życia kobiety migotliwiej się mieni od iskierek śniegu pod promieniami słońca.— „Czemu to nie północ już.“ — Zkądże ja nawet, znając cię, Augusto, dojdę prawdziwej tych wyrazów wartości, czy one niecierpliwość, czy nudę, czy tęsknotę znaczą?

— Brawo, Urszulko, brawo! widać, że dojdziesz niezawodnie, dojdziesz i zrozumiesz lepiej odemnie samej, bo już w pierwszem przypuszczeniu na trzy

rzeczywiste symptomata natrafiłaś. Istotnie, mój wykrzyknik znaczył niecierpliwość, bo mam często bardzo to uprzedzenie, że jakaś późniejsza godzina więcej od teraźniejszej wartą będzie; znaczył też nudy, bo rozmyślałam trochę nad sobą, trochę nad panem Filipem; a wreszcie znaczył i tęsknotę wielką, bo sobie marzyłam, że mi się albo duch jaki pokaże o tej czarnoksięzkiej godzinie, albo przyśni kochanek nieznany.

— Nieznany? Był w twoim liście wiersz jeden, który zwiastował już poznanego właśnie.

— Poznany, nieznany, czyż to nie wszystko jedno w tym świecie, na którym ja żyję? Kochanek zresztą, moja Urszulko, w każdym świecie, choćby na Słońcu i na Syryuszu, zawsze musi być nasz nieodgadnięty, niepojęty, nasz nieznany.

— A ja widzę, że przez cały czas rozstania, przez długie trzy lata, licząc w nie nawet jeden rok przestępny, moja najjaśniejsza Augusta nic a nic się nie zmieniła.

— Zmieniłam się jednak choć troszeczkę. Wpatrz się tylko dobrze we mnie: jestem daleko smutniejsza, zaczynam coraz częściej wychodzić z moich dyamentowych pałaców, a coraz dłużej przesiadywać ze śmiertelnymi gośćmi w bawialnych pokojach. Rodzinne moje położenie bardzo się także utrudniło. Matka już stanowczo chce mnie za mąż wydać; jeśli niegdyś samodzielność moja potrójnym szpagatem przyzwoitości, ładnego ułożenia i sądu hrabiny X. skrępowaną była, to dzisiaj ze szpagatu prawdziwe powrozy, liny okrętowe ukręcono. Co się ruszę, to strach, żebym sobie w opinii światowej nie zaszkodziła. Co się odezwę, to zaraz proces: czy nie skompromitowałam się względem jakiegoś tam niegodnego zostać moim mężem młodzika. Co zamilknę, to wymówki, że tylko wszystkich od siebie odstręczam. Za progiem tego pokoiku, tej mojej najmilszej samotni, życie wśród ludzi wlecze mi się pod ciągłem wrażeniem śmieszności, próżni i niesmaku.

— A przecież, gdybyś szczerze chciała, tobyś je mogła zmienić.

— Mogłabym, jestem pełnoletnia, prawda, że mogłabym zmienić. To twoja nieustanna zwrotka, Urszulko, ale moja znów wiecznie tażsama pioneczka, że do zmiany trzeba siły moralnej, do siły moralnej potrzeba jakiejś podniety, trzeba wiedzy przynajmniej, co na co zmienić się pragnie. Ja właśnie takiego wsparcia jestem pozbawioną. Gdybym w tej chwili odebrała przypadający na mnie majątek, wyswobodziłabym się zpod samowolnego matki mojej zarządu, objęła ster własnego życia po najhałaśliwszych przejściach, zgorszeniach, zatargach—jutro nie wiedziałabym już do czego moję wolność przyczepić, jaki z mego majątku zrobić użytek, w której stronie osobny mój namiot rozwinąć? Nie warto, nie warto jeszcze tak wielkich usiłowań przeciw tak małej stawiać korzyści.

— Masz słuszność, Augusto. Kiedy serca w piersiach brakuje, nie warto i żyć nawet, choć się jest piękną, bogatą milionowym posagiem, dowcipną wszystkich Francuzów i humorystów angielskich dowcipem.

— Źle się wyraziłaś w gniewnem uniesieniu, moja zwykle łagodna Urszulko. Mnie serca nie brakuje, tylko mi w sercu brakuje miłości. Gdyby ta mała jaszczurka dniem i nocą o pokarm nie dopominała się w mej piersi, daleko zręczniej i weselej prześliznęłabym się po gościńcu mego życia. A cóż może dokuczyć kobiecie bez serca, gdy jest — jak mówisz — piękną, dowcipną i milionowo majętną? Co ją zasmuci kiedy? za czemże ona tęsknić, za czem wzdychać będzie? Świat cały na jej posługi — od brylantów, do pieśni poety — jak tylko zechce, czy za pieniądze, czy za uśmiech przychlebny, wszystkiego natychmiast dostanie. Lecz mieć serce i nie módz ukochać nikogo, mieć serce i nie zapełnić go uwielbieniem, radością, zachwytem; mieć serce i ciągłą próżnią, ciągłą ujemnością tylko czuć jego obecność — oh, to dopiero boleść

prawdziwa, to nędza, która mię do wierutnego żebractwa przywiodła! Ty nawet pojąć nie możesz, ilu zamożniejszych od siebie o jałmużnę miłości prosiłam. Lecz sama zmiarkuj — do ciebie, Urszulko, jakże ja często a jak natrętnie kołaczę!

Urszulka już od chwili z fotelu się podniosła, stanęła przy otomance i skarg pięknej Augusty uważnie słuchała; na ostatnie jej wyrazy przyklękła trochę, a pieszczotliwie obejmując ramieniem leżącą:

— Nie natrętnie, oh! wcale nie natrętnie! — ze szczerem rozrzewnieniem rzekła, a później, jakby rozmyśliwszy się lepiej—być może jednak, że bezskutecznie — dodała poważniej.—Na twoję chorobę, Augusto, w nikim lekarstwa, ani nawet dobrej rady nie znajdziesz. Jeśli to prawda, żeś czcza i uboga aż do gruntu serca, żeś martwa i bezwładna aż do niezdolności powzięcia jakiegoś życzenia—to Bóg sam chyba w swój kształt człowieczy myśl i uczucie tchnąć może, niby w ulepionego z gliny przy początku świata człowieka. Lecz mnie się zdaje, że się musiałaś w użyciu wyrazów pomylić; ubóstwem zowiesz prawdziwe bogactwo swoje. Doctissimie wolno przecież łacińskich używać sentencyj — odwołam się więc do tej najpospolitszej ze wszystkich: „Natura horret vacuum“—co się wykłada dla pięknych dam, że w naturze nigdzie próżnia nie istnieje, więc też i w duszy ludzkiej istnieć nie może. Gdybyś rzeczywiście próżne, jak butelka pneumatyczną machiną wypompowana, obnosiła po świecie serce, toby w nie zaraz pełno błota, koronek brukselskich, ploteczek, zazdrostek lub szalonych namiętności wleciało. Brak dobrego wnet się głupstwem, grzechem, częstokroć i zbrodnią wypełnia. Kiedy zaś tobie, Augusto, ani salonowe powodzenia, ani zbytki i wygody, ani miodowe słówka lalek wyfrakowanych, ani nic z tego, co cię otacza, duszy wypełnić nie zdołało, powinnabyś się domyśleć nakoniec, że w owej duszy inny żywioł złożony, inne potrzeby i władze ukryte... Ja mam wyraźne przeczucie tej prawdy. Nie zbliżyłabym się nigdy do mi-

lionowej dziedziczki. którejby się mojego towarzystwa na chwilową rozrywkę zachciało. a sama widzisz, jak chętnie przyjechałam do smutnej Guci mojej, której się szczera przyjaźń i poczciwe słowo na cokolwiek zdać mogą.

Augusta w czoło pocałowała mówiącą.

— Zrób jeszcze coś więcej dla mnie — rzekła z nalegającem przymileniem — wskaż praktycznie, szczegółowo, jakie-to żywioły, jakie potrzeby i władze drzemią w duszy mojej, ku jakim celom skierować je należy?

— Tylko ku najwyższym i najpiękniejszym, Augusto moja, tylko ku Bogu przez modlitwę, ku dobru ludzi przez poświęcenie.

Znów długa chwila milczenia zapadła.

— O Bogu jeszcze nie mówmy — odezwała się nakoniec Augusta, głęboko rozważywszy każde słowo swej przyjaciółki.—Są ludzie, którzy się tego imienia wcale a wcale nie boją. Coranek i cowieczór z kilkadziesiąt razy je wymówią, a nie znać tego po nich—zawsze taksamo się nienawidzą, taksamo kłopoczą, taksamo tańczą, śpią, jedzą, wino piją i w karty grają. Co do mnie, jestem lękliwsza daleko. Pozwalam sobie z własnem szczęściem żartować, pozwalam z prawami doczesnemi się kłócić, pozwalam odważnie wszystkie towarzyskie zasady probierzem sofizmu doświadczać; ale nie pozwoliłam sobie nigdy imienia Bożego nadużyć i pojęć moich o Bogu mniej pewną, mniej czystą myślą zamącać. Od czasu jak do rozumu przyszłam, nikt mnie nie widział, bym się kiedykolwiek w dyamentowy lub złoty krzyżyk ustroiła. Sumienie moje nie znosi rażącej sprzeczności modnego świecidełka z godłem ofiary, boleści i śmierci. Tutaj, w ulubione moje ustronie, patrz, Urszulko, prosty drewniany krzyż wnieść kazałam także. Nie klękam przy nim codziennie, aby codziennie wracać do zabaw, zbytków i grzechów. Oh! nie — kiedy ja raz u stóp jego czoła nachylę pokornie, kiedy raz obiema pochwycę rękoma i raz do serca przycisnę ten krzyż

prawdziwy, ciężki, nieozdobny, to go już pewnie po ostatnią chwilę zgonu ani ludziom, ani szatanom wydrzeć sobie nie dam. Kto wie: gdybym się w przeszłość cofnąć mogła choć do tej pięknej marzycielstwa godziny, w której mię tak okropnie wyśmiano, że się wdziękom księżyca przypatruję; gdybym znów była trzynastoletnią, kryształowego serca i zdrojowej myśli dziewczynką—możebym lepiej zrobiła, przykuwając się do tego symbolu, choćby przysięgą, na wieki. Dzisiaj nie pora — zapóźno i zawcześnie. Czuję, że, przystąpiwszy, znów odstąpićbym mogła, ukochawszy tę świętość, zatęskniłabym znowu ku porzuconym a nieznanym jeszcze wrażeniom. Przesuwające się zdala chińskie cienie moich własnych myśli, w znikomości swojej niedotknięte, w tem, co mogą mieć prawdy, niedoznane —kusiłyby mię bezprzestannie. Rękę do pługa przyłożywszy, ciągle poza siebie spoglądałabym rozżalona i niebo straciła może dlatego, żem sobie ziemi nie zagarnęła w poddaństwo.

Nie, Urszulko, ja się na taką próbę nie odważę. Albo muszę znaleźć w doczesności mojej skarb jakiś tak piękny, tak wystarczający na wszystkie potrzeby mej duszy, bym się go w wieczności całej nie wstydziła, bym nieśmiertelność moję razem z nim nawet przez niego zbawić mogła; albo muszę dowodnie się przekonać, że tu skarbów niema — że tu same błota, kłamstwa, potwory, że owoc życia, co go w ręku trzymam, to malowana łupina spróchniałego orzecha, którą kamieniem rozbić, nogami zdeptać, śliną wzgardy opluć i za okno wyrzucić trzeba. Póki jednego lub drugiego celu nie dopnę — póty mi zdala od krzyża, jak od wracającej z Siloe arki. Mówmy lepiej o ludziach, Urszulko: cóż tedy dla nich pokorna sługa twoja uczynić jest wstanie?

— Wszystko razem się wiąże — religuje, moja Augusto. Fantazyujesz sobie, że przy Bogu i przy krzyżu stanąć ci jeszcze nie pora, a bez Boga i bez krzyża nic zrobić nie można. Bez Boga i bez krzyża ty, rozumna i bogata wśród przesądów i niedosta-

tków wiecznie pytać się będziesz: co dla uznanej prawdy, co dla rozrzewniającego cię nieszczęścia uczynić jesteś zdolną? Pytać będziesz, lecz kategorycznej odpowiedzi nikt ci nie poda, Augusto. Sztuczne recepty pobożnych zachęt, doradzań i projektów, cała ta trebhauzowa metoda rozgrzewania serc leniwych ku dobremu, na nic się tobie nie przyda. W konieczności twego położenia to leży, abyś sama sobie pod tym względem dawała rozkazy. Jeśli milionowa dziedziczka, z natchnienia, czy to książki, czy przyjaciółki, pięknem zdaniem się rozmarzy, jeśli z podszeptu czyjegoś tylko po wsparcie dla ubogich do biurka swojego sięgnie, to się z mimowolnem uczuciem wyświadczonej łaski nie rozstanie — a łaska przez człowieka wyświadczona jeszcze mroźniej serce mu zziębi, niż je kiedykolwiek rozpłomienić zdolną była łaska od człowieka przyjęta. W stosunkach twoich z ludźmi, najjaśniejsza Augusto, musisz jakiś sposób wynaleźć na to, byś ty im właśnie uniżenie wdzięczną była, gdy ci nie przeszkodzą coś dobrego zrobić dla siebie.

— Masz słabość do ogólników, moja droga — chciej teraz na szczegóły rozdrobnić je trochę.

— Zgóry zapowiedziałam, że szczegółów nikt ci nie poda; a zresztą twoja to rzecz, Augusto, mnie ich więcej udzielić. Powiedziałaś mnie już, czemu od krzyża zdaleka stoisz; bardzo też ciekawa jestem, czemu do ludzi się nie zbliżasz... użytecznie.

— Jaka ty doctissima! jaka ty przebiegła! Wiesz, a pytasz? Pytasz i zaraz sobie odpowiadasz: „Czemu do ludzi nie zbliżasz się użytecznie?“ Bo użytecznie do ludzi się nie zbliżam. Jeśli mam trochę rozumu, to go w żaden sposób nie mogę na walkę z przesądami i ciemnotą wyprawiać. Mój najlepszy i mój prawdziwy rozum tylko w listach do ciebie wypisać się i tylko w tym pokoiku z tobą pogawędzić może, wszędzie zresztą, „gdzie mama na wizytach bywa,“ ten rozum smutną rolę Donquichotta odgrywaćby musiał i najdzielniejsze cięcia jego zawszeby tylko na skrzydła wiatraczkowe, lub na niewinne stada bara-

nów padały. Co zaś tak zwana dobroczynność wszelka, to się z mej strony jałmużną ograniczać musi; wiesz o tem nie od dzisiaj, Urszulko, a sama wybornie rozumiesz i tłumaczysz, że rozdawanie jałmużny nie uszlachetnia i nie rozgrzewa wewnętrznego człowieka. Nigdy te datki pieniężne bez ofiary, te wsparcia bez osobistego zespolenia, przez trzecią lub czwartą rękę na los ślepy rzucone, nie mogły rozbudzić zadrętwiałych władz ukochania w mem sercu, bo nie mogły ani rzeczywistego współczucia, ani rzeczywistej wdzięczności wywołać. Wiem że są ubodzy i głodni, ta myśl jednak bez uprzytomnionego obrazu mniej mię rozrzewnia, niż piękny o głodzie i ubóstwie w powieści przeczytany ustęp, nie bez tego, żeby mi też na myśl nie przychodziły zdania wielu nabożnych osób, które słowami ewangelicznemi dowodzą, że biedni są i być muszą, bo Chrystus powiedział: „ubogich zawsze mieć będziecie.“ Nie bez tego, żeby i systemata ekonomistów politycznych nie trafiały do mego przekonania i żebym w ubóstwie indywidualnem nie widziała warunku zbogacającego najsilniejsze państwa. Wszystko to, wstyd może powiedzieć, ale wszystko tak mnie zewsząd niepodobieństwem przegradza od uczestnictwa w skutecznej przeciw nędzy moich bliźnich pracy, wszystko tak mi dowodnie ich cierpienia, jako nieuchronną konieczność przed oczy stawia, że mimowolnie zobojętniałam na to, co jest, bo być musi. Wolałabym, zaiste, aby głodnych, obdartych i żebraków nie było, lecz wolałabym także, aby nie było szczurów, ropuch i karaluchów na świecie. Pan Bóg je stworzył przecież, to cóż ja na to poradzę?

— Oh! zapewne, że z takiem usposobieniem nawet nie waż się radzić temu, Augusto; radź najpierw samej sobie, stokroć potrzebniejszą [*tak*] jesteś ratunku—i głos Urszuli drżał oburzeniem, a powściągał się jednak wielką litością nad sofizmującą towarzyszką. Chciała odjąć trzymaną pół uściskiem na jej sercu rękę, lecz Augusta, przygarnąwszy ją despotycznym ruchem:

— Mnie też głównie o to chodzi, żebym siebie ratowała—rzekła, powoli sylaby skandując i niby nie zważając na wrażenia Urszulki. — Mnie głównie o samę siebie chodzi — powtórzyła przekornie. — Jednostkowa dobroczynność, jednostkowie dla mojej duszy, kto wie, czyby dobrą nie była; gdybym widziała, że czyj los zapewniam, czyjeś łzy ocieram, lub czyjeś życie ratuję, zaczęłabym się przywiązywać, mnieby także kochać zaczęto, i przesadzalibyśmy się aż do śmierci w tych ucztach wzajemnych starań i odwdzięczeń. Ale, niestety, Urszulko: w mojem położeniu i tej niewinnej uciechy światowe względy poskąpiły. Przypadek nic mi poczciwego nie nasunął, a ja sama wyszukiwać nie mogłam. Oprócz więc najsmutniejszego gatunku jałmużny groszowej, dozwoloną mi tylko zostaje jałmużna składek filantropijnych, bodaj czy nie dokładniej zastudzająca serca od wszystkich jej rodzajów, po dzień dzisiejszy wymyślonych. Dla mnie przynajmniej, chciej posłuchać, jaką to idzie koleją. Cząsteczkę bez przeznaczenia leżących w szkatułce pieniędzy, ja bogata, w twoje lub upoważnione do tego cudze ręce składam, inni mnie naśladują i wy, miłosierni z urzędu, macie pewien fundusz do rozporządzenia. Jeśli nim jaknajsumienniej masę potrzebujących obdzielicie, to się jednym nic jeszcze, a drugim tylko tyle dostanie, żeby natychmiast znowu potrzebować zaczęli. Mniejsza o to: nie wtrącam się do administracyi; moralnych jej owoców, dla mnie najłakomszych, moralnych uczuć patrzę tylko. Zaiste, odbierający wie aż nadto dobrze o tem, że udzielone mu wsparcie nie od ciebie, nie od wręczającego mu je pochodzi; pierwszy dawca jest mu obojętny, bo nieznany, drugi jest w jego oczach machinkowym tragarzem najczęściej niewystarczającego mu wsparcia: kogóż i za cóż on więc kochać będzie?

— A tobie koniecznie się chce wdzięczności na odpłatę, Augusto?

— Mnie się koniecznie chce pięknych wrażeń na rozgrzanie serca; nie posądzajże mnie o jakąś pyszkę

drobniuteczką, o chęć zużytkowania na własną chwalbę dziękczynień zobowiązanego małą przysługą człowieka. Te wszystkie czcze komedye tak mi już zbrzydły, że choć do grobu uciecbym chciała przed niemi. Wszakże na zawołanie mieć je mogę w każdej chwili. Niech z karety dwuzłotówkę zamiast trzech groszy, cisnę pierwszemu lepszemu żebrakowi, to mi zapewne całą litanią szumnych błogosławieństw i przymiotników wyśpiewa; niech jeszcze z tysiąc rubli na zakład jaki przeznaczę, to i w gazetach o mnie pisać będą; lecz co mi po tej muzyce głośnych, bo próżnych wewnątrz instrumentów, co mi po tej pewności nawet, że Gawłowi grosz mój ulgę przyniesie, gdy mnóstwo niedowidzianych Pawłów zgniłemi kartoflami się truje i zapycha? Co mi po tem wszystkiem, kiedy ja chora, kiedy sama żadnego wsparcia, żadnej nie odbieram jałmużny. Stwórz mi inne ku czynieniu dobrego warunki, daj mi sposobność poświęcenia czegoś na widoczną korzyść moich bliźnich, a nadewszystko daj mi ich ukochać!— a czego dziś nie pojmuję, to jutro zrozumiem, co mi się dzisiaj niepodobnem, to jutro najłatwiejszem do spełnienia wyda. Ukochać tylko, ukochać! Przyjdzie chwila natchnienia, objawią się cuda, stworzę siebie inaczej. Dziś wszystkie próby daremne; nie dowiduję, nie dostrzegam, nie umiem. Jedno mi do myśli nie przyjdzie, drugie wnet z głowy uleci, tego nie spotykam, o tamtem zapominam mimowolnie; każdy mój dobry uczynek, jak wiersz dobrego pisarza, jest konceptem, a nie jest poezyą. Dziękuję ci za taką dobroczynność bez miłości.

— Gdybyś w całem rozdziwaczonem życiu twojem, Augusto, choć jednę chwilkę prawdą Bożą przeżyła, mogłabym się do tej chwilki odwołać, aby cię z gorączkowych marazmów na zdrowe powietrze wyprowadzić; lecz są rzeczy, o którychbyś słuchała, jak o żelaznym wilku. Zostawmy to na później, jak się cierpieniem lub szczęściem wyuczysz tego języka, którym ja mówić oddawna już przywykłam.

— Szanowna mistrzyni, toć na oswojenie potul-

nych uszu moich, racz mi choć słówko o tym żelaznym wilku w swoim dyalekcie powiedzieć.

— Na oswojenie uszu powiem pięknej cudzoziemce takie na przykład wyrazy. Kto chce kochać w zachwycie płomiennym, w uweseleniu ducha i w nieba radościach, ten powinien kochać długo w oschłości, w tęsknocie, w niedbalstwie ziemi naszej. Powinien kochać, nie żądając ani od siebie samego, ani tembardziej od drugich, choćby najeteryczniejszej nagrody. Wzniesienie uczuć gorętszych i czystszych, łatwość, jasność, wszechwładność zawsze przytomnej sobie myśli: to jest korona miłości, to jest przedsmak ostatecznego zbawienia, ale to jeszcze nie miłość jest sama.

— Prawdę powiedziałaś, doctissima, w tym mistycznym języku nie zrozumiemy się tak prędko; ja myślę, że kto niczego od ludzi nie wymaga, ten chyba najokropniej pogardzać nimi musi, i kiedy przestanę od nich wymagać datku wsparcia, siły, uczucia i szczęścia, kiedy przestanę sobie życzyć tej eterycznej, sercowej nagrody, wtenczas bądź pewną, moja droga, że nawet z tobą nie będzie mi się chciało... nawet o braku miłości rozmawiać.

— A wiesz, Guciu moja, co te wszystkie pretensye do świata i do ludzi założone znaczą?

— Zdaje mi się, że wiem, lecz i ty mów, Urszulko.

— Oto znaczą, że w twoim wieku powinnabyś się rozkochać, pójść za mąż, mieć dzieci, mieć cel życia, mieć światek swój własny, przez którybyś wszystkie światy planetarne i słoneczne zrozumiała natychmiast, w którymbyś wszystkich dopełniła obowiązków i wszystkie zaspokoiła wymagania.

Augusta na głos się rozśmiała.

— Dziękuję ci, Urszulko moja — rzekła, po ramieniu lekko ją uderzając— bardzo serdecznie ci dziękuję, że w ten sposób moję sprawę przedstawiasz; niezręczny jaki doktór medycyny byłby się mniej ozdobnie, a daleko surowiej wyraził. No, i cóż po-

wiesz na to? ja się zgadzam z twoim wyrokiem. Przekonaj się najpierw, moja pani. że wyrazami ludzkiego dykcyonarza łatwo i nadzwyczaj rzetelnie rozmawiać się umiem.

— Kiedy tak jest, najjaśniejsza Guciu, śpiesz-że się, kochaj śmiało!

— Czy pana Filipa?

— Nie narzucam ci pana Filipa, bo go nie znam, choć zawsze waruję sobie, że mam prawo trochę więcej zajmującym od skreślonego przez ciebie portretu go znaleźć. Ty już przywykłaś do swego utworu obrazów i gdy ci przyjdzie wzór żywy kopiować, ani kolorytu, ani wymiaru właściwego nie przestrzegasz dość pilnie: dajmy jednakże panu Filipowi odprawę. Kochaj tego, w kim ci się zdaje, że jesteś zakochana.

— Trudno, trudniej—oh! najtrudniej podobno.

— A to dlatego, że masz dwie przywary, najszkodliwsze w stosunkach sercowych. Gucia jest straszek nieznośny, przed mamą, przed bratem i przed ludźmi boi się przyznać do swoich skłonności, a najjaśniejsza Augusta znowu jest harda, jak kogucik na kościelnej wieżyczce, i tej skłonności wobec jej przedmiotu „uznać“ nie chce nigdy.

— Na ten raz chybiłaś zupełnie: najjaśniejsza Augusta w innym jest kłopocie; czy powiedzieć?...

— Ma się rozumieć, a powiedzieć tak szczerze, jakgdyby moje nawet uszy nie słuchały.

— Pierwej ty, Urszulko, przyznaj mi się, ale to przyznaj, jakgdybym ja także nie słuchała cię nawet: czy kochałaś kiedy?

— A na co ta ciekawość! zmów tylko pacierze.

— Nie mogę, źle odmówię bez twojej pomocy.

Urszula rozśmiała się półgłosem, lecz twarz jej trochę zbladła i ręka w ręku Augusty zadrgnęła.

— Więc ci powiem: kochałam—rzekła nakoniec spokojnie.

— Jeszcze nie dość na tem: wybacz mi, wybacz, jedyna moja, widzę, że cię dręczę boleśnie, ale muszę pytać. Kiedy kochałaś, co się działo w twem sercu?

Kiedy kochałaś, czemu swoją miłością szczęśliwą nie jesteś?

— Czy chcesz kurs anatomii odbyć na mojem sercu, Augusto?

— Nie, tylkobym chciała lepiej własne serce pojąć.

— Jedno drugiego nie wytłumaczy nigdy.

— Sprobuj, a zobaczysz, na co mi twoje zwierzenia potrzebne.

— Na ośmielenie.

— Bynajmniej, na schemat życia.

— Oh! niech ci Bóg da lepszego dobrać sobie! Ale nie targujmy się, Augusto. Mów, co masz na myśli; ja znów, co mi przyjdzie na myśl, powiem i schemat nowy, daleko właściwszy, się ułoży.

— Twoja górą niech będzie, Urszulko! Więc od czegóż tu zacząć? Trzeba się chyba do przeszłości odwołać. Pamiętasz owe szaleństwa i marzenia bezcelne, kiedy w tajnikach mej wyobraźni rozkochiwałam się codziennie inaczej, codziennie w kim innym i z innego powodu? Zdawało mi się, że zbieram farby i kształty oderwane, ziarnka piasku, srebra i złota, z których kiedyś najdoskonalszy jakiś posąg się odleje. Zbierałam, czekałam i dziś czekam jeszcze. Nie są to już owe mrzonki efemerydalne, znajome ci niegdyś, któreby właściwiej nazwiskiem rzeczy, niż imieniem człowieka oznaczyć się dały: skrzypce, wiolonczela, poemacik, głowa z Rembrandta obrazu i tym podobne przedmioty; nie, gorzej daleko, to są trzy wyraźne postacie, które, jak trzy błędne ogniki, po manowcach mnie wodzą. Urszulko, ty mi chyba stanowczo powiesz: którą z nich kochasz prawdziwie?

— A to istotnie osobliwy na mnie wkładasz obowiązek! Nigdy nie chciałam wierzyć temu, żeby którakolwiek kobieta mogła nie wiedzieć, w kim jest zakochaną.

— Bo doctissima na drukowane książki tylko, a nie na świat patrzyła. Przecież to zwykła wszystkich nieomal historya. Gdyby kobiety wiedziały z pe-

wnością w kim się kochają, ileż zawodów, nieszczęść, zgorszeń oszczędziłyby sobie! Lecz nie traćmy czasu na sprzeczki: ja nie wiem — i koniec.

— Jestże to podobnem, Augusto?

— Przysięgam ci, jest najpodobniejszem, moja droga. Wszakże bogatą się urodziłam — oh! fatalnie bogatą—i milionami, które mi się na nic dobrego nie przydadzą, i różnostronnością władz natury mojej. Każda władza osobno wzięta mogłaby całemu życiu innej kobiety wystarczyć, a wszystkie, razem w jednę indywidualność połączone, plączą mi tylko obecność i ciągłem zaniepokojeniem mej przyszłości grożą. Po każdej stronie losu—zbytek w ubóstwo przechodzący. Gdybym miała parę tysięcy własną pracą zarobionego dochodu, swobodna jak ptaszek, rozrządzałabym wszystkiemi zdarzeniami mego życia, mogłabym zawsze rok przeciw godzinie szczęścia stawić, wszystkie lata rzucić w jaką nadzieję, w jaki zamiar, w jakie poświęcenie; dzisiaj mój posag, moje dobra i listy zastawne przykuwają mię do jarzma najnieznośniejszych zwyczaików, ostrożności, kłamstw, nudów i próżniactwa. Taksamo gdybym miała pod jednym tylko kierunkiem rozwinięte zdolności, prędkobym dla nich zastosowanie znalazła. Niechże która inna kobieta, prawdziwie planetarnej duszy i ślicznie bluszczowej myśli—taka Aldona na przykład, co sobie nic wyobrazić nie umie: „gdzie-to ma lecieć, po jakie rozkosze — kto poznał Boga wielkiego na niebie i kochał męża wielkiego na ziemi...“ taka więc niech spotka męża wielkiego na ziemi — męża rzymskiego hartu a rodzimej cnoty — pięknego jak na medal, czystego jak na ofiarę ubłagania, silnego jak na zwalczenie piekła. Wszakże dość już będzie dla niej wielbić, zachwycać się, błyszczeć w świetle jego promieni. I cóż, Urszulko? mnie to nie wystarcza. Prawda, że się garnę pokornie ku jasności słonecznej — ale poza tem, stokroć świętem uczuciem entuzyazmu, odzywa się drugie, właściwsze jeszcze kobiecie uczucie— odzywa się potrzeba uszczęśliwiania wybranych swoich. Mistrz

przewodnik wszystko mi daje, wszystko mi objawia, ciągle mnie wspiera — lecz ja nawzajem chciałabym udarowywać, objawiać i wspierać. Czuję w sobie jakieś żywioły, jakieś siły na nic nieprzydatne dla orła ideałów moich, lecz mogące zbawić tęsknego w nizkiem gniazdeczku kolibra. Wierz mi, Urszulo, i to jest niewyczerpniętem pociech, rozrzewnień pięknych wzruszeń źródłem, kiedy się trzyma jakby w ręku swoim cały los, całą duszę czyjąś, kiedy się ma kogo tkliwem otoczyć staraniem, macierzyńską przeciw złemu bronić opieką, wszystkiemi skarbami na drogę ku dobremu obdarzać — kiedy się go może łajać, chwalić, zasmucać, rozradowywać, wtajemniczać we wszelkie piękne życia i uczuć ludzkich misterye [*tąk*]. Ja myślę, że ty, Urszulko, najłatwiej powinnabyś właśnie zrozumieć piękność tego stosunku.

— Dla siebie niekoniecznie; a jednak tobie ponobym i radziła ograniczyć nim całą akcyą układanego w twej wyobraźni dramatu. O ile mogłam poznać, zbyt jesteś dumną, zbyt wymagającą, żeby uwielbienie dało się z epizodu w ciąg i treść dzieła zamienić; tobie na okupienie zbytków różnogatunkowych przedewszystkiem pierwiastek dobroci trzeba z uśpienia obudzić. Poprzestań na roli opiekuńczej, Augusto.

— Zapominasz, że nie mój własny wybór, ale wprost fatum jakieś greckie kazało mi inną prócz tego na świecie odgrywać: jestem piękna, jestem młoda.

I niby na udowodnienie tych wyrazów posągowa Augusta, niespodzianym, a silnym i zręcznym ruchem, jak z zasadzki wyskakująca trochę za łupem, trochę za swawolą tygrysica, wyskoczyła ku środkowi pokoju, otworzyła pianino i uderzając kilka dziwacznych akordów, zaczęła na dziwaczniejszą jeszcze, w tej chwili, jak widać, pomyślaną nutę, pełnym swoim śpiewać głosem:

A znasz ty kraj,
Gdzie cytryna dojrzewa,

Pomarancz blask
Majowe złoci drzewa?
A znasz-że ty
Dwóch spojrzeń błyskawice
Goręcszej krwi
Rumieńcem wzbiegłe lice?
A znasz-że ty
Chwil przelotnych wrażenia —
Jak serce drży,
Jak w głosie drżą westchnienia?
A znasz-że ty
Młodości wir zuchwały,
Jawy i sny,
Promienie, wichry, szały —
Czy znasz je ty?

I nagle, jak stuknęła wszystkiemi palcami w jakieś dziesięć ze sobą pomieszanych klawiszów, tak się zdawało, że struny powinny były pęknąć; widać jednak przezorny Pleyel na Lisztowskie uderzenia ich siłę obliczył.

— No, moja Urszulo — rzekła nakoniec, jedną ręką jeszcze o pianino wsparta, ale całą swoją majestatyczną, wyprostowaną postawą ku siedzącej odwrócona—już ci ostatni wyraz tej zagadki powiedziałam; twoja teraz kolej — rozwiązuj!

— A ja właśnie teraz, kiedy mi zaśpiewałaś, znowu nic nie rozumiem o co ci chodzi — z uśmiechem odparła zapytana Urszula.—Zły sposób wybrałaś może: bo to trzeba ci wiedzieć, Guciu, że w twoim śpiewie nie jeden głos, ale ze sto innych głosów, czasem głosy mojej najcichszej myśli słyszę — jakże chcesz, żebym potem wątpliwości twego życia z tą swoją własną wątpliwością zmieszane rozwiązywała! Na ten raz piosenka niezupełnie była w moim tonie, innych tonów przecież tak wiele, a są między niemi i takie... że do-

prawdy boję się pomyśleć, boję się moją najjaśniejszą rozgniewać — a wolniej domawiając tych ostatnich wyrazów, Urszula przeciągłem, więcej jednak opamiętywającem, niż badawczem spojrzeniem w oczy Augusty patrzyła.

Dumna piękność wstrząsnęła głową, jakgdyby z niej zaciężką chciała zrzucić koronę.

— I ty się nie mylisz i ja się nie gniewam — przemówiła po chwili bardzo stanowczym głosem. — Dlatego się urodziłaś, żebym choć z tobą jedną na tym Bożym świecie bez obłudy i kłamstwa wszystko co myślę wypowiedzieć mogła. Spełnijże swoje przeznaczenie — bardzo cię proszę, nie narzucaj mi żadnych obwijań bawełnianych. Kogo ja kocham? wyrokuj. Czy Samuela przez uwielbienie, czy Morysia przez opiekę, czy tego szatana Seweryna przez pokusę?— I domawiając tych słów, znowu się jaknajpokorniej na otomance wyciągnęła.

— Wyrokuję sumiennie, Augusto: żadnego z nich nie kochasz—rzekła pół uroczystym, pół-żartobliwym głosem Urszula.

— A to zabawna historya!

— Rzeczywiście, dla ciebie zabawna tylko historya, ale nie miłość, Guciu moja. Gdybyś kochała, nie miałabyś ani czasu, ani siły na takie subtelne rozróżnienia, bo miłość, to chwila doskonałej właśnie, zupełnej łączności wszystkich władz duszy naszej i wszystkich zmysłów naszego ciała; gdyby miłość zostawiła ci w sercu jedno uczucie niezgarnięte ku sobie, w głowie myśl jednę przez siebie nienatchnioną, w nerwach choć jedno obce wrażeniom swoim zadrgnięcie: a toćby nie była miłością, Augusto. Oj, dziecko, dziecko z ciebie, tajemnic życia nieświadome! Co ty mistrza z kolibrem twoim, kolibra z szatanem pokusy rozdzielasz? Ukochany jest wszystkiem tobie, jest mistrzem i pisklęciem, jest Adamem i szatanem twojego raju. Słuchasz go, jak przeznaczenia; staraniem i tkliwością go otaczasz, jak Benjaminka duszy twojej; szalejesz nim, upajasz się, jak wyziewami del-

fickiej jaskini siedząca na trójnogu kapłanka. Nie lękaj się, żeby ci wtenczas jakieś niezużytkowane fantazye o inny przedmiot zajęcia się dopominały; stokroć prędzej ty sama poczujesz, że jest ciebie zamało, że jest w tobie zaubogo, że jest od ciebie niewystarczająco jeszcze. Bo miłość chłonie, miłość ogarnia, miłość przepełnia i znicestwia zarazem; gdyby trwać mogła, gdyby się nie zmieniała, nie psuła—toby chyba aż źle było... ludzieby zapomnieli, że: „Nie będziesz miał cudzych Bogów przedemną.“

— A widzisz, jak słusznie przeczułam, że mi wiele rzeczy nowych o tym przedmiocie powiesz! Kiedyś zaczęła, to dokończ, Urszulko, wytłumacz: dlaczego ty sobie przypomniałaś, co właśnie, według słów twoich, ludzie zapomniećby mogli?

— Dlaczego? Dlatego, że każdy, chcąc czy nie chcąc, swoim czy cudzym grzechem, katastrofą czy powolnem cierpieniem, utratą złudzeń czy ich wybujałością na grobie jakimś, lub na nieprzejrzanych rozstania obszarach, każdy prędzej czy później przypomnieć sobie musi. Tak Pan chciał, tak słudzy czynią, tak Opatrzność rozrządziła, tak się ludziom dzieje.

— Nie uciekajże mi w omówienia, Urszulko — powiedz szczerze: z jakich wypadków chęć Pana i rozrządzenie Opatrzności pojąć mogłaś?

— Ze wszystkich, które się tylko przed oczami memi przesunęły.

— Doctissima! takich sekretów gospodarskich, jakie ty zdajesz się posiadać, żaden kalendarz nie uczy; tylko z własnego doświadczenia poznać je trzeba koniecznie.

— Alboż się tego wypieram, że z doświadczenia poznałam?

— Kiedy się nie wypierasz, bądź-że łaskawa pokładniejszą obdarzyć mię informacyą. Usnąćbym nie mogła spokojna, gdybym raz w ogólniku przyjęła tę zasadę, że niéma jutra dla chwili miłości, a dla mnie bez chwili miłości zmartwychwstania nie będzie. Jak-to być może prawda z kłamstwa, mądrość z sza-

leństwa, a cnota z grzechu? Gdzie w tem sens i sprawiedliwość? Dotychczas zdawało mi się, że nieszczęścia gorzkich zawodów tylko nad romansem, to jest nad małoletnością uczuć i pojęć, ciężą. Kto się na mój dawny sposób w rzeczy, a nie w człowieku zakocha, kto pięknie przetańczonego mazura, jeźdźca na bystrym koniu, dobór przedeklamowanych wyrazów, pejzaż otaczający pierwsze spotkanie, a zresztą może ładny koczyk i spodziewane krocie intraty w kochanku przeidealizuje — temu się bardzo słusznie pokuta należy; ale tobie, Urszulko, tobie dorosłej sercem i myślą, zkądże wypadło takież same jak lada pensyonarce przechodzić koleje? Czemże ty zbłądzić mogłaś? Czyś zamało kochała?

— Wykochałam całe serce aż do dna; nic mi już dla nikogo wśród ludzi na drugą ofiarę nie zostało.

— Więc może kochałaś trochę zanadto, Urszulko?

— Prawda, że bez targu— nie umiałabym na łokcie zmierzyć — ale wiem, że kochałam po granice szaleństwa i hańby: tej linii demarkacyjnej nie przeszłam.

— To zbłądziłaś wyborem?

— I mnie się tak zdaje — powinnam była wybrać przed urodzeniem twój kolor włosów, twoje oczy, rysy, a ja sobie wzięłam twarz taką pospolitą, oczy takie blade, włosy takie wypłowiałe!... No, podziękuj mi, że chociaż starsza, zostawiłam ci ładniejszy przyodziewek—podziękuj, bo przecież mogłam wybierać.

— Ach! zapomniałam, że wybór niepodobny, a przecież sama jestem tego zdania — lecz kiedy niepodobny, moja Urszulko, czy nie mogłabyś mi powiedzieć, na co się zdadzą ludziom i Bogu te wszystkie zawieruchy? na co te próby daremne?

— Zdadzą się, zdadzą, jak elektryczna burza roślinności. Nie zgadłabyś czasem, ile piękna i potęgi w twojej duszy drzemie, nie domyśliłabyś się co to wykonać, przedsiewziąć i poświęcić jesteś zdolna, gdybyś na wyłącznem, pośredniem między samolubstwem

a zaparciem się siebie uczuciu wprawy nie nabrała; uczucie później na atomy pryśnie, w najlepszym razie straci tylko swoję podbudzającą własność, spowszednieje — lecz tobie zostanie pamięć jego i zostaną pod jego wpływem nabyte lub rozwinięte zdolności. Wstyd ci będzie dla świętszego słowa, wstyd dla zbawienia i dla Boga w niebie mniej być wylaną, zasobną, gorliwą, jak [*tak*] nią byłaś dla równego sobie, może nawet drobniejszego od siebie człowieka. Co do mnie, przynajmniej z owej elektrycznej burzy młodego wieku tę wielką odniosłam korzyść, że umiem na każde pożądanie dobrego i prawdy tak oddać wszystko i tak spokojność, tak los mój narazić, jak niegdyś oddawałam i narażałam za jednę jego radości godzinę.

— Więc prostem porównaniem rzecz tę objaśniając, miłość dla ciebie, moja Urszulko, była tylko przygotowawczą szkołą do wyższego gimnazyum życia, a gimnazyum miało cię przygotować do uniwersytetu cnoty, świętości i t. p. Gdyby jednak porzucić ten pedagogiczny systemat, gdyby zwrócić się do fizyologii roślinnej, czy nie lepiej byłoby gorących krain palmy i nasze własne sosny naśladować? Palmy i sosny wysoko biegną ku niebu, a przecież najwyższy i najświeższy listek ich korony ta sama wilgoć karmi, którą najniższa ich gałązka z łona matki ziemi wyciągnęła — czemuż serce ludzkie, a nadewszystko czemu twoje serce nie uniosło w koronę swojej świętości tych samych żywiołów, któremi się wczasie wzrostu swego zasilało?

— Co za botaniczne porównanie! Ja nawzajem, daleko prostszem je objaśniając, muszę ci powiedzieć, moja Guciu, że nie zaród uczucia, nie żywioł z natury wyciągnięty na dalszych stopniach udoskonalenia zmieniamy, ale zmieniamy przedmioty żywotowi owemu posługujące; tak jak ty, najjaśniejsza, nie zmieniałaś swoich kształtnych nóżek od dziesiątego roku dajmy na to, ale zmieniłaś miarę ich obuwia, i nie mogłabyś na nie włożyć ówczesnych pantofelków.

— Oh! szkaradna pedantka! Pierwszą miłość swoję staremi pantoflami nazywa.

— Dla większego „efektu“ mogłaś jeszcze dodać: pierwszą i ostatnią jedyną, wyłączną miłość swoją...

— Tem gorzej: muszę koniecznie pantofelkom na wszystkie strony się przypatrzeć — podaj mi je natychmiast.

— Zaczekaj — może kiedy przyjdzie mi o nich w liście ci napisać.

— Urszulo, ja chcę teraz słyszeć.

— Augusto, ja nie chcę nigdy o tem mówić.

— Jesteś najnieznośniejszą pod słońcem dziwaczką.

— A ty najkapryśniejszem zpod księżyca dziecięciem.

— I kiedyż w liście napiszesz? Czy doprawdy napiszesz?

— Napiszę, Guciu, napiszę bajeczkę, obrazki powklejam i dam na gwiazdkę mojej rozpieszczonej jedynaczce. A teraz niech na tem poprzestanie, że kiedy mnie było lepiej na świecie, kiedy ja byłam szczęśliwa, to przygarnęłam sercem smutniejszego od siebie; kiedy zaś jemu potem zaczęło być lepiej niż mnie, on odszedł sobie daleko...

— Ależ to była nikczemność z jego strony, Urszulko! Jakże ty mogłaś, znając go, czy nie znając, nikczemnika pokochać? Oh! wiem, wiem, że nie mamy prawa wyboru; lecz natomiast musi być pewne tożgatunkowości, a przynajmniej równoległości prawo, na mocy którego róża kocha słowika lub motyla — jak śpiewają poeci—lecz biała lilia nigdy żaby nie kochała.

— Między nami mówiąc, Augusto, nie przysięgłabym za lilią — ostateczne sprzeczności najwięcej czasem pociągu mają ku sobie; lecz my nawet nie byliśmy ostatecznemi sprzecznościami, ani ja lilią, ani on żabą: i owszem, z wielu względów można go do znakomitszych ludzi policzyć. Rzetelny jak książki

kupieckie, rozumny jak biblioteka. Gdyby mu kto powiedział, nie obwijając w bawełnę — „Kochałeś Urszulę, póki była bogatszą od ciebie, a przestałeś ją kochać, gdy sam od niej bogatszym być zacząłeś" — wyobrażam sobie, jakby się zdziwił i rozgniewał, a przecież choćby to się dało z pieniędzy na moralne powody przetłumaczyć, zawsze prawdy środkowej jądrem te szkaradne, poziomo brzmiące słowa zostaną. Lecz dajmy pokój mojej nudnej historyi; zaczęłaś mi sama o sobie ciekawszą trochę rozpowiadać — proszę o dalszy ciąg i słucham uważnie.

— Wielką mam ochotę do przyszłego listu cię odesłać.

— Niesprawiedliwa, pensyonarska prawdziwie zemsta, moja Guciu! Za to, że mnie jest przykro o przebolałych wypadkach wspominać, ty się chcesz pozbawić przyjemności mówienia o rzeczach, które cię bawią jeszcze.

— Jestże to mała złośliwość, szanowna Urszulo?

— Nie jestem dość wielką panią, abym sobie małych złośliwości pozwalała; o dziecinną gadatliwość cię nie posądzam, lecz z własnego doświadczenia znam różne ludzkiego serca tajemnice i wiem, jak mu jest błogo czasem w dźwiękach słów żywych długo skrywane myśli usłyszeć; to jakgdyby piśmiennie zanotowaną melodyą kompozytor, przez czas długi fortepianu pozbawiony, twego Pleyela spotykając pod ręką, odegrał sobie nakoniec [*tak*]. Śmiało więc, Guciu, wróćmy do fenomenalnej twojej wątpliwości i zastanówmy się nad tem, czy możesz kochać jednego chociaż z tych trzech wybranych, których wszystkich razem nie kochasz wcale według mego zdania.

— Czemuż mię oni więcej od innych zajmują?

— Mam nadzieję, że się ta osobliwość da łatwo bardzo wytłumaczyć — tylko mi powiedz pierwej: kto jest ów dla mnie bardzo ciekawy, idealny, a może tylko zidealizowany pan Wiktor — i kto ów niebezpieczny

Seweryn? bo prześlicznego Morysia to już pewno znam oddawna.

— Właśnie że nie znasz. Jakże ci się zdaje? kto jest prześliczny Moryś?

— Wasz domownik przecie.

— Z jakim pogardliwym akcentem rzucasz to słowo „domownik.“ Jużby też lepiej moja matka nawet nie wymówiła.

— Powiedz mi, jak mam nazwać młodego człowieka, zdrowego na ciele i umyśle, który bez żadnego zatrudnienia rok po roku w domu bogatych opiekunów przesiaduje, szklanki wody przynosi i odnosi, na służących dzwoni, sprawunki balowe załatwia, daje się „kochanem dziedzictwem“ przezywać, je dobrze, śpi dobrze — i nigdy ani na wątrobę, ani na zgryzotę sumienia nie zachoruje?

— Otóż miałam słuszność, że nie znasz Morysia; widzisz w nim tylko wychowańca na cudzym koszcie żyjącego—lecz czem jest Moryś rzeczywiście, o to mnie pytaj, Urszulko.

— Jaknajchętniej, kiedy każesz; wiec pytam: czem jest Moryś rzeczywiście?

— Jest mało potrzebującym człowiekiem.

— Wyborna definicya próżniaka. Kto ma smaczny obiad, wytworne pomieszkanie, z cienkiego sukna fraki i tużurki, mnóstwo drobnych wygódek i cacek, obejdzie się bez reszty, obejdzie się bez własnej godności, bez szacunku bliźnich i bez chwały Pana Boga. Jeno mu ciągle na kominku ogień lub w salonie woskowe świece i kinkiety palić, toby się nawet bez gwiazd i słońca obszedł; bo próżniak jest „mało potrzebującym człowiekiem.“ Nie zapomnę tego szlachetnego omówienia.

— A ja ci nie zapomnę tej gorzkiej ironii. Fe! wstydź się, doctissima, takie pociski rzucać—i przeciw komu? Przeciw biednemu Morysiowi, który sam nigdy na nikogo kamieniem nie cisnął, który ma taką szczerą dla każdego życzliwość, taką ustępną, wdzięczną, łatwo dobremu wierzącą, a na złe niepodejrzliwą na-

turę — i za cóż obelgi najdotkliwsze? Za to, że się z drugimi [*tak*] nie kręci, nie popycha, nie rozbija wielkiemi kułakami o bardzo drobne rzeczy. Spojrzyj dokoła, Urszulko, sumiennie rozsądź sprawy tych bezbożności najemników: czy jest o co mózg w głowie sobie smażyć, a serce w piersiach wysuszać? Co do mnie, to ci się przyznam, że mi już zbrzydła owa prawdziwie mrówcza skrzętność otaczających mię ludzi. Jak wół i osioł jarzmo swoje wloką, żeby do najniżej ustawionego celu najbrudniejsze częstokroć ździebełko dowlekli. Jednemu kresem zabiegów kuropatwy z truflami na święto, a pieczona polędwica w inne dni tygodnia. Dla drugiego u szczytu mrowiska leży tytuł, który mu nawet nie da prawa łaski dla drobniejszych, a wsiąknie [*tak*] w siebie zdrowie, swobodę i wieczność może całą. Trzeci waruje niby wyżeł do ideału posażnej żony. Temu karyerą zrobienie majątku; tamtemu głównym obowiązkiem życia się zdaje pewne dobra do dóbr już posiadanych przykupić. A niczego bez trudu i hałasu otrzymać nie można. Dopieroż tedy poswarki, zawziętości, niepokoje — dalekie drogi, bezsennie spędzane nocy, ulewy żółci, przeziębienia, choroby! Oh! moja Urszulko, mów co chcesz sobie: stokroć większy mam szacunek dla jego na małej cząsteczce poprzestającej bezczynności, i stokroć piękniejszym mi się zdaje jego cichy egoizm, jego ograniczone, ludziom niezaczepne szczęście.

Man wants but little here below
Nor wants that little long.

(Człowiek mało na tym świecie potrzebuje,
I tego mało nie potrzebuje na długo.)

Jestem pewna, że Moryś w tym dwuwierszu angielskiej ballady streściłby całą swoję filozofię, gdyby mu kiedy przyszło na myśl filozoficznie ze swego postępowania się tłumaczyć.

— Ależ, Guciu, chcesz koniecznie na jakiegoś filozofa, bodaj czy nie na ascetę, pana Morysia wystrychnąć — a pan Moryś dwudziestu czterech godzin nie obszedłby się bez hawańskiego cygara i schudłby niezawodnie po tygodniu naszej zwyczajnej ubogo szlacheckiej strawy. Jeśli mi powiesz, że na wygodnem, zbytkownem życiu poprzestaje, że nie jest dumny, że się za czczą sławą urzędów, nauki, poezyi, sztuk pięknych i tym podobnych szaleństw nie ubiega — ha, to ci natychmiast uwierzę; ale jeśli mi powiesz, że mało potrzebuje, to muszę śmiać się koniecznie.

— Jesteś niesprawiedliwa, moja droga; zastanów się tylko, czem mógł zostać młody człowiek z gwałtowniejszemi namiętnościami, z drażliwą pychą i ruchliwszą próżnością w położeniu takiego Morysia, odbierającego prawdziwie pańskie wychowanie, noszącego trochę świetniejsze od swoich dobroczyńców nazwisko, a przy dojściu do pełnoletności obejmującego w posiadłość okrągłą sumę 50,000 zł. — Gdybyś pięćdziesiąt tysięcy młodzików zgromadziła, nie wiem czyby się między nimi dwóch takich znalazło, co w podobnych warunkach ster życia biorąc do ręki, nie pokierowaliby nim na pełne morze hulanki i rozpusty, albo nienawiści, zazdrości, intryg i występków. Tymczasem potulny Moryś niewinnem, serdecznem a wesołem jak ptaszek dzieckiem został tylko. Nikt mu w naszym domu nie dokucza, zkąd więc on, pełen ufności, domyśleć się mógłby nawet, że go nikt szczerze nie kocha? Z usposobieniem mojej matki jemu właśnie bardzo jest łatwo do równowagi się ułożyć: ani zbytkiem gorąca, ani zbytkiem zimna, to jest ani egzaltacyą, ani zapomnieniem i nieuwagą przeciw formom światowym nie grzeszyć. Od dzieciństwa przywykł też do nader kornego względem niej uszanowania, które, w nawiasie mówiąc, rodzone jej dzieci podzielają, nie czuje się przeto bynajmniej poniżonym zawisłością swojego z tej strony stosunku—mogłabym prawie powiedzieć, że i matka poswojemu przywiązała się do niego. Ileż razy słyszałam, jak wspominając

o nim, mówiła ledwie że nie rozrzewnionym głosem: „Ten Moryś to taki łagodny, taki delikatny, jak gdyby go w domu nie było.“ — Owo: „jakby go nie było“ może ci się dowcipną przymówką zdawać — ale nie, Urszulko, to jest najwyższy stopień pochwały w ustach mojej matki — już wierz mi, ja się znam na tem. Co do mego brata, który tak często Morysia „kochanem dziedzictwem“ nazywa — prawda, że to czyni z pustoty, lecz ta pustota jest pamiątką jedynej trochę tkliwszej sceny w naszym rodzie. Kiedy mój ojciec przywiózł do nas siedmioletniego chłopczynę, ubranego w grubej żałobie, najpierw matce, a później Dyonizemu i mnie jako trzecie przybrane dziecko przedstawiał, dziś jeszcze pamiętam, głos jego lekko drżał, mówiąc te słowa: „Po walecznym żołnierzu, uczciwym człowieku i wiernym przyjacielu oto jest moje kochane dziedzictwo.“ Dyonizy, sam jeszcze wtedy nie o wiele od małego sierotki starszy, a niekoniecznie zwiastujący dzisiejszych salonów dowcipnisia, wziął ostatnie wyrazy za nazwisko przywiezionego kolegi i w godzinę potem wielkiego śmiechu narobił, dając znać, że „dziedzictwo nie chce pić ustawionej mu na moim stoliku herbaty.“ — Śmiech wywołany był, jak widać, najwyższym już dla mego brata tryumfem — choć go objaśniono o pomyłce, razporazu swój kompliment powtarzał, aż dopiero znudzona tem powtarzaniem matka pod grozą surowej kary wzbroniła mu na czas jakiś używać tego przezwiska; później znów przy zdarzonej sposobności na wierzch ono wypłynęło i dotychczas zatonąć nie może. Wiecej ci nawet powiem: drugie się jeszcze znalazło, lecz to już Morysiowi tylko w kółku rodzinnem i tylko trochę z pieszczotliwym akcentem się daje. Ponieważ ojciec nasz był przez jego ojca w testamencie wyznaczony opiekunem i ponieważ, sam umierając, także przez testament polecił naszej matce, aby zawsze nad losem wychowanka czuwała — ztąd też wychowanek bardzo często, ale, jak mówię, w dobrym pieszczotliwym sposobie „testamencikiem“ się zowie. Jest to pomysł Dyonizego — Dyo-

nizy nie więcej sobie z Morysia, jak [*tak*] z wszystkich innych, jak ze mnie na przykład, żartuje. Moryś nawzajem uważa jego złośliwość za wrodzony jakiś nałóg; odetnie się czasem, rozdąsa kiedy niekiedy, lecz nie ma nawet pojęcia, aby w tych żartach lekceważenie na wierzch wybijało, lub też by on zabezpieczyć się przed niemi moralnie był obowiązany. dlatego jedynie, że kto zdaleka podobnych żarcików słucha, to je może lekceważeniem wytłumaczyć sobie. Oh! nie, to nie jest jednak przychlebny domownika, pasożyta, pieczeniarza charakter. Moryś uszlachetnia swoje położenie prawdą szczerego przywiązania i dziecięcą w przywiązanie drugich [*tak*] ufnością. W wielu okolicznościach prócz tego podziwiam jego rozsądek: nic a nic go nie korci, że Dyonizy ma swoje kabryolety i wierzchowce, że w karty grywa i śniadania znajomej młodzieży wyprawia; on się wcale do naśladownictwa zmuszonym nie widzi. Ma swoje zupełnie odrębne upodobania, które wielkich nakładów nie potrzebują i nie zawadzają nikomu: lubi polowanie, rybołóstwo, lżejsze warstwy literatury i pieska swojego. Na balach tańczy wesoło, lecz namiętnie za balami nie wzdycha. Najczęściej widzieć go można z dubeltówką lub siecią na plecach, z rododendronem lub francuskim romansem w ręku. Trzeci rok już niby o dzierżawę się stara, lecz posądzam go, że to jest tylko zręcznie wypowiedziana odpowiedź dla tych, którzy z niepotrzebną ciekawością o dalsze na przyszłość zamiary go wypytują. Przyszłość Morysia w najodleglejszych granicach swoich sięga zaledwie od wiosny do lata, od jesieni do zimy, według tego, jak w której porze które kwiatki się rozwijają i który rodzaj myśliwstwa przypada. Oranżerya nasza dostarcza mu głównego zajęcia, naszych błot cyranki i słomki głównych w życiu pociech. I cóż, Urszulko, czy zgadniesz dlaczego ta miękka wata, co się nitką bawełny przędzie, ta woda strumienna bezmyślnie po swej pochyłości płynąca, ten Moryś bez hartu i bez karyery, to wszystko takie

słabe, takie wiotkie — dlaczego to wszystko ma dla mnie tyle uroku?

— I czemuż nie śpieszysz, Augusto? Zdawało mi się, że się już ze wszystkiemi niezrozumiałościami twego charakteru oswoiłam; tymczasem widać, że masz zawsze nową niespodziankę na pogotowiu. Co znaczy to bałamucenie Morysia? Czy rzeczywiście jesteś tego pewną, że gdy mu zawód obierzesz, on w nim do celu jakiegobądź dojdzie, ty go pokochasz i ręką swoją wynagrodzisz? Jeśli tak jest, dlaczego próżne opóźnienie? Czemu pan Maurycy już w Rzymie za stalugą nie siedzi? Muszę ci się przyznać, Augusto, jak też ja sobie te różne sprzeczności tłumaczę. Oto mi się zdaje, że w artystyczną przyszłość Morysia nic a nic sama nie ufasz; bawisz się rolą opiekuńczego anioła, rolą podszeptującej piękne zamiary Egeryi, lecz gdy o wykonanie najmniejszego z nich idzie, cofasz się pierwsza, bo wiesz, że posłuszna twej woli duszyczka o lada kamień na gościńcu się rozbije, a pono wiesz także, Egeryo, że twój Numa wkrótce cię znudzi i nie chcesz stanowczej względem niego zaciągać odpowiedzialności. Masz dobre serce, więc prędzej czy później sumieniebyci wyrzucało, że kogoś tam, jak dudka, o kilkaset mil w pole wywiodłaś i samego zostawiłaś.— Wszak prawda? przez dobroć serca jedynie zatrzymujesz Morysia? przez rzetelność nie dajesz mu ani kierunku, ani do działania podniety? Inaczej trudno pojąć, coby ci przyszło z tego marnotrawstwa dni i lat całych, kiedy już w końcu pan Filip zjeżdża, a ty, chcąc nie chcąc, będziesz musiała jednem „tak“ lub „nie“ o przyszłości swojej postanowić.

— Toćby mi nic nie przyszło z tego także, gdybym Morysia do Rzymu wysłała; przed końcem karnawału pewnieby jeszcze Rafaela nie dosięgnął, a Tycyana nie przerósł. Mnie też nic na jego pendzlu nie zależy. Powiem ci, czego ja chcę, moja Urszulko: oto prawdziwie ja czekam tylko, żebym się w nim zakochać mogła. Rozbudzam szlachetniejsze swoje popędy,

dobieram mu takich usposobień, wrażeń i marzeń, w którychby mu najwięcej było do twarzy. Już mi ślicznie wygląda czasem z tą zaniepokojoną męzką dumą w sercu — jeszcze śliczniej z tem pokornem we mnie zaufaniem, z tą ciągle do mnie odwołującą się myślą, z tą próbą czynnego życia nawpół trwożną, nawpół zuchwałą. Ani się spotrzegę może, jak przyjdzie chwila apoteozy, i Moryś tak mi się pięknym wyda, tak pięknym, że za najpiękniejszym tęsknić nareszcie przestanę.

— I cóż zrobisz wtedy z panem Samuelem, z panem Sewerynem, nie licząc pana Filipa?

— Przyjmijmy jako ostateczną zasadę, że w tym pokoiku pan Filip nigdy się nie liczy; co zaś do Samuela, do Seweryna — właśnie twoim podobno będzie obowiązkiem zbliżyć mię do jednego, od drugiego wyzwolić.

— Więc na to mię sprowadzałaś tak śpiesznie do Warszawy? Niema co mówić, zaszczytne czekały mię urzędy: faktorki i duenny.

— Pani łaskawa, czekał cię urząd na świeczniku postawionej lampy. W mojej duszy, w moim losie ciemniej trochę, niż w tej pustelni teraz, gdy ogień zapomniany przygasa [*tak*]. Sama sobie zostawiona, mogłabym się potrącić, zaczepić, rozbić, upaść i nogę złamać; ale wniosłam moję Urszulę: jasno się zrobiło i wszystko widzę, a mnie tego najpierwej potrzeba: dobrze widzieć. Czyż to ja z pewnością wiem kto Samuel? czyż wiem kto Seweryn? Jeden zdaje mi się taki wysoki, jak góra Mont-Blanc przynajmniej, drugi taki świecący, błyszczący, jak meteor. A może jeden jest tylko długim, ukośnie pod światło księżyca padającym jakiego pieńka cieniem; może drugi jest próchnem albo fosforycznym wyziewem... *Fiat lux* — światło się stanie i zaraz prawda wszystkiego wyjdzie, jak oliwa, na wierzch.

— Wiesz co, Guciu, że jednakbym za całą piękność twoję, bo już nie mówię za twoje miliony — łatwiej bez milionów obejść się kobiecie — ale za pię-

kność owę klasyczną, nienaganną, wzorową. za tę piękność nawet nie podjęłabym się żyć z takiemi ideałami w głowie, a z takiem ciągłem zastrzeżeniem w sercu. „To olbrzym!—kto wie, czy nie karzeł? To dyament!—kto wie, czy nie mika? To mój artysta! — kto wie, czy nie głupiec?“ I mieć tak każde wrażenie na dwa zupełnie sprzeczne głosy rozłożonem! Istotnie, chyba musiałabym oszaleć.

— Mnie się nie zbiera jeszcze na szaleństwo. Od dzieciństwa przykładam się do tej kociej muzyki, wtórującej najpyszniejszemu *oratorio*. Wprawa cudów dokazuje — dlatego przy zdrowych zmysłach się uchowałam; ale że mi często okropnie smutno bywa, tego się nie wypieram, i gdyby mi kto pomógł do przygłuszenia nieznośnego moich szyderstw *charivari*, gdybym z czyjej łaski choć dzień jeden przeżyła harmonijną, bez dysonansów pieśnią! — oh! złota Urszulko, jakbym ja to kochała mego dobroczyńcę! Jeśli Samuel jest rzeczywistością...

W tem podedrzwiami lekkie stukanie słyszeć się dało. Augusta brwi zmarszczyła, uniosła się na jednym łokciu i z najwyższą niecierpliwością:

— Któż tam znowu?—krzyknęła.

— A to, proszę pani, kąpiel już dawno zrobiona i stygnie—odezwał się cieniutki, czysty, jak srebrnego dzwoneczka głosik.

— Szkaradna nudnica! — zawołała jeszcze z podobnem pierwszemu uniesieniem: lecz nagle niby coś sobie przypominając, Augusta wróciła się do Urszuli i trochę ciszej dodała:—Dobrze jednak, że przychodzi, zaraz ci Morysia w spódniczce i z długim warkoczem przedstawię. Panno Salomeo, prosimy! — zawołała znów podniesionym, lecz bardzo uprzejmym tonem.

Na to wezwanie uchyliła się wisząca przededrzwiami zasłona i do owej ciemno-zielonej rotundy, między białą jak łabędź Augustę, a pół-żałobną, nakształt jaskółki, Urszulę, wleciało trzecie stworzonko, młode, jaskrawe, trzpiotliwe, ubiorem i zwinnością zupełnie krasce naszych borów podobne. Według

naszkicowanego przez Augustę portretu, Salusia miała trochę zadarty nosek, czarne oczy, świeże i pełne usteczka, a płeć bodaj czy nie zanadto po cygańsku śniadą; wcale to jednak nie raziło w jej powierzchowności, i owszem, przy tej azyatyckiej cerze jeszcze wydatniej rozkwitały pełne czerstwości, żywe jak kwiat granatu rumieńce, a przy tych rumieńcach znowu lekko sinawe półkola pod oczami zakreślone zdawały się być dla podwyższenia blasku pryskających płomykami spojrzeń umyślnie i z wielką starannością przez jakiegoś znakomitego malarza odcieniowane. Po obu stronach tak bogatej kolorytem, nienagannej też i rysunkiem twarzy spadały dwie, niedość duże, jedwabisto-lśniące, lecz zato grube, gęste i prawie granatowo-czarne plecionki; zpod tych plecionek wysuwały się ogromne burgundzkie perły przy złotych kolczykach raznaraz od szybkich rzutów głowy drgające smugami mlecznej jasności, która niekiedy aż na szyję się osuwała. Szyja żółta, jak szafran, ale doskonałego toku, prześlicznych żmijkowatych ruchów i lazurowemi przebijająca żyłkami, objęta była tuż przy osadzie swojej bielutkiej śnieżkiem tiulowym; śnieżek tiulowy podtrzymywany był koralowym bajaderkiem; bajaderek koralowy rozwieszał swoje sute kutasy na wysoko zachodzącym staniku niebieskiej „mousseline-laine“ sukni stanik, po wydatnych kształtach gładko obciśnięty zwężał się i ścinał coraz mocniej, aż naostatek w przepasce bajecznej prawie dochodził szczupłości; przepaskę obejmował czarny mantylowy fartuszek, a kieszonkami fartuszka bawiły się dość pulchne rączki, w wązkich rękawach, tak jak szyja koralikami i tiulikami powyżej dłoni obwiedzione.

Wszystko to razem składało najwdzięczniejszy typ ładnej, wesołej i zalotnej pańskiego dworu pokojówki. Gdyby jej się można było uważniej przypatrzeć, toby z pierwszego rzutu oka najciekawszym dla fizyognomisty szczegółem okazało się niezawodnie jej czoło wysokie, pięknie wyrazistemi brwiami zakoń-

czone, a w śmiałych rozmiarach swoich dziwną sprzeczność z całą postawą drobnego dziewczęcia tworzące; zazwyczaj jednak niełatwo komu przyszło na myśl spokojną obok tej wcielonej niespokojności się zebrać. Każdy po pewnym czasie dopiero spostrzegał osobliwość tego rysu jej twarzy, nie każdy zaś i wtedy sprawę sobie zdać umiał: co ztąd za wnioski snować się godziło? czy hieroglif tajemny znaczył szlachetniejsze własnej wartości poczucie, czy wyższe umysłowe zdolności, czy tylko zuchwalszą na wszelkie zepsucie odwagę? Byli tacy, którzy utrzymywali, że i jedno, i drugie i trzecie można w nim było wyczytać, ale to pewnie skutkiem ciągłej zmienności wrażeń, skutkiem ciągłego gwaru, co prawie atmosferycznie rozśmieszonej Salusi wszędzie towarzyszył. W owej chwili na przykład, gdy weszła do cichego Augusty schronienia, wnet się zdało, jakby na jego tle poważnem różnobarwny kalejdoskop zamigotał, a w promieniach kominkowego ognia jakoby żywsza wibracya nastąpiła i niby hałas jakiś się zrobił.

— Czy dawno kąpiel gotowa? — spytała na rozpoczęcie rozmowy Augusta.

— Oh! już więcej niż z godzinę czekamy i nie możemy się doczekać — z lekkiem nadąsaniem odpowiedziała pewna łaskawych względów swej pani suberetka—a doprawdy myślałam, że już nic z tego nie będzie; ledwo mi żółć nie pękła. Pan Dyonizy wszystkich ludzi porozsyłał. Piotr, jak go pani zna, w niczem nigdy mi nie pomoże. Wysłałam Katarzynę, żeby choć stróża odszukała; Katarzyna do reszty oślepła, czy stróż się w ziemię zapadł, ani go znaleźć. Już, powiadam paniom, myślałam, że się rozchoruję.

— Patrz, Augusto, jak wielkiego nieszczęścia twoja wschodnia gościnność przyczyną stać się mogła — rzekła na to żartobliwie utyskującym głosem Urszula.

— Cóż nam uratowało nieocenione zdrowie szanownej panny Salomei? — zagadnęła wesoło Augusta.

— Uratował je pan Maurycy — z figlarnym

uśmiechem odpowiedziała zapytana — z jego rozkazu i Piotr się ruszył, i stróż się nalazł, i wody przywieziono i wszystko już jest gotowe.

— No, Urszulko, miejże spokojne sumienie; choć ta kąpiel, którą ci na wywczas po drodze ze wschodnią, jak mówisz, gościnnością ofiarowałam, tak wiele trudów pannę Salomeę kosztowała, wszystko szczęśliwie się zakończyło, skoro tylko pan Maurycy na ratunek przybył. Oj! ten pan Maurycy! wszak prawda, Salusiu, że on zawsze z każdego kłopotu cię wybawi?

Augusta, zwyczajem wielu pań dzisiejszych, nawet takich, co za najlepsze uchodzą, lubiła się drażnić ze śliczną swoją pokojówką, jak z młodem kocięciem, któremu razporazu kłębek splątanych nici przed nogi rzucamy, ażeby nas bawiło, to swojem splątaniem chwilowem, to swojemi zręcznemi podskokami. Zwolna kocię zaczyna coraz wyżej podskakiwać, a że ma ostre pazurki, nieraz dłoń zaczepiającą udrapnie: więc skarga na niewdzięczność, skarga bardzo niesłuszna. Między młodemi kobietami szczególniej, jakiekolwiek jest ich społeczne stanowisko, i od łachmanka do brabanckiej koronki, wszystko pod jednym względem prawu równości ulega. Jest królewskość, jest władza, jest potęga dla każdej z nich dostępna, jest dyamentowa korona, którą właśnie na pokornem czole ubogiej prędzej częstokroć, niż na skroniach najpyszniejszej dziedziczki promieniejącą widzieć można. Tą koroną bywa miłość zyskana. Wszystkie skarby w oczach kobiety o tyle jedynie mają wartości, o ile ku jej osiągnięciu służą. Chyba cicha modlitwa i cichej cnoty pełnienie za blaskiem takiej nawet ponęty nie tęskni; ale zresztą na co się zdadzą młodość, piękność, dowcip, talenta i stroje, jeśli za nie ów monarchiczny wieniec głowy nie ozdobi? Kochać, to szczęście. Być kochaną, to wielkość kobiety. Najwięcej ukochana, najwyższą i najjaśniejszą panią wśród ich grona. Czuje to każda z głębi swego serca, a mało jest takich, któreby, dostatniej od losu uposażone, wobec sióstr pokrzywdzonych ciągle pa-

miętały [*tak*]. Szczególniej też, wolne ślubów i złotego pierścionka, zdają się nie przeczuwać nawet, że ładne stworzenia, upinające troskliwie ich włosy, dociskające ich sznurowadeł, szykujące im zagraniczne mydełka i batysty śnieżyste, mogą wziąć górę nad niemi o całą wysokość zdobytego na swoje posługi serca, i Auguście nigdy podobne przypuszczenie do myśli nie przyszło. Kiedy czasem rozfantazyowana na temat Morysia, chciała koniecznie, żeby ktoś inny obok niej imię jego wymawiał, zaczepiała zwykle Salusię i żarcikami wywoływała z niej pełno półsłówek, szczegółów, napomknień, z których później dowolne wyobraźnią swoją układała desenie. Gdyby jej wtedy Urszula była powiedziała, że to gra niesumienna, że dla obu stron niebezpieczną bardzo stać się może, Augusta swoje wielkie, ciemne oczy byłaby otworzyła na nią i zapytała najpewniej: w jakim-to cudzoziemskim, niezrozumiałym przemawia do niej języku? Tymczasem podrażniona Salusia prędko podniosła rzuconą ku sobie szpileczkę i bez namysłu, na cały głos się chichocząc, odparła:

— Co prawda, to prawda, zawsze mię z kłopotu wybawi pan Maurycy, szczególniej kiedy idzie o przysługę dla mojej pani. Niech mi pani wierzy— bez śmiechu dalej mówiła—tu w całym domu nikt tak pilnie i szczerze nie dba o pani przyjemności, o spełnienie każdego pani rozkazu, jak ten poczciwy pan Maurycy. Czy pani myśli, że te upragnione przez panią białe kamelie rosłyby tutaj i kwitły tak bujnie, że na każde zawołanie miałaby pani bukiet z heliotropów i laku, gdyby się tylko przyszło na tego niedołęgę Józefa oglądać? Pewnieby się tak obszedł ze wszystkiemi, jak z ową chryzantyną starszej pani, co to ją przez noc jednę zwarzył, jakby na jarzynę do kuchni. Strasznie był zły, kiedy potem śmiałam się z niego, że lepiej umiałby gotować, niżli sadzić kwiaty. Pan Maurycy nie da mu się też prawie dotknąć tych, które pani więcej od innych lubi; wziął je pod swoję wyłączną opiekę, sam je podlewa,

obcina, stawia na słońcu, usuwa od zamarzłych okien. Teraz na przykład... — i nagle ucięła, palec do ust podniosła, a kiwając główką, jakby się sama wstydzić i upominać chciała. — Co też ze mnie za sroczka! — z udaną grozą wykrzyknęła po chwili — przyrzekłam sekret, a ledwie mi już z języka nie uciekł.

— Daj mu uciec, panno Salomeo — rzekła na to Augusta — drzwi szczelnie przymknięte, okno zabite gwoździami, złapiemy go napowrót i ludzie nic a nic wiedzieć o tym przypadku nie będą.

— A, jaka pani ciekawa! — poufale zaczęła się przekomarzać swawolna i o łasce Augusty niewątpiąca dziewczyna.—Pan Maurycy właśnie chce pani małą niespodziankę zrobić. Niech-no pani sobie przypomni, czego-to pani przed dwoma miesiącami tutaj, do tego pokoju, najwięcej sobie życzyła?

— Urszulko, czego ja sobie do tego pokoju przed dwoma miesiącami życzyłam? Może ty pamiętasz? Ja tak często, a zawsze czego innego sobie życzę! Pewnie pisałam wtedy do ciebie; czy nie życzyłam sobie jakiej gwiazdki z nieba, na miejsce tej rozety bronzowej, która mię już niezmiennością swego położenia, szczególniej w dnie słotne, okropnie nudzić zaczyna.

— Nie, nie, pani sobie czegoś z ziemi, nie z nieba życzyła.

— Z ziemi? czy nie góry Cimborrazo?

— Co to za jedna? nie słyszałam o niej — aleć góra nie zmieściłaby się tu pewnie.

— Jest to rzeczą dość prawdopodobną—a więc życzyłam sobie szkieletu mastodonta?

— Fe! szkieletu? — co za obrzydliwość!

— Więc dyamentu z korony Wielkiego Mogoła?

— Oh! na nieszczęście chyba to znowu zakosztowne.

— Więc może trochę daktyli i miarkę wody

z takiej oazy, w której dotychczas noga ludzka nigdy nie postała.

— A proszę pani, gdzie to ma być taka oaza?

— Tam, moja Salusiu. gdzie się lwy rodzą i gdzie promienie słońca takie są gorące, jak twoje żelazko przy prasowaniu.

— Oj! to gdzieś strasznie daleko! Przez litość, niechże pani o tem swojem zachceniu głośno nie wspomina, bo jakby się pan Maurycy dowiedział, pewnieby lotem ptaka wybrał się tam niebożątko.

— A Salusi żalby go było serdecznie?

— Żal, albo nie żal... Co tam o tem rozprawiać! Lepiej niech pani zgaduje swoję supryzę. tylko już bez żartów. naprawdę; gdyż ja sama wręcz nie powiem: uroczyście to panu Maurycemu przyrzekłam.

— Więc naprawdę, moja Salusiu, w tym pokoju i do tego pokoju dla siebie — nadewszystko, jak mi się zdaje—szczerze kochającego pragnęłam serca. dlatego też napisałam z prośbą do panny Urszuli i wskutek mego listu panna Urszula przybyć raczyła.

— Myślałby kto, że pani wistocie nie ma serc kochających koło siebie i dopiero przez listy sprowadzać je sobie musi! Wiem-ci ja z pewnością, że panna Urszula bardzo panią kocha. ale choćby się na mnie rozgniewać o to miała, muszę jednak powiedzieć, że tu są inni. którzy także panią szczerze kochają.

— Podobne uwiadomienie w żaden sposób rozgniewać mię nie może — z łagodnym uśmiechem nawiasowo wtrąciła Urszula.

— Ot, już resztę pomijając — ciągnęła dalej Salusia — czyż pan Maurycy nie jest do pani wiernie, jak piesek, przywiązany?

— Ta dziewczyna ma szkaradnie rozczarowujący sposób wyrażania się o niektórych rzeczach — przyciętym głosem niby to do Urszuli, niby do samej siebie odezwała się Augusta.

— Szkaradnie? co w tem jest szkaradnego? — z żywością podchwyciła najdobitniejsze dla siebie słowo obrażona Salusia i zaczęła się krzątać po poko-

ju, układać porozrzucane wezgłowia, przesuwać, dosuwać wszystko, co tylko z miejsca porozrzucane być mogło, zwyczajnie, jak nałagowo do uprzątania wdrożona pokojówka; krzątając się jednak, nie przestawała szczebiotać: — A ja znajduję, że to coś prześlicznego właśnie, taka potulność wiernej psiny; w oczy się patrzy człowiekowi, żeby myśl jego odgadnąć, na każde zawołanie przybiega, na każdy rozkaz do kąta swego wraca, łasi się, służy, o nagrodę nie pyta, krzywdy cierpliwie znosi. Oho! nie bardzo to zwyczajne między ludźmi na świecie! Panna Urszula nie jest do pani jak piesek przywiązana, bo niech tylko pani jej w czem ubliży, niech co nie według jej myśli zrobi, to zaraz się usunie i swoją drogą pójdzie. Pan Dyonizy nie jest tak do pani przywiązany, bo gdyby mu pani tylko jego wierzchowca na przejażdżce okulawiła, gotów choćby do sądu zapozwać. Pan Filip nie jest do pani jak piesek przywiązany, bo się o panią stara, chce jej ręki i posagu w przydatku. Wszyscy, którzy tu częściej od innych u pani bywają, nie są do pani jak pieski przywiązani, bo jedni mają takie same jak pan Filip nadzieje, drudzy szukają własnej przyjemności w otwartym domu i grzecznem towarzystwie. Nawet ja do pani jak piesek nie jestem przywiązana, bo gdyby mi źle było, natychmiastbym się o inne postarała miejsce. Wczoraj jeszcze mówiłam o tem z Marysią, która u pani prezesowej służy. Zaczęła mi się przechwalać, jak jej tam dobrze, jakie prezenta dostaje, ile ma młodszych do wyręki — a ja na wszystko razem odpowiedziałam jej tylko: „Twoja pani prezesowa brzydsza niż półtora nieszczęścia, moja pani piękniejsza niż słońce; twoję panią prezesową w Wisłę wrzucić, to jutro będzie można do rzeki z beczkami po ocet zajeżdżać: moję panią do zgangrenowanej rany przyłożyć, to się przed wieczorem zgoi. Gdybym od mojej pani raz coś podobnego usłyszała, jak ty od swojej siedm razy na tydzień słyszysz, pewniebym ani

kwadransa nie została w jej służbie—a jak mówiłam, takbym i zrobić gotowa.

— Miałabyś wielką słuszność — przerwała nakoniec rozweselona Augusta—bardzo mi się ten sposób myślenia podoba; kochaj mię i zaszczycaj swoją obecnością póty jedynie, póki na to zasługiwać nie przestanę. Teraz chciej mi powiedzieć, zkąd wnioskujesz, że względem mnie uczucia pana Maurycego w czemkolwiek od twoich się różnią?

— Pan Maurycy, żeby mu pani kołki na głowie ciosała, to on zawsze dla pani takim, jak jest, będzie.

— Nie możesz za to ręczyć, moja droga panno Salomeo, bo przecież ani jemu, ani też nikomu, o ile wiedzieć mogę, kołków na głowie nie ciosałam.

— Prawda, że go pani nie wybiła, nie wykrzyczała nigdy; ale czyż to nie gorzej daleko, że tu wszyscy państwo, jak jesteście, żartujecie sobie z tego biednego pana Maurycego: „A gdzie nasze dziedzictwo idzie? — a czemu dziedzictwo nie tańczy? — a z czego dziedzictwo się śmieje?“ — i tak ciągle, dzień po dniu, od rana do wieczora.

— Przynajmniej konceptów pana Dyonizego nie chciej kłaść na mój rachunek.

— No, pani jakoś częściej powie: „Morysiu,“ lecz cóż ztąd? „Morysiu, idź mi po to; Morysiu, przynieś mi tamto; Morysiu, zagraj; Morysiu, dobierz mi włóczki“...—zresztą nie wiem o łaskawszem słowie.

— A przecież mam je zawsze dla Morysia na ustach i myśli; możeby się tobie zbyt łaskawem nie zdawało, ale on powinien je właśnie za wielki dowód przyjaźni uważać z mej strony.

— Ciekawam bardzo, jakie też to jest słowo?

— Słówo dobrej rady.

Salusia okropnie wstrętną zrobiła minkę.

— Przeczuwałam — mówiła dalej, uśmiechając się, Augusta — nawet zapowiedziałam zgóry, że się to pannie Salomei podobać nie będzie, a jednak życzę jej najpierw, żeby w potrzebie zawsze takie sło-

wo znalazła, powtóre, żeby znalazłszy, nie lekceważyła go sobie.

— Oh! mój Boże, nie tak ci trudno o dobre rady między ludźmi; kogo zapytać, to bez namysłu ze swojemi występuje; ale co też pani na przykład panu Maurycemu radzi?

— Żeby do Włoch pojechał i sławnym malarzem został.

W oczach Salusi nagle fajerwerkowy młynek zaiskrzył a brwi jej drgnęły mocno, jakgdyby komar uciął ją w sam środek czoła. Nie zważała na to inną myślą roztargniona Augusta; lecz Urszula, która się ciągle z wielką lubością przypatrywała Salusi, dostrzegła owej przelotnej zmiany na jej twarzy. Była to szybka błyskawica jedynie, za chwilę znów oblicze wypogodniało, białe ząbki w uśmiechu zaświeciły, spojrzenie ledwo że trochę psotnej wesołości zachowało odblask; baczność Urszuli wszakże, raz niespodzianie zbudzona, już się w dalszym toku rozmowy z mimowolnej jakiejś nieufności otrząsnąć nie mogła.

— Do Włoch, do Włoch—powtórzyła tymczasem, równie żartobliwie jak pierwej, Salusia.—Więc to go pani tak daleko, aż het! za morze wyprawia?

— Nie lękaj się o jego bezpieczeństwo, Salusiu – odrzekła w podobnymże tonie Augusta.—Włochy jeszcze nie są za morzem, tylko za wysokiemi górami.

— Pan Maurycy i o morzu coś prawił.

— Pan Maurycy, jak widać, różne ci opowiada szczegóły, zwierza się ze swoich zamysłów, przedsiewzięć i nadziei.

Salusia nie odbiła tej przymówki, ale zręcznie, do pierwszej niby wracając myśli:

— Proszę pani — spytała — co też pani na tem zależy, żeby pan Maurycy gdzieś daleko we Włoszech malarzem zostawał?

— Bo we Włoszech są najpiękniejsze w świecie obrazy; jak się im przypatrzy, sam daleko poprawniej zaraz będzie pracował, nie na świstkach pa-

pieru do sztambuchów, ale na wałach płótna większych niż pół ściany w pokoiku panny Salomei.

— Pięknie to będzie, prawda; jednak potem?

— Co za „potem“ znowu?

— A juścić potem, kiedy już pani wszystkie ściany obrazami pozawiesza? — Augusta w głos się rozśmiała.

— A to zabawne stworzenie! czy słyszysz, Urszulko?—rzekła do zbierającej w milczeniu swoje spostrzeżenia.—Jej się zdaje, że ja Morysia za wieczystego najemnika chcę wziąć sobie i każę mu się malarstwa uczyć, aby mi obrazami salony przyozdabiał — coś jak w Ostapie Bondarczuku, zupełnie po-ukraińsku!...

— Więc jeśli pani o jego obrazy nie dba—znów odpornie wystąpiła Salusia — czemu go pani w taką daleką stronę za góry i przepaści wyprawia? Na co jemu po obcych krajach karki łamać, kiedy w swoim własnym może spokojnie sobie siedzieć i Panu Bogu dziękować, że mu przecież do śmierci tego co ma na kawałek chleba nie zabraknie?

— Ale też, moje dziecko—poważnym, jak z katedry tonem odezwała się Augusta—na zjednanie sobie między ludźmi powagi, tego co ma, ty sama widzisz, nie wystarczy mu jeszcze. Żeby Moryś uwolnił się od zarzutów Dyonizego, i od moich mimowolnych uchybień i od twojej nawet, Salusiu, litości, żeby nikt go „biednym panem Maurycym“ nie nazywał, trzeba koniecznie, by go „sławnym panem Maurycym“ nazwano; Bóg go znakomitym obdarzył talentem; niech tylko mojej rady posłucha, niech talent ów pilną pracą rozwinie i udoskonali, zobaczysz jak wszyscy dziełom rąk jego przyklasną, a ta, co go pokocha, jak chlubić się swoim wyborem będzie.

— Ciekawam, czyby też pani pokochała go wtedy?

Dopiero na te słowa Salusi zmiarkowała Augusta, że nieznacznie z pytającej na wypytywaną

srzeszła; upokorzyło ją to stanowisko i wnet odzyskując swoję salonową sztywność:

— Mam nadzieję, że takie przypuszczenie nigdy się w głowie pana Maurycego nie wylęgnie — rzekła obojętnym, aż trochę prawie pogardliwym głosem.

— Oj! pewnie, że się nie wylęgnie—przyświadczyła dowcipna pokojówka, udając, że nie zważa na zmianę humoru swej pani.—Panu Maurycemu prędzej na myślby przyszło, że przetakiem księżyca ze studni dostanie, jak to, że jemu w pani zakochać się wolno, a cóż dopiero, że pani w nimby zakochać się miała!

— Nadzwyczajnie mię cieszy takie świadectwo o jego rozsądku — z wybitniejszym jeszcze oschłości akcentem sylabę po sylabie rzuciła Augusta.

— A widzi pani!—tryumfująco zawołała Salusia.— Byłoż o co się gniewać na mnie, kiedy mówiłam pierwej, że on jak piesek do pani przywiązany? Pani sama od niego posłuszeństwa tylko wymaga — wszak prawda? Niech to zrobi — niech tam będzie; lecz wara jemu do serdeczniejszych uczuć!

— Bardzo się mylisz, bo ja nie posłuszeństwa, tylko szczęścia pana Maurycego pragnę, i nie dla przyjemności rozkazywania, ale z prawdziwej przyjaźni dla jego własnego dobra.

— Ej, mnie się tak jakoś nie zdaje; gdyby podróże, ona sława, on stan malarski był prawdziwem szczęściem i dobrem dla pana Maurycego — toć pan Maurycy nie dziecko, wziąłby się już oddawna sam przez się do tej pracy; ale jemu nie śniło się nawet. On sobie na cichego człowieka stworzony i kobiecie, co go pokocha, nie trzeba w nim ani chluby, ani znakomitości, ani talentów szukać; jakim jest, takim niech go weźmie, najlepszy da mu dowód prawdziwej miłości i najpewniej też z sobą w zgodzie wszystkie lata, co im do życia sądzone, przeżyją. Dajmy na to, że już się która panna kocha w panu Maurycym, nie wielką jej pani zrobi przysługę, jak go wyśle na koniec świata, a później sprowadzi innym zupełnie człowiekiem, rozrywanym po towarzystwach, nachodzo-

nym przez owych licznych przyjaciół, o których pani wspominała, zajętym swojemi obrazami, kiedy właśnie ona go polubiła dla siebie, nie dla świata, i chce czas jego sobie przywłaszczyć, a nie na tandetę puścić!

— Strasznie długobym ci musiała tłumaczyć, że się nikogo w ten sposób kochać nie godzi, ale wróćmy się lepiej do przygotowanej niespodzianki. Powiedz mi, Salusiu, czy to już nie będzie jaki obraz prześliczny?

— Nieszczęśliważ moja godzina, że się z tą niespodzianką wygadałam; jak pani zacznie Bóg wie co wyobrażać sobie, tak później tem, co dostanie, nawet się nie ucieszy, jestem pewna.

— Czy słyszysz, Urszulko? wcale trafne przypuszczenie! W tym razie jednak biorę na siebie, aby mu kłamstwo zadać wierutne. Przyrzekam ci wobec świadka, moja Salusiu, że się ucieszę dobrą chęcią pana Maurycego, choćby mi tylko stołeczek pod nogi ofiarował.

— A gdyby wyżej sięgnął—tak coś do okna?

— Do okna? wiem, wiem już teraz, pewnie bluszczu mi się wystarał.

— No, to przecież pani zgadła, choć ja nie powiedziałam; a gdyby pani wiedziała, jakie śliczne bluszcze! — bo to nie jeden, kilka ich tam z doniczek przesadził w taką długą, jak szerokość framugi skrzyneczkę, dodał im siatkę z cieniutkich pręcików, wzniósł na parę łokci wgórę, a później znów ku dołowi przegiął wolno spuszczające się gałązki — istna firanka liściowa!

— Ach! już widzę jak to pięknie będzie! Niech tylko Moryś przyniesie swój podarunek, pewnie że go z wdzięcznością przyjmę, nawet by ciebie, Salusiu, od podejrzeń uwolnić, klasnę w ręce i zadziwię się, jakgdybyś mi o niczem nie wspominała nigdy.

— Bo ja też nie wspomniałam o bluszczu ani słowa; przyszłam tylko przestrzedz, że kąpiel stygnie.

— Masz słuszność, idźmy prędzej—rzekła Augusta, szybko ze swojej miękkiej otomanki się podnosząc.

— Idźmy prędko!—powtórzyła Urszula i wszystkie jednocześnie prawie u drzwi osłoniętych się zbiegły; nim Salusia rozgarnęła przed paniami jedwabną portyerę, Augusta raz jeszcze w głąb rotundy się cofnęła, stanąwszy przy oknie, podumała chwilkę maleńką, uchyliła draperyi, przypatrzyła się miejscu, które skrzyneczka z bluszczem miała zajmować, i wreszcie nawpół cichym głosem sama do siebie szepnęła:

— Bluszczu mój! bluszczu kochany! będzie ci tu dobrze ze mną.

Salusia obejrzała się, chmurka jakaś jej wesołą twarzyczkę ocieniła — lecz nagle pędem strzały naprzód biedz zaczęła, a z drugiego pokoju dzwonkowaty jej głosik rozległ się już nutą naszej powszedniej piosenki:

Kocham Jasia, kocham Stasia,
Zazdrości mi tego Basia;
Lepiej czterech niż jednego,
Ja nie widzę nic w tem złego.

— Co myślisz o mojej pannie Salomei?—spytała wolniej trochę, odprowadzając gościa swego, Augusta.

— Ja myślę—odrzekła po chwili zastanowienia Urszula—ja myślę, że gdybyś się kochała w Morysiu, tobyś o nią zazdrosną była.

— Co tobie w głowie, Urszulko! — z niekłamanem podziwieniem wykrzyknęła Augusta—ja zazdrosna o Salusię! Ha! tak źle ze mną nie będzie.

Później zamyśliła się krótko, lecz głęboko, westchnęła i gdy już u progu łazienki stanęły:

— Zresztą niech jak chce będzie — rzekła na rozstanie—byle kochać.. *)

---

*) Na tem urywa się manuskrypt — po wyrazie „kochać“ jest jeszcze jeden nieczytelny, prawdopodobnie „przynajmniej.“ *(P. R.)*

KASIA I MARYNKA.

I.

Było to kiedyś, bardzo dawno... nie, nie bardzo dawno... a może, może wieki już od tego czasu minęły... no! dajmy pokój chronologii. Pamięć kobieca zwykle przeciw chronologii grzeszy, spytajcie wszystkich profesorów, co lekcye po pensyach dają, i wszystkich kawalerów żony szukających.

Było to kiedyś!

Siedziałam z książką w ręku, a czytane stronnice przywiodły mnie do wielkiéj z samą sobą dyskusyi: czy autorowi godzi się uzbierane własną pracą spostrzeżenia pomijać, lub sztucznie naginać, aby je koniecznie z pewnemi zasadami w jedności utrzymać, bo te zasady są ogółowi przydatne? Czy też odwrotnie, wolno mu ze spostrzeżeń nowe snuć prawa, kiedy te prawa szkodliwe się zdają? Ile cząstek kłamstwa jest w pierwszej metodzie, ile w drugiej niebezpieczeństwa? Zimno mi się zrobiło od tej wątpliwości, aż tu drzwi się otwierają, wchodzi moja kochana i poczciwa Maniusia. Witamy się, rozmawiamy o różnych rzeczach, nareszcie Maniusia uroczystą przybiera minkę i odzywa się do mnie:

— Poradź mi, moja droga Kasiu. Teraz, gdy mnie już, dzięki Bogu, ostatnia guwernantka opuściła i metrowie uczyć przestali, chciałabym sama osobiście rozpocząć własną edukacyą. Nie wiem tylko, jaki

punkt wyjścia obrać? Możeby jedną najulubieńszą zająć się nauką, to jest gałązkę jej przynajmniej wyłącznie, gruntownie i porządnie zbadać? a może raz jeszcze encyklopedyczny kurs odbyć na wyborowych dziełach? Jak sądzisz?

Sądziłyśmy to przez godzinę blizko, a nie rozsądziły jeszcze, gdy pan Antoni się ukazał. Wnet się rozmowa na ogólne bieżące wiadomości zwróciła. Pan Antoni zapamiętale gazety czytuje; dowiedziałam się od niego, że jednym państwom brakuje pieniędzy, a drugim oświaty, a trzecim stosownych instytucyj, a czwartym przeszłości, a piątym granic, a szóstym ludzi, i tak dalej i tak dalej, nakoniec odchodząc jeszcze, z westchnieniem szanowny gość powtórzył:

— Jak na to radzić? co radzić?

Po chwili wbiegła Marynia, także dobra i kochana moja. Pokazało się, że w wielkiej właśnie była niepewności, czy wziąć nauczyciela Niemca, czy Francuza do swoich dwóch chłopczyków? który język: francuski czy niemiecki, potrzebniejszym w dalszem życiu się okazuje?...

Po Maryni wsunęła się Marylka. Marylce wiele na tem zależało, aby się pewne spacerowe projekta powiodły; słyszała ona, że jakiś mój krewny kupował raz sobie jakieś kosztowne dzieło o astronomii; więc w prośby, żebym koniecznie dowiedziała się od niego, czy na sobotę będzie pogoda? Usprawiedliwiałam biednego człowieka i najznakomitszych astronomów, że się w takie wróżby nie wdają, lecz Marylka zrozumieć mnie nie mogła.

— Astronomowie przecież wiedzą, jak daleko jest słońce, przepowiadają zaćmienia, a czemużby wiedzieć nie mieli, co się w takiej blizkiej ziemi atmosferze stanie?

— Bo to zupełnie inna kwestya, inna nauka, moja Marylko—„meteorologia;“ trzeba ci wiedzieć, że bardzo pilnie teraz zbierają każdochwilowe prawie spostrzeżenia...

— A czemuż nie zebrali choćby takiej małej,

malutkiej pewności: czy za trzy dni, w sobotę, będzie pogoda?...

Zgorszyłam się ogromnie lekkomyślnem wymaganiem i chciałam już przełożyć Marylce, że się dowie. czego nie wiedzą inni. jeśli sama mniej po spacerach biegać, a więcej naukowo popracować zechce; ale przybycie pana Eustachego ocaliło szczęśliwą dziewczynę od tak groźnej rady.

Pan Eustachy w całej swojej okolicy jest szanowany, wyszydzany, wielbiony i nielubiony, jako tak zwany „postępowy gospodarz;“ gawędka zatem prędko się osunęła w roztrząsanie różnych agronomicznych kwestyj, zahaczyła o kwestyą ubytku i przybytku sił rodzajnych gruntu — czy istotnie można glebie naszej wynagrodzić to, co jej okopowe rośliny zabiorą? nie z roku na rok, ale z wieku na wiek?... O ile sobie przypominam, pan Eustachy nic stanowczego nie powiedział mi w tym względzie.

Zaledwie się oddalił, miejsce jego zajęła Marychna — śliczna to szatynka z ciemno-zielonemi, jak morska woda, oczami. Wielki miała kłopot, biedaczka; nazajutrz czekał ją świetny wieczór tańcujący, a ona jeszcze rozstrzygnąć nie mogła, w czem jej będzie więcej do twarzy: w ponsowem, w niebieskiem czy w żółtem?...

— W ponsowem będziesz królową balu, w niebieskiem będziesz aniołem, a jak żółty kolor włożysz, to się w tobie zakochają.

— Więc radzisz tę girlandkę aksamitnych laków ze złotemi liśćmi? Mnie się jednak granaty bardzo podobają...

— Wcale ci nie radzę, Marychno.

— Ja bo mam i powoje prześliczne, prawdziwie paryskie. Pan Stanisław dowodził wczoraj, że twarz kobieca tak potrzebuje błękitu w sąsiedztwie, jak ziemia potrzebuje nieba.

— Pan Stanisław jest wielki impertynent.

— Dlaczego impertynent?

— Dlaczego on impertynent? nie wiem, ale

wiem, że jeśli błękitny kolor ma być niebem, a twarz kobieca ziemią — czarną, zieloną czy piaskową, nie widzę w tem nic pochlebnego dla wszystkich kobiecych twarzy.

— No to cóż włożyć? czy laki, czy granaty?... czy powoje?...

Po Marychnie zawitała Mania—do stojącej przy progu jeszcze błagalnynym głosem już wołam:

— Ach! Maniu, zlituj się nademną, o nic mnie dzisiaj nie pytaj!

— Jakto?... czemu nie pytać?...

— Stało się! zapytałaś, okrutna!

— Oh! przepraszam, bardzo przepraszam; ale właśnie przyszłam tutaj, żeby się ostatecznie umówić, czy z nami tego lata na wieś pojedziesz?...

— Czy ja na wieś tego lata z wami pojadę?...

Wtem ukazuje się Maryanna.

— Proszę pani, co mam dziś przynieść do herbaty?

— Przynieś co chcesz, Maryanno.

— Rogalików już nie dostanie, sucharki w tych najbliższych cukierniach kwasem czuć, jak pani mówi, bułek wieczorowych nie dostawiono, ranne są, ale już się zeschły.

— Nic nie szkodzi.

Wreszcie zostałam sama; biorę książkę do ręki. ale nie tę, co ją pierwej czytałam: biorę wykład arytmetyki. Co za rozkosz! na ostatnich kartkach jest rozwiązanie wszystkich wciągu dzieła poprzytaczanych zagadnień. Gdyby tak się dało wszystkie zagadnienia życiowe!... Ot, znowu niepodobna, słychać silne wstrząśnienie dzwonka, trzeba wstać, drzwi otworzyć, to bryftreger list mi doręcza, list bardzo gruby, na adresie pismo Marynki.

Ha! przecież od czasu jej wyjazdu ciągle się niespokojnemi trapiłam zapytaniami: co porabia? jak się miewa? czy nie zupełnie jeszcze o mnie zapomniała? znajdę więc dzisiaj aby jednę na drodze swojej odpo-

wiedź! Śpiesznie rozdzieram kopertę, ćwiartkę za ćwiartką przebiegam oczyma... fatum! fatum! fatum!

List był następującej treści:

„Najdroższa moja Katarzyno
Aleksandryjska.“

Objaśnienie. Wcale ze chrztu nie jestem Katarzyną Alekandryjską, tylko właśnie Sienneńską. Ta ze Sienny, ta, co przez piętnaście lat nic prawie nie jadła, za patronkę daną mi była. Aleksandryjską Marynka mię przezywała czasem. Raz w pamiętnej dla mnie okoliczności słyszałam o Katarzynie Aleksandryjskiej przytoczone podanie, że w jednej ręce amforę z wodą, a w drugiej pochodnię gorejącą trzymając, modliła się pośród ludu, aby jej danem było zalać piekło amforą, spalić niebo pochodnią, by już potem wierni słudzy Chrystusa nie przez bojaźń męki, nie przez pragnienie wiekuistego szczęścia, tylko przez czystą miłość, dobre dla dobra pełnili, Boga dlatego, że jest Bogiem kochali. Powtórzyłam to kiedyś Marynce i nawet dodałam nieostrożnie, że wolałabym imieniny moje 25 listopada w dzeń tej świętej, uczonej entuzyastki-męczenniczki obchodzić; a Marynka zaraz mię „Katarzyną Aleksandryjską“ zamianowała i od tej pory na przekomarzanie się, na pieszczotę, szczególniej zaś na każdą dziwaczniejszą prośbę tem imieniem, jak czarownica złego ducha, mię zaklinała. Ledwo też pierwszy taki wykrzyknik spostrzegłam, natychmiast coś niebezpiecznego przeczułam, dalej był cały szereg znaków wykrzyknienia—dalej to było:

„Najdroższa moja Katarzyno Aleksandryjska! najsumienniejsza wspomożycielko, ratuj! Zbliża się stanowcze w moim losie przesilenie. Jeśli mi ręki nie podasz, utonę bezpowrotnie, a czy myślisz, że w waszej Wiśle bursztynowej, lub przynajmniej w skromnej Huczwi wodach? Gdyby!... oh! gdyby zwinną rybką po falach pląsać, albo giętkiem sitowiem przy zielonym brzegu szeptać wietrzykowi słowa tajemnicze... Ale to nie żarty i nie poezya na ten raz, szanowna Katarzyno, to proza i powaga życia, która przedemną

w osobie pana Filipa Cichockiego staje. Za kilka miesięcy—przebóg! za kilka tygodni może, twoja nieszczęśliwa Marynka kładzie najpierwej mirtowy wianek, później koronkowy czepeczek na głowę, a później przywięzuje sobie do szyi młyński kamień ciężkich obowiązków i. . ginie w Galicyi przestworzach.

Cicho. Duszę moję wysyłam na zwiady, żeby mi niemylnem przeczuciem objawiła, jakie wrażenie zrobił na tobie obraz mego niebezpieczeństwa. Dusza bardzo mi smutna z wycieczki powraca. Kasiu! niedobra Kasiu! ty się rozśmiałaś podobno? Niechaj mi teraz ludzie mówią o rozsądku, o wyższych pojęciach, o głębszych uczuciach choćby najlepszych na ziemi kobiet — wierzyć nie będę. Kiedy moja Katarzyna Aleksandryjska w tak ważnej dla mnie rozśmiała się chwili, wszystkie są puste, lekkomyślne, złośliwe! Gdybym przyszła i powiedziała: „Kasiu, warkocz sobie obetnę,“ zarazbyś smutną nastroiła minkę, zarazbyś mię pytała: a dlaczego? a czy nie można obejść się bez tego? a szkoda! a nie trzeba! i tym podobnych rzeczy nasłuchałabym się aż do znudzenia. Tymczasem ja ci donoszę, że lotne skrzydła mej duszy obetnę; wprawdzie nie takiemi wyrazami, ale takim co do gruntu sensem, bo mówię, że za mąż pójdę — i ty śmiechem witasz nowinkę! Przed Vehmgericht cię zapozywam! Jednę tylko pozorną wymówkę mieć możesz, to jest: że nie znasz pana Filipa. Dla szczerej, cnotliwej, idealnej przyjaciółki byłaby w tem przyczyna właśnie do większej niespokojności, ale u córki XIX wieku, byle wzmianka o małżeństwie, to już śmiech gotowy, już wesołość na wierzchu. Sądzićby ztąd wypadało, że małżeństwo jest bardzo ucieszną krotochwilą, lub że dobrzy mężowie, gdzie ich nie posiał, to się rodzą; a przecież wspomnij tylko, o ilu mężach niewiernych słyszałaś, o ilu despotach, kapryśnikach, marnotrawcach, skąpcach, zrzędach; a wiem, że i tacy, którzy swoje żony biją, nie wszyscy w kapotach chodzą... doszły mię różne o hrabiowskich i niehrabiowskich

koronach lub mitrach posłuchy. Katarzyno! Katarzyno! czemu się śmiejesz ze mnie?

Istna tatarska napaść! gotowaś pomyśleć sobie, jeśli mię przeczucie omyliło i jeśli się nie rozśmiałaś na groźną mego losu alternatywę. Lecz jam temu nie winna. Ile znam kobiet, wszystkieby tak postąpiły sobie, może nawet sama takbym względem wszystkich postąpiła. Jakiś autor francuski dawno przecież już się zastanawiał: *pourquoi ne peut on parler de mariage à une femme sans la faire rire, quelqu'âge qu'elle ait, quelque raisonnable qu'elle soit?...* Dlatego z tobą od kłótni zaczęłam. Niesłusznie? Przebacz więc i pozwól, niech ci pana Filipa przedstawię.

Pan Filip jest bardzo majętny obywatel galicyjski, zdaje mi się że hrabia, bo wszyscy bogaci obywatele galicyjscy są trochę mniej, lub trochę więcej hrabiami; „dają mu“ przeszło milion, więc „ma“ zapewne z kilkakroć sto sysięcy; jest co się zowie majętny i to stanowi pierwszy przymiot charakteru, jego wartości osobistej. Mówię najpierwszy, nie przez porównanie, żebym następnym przymiotom ubliżać chciała, ale pierwszy z regestru, pierwszy, o którym zawsze wychwalający pana Filipa wspominają. Na drugą zaletę pan Filip po kądzieli ma kogoś od Granowskich w rodzie. Na trzecią pan Filip jest bardzo przystojny mężczyzna. Istotnie, w swoim trzydziestym szóstym roku, wyraz twarzy ma tak młody... gdybyś mnie po palcach nie trzepnęła, tobym powiedziała, tak niewinny nawet, jak go już nie miewają szesnastoletni, w domu pod dozorem trzech guwernerów wychowywani panicze. Jak on żył? nie wiem. Ile miał kochanek? nie wiem, i zapewne nikt mi tego nie powie, ale mogę być spokojną, bo dusza jego w równej z moją pod tym względem została bezświadomości. Wszystkie usterki i czyny pana Filipa przepłynęły tylko obok niego; żadna namiętność, ani boleść, ani sympatya, ani odraza, ani żadna z rzeczy, które prawdziwie człowieka są, nie wyszły na jaw z jego osobistości, nie wsiąknęły do jej głębi. Pan Filip ma nie czarne włosy, nie niebie-

skie oczy, nie rzymski nos, nie grube usta, nie sterczącą brodę, znaków szczególnych żadnych. Ach! niestety, nie ma znaków szczególnych! Jak mi w tłumie zamiesza się kiedy, to go już chyba nie znajdę, tak jak dzisiaj znowu razporaz biorę kogoś za niego i myślę, że to on wchodzi. Od czasu, gdy zmiarkowałam, na co się zanosi, zdarzyło mi się już bardzo nie w porę lekkim rumieńcem pokraśnieć przy niespodzianem drzwi uchyleniu. Jeden z rządców mego wuja zupełnie jest tego samego wzrostu i koloru; gdy wszedł kiedyś, jakem samnasam z wujem siedziała, zdawało mi się, że to pan Filip na uroczyste oświadczyny przychodzi; czułam, że mi się trochę niespokojnie w dołku piersiowym robić zaczyna; wstałam z krzesła i chciałam odejść. Wuj mię za rękę przytrzymał:

— Zostań, moje dziecko; niezadługo się tu z panem Kobielskim rozmówimy.

— A mnie się zdawało, że to pan Filip!—wyrwałam się z nieoględną naiwnością.

— Dziwna rzecz, czemu ty wszędzie i zawsze pana Filipa tylko widzisz? — odpowiedział mi na to wujaszek z głośnym śmiechem, a złośliwem oka mrugnięciem. Wujaszek wziął pomyłkę moję za dowód romansowej przychylności, inni także mię posądzają... o psychologio!

— Co ja mam robić, nieszczęśliwa? jestem w ciągłym kłopocie; nie uwierzysz, moja droga, ilu jest ludzi do starającego się o moję rękę podobnych. Gdzie się obrócę i spojrzę, to niby bracia rodzeni, trochę starsi, trochę młodsi, wyżsi, niżsi, lecz pod przysięgą tego herbu przynajmniej. Gdyby pan Filip nie nosił przy zegarku ślicznej roboty weneckiego łańcuszka z dużym turkusem we środku, doprawdy, częstobym nie wiedziała: jest li to on, jest li to nie on? Szczęściem, że łańcuszek dobrze pamiętam i że pan Filip łańcuszka nie zmienia. Przy zapiętem odzieniu zimą, na ulicy szczególniej, trudniejsza będzie sprawa. Futra i czapki męzkie ujednostajniły się teraz, paltoty wszystkie bez charakteru, co to będzie jeźli...

przypuśćmy, wracamy do Warszawy po ostatnie przedślubne sprawunki. Każde z nas swoim dworem sklepy obiega, aż przedemną na trotuarze zjawia się młody jegomość—to pan Filip, mój narzeczony, lecz go nie poznaję. Wchodzę, dajmy na to, do najmodniejszego składu towarów na Senatorskiej ulicy, on wchodzi za mną, kłania się, ja się kłaniam, potem przeglądam różne materye, koronki, chustki do nosa; kupczyki się kręcą, krzyżują, przechodzą w tę i w owę stronę, mnie o coś nowego poprosić wypada, nie widzę nikogo przed sobą, obracam się trochę poza siebie, wprost do pana Filipa, patrzę najspokojniej w jego jeszcze spokojniejsze oczy, nakoniec odzywam się ze zwyczajną dam kupujących uprzyjmością:

— Czy pan ma prawdziwe paryskie rękawiczki?

No, wyobraź sobie tylko zajście takie między mną, a panem Filipem! jest wprawdze lekki cień możliwości, że pan Filip nie zmieszałby się tem wcale. Zapytanie moje wydałoby mu się rzeczą nader pospolitą i przyzwoitą, właśnie taką, na jaką zawsze jest przygotowany; możeby więc rękę wyciągnął, pokazał mi ją z wierzchu i na dłoni, a wreszcie grzecznie odpowiedział:

— Tak, pani, prawdziwie paryskie.

Lecz gdybym spytała o co innego—wszakże zdarzyć się może — „Czy pan ma flanelę?“ na przykład. Pan Filip gorszy się taką ciekawością, potem zaczyna sobie zdawać sprawę z mojej omyłki, czuje się niegodziwie upokorzonym przez kobietę, której sam w niczem nie ubliżył, którą wybrał na dozgonną życia towarzyszkę—on, blizko milionowy obywatel, on, za kupczyka wzięty, więc go Pan Bóg podobnym do kupczyka stworzył? Jakież to przypuszczenie groźnych tajemnic pełne...

Łaskawa Katarzyno, jeśli nie przywykłaś do tych moich... jak powiedzieć?... różnokolorowych wniosków, albo, wyrażając się dyplomatycznie, ewentualnych postulatów, jeśli się na nich nie znasz doskonale, sama sobie winną jesteś, bo ja ci ich nie szczędzi-

łam nigdy. To są przecież moje cacka ulubione i dowody mojej roztropności. Czytajże dalej cierpliwie. Druga ewentualność. Spotykam pana Filipa w licznie zebranem towarzystwie, nie patrzę na łańcuszki od zegarków, nie myślę o turkusie, zapominam że jest pan Filip na świecie. Panna Florentyna rozmawia ze mną wesoło, pan Tertulian dowcipkuje, aż tu nagle z wchodowego pokoju wysuwa się postać czyja—czyja? nie mogę rozróżnić, dopiero gdy przy mnie staje, słyszę zwykłe wyrażenie.

— Witamy panią.

Muszę ci tu mimochodem jednego spostrzeżenia udzielić. Pan Filip monarszym obyczajem najczęściej używa zaimka: my. „Przyjechaliśmy szczęśliwie, odjedziemy trochę wcześniej, prosimy, dziękujemy i t. p.“ Zrazu dojść nie mogłam, czy to robi przez wielką pańskość, która się czuje na siłach innym swoje zdanie narzucić, czy przez skromność nieśmiałą, która potrzebuje powagą cudzej opinii się zasłonić? Doszłam wreszcie, że przez bardzo sumienną rzetelność jedynie. Jemu zawsze w liczbie mnogiej mówić się godzi, bo zawsze mnoga liczba toż samo w tejże samej chwili na jego miejscuby powiedziała.

Otóż tedy pan Filip zjawia się niespodzianie i pozdrawia mię swojem „witamy panią;“ czasem gdy jest bardziej wzruszony, słyszałam raz na własne uszy, do mnie powiedział: „Witamy panią nakoniec!“ Niechże i wówczas tak się odezwie, niech ja bez żadnego przygotowania spostrzegę wenecki łańcuszek, duży turkus i pana Filipa. Naturalnie jak piorun ta myśl mię uderzy. Oto mąż twój nieochybny, człowiek, który samnasam w karecie z tobą o pięćdziesiąt mil ztąd pojedzie, da ci swoje nazwisko i razem z tobą w jednym domu się zestarzeje!... Łatwo pojmiesz, jak mię to zmiesza, zaczerwienię się, potem ze strachu krew do serca zbiegnie, nie znajdę potrzebnego słowa na odpowiedź, wielkie szczęście będzie, jeśli się nie rozpłaczę, albo nie zemdleję. Pan Filip wyrozumuje z tego, że go kocham; wszyscy przytomni, wcale nie bieglejsi od

wujaszka psychologowie, zaczną szeptać, że go kocham; mama, ciocie i kuzynki aż się zdziwią, że go tak bardzo kocham, i ślub przyśpieszą. Nie mam żadnej obrony, żadnego usprawiedliwienia, pisnąć nawet nie śmiem, że zaczerwieniłam się, zbladłam i oniemiałam z przestrachu. Pan Filip czuje się w obowiązku być wdzięcznym za miłość moję, jakkolwiek nieproszony do posagu przydatek, i staje się nadskakującym mężem. Chodzi na palcach, gdy się zdrzemnę, przysuwa fotel, podnosi upuszczone chustki i kłębki, a ten delikatny sposób postępowania narzuca mi niewłaściwą „zakochanej, szczęśliwej żony" rolę. Choćby on się utrudził prędzej czy później i przestał na palcach chodzić, ja się dla niego zmienić nie mogę. Pod grozą ogólnej klątwy ani się skrzywić, ani rozgniewać, ani ziewnąć kiedy chcę nie jest mi wolno, bo wszakże z miłości poszłam za mąż; gdyby dostrzeżono jej braku, toby mi z wszelką pozorną słusznością zarzucono dziwactwo, kaprysy, bodaj czy nie co gorszego nawet. Istotnie, kobieta gdy raz ukocha, musi kochać zawsze, choćby inny przedmiot. Więc wyobraź sobie tylko, moja szczera, moja swobodna Katarzyno z mistycznej Aleksandryi, taką biedną istotę, co jak sadzawka ogrodowa spokojną jest do dna duszy, ni gorzko-słona, ni bromowa, bez smaku, bez koloru, obojętności doskonałej. Zdarzyło jej się pewną niekonsekwencyą oplątać i musi być koniecznie do kochających kobiet podobną.

Otóż słuchaj, a raczej czytaj uważnie to, co ci teraz napiszę, moja Kasiu, bo w innym kałamarzu pióro umaczałam. Jestem bardzo poważna, że aż smutna prawie. Co to jest kochająca kobieta? Nie wiem; dotychczas byłam tylko jedną z ludzkich istot, kochałam pierwotnemi ludzkiemi skłonnościami: rodziców, krewnych, towarzyszki sympatyczniejsze, ciebie serdecznie, ale zawsze kochałam jako człowiek człowieka. Wyobrażam sobie, że ta miłość kobiety, co się u zenitu życia rozwija, musi być przecież dodatkiem jakimś, nie ujemnością wszelkich innych miłości. Kocha się człowieka więcej tego jednego mężczyznę — i dlatego

jednego jest się z natchnienia bardzo dobrą żoną. Brak miłości w tak blizkich stosunkach albo się musi w lekceważenie obowiązków przerodzić, albo też pamięciowo mechanicznem ich wykonywaniem uzupełnić. Na lekceważenie (badź spokojna) nigdy sobie nie pozwolę; pamięciowy mechanizm nie bardzo mi się zdaje przyjemnym, wolałabym, żeby ukochanie ku pomocy w duszę spłynęło; jednak podjęłabym się resztę życia wydać jak lekcyą z napisanej nie przezemnie książki, podjęłabym się do regestru wszystkich obowiązków zastosować, tylko nie mogę się podjąć tego, bym o zakochanie się w panu Filipie podejrzywaną była. A dlaczego nie mogę? to ci zaraz wytłumaczę. Oto dlatego, że może pójdę za niego; jedyną zaś możliwością znośnej, przyzwoitej karyery rodzinnej przy naszem wspólnem usposobieniu, jest małżeństwo autentycznie bez miłości zawarte. Żonie, która z wiedzą i niejako pozwoleniem wszystkich swoich znajomych nie kocha męża, tyle błędów odpuszczają dlatego, że nie kocha —tyle prawie, ile ich Magdalenie, dlatego, że kochała, odpuszczono. Pewnie ci to nieco paradoksalnie wygląda? Ty mię zawsze na paradoksach pochwytywać lubiłaś, jednak tą razą nie pochwycisz. Co napisałam, nie jest sumą logicznego rozumowania: jest poprostu spostrzeżeniem arcynielogicznego faktu. Od złych ludzi, od żon niekochających świat niczego nie wymaga, owszem, ma pełno dla nich uwzględnień i uniewinnień; a kiedy się zdarzy jeszcze, że powszednich swoich kodeksowych powinności dopełnią, że możliwego zła nie zrobią, to już mają hymny pochwalne i oklaski całego kolizeum. Słyszałam przecież obywatelki nieskalanej cnoty i obywateli bez zarzutu (jeden z nich był sędzią pokoju, drugi radzcą Towarzystwa kredytowego), słyszałam, jak się unosili nad pewną panią pod przymusem za mąż wydaną, jak heroizm z poświęceniem, cnotę z wysoką pobożnością w jeden wieniec dla niej pletli, bo ta pani narzuconego sobie i niecierpianego męża w gwałtownej chorobie bardzo troskliwie doglądała; podniesiono nawet ten szczegół, że mu własną ręką

mierzyła laudanum. Ale od dobrych, od miłujących, to wnet każdy skarbów Ali Baby żąda. Jest pewna, że tak powiem, przeciw nim zawziętość. Polują na ich grzechy z większą pilnością, niż na słomki pod wieczór ciągnące. Gdzie grzechów niema, kłamstwo podsuną; gdzie szlachetności objaw najwyraźniejszy, nieufnością zaprzeczą, posądzeniem jak sadzami zakopcą, komentarzami jak miną prochową w górę wysadzą i rozbiją. Toć często ani dobroć, ani miłość sama nawet tych żywiołów rozkładowych przetrzymać nie jest wstanie. Cóż dopiero zemnąby się działo, zemną, wcale niedobrem półdiablątkiem, zemną bezmiłosną, a niechęć i zazdrość jak rozkochana wzbudzającą? Pomyśleć, że nawał takich nieszczęść spaść na mnie może dlatego jedynie, że zbyt późno spostrzegłam wenecki łańcuszek... Gdybym o kilka kroków między przystojnymi młodymi ludźmi przystojnego pana Filipa odróżniła, miałabym czas sama w sobie się przygotować, w stronę pani Ewy spojrzeć i przypomnieć sobie, że ta zacna matrona z Adamem swoim, nader do pana Filipa podobnym, także się razem zestarzała i bardzo czerstwo, a w towarzystwie bardzo uczciwie wygląda. Jest jej podobnych więcej, oh! ręczę, że więcej niż widzialnych gwiazd na niebie. Zastanowiłabym się nad temi zwykłościami, skoroby więc pan Filip zbliżył się do mnie i pozdrowił: — Witamy panią nakoniec — miałabym głos pewny i twarz jak w obrazie olejnym niezmienną, odpowiadając mu:

— Nakoniec pana witamy.

Toż dlaczego nie dodać śmiało: „I żegnamy na wieki wieków.“ Tybyś może tak powiedziała, ale Marynka!.. Słuchaj dalej, Aleksandryo, nie wyliczyłam jeszcze wszystkich pana Filipa przymiotów. Czwartym zkolei, jeśli się nie mylę, jest rozsądek. Majętny, pięknego urodzenia, przystojny, rozsądny, tak, tak, po *przystojny* zawsze idzie *rozsądny*, czasem tylko ktoś zamiast „rozsądny“ powié „wykształcony,“ albo hurtownie *taki porządny człowiek*! z głębokiego szacunku akcentem wykrzyknie. Muszę przyznać, że pan Filip

ma prawo do tych wszystkich przymiotników. Rozsądny, bo nigdy niczem sobie nie zaszkodził, nigdy w cienkich butach na błoto nie wybiegł, z nieostrożności kataru nie dostał, długów nie narobił, z baletniczką się nie ożenił. Wykształcony, bo takim, jak jest, pewnie się nie urodził, ani się nie stawał od środka, z ducha, lecz od wierzchu, z kształtu. W jednem miejscu się przyciągnął, w drugiem dosztukował, tu zeskrobał, a tam okleił według wszelkich wymagań towarzyskich i wszelkich wzorów salonowo-geometrycznego rysunku. Mówi dość płynnie po francusku, po niemiecku, po angielsku i po włosku, a chociaż od przetłumaczenia tego co mówi na polskie księgarze i słuchacze niewieleby zapłacili, jednak to miła być musi w głowie rozmaitość, kiedy kto sobie jedno zdanie pięciorako powtórzyć umie, za każdą razą innemi sylabami. Wnioskuję, że taki człowiek ma prawo pięć razy mniej własnych myśli produkować. Prócz tego pan Filip gra trochę na fortepianie, *notabene* trochę, nie znaczy to źle lub miernie, tylko znaczy, że nie grywa ani często, ani długo, śpiewa także trochę, tańczy także trochę, pija także trochę, jada w samę miarę czytuje znów trochę tylko, a pisuje mało. Nareszcie pan Filip jest porządny człowiek. Jest, trzeba mu oddać tę sprawiedliwość, i niedlatego tylko, że ma zawsze śnieżnej białości kołnierzyki, umyte ręce, że po obiedzie usta płucze, ale we wznioślejszem tego wyrazu znaczeniu dlatego, że się dobrze rządzi. Jak ci wspomniałam, nie ma długów; choć to dziś rzadką zaletą, niemniej wszelako ujemną zaletą dopiero. Pan Filip dodatnio się społeczeństwu zasługuje! Pan Filip robi majątek, zna doskonale stan swoich interesów, podobno nigdy nikogo nie skrzywdził, a z pewnością nigdy nikomu skrzywdzić się nie dał. Gdzie zysk, gdzie strata, bystrem okiem rozezna, choćby szło o wydatek i gotowe na stole pieniądze. Przyznaj sama, że niewielu znasz takich, co potrafią stratę z wydatkiem, gotówkę wziętą z zyskiem rozróżnić. „To prawdziwy Ludwik Filip!“ woła czasem wujaszek mój,

wierniejszy od samego Thiersa i Guizota w uwielbieniu swojem dla administracyjnych talentów Orleańskiego rodu. Słowem: taki porządny człowiek!... Taki porządny, Kasiu najukochańsza, że nic mu zarzucić nie mogę, nic nie mam przeciw niemu, tylko nic także nie mam za nim. Wysilam władze fantazyi, aby mu dopożyczyć różnych cnót, wdzięków i umysłowych przymiotów — daremna praca! Żadnego typu niepodobna osadzić na tej właśnie beztypowej osobistości. Niechbym przynajmniej jakiekolwiek proste, pierwotne według syntaksy zdanie utworzyć o nim mogła... cóż kiedy przysądnych brakuje wyrazów *), powiem „jest“ i myśl zawieszam. Daj mu gwałtowność, popędliwość, zawziętość, wszak nie domagam się ideałów; daj, a wdzięczną będę za podarunek. Przy gwałtowności mam już o co przyszłość całą zaczepić. Wyobrażam sabie chwile, w których drżę przed jego niepohamowanym gniewem, w których on cofa się przed moim wzrokiem spokojnym, albo przed łzą moją cichą, i niby lew zmocowany u nóg mi grzywą wstrząsając, przylega. „Lew i czarnoksiężnica!“ Ileż to ślicznych z tego tytułu dałoby się wysnuć powieści? a jakie życie pełne wzruszeń, walk, zwycięztw, choćby przegrać ostatnią walkę, choćby kiedyś ostre pazury w zapędzie wściekłości serce nagle rozdarły, to co? Śmierć nie jest-że piękniejsza, gdy nas lew rozszarpie, niż gdy swojskiego dżygiteja kopyto potrąci? Niestety, pan Filip nic a nic lwiego nie ma w swojem usposobieniu, nawet pod względem nowomodnym biorąc, nie jest znowu tak wybitnie na ciemieniu zaklęsły, jak lwy salonowe. Więc może jest barankiem.... cichym, łagodnym. potrzebującym opieki i miłości? Oh! dobrze! wzięłabym go na ręce, przytuliła do serca, niosłabym przez świat chropawy i cieszyłabym się radością niewymowną, że jest aby też jedno, jedyne stworzenie,

---

*) t. j. orzeczeń.

które się obejść bezemnie nie może... lecz p. Filip jak trzydzieści pięć lat i kilka miesięcy bezemnie się obywał, tak może drugie tyle obywać i pewnie nawet, jeśli mu odmówię, nie zabeczy po mojem na tamten świat odejściu.

Odmówić jednak, odmówić tak stosownego ze wszystkich stron konkurenta... Katarzyno Aleksandryjska, to mnie chyba świat ukamienuje! Młodzież kilku prowincyj sprzysięże się, bym starą panną została. Urągasz temu przypuszczeniu! ja mam smutne na oczach przykłady. Córka zamożnego obywatela odmówiła swej ręki młodemu człowiekowi, który jej się nie spodobał. Młody człowiek celnie strzelał, tęgo bił, głośno, aż echo plaskało, całował się z kolegami i był ich ulubieńcem serdecznym. Koledzy wszyscy dowiedziawszy się o *afroncie* swej perły uryańskiej, złożyli między sobą vehmgericht, nietajemny wprawdzie, ale równie groźny jak w podziemiach westfalskiego zamku, i uchwalili, że jedni po drugich na pojedynek wyzywać będą każdego, coby się o pannę **** starać poważył. Z chwalebną wytrwałością dopilnowali później spełnienia dekretu. Niejeden z nich o długach swoich zapomniał, niejeden kontraktowe zobowiązanie lekkomyślnie rozerwał, niejeden własnego wekslu zaprzeczył, lub w trybunale fałszywie się odprzysiągł; zawodzili przez długie lata wierzycieli, kupców, wspólników, matki, żony, siostry, kochanki, zawodzili współziomków swoich; lecz żaden, w tej przynajmniej sprawie, danego słowa honoru nie złamał. Próżno rodzice z córką do Warszawy pojechali, próżno ją po wszystkich wodach krajowych i zagranicznych obwozili: powiatowy karbonaryzm wszędzie ich dosięgnął. Panna **** piękna, dość majętna, rozumna i dobra (według ogólnego kobiet świadectwa), dziś rutkę sieje za to, że dawniej. gdy młodą była, w pewnym panu **** pokochać się nie mogła. Jeden z moich braci ciotecznych, do spisku należący, usprawiedliwiał mi poczęści to bractwo mściwych rycerzy, przytaczając mnóstwo szczegółów na dowiedzenie, że panna była

dumną, hardą, kapryśną... prawdopodobnie była, jest nią dziś jeszcze; lecz ja się przekonałam, że w całej warstwie ówczesnej młodzieży nie było ani pół, ani ćwiarteczki dumnego, hardego i kapryśnego serca, któreby pojęło, że tem słodsza, im niedostępniejsza miłość, tem więcej moje, to co niczyje być nie chce, tem konieczniejsze to, co trudne, do osiągnięcia. Zdobyć siłą uczucia, upodobać sobie odważną wyobraźnią, a męzkiej woli potęgą opanować nadpowietrzną Willidę, lub Rusałkę z dnieprowej toni, lub Turandolę księżniczkę okrągłą, upodobać sobie i przykuć namiętnym uściskiem do łona... jakież to marne trudy dla obywatelskich synów, mających tak wielkie i tak ważne inne zatrudnienia! Trzeba właśnie było skarać objaw niepodległego, wybrednego gustu w niewieście. Tak, tak, Katarzyno Aleksandryjska! może za twoich czasów kobietom ucywilizowanego świata wzbroniono tylko prawa inicyatywy w sercowym wyborze, nie było im wolno starać się o swoich przyszłych mężów; dzisiaj, nie wiem, czyby się bardzo ci panowie zgorszyli oświadczeniem, ale widzę, że bardzo się gorszą odmową, zwłaszcza, gdy odmowa spadnie czasem na którego z tak zwanych „porządnych ludzi.“ Niema potem bezpieczeństwa dla odmawiającej. Nadzieja spokojnej przyszłości dla mnie w temby jedynie leżała, że pan Filip zbyt wielu przyjaciół nie liczy. Jakkolwiek wszakże od przyjaciół zaasekurowana, to jeszcze przed wielkim kompletem rodziny, począwszy od najstarszego w pokoleniu wujaszka orleanisty, skończywszy na najmłodszym siostrzeńcu ciotecznym, który ma do szkół pójść w tym roku, niema dla mnie uniewinniającej wymówki. Z jakiego-bo powodu odmawiać? jaką przyczynę naznaczyć? Przyczyny! przyczyny! powodu! powodu! moje królestwo za powód! moje serce za przyczynę!

W dwóch tylko wypadkach mogłabym stanowczo się odezwać i mężnie z wolą rodziny, z opinią świata vel powiatu zetrzeć, gdybym wyraźny wstręt do pana Filipa czuła, lub gdybym kogo innego kochała. Tak

nie jest, na nieszczęście! Pan Filip żadnego mi wstrętu nie sprawia. Wolałabym, żeby się z kim innym ożenił, a nie zemną, lub też sumienniej i subtelniej cieniując wyrażenie, wolałabym, aby żeniąc się ze mną, był innym, nie takim, jak jest w gruncie duszy. Nic on mnie nie obchodzi jednak; czy go widzę, czy go nie widzę, czy koło mnie siada, czy daleko staje, mówi czy milczy: zawsze to dla mnie zupełnie wszystko jedno. Opowiem ci wypadek z pierwszych tygodni naszego zapoznania. Wujaszek orleanista, w Hrubieszowskiem bardzo piękne posiadający dobra, zaprosił nas do siebie z całym, jak to mówią, domem i na całe lato... „Wujaszek swatem“ czy znasz komedyą pod tym tytułem? Może nie była drukowana, ale że ją często odgrywają, to wiem z pewnością. Wkrótce po naszem przybyciu zjawił się od galicyjskiej strony pan Filip Cichowski. Miałam prawo nie domyślać się żadnych zamiarów i pana Filipa pomieszać z mnóstwem innych osobistości, które mi się przed oczami wtedy przesuwały, wśród dość częstych zjazdów sąsiedzkich. Pan Filip wszelako nie przesunął się, tylko utknął na miejscu; zdaje mi się, że dwa czy trzy tygodnie trwała jego wizyta, bo nie pamiętam kiedy przyjechał i nie pamiętałabym kiedy odjechał, gdyby mię wówczas nie uderzono tą groźną przestrogą, tą zapowiedzią fatalną, że pan Filip „prosił o pozwolenie bywania w naszym domu.“

Prosić o pozwolenie bywania, to już drugi stopień małżeńskich układów; są gradusy do piekła, są gradusy w wolnomularstwie, są gradusy i w konkurencyi, ma się rozumieć dla znakomitszych osób. Niższe światy jeszcze się w tak roztropne formy nie ułożyły. W niższych światach dziewczęta i chłopcy spotykają się z sobą, jak gdyby żadna za żadnego pójść nie miała, rozmawiają ze sobą swobodnie, bez domysłów wszelkich, patrzą na siebie spokojnym wzrokiem, żeby się sobie przypatrzeć, stosunek zachowują najprostszy człowieka do człowieka. Gdy zaś komu ponad głową niebo się roztworzy i kochać musi, bo kocha, to już

jego własny wolny wybór, albo przeznaczenie. Teraz trzeba ci wiedzieć, że wolny wybór i przeznaczenie albo się nie zgadzają z interesami blizko otaczających osób, co bywa najczęściej, albo też nie mogą złączonej parze bezchmurnego szczęścia zapewnić, co się także zdarza niekiedy; więc krytyka pierworzutnej *sponte sua*, jak zwał ją pan Ksawery, miłości. W wyższym świecie zastrzeżono się od podobnych przypadków, wszelkie niespodzianki z drogi usunięto. Szlachetna dziewica bezpiecznie stąpa, na rodzinie wsparta. Nim kto o niej pomyśli, musi dobrze z warunkami świetnego utrzymania domu policzyć się pierwej, bo w tym razie nie serce bez doświadczenia, ale doświadczona roztropność bez serca stanowić będzie. Jeśli ktokolwiek: stryjaszek, wujaszek, przyjaciel lub przyjaciółka nie da poznać młodzieńczowi, że jego majątek wystarczający, a położenie towarzyskie odpowiednie, to zdala niepoświęcony! Dopiero po tem śledztwie przedwstępnem swadziebnej dyplomacyi, drugi akt sztuki się rozwija; *umyślnym* trafem młodzi się spotykają; panna już wie, że to pretendent; pretendent wie o tem wiedzeniu panny, ale niemniej przeto udają, że nigdy o sobie nie słyszeli. Ona jest grzeczną, on jest uprzedzającym, jakoby z wrodzonego popędu; następnie on okazuje, że się chce podobać, ona że jej się podobał troszeczkę, lub też i bez tego kłopotu on później prosi, by mu w domu rodziców bywać dozwolono. Od tej stacyi wolno jemu i jej zakochać się w sobie, wolno i nie zakochać: na jedno to wyjdzie. Minęły wieki barbarzyńskie przymusów i ślepej rozkazom starszych uległości, dzisiaj każda młoda osoba ma prawo zakochać się, gdy jej starsi pozwolą, i ma prawo z takiej miłości iść za mąż, jeśli przy intercyzie kłótnia jakaś wszystkiego nie rozerwie. Są ludzie, którzy utrzymują, że wyzwolenie obywatelskich dziedziczek tak daleko postąpiło, jak daleko odmową sięgnąć im wolno, lecz i pod tym względem wspomniałam ci przecież, Kasiu, jakie jeszcze chińskie mury na

chropowatym gruncie się wznoszą. Gruby przymus dawniejszy zostawił prócz tego po sobie niezliczone okruchy subtelnych prześladowań. Zamiast głodu, rózgi i klasztoru, jest szydertwo, jest ciągle powtarzające się namawianie, jest cały arsenał drobnych sposobików, dużo zachęty, pokusy trafnie nasuwane, trochę skompromitowania, podchwycenie byle jakiej sylaby nieoględnej, a gdy jeszcze z tem wszystkiem połączy się prośba i rozrzewnienie, gdy głos matki w tkliwej pieszczocie imię swatanego nad uchem powtarzać ci zacznie, niema rady, trzeba iść za mąż. Przypuśćmy, że później będziesz nieszczęśliwa, jak najnieszczęśliwsza z niższego świata żona, twoi najbliżsi tem się pocieszą właśnie, iż rytuału dopełniwszy, nic sobie do wyrzucenia nie mają. Otóż tedy, jak posłyszałam, że pan Filip o pozwolenie bywania w domu mojej matki prosił, pilniejszą zaraz baczność na niego zwróciłam; chciałam sama przez się ocenić jego moralną istotę, wybadać skłonności i usposobienia. Daremna praca! Ile razy uwzięłam się na poważniejszą rozmowę z p. Filipem, albo na cierpliwsze wysłuchanie rozmów jego z innymi, tyle razy (nie wiem, z jego czy z mojej winy) myśl wietrznica uciekała kędyś daleko i chwytałam ją na gorącym uczynku najbezczelniejszej niegrzeczności. Przy początku była zajęta panem Filipem, przy pochwyceniu chorągiewką na dachu, albo gładką marmurową płytą stojącego w kącie stolika, albo przelatującemi w powietrzu wróblami, nigdy jej w przyzwoitych karbach zastanowienia utrzymać nie mogłam; jednak czułam, że to jest moim obowiązkiem, i czasem tak polowałam na sposobność dłuższej, poufniejszej gawędki, jak kokietka... lub jak p. Filip powinien był polować. Jednego dnia nakoniec zeszliśmy się w pokoju, który wujaszek *Biblioteką* nazywa. Jest w nim rzeczywiście piękna szafa z książkami, lecz piękniejsza jeszcze fajczarnia, panoplia na ścianie, wygodny szezląg do drzemania, kilka miękkich foteli i stół bieżącą literaturą, dziennikami, broszurami, ilustracyami zarzucony. Po jednej stronie duże drzwi

szklane na ogród wychodzą, po drugiej masyw dębowe, ciemne, do salonu prowadzą; salon ogromny pusty zwykle, bo tylko na karnawałowe tańce przeznaczony, za salonem dwa tak zwane "bawialne pokoje, w których się uroczyście rzadszych gości przyjmuje, za temi pokojami sień po staroświecku rozległa, za sienią dopiero jadalnie, siedzalnie, sypialnie, słowem cała strefa powszechnego życia i ruchu. Zdaje się, że plan tak prosty bez architektonicznych wzorów możesz sobie wyobrazić i łatwo dalszy ciąg mojej „awantury" zrozumieć. Jako ci więc już napisałam, zeszliśmy się z panem Filipem samnasam w bibliotece. Pan Filip przychodził po gazety, ja chciałam z szafy dostać dzieła Augustyna Thierry. Naturalnie pan Filip szukać mi ich dopomógł, a że były trochę wysoko, sam je wyjął, z kurzu otrzepał i podał mi tak uprzejmie, iż pod dobrem wrażeniem natychmiast pierwszą zaczepkę dałam do wypowiadającej się (subiektywnej? lirycznej? podmiotowej?) rozmowy.

— Nadzwyczaj jestem ciekawa tego „Zdobycia Anglii przez Normandów."—Że zaś pan Filip nie był ciekawy, dlaczego ja ciekawą jestem, tylko poprostu zatwierdził: „rzeczywiście jest to bardzo zajmujące dzieło" — ciągnęłam dalej:

— We wszystkich krajach u wszystkich ludów podboje zawsze równie są dla podbitej i dla zdobywczej rasy szkodliwe; Persowie, Macedończycy, Rzymianie od podbojów w śmiertelną zapadli niemoc, a Normandowie w Anglii podbojem utworzyli takie świetne i ucywilizowane państwo.

Przyznaj sama, że bez trudu mógł tę pozorną sprzeczność szanowny p. Filip wytłumaczyć; skończył szkoły przecież, wiem o tem, bo mi wuj ręczył, chociaż podobno bardzo długo „mama trzymała do niego guwernera Francuza" (to jest sposób mówienia ś. p. Au. Wi., nie zaś p. Filipa); jednak szkoły skończył, ale z tem wszystkiem rzuconej przezemnie kwestyi nie podniósł, tylko jak na odczepkę wyskandował niedbale:

— Anglia jest dzisiaj najpotężniejszem państwem morskiem, to prawda... —I zaczął zaraz pilniej daty różnych dzienników między sobą porównywać. Miałam ochotę spytać: a Ameryka? lecz ten zwrot tylkoby nas do Ameryki doprowadził, ja zaś naprędce inny ułożyłam planik: chciałam koniecznie krętą ścieżyną dojść aż do osobistości pana Filipa.

— Tę potężną, przemyślną i bogatą Anglią pan Thierry widział w jej pierwotnej wulkanicznej formacyi, bo że „widział,“ choć był ślepym, to w głębi duszy mocno jestem przekonana. Bóg go obdarzył więcej niż talentem, obdarzył cudowną władzą odradzania się w przeszłości najdalszej.

— Literatura francuska bardzo wiele na jego śmierci straciła — zauważył sentencyonalnie pan Filip.

— Czy też Anglicy umieli wartość Thierrego, choć był Francuzem, ocenić?

Na to pan Filip rzekł:

— Nie wiem, ani w dziennikach, ani w przeglądach nic mi się o tem czytać nie zdarzyło.

— Pewnie milczeli przez zazdrość; Anglicy są bardzo względem Francuzów zazdrosni.

Na to pan Filip rzekł:

— Oba te narody mają wiele handlowych interesów, które je we współzawodnictwie utrzymują.

— Lecz prócz handlowych interesów, przebija w całej literaturze angielskiej inna jeszcze uczuciowa zazdrość; wyraźnie mają antypatyą do Francuzów.

Na to pan Filip rzekł:

— I Francuzi nie lubią Anglików.

— Francuzi może mają czego zazdrościć, lecz Anglicy są już dość silni, by ich wymiar sprawiedliwości nic nie kosztował; tylko słabość wątpiąca o sobie samej zazdrosną bywa; nie pojmuję zazdrości silnych.

A ty, Katarzyno Aleksandryjska, czy pojmujesz dlaczego tak strategicznie koło wyrazu „zazdrość“ krążyłam? To był ważny bardzo punkcik, z którego

mogłam potem na szeroką skalę indywidualniejsze badania prowadzić. Niech mi tylko pan Filip cokolwiek o zazdrości powie, choćby nie więcej, jak o Anglikach i Francuzach, dostanę reszty.

Lecz pan Filip na to... nic nie rzekł, spadła mu ze stołu *Biblioteka warszawska* i był jej podźwignięciem zajęty. Musiał się zmęczyć, bo milczał. Ja tymczasem otworzyłam Thierrego, kilka wyrazów oczy mi przyciągnęło, za oczami uwaga trop w trop pobiegła i zaczytałam się, jak to wiesz, że i tobie się zdarza czasem, niby to bezmyślnie kartkami się bawisz, aż któraś z nich pochwyci i zatrzyma cię: udajesz, że rozmawiasz jeszcze, lecz naprawdę ty czytasz już. Ze mną coś podobnego się stało, wszelako instynktowo pamiętałam o celu zamierzonej inkwizycyi, dlatego też nowe rzuciłam pytanie, choć wzroku nie mogłam od książki oderwać:

— Czy pan był w Anglii?

Na to pan Filip odpowiedział:

— Tak jest, pani, cały sezon parlamentarny spędziliśmy w Londynie; to najświetniejsza dla tej stolicy pora.

Głos umilkł: znowu się odezwałam jak pierwej:

— Angielki mają być bardzo piękne?

Na to pan Filip rzekł:

— Nie wszystkie.

— Ha, tak, nie wszystkie, ale są i bardzo piękne?

Na to pan Filip rzekł:

— Są niektóre nadzwyczaj białe i delikatne.

— A śniadych czy wcale niema?...—I że ta kwestya trochę bliżej mię obchodzi, więc spojrzałam w oczy panu Filipowi. Pan Filip miał grzeczny uśmiech na twarzy, lecz sumiennie zapewne przypominał sobie, czy widział śniade Angielki, bo dopiero po namyśle rzekł:

— Są i śniade także.

— A czy się panu podobały?... — powinnam była odważnie pytać dalej, przyznaj sama, Kasiu, żem po-

winna była, ale nie zapytałam; zdawało mi się to zbyt wyzywającą „niedyskrecyą,“ ja zaś bardzo mam odważną w listach i zamysłach naturę, a kiedy do żywego słowa przychodzi, dalejże w nogi. Na ten raz nie zemknęłam wprawdzie z placu, tylko zamilkłam. Wolno mi było panu Filipowi z milczenia korzystać i coś od siebie powiedzieć, lecz pan Filip nie korzystał. Pan Filip także milczał. Jeszcze raz ja ciszę przerwałam:

— Zna pan tutejszy keepsake „Piękności londyńskich?“ Śliczne i oryginalne twarze.

Pan Filip powiedział, że nie zna ślicznych i oryginalnych twarzy keepsaka londyńskiego. Ponieważ wiedziałam na której półce je złożono, odszukałam więc z łatwością i podałam do oglądania. Pan Filip, podziękowawszy, zaczął oglądać, a ja znowu na jakiś zdradziecki ustęp w Augustynie Thierry trafiłam i zaczęłam czytać. Jak długo to trwało, nie wiem. Przyszła nakoniec chwila, w której uczułam potrzebę systematyczniej z Haroldem i Wilhelmem Zdobywcą się poznać. Wzięłam wielkie in octavo pod pachę i oddaliłam się bardzo spokojnie do mego pokoiku na drugiej stronie, gdzie mi wujaszek biurko maleńkie z wszystkiemi przyborami piśmiennemi gościnnie ustawić kazał. Oddalając się jednak, czy zgadujesz, co zrobiłam? O Katarzyno! o Aleksandryo! Ni mniej, ni więcej, tylko somnambulicznie prawie, bezświadomie drzwi na klucz zamknęłam. Jest to mojem warszawskiem nawyknieniem, bo mi kiedyś jeden z kuzynków poprzewracał i niedyskretnie poprzeczytywał leżące na stoliku listy. Zawsze od tego czasu, wychodząc z mego pokoju, na klucz drzwi zamykam. Tak też i teraz zrobiłam. Zamknęłam bibliotekę, a w bibliotece pana Filipa, jak zapomniany koszyczek z robotą, jak zgubioną chustkę do nosa.

Z upokorzeniem wyznać muszę, że i pan Filip nie odrazu pewnie brak mego towarzystwa spostrzegł, bo nie dał znać o sobie, więc ja też klucz do kieszeni spuściwszy, cały salon przeszłam bez zgryzoty sumie-

nia i z błogiej niewinności poczuciem do historyi krwawego najazdu się zabrałam. W trzecim rozdziale byłam, kiedy mię na obiad wezwano. Wszystkich już zgromadzonych zastałam. Pan Filip się nie stawił jedynie. Gdzie pan Filip? Szukają pana Filipa. Wujaszek nadziwić się nie może takiemu spóźnieniu, a tembardziej ukryciu się takiemu. Posyła do stajni z zapytaniem, czy pan Filip konno gdzie nie wyjechał? W stajni pana Filipa nie widziano. Posyła do nowownoszącej się jakiejś budowli. Może pan Filip, znawca. fabryce jest przytomny? Pana Filipa ani śladu. Słucham tego wszystkiego z całą prostotą mojej duszy i nawet, gdy się wujaszek swoim obyczajem do nalewania rosołu zabiera, grzecznie mu radzę,. aby jeszcze na gościa poczekał. Szczęśliwy pomysł wreszcie przyszedł mamie do głowy i kazała zgubionego w ogrodzie nawoływać. Do ogrodu wysłany Piotruś usłyszał mocne z biblioteki stukanie, spojrzał w okno i przez szybę z panem Filipem się rozmówił, bo trzebaż jeszcze nieszczęścia, że drzwi ogrodowe z nazewnątrz przed południowem słońcem silnie okiennicami zaparte były. Skoro tylko o panu Filipie i o bibliotece razem wspomniano, uprzytomniły mi się wszystkie szczegóły ranniejszego spotkania, nawet moje własne roztargnienie. Pełna wstydu i skruchy klucz wyciągnęłam z kieszeni. Mama mię bardzo surowo złajała. Wujaszek oscylował między burą a śmiechem. Sam zaś pan Filip z wielkim taktem postąpił sobie, bo się ani gniewał, ani śmiał, tylko poprostu całe zdarzenie tem usprawiedliwił, że się drzwi nadzwyczaj cicho zamykają. Masz tedy, Kasiu, wierną próbkę moich uczuć dla pana Filipa. Wstręt prawdziwy byłby czynniejszym daleko; nie mogłabym zapominać w bibliotece wstrętnego a żądającego mej ręki człowieka; na jego widok wszystkie żyłki zadrgnęłyby mi przykrem wrażeniem, na każdy uśmiech przymilenia każda kropla krwi niechęciąby zakipiała, obrzydliwośćby mię zjęła na każde jego słowo ugrzecznione. Zdaje mi się, że takim przynajmniej być powinien wstręt rzeczywisty, nie

sztuczną fantazyą, nie bawialno-pokojowemi spostrzeżeniami wywołany, ale szczerą naturą w naturze jakiegoś indywiduum będący. Toć to wówczas głos Boży, zakaz wyraźny, którego pod grozą piekła przełamywać nam nie wolno. Niech poczuję, że mam wstręt do pana Filipa, wnet znajdę odwagę, by go daleko odepchnąć, by mamie i całemu hufcowi wujaszków powiedzieć: Nie mogę. Gniewaliby się zpoczątku, ale wkrótce zapewne uspokoiliby się i pojęli, że nie jeden pan Filip dla Marynki, jak nie jedna Marynka dla pana Filipa. Wszystkoby się po mojej woli ułożyć musiało; tylko właśnie brakuje mi siły potrzebnej na wymówienie tego „nie mogę.“ Choćbym wreszcie wymówiła, z akcentu samego poznają zaraz, że to da się zmienić. Odległość dalsza niż między słońcem a księżycem dzieli skalę tych dwóch tonów: woli ochoczej i woli samemu sobie nakazanej. Ludzie bezwiednie ulegają działaniu ich różnicy. Pierwszą mogą tylko nazewnątrz ujarzmić, częściej jednak cofnąć się przed nią muszą; względem drugiej występują z bogatym arsenałem pokus i zaczepek, nie zrażają się odmową, nie niecierpliwią zaprzeczeniem, czasu im nie żal na ciągłą dysputę i ciągłe do tegoż samego punktu zwroty. Powiem, że nie chcę pana Filipa: zaczną prosić, wyśmiewać, dowodzić, a nadewszystko zaczną tak nudzić, że wkońcu dam się przegadać i zostanę panią Filipową!...

Ostatnią moją ucieczką to więc jedynie byćby mogło, gdybym się w kim zakochała. Święta Katarzyno Aleksandryjska! niech ja się w kim zakocham! Przebóg! pono to Aleksandryjska właśnie starych panien patronką... nie do takiej się modlę. Katarzyno miłująca! niech ja się w kim zakocham coprędzej! Teraz nikogo a nikogo na zakochanie koło siebie nie widzę, nikogo wśród bliższych i dalszych znajomych do zakochania sobie nie przypominam. Różne smutne myśli przychodzą mi do głowy: a to czy zakochanie się nie jest mrzonką powieściowej literatury? a to czy kiedykolwiak widziałam zakochaną istotę? Mam pe-

wne dane, jak powinnaby wyglądać, mam niemylne posłuchy, że się tu i owdzie znajduje, lecz w żywe oczy nie spotkałam żadnej. Musi ten gatunek do osobliwości należeć... Więc znów czy ja osobliwością jestem? Może wyłączna przedślubna miłość nie jest mi sądzona? może na władzach do jej poczucia mi zbywa? Ja się będę za miłością, jak za bajecznym feniksem oglądała, dzień po dniu pytać będę: „Serce, serce, czy kochasz już?“ a serce: tik, tak, tik, tak, równiuteńko: „kocham mamę, kocham Kasię, i samę siebie, i wujaszka i wszystkich bliźnich.“ Tymczasem lata upłyną, twoja Marynka się zestarzeje; te czarne włosy, co je muskać tak lubisz, srebrnemi sznureczkami pstrzyć się zaczną; ząbki, dziś bardzo zdrowe i perełkowate, może rozbolą i powypadają. Nosek, z twojej łaski rzymskim nazwany, wyciągnie się szkaradnie i będzie ludziom na świecie zawadzał; śniada płeć brzoskwiniowo-aksamitna palisandrowemi cieniami się urysuje, a jeśli krynoliny wyjdą z mody, to giętka kibić w suchą laseczkę się zmieni, wesoły humor w zrzędliwe usposobienie, wątroba w żółć... i trwajże tedy mumijko, do niczego nieprzyczepiona! Mów ty sobie co chcesz, Aleksandryo, mów że kobieta w każdem położeniu użyteczną i szczęśliwą być może; ja nie mam wcale zamiaru starą panną zostać. Już co do tego, to mam wstręt wyraźny, daleko wyraźniejszy, niż do pana Filipa. Zostanę choćby panią Filipową, bylem na koszu nie osiadła. Zdaje mi się, że bez miłości potrafię być dobrą żoną, a z pewnością wiem, że bez tytułu mężatki za jakie lat dziesięć, piętnaście, będę bardzo nieznośną starą panną. Póki jednak mam te kilka lat młodych przed sobą, wolałabym zaczekać, wolałabym dowodnie się przekonać, czy jest miłość dla mnie zupełnem niepodobieństwem, czy opóźnioną tylko uroczystością? Jaka to rozpacz mogłaby mię ogarnąć, gdybym już rozporządziła mojem życiem, i wtedy dopiero na ukaranie za pośpiech, za słabość charakteru poznała człowieka, który miał być z woli Bożej moim jedynym, moim zbawiającym, moim ukochanym pra-

wdziwie... A jeślibym go nie poznała? jeślibym odegrała tylko śmieszną rolę egzaltowanej panny z romansowemi pretensyami? przewróconej głowy z wymagającą zarozumiałością? idealistki z bańkami mydlanemi w mózgu? To co, Kasiu? Wstydziłabyś się za mnie, i jabym się za siebie wstydziła. Warto gruntownie nad tą rzeczą się zastanowić. Po dziś dzień, a mam już lat dwadzieścia. nikt jeszcze we mnie miłości nie wzbudził. Znałam ludzi bardzo zacnych, rozumnych, przyjemnych, znałam artystów i uczonych, rozmawiałam z żywym portretem Van Dycka, a pewna znakomitość powiedziała mi, że mam oczy do gwiazd podobne. Czemuż nie zakochałam się w kim? Czy dlatego, że Zacność nie była wymowną, że Rozum był zbyt gadatliwy, a Przyjemność w karty grać lubiła? Czy dlatego, że Artyzm nie mógł się bez pochwał obejść, a Uczoność zażywała tabakę? Czy dlatego, że Van Dyck śmiesznie na koniu się trzymał, a Znakomitość oklepanych używała porównań? Innym kobietom wcale te usterki nie zawadziły. Znajome, rówiennice, przyjaciółki i nieprzyjaciółki są dziś żonami tych właśnie rozumnych, zacnych, przyjemnych i t. p., a nie widzę, by która z nich szczęśliwszą lub nieszczęśliwszą była ponad zwykłą miarę małżeńskich przeznaczeń... nawet Mimi, choć za szulera poszła.

Byli więc ci różni panowie tych różnych pań godni, mogłam i ja też na którym z nich poprzestać. Nie jestem lepsza od drugich, by na samych tylko najlepszych z darem własnego serca oczekiwać, jak średniowieczna dziewica z laurowym wieńcem na zwycięzkiego w rycerskich turniejach bohatera.

Śmiałyście się, moja Kasiu, z tej dziesięcioletniej szczebiotki, co nam mówiła, że jej przyszły mąż koniecznie musi mieć czarne włosy, niebieskie oczy, płeć bardzo białą, wzrost wysoki i ciemno-granatową czamarkę. Jeszcze słuszniej mogłabyś teraz śmiać się ze mnie, gdybym sobie w moim pierwszym prawnej pełnoletności roku wykroiła z ideałów foremkę i przymierzała do niej spotykanych na drodze życia preten-

dentów. Bądź spokojna, nie ulegnę tej słabostce. Ani Araudissonów, ani Cezarów, ani Peryklesów, ani Gustawów, ani nawet Konradów nie szukam. Jestem gotowa pokochać się w takim, w jakim się pokocham. Na miłość moję żadnego trybu warunkowego nie kładę, tylko niech ona sama w oznajmującym się zjawi; lecz gdzie rękojmia, że zjawi? Im więcej się zbliża chwila stanowczego wyroku, tem większy strach mię przejmuje, w sumieniu budzą się coraz dokuczliwsze wątpliwości. Katarzyno Aleksandryjska, rozstrzygaj!

Powiedz mi najpierwiej, czy rzeczywiście niezachwianie przekonaną jesteś, że kobieta z miłości tylko za mąż iść powinna?

A gdyby która nie mogła się zakochać, nie miała usposobienia, talentu do takiego zakochania się, czy kazałabyś jej starą panną zostać?

Powiedz mi to, Katarzyno Aleksandryjska! Na grobową aryą Łucyi z Lammermooru cię zaklinam, powiedz, odpisuj coprędzej, niech się nie rozbijam jak człowiek bez świecy w ciemnej piwnicy, bez sądu w mętnem sumieniu. Póki twego listu nie odbiorę, póty zaklęcia moje przy tobie. Gdzie się zwrócisz, gdzie usiądziesz, gdzie usnąć będziesz chciała, niech cię ściga echo wołające: odpisuj! odpisuj! odpisuj! Na mocy łask dawniejszych do teraźniejszego wymagania uprawniona Marynka.

P. S. Jeśli w moim losie jest zapisane, że czy prędzej, czy później bez miłości za mąż pójść muszę, to przyznam ci się, Kasiu, najrozsądniej może byłoby, gdybym teraz za pana Filipa poszła. Mama i wujaszek bardzo sobie tego życzą. Dobra „partya,“ choć tak osławione w komedyach wyrażenie, ma jednak swoję moralną, nietylko materyalną wartość. Pan Filip zresztą po odsiedzeniu kozy zaczął być trochę rozmowniejszy. Kiedy się żegnał z nami, a wuj go zapraszał na drugie odwiedziny:

— Wszelkich starań dołożymy, bo jaknajśpieszniej z tak miłego upoważnienia korzystać — rzekł

prawie wzruszonym głosem, i zdaje mi się, że spojrzał na mnie.“

II.

Kiedy ostatnie słowa długiego listu przeczytałam, musiałam czoło obiema rękoma podeprzeć i zamyśliłam się głęboko. Osobliwszy dzień dzisiaj! wieleż to już kwestyj na mózg mi spadło ciężarem nielada, trzeba zrachować: Jaka metoda w uczeniu się najlepsza: od ogółu do szczegółów, czy od szczegółów do ogółu? to jedno. O przesileniu europejskiem — N. B. przypominam sobie, że kiedy jeszcze gładko sylabizować nie umiałam, już wtedy starsi koło mnie o jakiemś przesileniu Europy głośno czytywali; teraz, gdy sama od tak dawna czytuję, Europa jeszcze się przesila; to kwestya druga. O językach cudzodziemskich, to trzecia; o pogodzie, o agronomii, o praktycznej estetyce, o tem co zrobię za parę miesięcy, o tem co będę jadła wieczorem, to już czwarta, szósta, ósma. I nadomiar wszystkiego dziewiąta przybywa, jak się zdaje najnaglejsza, a taka zawikłana! Co to znaczy? muszę zajrzeć do kalendarza, nad datą się zastanowić—ba! gdybyć tylko o jeden dzień bieżący chodziło! lecz to rokiem całym, dziesiątkami lat się snuje. Pytania, pytania i ciągle te same pytania!

Prócz widzialnego zodyaku, musi być chyba jeszcze inny pas niewidzialnych konstelacyj, otaczający wiekową drogę słonecznego systematu i zachowujący wszystkie wpływy, które niegdyś, za błogosławionych ślepej wiary czasów, gwiazdy, planety, księżyce i komety na los każdego człowieka wywierały... Alboż

wtedy człowiekiem nie warto było się urodzić? Światła empirejskie czekały na twoje przybycie, synu Adamowy! złotemi literami pisały, co się zowie pisały zgóry historyą twego żywota, biegły rozszalałe boleścią z potarganym warkoczem o śmierci twojej zwiastować... Dzisiaj, choćbyś był panem według marzeń Cezarów i Karolów V-tych, na najbliższym sąsiedzie księżycu już nic o tobie nie wiedzą, własną biografią sam układać musisz, mus taki niewygodny, a kiedy umrzesz ty, jaśnie wielmożny machinami parowemi, ty, jaśnie ościecony światłem elektrycznem, ty Światowidzie przez teleskop i mikroskopy, kiedy umrzesz, to pomimo najsutszego pogrzebu i najpatetyczniejszej mowy oratora, nic się w porządku ziemskim ni nadziemskim nie zmieni, a dziady pod kościołem siedząc, na całe gardło śpiewać będą:

Z drogiej purpury śmierć króla wyzuje,
Złotą koronę piasek przysypuje,
Z głowy najwyższej wszystko rzuca w błoto
Perły i złoto.
Śmierć w morzu, w ogniu, na powietrzu złowi,
Trudno przed śmiercią skryć się człowiekowi,
Wszędy cię porwie, do grobu zawlecze,
Nędzny człowiecze!

Więc lepiej dawniej bywało... pysznym i próżniakom szczególniej. Zastawali życie niebieskiemi hieroglifami podyktowane, gotowiusieńkie do przeniesienia od wschodu do zachodu. Ja wprawdzie pyszną nie mam z czego być, nawet gdybym chciała, lecz co do kategoryi próżniaków, to, z pewnemi wyosobniającemi różnicami, urodziłam się w niej, niestety, a potem i do bractwa żałujących należę poczęści. Utratę zaprzeczonych mi z gwiazdami stosunków pragnę sobie innym wynagrodzić sposobem. Znalazłam hypotezę o niewidzialnym pasie konstelacyj; całą siłą chcę się

trzymać tej słabej pociechy. Im więcej się nad nią zastanawiam, tem więcej prawdopodobieństwa w niej upatruję. Stary zodyak pewnie się już zużył, przez lat tysiące do szczętu wyekspensował swoję siłę wpływową, nic dziwnego przeto. że uczonym epoki teraźniejszej bez wielkiego mozołu spostrzedz się to dało, i nic dziwnego, że spostrzegłszy, nam nieuczonym, stanowczo, jak dwa a dwa są cztery, tej prawdy dowiedli. Zodyak niewidzialny wszelako mniej na rozkład, mniej na działanie chemiczne naszych oczu i naszych rozumów wystawiony, zachowuje się według praw przedastronomicznych, to jest zachowuje się astrologicznie. Pewnie to znaczy *astro* gwiazdowo—*logicznie?* no, rzecz prosta, znaczy *logicznie*, z sensem, logiką; gdy przeciwnie, ten *widzialny* jest jakimś *nomicznym*, ale nie logicznym. Uderza mię w tej chwili błyskawica prawdziwie kłopotliwego sylogizmu. Zodyak widzialny nie jest logicznym. ludzie widzialni także, z nader małym wyjątkiem, nie są logiczni. ergo: zodyak nie stracił wszelkiej moralnej i umysłowej z ludźmi łączności... Nie, nie, nie—*vade retro*, szatanie sylogizmu!

Zakazuję sobie mieszać się w sprawy tak stanowczo dowiedzione, jak to że „dwa a dwa są cztery;" wracam do hypotezy i do smutków, z których się urodziła.

Na niewidzialnym, astrologicznym zodyaku, cała ziemia nasza z całem niebem swojem niezawodnie teraz w znak *zapytania* wstąpiła. Przed stoma laty o tym czasie była w znaku *przeczenia*; na przyszły wiek może będzie w znaku *twierdzenia*, co się wykłada „prawdy," a jeśli nie prawdy. to przynajmniej tryumfu jakiegoś; a jeśli nie tryumfu, to przynajmniej spokoju, a jeśli nie spokoju. to przynajmniej siły; a jeśli nie siły, to przynajmniej rezygnacyi; a jeśli nie rezygnacyi, to przynajmniej doskonałego ogłupienia. Dzisiaj tego wszystkiego, zacząwszy od prawdy. a skończywszy na głupocie, tego wszystkiego ziemia potrochu ma jedynie, w dozach bardzo jeszcze skąpych, lub już niewystarczających. Dzisiaj jest w znaku *zapytania*.

Prawa społeczne i najosobistsze skrupuły sumienia, fakta historyczne i nowiny brukowe, szczęście i boleść, wszystko jest zawieszone na tym haczyku symbolicznym, który się z okrągłą kropką u spodu drukuje. Bo też obecnie nasza okrągła planeta jest pod znakiem zapytania. Ludzkość cała jest zapytującą. Kłamcy jedynie twierdzą. Święci jedynie nie pytają. Pewności zostało tyle, ile jej przeszłość uzbierała w arytmetyce i geometryi, lub co w naturę kilku rozumnych, kochających a dzielnych przesiąknęło i co ma na związek przyszłości wystarczyć. Oprócz liczby, miary, wagi i garstki Nazarejczyków, cała resztująca masa rzeczy i osób, jakoby ul pszczelny, dymem wszech zagadnień podsycona, wiruje nad otchłaniami, a pszczoły wcale nieharmonijnie brzęczą i wściekle żądłami kaleczą, gdy nie są wyrobem miodu zajęte.

Wcale ja nie krytykuję położenia, nie przeklinam wypadków. Spostrzegam jedynie, że są takie a takie. W obserwatoryach zapisują meteorologiczne spostrzeżenia bez pochwał i nagan przecież — dnia 10-go maja 18** roku, powietrze ciężkie i duszne. Ach, jakie duszne! jakie ciężkie! Gdzie tu sens jednak nad powietrzem utyskiwać? potępiać deszcz padający, apostrofować wiatr, co wieje? wymyślać na mgłę, co nam wzrok zasłania? Naszą rzeczą zbadać przyczyny, owładnąć, jeśli można, kierunek; jeśli nie można, to spożytkować przypadłości; ale ganić, chwalić—szaleństwo! Że ludzie pytają, urągać lub przyklaskiwać nie mam prawa; Boże odpuść... mnie samej od tak dawna, tak szczerze szukającej różnych odpowiedzi, chmary jeszcze zapytań po głowie wirują, takie chmary, że jednostkami wyliczyćbym nie mogła, zaledwie część jakąś w porządniejsze ściągnęłam rubryki i tytułami odznaczyłam. Jest rubryka z tytułem psychologii ogólnej, druga z tytułem dziwaczności historycznych, w trzeciej są tajemnice naukowe, w innych fatalizmy indywidualne, a rubryk dla mojej włącznej osobistości jak wiele! Z losu, z uczucia, z domysłów, z nieufności, z przeszłych doświadczeń, z niespożytych

nadziei, z gorzkich zawodów, z siurpryz niespodziewanych... Oho! mogłabym przez długie lata wszystkie wyrocznie delfickie utrapiać i wszystkim powiernikom się sprzykrzyć, choćby cierpliwsi byli od tych, którzy w tragedyach Rasyna występują. Ja przecież nikogo nie zaczepiam; obywam się jak mogę. Gdyby mi dano pomoc, gdyby nasunięto odpowiedź, ręce i nogibym ucałowała, na intencyą dobroczyńcy jarzącą świecę zapaliłabym w częstochowskim kościele, a przypuściwszy, że umierając miałabym obok siebie kochającą mnie do pożegnania osobę, to owej, jedynej kochającej, nie za moję duszę, lecz za szczęście odpowiadającego poleciłabym pacierze. Nikt jednak nie odpowiada, a ja pytam ciągle.

Pytam z psychologii ogólnej: Czemu w złych ludziach do złego więcej energii, niż w najlepszych ku dobremu? Czemu zbójca śmielej zabije, niż świadek obroni? Czemu złodziej przemyślniej i weselej ukradnie, niż cichy prostaczek zapracuje? Wszakże to kiedyś Ormuzd ma Arymana zwyciężyć, a Ormuzd ciągle takim mazgajem... Czemu wśród ludzi daleko trudniej upowszechnić najprzystępniejszą prawdę, niż kłamstwo najniedorzeczniejsze? Że kometa w roku 1858 ziemię rozbije, w to całe miasta i powiaty natychmiast uwierzyły, a że uczyć się trzeba i żyć poczciwie i nie pić, nie zbytkować, nie tracić czasu w próżniactwie, by tu i w niebie zbawienia dostąpić, to całe miasta i powiaty, to pan Ludwik i pan Józef, to Kasper, Melchior i Baltazar, to przeróżni panowie i niepanowie do obecnej chwili, w której piszę, uwierzyć jeszcze nie mogą. Prawda jednak rzeczywistością jest, ciałem, bytem, światłem. Kłamstwo zaś to nicość, niebyłość, to ciemność owa i próżnia, której żadne przyrządy uczonych wytworzyć nie umieją... Czemu potwarz nikczemna tak głośnem i szybkiem echem rozchodzi się wszędy, a sprawiedliwe ocenienie zasługi tak wolnym wlecze krokiem, tak wolnym?... Ledwie czasem przy położeniu nadgrobnego kamienia się stawi. Że Kołłątaj był ambitnym samolubem, to kraj cały obiegło, że

był człowiekiem wyższych zdolności, żelaznej pracy, jaśniejszego wzroku, to ledwie teraz wykazywać się zaczyna. Zdaje się, że ten co chwali, przyjemniejszego doznaje wrażenia, w milszem, rozkoszniejszem jest usposobieniu od tego, który się widzi do nagany zmuszonym, więc choć przez egoizm powinnibyśmy częściej chwalić, niż ganić, a my daleko częściej ganimy, niż chwalimy. Gdyby istotnie zpod nagany nic zdrożnego usunąć się nie zdołało, uszanowałabym jej pożyteczność... ale cała prawie Francya dotychczas uwielbia Ludwika XIV, cała prawie Europa Maryą Stuart, połowa z nas przynajmniej czołem bije przed Napoleonem I... Czemu byle sofizmat tłumy roznamiętnia, a najświętsze oczywistości trudno do serc wnikają? Czemu rzemieślnik paryski prędzej upił się komunizmem, niż Wandejczyk dobrodziejstwa wielkiej rewolucyi zrozumiał? Czemu łatwiej o wojnę religijną, niż o wprowadzenie chrześciańskiej ustawy, o chrześciańską cnotę i obyczaj? Czemu tyle kobiet nad piszącemi ekierkami lub przy wirujących stolikach długie trawiło godziny, a żadna z nich porządnej naukowej książki o hygienie nie przeczytała?

Co do dziwaczności historycznych, pytam, czemu szlachetny Filopemon nie mógł Grecyi ocalić, gdy przedajny, chciwy, nikczemny Marlborough ocalił konstytucyjne Anglii odrodzenie? Czemu Kolumb nie mógł swego nazwiska do całej Ameryki przyćwiekować, gdy Sardanapal król, bardzo w bitwie i w śmierci odważny, pomimo nawet pięknego dramatu Byrona, swego znów imienia z synonimem zniewieściałości rozczepić nie może? Czemu wiedzą kto spalił świątynię w Efezie, a nie wiedzą kto plan katedry kolońskiej nakreślił? Czemu pierwej wynaleziono proch i armaty, niż machiny parowe?

Z tajemnic naukowych pytam o wszystko, co widzę, pytam każdej książki, którą w rękę biorę. Chciałabym, żeby jaknajprędzej spór o wymoczki samorodne był rozstrzygnięty, żeby odkryto ogólne pra-

wo tych prądów magnetycznych, co w różnych a jednak stałych kierunkach kulę ziemską przebiegają; niezupełnie jestem o naturze gwiazd przelatujących objaśniona, o wnętrzu naszej planety mam bardzo mętne wyobrażenie, z każdą wyprawą do bieguna północnego roje przypuszczeń, domysłów i nadziei budzą się w sercu mojem. A cobym ja nie dała za to, gdyby geologia z matematyczną ścisłością mogła mi oznaczyć stosunek kataklizmów do powolnej formacyi naszego lądu, wyrachować kolejność lub zależność współdziałania gwałtownych wstrząśnień, z ciągłą pracą nieskończenie drobniutkich przyczyn i czynników. Byłabym też równie wdzięczna temu, coby mi dowodnie wykazał, czy Papuasy należą do zatrzymanych w dzieciństwie, czy do niszczejących w zgrzybiałości plemion? czy się nie umieli rozbudzić do życia, czy już na śmierć zasypiają? upadkiem li, czy pierwotnością jest stan australijskich wyspiarzy, amerykańskich Karapachów i Baszmanów w Afryce?

Zdaje mi się jednak, że z większą jeszcze niecierpliwością wyglądam coraz dalszych zastosowań tego genialnego odkrycia, które w nerwach wstępną i zstępną elektryczność rozróżniło; o ileby też podobnem być mogło zbadanie pod tym względem nerwowego stanu różnych temperamentów ludzi rozumnych i głupców, energicznych i leniwców, kochających i obojętnych, kapryśnych i spokojnych!

A mam też wiele innych, kumoszkowatych, że tak powiem, ciekawostek. Czy Semiramida używała chustek do nosa? Czy matka Alcybiadesa blondynką była, czy brunetką? W jakich słowach pierwszy kompliment Marek Antoniusz Kleopatrze powiedział? Jak była Katarzyna de Medicis ubrana w dzień rzezi św. Bartłomieja? Jakiem dzieckiem był Robespierre do siódmego roku swego życia? czy płakiwał i o co płakiwał, czy się kłócił i o co? jak się kłócił z innemi dziećmi? czy pieścił się z matką? Gdybym też mogła Dżyngis-chana widzieć przed sobą w naturalnej postaci, w powszednich sprawach codziennego życia! jeśli

był smutnym kiedy? lub rozrzewnionym? Co też Filipowi II śnić się mogło, gdy zasnął po jakiej *autodafe* uroczystości? i t. p. i t. p.

Z fatalizmów różnogatunkowych pytam: czemu Cezara zamordowano, Henryka IV zamordowano, a Oktawiusz po długiem życiu spokojnie umarł imperatorem? Czemu Hoche, Dessaix, Marceau, Sułkowski tak młodo poginęli, a Marmont przeżył Bonapartego i Sabastiani własną córkę swoję? Czemu św. Wincenty a Paulo musiał szpitale dla podrzutków zakładać, a Zygmunt August bezdzietnie zstąpił do grobu? Czemu? czemu? Czemu ci moi nie idą razem, a ci niemoi tak silnie za ręce się trzymają? Czemu ten niedołęga drze się do znaczenia, a ten zdolny i poczciwy nie ma dość rzutkości, by na przodzie stanąć? Czemu ten może, a nie umie? ten umie, a nie może? Czemu jest smutnym on kochający i kochany? czemu wesoły tamten, co łzy wycisnął? Czemu Grześ się urodził? Czemu Antoś ożenił? Czemu Pawełek umarł?...

Mnóstwo całe tym podobnych zadziwień moich nabok usuwam, lecz są inne, bliższe, właściwsze; tych usunąć niepodobna; są ciągle zemną, wemnie, są mną.

Czemu to tam, nie tutaj? czemu wtedy, nie teraz? czemu teraz, nie wtedy? czemu zawcześnie? czemu zapóźno? czemu nigdy? Czemu uważam na tej szpileczki ukłócie? czemu się takim drogim klejnocikiem nie cieszę? Czemu zapragnęłam tego, czego mieć nie mogłam? Czemu nie dosyć wyzyskałam to, co mi było podarowane? Czemu popełniłam tyle złego, chociaż nigdy złe ani celem, ani powodem zamiarów moich nie było? Czemu nie wykonałam najdrobniejszej cząstki nawet tego dobra, które szczerze jednak i odważnie przedsięwzięłam? Czemu jedni mi wymyślają od idealistek, drudzy mię o prosty realizm skarżą? Czemu konwalii nigdy sama osobiście w żadnym lesie nie znalazłam, a pokrzywami w starannie nawet uprawnych ogrodach tyle razy ręce sobie poparzyłam? Czego chce odemnie ta balsamina? czego ja chcę od tego słonecznika? Dla-

czego pani Heloiza przyszła właśnie wtenczas, kiedy tak swobodnie z moją Manuelitą rozmawiałam? Dlaczego pan Michał nie zastał mię w domu? dlaczego zastał pan Fryderyk? Za co mię pewna koterya nie lubi?... a za co ty mię kochasz, czysta, bogata duszyczko?

Ależ dosyć, dosyć o tem — myślałby kto, że mu się o rozwiązanie tych wszystkich supełków przymawiam; ja zaś „taksobie,“ na ćwiczenie w pokorze niektóre bliższe do pamięci zwołałam i na ulżenienie sercu, bo już we dwoje się łamię pod takim ładunkiem. Nic dziwnego, gdy potem od cudzych paczek uciekam. Bezmiar tych pytań, z któremi sama się noszę, wystarczyłby na trzy zadługie życia, ludzie jednak przez pustotę, nieoględność, lekceważenie razporaz nowych dorzucają. Zaciągną biedną duszę w rozmowę? buch! z rozmowy pytanie wypryskuje. Biedna dusza przylega do jakiejś sympatyi swojej, wnet o pytanie, niby mucha o szklaną szybę zamkniętego okna, uderza. Biedna dusza ma przyjaciół, pytają; ma nieprzyjaciół, pytają. Uczniowie pytają mistrza, pytają faryzeusze; pytają jej o nią, o siebie...

Ach! gdybym umiała odpowiadać! gdyby mi starczyło rozumu przeciw wątpliwościom, siły przeciw utrudzeniu, cierpliwości przeciw złej wierze, poświęcenia przeciw grzechom, świętości przeciw bluźnierstwu, na każde zawołanie stawiłabym się z sakramentalnem słowem, ale ja nie umiem, mnie na nic nie starczy! Zarażam się tylko coraz gorzej epidemią niepewności. Syntezy mozolnie uklejone, prawdeczki w pocie czoła uzbierane kruszą się i rozsypują od potrącenia obcych zagadnień. Do mojej własnej przybywa cały dowóz zewnętrznej cudzej ciekawości. Jeśli nie śpię potem, ciągle czegoś ciekawą być muszę.

Ciekawą na śniadanie, ciekawą na obiad, ciekawą na wieczerzę, ciekawą w cierpieniu i w radości; ciekawą w chorobie i w zdrowiu, ciekawą gdy przechodzę przez ulicę, ciekawą gdy siedzę na moim zielonym fotelu. Ciekawą bez wypoczynku, ciekawą bez

obietnicy rozpoznania; ciekawą aż na śmierć i do śmierci.

Oj! ta Marynka, jakiego mi ona kłopotu napędziła!... Z pokorą wyznać tu muszę, że wtedy jeszcze, już w bardzo dojrzałych latach, niezupełnie się otrząsnęłam z dwóch młodocianych słabostek. Najpierwej z wiary „w siłę przekonania“ — a potem z osobistego współudziału we wszystkiem, co spotykało lub spotykać mogło bliższe mi pojęciami i przyjaznym stosunkiem osoby; byłam, co się zowie, ultra we wszelkich odcieniach solidarności. Niechże mię tylko nikt nie posądzi, żem się teraz wiary w prawdę wyrzekła dlatego, żem o czynnej sile przekonania zwątpiła: lub co gorzej, że jestem obojętniejszą na przygody moich ukochanych dlatego, że się wcale do ich spraw nie mieszam. To są nader różne rzeczy. Moja dawna wiara w siłę przekonania okazała się poprostu niepraktycznem zastosowaniem zbyt ogólnego aksyomatu, że ludzkie błędy i zdrożności, a tem samem ludzka dola i niedola, z braku jedynie właściwego sądu o rzeczach wynikają. Złodziej kradnie, łotr rozbija, pan X. kłamie, pani Y. chłopców bałamuci, państwo Z. ludzi krzywdzą i wszyscy inni, co źle postępują, to pewnie sobie złe przekonanie wyrobili. Gdyby im świeczkę dodatnią w mózgu zapalić, a światło jej na trafny punkt skierować, gdyby, krótko mówiąc, przekonać ich o czem, wnet zmienią swój sposób życia, poprawią się, udoskonalą i będą najlepszemi w świecie istotami. A ty, przekonywający, czy sam najlepszym jesteś?.., Nie zwróciłam na tę arcy-ciekawą, choć arcy-konsekwentnie podsuwającą się kwestyą dostatecznej uwagi. Wyobrażam sobie ciągle, że nasze wady i przestępstwa są zawsze tylko „niepoznaniem prawdy,“ i za to dzisiaj wstydzę się należycie.

By młodszym odemnie, lub równie nieoględnym podobnego wstydu oszczędzić, pozwalam sobie nawiasową wtrącić tutaj uwagę.

Złe niekoniecznie bywa brakiem przekonania o prawdzie; najczęściej jest ono prawdą jasno widzia-

ną, jest czasem i uznaną prawdą, tylko zatrudną, lub odepchniętą; prawdą której nie umiemy wykonywać, której nam się nie chce, która w przywyknieniach i skłonnościach naszych odpowiednich sobie nie znajduje narzędzi, lub prawdą wyraźnie wstrętną, która znajduje w osobistości naszej tak przeciwne sobie żywioły, że z wyboru, z całej siły naszej woli wzgardzoną i odępchniętą zostaje. Złe więc jest niedołęztwem lub szatańśtwem. Mój Boże, jakby to gładko szło życie, jak symetrycznie, równiuteczko snułby się wątek historyi powszechnej, gdyby ludzie jedynie według zasad złych lub dobrych działali, gdyby przekonania o ich cnocie lub zbrodniach stanowiły. Toż każdy student, a cóż dopiero profesor uniwersytetu, byłby wzorem obywatelstwa, każdy autor moralny wcieloną moralnością, każda poezyą wzruszona kobieta gotowym do wzniosłego poematu materyałem. Przed kratkami sądów kryminalnych stawaliby sami ciasnej głowy i nieokrzesanego umysłu zbrodniarze, a byle całą kulę ziemską dobremi elementarzami zasiać, wymownymi głosicielami prawdy obesłać, to i występek zniknie i era złotego wieku się otworzy!...

Niestety, najgorzej z tem właśnie, że zasady i przekonania tak mało dotychczas wpływu na nas wywierają; najsmutniej, że się tak z naszą nuturą, z kompleksyą naszego organizmu krzyżują; najkłopotliwiej dla badacza i prawodawcy, że tłumy przeważnie z takich są złożone jednostek, co idą wbrew przekonaniu, albo pomimo swego przekonania, albo nie dbając wcale o swoje przekonanie.

Co zaś do zbyt żywego współudziału w czynach moich przyjaciół, do tej niedyskretnej troskliwości, która nietylko martwi się i cieszy sympatycznie, ale która upomina, radzi, przestrzega, oburza się czasem, rozżala i zażala — ta niemniej była fatalną wynikłością trochę skrzywionego sylogizmu. Bodajby nigdy nie mieć do czynienia z uczuciową kobiecą logiką!... Ponieważ każda pomyślność moich ukochanych, każdy piękniejszy objaw ich szlachetności tak mię radował,

jak gdyby w mojej własnej biografii zaszłe zdarzenie, a za każdą ich niedorzeczność, za każdą sprowadzoną na samych siebie troskę, jak za grzech osobisty odcierpieć i odpokutować musiałam, więc ztąd wyprowadziłam wniosek, że mam prawo, ba! obowiązek nawet, tak ich jak siebie pilnować, tyle od nich przynajmniej, ile od samej siebie wymagać, rzeczywiście zaś wymagałam daleko więcej, bo wszyscy prawie zamożniejsi byli zdolnościami i sposobnością. Dziwny jakiś pedantyzm utilitarny kierował mną w najserdeczniejszych stosunkach moich. Żądałam zawsze, aby coś na coś się przydało. Niedość mi było, że trochę życia, trochę pracy, trochę może prawej intencyi przydało się na osiągnięcie wielkiego już szczęścia, kiedy na osiągnięcie, choćby tylko we własnej duszy, przyjaznego uczucia... Są ludzie tak bez spoczynku drażnieni zazdrością, nienawiścią, wrażeniem krzywdy doznanej, a ja miałam wrażenie słodkie, wdzięczne, radosne, ja miałam przyjaźń życzliwą i nie dość mi na tem było, chciałam jeszcze żeby przyjaźń procentowała. Na cóż przyjaźń zda się? mówiłam często wtedy, na cóż, jeśli nie wesprze i razem nie zapracuje na dobre powodzenie, na obfitsze doskonałości żniwo? Dopiero później ciężkie a nieudatne próby o błędności tego rozumowania mnie przekonały. Nazbierałam tylko gorzkich zawodów i zniechęceń, rozbiłam się o tyle bezskuteczności i tyle parodyj niby-skuteczności, że gdybym się dość w porę jeszcze nie była upamiętała, to doprawdy nie wiem, na czemby się skończyło — na pustyni chyba. Znowu dla młodszych zatem przestrogę tutaj wpisuję. Serca i sumienia odpowiedzialność najbezpieczniej jest kodeksowemi stosunkami ograniczyć. Niech rodzice pilnują dzieci, nauczyciele uczniów, przełożeni podwładnych, ale my przyjaciół naszych nie pilnujmy; kiedy ich kochamy, to już na ryzyko nasze musimy przyjąć wszelkie zyski i długi naszego wspólnika — choć nas palec zaboli, gdy on swoim nieoględnie żarzących węgli dotknie, zrównoważmy ból nasz w rachunkach jakąś przyjemnością, której doznaliśmy n. p. gdy czarę

ambrozyi wychylił, lub karatowy dyament ze swej Minas Geraes wykopał — a choć nawet ambrozya nie bardzo mu smakuje, lub dyamenty karatowe rzadkie w państwach jego, to jeszcze i za to bądźmy wdzięczni, że go kochać możemy, gdy moglibyśmy jedno zero więcej na obfitość dopisać, albo, co daleko przykrzej, jednostkę do wielu cyfr niecierpliwiących nas dodać. W ostatecznościach prócz tego zostaje nam nieograniczona wolność rozwodu.

Muszę sobie oddać tę sprawiedliwość, że gdy mię list Marynki doszedł, nierozsądne moje usposobienie już się ku schyłkowi przechylać zaczynało. Coraz częściej nagabywały mię różne wątpliwości, ale te wiodły nieraz ku nowym pokuszeniom tylko. Zdawało mi się, że jeśli moja zapobiegliwość tak niepotrzebną lub szkodliwą się okazywała, to pewnie dlatego, że się niezręcznie brałam do rzeczy, zawsze według znanego wyrażenia: poprostu z mostu, a przecież należało się i zboku zajść niekiedy, i w bawełnę głogowe gałązki poobwijać, i miodem łyżeczkę gorzkich kropli wysmarować i piołunem niezdrowy cukierek zaprawić; postanowiłam tedy być zręczną. Gdyby żółw w bajce Lafontena uwierzył i chciał z zającem się ścigać, tobyśmy równie szczęśliwie przedsięwzięcia nasze wykonali. Miałam się o tem wkrótce bardzo dowodnie przeświadczyć...

Z dobrą wiarą, godną ważniejszej sprawy, przyjęłam fantazyjno-liryczne zapytanie Marynki. W pierwszej chwili zmartwiłam się, że Marynka potrzebowała pytać—pytać o takie rzeczy, które powinna była z natury własnego serca rozstrzygnąć. Tuż na końcu pióra zawisła mi patetyczna odpowiedź, lecz w drugiej chwili przyszły mi na myśl wszystkie uwzględniające jej położenie okoliczności, a w trzeciej już nad tem zastanawiałam się jedynie, jakim sposobem najtrafniejby można ustrzedz od rozbicia tę piękną, choć mętną trochę osobistość. Dla mnie wówczas było to stanowczym pewnikiem, że Marynka tylko w małżeństwie z miłości zawartem uzupełni i rozwinie swoje

zdolności, ujmie w pewną harmonią składowe cząstki swej istoty i wytworzy z nich nakoniec rzadką a pożądaną całość. Dotychczas była zbiorem różnych przymiotów i skłonności, brakowało jej najogólniejszego ich objęcia i tytułu — tego, co to charakterem zowią. Zły czy dobry, charakter jest zawsze dość kosztowną osobliwością. Świadczy o stopniu wolnej woli, rozgranicza jednostkę naszę od wspólnych gruntów człowieczeństwa, daje nam właściwość naszę w wyłączne posiadanie. W ludziach najczęściej wady i zalety bez żadnego cementu zsypane, jak garstka żwiru w woreczku, ani ogniem niestopiona, ani wilgocią na jednę bryłkę nieukształtowana, ztąd niewytrwałość, zawodność, bezcelność i zmienność. Marynka także miała dobre serce osobno. Wielkie tylko uczucie zdolnem było, niby zwierciadło Archimedesowe, skupić rozbiegłe promyki jej duszy, zamalgamować w gorącu swojem mnóstwo metalicznych ułamków, a na obowiązku osadzone, dać jej miejsce i podstawę do pracy. Byłabym życiem, mieniem i tabliczką Pitagorasa ręczyła za nieomylność tych wniosków. Lecz cóż ztąd? jeślibym powiedziała bez ogródki: „Marynko, nie chodź za mąż, póki wyłącznie kogo nie pokochasz,“ toby miało wartość jednego votum w sądzie przysięgłych z trzynastu osób złożonym. Rada przeciw radzie niewiele znaczy. Trzeba, żeby Marynka sama znalazła słowo ostatecznego wyroku, ale jakim sposobem jej to ułatwić? Słyszałam i czytałam, że z wielkiem powodzeniem używano w wielu razach metody, którąby reperkusyjną nazwać można. Broniono fałszu, by dowieść prawdy; zakazywano, by większą chęć wzbudzić; przeczono, by potwierdzenie uzyskać. Nie mogłam się zupełnie na podobną przebiegłość rozgrzeszyć, czułam zresztą, że jej nie podołam, lecz przynajmniej umyśliłam sobie lekką od tego systematu zaciągnąć pożyczkę. Wiedziałam, że z Marynką w żadne czułości wdawać się nie warto, bo skutkiem różnych wpływów i kombinacyj losowych, przeciw wszelkim czułościom zawsze odpornie, sztywno, nieufnie się trzymała. Niechbym

tylko zaczęła o ideałach prawić, biedne dziecko uśmiechnęłoby się i rzekło: „romanse,“ lepiej więc mógł skutkować twardszy do zgryzienia, choćby trochę gryzący i szczypiący antydot, dlatego odpisałam tak:

„Moja prześliczna Marynko! Czy jest grzechem bez miłości pójść za mąż?... najpierwej Katarzyna Aleksandryjska ci odpowie, że jest wielkim, wielkim grzechem, bo w przysiędze sakramentalnej przed ołtarzem każda oblubienica wyraźnie musi powiedzieć te słowa: „Ślubuję ci miłość,“ jeśli więc ślubuje miłość, nie miłując, krzywoprzysięstwo popełnia.

A teraz nie Aleksandryjska Katarzyna, lecz twoja powszednia Kasia równie szczerze ci wyzna, że na tym świecie wszystko jej się bardzo względnem ukazuje, szczególniej też prawo moralne wobec antropologii. Małżeństwo jest prawem moralnem, lecz miłość jest kwestyą antropologiczną. O ile mniejwięcej naukowo rozważać ją zechcemy — mniejwięcej naukowo, Marynko, bo zupełnie naukowo to i twoję, i moję i wielu innych bieglejszych nawet miarę jeszcze przechodzi, ale tak na mniejwięcej biorąc, spostrzegamy odrazu, że kobiety wszystkie na trzy gromady, czy jak ci się podoba zatytułować, na trzy klasy, na trzy królestwa podzielić można, istnie jako w elementarzu się uczyłaś, że twory ziemskie dzielą się na królestwo rzeczy kopalnych, roślin i zwierząt. Kobiety, trochę odpowiednio, tyko w odwrotnym stosunku co do stopnia wyższości, przedstawiają: najniższe królestwo zwierzęce, prawem sąsiedztwa w łańcuchu natury do zwierząt bardziej zbliżone; drugie królestwo roślinne, trzecie, ot dla uzupełnienia trylogii, a szczególniej dla podobieństwa z dyamentami, które są rzadką i najczęściej skrystalizowaną materyą, trzecie pozwoliłam sobie mineralnem nazwać. Gdyby ci takie rozporządkowanie do smaku znów nie przypadło, to z innej strony je wezmę, ze strony dziejowej. Są rasy przedhistoryczne, są już historyczne pogańskie i są tworzące się obecnie chrześciańskie; albo

też: są dzikie, są barbarzyńskie. są cywilizujące się; albo etnograficznie: są czarne, żółte i białe; albo geograficznie: afrykańskie, polinezyjskie, azyatyckie, europejskie; *ad libitum* możesz dobierać nazwisk i oznaczeń, zawsze od tego lub owego punktu wychodząc, ten sam główny troisty podział napotkasz. A jednak pewna jestem, że, wyrósłszy z elementarza, Marynko, czytałaś już gdziekolwiek o płonności wszelkich podziałów. Rzeczywiście nic nigdy stanowczo oddzielonem nie jest. Masy z masami się spływają, jedne na drugie zachodzą, jedne w drugie mnóstwem szczegółów wnikają. Korale tworzą głazy, gąbki rosną jak drzewka maleńkie, mimoza się rusza trochę, a dionea nawet muchy łapie. Tak i działy antropologiczne różno-gatunkowych kobiet w ogółach tylko cechowe zachowują własności; w szczegółach łączą się i mieszają. Dla ogółu najniższego królestwa to jest cechą niestartą, że w stosunku z mężczyzną, kobieta przedhistoryczna, dzika, zwierzęca, bez wyłączności i bez wyboru zmienia przedmiot popędów swoich. Świadczą o tem wyspiarki Oceanii, Murzynki gwinejskich brzegów i tym podobne okazy przechowane do dnia dzisiejszego pierwotności, resztki jakieś, zabytki, które o wiekach niezapamiętanych przez analogią wnioskować dozwalają. Gdybyś komu te słowa do przeczytania dała, możeby ci powiedział, że nie godzi się młodej osobie, choćby w pierwszym roku jej pełnoletności, o takich kobietach wspominać, lecz według mego przekonania, kiedy właśnie ta młoda osoba stanowczo i nieodwołalnie za mąż się wybiera, to owszem, bardzo się godzi, aby w swojej kobiecej naturze rozpatrzyła się z zastanowieniem, aby żadnym wpływom, żadnym skłonnościom bezświadomie na czyny swoje oddziaływać nie pozwoliła. Jest i o takich kobietach wiadomość potrzebną, nie wyginęły one zupełnie wczasie wielkiego potopu, ani też nie ocalały na samych wyspach mniej znanych, lub pod zwrotnikową strefą. Jak wiele twarzy kałmuckich z wystającemi policzkami spotykać się daje wśród rodzin czysto

kaukazkiego pochodzenia; jak wiele chińskich oczu wśród ludzi, których protoplaści o Chinach nie słyszeli nawet; jak wiele ciemnych plam piegowych na bardzo białej skórze różnych blondynek, któreby się niemało zadziwiły, gdyby im powiedziano, że są ukropkowane tym samym farbnikiem, co skórę Negrów czerni; jak wiele zresztą gąbek i koralów wśród zwierząt, a mimoz łapiących muchy wśród roślin—tak wiele, jeśli nie więcej, kobiet z przedpotopową naturą do czasów naszych przetrwało.i w warstwach naszej społeczności żyje i chodzi po bruku europejskich stolic, a niektórzy mówią nawet—po kobiercach i gobelinach. Lecz przypuszczam, że ich nie znamy. Może tak trochę w już poprawnych kategoryach — bo są jeszcze kategorye. Marynko, nie zapominaj o tem, są w gromadach rzędy, w rzędach gatunki, w odmianach jeszcze subtelniejsze odmiany; więc i od kobiety czysto polinezyjskiej organizacyi, od kobiety zdolnej się łączyć ze wszystkimi, dojść można do kobiet, które tylko zdolne niekoniecznie jednego ukochać, może dwóch na raz, może trzech, pięciu upodobać sobie koleją, a może tylko jednego tylko właśnie bez wyboru, kabalistycznie, jak się czasem wyrażają, namiętnie, jak ja postaremu zwykłam mówić. Namiętność ślepa, bezrozumna, szalona jest koroną i najwyższem uszlachetnieniem, do jakiego wznieść się może zwierzęca natura. Między instynktem a namiętnością czepiania się po szczeblach przejściowych różne drobne skłonnostki, nieuświęcone moralną przyczyną, wywołane młodego życia rozwojem, jakąś okolicznością zewnętrzną, jakim nerwów nastrojem. Jedna wzdycha za Arturem, co jej rękę ścisnął w kontredansie, druga za Gustawem, którego częściej od innych widuje, ta się rumieni na grzeczne słówko Edwina, tamtej serce bije na widok posągowo o konsolę wspartego Edgara: wrażenie, rozmarzenie, zabawka i romans, to wszystko piegi, moja Marynko, to wszystko te same cząstki składowe, które krew Polinezyanek przepełniają. A co z niemi zrobić, jeśli są? Przede-

wszystkiem nazwać je sobie trzeba, Marynko kochana; dalej moja ogólna rada nie sięgnie, bo dalej wszystko od stopnia innych władz indywidualnych zależy. Bez mojej pomocy łatwo się domyślisz, że inaczej z niemi sobie poradzi lękliwa hipokrytka, a inaczej zuchwała buntowniczka, inaczej rozumna, inaczej głupia kobieta—inaczej taka, co ma kogoś poza sobą do ukochania, inaczej egoistka. W niektórych uczucie obowiązku lub potrzeba towarzyskiego i własnego szacunku górę weźmie nad zmysłowością, inne śmiało ją przyjmą na swoję odpowiedzialność i zostawią ludziom wspomnienie greckiej Aspazyi, lub francuskiej Ninony. Grzech i zasługa to wolnej woli prawa, tylko nieszczęście zawsze bezświadomej woli jest skutkiem. Nie ręczę ci też, moja droga, że kobiety wnet lepsze będą, jak się tylko lepiej same w sobie zrozumieją, ręczę tylko, że wiele będzie szczęśliwszych... to jest przynajmniej, bo mi bardzo chodzi o ścisłość wyrażenia: mniej nieszczęśliwych będzie.

Drugie królestwo przedstawia nam kobiety roślinne, kobiety już przez wybór mężczyzny zmonopolizowane i zamknięte czy w gineceach greckich, czy w haremach Wschodu. Postrach i narkotyczne miękkiego życia wygody zmuszają je do wierności, więc też od pokolenia do pokolenia zdolność wierności rozwija się w naturze. Kobieta roślinna, kobieta pogańska, kobieta barbarzyńska, a geograficznie mówiąc azyatycka kobieta, ma taką naturę, że już umie na jednym związku poprzestać, jednemu oddać się tylko, jednego ukochać nawet. Przeczytaj wszystkie Szeherezady powieści, dostarczą ci one daleko ciekawszych psychologicznych w tej mierze studyów, niż opisy wielu podróżników, lub prawnicze uwagi i spostrzeżenia książkowych badaczy. Tam bez uwag, bez sądów rozwija się przed tobą dusza Wschodu i czytasz ją wyraźnie w jej własnym języku, to jest w jej własnej moralności, w jej własnych skłonnościach i pojęciach. Długo bardzo miałam to przekonanie, że typ wscho-

dniej kobiety jest typem niewolnicy, że to jest ta, której kochać wzbroniono, której pieścić kazano, która zazdrosną być tylko może o względy, o podarki, o wpływy, ale nigdy o uczucie wyłączne. Myliłam się wtedy, moja Marynko; jest ona trochę taką, ale jest i trochę inną prócz tego. Ma już zdolność wierności rozwiniętą i do pewnego stopnia wyidealizowaną, ma zdolność ukochania jednego, tylko owym *jednym każdy* być może; seraskier czy derwisz, żebrak czy padyszach—prędzej wprawdzie młody niż stary, piękny niż brzydki, ale zresztą każdy kto ją weźmie, lub kogo pierwej ujrzeć się jej zdarzy. Kupienie i spotkanie przypadkowe, to związek, to treść wszystkich z Tysiąca nocy i jedna powieści. Jako więc Polinezyanka dla wszystkich, tak według gromadnej cechy Turczynka dla każdego; złączyć się z pierwszym lepszym jest dla jej organizmu rzeczą podobną, nie zmienić się później jest także podobną, lecz główną odróżniającą cechę stanowi przedewszystkiem wyłączność bez wyboru. Tutaj sama łatwo dopatrzysz mnóstwa Turczynek, Gruzyanek, Persanek koło siebie, mnóstwa niezamykanych, nieopłacanych kałymem, ale czystej azyatyckiej rasy kobiet. Wszystkie swatane, wszystkie z rozkazu za mąż idące, wszystkie stanem panieńskim zastraszone, wszystkie gotowe, jak w proroku biblijnym napisano, wołać: „własną pracą żywić się i własnem odzieniem przyodziewać się będziemy, tylko niech będzie mianowane imię mężowskie nad nami,“ wszystko to azyatyckie, przedchrześciańskie temperamenta, Marynko. Są i między niemi pewne już, które symptomata wyborczości okazują, ale na bardzo rozległą skalę. Jedne n. p. przyjmą tylko synów obywatelskich, inne tylko właścicieli od pewnej sumy wzwyż, a jeszcze inne tylko mówiących gładko obcemi językami, jeżdżących zręcznie na koniach. Niemniej przeto cały jeden departament towarzyski z samych „każdych“ dla nich się składa.

Nakoniec w trzeciem dyamentowem królestwie

kobieta natury cywilizowanej, chrześciańskiej, potrzebuje *wyłączności* i *wyboru* zarazem. Nie wszyscy, nie wielu, nie każdy lub pierwszy lepszy, tylko ten, a nie inny dla niej. Religia, kodeks cywilny, prawo zwyczajowe, wszystko się do tego punktu stosuje, chociaż on tak rzadko jeszcze osiągniętym bywa. Czy słusznem czy niesłusznem jest takie położenie rzeczy, to zupełnie inna sprawa. Dość że jest, nie zmienimy go, Marynko, w czemby na dziś zmienić potrzeba, a gdyby zmienił kto inny, toby może okazało się niewystarczającem dla tego, co kiedyś być powinno. Sprzeczność ustawy z rasowością jest wielu nieszczęść przyczyną, ale też zaprzeczyć niepodobna, że ulepszenia rasowości wielkie rękojmie daje. Gdyby Grecya, Rzym, Azya, Egipt, Marokko pierwotnej organizacyi kobiet nie zamknęły na klucz i pod nieograniczony zarząd ojców i mężów nie oddały, tobyśmy nie mieli kobiet roślinnych, ślicznych powojów oplatających się koło monarchicznych dębów i buków, ani jemioły cnotliwej, wieńczącej skronie bardów, ani sosny-matrony, głęboko w grunt obowiązków swoich zakorzenionej, ani Lii, ani Rebeki, ani Chelonidy, ani Kornelii, ani twojej prababuni, ani wielu naszych bardzo zacnych i czcigodnych znajomych. Gdyby tedy nie było dzisiaj surowej odpowiedzialności w losie i w opinii za złe małżeńskie pożycie, za każdy nieszczęśliwy i zmieniany wybór, za każdy *niewybór* poczęści, toby nigdy może uczucie idealnej, z wyłączności uznania złożonej miłości odpowiednich sobie, a do istnienia koniecznych nie znalazło warunków. Dotychczas wprawdzie skutki złego wyboru, powiedziałabym prawie że powinność wyboru przeważnie na kobietach ciąży; od nich się domagają cnót domowych i szczęścia domowego, prędzej sarkazmem cisną kobiecie, która idzie za głupca, niż mężczyźnie, który się z gąską żeni, a jednak możliwość wyboru ogranicza się dla nas możliwością odrzucenia, ztąd nawet wiele cierpień, niepokojów, nieporozumień, ale, bądźcobądź,

by choć w najdalszej przyszłości wolnością przywołania się stało. Los królowej z księciem małżonkiem nie do pozazdroszczenia, wszak prawda, Marynko? Przypuszczam jednak, że gdy się upowszechnią natury cywilizowane, to się upowszechni znajomość; więcej będzie Juliet, więcej Romeów.

Jednostki cierpią tymczasem, niechże więc same o siebie się kłopoczą, niech sobie doraźnie na swój użytek tworzą okoliczności, bo innej rady dla nich niema. Jeśli bierna roślinność w ich usposobieniu przeważa, to samo zabezpieczeniem stać się powinno. Kobieta, dla której obojętną jest rzeczą iść za tego lub owego, tem rozsądniej może się zastanowić, by raczej za lepszego, niż za gorszego poszła, i gdy jej samej na osobistym charakterze przyszłego męża nic osobiście nie zależy, by właśnie tem surowiej charakter przyszłego ojca swych dzieci oceniła.

Zresztą nic więcej nawet tobie, Marynko, powiedzieć nie mogę. Mogę tylko po przyjaźni główne zadanie ułatwić ci trochę i razem z tobą rozejrzeć się w gatunku twej osobistości.

. . . .

Rzecz wiadoma, że mam skłonność do podstawiania wysokich piedestałów ukochanym moim, więc i ciebie na kolumnie bodaj czy nie Zygmuntowskiej umieściłam, Marynko. Wiedziałam, że choć młoda, piękna i nieraz hołdami mężczyzn otoczona, żadnego z nich nie wyróżniłaś. Dotychczas byłam pewna, że jesteś, że należysz... Dotychczas nie wątpiłam...

. . . .

Nie gniewaj się na mnie, nie gniewaj na przeznaczenie twoje, ale mi się zdaje, że do rzędu kobiet

roślinnych należysz. Niema w tem nic upokarzającego. Jak nie zadysponowałaś rysów swej twarzy i koloru oczów swoich, tak nie jesteś za ustrój twego organizmu odpowiedzialną. Roślinny ideał niezależnej kobiety po mężku stawia sobie cel inny, małżeństwo jako zewnętrzną okoliczność uważa.“

. . . .

III.

„Nim ostatecznie przekonanie twoje podzielę, nie Katarzyno i nie Aleksandryjska, pozwól jeszcze kilka drobnych wątpliwości usunąć. Bardzo już dawno nie czytałam żadnego traktatu o moralności dla kobiet, ani o wychowaniu kobiet, ani żadnej filozofii dla kobiet: mam jednak pewne niewyraźne przypomnienie, że tam zupełnie co innego, niż w twoim liście stoi. Wszakże nigdy ślepej wiary nie wymagałaś odemnie, pewnie więc i teraz nie obrazisz się, że chcę porównać, rozważyć, a nawet być do tego stopnia ucywilizowaną, że wybrać to, co mi się lepiej spodoba; z całą też ufnością proszę cię, moja łaskawa i kochana, wystaraj mi się kilka dzieł poważnie kwestyą miłości i małżeństwa kobiet traktujących. Czy to z dawnych wspomnień, czy z rad kiedyś zasłyszanych, czy nareszcie z mego własnego natchnienia po przeczytaniu twego listu — przepraszam, to nie był list, to nie było serdeczne, rozjaśniające i rozcieplające słowo dla

twojej Marynki, to była notatka tylko, wyciąg z medytacyi, sumaryusz naukowej rozprawy. Po przeczytaniu zatem sumaryusza twego, ciągle mię ta myśl nagabuje, że jeśli ,,wybór" jest świadectwem ukształcenia i wyższej cywilizacyi, to prócz wyboru z miłości, z popędu, z rozfantazyowanej gorączkowej choroby, przesilenie młodego organizmu koniecznie być musi — wybór z szacunku, górujący nad zmiennością wrażeń, nad ułudami namiętności, wybór jedynie godny kobiecego serca, jedynie dowodzący kobiecej cnoty i zabezpieczający kobiecie szczęście. Ot widzisz, moja znów Katarzyno i znów Aleksandryjska, jak to dobrze rozmówić się, choćby nie zgodzić z tobą. Dotychczas brakowało mi stałego ideału, przed ideałem zawsze z pokorą głowy uchylam, do ideału zmierzać każdego świętą powinnością być mniemam; ale cóż było robić? szczególniej pod tym względem małżeństwa nie miałam stałego ideału. Dzięki twej notatce, zdaje mi się, że go sobie wyrabiać zaczynam: wybór i małżeństwo z szacunku! Kto wie, czy pan Filip dobrze na tym nie wyjdzie. Zastanawiałam się nad panem Filipem wczoraj od ósmej do wpół do dziewiątej zrana przez cały czas, kiedy mię Marysia czesała. Nie mogłam znaleźć żadnego powodu, któryby mię do nieuszanowania pana Filipa upoważnił. Idzie już tylko o to, bym znalazła powód, któryby mię do szanowania skłonił. Nie lękaj się jednak, nie nastąpi to zbyt prędko, mam czasu dość przed sobą i nie zaczęłam się spieszyć. Ale choć ja się nie spieszę, ty, moja droga, przesyłki żądanych książek nie opóźniaj; bardzo cię proszę, wybierz co „najważniejsze" w opinii ludzkiej... i choćby w czytaniu.

Jakkolwiek znasz moje nieszczęśliwe usposobienie, że mię centnarowa ważność trochę przestrasza, nie miej na to żadnego względu; od pani Necker de Saussure do filozofa niemieckiego wszystko jestem gotowa osobiście, nie przez prokuracyą, przeczytać. Wbrew przyjętemu zwyczajowi, nie złożę tego na twoje barki; na sprawozdaniu, ekstrakcie i sensie

moralnym z pracy twej własnej i sumienia twego własnego nie poprzestanę, tak jak wtedy na przykład, gdy cię poprosiłam, żebyś za mnie przeczytała o „Prawodawstwie słowiańskiem“ i w kilka wybitniejszych szczegółów, równie jak w parę rozumnych poglądów, zaopatrzyła mię na wieczór do państwa L.. gdzie przewidywałam długą uczoną mniejwięcej na ten temat rozmowę, bo właśnie z uniwersytetu powrócił syn domu, świeży prawnik, z którym pani L. rada była przed wszystkimi się chwalić. Czy pamiętasz, Kasiu, łajałaś mię, że się nad jej miłością macierzyńską nie rozczulam; trudno było, kiedy mi raz wyliczać zaczęła, ile to książek, a jakie grube książki jej syn czytuje, nietylko nowelle same.. bodaj czy nie wyobrażała sobie, że nowelle są jakieś powieści prawnicze, ale *Digestye* nawet przeszedł; ledwo utrzymałam moję powagę. Roztropnie też postąpiłam, że się na ów wieczór zapomogłam u ciebie w Ruską prawdę i w Środzkie roki. Zdaje mi się, że ci nawet wdzięczności mojej nie wyraziłam dotychczas za ówczesną pomoc, a miałam tryumf nielada. Przy zdarzonej sposobności wsunęłam coś ostrożnie o prawie miejscowem wobec rzymskiego prawa, i tak ogólnie zniechcenia niby Prawdę ruską i Roki średzkie wspomniałam. Pani L. osłupiała, młody pan. L. jak z kolegą obszedł się ze mną... ofiarował mi pożyczenie daleko ważniejszego i grubszego dzieła niż to nawet, które w mojem zastępstwie przeczytałaś; ulitowałam się nad tobą i wraz z wieloma drobniejszemi, wielu lżejszemi przydatkami odmówiłam. Lecz mniejsza o to — dajmy pokój wspomnieniom, niechaj śpią w popiele. Na ten raz obiecuję ci i przyrzekam, że nadesłane traktaty sama i w całości przeczytam „od deski do deski,“ jak mówi ten nieszczęśliwy Olcio, gdy mu się raz zdarzyło Thiersa o rewolucyi *in octavo majori* przeczytać. Już co wtedy, to nie ja wyrażenie Olcia podchwyciłam, to jej własna szanowna Uroczystość zrobiła spostrzeżenie, że biedny chłopiec nie musi bardzo wiele takich długich historyj od deski do deski czy-

tywać. Ja wszelako przeczytam, ufaj mi, wybieraj i przysyłaj coprędzej.

Bądź zdrowa, życzę ci naszego doskonałego wiejskiego zdrowia. Od czasu jak most praski przejechałam, nie widzę już, dzięki Bogu, chorych koło siebie. Mama prześlicznie wygląda, wujaszek jeszcze trochę więcej przytył, ale dużo chodzi, dużo się poci od czasu, jak swoje fabryki rozpoczął, i wcale prawie nie skarży się już na reumatyzmy. Gdybyś mogła wyszukać jakiego artykułu o tartakach francuskich lub młynach angielskich i mnie troszeczkę z tym przedmiotem obznajmiła, wielkąbyś zrobiła przysługę memu wujowi, bo widzę że lubiłby o tem rozprawiać, a nie ma z kim. Poświęciłam się na parę wycieczek kontemplacyjnych, lecz to ufności jego nie wzbudziło — powiada że wśród gospodarstwa, jak londyński turysta wśród krajobrazów Szwajcaryi wyglądam; nie łaje mię za to wprawdzie i owszem, znajduje, że bardzo mi z tem do twarzy, lecz gdybym mu kiedy zaimponowała jakiem architektoniczno-mechanicznem spostrzeżeniem, nie posiadałby się z radości i bez ceremonii oprowadzałby mnie wśród monumentów swego panowania. Co do mnie, to się domyślasz, że upokarzająco zdrową jestem, nawet dla zaspokojenia ciekawości poznać nie mogę, co to jest zemdlenie, rozdrażnienie nerwów, bicie serca. Ach! bicie serca!... Katarzyno Aleksandryjska, więcejbym ci o tem zadała pytań, niż ty z całą antropologią swoją domyślasz się, a z pewnością więcej niżbyś odpowiedzieć umiała; lecz to nie ma żadnego związku z przedmiotem teraźniejszych moich rozmyślań. Na porządku dziennym jest małżeństwo przez wybór z rozsądku. Ciekawam jaki przeciw temu argument na zimno stawićbyś mogła; wiem, że są argumenta na gorąco W chwili uniesienia, zachwytu i lekkiego pomieszania zmysłów rozbija się baszty rozsądku, wysadza w powietrze fortece cudzych, choćby i własnych doświadczeń, lecz kiedy przyjdzie spokojnie zagaić parlamentowe posiedzenie, ciekawam...

O argument się dopominam, a swoją drogą książek potrzebuję. Czy mnie kochasz, Aleksandryo?“

IV.

„Kocham cię jeszcze, Marynko, i książki posyłam i nawet argument posyłam, choć miałabym prawo uchylić się od tego obowiązku, bo wiem, że ci się na nic nie przyda. Kiedy kobieta zaczyna pytać się o niektóre rzeczy, to już sama sobie odpowiedź daje; kiedy zaczyna wątpić, to już przeczy. Ale zaciągnęłam się z tobą w rachunek maleńki; jak widzę, istotnie zbyt sumarycznie musiałam się wyrażać, kiedy mię w ten sposób zrozumiałaś, że wybór miłości może nie być wyborem szacunku. Zdarza się często, że wybór szacunku nie jest wcale wyborem miłości, ale naodwrót tego zdania przekręcać się nie godzi. Mówiłam zresztą o naturze, o konieczności pewnym usposobieniom właściwej, o ustroju całej indywidualnej jednostki nad dzikość i barbarzyństwo, nad popęd i niewolę wzniesionej; zauważyłam, że takiej (na moję odpowiedzialność „ucywilizowaną“ zwanej) jednostce tylko w warunkach miłości i ideału związek małżeński możliwym bywa, co znaczy, że taka jednostka niezdolna byłaby oddać się na życie całe bez wyłącznej skłonności, bez wyraźnego pociągu, bez przymusu niejako nowych, jedynych, kierowniczych jak magnes, nieustępnych jak prawo rzutu uczuć, ale też w owej cywilizowanej jednostce uczucia nie zbudziłyby się, jeśliby droga ich biegu nie szła ku najlepszości przez pomoc czy przez poprawę, przez podsycenie piękna i cnoty, czy przez ubezwładnienie wad niektórych, przez po-

dźwignięcie z niektórych upadków. Dlatego-to nie dziwię się wcale. gdy cywilizowana jednostka zakocha się w mniej lub zupełnie jeszcze nieucywilizowanej jednostce, jakkolwiek przypuszczam, że to są nader rzadkie zdarzenia, więcej dla swej osobliwości. niż dla przestrogi przez powieściopisarzy na jaw wyciągnięte razem z heroicznemi cnotami w sercu zbrodniarzy, z miłością macierzyńską Lukrecyi Borgii i t. p. fenomenami. Zdarzają się jednak, nie przeczę. ale też i one w niczem prawdzie zasady mojej nie przeczą. Wyższość może się z niższością łączyć, ale skutkiem łączności musi być podniesioną; gdyby zniżenie nastąpiło, toby musiało pomyłki wymiarów dowodzić, wyższość okazałaby się daleko niższą, sfałszowaną świadomie, czy świadomie nadsztukowaną różnemi obcemi dodatkami wychowania. otoczenia, przyjaznych okoliczności, wyższością rzeczywistą gatunkową nie byłaby jednak. Tyle też pociechy jeszcze. co gatunkowej wyższości na świecie. Gdyby nie to przekonanie, że każde gatunkowe dobro w indywiduach i społeczeństwach, każda zdolność i każda szlachetna skłonność w organizm zakorzeniona, w krew przesiąknięta, już nietylko w upodobanie. ale w potrzebę, w warunek szczęścia i bytu zamieniona, nie cofa się nigdy, to doprawdy przy powodzi zepsucia. przy uraganach druzgocących sosny i dęby, rozmiatających perły najczystsze i dyamentowe ziarnka najkosztowniejsze, doprawdy, Marynko, chyba uciec ze świata.

Dzięki Bogu! nie samą tęsknotą wytworzyłam sobie głębokie przekonanie o niewsteczności natury ludzkiej. nie dla złagodzenia różnych bólów i zawodów wiarą uwierzyłam. że raz w piersi człowieka zbudzona nieśmiertelność już nigdy, nigdy umrzeć nie może, raz wcielony ideał już nigdy, nigdy w grób się nie układnie. Nie śpiewałam sobie tej piosnki na sen smaczniejszy po bezsennych paroksyzmach, na utulenie w niecierpliwościach mojej doczesnej wędrówki. Przeciwnie, jest to wielka prawda, od której oczu

odwrócić nie mogłam, którą musiałam wiedzieć, chociaż mię i niecierpliwość dręczyła, i choroba logiki pojęć plątała i wszystkie bóle, wszystkie zawody gorzkim piołunem, zatrutemi jadami napawały... Wyższość się nie zniża, Marynko, wyższość tylko zatrzymuje się niekiedy we wzroście swoim ku niebu i co niższe ku sobie dźwiga.

Może więc kobieta cywilizowanej natury połączyć się z człowiekiem nierównej wartości, ale wtedy musi być pewna, przeczuciem i zamiarem pewna, że mu tejże wartości dopożyczy; w ślizką jednakże, niebezpieczną, a bez miłości zupełnie zawodną puszcza się drogę. Prawdopodobniej też i według częstszego przykładu miłość jej zwraca się ku człowiekowi godnemu miłości, ku bratniej duszy, która z nią do współki na zbawienie pracować będzie, ku mistrzowi, który jej niedokładności sprostuje, jej władze rozwinie, jej skarby zbogaci, aby się spełniły słowa mówiącego, że tym, co mają, danem będzie. Z wielkim szacunkiem jestem dla uczucia szacunku w małżeństwie, nie sądzę go przecież za wszystko starczącem. Jest to bezwątpienia najszlachetniejsza kategorya, do której kobiety oryentalne zaliczyć się mogą, ale zawsze kategorya oryentalnych kobiet, zawsze świadectwo natury nie wyłącznej i od wyboru stanowczego odsądzonej. Przypuśćmy, że zamiast szeregu młodzieńców i dziewic, jako niegdyś podobno w Asyryi bywało, szereg samych godnych szacunku mężczyzn i kobiet ustawiwszy, każą im losy ciągnąć, która któremu się ma dostać; czyż będzie więcej przeto wolność niewiasty zawarowana i szczęście małżeńskiego pożycia zapewnione? Nie, moja droga Marynko; gdyby można same doskonałości zgromadzić, to kto wie zresztą, nie sprzeczałabym się, o doskonałościach trudno wyrokować, bo żaden z żyjących zupełnej doskonałości nie widział. Najszanowniejsi ludzie mają swoje wady drobniuteńkie, ogółowi nieszkodliwe, ale zawsze wady, czasem śmiesznostki ledwo; tymczasem i wada i śmiesznostka zdolną jest ciszę domowego spokoju

zamącić. Że pan Rafał nie jest wzorem porządku, lub że pan Adolf strasznie rozwlekle układa peryody, że galicyjski twój konkurent w liczbie mnogiej wyraża się najczęściej, to nie zbrodnie wcale; wszyscy oni być mogą i wierzę mocno, że są poczciwemi, zasługującemi na szacunek osobami; tobie, Marynko, z łatwością przychodzi oddać im należną sprawiedliwość, wiem prócz tego, że dla p. Rafała masz wiele przyjaznego usposobienia, lecz gdyby ci przyszło dzień po dzień szukać jakich zgubionych papierów i okularów pana Rafała, słuchać dowodzeń i informacyj pana Adolfa, należeć jako nierozłączna składowa cząstka do liczby mnogiej pana Filipa, czy nigdybyś tem się nie znudziła? czy nie poczułabyś się kiedykolwiek upokorzoną i niechętną? Otóż gdybyś kochała, to nigdy. Miłość jest w najczystszym pierwiastku swoim uwielbieniem dobra, cnoty, rozumu, zasługi; lecz w praktycznem zastosowaniu, w dniach powszednich, w drobnostkach minutowych, które godziny i lata przeznaczonego nam do wyżycia wieku składają, miłość jest także osłoną błędów, pięknością najniekształtniejszych rysów, wdziękiem naprozaiczniejszych uchybień. Szacunek może zmusić do wyrozumiałości, rozsądek do cierpliwego znoszenia; ale miłość jedynie przyozdobi, przyswoi, potrzebnemi do radości naszej zrobi te, co innemu zawadzaćby mogły szczegóły. Gdybyś też poszła za pana Jowialskiego, Marynko? Zacny człowiek pan Jowialski, jestem pewna wszelako, żebyś się z nim nader szczęśliwą w dozgonnym związku nie czuła, i ja także i mnóstwo znajomych. A patrz jednak, ta poczciwa pani Jowialska, jak jej dobrze, jak jej wesoło, jak jej się podobają wszystkie jego bajeczki, jak się cieszy każdem przysłowiem, jak po sto razy tego samego konceptu słuchać gotowa i za każdą razą równie serdecznie się śmieje, słuchając Może ci się zdaje, że to z głupoty? mylisz się, moja droga. Wyswataj panu Jowialskiemu pannę (tak przez ciebie nazwaną) Filomelę; nie rozumniejsza przecież, ale powiesz, że kapryśna, to spytaj się Balbiny, czyby go chciała. Zo-

baczysz, i Balbina nie zechce, i Balbina łagodnie skandując sylaby, przypominałaby mu, że to już sto razy słyszała.

P. S. Chciałam razem z tym listem książki wyprawić, ale że mi dwóch i to najważniejszych brakuje, więc na później odkładam. Na przedstawiciela niemieckich opinij wybrałam ci Trentowskiego i żebyś nie utrudziła się zbytecznie, „od deski do deski“ czytając, zaznaczyłam kartki wyłącznie o kobietach pisane. Jako powagę europejską znajdziesz panią Necker de Saussure, a jako naszę powagę dziełko pani Hoffman o moralności, jeśli mi go pewna moja znajoma pożyczy, o czem zresztą nie wątpię, bo choćby we wszystkich księgarniach wyczerpnęły się, a we wszystkich prywatnych bibliotekach wydarły dzieła pani Hoffman, jeszczebym się u tej mojej znajomej spotkać z niemi mogła. Gdy jej powiem prócz tego, że mi są potrzebne dla młodej osoby, którą za mąż wydaję i która chce sobie w tak ważnej chwili jaśniejsze pojęcia o obowiązkach kobiety wyrobić, jestem pewna, że nie tej jednej książki, ale wszystkich, co pani Hoffman drukowała, pożyczy mi z największą przyjemnością. Staram się też, abyś prócz poważności różnych, mogła parę rozdziałów pani Sand z la Comtesse de Rudolfstadt przeczytać; księgarz mi za kilka tygodni sprowadzić ją obiecuje. Pani Sand, jak wiesz, romanse pisze tylko, że jednak wielka o jej dziełach toczy się polemika, że jej taki wpływ ogromny na współczesne kobiety przyznają, więc trzeba się z nią rachować.

Oto masz książki, Marynko moja droga, pierwej niżeś ich się spodziewała zapewne i pierwej, nimby ci je poczta dostawiła. Pani Sand jeszcze nie znajdziesz w tym transporcie, ale bądź spokojna, dopilnuję księgarza, aby nie zwlekał tak bardzo i abyś ty ją w każdym razie przed zamążpójściem czytać mogła. Po zamążpójściu jużby ci się na nic nie przydała, zdaje mi się nawet, że jeśli panią Sand o tyle ruin i spustoszeń społecznych obwiniają, to może dlatego, iż przez kobie-

ty już zamężne czytaną bywa; a im poco? W sielankowej prostocie ducha wierzą właśnie, że historya kobiety w dzień ślubu się kończy; dalszy ciąg jest tylko szeregiem następstw i wynikłości nieuniknionych. Wolność działania, prawo swobody i tworzenia przyczyn, wszechwadztwo nad teraźniejszością do tego dnia trwa jedynie; od tego dnia zaczynają wypadać sumy z liczb uzbieranych, rozwija się może administracya i polityka, ale historya, ta, co to ją opisywać, czytać, samej sobie rozpowiadać można, już skończona. Nie jest to pono zdanie samejże pani Sand, lecz jej przynajmniej je zawdzięczam.

A teraz, Marynko, rzetelność ciężki na mnie wkłada obowiązek; pisałam ci, o ile sobie przypominam, że kobieta chrześciańskiej cywilizacyi powinna, lub raczej że *już może*, małżeństwo jako wybór jedyny, a wybór jako miłość jedyną uważać. Muszę cię przestrzedz teraz, że taka opinia w życiu zwyczajnem i między najzacniejszymi ludźmi jest bardzo ekscentryczną jeszcze, nie idzie za tem, żeby moją własną święcie wyznawaną opinią być przestała, lecz na zmodyfikowanie, uwzględnienie „rady" bardzo wpłynąć może. Prawdę mówiąc, nigdy ci żadnej rady co do pan Filipa, ani co do jakiegobądź projektu małżeńskiego podawać nie chciałam. Wszystkie „doradzone" małżeństwa, przekonania, uczucia zawsze licha warte, jednak doradczy, mniej więcej, przedstawiłam ci materyał, różne akty procentowe, które wolno ci było przejrzeć i ocenić przed podpisaniem ostatecznego wyroku. Dziś widzę, że należy się jeszcze dość ważny wsunąć dokument. Zdania samych kobiet lub samych autorów bardzo wątpliwie mogą przy zastosowaniu wyglądać; ale zdania tych panów żywcem ze świata wzięte muszą miejsce dla siebie znaleść. Ponieważ w każdem małżeństwie koniecznie jeden z tych panów być musi, więc trzeba wiedzieć, co i oni o podobnej kwestyi myślą. Uderzyło mię to szczególniej wczasie ostatnich moich u pani Maryi odwiedzin, gdy Moralność pani Hoffman poszłam dla ciebie pożyczyć.

Zastałam przy wieczornej gawędce z samych domowych i ścisłych przyjaciół złożoną gromadkę. Była najprzód pani Marya. był mąż jej pan Marcin X., był syn p. Stanisław, były dwie córki, nie liczę już dwóch małych chłopców z korepetytorem.

Ale był i pan Nepomucen i syn jego pan Konrad, pan Nepomucen bardzo dawny, bardzo poczciwy znajomy. pan Konrad. no! kiedy sylwetki rysować, to grzeczność nakazuje od gospodyni domu zacząć. Jestem pewna, że nieraz słyszałaś mię o pani Maryi wspominającą — wiesz tedy, że to jest najgodniejsza szacunku osoba, przykładna żona, troskliwa matka, pani domu bez zarzutu, w towarzystwie bardzo przyjemna—wszystkie te pochwały, jeśli je pamiętasz, jedne po drugich, lub jedne wraz z drugiemi według okoliczności do imienia pani Maryi łączyłam; ale nie wiesz podobno, że był czas, gdy nas obie przyjaciołkami zwano i gdy istotnie my same uważałyśmy się za bardzo serdeczne przyjaciółki. Rzadko zwracam się ku tej przeszłości. jakkolwiek nigdy jej z regestru nie wykreśliłam; tobie jednak dla lepszego zrozumienia dalszych szczegółów muszę choć kilka słów o niej nadmienić, bo gotowaś na mnie zaskarżenie o zmienność i niestałość cisnąć. Jak to można być przyjaciółką, a potem nie być przyjaciółką, i to właśnie takiej p. Maryi. bez skazy! Wy. młode, szczęśliwe. wy pojąć nie możecie. lub raczej nie chcecie usprawiedliwić, że się ludzie zmieniają. Ty sama, co z zimną krwią się pytasz, czy z miłości jedynie za mąż pójść ci wolno, gdybym powiedziała, że zmienisz jakie upodobanie swoje. że Mickiewicza nad Słowackiego, że ciemne lasy nad wysokie skały, zielony kolor nad niebieski, dramat nad operę przeniesiesz. że kiedyś bardzo ci się dziwnem wyda, dlaczego tę Katarzynę Aleksandryjską kochałaś? gdybym tak powiedziała, nie chciałabyś mi wierzyć; a to przecież zwyczajne rzeczy na świecie. naturalny przepływ wypadków i okoliczności. Tylko miłość prawdziwa i dotego odpowiedniemi warunkami społecznemi podparta, może trwać ciągle,

przetrwać czas. Inne wszelkie stosunki, uczucia, przyjaźnie i nieprzyjaźnie płyną jak woda. Broń Boże! nie chcę ich świętości ubliżać, ja, co tyle im zawdzięczam właśnie, są potrzebne i ożywcze jako woda, tylko płyną jako woda także. W jakiejś przeszłej epoce, dajmy na to, jakieś wrażenia jednocześnie na dwie dusze spadły, połączyły je wspólnemi nadziejami, czy wspólną troską, czy pracą wspólną i wspólnem czegoś lub kogoś ukochaniem; z siostrą dzieliłyśmy jej niepokój o brata, z matką przepędziłyśmy kilka nocy nad łóżeczkiem chorego dziecięcia, udało nam się przywieść ojcu pomyślną o jego synu wiadomość, z towarzyszką rówieśną byłyśmy do współki przez złośliwe kumoszki obmówione, z towarzyszem przeczytaliśmy jednocześnie z tem samem wrażeniem jakieś dzieło, które nas temi samemi kartkami zachwyciło lub oburzyło — upiliśmy się z kim tą samą piękna i prawdy nadzieją, sprzęgli tym samym zamiarem. Ot i dość blizki stosunek gotowy, a potem lata cieką a cieką, zdarzenia się wloką a wloką, przestrzeń rozsuwa pobratanych. Między jedną a drugą osobistością narastają warstwy nowych uczuć i pojęć, choćby niekoniecznie przeciwnych sobie, to już nie wspólnych, nie tych samych, już nie dzielonych wzajemnie. Przyjaciele pozyskują nowych przyjaciół, których wcale nie znamy, którychbyśmy, znając nawet, własnym pociągiem nie wybrali nigdy. Najbliżsi nasi wchodzą w inne towarzyskie warunki, przyjmują inne zobowiązania i powinności. Ta, która była od nas smutniejsza, rozumieć już nie może, dlaczego wesołemi jak dawniej nie jesteśmy; ta, która nas uczyła, sama później niczego nowego się nie nauczy, a ta, którą przestrzegaliśmy roztropnie, dobrze wychodzi na tem, że nas nie usłuchała. I znowu ten dziś spotkany był niegdyś wielkim, och! wielkim panem, miał szczęśliwe chwile do rozdania, wzniosłe pomysły z za rękawa wytrząsał, kielichami entuzyazmu niby spirytusem najtęższym częstował dokoła; wzmacniał, bawił, cieszył, świecił, aż wtem przehulał cały swój duchowy majątek. Posyłamy do niego

weksel własnym jego herbem ostemplowany—czy to na pomoc, czy na dobrą radę, czy na śmiałe wykonanie: nie spłaca. Przychodzimy prosić o pożyczkę maleńkiej sumki, bo wyszła nam cierpliwość, a wytrwałości zupełnie brakować zaczyna: odmawia. Chcemy sobie stoczek najlichszy u jego lampy zapalić: lampa zgasła. Więc cóż się dzieje? Gdyby to była prawdziwa osobista sympatya, nie okolicznościowy łącznik między nami, możebyśmy, wspierając się wzajemnie, uniknęli bankructwa, a może razembyśmy ubożeli i nie spostrzegli tak wielkiej w sobie różnicy; lecz gdy sympatyi nie było, każde w swoję stronę odchodzi. Chronos dmucha, ziarnka piasku rozmiata i serce ludzkie rozmiata. Piasek zwolna chemiczno-mechanicznym ulega potęgom. Serce zwolna przekształca się w skłonnościach, osuwa w inne kierunki, traci lub nabywa zdolności odmiennych i nakoniec owi blizcy znowu dalekimi...

Co jedno z drugiem nie ma znaczyć, moja Marynko, że się koniecznie prędzej lub później rozejść będziemy musiały, tylko znaczy, ha—znaczy, że onegdaj z panią Maryą i z panem Nepomucenem się zeszłam.

Wracając tedy do pani Maryi, kiedy była jeszcze Marynią, żyłyśmy z sobą w wielkiej tak zwanej przyjaźni, bośmy jeszcze wówczas nie znały wierszy Brodzińskiego, który bardzo pięknie i słusznie o przyjaźni w swoim „*Dziadku*“ napisał:

„Nie złowisz jej wędą złotą,
Ni talentem, ani cnotą.“

Zresztą choćbyśmy i na pamięć wyuczyły się tej przestrogi, jeszczeby dla nas wtedy niezrozumiałą była. Jakto można przyjaźni ani zasługą, ani cnotą nie kupić?... jakto można cnoty i zasługi nie być przyjaciółką?... Marynia więc kupiła mię cnotą i zasługą, a ja Marynię kupiłam, lecz troszeczkę, troszeczkę tyl-

ko złotą wędą mego uwielbienia i starań pokornych. Bo to, Marynko najdroższa, chciałabym, żebyś mogła sobie wyobrazić pierwsze ukazanie się Maryni w naszej klasie. Istnie królowa wśród dzikich i nieokrzesanych chłopaków. Na pensyi, jak na świecie, trzeba ci wiedzieć, są pewne opinie w modzie, pewne, że tak się wyrażę, obyczaje w zwyczaju. Przed Maryni przybyciem górował, zwłaszcza też między gromadką, do której należałam, obyczaj spartański: o nic nie dbać, na nic się nie skarżyć, wszelką miękkością i wszelkim zbytkiem pogardzać, to było dominującą na horyzoncie planetą. Niektóre z nas wypowiedziały rodzicom, że do lekcyj tańca należeć przestaną, inne nie chciały nigdy w lustrze się czesać, inne jeszcze posuwały hartowność do bardziej niebezpiecznego punktu, bo wcale nieuczesane w dosyć poplamionych sukienkach chodziły, a wszystkie, co miało być dowodem bohaterstwa, nie najgrzeczniej guwernantkom odpowiadały. Między sobą byłyśmy niby dosyć zgodne, wcale nie uprzejme. Krzyżowy ogień złośliwych przymówek, sarkastycznych dowcipów i drażliwych żartów był na porządku, czyli właściwiej mówiąc, na nieporządku dziennym. Jeśli się czasem przykro i smutno zrobiło, to było trzeba głęboko w sercu schować, żeby inne nie zmiarkowały, bo wnet o delikatności, gęsich puchach i wiotkich trawkach gradem sypnęły się koncepta. Wyobraź sobie teraz między takie ciernie i bodiaki wprowadzoną młodą dziewczynę, która już panienką być zaczyna. Nie wiek jej dawał do tego prawo, piętnasty rok miała dopiero, jak niejedna z naszego grona, ale wzrostem wyższa i ułożeniem poważniejsza, zrobiła na nas odrazu wrażenie „dorosłej osoby." Każda nowotna zwykle pensyonareczka, stropiona gwarem i zwróconą na siebie tylu nieznajomych uwagą, nie śmiała oczu podnieść, lękała się przemówić, a jeśli były zuchwalsze wyjątki, co się wrażeniu naszej wszechmocności oparły, to same jakieś roztrzepane, lub nie według naszego kroju cudaczne stworzenia, które wnet do ogólnej równowagi ułożyć się mu-

siały. Jednę się zawojowało, drugą upokorzyło, inne podchwytywało na jakiej śmiesznostce i klasa była zawsze górą. Ale Marynia nic a nic nas się nie przestraszyła, pierwsza rozmawiać zaczęła, jak wielka dama w bawialnym pokoju z gośćmi zaprezentowanymi sobie, wypytywała o lekcye, o egzamin, który jej zdać przyjdzie, porównywała zapas swój naukowy z wymaganym od miejscowych; mówiła bez chwalby o naddatkach, bez kłopotu o brakach, a wszystko grzecznie, swobodnie, z wdziękiem. Młode barbarzyństwo poczuło, że cywilizacya do niego się zbliżyła. Najzłośliwsze nie miały jej o co zaczepić, celowała już wtedy ową przyzwoitością, którą Francuzi „le comme il faut“ zowią. Uczynność jej dla bardzo czasem niedyskretnych towarzyszek aż wspaniałomyślności stopnia dochodziła. Bez targów żadnych pożyczała piór, nożyczek i kajetów, choć jej bruliony porządniej były utrzymywane, niż niejednej odpisy na czysto. Upada przez to główny zarzut, „skąpstwo,“ którym najokrutniej prześladowałyśmy staranniejsze o swoję własność natury i zmuszały niejako do wspólnego dóbr pensyonarskich zaniedbania. Żadna z nas także nie mogła powiedzieć, że Marynia sobie „tony daje,“ że się starszym przypochlebia, a były to kapitalne, ciężko bez litości karane zbrodnie; Marynia nigdy się ich nie dopuściła. Posłuszniejsza niż klasztorny braciszek, uprzejmiejsza od nas wszystkich, nigdy ani jawnej skargi, ani pokątnego doniesienia nie pozwoliła sobie. W pilności niezrównana! Może były uczennice, co płynniej czasem lekcyą wydały, prędzej przy ogólnem powtarzaniu odpowiedź na podchwytujące pytanie znalazły, ale żeby z równą sumiennością na każdą lekcyą, na każdy dzień po dniu się przygotować, takich nie było. Nam szło raz dobrze, raz źle, raz jakoby skrzydła w duszy wyrosły, a drugi raz jakoby mózg ołowiem zalano; tymczasem Marynia budziła się i zasypiała zawsze pracowitą, przysposobioną, zawsze nienaganną; bo też Marynia już okazywała się tem, czem później przez całe życie panna i pani Marya zo-

stać miały, urodzoną purytanką obowiązkowości. Gdyby jej dalsze życie było naniosło trochę więcej szerszych pojęć, jestem pewna, że służyłaby im tak wiernie, jak dziś ciaśniejszym służy. Gdyby jej kto z uwierzytelnionych prawomocnym tytułem powiedział n. p., że poznawanie prawdy należy także do jej obowiązków, dowiadywiałyby się bardzo pilnie o prawdzie; ale jej powiedziano zupełnie co innego; powiedziano, że to do niej nie należy, więc też cudzej własności nawet pożądliwą myślą dotknąć nie śmiała. Już to rzutność ani jej cnotą, ani jej wadą nigdy nie była; koniecznie z zewnątrz pewnéj inicyatywy potrzebowała; lecz gdy ją przyjęto, to aż mię dotychczas, gdy sobie wspomnę, zazdrość bierze, jak umiała całą naturę swoję do niej zastosować. Żadna wybitna wada, ani też żadne bezratunkowe niedołęztwo, ani żadna skłonność górująca nie stały jej na przeszkodzie w wypełnieniu tego, co się raz dla niej powinnością nazwało. Przyszedłszy na pensyą, wiedziała że jej powinnością było słuchać ochmistrzyni i guwernantek, uczyć się starannie do profesorów, z koleżankami być zgodną i grzeczną, więc też była zgodną, grzeczną, staranną, uległą, a nigdy pokusa na inne nie ciągnęła ją drogi. Czyż choć przez chwilę serce Maryi wezbrało oburzeniem na niesprawiedliwości panny Permann, lub duma poszepnęła jaką uchybiającą dla łającej panny Kierwińskiej odpowiedź? Czyż w samę wigilią egzaminu z chronologii starożytnej, albo gdy było trzeba dwóch stronnic Wiosny Kleista się nauczyć, Maryni przyszła właśnie ochota czytać choćby najpiękniejszą jej uwielbionej pani Hoffman powiastkę, albo samej własne wiersze pisać? albo, o zgrozo, nic zupełnie nie robić? Czyż Marynia była niecierpliwą, zuchwałą, kapryśną, szorstką, leniwą? Broń Boże! Jeśli poczuła kiedy trudność maleńką w dopełnieniu przykazań moralności, to chyba gdy jej zbyt dużym kleksem kajet francuskich tłumaczeń splamiono, albo tak wszystkie pióra rozebrano, że sama żadnego przy dyktowaniu nie miała. Wszystko zresztą szło jej łatwo i wszystko

w równej mierze łatwo, od Kleista i chronologii, do ćwiczeń stylowych. od uległości dla przełożonych. do ustępstwa dla naszych wymagań. Taka doskonałość samem wzbudzeniem podziwu zhołdowała nas bardzo prędko. Ponieważ jednak ułomna ludzka natura wiecznie doskonałościom sprzeciwiać się lubi, jest więc dość prawdopodobną rzeczą, że i Marynia uległaby losowi wszystkich doskonałych na tej grzesznej ziemi i byłaby musiała ścierpieć niejedno prześladowanie, dźwigać niejednego krzyżyka ciężar, ale na szczęście swoje bardzo piękną była. Złośliwi panowie gotowiby posądzić, że piękność już na pensyi współzawodnictwo rozbudza; to się dopiero przy świetle balowych kandelabrów, albo w środkowej alei Saskiego ogrodu, jak oliwa na wierzch młodego serca wydostaje. Pensyonarki, dzieci daleko prostszym ulegają instynktom. Piękność je pociąga i zachwyca według naturalnego prawa piękności. Ile tylko piękniejszych współuczennic przypomnieć sobie mogę, to wiem, że wszystkie pod przywilejem między nami żyły. Musiała być już bardzo złą i ograniczoną taka, co wdziękiem urody nie skarbiła sobie mnóstwa drobnych poświęceń, i względniejszego obejścia i życzliwszej wyrozumiałości. Za nie zwykle chętniej się kurz w klasie sprzątnęło, przykład arytmetyki odrobiło, nawet gdy jaki śmieszny solecyzm przy wydawaniu lekcyi popełniła, to jej go wkrótce zapomniano; a cóż dopiero o Maryni mówić, o Maryni, która żadnej od nikogo nie żądała przysługi, żadnego nigdy nie popełniła solecyzmu i która miała takie jasne jak aureola blond włosy i takie śliczne. duże, spokojnie jak niewinność patrzące oczy! Wszystkie na potęgę rozgorzałyśmy do niej entuzyazmem. Wprzeciągu pierwszego miesiąca swego pobytu odebrała zaraz pełno oświadczyn dozgonnej przyjaźni, kilka listów z nieśmiałą na jej obojętność skargą, jeden z gwałtownej zazdrości wyrzutami; ale ona rozsądna, zawsze jednostajnie i równo dla wszystkich ugrzeczniona potrafiła niebawem te wezbrane uczucia do jednego mianownika sprowadzić i w jednę ogólną

przychylność zamienić. Mój tylko entuzyazm przetrwał rozsądkowe chłody i pewnego niby wywzajemnienia się doczekał. Prawda, że też i najwyższa władza, bo sama pani Wilczyńska, stosunek nasz zatwierdziła. Jednego dnia, gdy nas spostrzegła razem czytające tak ślicznie opisaną w Rozrywkach do Ojcowa przejażdżkę: „a tak to lubię,“ rzekła, lekko mnie swoją białą, kochaną, dobroczynną ręką po twarzy gładząc, „tak to lubię, kiedy cię z Marynią widzę; zawsze sobie takich przyjaciółek dobieraj, a pewnie i promocyą dostaniesz i na świecie dobrze ci będzie.“ Ach! usłuchałam rozkazu, nietylko na ten raz jeden, ale i na całe życie późniejsze. Zawsze sobie dobierałam takich, jak Marynia, to jest lepszych od siebie samej przyjaciółek, i prawda, że to co miałam lepszego w całej przeszłości mojej, to wszystko ich darom zawdzięczam; one mię wiatykiem opatrzyły na długie lata bardzo przykrej drogi. Wśród głogów i kamieni obrażenia ich wsparcie mię krzepiło, a czy pamiętają najlepsi moi, jak mi rękę podali, gdy się chwiałam, jak słowo ich nieraz przywołało mię z krainy pustej i bezwodnej, obudziło ze snu martwoty i zniechęcenia? A ich czujność jak mię strzegła, a ich wspomnienie jak stało na straży mego sumienia? Jeśli do wyższej klasy nie dostałam promocyi, jeśli mi dobrze na świecie nie było, to już nie wina dobranych, chyba niedobranych raczej. A najpewniej moja własna.

Co ty sobie myślisz, Marynko? przyrzekłam ci tylko sprawozdanie o mojej wizycie u pani Maryi, a rozpłynęłam się we wspomnieniach, niby grudka cukru w szklance herbaty. Nie gorsz się, moja droga, będziesz i ty taką, niech ci Bóg da szczęśliwie tylko przeżyć drugie i trzecie dwadzieścia latek jeszcze, a potem niech kiedy jakie talizmanowe słowo wskrzesi nagle i przed oczy ci stawi całą dzisiejszą teraźniejszość twoję, zobaczysz, ile to o niej będziesz miała do powiedzenia; ręczę ci, że więcej niż dzisiaj nawet, gdy w obfitości swojej pomiatasz mnóstwem kosztownych drobiazgów. A jak się radować będziesz

tym, które ci pamięć uratują! a jak tęsknić za temi, które bezpowrotnie przepadną! Zobaczysz, zobaczysz, Marynko!

Tymczasem jednak wróćmy do pani Maryi. Portretu jej wykończać już nie będę, zadługie i zablizkie odbywałam nad nim studya, więcbym się znowu o wielu rzeczach wcale do rzeczy nienależących rozpisała. Na biograficznych tylko ograniczę się faktach. Ostatnie lata mego pobytu na pensyi i pierwsze po skończeniu nauk więcej mi się Marynią, niż kimkolwiek innym zapełniły. Rodzice moi daleko wtedy na wsi mieszkali, a jej rodzice w Warszawie; na mocy udzielonej przez panią Wilczyńską zachęty, Marynia wyjednała mi tę łaskę, że mogłam razem z nią do jej domu w niedziele i większe święta wychodzić. Później rodziny nasze się zaznajomiły, ona czasem bawiła u nas nad ślicznemi naszej Warty brzegami, częściej ja u niej na Miodowej ulicy. I tak było czas jakiś, aż raz, pamiętam, oh! pamiętam, i zawsze pamiętać będę tę chwilę, siedziałyśmy przy oknie w Maryni gabinecíku; czytałam głośno coś prześlicznego, co bezimiennie Brodziński napisał; Marynia rysowała, a wtem z przyległego pokoju dały się słyszeć kroki czyjeś lekkie i przyśpieszone, potem głos męzki przemówił bardzo zwyczajnem słowem powitania do pani domu, która tam właśnie z robotą siedziała, ale głos był nadzwyczaj miły, czysty, dźwięczny, pełny. Ty wiesz przecież, Marynko, jak wielką wagę do głosu przywięzuję. Otóż słyszany wtedy był szlachetniejszego gatunku. Złożyłam książkę, spojrzałam na Marynię, a Marynia jak poziomka rumieńcem spłonęła.

— Kto to jest? — zapytałam pocichu.

— To pan Nepomucen — szepnęła jeszcze ciszej i schyliła się po upadłą gumelastykę.

— Czy to on? — pytająco znów rzekłam, patrząc z uśmiechem w jej oczy.

— Nie, to nie on — odśmiechnęła się Marynia, ale trochę smutnym uśmiechem; — jako siostrzeniec

stryjenki często u nas bywa, lecz ojciec nie bardzo go lubi, a mama dość obojętnie przyjmuje.

— A głos ma jednak taki poczciwy! — I zaczęła się rozmowa, którą Marynia temi słowy podkreśliła:

— Mów ty sobie, co chcesz, moja droga, nazywaj mię purytanką i czem gorszem jeszcze; ja przecież nie zmienię mego przekonania, bo wiem, że dobrej córce tego jedynie ukochać wolno, którego dla niej serce rodzicielskie i doświadczenie rodzicielskie wybierze.

No, serce jak serce, ale doświadczenie rodzicielskie w rok potem wybrało Maryni pana Marcina ***, wysokiego urzędnika w komisyi *** z dwudziestoma tysiącami pensyi, a czterdziestoma tysiącami przychodu. Jak cegła z dachu, tak wiadomość o tem małżeństwie na głowę mi spadła. Kiedy ją po raz pierwszy z ust Maryni usłyszałam, było wykrzykników i apostrof ze dwa grube tomy: „Jakto, Maryniu, ty!“

— Jakto, Maryniu, za niego? czy być może?... to niepodobna... z twoją pobożnością... z twoim szlachetnym charakterem!... — Lecz Marynia ciągle powtarzała:

— Rodzice lepiej wiedzą; my obie młode, my świata ani ludzi nie znamy, łatwo nas słówkiem grzeczności i lekkomyślną plotką oszukać; tylko serca rodziców nikt nie oszuka, gdy o szczęście ich córki chodzi.

W tym ostatnim względzie Marynka miała słuszność: pan Marcin w niczem serca jej rodziców nie oszukał. Zacząwszy od mebli, skończywszy na domowem pożyciu, wszystko w jaknajlepszym guście, w dobrym gatunku żonie swojej zapewnił i pani Marya jest szczęśliwa.

Czy chcesz wiedzieć, moja znacznie młodsza przyjaciółko, jaki sens moralny z całej historyi wyciągnąć?

Otóż sens moralny jest taki, że nigdy nie trzeba cudzego losu na miarę własnych idealików przykrawać. Gdyby Marynia była się rozmarzyła pierwszem

wrażeniem, co ją zlekka po sercu musnęło; gdyby próbowała zdobyć się na jakąś samodzielność, opierać uświęconym powagom; gdyby, dajmy na to, powiedziała sobie, że nie chce być Zulejką żadną, kiedy właśnie przyniosła z sobą na świat Zulejki, najpiękniejszej Zulejki naturę—pewnieby jej tak dobrze nie było, jak jej jest ciągle aż do teraz. Może komuś byłoby lepiej; kto wie zresztą, może tylko jej trochę gorzej. Zawsze bezpieczniej według praw swej gatunkowości postępować. Pamiętaj o tem, Marynko, tylko uważaj, żebyś się nie omyliła.

Widocznie pani Marya nie musiała się omylić, najpierwej dlatego, że, jak mówiłam, jest zawsze równie dobra i obowiązkowa; przypuściwszy jakąś pomyłkę, niezawodnie byłaby się zmieniła.

Względem męża dopełnia jaknajskrupulatniej wszelkich wzorowej żony powinności. Szanuje w nim głowę rodziny, rękę na utrzymanie domu pracującą; wierzy w jego rozum, ufa jego słowu, stosuje się w najdrobniejszych rzeczach do jego woli. Dla świętej prawdy jednak wyznać muszę, że częściej daleko w najdrobniejszych, niż najważniejszych; w tych ostatnich zdawało mi się, że raczej pan Marcin do jej woli się stosował, ale to rzadkie były wypadki, choćby już z tego powodu, że pani Marya nigdy się do interesów majątkowych nie miesza; utrzymuje bardzo słusznie, że to męzka sprawa. Chociaż dla przyszłej twojej nauki wtrącę tu maleńką uwagę, że niezawodnie majątkowe interesa są męzką sprawą, ale męzkie sprawy bardzo dobrze wychodzą na kobiecej kontroli i kobietom zdrowo jest także, gdy wiedzą, zkąd się bierze każda złotówka domowego wydatku. Pani Marya nie uważa tego za swój obowiązek, bo też podobne obostrzenia w kodeksie moralności do rubryki obowiązującej wpisane jeszcze nie zostały, pod innemi względami wszelako nic jej zarzucić nie można. Czasem, gdy ją widziałam taką wdzięczną, słodką, łagodną, taką ślicznie niewieścią dla pana Marcina, to aż mię żal zdejmował, czemu się to jemu dostało? Zaiste

bardzo dziwne uprzedzenie, pan Marcin nie jest przecież gorszym od wielu innych. Przysparza ciągle dochodów swoich — widać, że przemyślny, inni daleko skandaliczniej pieniądze zarabiają; nie spotkałam się z nikim przecież, coby mi dowiódł, że był przez niego skrzywdony. Podaje się za wolterzystę w religijnych i moralnych zasadach. Najpierwej co do mojej osobistości, trzeba wiedzieć, że wolę bez porównania wolterzystów, niż heglistów; pierwszym zdarza się czasem coś dowcipnego powiedzieć, lub powtórzyć, uśmieję się z nich niekiedy, a zawsze przynajmniej rozumiem co mówią; hegliści wcale nie zabawni i trudni do zrozumienia, t. j. nie tak bardzo trudni, gdy ich mówiących słyszę, ale potem, gdy umilkną, już nic nie wiem o czem gadali, trudniejsi więc do „streszczenia.“ Pan Marcin wprawdzie, choć wolterzysta, niewiele mi rzeczy dowcipnych powiedział; lecz na jego usprawiedliwienie posądzam go też trochę, że wcale Woltera nie czytał, co najwięcej kilka powiastek. Żona prócz tego o tyle już go nawróciła, że w piątki pości i do kościoła chodzi. No! cóż tam więcej mam przeciw niemu? Lubi grać w karty! Mało znam dzisiaj ludzi i to bardzo zacnych, którzyby w karty grać nie lubili; nawet arcy zacne panie, moje blizkie i bardzo kochane znajome, lubią także, bo cóż robić wieczorami? Rozmawiać i rozmawiać, stać zawsze jak na piedestale dla dorastającej młodzieży, by się ze wspomnień naszych, z doświadczeń naszych, z wymiany myśli naszych uczyła—trochę książkowa pedanterya; młodziby może i słuchać nie chcieli, alboż słuchają rady i morału? Trzeba jeszcze tę zasługę przyznać panu Marcinowi, że nigdy prawie w domu nie grywa — żonę karty nudzą i męczą — grywa najczęściej w resursie i, o ile wiem, nigdy wyżej nad kilka tysięcy nie przegrał, ani wyżej nad kilkanaście nie wygrał. Lubi przytem męzkie towarzystwo. Nic dziwnego, ja sama na wieczornych zebraniach wolę z mężczyznami, niż z kobietami porozmawiać; prędzej coś ciekawszego usłyszę, niż od pani Papleckiej nawet, która jednak tyle za-

wsze ciekawych wie i dowiaduje się rzeczy. Kiedyć owi panowie dla nas biednych profanek mogą znaleźć ciekawsze niż sama pani Paplecka do rozmowy temata, cóż to dopiero być musi, gdy jedni z drugimi się zbiorą. Najniezawodniej muszą przynajmniej o astronomii radzić, a mniej dostępne niż Arago w swoim kursie rozwijać zagadnienia, bo kurs Arago nawet ty, moja Marynko, mogłabyś przeczytać; może zgłębiają statystykę, ekonomią polityczną, wyższą przecież od elementarnych dziełek Baudrillarta, a może z matematyki rachunek prawdopodobieństw?

Wina przytem dużo wychodzi, lecz to angielska moda. Pokazuje się tedy, że do pana Marcina zakładam sobie najniesłuszniejsze pretensye. Powinnam tylko poprostu wyznać, że niema między nami sympatyi do zbycia, ledwo tyle, ile do utrzymania form grzeczności trzeba. Ach! pod względem grzeczności pan Marcin nieposzlakowany; ma takie ruchy opiekuńcze, takie uśmiechy pobłażliwe, jakgdyby dopiero co zdjął z głowy perukę Ludwika XIV. Do wszystkich kobiet, nawet do żony przy gościach odzywa się tonem pośrednim między żartem a protekcyą, między komplementem a łaską; byłby w tem i tem jedynie do Walenroda podobny troszeczkę, że sypałby kobietom, jak dzieciom łakocie, grzecznych słówek krocie; lecz łakociami nie sypie, owszem, dość skąpy. Ile razy go widziałam w towarzystwie, był zawsze dosyć milczący, więcej zdawał się przysłuchiwać, niż mówić, a godzi się też uznać, że mu z tem bardzo do twarzy: ma fizyognomią głębokiego myśliciela, lub raczej fizyognomią własnych spraw człowieka. Czoło wysokie, bo łysy, brwi gęste i na oczy mocno zapuszczone, nos wydatny, cienki, orli, broda koścista, wzrost dobry, tusza dobra, na fotografiach szczególniej, gdzie kolor płci się nie odbija, gdzie nie znać lśniącej czerwoności lica, wizerunek p. Marcina *ad libitum* tytułem ministra, generała, prezydenta lub jakiej znakomitości przemysłowej podpisać można, twarz i postawa do każdego się nada. Wogóle jest to przystojny co się zowie człowiek, ale

poco mu przyszła ochota z Marynią się żenić? Niejednę posażniejszą mógł dostać panienkę, on mi koniecznie Marynię moję zabrał. Przynajmniej tego mu i najzawziętszy nieprzyjaciel nie zarzuci, że zły wybór zrobił.

Jakkolwiek przecież pani Marya żoną przykładną, niczem to jeszcze w porównaniu, jaką jest matką poświęconą. Według dzisiejszej statystyki ma dużo dzieci, bo aż sześcioro, wszystkie sama wykarmiła, sama wyuczyła pacierza i sylabizowania, sama z księdzem kapucynem do pierwszej przygotowywała komunii. Kiedy już było potrzeba obcą osobę w dom przyjąć i dzieci jej powierzyć, nigdy zupełnie od ich dozoru się nie usunęła; często bywała obecną przy wykładzie lekcyj, zastanawiała się nad sposobami, które mogły naukę ułatwić i uprzyjemnić, pieniędzy na książki ani na metrów nie szczędziła, a gdzie ją spotkać przypadkiem, czy w ogrodzie, czy w kościele, czy w teatrze, czy w jej własnym domu na dzień powszedni, zawsze z dziećmi. Co to są za dzieci? ba! co to są już za ludzie z tych dzieci? o tem niewiele ci mogę powiedzieć.

Długie lata na wsi spędziłam i bardzo rzadko z panią Maryą się widywałam. Przyszłam czasem na parogodzinną wizytę, byłam gościem tylko. O dobrze wychowanych dzieciach goście bardzo mało wiedzą; krzyku nie słychać, stołki bawialnego pokoju nie przewracają się w konnych przejażdżkach, malec żaden sukni ci nie gniecie i łańcuszka od zegarka nie zrywa, przy stole obrus bezpieczny i reklamacye wszystkie wzbronione, więc niema nic ważniejszego do zapamiętania. O dzieciach więc pani Maryi wiedziałam tylko, że to gromadka niższych i wyższych, jaśniejszych i ciemniejszych główek, różowych, uśmiechniętych twarzyczek, a szczegóniej, że to jedyna może w swoim rodzaju kolekcya wielkich niebieskich oczu, które na mnie dawnem spojrzeniem dawnej Maryni pensyonarki patrzyły. Śliczne dzieci! śliczna matka! jak się to czasem w obrazek ułożyło, to mi się przypominały

różne po zagranicznych galeryach widywane arcydzieła, chociaż któreby mianowicie do podobieństwa wskazać? nie podjęłabym się, moja Marynko. Gdyby Albano był przedstawił Cererę wśród amorków po chrześciańsku ubranych, toby mu zarzucano anachronizm, jestem pewna, on jednak byłby tylko zwiastunem pani Maryi i jej czterech synów, a dwóch córek. NB. córki między dwoma parami synów przypadają. Zawsze miałam nadzieję o wszystkich kiedyś coś znakomicie dobrzego usłyszeć; dotychczas słyszałam jedynie, że najstarszy po awanturze z profesorem gimnazyalnym musiał za granicą kończyć nauki, a znać nie skończył ich jeszcze, bo do domu nie wraca; mówiono też o jakichś długach, o rulecie, a toby mię bardzo dziwiło, gdyż pani Marya utrzymywała, że praktycznym rozsądkiem najwięcej do ojca podobny. Ojciec nigdyby przecież majątku nie stracił; lubi używać, bawić się i błyszczeć, lecz prędzejby dwie fortuny zrobił, niż jednę zmarnował. Prawda i to, że pan Marcin był synem wdowy pobierającej skromną emeryturę i w szesnastym roku z wielką wdzięcznością przyjął miejsce dependenta u pisarza trybunału, a pan Władysław w szesnastym roku pojechał na edukacyą do Paryża i ma rodziców, których na stotysięczną intratę obliczają. Takie okoliczności mogą bardzo zmodyfikować tożsamość natury. Świetniejszą karyerę wróżą młodszemu bratu Stanisławowi, a w pewnych kółkach towarzyskich pewne panie zwłaszcza odchwalić go się nie mogą, jaki to przykładny i bogobojny młodzieniec; ale chwali go także pan i Aleksander, co to go „ojcem zadżumionych“ przezwałaś, bo już żonę, dzieci i tylu wziętych na opiekę paniczów w grobie złożył, lub ruiną przysypał, a sam bez szwanku po świecie wędruje. „Ten młodszy syn państwa Marcinów to dzielny chłopak!“ woła pan Aleksander i ręce zaciera; ja zaś wielką czuję nieufność do dzielnych chłopaków teraźniejszego gatunku; o ile nie na wojnie, o ile nie w ciężkiej zarobkowej pracy, o ile nie przy naukowych odkryciach, nie przy kanale sueskim, ani nawet przy

najlichszej machinie parowej, co u licha mogą robić z tą swoją dzielnością? Pan Aleksander nie udzielił mi objaśnień i nawet po ostatnim, razem spędzonym wieczorze, nie mogłabym ci nic stanowczego i o panu Stanisławie powiedzieć. Więcej trochę o córkach. Starszej na imię Amelia; gotowabyś przypuścić, że to wyłącznie z Pamiątki po dobrej matce pamiątka; otóż nie, jest prócz tego w rodzie pana Marcina jakaś ciotka Amelia także, więc wybór osłonięty jej wspomnieniem. Młodsza bez osłony, wprost z upodobania Krystyną być miała. Przyszła na świat równocześnie prawie z Krystyną pani Hoffman, o której że wiele wszędzie mówiono, to i pan Marcin się dowiedział. iż starą panną została; uląkł się tego *omenu* dla nowo narodzonej i prosił z właściwą sobie komplimentową grzecznością, „aby tak jak matka zwała się Marynią i tak jak matka uszczęśliwić kiedyś mogła kochającego ją małżonka.“ Stało się po jego woli, z lekką odmianą wszelako. Na chrzcie św. maleńka imię Maryi otrzymała, ale w rodzinie przeważył zwyczaj wołania na nią Marylko, nie Maryniu. Czyby się kiedy matce piękne Adama wiersze i smutne Gustawa losy przypominały? czy ten wieczór? Nigdy potem nie słyszałam, żeby kto tak pięknie czytał Dziady; sam pan Nepomucen drugi raz już nie potrafił. A może bez wspomnienia żadnego, prostym zbiegiem okoliczności dlatego, że pan Nepomucen, oddawna wówczas żonaty i bardzo w pożyciu swojem nieszczęśliwy, dla spraw separacyjnych częściej musiał w Warszawie bywać, częściej piękną kuzynkę nawiedzać, a daleko Mickiewiczowi niż kuzynce wierniejszy, jej czwarte dziecko zaczął Marylką nazywać. Tego roku obie córki pani Maryi w świat, jak to mówią, weszły; bo raz na balu w resursie, a dwa razy na tańcujących wieczorkach się ukazały. Jedna ma lat ośmnaście, druga szesnaście zaczęła. Kilka miesięcy temu byłam właśnie obecną wielkiej dyspucie, którą ich matka musiała z panią referendarzową o ten zamiar jednoczesnego wystąpienia przeprowadzić. Pani referendarzowa gorszyła się

okropnie, że młodsza siostra, a do tego ładniejsza, starszej wszędzie towarzyszyć miała; lepiej byłoby jej nauk nie przerywać, głowy nie zawracać, a nadewszystko Amelci efektu nie psuć. Odważyłam się napomknąć, że dwie siostry jednakowo ubrane, młode, pierwszy raz zjawiające się na zabawach, prześliczny właśnie efekt robią, ale pani Marya (trzeba jej oddać tę sprawiedliwość) poczciwiej się broniła. A najpierwej, że jej córkom kilka tańcujących wieczorków nauk nie przerwie, tak samo jak domowego porządku nie psuje bal najświetniejszy w dobrze urządzonem gospodarstwie, potem że Marylce świat głowy nie zawróci, bo jeźli co, to chyba książki zawrócićby mogły; dziewczyna i tak zawiele czasu, zawiele życia wśród nich traci; gdyby już innych do tego nie było powodów, jeszczeby przez samę roztropność o trochę właściwsze jej wiekowi starać się trzeba rozrywki. A co do efektu—pani Marya bardzo znacząco się uśmiechnęła—co do większego lub mniejszego powodzenia Amelki na salonach warszawskich, to jest bardzo obojętną rzeczą. Nie w salonach będzie dla niej męża szukała i ma nadzieję, że ten, którego wyszuka (akcent pewny, dobitny, jak gdyby o już znalezionym była mowa), ten, którego wyszuka, nie z salonowego stroju i wyglądania córkę jej oceni. Przedewszystkiem jednak dlatego chce razem dziewczęta swoje na pierwsze bale wprowadzać, że ich dwie tylko, innej siostry nie mają, koniecznie jedna drugiej przyjaciółką być musi; starała się też od dzieciństwa największą równość między niemi utrzymywać, żeby wszystko wspólnie dzieliły i żeby kiedyś wspólnie wspominać mogły; to skarb na przyszłość zapewniony taka dusza, co z naszą duszą kawał przeszłości przeżyje. Tu pani Marya do mnie się zwróciła.

— Wszak prawda, że tego nikt nie zastąpi; kochanych zastąpimy lepiej kochanymi, ale tych, co z nami razem pamiętają, wszak prawda, że nikim?

O kokieteryo! jestże to prawdą, że w najsurowszych i najcnotliwszych sercach niewieścich się gnie-

ździsz? Ty się lepiej odemnie znasz na podobnych rzeczach, Marynko: jak ci się zdaje, czy kobieta bywa czasem dla kobiety kokietką?

Ale wracając do panny Amelii i panny Marylki, powiem ci, moja droga, że nigdy nie mogłam zdać sobie sprawy, dlaczego tę więcej, tamtę mniej przystojną zwano. W moich oczach tak były do siebie podobne, że ich nigdy rozróżnić nie umiałam. Pani Marya mówiła mi, że jedna żywa i roztrzepana, druga poważna i głębokiego usposobienia, jedna też była trochę wyższa i jaśniejsza blondynka, druga trochę niższa i ciemniejsza; na nieszczęście te lekkie różnice jeszcze mi więcej gmatwały rozpoznanie. Pierwszy raz dopiero wczasie moich onegdajszych odwiedzin wyosobniłam obie siostry i pewnie już mi się nie zdarzy, bym kiedykolwiek jednę za drugą wzięła, lecz o tem potem. Jeszcze ci muszę ich starszego brata, pana Stanisława, przedstawić. Bardzo się robi do ojca podobny, brwi już mu się zaczynają osuwać na jego duże a głęboko osadzone niebieskie oczy, nos cienieje, usta przeciągają się tym samym półuśmiechem wyższości, tylko jak poznałam pana Marcina w jego trzydziestym którymś roku, jeszcze nie był i w połowie do tego stopnia wyższym nad śmiertelne tłumy, jak dziś widać, że wyższym syn jego dwudziestoletni się czuje. Pan Marcin na szczęście dla duszy swojej po francusku biegle nie mówił wówczas, gdy francuzczyzna najwięcej była w modzie i z bardzo już czystym akcentem po najzamożniejszych dworach grasowała; ten niedostatek, o ile zmiarkować mogłam, w lekkiej pokorze go trzymał. Pan Stanisław nietylko po francusku wszystkie rodzaje e, ai, ei, é, ê doskonale cieniuje, ale nadto lubi mówić po angielsku, a po niemiecku czytał Szyllera, Goethego, Schlegla. Tylkoż z prędkości nie pomyl się, Marynko, Schlegla nie weź za Hegla, bo to jak o Niemcach mowa, zaraz Hegel na języku; dobrze pamiętam przecie, że pan Stanisław Schleglowską potęgę wspominał, na co nawet pan Konrad niedawno z za granicy przybyły, zdumienie wielkie okazał. Już wiesz,

że ów pan Konrad jest synem pana Nepomucena, wiesz, że pan Nepomucen dawnym dobrym znajomym moim, tylko może ciekawa jesteś, jacy to byli, a jacy to są dzisiaj dawni dobrzy znajomi moi? Czy lepsi od dzisiejszych? Ma się rozumieć dla mnie daleko lepsi, według zaś rzeczywistej ich wartości, nie śmiałabym opisywać. Zawsze mam przytomne to zdanie, które czytałam kędyś, że gdy kobieta opisuje charakter mężczyzny, to jej mężczyzna zawsze do kobiety podobny, a kiedy znów który z tych panów kobietę chce z jej moralnej duchowej strony odmalować, to jego kobieta zawsze do niczego niepodobna. O drugiej połowie tego wyroku stokrotnie przekonać się mogłam; najsławniejsi powieściopisarze, zamiast kobiet, wstawiają w dzieła swoje pewne typy ogółowe, tradycyonalne, jak n. p. w bajkach Lafontena, a gdzie lis chytry, lew wspaniały, zając lękliwy, u nich także jest kobieta piękna, brzydka, dobra, zła, a nadewszystko jest kochana lub niekochana, i zdarzenia się snują. Balzac jeden, niegodziwy Balzac uważniej nam się przyjrzał; ale to bieda, Marynko moja, że tylko ze strony fizyologicznej chciał zbadać kobiety, ich człowieczeństwo zupełnie pominął. Kiedy więc jedno założenie słuszności swej dowiodło, musi i drugie być słusznem. Postanowiłam przeto nigdy w psychologiczne mężczyzn fotografie się nie wdawać. Nawet szanowny pan Nepomucen mnie nie skusi. Sama dla siebie do mojej niepokazywanej nikomu kolekcyi odbiłam jego portrecik. Gdyby go zobaczył, możeby mi proces wytoczył, a szczególniej gdyby na podpisie maleńkiej paczki przeczytał: Serya 1-sza: Niekonsekwencya, potem na podpisie pierwszego wizerunku Nr. 1, obywatel poczciwy pan Nepomucen, a gdyby jeszcze też przy sobie zobaczył wizerunek Nr. 2-gi, obywatel poczciwy pan Remigiusz.. Sąsiedztwa z panem Remigiuszem nie przebaczyłby mi do śmierci, choćbym się najpokorniej usprawiedliwiała, że niekonsekwencya jest wielką zaletą ludzi, między ludźmi na aniołów jeszcze nieprzerobionymi, że konsekwentnych znam tylko dwóch je-

zuitów i jednego egoistę, że Napoleon niekonsekwentnie wojnę we Włoszech prowadził, a konsekwentnie kampanią r. 1813 przegrał, że Torquemada i St. Just byli konsekwentni, a nasz Żółkiewski i Marceau najniekonsekwentniejsi, ten względem Zygmunta III-go, a ten względen teroryzmu; choćbym i przysięgła wreszcie, że pana Remigiusza w popularnym stosunku jedynie obok pana Nepomucena postawiłam, że ostatecznościami wybitnemi chciałam właśnie piękną stronę niekonsekwentności uwydatnić i dowieść, jak to pomimo różnych usterków można tło nieskalane zachować, jak nawet z gliny kruchej mnóstwo pięknych lubartowskich etrusków wypalić, *per exemplum* p. Nepomucen; a jak znów przy tle najczarniejszem są chwile, są zdarzenia, które niby dyamenty w błocie połyskują, *per ex.* pan Remigiusz. Nie mogłam umieścić krwią ociekłego Sylli, który właściciela willi Albańskiej na śmierć skazuje, a młodemu Pompejuszowi przebacza, choć mu groził zuchwalec, że Rzymianie wolą wschodzące, niż zachodzące słońce; ani księcia Orleańskiego regenta, co w takiem zepsutem rozpustą sercu nosił od pierwszych wrażeń młodości aż do śmierci jednę, niezmienną i czystą podobno dla księżnej de St. Simon, żony autora sławnych pamiętników, miłość; nie mogłam ani ich, ani wielu innych do zbioru mego załączyć dla tej prostej przyczyny, że to zbiór samych znajomych, a nie miałam szczęścia znać tych panów i być z nimi za pan brat, jak Cagliostro. Prawda, że też z p. Remigiuszem za pan brat nie jestem, ale mam dla niego pewne obowiązki wdzięczności. Niedbałość regenta przy spisywaniu kontraktu wydała niegdyś szwagra mego z całem mieniem i imieniem na łaskę i niełaskę pana Remigiuszowi. P. Remigiusz mógł go wtedy zgubić ze szczętem, ograbić, oszkalować, a p. Remigiusz nie zgubił go ze szczętem. Pan Remigiusz w konsekwencyi do swoich zasad i usposobień powinien zbrodnię jaką popełnić, a dotychczas nikogo nie zamordował, powinien za groszem, jak taks za borsukiem śledzić, a ożenił się z ubogą bardzo panienką;

ma ona zato wiele cierpkich jabłek do zgryzienia, lecz cierpkie jabłka już w konsekwencyą zachodzą, ożenienie tylko z niekonsekwencyi się wyrwało. O tej błogosławionej niekonsekwencyi mogłabym ci dwugodzinne rano i wieczór, jak ksiądz, prawić kazanie, ale cóż, kiedy zgóry przewiduję, że pan Nepomucen nie dałby się przekonać i zawsze później trochę żalu miałby do mnie, wolę go zatem geometrycznie tylko i biograficznie, to jest co do powierzchowności i co do niektórych życia jego wypadków, przedstawić.

Pan Nepomucen jest prześlicznie brzydki. Wysoki, kształtnej postawy, twarz ma płaską, nos gruby płaski, ale czoło szerokie i pogodne; oczy bardzo blado bure, ale przy ciemnej rzęsie, pod brwią ciemną i gładką bardzo, poczciwie jakoś z głębi serca patrzące; usta jego są szerokie i trochę po murzyńsku wydatne, ale mają różne swoje zachwycające uśmiechy: to dziecinnie swobodne, to smętne, to wdzięczne, to trochę złośliwe, to pociągające jak dobroć i braterstwo, to gorzkie jak zwątpiałość i przygnębienie. W karku p. Nepomucen nieco może zagruby; dawniej tego znać nie było, lecz gdy zaczął marszałkowskiej tuszy nabierać (myślę w tej chwili o galeryi portretowej marszałków francuskich, choć obywatelscy pewnieby typów dostarczyli), gdy więc zaczął marszałkowskiej tuszy nabierać, stało się to widocznem; uszy także dość znacznie od głowy mu odstają. Przypominam sobie, że mi kiedyś znakomity malarz powiedział, jakoby odstające uszy miały być frenologiczną śmiałości oznaką. Jan Bart ma „prawie pod kątem rozwartym“ na autentycznych portretach, pan Nepomucen ma je pod kątem „prawie prostym.“ Przy czarnych bokobrodach wcale go to nie szpeci, a czarne bokobrody i czarniuteczkie wąsy przy siwych na głowie włosach bardzo go teraz nawet zdobią. Nie potrzebuję ci mówić, że gdyśmy się poznali, p. Nepomucen nie miał jeszcze siwych włosów, miał gęstą atramentowej czarności niekarną czuprynę, która się nigdy według ówczesnej mody w supeł nad czołem

a dwa płaskie nad skroniami zefirki przyczesać nie dawała, grube jej masy na wszystkie strony rozpadały się w nieładzie, jak im się żywnie podobało, ale jak na nieszczęście nigdy matce mojej Maryni podobać się nie raczyły. Pan Marszałkiewicz, najsławniejszy w owym czasie miniaturzysta i nauczyciel rysunków, u którego nawet po wyjściu z pensyi prywatne lekcye Marynia brała, przyniósł jej raz na model gipsową głowę sławnego gladyatora umierającego; „a widzi pani,“ z tryumfem zauważałam wtedy głównej przeciwniczce, pani zawsze powiada, „że p. Nepomucen rozczochrany, on jednak zupełnie tak włosy nosi, jak na posągach starożytnych.“ „Chyba też jak na posągach starożytnych nieubranych, a zwłaszcza gladyatorów, co się jedni z drugimi tłukli,“ przycięła mi surowo matrona i wobec jej córki sprawę przegrałam. ale co ładnie, to bardzo ładnie kopia się udała Maryni, czarną i białą kredą na dwa cienie robiona; mam ją u siebie dotychczas w wielkiej tece pogrzebanych pamiątek. Przy takiej tedy posągowo rozczochranej głowie pan Nepomucen miał i zachował ruchy żywe, niby pośpieszne; chociaż to jego wadą właśnie, że się śpieszyć nie umie, jednak po krótkiej kampanii odbytej w młodzieńczych dojrzewania chwilach, nabrał tej zupełnie wojskowej maniery, rzekłabyś czasem, że mu jeszcze porucznikowskie szlify na ramionach świecą, i głos mu także porucznikowski na dnie powszednie się wyrobił, ten głos donośny, pełny, drgający między subordynacyą, a rozkazem, między wesołem bohaterstwem, a lekkomyślną pustotą, między stemplem kulę przybijającym, a całusem pięknej dziewczynie przesłanym. Szczególniej kiedy p. Nepomucen wita się z miłym sobie gościem, kiedy rozmawia z chłopami przed sienią, kiedy jaką dobrą wiadomość przynosi, to zawsze jak gdyby plutonem dowodził, albo manierką towarzysza na placówce częstował. Są chwile, w których ten głos mięknie, przytłumia się, wibruje tak delikatnie, jak pianissimo wiolonczeli, ale też są inne, w których nad obozowe tony mocniejszym

rozlega się piorunem i grzmotem. Raz tylko grzmoty i pioruny słyszałam; ktoś tam na egzekucyą przysłany postraszył mu pięcioletniego syna batożkiem. Oho! nawet sobie nie wyobrażałam, by tak groźnie odezwać się mogła pierś tak dobrotliwie łagodnego zazwyczaj człowieka. Pianissimo wiolonczeli także mi kilka razy koło uszu wionęło. Raz wionęło ze słowem wspomnienia o matce, drugi raz ze słowem żalu za umarłym na obcej ziemi bratem. Później kiedyś z imieniem ukochanej straconej, a jeszcze później przy podsumowaniu całego życia, przy gawędce o niedoszłych młodości zamiarach, o niespełnionych obowiązkach, o nieużytych do niczego zdolnościach, o tem co niepowrotne i co już niezastąpione. Jeszcze mi echem brzmi jego: „Zmarniało! wszystko człowiekowi zmarniało i człowiek sam zmarniał także!“ Gdyby się Zygmunt August przy śmiertelnem łożu Barbary mógł na obrazie Simmlera odezwać, pewnieby takim cichym, bolesnym szeptem się odezwał, ale jak dla Zygmunta Augusta, tak i dla p. Nepomucena za dosłowną prawdę owego wykrzyknika brać się nie godzi. Zygmunt August wyszukał sobie Giżanki na odurzenie i przeprowadził kilka jeszcze bardzo poczciwych spraw w życiu swojem. Pan Nepomucen znalazł coś lepszego niż Giżankę na pociechę, bo się do syna przywiązał, a na dobrą sprawę dalszego życia wychowaniem jego się zajął. Jakkolwiek wszelako z tonu i zwyczajnego ułożenia taki dziś jeszcze serdeczny i dziarski porucznik, nie na porucznika przecież kształcił się p. Nepomucen, miał nadzieję znakomitym prawnikiem zostać, szedł o lepszą z braćmi Cyp... na uniwersytecie i może jaki senator dzisiejszy pamięta go jeszcze, ale kursów nie skończył, zawierucha wyrwała młodą duszę z wytkniętej przed nią kolei, później objął niewielką po rodzicach majętność, zziemianiał zupełnie, tylko pamiątką uniwersyteckiego życia jest w nim zawsze wielkie do książek upodobanie. Jeszcze przed narodzeniem „Biblioteki warszawskiej“ trzymał

różne wątłe pisemka peryodyczne, które się od czasu do czasu pojawiały, teraz też ciągle jakieś dziełko przykupi, to historyą Thiersa lub Gerwinusa, to coś o naukach przyrodzonych, o swojem niegdyś prawnictwie ulubionem, i między obywatelami jest wielką naukową powagą, wielkiego wpływu jednak wcale na nich nie wywiera, a niestety, przyznać trzeba, że z dość słusznej przyczyny zarzucają mu trochę niedbałości w gospodarstwie; sprawiedliwą tedy jest rzeczą, że wpływ p. Nepomucena, który powinien być dobrym rolnikiem i powinien rozumnie się rządzić na tym kawałku jego a naszej, naszej a Bożej ziemi, że wpływ ten, mówię, zachwiał się i upadł, bo p. Nepomucen jest niepilnym rolnikiem i nierozumnym zarządzcą — to arcysłusznie — lecz to znów arcyniesłusznie, to rzecz bardzo niesprawiedliwa, że wszystko na książki spędzają, a ponieważ mu się sztuczne nawozy któregoś roku nie powiodły, rozeszła się opinia, że z książki gospodarzy; „zawiele czyta“ mówią sobie na przestrogę wzajemną. Prawda, że p. Nepomucen względnie do swojej obywatelskiej godności dużo czytuje, ale nie zawiele, on tylko zamało pisze po arabsku na swoje nieszczęście; regestra jego są trochę nieporządnie utrzymane. Gdy go pytałam kiedyś, co to znaczą pozycye budżetowe, o których w gazetach piszą, bardzo mi jasno, treściwie, zrozumiale obroty państwowej skarbowości wytłumaczył, ale podejrzywam go, że nigdy sam dla siebie żadnego nie ułożył budżetu, ani też żadnych nie poodznaczał w nim pozycyj, ani bilansu, jako żyje, nie przedstawił nikomu, nawet żonie przy separacyi. Prócz tego nie ma pan Nepomucen bystrego objęcia różnych warunków korzystnej lub niekorzystnej spekulacyi, ani wyzyskiwać, co jest bardzo chwalebnem, ani zyskiwać, co już jest trochę niedołężnem, nie umie; tyle dobrego przynajmniej, że to zna do siebie i usprawiedliwia się, że *zdolność* nie z pracy, lecz *z doli* idzie, bo *dola* jest źródłosłowem.

Koniecznie muszę tutaj maleńki niby psychologiczny wsunąć paradoks; zdaje mi się, że gdyby p. Nepomucen był trochę chciwszym spekulantem, toby o wiele bezwątpienia był rzetelniejszym człowiekiem. Juścić on jest moralnie i gatunkowo rzetelnym, ale praktycznie!... Żeby z długu na termin się uiścić, żeby sprzedane zboże według wszelkich zastrzeżeń kontraktowych odstawić, żeby spokojnie bez kłótni „dołożyć workiem, kiedy się nie dołoży okiem“ przy spisywaniu ugody, cała ta rutyna drobnych kodeksu cywilnego artykulików jeszcze ex-prawnikowi w zwyczaj nie weszła, a raczejbym powiedziała, że powoli ze zwyczaju wychodzić zaczęła. Honorowy, jak rycerz okrągłego stołu króla Artura, w młodości swojej szlachetność aż do nieroztropności posuwał; jeśli mógł wesprzeć, komu z własnym uszczerbkiem przysługę jaką oddać, to się czuł najszczęśliwszym. I dziś nieraz jeszcze takie same unoszą go popędy, ale że tak chętnie dzielił się swojem, że tak nigdy przez sen nawet cudzego nie pragnął, ubezpieczył się na intencyach i ani przypuścił nawet, by mógł kiedy mieć czyją krzywdę na sumieniu. Jednak zdarzało się w zawilszych przedsięwzięciach, że i sam nic nie zarobił i drugich czasem na straty naraził. Jeśli się spostrzegł wtedy, to sobie włosy garściami z rozpaczy wyrywał, jeśli się nie spostrzegł (my biedni zaślepieni ludzie najczęściej się nie spostrzegamy), to go najlżejsze słowo wymówki oburzało. Jak można wątpić o nim? jak można zarzucać jemu? czyż nie przekonał ludzi i sam w sobie czyż nie jest przekonanym, że umie własnym interesem pogardzić, wyrzec się własnej korzyści, on, uczciwy i prawy? Tak, bardzo prawy, mogę ci za to ręczyć, Marynko, ale niedość prawny, pomimo studyów uniwersyteckich. Bujna to była, tylko trochę płynna natura, niedostatecznie w kształt pewny ujęta, ograniczenia zakonu, reguły potrzebująca; dobry instynkt ciągnął go ku tej jedynej, która jego niedostatek w obfitość, jego niedoskonałości w najlepszość, jego grzechy w zbawienie prze-

mienić mogła. Świat rozdzielił! Jestem pewna, że Marynia, patrząc na dalszy rozwój dziejów p. Nepomucena, z coraz głębszą wdzięcznością uwielbiała rozsądek swoich rodziców i własne posłuszeństwo; a ja, przeciwnie, im więcej słyszałam o błędach lub nieszczęściach, tem więcej żałowałam cnót możliwych i możliwego piękna.

Łatwą było do przewidzenia rzeczą, że skoro tylko zaraz przed ślubem lub po ślubie swego ideału p. Nepomucen w łeb sobie nie strzeli, to prędzej później sam się ożeni także. Nie strzelił w łeb sobie, chociaż widziałam go bardzo bladym i zmienionym w tej epoce. Pamiętam jednę chwilę jednego spojrzenia, szczególniej wyraźnie trupa w twarzy jego zobaczyłam, ha! kto wie, czy nie umarł na czas jakiś, czy nie umarł jakąś częścią duszy swojej; jakaś zdolność, siła jakaś czy go nie odstąpiła wtedy na wieki! Ta siła, zdolność w każdym razie nie była zdolnością i siłą kochania, bo w jakiś czas potem słyszałam o kilku jego dość głośnych romansach, nakoniec usłyszałam, że się i ożenił. Bardzo zwyczajne okoliczności życia, to wyjazdy, to przesiedliny rozłączyły nas podówczas i dopiero coś około 46 roku odnowiły się nasze stosunki. Nie znałam więc pani Nepomucenowej, ze słyszenia wiem tylko, że należała do rzędu kobiet niełądnych a zajmujących. Wdzięczna, bluszczowej miękkości, trochę marzycielskiej natury, a co gorsza, okropnie rozdraźnionych nerwów, nęciła swoją łagodnością, jak obietnicą ciszy i spokoju, zaciekawiała chorobą, jak tejemnicą niezwierzonych myśli, głębokich wrażeń, wulkanicznego uczucia. Pan Nepomucen szalenie się w niej zakochał, bo p. Nepomucen jest dziś jeszcze wielkim entuzyastą; jak w zapał wpadnie do czegobądź lub z czegobądź, tak sąsiedzi może się i nie mylą, mówiąc zwykle o nim: „szalenie konno jeździ, szalenie poluje,“ czasem, rzadko się to zdarza, lecz czasem powiedzą też „szalenie gra w karty,“ tak jak na niektórych balach warszawskich „szalenie tańczył“ niegdyś, jak szalenie się rąbał

i strzelał, jak wreszcie szalenie kochał swoję żonę. Czemu on jej zwyczajnie tylko nie kochał, jak się kocha, kiedy się kocha? Dom jego byłby dzisiaj wesoły, gwarny, ubłogosławiony szczęściem rodzinnem. Byłaby jedna więcej dobra i użyteczna kobieta na świecie. On kochał szalenie!... pieścił i dokuczał, obchodził się to jak z fetyszem, to jak z Agarą niewolnicą, aż przyszło do coraz drażliwszych nieporozumień, kobieta szalenie kochana znudziła się, rozdziwaczała i kochać przestała. Mąż niekochany zakamieniał w swej dumie. Nie mieli żadnej prawdy wspólnej, któraby między nimi na rozsądzenie stała, mieli tylko wzajemne wymagania. On jej nie zarzucał, że świętości obowiązków swoich nie pojmuje, że zbyt mało dba o moralne i fizyczne dobro, o naukę i wygodę swoich podwładnych, że sama nie kształci się, nie oświeca, nie ulepsza; tylko łajał, że tam, a nie tam pojechała, że z tym lub owym zadługo mówiła, od czasu do czasu, jeśli kupiec na pszenicę nie dopisał, to zrzędził że wydatki ogromne, że się nie umie z pieniędzmi obchodzić.

Ona zaś wcale o to nie miała do męża pretensyi, że jej nie wskazał którą drogą obok niego postępować, a coraz wyżej wznosićby się mogła, że nie obmyślił dla niej udziału w jakiej pożytecznej pracy, że sam zresztą nie zajął ważniejszego stanowiska, że do ważniejszych zamiarów ręki nie przyłożył; ale natomiast skarżyła się, że odjeżdżał lub niedość prędko wracał, że jego listy bywały krótkie, że danego sobie zlecenia zapomniał, a potem że jej odmówił jakiejś drobnostki, jakiejś przyjemności, a potem że jej zrobił przykrość maleńką, a potem że mógł się niecierpliwić tą, którą jemu zrobiła. I tak szło coraz dalej, i byłoby, jak w wielu innych małżeństwach, szło aż do grobu może, gdyby się dwa zbyt podobne do siebie usposobienia nie dobrały. Pan Nepomucen był nie z fantazyi, ale ze szczerego serca trochę romansowy, pani Nepomucenowa jeszcze bardziej romansową była. Oboje wzdychali za światem idealnym, artystycznie

pięknym i gładkim, a tkwili we wszystkich chropowatościach najnieznośniejszej trywialności; musiała przyjść chwila gniewu i obrzydzenie, w takiej chwili rozstali się na wieki. Jaka okoliczność, jakie zdarzenie ostatecznie spowodowało ten wypadek? nikt nie wie. Od chwili rozłączenia p. Nepomucen nikomu nigdy imienia żony nie wspomniał. Ludzie różne plotki sieją. Słychać było, że pani Nepomucenowa do klasztoru wstępuje, to znów że ją we Włoszech nie samę widywano. Nic mi na tem nie zależało, by się w tym względzie prawdy dowiedzieć. Kiedy po długich latach niewidzenia spotkałam się z p. Nepomucenem, był już prawnie z żoną separowany; swobodny humor jego ucieniował się żyłkami gorzkiego sarkazmu, a włosy pobielały przedwczesną siwizną. Od zwątpienia jednakże, od trującego żalu do ludzi, od obosiecznej świata całego pogardy, strzegło go jedno święte i wszystkie władze duszy chłonące uczucie. P. Nepomucen zatrzymał syna jedynaka przy sobie, i syna kochał, już nie szalenie, lub raczej kochał go i szalenie i rozumnie, i ślepo i jasnowidnie, kochał go na wszystkie sposoby, jakiemi tylko serce kochać może.

Cóż się tedy z tak ukochanego wyrobiło? Widziałam pięcioletniego Dziunia, jeszcze przed rozłączeniem rodziców, ale w nieobecności matki; było to chude, żółte, rozkapryszone i ponure dziecko, które się ze mną przywitać nie chciało, chociaż mu pudełko pełne cukierków pokazywałam, a ojciec żywego konia obiecywał. Głupstwo, dziwactwo dziecinne, mnie jednak rozżalenie ogarnęło, jakby do człowieka.

— Ot widzi pan — rzekłam panu Nepomucenowi — tak to się wiekuiście ludzie zpod wieży Babel rozchodzą; już pana syn mnie nie zna i kochać mię nie będzie.

A pan Nepomucen odpowiedział:

— Nie, ja w tem, że będzie i znał i kochał — jedno z owych najszczerszych, lecz zdaje mi się bez

złej woli zapomnianych pana Nepomucena przyrzeczeń.

Widziałam później Konradka w szkolnym mundurku, nieśmiałego, niezgrabnego, tylko kiedyśmy z ojcem rozmawiać zaczęli i *straszne, okropne historye* nawzajem sobie opowiadać, spostrzegłam, że chłopiec słuchał uważnie, a twarz mu pobladła i oczy wielkim blaskiem rozpłonęły. Z dobrą notą zapisałam w pamięci studencika, co umiał słuchać, do rozmowy starszych się nie mieszając.

U pani Maryi na wieczorze dopiero spotkałam dorosłego pana Konrada i mam wielką ochotę umieścić go w wiadomej ci kolekcyi, tylko nie obok ojca, raczej zupełnie przeciwlegle w seryi drugiej z nadpisem: Konsekwencya, dział pierwszy. Próby różne. N. 3. Próba konsekwencyi w rozumie.

Istotnie pierwsze wrażenie, jakie na mnie twarz Konrada zrobiła, było wrażeniem wysokiej inteligencyi; pierwsze wrażenie, jakie głos jego zrobił, było wrażeniem powagi i rozwagi, ale pierwsze wrażenie, jakie zrobił jego uśmiech przy powitaniu, było tylko przypomnieniem serdecznej ojca jego dobroci.

Jakie może barwy i odcienia tworzyć danych farb pomieszanie, czy ów błękit uczuciowy z purpurą inteligencyi wyda fiolet, czy karmazyn? a jaki fiolet, jaki karmazyn? Czy hart naukowej logiki jest gruntem osobistości, dobroć kochająca formą charakteru, czy odwrotnie? Kamień-li to jedwabiem owinięty? czy jedwab w kamiennem pudełku? Nic jeszcze sądzić o tem nie mogę, wiem co najwięcej, że jest jedwab i kamień. Prócz tego jedynego uśmiechu, p. Konrad zresztą w niczem z powierzchowności do ojca nie jest podobny. Coś smuklejszego w figurze, coś arystokratyczniejszego w rysach, choć niższy i drobniejszy. Nigdybyś się nie domyśliła, że to... wyrobnik. Tak jest, wyrobnik własnemi rękami, a przypatrzyłam się nieznacznie: ma bardzo białe ręce z długiemi, delikatnemi palcami, z różową od spodu dłonią, musi to być po matce bezczynnej księżniczce sennych rojeń dzie-

dzictwo. Temi więc własnemi książęcemi rękami kuł żelazo, młotem rozbijał kamienne pokłady, jednem słowem temi rękami pracował. Lecz nie chcę cię dłużej mistyfikować: wszystko razem znaczy jedynie, że skończył szkołę normalną w Paryżu, wykształcił się na inżeniera mechanika, był na praktyce przy kopaniu kanałów między Sambrą a Meuzą, potem czas jakiś spędził w zakładach Cornhilu, potem zwiedził Anglią i miał szczęście widzieć jeszcze przed zgonem sławnej pamięci Stefensa. Potem wrócił do kraju, urządził podobno już któremuś z obywateli galicyjskich zyskowniejszą eksploatacyą źródeł naftowych — bodaj czy mu zupełnie sam pierwszy tego bogactwa nie odkrył. A nakoniec teraz, nie licząc że jest z różnych stron do różnych prywatnych osób wzywany, to żeby jakąś papiernię urządził, to żeby młyny parowe i t. p. maszynerye zakładał, nie licząc że kilku większych przedsiębierców ofiarowało mu w swoich fabrykach umieszczenie, jeszcze daleko świetniejsza uchyla się przed jego wzrokiem perspektywa, przy końcu której...

Ale czyż ręczyć, że przy końcu, może w środku właśnie zarysy dyrektorstwa wszystkich bankowych zakładów majaczą? Początek jeszcze nie brzmi tak szumnym tytułem, lecz musi to już być coś sutego i z hypoteką na ziszczenie obietnic, bo chociaż przypuszczam, że pani Marya zawszeby łaskawem okiem na syna p. Nepomucena w domu swoim spoglądała, to niezawodnie pan Marcin nie przyjmowałby go tak uprzejmie, a panienkom nie byłoby wolno tak po kuzynowsku się z nim obchodzić, gdyby p. Konrad miał tylko rozum w głowie i tylko dyplom szkoły normalnej w kieszeni. Tymczasem, jeśli mię różne spostrzeżenia nie zawodzą, jest coś prawie rodzinnego w całem postępowaniu z p. Konradem. Nie chciałam sobie zrazu na żadne domysły wydać przywileju, ale niedalej jak wczoraj była u mnie ta sama pani referendarzowa, co to nie chciała nauk młodszej siostrze przerywać, i bardzo wyraźnie, jak o rzeczy stanowczo już ułożonej, mówiła.

— Czy być może? pan Marcin poprzestałby na... na panu Konradzie? — przedstawiałam z obłudnem powątpiewaniem.

— I cóż chcesz, moja droga pani — perswadowano mi w najlepszej wierze — prawda, że państwo Marcinostwo wielkie mają dochody, ale stałego majątku nie tak wiele, a dzieci sześcioro!...

Patrzcie tylko, o matki, o ojcowie, jakie to nieszczęście mieć sześcioro dzieci! Trzeba potem szukać dla córek rozumnych mężów, coby z mniejszego potrafili zrobić większe, z niższego dostać się na wyższe. Przynajmniej kto ma bogatą jedynaczkę, to sobie powie: choćby mój zięć stracił trzecią część, choćby połowę swojego i swojej żony dziedzictwa, jeszcze reszty dla dzieci jego wystarczy, a choćby szkół nie skończył i żadnego naukowego dyplomu nie otrzymał, to jeszcze, gdy żona zechce, może jaką godność obywatelską piastować. Nie zostanie prezydentem ani prezesem żadnego stowarzyszenia, to zostanie choć radcą kredytowym, choć sędzią pokoju. Szczęśliwe jedynaczki, Marynko!

Ale dość tego, czas nakoniec, żebym z tobą w myśli i sercu, z tobą a z całem towarzystwem p. Maryi w bawialnym pokoju zasiadła już na kanapie i o dziełach pani Hoffman rozmawiać zaczęła. Wszakże wszystkich ci zaprezentowałam, wszystkich, o ile sobie przypominam, ha! jeszcze nie zaprezentowałam Józia, Karolka i pana korepetytora. Prawda, że i mnie ich nie zaprezentowano, lecz mogę w krótkich słowach grzecznej formułki dopełnić. Józio ma lat dwanaście, krótko już po szkolnemu obcięte włosy i minkę ogromnie figlarną; Karolek jeszcze mógłby królem Franków być obrany, zdaje się, że nożyce nie tknęły ani razu tej złocistej fali, co mu aż na ramiona spływa; jest też coś frankońskiego w jego fizyognomii, psota i śmiałość; a pan korepetytor — szatyn.

Spodziewam się, że gdybyś teraz weszła przy padkiem w grono tych osób, to jużbyś je poznała z łatwością. Chyba tylko pomyliłabyś się jeszcze

między panną Amelką a panną Marylką, i słusznie, bo ja sama pomyliłam się także. Pierwej nim miałam czas rozejrzeć się w zgromadzonem przy wielkim stole towarzystwie, dojrzałam tylko, że przez kilka miesięcy, podczas których nie wypadło mi jakoś być u p. Maryi, obie siostry bardzo wyładniały, czy to skutkiem wieczorków karnawałowych, czy innych wpływów psychologicznych, dość powiedzieć, że ja, co nigdy na nie wyłącznej nie zwracałam uwagi, nawet przyznam ci się w sekrecie, nie lubiłam ich trochę za to, że były niby podobne do matki kolorytem, a tak ojca przypominały rysami, jak gdyby na sprzeciwienie, tym razem jednak musiałam dłużej oczy zatrzymać. Pierwsze spojrzenie pociągnęła jasna, miernego wzrostu, prześlicznej karnacyi dziewczyna; nie pomyślałam o bogactwach i kosztownościach żadnych na jej widok, lecz padło na mnie jakieś błogie, przyjemne poczucie obfitości i dostatku. Włosy jak gruby snop pszenicy, szyja biała jak mleko, twarz rumiana jak brzoskwinia, nosek haczykowaty, nosek jeden skąpy i chudy, ale usteczka! czy lubisz szklane wiśnie, Marynko? jak najpyszniejsza szklana wiśnia, soczysto, smacznie purpurowo te usteczka wyglądają, chcesz czy nie chcesz, musisz sobie jakie wiersze o pocałunku przypomnieć. Do błękitnych oczu zato znanych ci wierszy „o błękitnych oczach“ nie mogłabyś zadeklamować, te oczy wcale nie błękitnie patrzą. Wielkiej mi ciekawości narobiły; dziwię się pani Maryi, że taka spokojna, panu Marcinowi zaś to się bynajmniej nie dziwię, że tę szczebiotkę podobno najlepiej ze wszystkich dzieci kocha. Pewna bujność organizacyi, pewna może niesforność charakteru lepiej się godzi z jego zadomowem usposobieniem i wdzięcznym być musi swojej faworytce, że go w domu niekiedy z krochmalu urzędowej sztywności rozkrusza. Tylko sobie nie wyobrażaj, moja Marynko, żadnej amazonki, żadnej emancypantki, żadnej wietrznicy nawet. Jakżeby się co podobnego pod skrzydłami pani Maryi uchowało! Powabna blondynka jest bardzo pięknie ułożoną młodą

osobą. Najniebezpieczniejszy symptomat wyzwolenia w tem chyba się objawia, że woli ponsowe, niż niebieskie wstążeczki; zaraz mię uderzyło, iż miała ponsowy *cache peigne* i ponsową na szyi zawiązkę. Jej matka nigdy sobie dobrowolnie takiej ekscentryczności nie pozwoliła. Wiedziała z tradycyi, że blondynki powinny się niebiesko ubierać i zawsze jeśli nie czarno, nie biało, nie jakbądź ciemno wreszcie, to o zakład niebiesko bywała ubraną. Raz jedyny uprosiłam ją, by koralową na bal włożyła girlandkę. Przez poświęcenie dla mnie dała się namówić. Głos sumienia zadecydował, że między przyjaciółką a stroikiem, nawet z zachwycająco turkusowych niezapominajek sprawę na korzyść przyjaciółki rozsądzić się godzi. Całe balowe zgromadzenie koralom przyklasnęło, p. Nepomucen za mojem krzesłem schylony, gdy przechodziła, półgłosem rzekł do mnie — Anioł morza!... a mnie śmiech zjął pusty, gdyż trzeba ci wiedzieć, Marynko, że byłam wtedy „szalenie wesoła," zaczęłam się więc drażnić z p. Nepomucenem.

— Czy pan zna tę osobliwość? pierwszy raz o niej słyszę. W historyi naturalnej czytałam o cielętach morskich, w mitologii o syrenach, w bajkach o ondynach, ale jak żyję, nigdy nikt mi o aniołach morskich nie powiadał.

— Więc ja pani powiem, że są anioły morza, zstępują do otchłani, a gdy z niej potem na świat Boży wracają, to im się czasem gałązka koralowa w złocistych włosów pierścienie oplącze.

— A na co tam zstępują? czy im po drodze bywa?

— Może chcą jaką utopioną duszę wyratować.

— Nie podoba mi się legenda, wolę bajkę, wolę wschodnie i mitologiczne powieści. Ondyna albo zaczarowana księżniczka, albo Nereida złotowłosa zamknięta jest w kryształowym podwodnym pałacu; wtem przybywa rycerz, albo królewicz ziemi, albo olbrzymi Tytan jaki rzuca się w morskie fale, zwycięża Neptuna i Amfitryty, Geniusze i potwory, roz-

bija kryształowe gmachy, a piękną oswobodzoną z koralowemi gałązkami w świetle słonecznych promieni przebudza.

— Co ma znaczyć?

— To ma znaczyć, że piękniejsze są mity siły, niż marzycielstwa, a cenniejszą odwaga miłości, niż uwielbienia.

— Czyżby to znowu znaczyło... — biedny p. Nepomucen zająknął się. lecz odwróciłam się ku niemu i widziałam, że cała twarz mu rozbłysła fajerwerkiem, który nagle słowa moje zapaliły w jego mózgu, aż mi się żal zrobiło.

— Nie, nie — odparłam coprędzej — to nic nie znaczy; to znaczy jedynie moje osobiste przekonanie, nie chciej pan z łaski swojej za radę tego uważać.

— A gdyby...

— A toby...—z takim poważnym akcentem i tak wiernie echo oddałam, że mi trudno było po raz drugi od śmiechu się wstrzymać. Pan Nepomucen schylił głowę i milczał, milczał, aż gdy wstawałam już, by się oddalić:

— Jednak pani dobrą jesteś—rzekł zcicha i tyle było prawdy — no! nie podchwytuj mię, Marynko, nie mówię o objektywnej, lecz subjektywnej prawdzie— tyle jej było w tych kilku słowach, że musiałam zbyć je żartem, bo przecież między kontredansem a mazurkiem niepodobna się rozrzewniać.

— Jednak dobrą? Rozumiem, dobrą z przeszkodami—rzekłam.

— Tak jest, dobrą, chociaż się śmiejesz.

— Dziwna rzecz! A pan chociaż się śmiejesz i częściej i szczerzej odemnie, to wcale nie jesteś... zły—i uciekłam w drugi koniec salonu.

Nie robię, jak widzisz, żadnych z tobą ceremonij. Marynko moja kochana, w liście do ciebie pisanym sama do siebie piszę razporaz. Ani wiesz, zkąd się to wzięło, ani możesz odgadnąć, co to cię ma obchodzić, lecz mniejsza o to, nawet nie przeproszę. Wracając z owego balu, powtórzyłam Maryni wszystkie pochwa-

ły, które mi na rachunek jej koralowej girlandki do ucha złożono, wspomniałam i o morskich aniołach bez ubocznych dodatków, jak się łatwo domyśleć możesz. Groch na ścianę, moja droga; zaraz nazajutrz błękitne przepaski i lazurowe muślinki wróciły. Ten szczegół to ci dlatego przytaczam, żebyś lepiej zrozumiała, jakie wrażenie i czemu wrażenie zrobiły na mnie szkarłatne kokardy na głowie córki blondyny. Druga siostra obok niej stojąca, jakkolwiek trochę ciemniejszej kompleksyi, przez posłuszeństwo czy przez obojętność może nosiła wierne zasadom matki przybranie: wśród bardzo kędzierzawych ciemno-bursztynowych włosów z błękitnego aksamitu plecionkę. Napomknęłam ci lekką wątpliwość co do posłuszeństwa błękitnej plecionki, bo też trzeba przyznać, że się wcale z ideą posłuszeństwa nie godziły uwieńczone nią rysy. Znasz różne portrety królowej Wiktoryi. Wszak prawda, że nie bardzo piękna? Nizka, jakby nie na królową, a przecież ci, którzy ją w pierwszym roku jej wstąpienia na tron widzieli, utrzymują, że im się bardzo wysoką i olśniewająco uroczą wydała. Przenieś taką królową Wiktoryą do bawialnego państwa Marcinów pokoju, daj jej rzeczywiście wzrost wysmukły i twarz trochę pociąglejszą, ale zachowaj tę samę pewność.“

. . . .

II.

Kiedy los zacznie kogo prześladować, to już mu wszystko aż do najprostszej przynależności odbierze, lecz też kiedy komu sprzyjać raczy, to datków i naddatków nie szczędzi. Marynka dobra, zdolna i piękna, była jeszcze i majętną. Ojciec jej, sławny niegdyś z urody i zbytków bałamut warszawski, stracił wpra-

wdzie większą połowę odziedziczonego po przodkach majątku, szczęśliwie jednak dość wcześnie się ożenił, by posagiem żony resztę uratować i podnieść, a żonę wziął dość powabną, dość rozsądną, dość kobieco taktowną, czy przebiegłą (nie mogę sobie na żaden sposób okazałej pani Zenobii X. w jednym gramatykalnym okresie z przebiegłością zestawionej wyobrazić, tak i to była przebiegłość, wszelako przebiegłość poważna, nieruchliwa lecz zawsze celu dobiegająca); wziął tedy żonę dość kochaną, dajmy na to, by go trochę zawojowała, co poszło na wybawienie dóbr jego doczesnych, a trzeba mieć nadzieję, że i wiekuistych także, bo nawrócony, przykładnym małżonkiem w kilka lat po ślubie umarł.

Marynka czwarty rok dopiero zaczynała wówczas. Innym dzieciom ta wstępna część życia ginie zupełnie, Marynce nie zginęła, bo to było już wtedy rozbudzone, pojętne, wrażliwe dziewczątko. Zachowała też o ojcu kilka mętnych przypomnień. Dwie chwile szczególniej dobitnie się odrysowały w jej wyobraźni. Raz było bardzo, bardzo jasno, tak jasno, że kiedy w górę patrzeć, to aż oczy jej się mrużyły. Zapewne musiał to być jakiś dzień pogodny, pierwszy dzień światły, który spostrzegła i poczuła. Ojciec leżał na kwiatach; domyśla się, że poprostu leżał na trawie w ogrodzie, a może między trawą kilka polnych kwiateczków wystrzeliło. Marynka jednak widziała wtedy kwiaty, niewidziane już potem nigdy, różowe i żółte, a ojciec był czarno ubrany, miał twarz bardzo białą, włosy w tył odrzucone i nadzwyczajnie jej się podobał. Kiedy stała przy nim zapatrzona, uśmiechnął się i kazał jej, żeby go w czoło pocałowała.

Niezawodnie potem znów wśród światła, ale innego światła, wśród świec setkami gorejących, wśród lasów dużych krzewów, samych zielonych krzewów. nie na trawie, nie w ogrodzie, lecz w największym salonie, po którym bardzo często ojciec ją gonił wesoło, leżał on znowu i znowu tak samo czarno ubrany, i z taką samą białą twarzą i ktoś podniósł ją wtedy ku nie-

mu i powiedział: — Niech Marynka tatę w rączkę pocałuje, bo tata daleko, daleko odjeżdża.

Lecz Marynka nie chciała w rączkę pocałować, tylko w czoło pocałowała, bo pamiętała, że tata kazał jej się w czoło całować. Zdaje się, iż to pożegnanie niańce swojej zawdzięcza. Ani matka, ani wujaszek nie chcieli dziecka rozrzewniać na większe dla samych siebie zmartwienie; wymiarkować nawet nie mogę, kiedy się to stało, gdyż wszyscy właśnie nad tem czuwali, by zapłakana od żalu, razporaz mdlejąca matka ciągle swoję pociechę jedyną, swoję córkę przed oczyma miała. Marynka jednak utrzymuje, że taką chwilę pamięta, a szczególniej przeciągły, rzewny akcent mówiącej osoby i powtórzenie tego słowa „daleko, daleko,“ gdy je usłyszy, przeczyta lub sama wymówi, to zawsze pada na nią wrażenie świec jarzących, ciemnej jakiejś zieloności, bladej twarzy bez uśmiechu i wiecznego rozstania.

Matka Marynki, chociaż młodą i bogatą wdową została, nie poszła drugi raz za mąż. Jedni mówili, że z miłości dla nieboszczyka; drudzy, że z miłości dla córki; ona sama, chociaż wiele czułych lub spartańskich maksym dałoby się z tego założenia wysnuć, nigdy się nie tłumaczyła, dlaczego tak postępuje. Prawdopodobnie i nie rozstrzygnęła nigdy tej kwestyi we własnem sumieniu. Drugi raz za mąż nie poszła, bo jej było dobrze tak, jak było. Rządziła nieodpowiedzialnie życiem swojem i majątkiem, a rządy wcale dla niej wstrętnemi nie były. Och, bardzo lubiła rządzić! Pocichu, spokojnie, bez wystąpień oratorskich, monarchiczną władzę ogarnęła nietylko we własnym domu, ale i w rodzinie całej.

Ba! nietylko w rodzinie całej; wiem ja coś o tem, znam wielu jej znajomych, którzy się razporaz oglądali na panią Zenobią, czy na nich patrzy, a szli tam, gdzie ich zaprowadzić chciała. Trzeba przyznać, że to z prawdziwym talentem czyniła; miała nadewszystko dwie nader ważne dla rządczyń zalety: nie mieszała się do spraw, które jej nie obchodziły, i łatwo ustępo-

wała w drobiazgach. Każdy mógł przy niej najswobodniejszym się mniemać, każdy swoje zdanie utrzymać, tylko nie każdy na swojem postawić.

Nie znałam kobiety, któraby przyjemniej potrafiła słuchać i chwalebniej dla mówiącego przekonywać się dawała, ale też nie znam takiej, coby równie wytrwałą była w przeprowadzeniu zamiarów swoich, coby tak jak ona umiała przedsięwziąć i wykonać. Jak blizko ta umiejętność z intrygą graniczyła, prócz samejże pani Zenobii nikt o tem wiedzieć nie może i ja nie wiem. Uroczyście nawet zaświadczam, że nigdy śladu żadnej intrygi w jej działaniu nie dopatrzyłam; wnioskuję więc, że najwyższą jej zręcznością było przeczekanie oporu, a najskuteczniejszą intrygą opór. Marynka poczęści domyślała się tej taktyki. Raz, kiedy szło o jakiś wieczorek, na którym Marynka wielką być miała ochotę, a pani Zenobia niewielką podobno:

— Strach na mnie — żartem niby zwierzyła mi się dziewczyna; — pewnie mój wieczorek przepadnie, bo mama nie odmawia, tylko czekać zaczyna.

Istotnie wieczorek przepadł. Było podobno w tym domu rodzeństwo trochę niebezpieczne. Siostrę Marynka nadzwyczaj polubiła, brata zaś pani Zenobia polubić nie mogła. Tak długo, tak długo wybierała się z wizytą, że się aż sprzykrzyło Marynce i zapomniała. W gruncie serca jednak nie trwożyła się Marynka tego cierpliwego despotyzmu. Czegóż tedy się lękać? Alboż matka szczęścia swojego dziecka nie pragnie najgoręcej? A instynkt macierzyński?... Prędzej Marynka omylić się może, Marynkę młodość uniesie, wyobraźnia oszuka, ale matka?... serce matki przewidzi i odgadnie. Serce matki świątynią delficką natchnienia... To też z prawdziwem natchnieniem prowadziła spadłe na nią po śmierci męża interesa.

Pan Klemens, brat dobry i przywiązany, w wielu sprawach jej pomagał, lecz główny kierunek, wszelką inicyatywę pani Zenobia przy sobie zatrzymała. Wiadomą nawet było rzeczą, że podniesienie gospodarstwa w hrubieszowskich dobrach pana Klemensa

przeważnie się z planów siostry jego rozwijało. Nic dziwnego, te dobra, według najprawdopobniejszych przypuszczeń, kiedyś na własność Marynki przejść miały. Marynka tedy była co się zowie „świetną partyą.“ Mogło jej to zaszkodzić, bo mogło ją otoczyć całym rojem zwykłych posagowych zalotników. mogło wystawić na kłamliwe nadskakiwania jednych, a tem samem wzbudzić nieufność do wszystkich, mogło wreszcie uśpić nudami. Ale mogło i pomódz, bo jeśli zdrowe skłonności jej serca zapotrzebują prawdy, jeśli dowcip „rozbujałe flukta“ światowych piasków przenurtuje i nikczemnostki rozpozna, a złudzenia w najpiękniejszych kamizelkach właściwemi etykietami podpisze, to ma niezależność ubezpieczoną, zdolność wyboru zupełną, przyszłość ze szczęściem czy bez szczęścia... spokojną. Nie bez tego też, bym i na pewne do sprzeczności ciągnące usposobienie ludzkie nie rachowała. Ci, którzy mają wystarczający zapas idealnych dóbr i własności tylko, proszę uważać, wyraźnie powiadam idealnych, nie ideałów, biorę w tem znaczeniu poczciwość, naukę, talenta różne i zacności różne, lecz nieoprawne jeszcze w ideał, to jest „w dążność ku najlepszości,“ z religii, czyli z ukochania wrodzonego najlepszości, jako z punktu wyjścia swojego przez całe życie przesnutą. Ci tedy idealni bez ideału najniewinniej częstokroć daj się olśnić ponętom zbytku i bogactwa. Jako rzeczy od dzieciństwa nieznane, lub bardzo niedokładnie znane, nęcą one ich nerwy urokiem sztuki, zwodzą sumienie dwuznacznikiem artyzmu, odurzają głowę wyziewem swoim, wonno lubo fantastycznie trującym. Ci zaś, którzy do owej *cannabis indica* przywykli, którzy zbytek i bogactwo tak przyswoili sobie, że aż wiedzą, czem one są wistocie, częściej znów tęsknią do rzeczy, których ani kupić, ani na ścianie zawiesić, ani w najsławniejszej operze usłyszeć, ani w najdalszej podróży zobaczyć nie można: tęsknią do uczucia w sobie. Przecież i Tyberyusz na Kaprei tęsknił, we krwi i rozpuście. Czemuż ta moja-

tkliwa, serdeczna Marynka tęsknić nie miała i znaleść nie miała w miłości?

VII.

Towarzystwo zaciekawione tem, co o Marynce bez wymienienia jej nazwiska wspomniałam, różnych jeszcze względem jej osobistości żąda objaśnień.

— A czy ładna?—zapytał pan Nepomucen.

— Jaki to zwyczaj dla nas upokarzający—śmiejąc się i wzdychając, odpowiedziałam niedyskretnemu przyjacielowi.—Byle o której z nas wspomnieć, pierwsze zawsze będzie: „a czy ładna?“ choć umiecie potem deklamować przeciw lekkomyślnej próżności i strojom kosztownym, chwalić cnotę, zalecać pracowitość; niech ta niekonsekwencya wasza kamieniem na sumieniu wam cięży, radźcie z nią sobie jak chcecie, nie mam potrzeby się w to mieszać. Moja młoda znajoma i ładna, i piękna i śliczna.

Jej gruby czarny warkocz do rozpaczy przywodzi fryzyerów, nietylko dlatego, że im nadzieję sprzedaży dodatkowych loków i szynionów odejmuje, ale i dlatego, że gdy im układać go przyjdzie, to sami nie wiedzą, co z temi kaskadami hebanu zrobić mają. Oczy są zupełnie odpowiedniej włosom czarności, a takiego dyamentowego, słonecznego blasku, że ty sam, panie Nepomucenie, choć masz do błękitnych pociąg wrodzony, nie potrafiłbyś jednak blasku ich bez lekkiego olśnienia wytrzymać; a rzęsy takim długim cieniem na twarz, gdy spuszczone, padają, że jeszcze gorsze niebezpieczeństwo. Twarz!... nie znam żadnej

Hiszpanki, wyobrażam sobie jednak, że między niemi często muszą się spotykać twarze z owym kolorytem świeżym i ciepłym choć bez rumieńca, jasnym choć bez białości. Mniejwięcej przypomnijcie sobie państwo panią Józię i panią Felicyą: cygańską śniadość jednej w bladym marmurze drugiej rozpuścić, to będzie coś podobnego. Skład głowy, jej osadzenie na ramionach, zdaje się jakby z przeczucia w Słowackiego Beniowskim opisane.

Czoło pogodne, wcale obiecująco rozwinięte i dwoma aksamitkami wąziutkiemi zakończone; nosek jej wydał mi się czysto rzymskiego rysunku, lecz sprzeczano się ze mną, że jest francuskiego typu, a raz słyszałam, jak go nosem lady Georginy z jakiegoś keepsaka przezwano; to już świadczy, że o nim można długą, *ad libitum* uczoną, czy artystyczną prowadzić dysputę. Znałam wszelako pewne panie i pewne panienki, które pierwej zawsze o ustach mojej znajomej mówić zaczynają; ale mnie nudzą takie maskaradowe zwroty i wyrażenia: „moja znajoma, moja przyjaciółka"—lepiej chrzestnego użyję imienia, lecz żeby *incognita* nie zdradzić, pożyczę od ciebie, Maryniu, i skłoniłam się pani domu żartobliwie.

— Bo też istotnie pod imię Maryni, jak pod najobszerniejsze domino schować się można — zauważyła młodcza córka państwa Marcinostwa.

— Prawda że to już trochę imieniem własnem być przestaje, Marynia, Mania, Marylka... ale — ciągnęłam dalej — tem odpowiedniejsze dla mnie dzisiaj się okazuje. Żeby zaś wszelkiego nieporozumienia uniknąć z obecnemi właścicielkami, więc moję niewłaścicielkę na dzisiejszy wieczór „Marynką" oto mianuję.

Śmiać mi się chciało z własnego pomysłu, że szczerą prawdą ludzi zwodziłam; okazało się później, jak to było zdradliwe, lecz nie uprzedzajmy wypadków.

Pan Marcin koniecznie chciał się dowiedzieć, czemu niektóre z płci naszej osoby przedewszystkiem

na usta Marynki uwagę zwracały? Gdyby on tak postąpił, toby wiedział dlaczego.

— A ja, szanowny panie referendarzu, taka jestem dobroduszna, że się powodu tych pań i panienek nie domyślam bynajmniej, owszem, dziwi mnie bardzo ich wybór, gdyż właśnie usta są najniepoprawniej ze wszystkich rysów jej zakreślone. Gdyby w ich rozwarciu prawdziwie uryańskie perły nie świeciły, toby im przyganiano, że zamało wydatne, o parę linij zaszeroko rozcięte; ale ponieważ każdy jej uśmiech jak z Tysiąca nocy zjawisko, to i czasu nikt nigdy nie miał na gruntowną krytykę, bo zaraz mnóstwo głosów broniących się odzywa.

Co mi jednak arcyosobliwem się zdaje, to że względem wzrostu Marynki, częściej prawie niż względem kształtu jej nosa, lub wdzięku jej ust nierysunkowych, dzielą się opinie. Wzrost przecież można łokciem zmierzyć, a tymczasem jedni mówią, że Marynka tylko średniego wzrostu, drudzy że wysoka, że ma wspaniałą, królewską postawę i stokroć dziwniej jeszcze: ja sama, przyznam się państwu, tej wątpliwości rozstrzygnąć nie mogę, zupełnie z porównania śledczego korki i obcasy bucików wyłączając. Często bardzo, gdy przyjdzie do mnie na gawędkę poufną, gdy się zacznie przymilać, jak koteczka, albo dąsać, jak rozpieszczone dziecko, albo figlować, tańczyć po pokoju, w ręce klaskać, jak Hebe-pensyonarka, co niby z Olimpu na rekreacyą uciekła, to widzę na własne oczy, że jest szczupłą, wysmukłą, lecz prawie drobną, a w innych chwilach znowu, u siebie na przykład w salonie, kiedy powstaje na przywitanie jakiej tytułowej znakomitości, albo kiedy stoi przy fortepianie, słuchając biegłej gry sławnego wirtuoza, albo kiedy ją matka prowadzi przez środkową aleję Saskiego ogrodu, kiedy idzie ulicą — raz szczególniej, pamiętam w Wilanowie, zatrzymała się przed jednym z historycznych portretów, i długo, długo patrzyła na niego — wtedy była wysoka... Mnie jednak w Marynce głos jej zachwyca: głos ma przepyszny, nie do śpie-

wu, choć i śpiewa dość dobrze, ale w czytaniu, w rozmowie, w każdem wzruszeniu, modulacye, zagięcia, spadki cudowne, nigdy nieprzygotowane, nie obmyślone zgóry, ani naciągnięte do pewnych tonów konwencyonalnych; żadnej co to zowią maniery: ciągła improwizacya, ciągłe niespodzianki, ciągła zgodność uczucia i dźwięku, ciągła „prawda w głosie." Ludziom się może zdaje, że to nic osobliwego. Niech słuchają uważnie samych siebie, gdy mówią z gośćmi a z domownikami, w salonie a w pracowni swojej, gdy kilka osób słucha, lub gdy chcą by one ich słuchały; szkoda, że zaraz na porównanie Marynka się nie odezwie.

— Czy pani się nie obrazi na mnie, jeśli pozwolę sobie maleńką wtrącić uwagę?—zapytał pan Stanisław, drugi syn zrzędu, zastępujący rodzicom ich pierworodnego wędrowca.

— Mam nadzieję, że pan mię nigdy nie obrazi— odrzekłam nader grzecznie, a w duszy zachowałam słów moich komentarz, że i selenita na odwrotnej stronie księżyca żyjący nigdy obrazićby mnie nie mógł.

— Gdyby panna Marynka była zupełnie podobną do odmalowanego przez panią portretu, cała już Warszawa znałaby jej prawdziwe imię, a tem samem i jabym się łatwo dzisiaj domyślił, o kim pani chce mówić. Że się jednak nie domyślam, to mię na lekkie podejrzenie wprowadza, czy...

— Czy wizerunek nie zbyt pochlebny? — śpiesznie dokończyłam.

— A nawet czy oryginał istnieje?... — odśmiechnął się jaknajuprzejmniej p. Stanisław.

— Dlatego, że pan się z nim nie spotkał?

— Dlatego, że byłbym go spotkał niezawodnie.

— Ha, może go pan i spotkał nawet, może tylko nie umiałeś pan i nie umiesz rozumieć takich twarzy. Trzeba mieć talent, albo wprawę nabytą, żeby odrazu wśród liczniejszego grona wyróżnić je, przeczytać i ocenić. Głos całej Warszawy nie mógł pana pokierować w tym względzie, bo Marynka nie prowadzi

życia modnej piękności. Ze dwa lata temu, gdy była ślepiej posłuszną swojej mamie, dała się parę razy na bal zaprowadzić, ale pan właśnie przed dwoma laty na balach nie bywałeś jeszcze; a teraz Marynka bywać już przestała. W teatrze nie siaduje także w abonowanej loży, i bardzo często aż do głębi się zasuwa; w resursie nigdy jej noga nie postała. U wód w Saskim ogrodzie, na spacerach, można łatwo się z nią minąć, bo nigdy bardzo wykwintnej tualety na podobne przechadzki nie kładzie; zresztą często na wieś wyjeżdża... Pan wie przecie: towarzystwo wiejskie, nawet wśród miasta, trochę na uboczu się trzyma... Chociaż przypuszczam, że pan z nią razem byłeś przeszłej zimy w jednem zgromadzeniu, jestem pewna, że byłeś, ale nikt pana pierwej nie uprzedził, jaką piękność zobaczysz. Mnie się coś podobnego zdarzyło w galeryach Luwru: gdy je pierwszy raz w życiu zwiedzałam, przeszłam koło Madonny Murilla najspokojniej w świecie. — Już nie wiedziałam, w jaką bawełnę obwinąć ten prosty sens moralny, że p. Stanisław żył w zupełnie innej sferze towarzyskiej, jak moja Marynka, i miał zupełnie inne pojęcia estetyczne, jak ja.

Na szczęście pan Marcin z kłopotu mnie wyratował.

— A jakże tam z posagiem? taki klejnocik kosztowny winien mieć równie kosztowną oprawę.

— Panie Marcinie, toć właśnie bardzo kosztowne klejnoty kosztownej oprawy nie potrzebują; lecz widać taki będzie porządek do skończenia świata z temi biednemi kobietami: Czy ładna? Czy bogata?

— Otóż ja spytam najpierwej czy rozumna? — z żywością zawołała Marylka.

— A ja się spytam czy dobra?—z naciskiem dołożył pan Konrad.

— A ja się spytam czy pobożna?—jeszcze dobitniej akcentowanym głosem rzucił mi, jak przymówkę, p. Stanisław.

— Zaraz, zaraz, moi państwo — broniłam się

wesoło — cierpliwości, cierpliwości!. Każdemu zkolei odpowiem. Panu Marcinowi najpierwej. Słyszałem, że w dzień ślubu pięćkroć stotysięcy gotówką, listami zastawnemi, szczęśliwy małżonek w ręce swoje odbierze. a drugie tyle po najdłuższem życiu pani matki, a trzecie tyle, jeżeli nie więcej, po najdłuższem życiu pana wuja.

— Tam do licha! nie żarty!—wykrzyknął swoim pozadomowym głosem p. Marcin, aż się żona z zadziwieniem spojrzała na niego. — Jak myślisz, Stasiu? Czy się sam sobie nie dziwujesz, że byłeś podobno w jednym pokoju z taką młodą pięćkroćstotysięczną osobą i nie przeczułeś nawet? Wstydź się, kapucynie, ręczę że Władek nie byłby takim ciemięgą. Ej! gdyby go sprowadzić, cobyś na to powiedziała, Maryniu?

Pani Marya przyjęła to za żart najczystszej próby, rozśmiała się serdecznie, odwołała niby do mojej protekcyi; ale po dziś dzień mam to przekonanie, że pan Marcin niezupełnie żartował.

— Teraz z tobą się załatwię—mówiłam, do Marylki zwrócona. — Czy rozumna? zapytałaś najpierwej; niewielką masz w tem zasługę, nie jesteś mężczyzną, przecież urodź się drugi raz we fraku lub czamarce, a pewną jestem, że ci nigdy na myśl nie przyjdzie informować się o rozum jakiej chwalonej przy tobie panienki. Może zresztą lękliwiebyś się wyraziła: „a czy nie rozumna przypadkiem?“ Co do Marynki, mogę tych panów uspokoić, ciebie nie zasmucając, że mi się zdarzyło często słyszeć, jak o niej mówiono: „dowcipna, ma żywą wyobraźnię, świetnie wychowana,“ ale raz tylko jeden nasz wspólny znajomy, stary profesor z realnego gimnazyum, powiedział „rozumna dziewczyna“ i ten raz jeden właśnie ośmieliłam się szanownemu profesorowi zaprzeczyć. Na skalę powszechnie przyjętej miary, choćby nie na skalę filozofii, Marynka nie jest rozumną dziewczyną, tak jako matematykiem nie był ów Henryk Pastour, co zgadywał ostateczne rozwiązania najtrudniejszych algebraicznych zagadnień. Biedny chłopiec, gdy przyszło do dowodzenia, nigdy

nie mógł poza pierwsze kartki elementarnych dziełek przepłynąć; Marynka także na mieliźnieby się rozbiła, gdyby kto od niej żądał ścisłego wywodu zdań rzucanych wśród rozmowy, jak race kongrewskie. Nie ma talentu do analizy logicznej; sumy ogólne zato, różnice, iloczyny, ilorazy od jednego rzutu myśli pochwytuje. Rozumni ludzie (a ciągle potocznej mowy dykcyonarza się trzymam) rozumni muszą bogaty zasób wiadomości posiadać, mieć zdolność i zamiłowanie naukowej pracy; tego wszystkiego właśnie Marynce brakuje. Według ciążącego nad żeńską generacyą fatum, pomimo drogich guwernantek i na godziny przychodzących profesorów, Marynka niewiele się nauczyła, i co gorzej, chociaż namiętnie lubiła się dowiadywać, to z nader umiarkowaną gorliwością sama do uczenia się brała; skąpy też zasób rozumowego materyału przysposobiła sobie i dlatego jakkolwiek wyroki sądowe, kombinacye, zestawienia tych ograniczonych nabytków wybornie jej się udają, nie mogłam do spółki z panem nauczycielem gimnazyalnym „rozumną dziewczyną“ ją nazwać. Jej rozum jest „darem trafności“ tylko.

— Najlepszy i najwłaściwszy, jakim kobieta pochwalić się może—zauważył pan Marcin;—innego rozumu nie chciałbym nawet dla moich córek.

— Wcale się o to nie sprzeczam; jabym taki i dla wielu synów przyjęła. Lecz o cóż to p. Konrad pytał? — szybko zwróciłam rozmowę, żeby na żadne komentarze ostatnich słów moich czasu nie zostawić.

— Ja pytałem czy dobra?

— Oj, panie Konradzie, coś mi się widzi, że panu bardzo ostrożnie trzeba dawać odpowiedzi. Znakomici mechanicy we wszystkiem tomowej prawie dokładności wymagają.

Pan Nepomucen z naiwną próżnością odśmiechnął się na to powiedzenie moje.

— A „dobra,“ „dobroć“—ciągnęłam dalej — ogromnie elastyczne wyrazy, daleko mi bezpieczniej

i wygodniej będzie pod cudze zdanie się schować. Wszyscy krewni Marynki, domownicy, którzy ją otaczają, bliżsi i dalsi znajomi, wszyscy ogólnie mówią. że Marynka jest dobrą.

— Lecz pani zaprzecza?

— Ja przyznaję, że mogłaby całej seryi prześlicznych ilustracyj do jakiej powieści moralnej dostarczyć, i rzeczywiście ledwo że ją zaszczyt tego rodzaju nie spotkał. Zebraliśmy się raz u jej wuja, który, nawiasem mówiąc, bardzo kocha i trochę psuje swoję siostrzenicę. Marynka dzieckiem jeszcze była, w siódmym conajwięcej roku. Ubrano ją bardzo elegancko; miała krótką ponsową z czarnemi aksamitkami spódniczkę, biały przejrzysty staniczek, majteczki suto haftowane i buciki, ale jakie buciki! Esmeralda ich pierwszy model na szyi za talizman nosiła. Po obiedzie, gdy panie przed domem, wśród klombów ogrodowych zasiadły, a panowie jeszcze wistowych stolików nie otoczyli, pan wuj wziął mnie i brata mego, żeby nam jakieś osobliwe tulipanowe drzewo, kędyś daleko w głębi szkółki rosnące, pokazać.

Był tam jesion z ławeczką w pobliżu, więc spoczęliśmy trochę i gawędzili przez chwilę, gdy wtem z ciemnego szpaleru naprzeciwko wychyla się istna polna makóweczka, staje na paluszkach, rozgląda się dokoła, nasłuchuje... ma się rozumieć nie spostrzegła nas wcale pod spuszczonemi jesionu gałęźmi i swobodnym biegiem uspokojonej sarenki prosto pędzi ku furtce na pola wychodzącej. Furtka była zamknięta. Mocuje się, mocuje, otworzyć nie może, a my zpod jesionu patrzymy, co dalej z tego będzie.

Najniespodzianiej pomoc się zjawiła: po drugiej stronie za sztachetami, szła wiejska dziewczynka, mało co od Marynki większa. i to zapewne ufność tej ostatniej wzbudziło.

— Moja kochana! moja dobra! — zawołała na nią — pomóż mi te drzwi odemknąć.

Dziewczynka wstrząsnęła niemi, lecz równie bezskutecznie.

— To możebyś jedną sztachetę wyłamała, ja się łatwo przecisnę, — radzi Marynka znowu.

— Oj nie chcę, panienko, boję się — odpowiada dziewczynina z przestrachem wyraźnym.—Coby to było, gdyby się dowiedziano!

— Powiedziałabyś, że ja cię prosiłam, toby ci nic nie było.

— A czyja to panienka jesteś?

— Mojej mamy i wujaszka. Wszakże znasz mego wujaszka, on jest tutaj panem.

— Jużcić że go znam, ależ dlaczego panienka nie poprosi pana, żeby kazał otworzyć?

— Co mi z tego, że wujaszek każe otworzyć, zaraz bona powlecze się za mną, a ja chcę pójść sama.

Tutaj w długim ustępie rozmowy koniecznie wypadło Marynce objaśnić dziewczynkę, że bona jest chudą, wysoką Niemką, która jak cień nigdy Marynki nie odstępuje, łaje za każdą plamę na sukience i tak gada, że ją zrozumieć trudno. Nakoniec dziewczynka nowem zapytaniem rozmowę do głównego przedmiotu zwróciła:

— A gdzie to panienka chce pójść sama?

— Tam wprost przed siebie. Bona mnie ani razu nie chciała zaprowadzić aż do tamtąd, gdzie się zielone kończy, a niebieskie zaczyna. Powiada, że tam nic innego niema, że zawsze to, co i tutaj; ja pewna jestem, że musi być daleko piękniej, takbym chciała zobaczyć!

Dziewczynka oświadczyła, że może zaspokoić jej ciekawość, bo nieraz już zwiedzała owe krainy nieznane; więc drugi rozdział gawędki. Pokazało się, że tam daleko, daleko, gdzie zielone się kończy, a niebieskie niebo zaczyna, jest najpierwej... Bartoszowe pole, za polem Bartoszowem dworski owies, za dworskim owsem Lipieniec, za Lipieńcem... Wiejska eksploratorka już nie wiedziała, co jest za Lipieńcem.

Nazwisko jednak Lipieńca, z pełnym znaczenia dźwiękiem, wpadło do ucha Marynki i wystarczającem się okazało.

Co też to było można w Lipieńcu zobaczyć? W Lipieńcu można było zobaczyć ogromne, ogromne lipy i dużą pasiekę, a pasieka, z powagą udzielono objaśnienie, to znaczy miejsce, gdzie pszczoły miód robią. Marynka znała miód, bo codzień świeży w plastrach na podwieczorek zastawiano u wujaszka, ale nie widziała nigdy, jak go pszczoły robią. Dziewczynka bardzo dumna, że tylu rzeczy świadomsza, długo jej to rozpowiada, niekoniecznie jasno i dokładnie, lecz zupełnie zrozumiale i zadawalniająco dla Marynki, która wszystko co słyszała przenosiła w kalejdoskop swojej wyobraźni i układała z oderwanych wyrazów różne cudowności wzorzyste, a tak trwałe pierwotnością wrażenia, że jak sama teraz utrzymuje, nigdy już od tej chwili z widokiem czysto zakreślonego na horyzoncie półkola nie mogła rozłączyć wspomnienia lip zielonych, złotego miodu i tajemniczej pasieki. Wkońcu wszelako rozszczebiotana towarzyszka udzieliła jej trochę niemiłego szczegółu o pszczołach. Pszczoły mają żądła i kłują niemi gorzej, niż grubemi szpilkami; ot niedawniej, jak przed tygodniem, gdy po wosk do pszczelnika chodziła. jedna w nogę ją ugryzła. Okruteczny to ból, okruteczny! Dziewczynka też bardzo krzyczała, a kiedy stary pasiecznik chciał jej żądło wycisnąć, uciekła z przestrachu, dlatego mówią, rana się rozjątrzyła i trzeba było szmatą ją obwiązać. Przy tej okoliczności dopiero Marynka spostrzegła, że owa szczęśliwa istota, co sama najdalsze zwiedza strony, co Lipieniec i pasiekę widziała... bez trzewików chodzi!

Czemu? Czy jej tak wygodnie? Przypuszczała Marynka, że bez trzewików nadzwyczaj wygodnie być może czasem w pokoju, ale nie zawsze, zwłaszcza też między pszczołami. Dziewczynka zupełnie o tem była przekonana, tylko zkądżeby ona wzięła trzewików?

— Od mamy, od taty, od wujaszka?

Dziewczynka matuli już nie ma, tatulo się ożenił i macocha bardzo zła, a wujeczni?... Nie przypomina sobie, czy kiedy o wujecznych słyszała. Słówko po słówku, z pytania w odpowiedź, rozwinęła się na tej treści daleko mniej skomplikowana, niż o pszczelnictwie historya. Pierwszy raz w życiu Marynka spotykała się z żywą rzeczywistością mnóstwa sylabizowanych i czytanych w książeczkach powiastek. „Sierota, macocha, jątrząca się rana, zawsze zimą i latem bose nogi“... Dziś jeszcze pamięta ona, jak przy każdem takiem wyrażeniu serduszko jej biło coraz mocniej, niby z przelęknienia, a w gardle ją coś ściskało, niby przed wielkiego płaczu wybuchem; wiedziała jednak, że nie ma czego się lękać i na płacz jej się nie zebrało jeszcze, chociaż czuła, że jej bardzo przykro, bardzo smutno się robi. Nagle ujrzeliśmy, jak przysiadła na ziemi i śpiesznie drżącą, znać niewprawną rączką, zaczęła odsznurowywać pyszne swoje buciki, odpinać sprzączki elastycznych podwiązek, ściągać pończoszki.

— Na! masz! — zawołała, wszystko razem przez otwór między sztachetami dziewczynce podając. — Na! masz! — rzekła jeszcze, gdy dziewczynka oświadczała pewne wątpliwości, czy mama panienki pozwoli, czy wujaszek gniewać się nie będzie. — Nie bój się, mam inne, takie same buciki. Mama gniewać się nie będzie. Czytała mi wczoraj o królowej Elżbiecie, która świętą została, i mówiła mama, że ja także świętą być mogę, jeśli, jak ona, dla biedniejszych dobrą będę. I wujaszek nic ci nie powie. Domyślacie się państwo, że wujaszek ciekawie szyję wyciągnął, żeby ani słówka z tego, co o nim siostrzenica prawiła, nie stracić. — Wujaszek bardzo dobry, on nigdy nie łaje, czasem na kucharza albo na Hrycia... Czy znasz Hrycia? Nie? To chłopiec kredensowy i ciągle „nic nie robi, tylko szklanki tłucze;“ wujaszek powiada, że musi dla niego umyślnie sklep ze szkłem, jakąś budę czy hutę założyć; wujaszek często gniewa

się na Hrycia, ale na mnie nigdy. Chociaż ja wujaszkowi lustro stłukłam, nie rozgniewał się. Mama zaczęła mię łajać, a wujaszek, jak tylko zobaczył, że mam łzy w oczach, coprędzej wziął mię na ręce i powiedział, że mogę, jeśli chcę, wszystkie zwierciadła mu potłuc, bo kawalerom zwierciadła niepotrzebne; ale ja obiecałam, że już żadnego nie stłukę, i wujaszek mi podziękował. Widzisz, że możesz wziąć buciki. Niech go tylko poproszę, nakupi mi nowych, ile sama zechcę.

Temi i tym podobnemi argumentami Marynka zupełnie przełamała słaby opór swojej zasztachetowej znajomej, dowiodła jej że może przyjąć i trzewiki i pończoszki, nawet podwiązek nie zostawiła sobie. Rozkosznie było patrzeć na radość obdarowanej, lecz trzeba było wracać po inne obuwie.

— Czy przyjdziesz jutro?

— Ach! przyjdę, moja panieneczko!

— Pójdziemy do Lipieńca?

— Możeć ta furtka da się otworzyć.

I na tych słowach, dwie reprezentantki braku i obfitości rozstać się musiały. Jeszcze Marynka szpaleru nie dobiegła, kiedy moi panowie już wytrzymać nie mogąc, jednocześnie głośno w ręce klasnęli.

— Brawo! brawo! Marynko!

Na ten wykrzyknik jak wryta stanęła. Widok trzech świadków stojących przed jej oczyma strachem czy wstydem ją przejął, a może powieść dziewczynki, niespodziane klaśnięcie drażliwie na jej nerwy podziałały, bądźcobądź, przez chwilkę jeszcze stała nieruchomie, a potem jak się odwróci, jak krzyknie i uciekać zacznie, tak chociaż wujaszek na nią wołał, chociaż gonił, nie oparła się, aż koło domu. Biedną Marynkę nowa tam czekała konfuzya. Wszystkie panie, jak mówiłam, siedziały na tarasie; gdy z rozpędem aeorolitu wpadła między nie taka skrzyczana, zapłakana i rozzuta, przerażenie było okropne. Dopiero z nadejściem panów rzeczy się wyjaśniły. Goście zaczęli admirować, lecz mama bardzo surowo brwi

zmarszczyła. Wujaszek bronił, usprawiedliwiał, przytaczał zastosowaną św. Elżbiety historyą, więc trochę mniej groźnie powiedziano Marynce, że dzieci nie mają prawa swoich rzeczy rozdawać, póki pierwej mamy o pozwolenie nie poproszą. Prawdziwą burę jednak dostała bona Niemka za to, że dziecko z oczu spuściła, a wieczorem Marynka taką samę od bony za to, że jej uciekła i nowiuteńkie obuwie zmarnowała. Trudno było dziewczynie w sumieniu swojem rozsądzić, czy źle, czy dobrze zrobiła, przypomina sobie tylko, że ją wielkie poczucie śmieszności dręczyło. Ile razy tylko opowiadano jej naśladownictwo św. Elżbiety królowej, tyle razy widziała, że wszyscy się śmieją i wielką miała ochotę pod stół się schować wtedy, a wujaszek na nieszczęście bardzo często opowiadał właśnie. Kazał nawet przepytywać się, czy gdzie w okolicy niema przejeżdżającego artysty, coby pędzlem swoim to zdarzenie upamiętnił, dotychczas jednak rozstrzygnąć stanowczo nie może, jaką chwilę miałby obraz przedstawiać. Ta, w której Marynka rozzuwała się dla stojącej za sztachetami dziewczynki, była treścią samą wypadku, ale ta, w której przestraszona klaśnięciem zatrzymała się pod drzewami szpaleru, ze swoją twarzyczką ciemną a mocnym rumieńcem pokrytą, ze swojemi błyszczącemi wschodniej gazeli oczami, z wdzięcznym nieładem rozwianych w biegu loczków, z tą sukienką czerwoną, a szczególniej z temi bosemi, różowo, delikatnie śniademi nóżkami na trawie, istnie do świeżo porwanej przez Cyganów Precyozy podobna, ta chwila była daleko odpowiedniejszą wszelkim wymaganiom sztuki. Jedynie dlatego, że wówczas ani jednego Apellesa w obrębie trzech sąsiednich powiatów znaleźć nie można było, potomność arcydzieło w swoim rodzaju straciła. Ale Marynka nie straciła zupełnie wątka, z którego bardzo podobne temata snućby się dały. Może wątek splątał się nieco w zamieszaniu babelowem pierwszych wrażeń, nierozwikłanych z pedagogiczną troskliwością, a chrześciańskiem braterstwem przez nikogo. Może

się pozrywał, potargał... to jednak pewną jest rzeczą, iż wiele jeszcze niteczek w lata młodości przeciągnęło się; ani gwar świata, ani zobojętnienie przywyknienia, ani apatya otaczającej ją atmosfery nie zdołały zerwać ich zupełnie. Dotychczas Marynka bardzo łatwo rozrzewnia się nad sieroctwem, ubóstwem i cierpieniem wszelkiem, a nawet nie otrząsnęła się jeszcze z dziecinnego zwyczaju oddawania potrzebującym tego, co ma na sobie, lub przy sobie. Własnemi oczami widziałam, jak futrzany zarękawek rzuciła bardzo starej kobiecie, której zgrzybiałe od zimna ręce nie mogły kosza dotrzymać i upuściły go ze wszystkiemi roznoszonemi na ziemię pączkami. Pączki w rynsztok, chłopaki uliczne w śmiech, staruszka w płacz, a moja Marynka w rozrzewnienie i „zarękawek bierz.“ Inną razą, gdyśmy do jakiejś poleconej szwaczki przez różne sienie przechodziły, w jednej z nich, pod zakrętem schodowym, drzwi się rozwarły na okropnie smutnej nędzy obrazek. Izdebka, raczej dziura ciasna i zimna, dwoje dzieci obdartych, trzecie, nowonarodzone, przy chorej matce bez dostatecznego okrycia, słowem wszystko, jak się to często zdarza... Marynka zostawiła biednej kobiecie swoję portmonetkę z pieniędzmi i szal szkocki, który miała pod futrem. Mogłabym wiele podobnych „uczynków“ przytoczyć, na całą seryą ilustracyj dostarczyć, jak to już państwu mówiłam, tylko ja nie podejmuję się tego zbioru zatytułować.

— Mnie się zdaje, że tytuł sam z siebie do myśliby przyszedł patrzącym — rzekł na to pan Konrad.

— Lecz ja byłbym równie ostrożny, jak pani, pókibym pierwej nie usłyszał odpowiedzi na moje zapytanie — odezwał się p. Stanisław.

— A mnie się zdaje, panie Konradzie — odpowiedziałam pierwszemu z mówiących — mnie się zdaje, że nie tak łatwo znaleźć ogólnik na podobne szczegóły. Ile nas tu jest osób, ręczę, że każda coś innegoby powiedziała, nie licząc tych, coby przez

ostrożność, jak p. Stanisław, lub przez sumienność, jak ja, niczego powiedzieć nie chciały. Zacznijmy tylko, sąsiadko moja...

Sąsiadką z jednej strony była Marynia, z drugiej Marylka jej młodsza córka; pytanie do córki było zwrócone.

— Niech pani będzie trochę wyrozumiałą — odrzekła mi swobodnym, wesołym, ale bardzo stanowczym głosikiem; — ile razy z mamą w zapytania i odpowiedzi gramy, to mnie zawsze najgorzej się powiedzie; cóż dopiero teraz, gdy idzie nie o grę towarzyską, lecz o żywą i ukochaną pani osobę. Zaczekam, niech inni się wypowiedzą, a dopiero później przyłączę się do tego, lub owego zdania. Oh! na talencie sądu wcale mi nie zbywa, a właściwie mówiąc, mam znakomity talent... wyboru; — dziwnie jakoś spojrzała na starszą siostrę, akcentując trochę przeciągle ostatni wyraz.

— Nudna trochę jesteś ze swoim wyborem — odrzuciła jej panna Aniela bardzo prędko. — Sądzić, wybierać, brać na siebie wielką odpowiedzialność za dłuższe przygotowanie... dziękuję. Jestem pewna, że choć niedorzeczność powiem, chętniej mi ją pani przebaczy, niż tobie twoje rozsądne namysły pochwali. Jakkolwiek niepytana, odrazu też pani wyznaję, że gdybym spotkała owę jej Marynkę, tobym ją uściskała serdecznie, pokochała szczerze i miała wtedy prawo powiedzieć, jako o mojej przyjaciółce, że jest najlepszą.

Wtył się trochę przerzuciła głowa mówiącej, rumieniec na twarz wystąpił, oczy dumnem jakiemś spojrzeniem na oczach młodszej siostry się zatrzymały, ale tu młodsza wcale wzrokiem nie ustąpiła. Jak mi żal było naówczas, że wprawniejszą fizyognomistką nie jestem; może byłabym lepiej zrozumiała, co się maluje na tych dwóch młodych obliczach, z uśmiechem zabawy wzajemnie ku sobie zwróconych, a patrzących tak dziwnie. Dramatyczna rywalizacya? nienawiść? zazdrość? Oh! nie, w podźwięku mowy,

a znam się na tem lepiej, niż na sztuce Lawatera, słychać zaledwie dziewczęce przekomarzanie się, niby pół żartu, a pół groźby. Wszelako, myślałam sobie, jest w tem coś, lecz coby to było?..

— Czy panny Melci przyjaźń jest dowodem najlepszości? — zagadnął p. Nepomucen.

— Pan wie przecie, że nigdy niczego nie chcę dowodzić, zupełnie w tem przynajmniej do nieznajomej Marynki podobną jestem, ale rzecz bardzo naturalna przecie, że najlepszym mi się wydaje, najlepszym jest w mojem przekonaniu ten, którego kocham...

. . . .

— Lecz do kwestyi tytułowej wracając — przerwałam epizod — niechże pan referendarz łaskawie powiedzieć nam zechce...

Spostrzegłam wtedy, że zagadany z żoną w półgłosem prowadzonej naradzie, nic nie wiedział, o co rzecz chodziła. Zbieramy głosy na tytuł dla tych ustępów, które w biografii mojej znajomej opowiedziałam. Niechże pan łaskawie powiedzieć nam zechce, jaki byłby najstosowniejszy podług pana referendarza.

— Piękne uczynki pięknej młodej dziewczyny— odpowiedział ze zwykłą swoją salonowo-urzędową dwornością.

Na starość człowiek tak niedowierzający się robi, że go posądziłam o intencyą przesłania tego komplimentu bogatej dziedziczce za mojem pośrednictwem.

— Nazwałbym to może pięknemi fantazyami tylko — mruknął p. Nepomucen.

— A jabym nazwała seryą szczęśliwych przypadków w życiu ubóstwa — podsunęła pani Marya swoim przycichłym, lecz zawsze trochę wyrokowym, jak prawo Likurga, głosem. Pan Konrad lekko przed nią głowy uchylił.

— Istotnie — rzekł — pani dobrała najstosowniejsze orzeczenie: jest to szereg przypadków jedynie, ale szczęśliwym przypadkiem dla nędzy może być tylko spotkanie dobrego serca w bogatym; według mego więc zdania, równieby się godziło zbiór takich przypadków zbiorowo: „dobrem sercem“ zatytułować.

— Przez litość, panie Konradzie — zawołałam na te słowa — nie wspominaj o dobrem sercu; wszak sam pan widzisz, jak starannie unikałam tego wyrażenia. Nie chcę go razem ze wspomnieniem Marynki zestawiać.

— Pani tylko chce ciągle w szarady ze mną się bawić.

— Nie, tu niema żadnej szarady do odgadnięcia. Gdybyś pan był tyle co ja od „dobrych serc“ ucierpiał, tyle co ja na „dobrych sercach“ się nazawodził, gdyby panu tyle najkosztowniejszego kapitału przepadło, ile mnie go dobre serca straciły, toby dopiero pan szaradą mojej opozycyi nie nazwał. Wszak prawda, panie Nepomucenie?

Ani chwili nie wątpiłam, że mi stary przyjaciel na pomoc przyjdzie; nasłuchałam się dosyć mizantropijnych jego w tym przedmiocie utyskiwań. Biedna pani Nepomucenowa słynęła niegdyś z anielskiej dobroci swojej, lecz przedewszystkiem na pewnem prawie sprzeczności gruntowałam nadzieję moję. Gdyby mi było trzeba szlachetności i poświęcenia bronić, byłabym niezawodnie do pana Marcina o pożyczenie retoryki zastukała, lecz kiedy przeciw dobremu sercu mówić wypadało, nikt tego nie mógł zrobić lepiej od pana Nepomucena i pan Nepomucen poparł mnie też natychmiast.

— Czy wiesz, Konradzie, dlaczego cię najwięcej szanuję? — szparko zwrócił się do syna — a to dlatego, że nie masz dobrego serca.

Pochwalony pan Konrad lekko zarumienił się jednak i samemi końcami ust rozśmiał.

— Nie masz dobrego serca, nie rozrzewniasz się

nad zabitym gołąbkiem, nie płaczesz nad smutkiem przyjaciela, nie rzucasz się na szyję bliźniemu dlatego, że ma zasługę być głodnym, lub honor być obdartym, słodką pociechą wewnętrzną po tem rozkoszować się nie będziesz, że cię widok nędzy wzruszył, i sumienie w tobie nie zasypia spokojną pewnością, że nie możesz nic złego nikomu zrobić, ty, co masz takie, takie dobre serce!...

Czy pan Konrad domyśla się, co znaczyła gorzka ironia tego śmiechu, który ostatnim słowom towarzyszył? Nie wiem. Głos mu nawet nie zadrgnął, gdy zaraz najzwyczajniejszym swoim odezwał się tonem:

— W tym jednym względzie muszę się do praw mechaniki odwołać, jak mi to pani przymawiała trochę. Nim zacznę co stawiać, potrzebuję koniecznie punktu oparcia; nim zacznę o jakim wyrazie dysputować, potrzebuję mieć jego definicyą; definicya, to punkt oparcia we wszystkich rozprawach. Zaczynam tedy od określenia, co to jest dobre serce? Ja powiadam najpierwej, że co dobre, to nie złe, więc dobre serce jest dobrem, nie złem. Według powszechnie przyjętego w moralności prawa, dobre się szanuje, a złe potępia, więc dobre serce trzeba szanować, a potępiać się nie godzi. Teraz co do właściwej definicyi tego dobra, widzę że to jest wrodzone upodobanie do szczęścia bliźniego i wrodzony wstręt do jego cierpień. Kto lubi sprawiać przyjemność, a nie lubi sprawiać przykrości, ma dobre serce. Wstydziłbym się okropnie, gdybym istotnie miał być pozbawionym tej pierwszej prawdziwie społecznej, prawdziwie chrześciańskiej skłonności, mój ojcze.

— Dajmy pokój osobistościom, — odśmiechnął się już bardzo łagodnie pan Nepomucen. — Przyjmuję twą definicyą, lecz ją rozwijam trochę. Dobre serce jest tedy wrodzona skłonność, wrodzone upodobanie, wrodzony wstręt i tam dalej; te wszystkie wrodzone poczucia bardzo sprawiedliwie fizyologicznem wyrażeniem „dobrego serca“ oznaczasz. Jest to rzeczywi-

ście dobroć od obiegu krwi zależna, dobroć na najniższym stopniu swoim; tego zaprzeczyć nie możesz?

— Wszystko musi przecież zaczynać się albo od najniższości swojej, albo od najmniejszości, ale zaczęcie stanowi o bycie.

— Ale zaczęcie nie stanowi o kształtach rozwoju bytu; czekaj-no tylko, mój chłopcze, zaraz cię tu przekonamy. Dobre serce jest tedy zdolnością taką samą, jaką może mieć do muzyki człowiek, który się grać nie uczył, lub któremu się uczyć nie chciało, lub którego uczono źle i podług fałszywej metody. W całości swojej zupełnej dobre serce jest łagodnością, litością i instynktem datności. Łagodność głównie z nastrojem systematu krwistego jest połączona; litość od wrażliwości nerwów zależy; instynkt, no, sam wiesz najlepiej, ulega rozmaitym zewnętrznym pobudkom i wpływom, zależy od przypadku. Jestem pewny, że pani Marya miała coś podobnego na myśli, gdy doraźne jałmużny jakiejś Marynki szczęśliwym dla biednych przypadkiem nazwała.

Pani Marya nieznacznie potakującym ruchem głowy zawtórowała słowom pana Nepomucena.

— Ciekawą jednak byłoby rzeczą — wtrącił pan Konrad — gdyby można było obliczyć, choć na mniej więcej, ilu pokoleń i jakich warunków trzeba, żeby się urodziło indywiduum z pierwiastkami dobroci we krwi, w nerwach i w instynkcie?

— Zwykle te trzy składowe części dobrego serca w odosobnionych przedstawiają się okazach. Są ludzie przeważnie łagodni; są inni wyłącznie litościwi tylko; są i datni, hojni, uczynni, którzy ani łagodnymi, ani litościwymi nie bywają, my wszystkich jednak zarówno całujemy, ściskamy, okrzykujemy za takich dobrych, takich dobrych ludzi!

— Ach! mój drogi panie Nepomucenie! — zawołała z niedyskretnym pośpiechem Marylka — powiedzno pan coprędzej o tych przeważnie łagodnych ludziach! Takbym chciała przekonać się, że u zenitu wszelkiej doskonałości nie stoją.

— Niezbyt trudna sprawa—odrzekł pan Nepomucen, bardzo życzliwie na pytającą patrząc. — W łagodnych krew trochę leniwiej płynie; od zupełnie apatycznych próżniaków różnią się oni przecież dobrym, jednostajnym humorem i cichą, niewymagającą żadnego z ich strony wysilenia działalnością. Żeby mnie Konrad znowu nie podchwycił, że dobre złem nazywam, to muszę odrazu przyznać ich drogocenne zalety. Pożycie z nimi nadzwyczaj bywa łatwe i gładkie, stosownie do położonej definicyi; nikomu przykrości wyrządzać nie lubią; doskonałe temperamenta na uczonych, naturalistów, niemieckich hernhutów lub francuskich episyerów; w danych okolicznościach mogą się na ozdoby salonów lub filozoficznych stoików wykształcić, to już od gatunku zdolności umysłowych zależy: o ile dowcip, lub o ile logiczność przemaga, mogą z nich być panie Sévigné i Archimedesy.

— Nie tak zła dola, mój ojcze — przerwał pan Konrad; — właśnie przykłady twoje dowodzą, że pod wpływem rodzinnych obowiązków i uczuć, a nadewszystko pod wpływem nauki, człowiek łagodnieje. Słusznie nawet wskazałeś badanie natury, jako więcej od innych skuteczny pod tym względem środek. Ciągłe przestawanie z ogromem, z nieskończonością, z pewnemi i nieuchylonemi prawami wszechświata, uspokajająco działa na charakter człowieka. Bez zuchwalstwa przypuścić wolno, że im więcej przyrodoznawstwo się upowszechni, im ogólniej w wychowaniu, w przywyknieniu, w upodobaniu się zaszczepi, tem bardziej rasa łagodnieć będzie; a im bardziej rasa złagodnieje, tem częściej wyda z siebie Archimedesów głuchych na trzaski i wrzaski szturmem wziętego miasta, a broniących go jednak geniuszem swoim; niech więcej takich zresztą, jak nasi znajomi L... F... B... W... będzie, i na tem ludzkość źle nie wyjdzie.

— Lecz niech zacznie się tworzyć nowa rasa Lapończyków, albo Eskimosów? Podróżnicy świadczą, że to nader łagodne są ludy. Nie, mój drogi, już ja

się wolę na ostrożności z łagodnością trzymać. Prawda, że łagodny mi nie dokuczy, ale i nie obroni, gdy ktoś trzeci dokuczyć zechce, widok cierpienia go nie zaboli, krzywda cudza nie oburzy; spokojnie, dajmy na to, zniesie własne nieszczęście i spokojnie także na nieszczęście bliźniego popatrzy. Staw go w obec popełnionych nadużyć, równie spokojnym będzie. Brak mu najpotrzebniejszej dziś władzy w chwilach przejściowego rozluźnienia, wśród zamętu półprawd i kłamst caluteńkich, wśród jawno-grzeszników zuchwałych i niepewnych swej drogi symplicyuszów; brak mu dobroczynnego wstrętu do podłości, obrzydzenia na złe, choć kary słowa na występek i zbrodnię. Nie życzę ci, mój jedynaku, ani łagodnych obywateli w sąsiedztwie, ani łagodnych stronników w opiniach, ani łagodnych przyjaciół w trudnych położeniach; nie życzę ci, byś miał wtedy łagodną żonę, i dzieciom twoim, Konradzie, szczególniej dzieciom twoim i każdemu dziecku, co się do spełnienia ciężkich obowiązków rodzi, co złego z dobrem rozróżnić jeszcze nie umie, łagodnej matki nie życzę.

— A to się zapędziłeś, szanowny kuzynie — wpadł w monolog pan Marcin; — cóż to? nie znaszże mojej żony? Przecież to żona i matka wzorowo łagodna. — To mówiąc, rycersko pocałował ją w rękę, dla dopełnienia danego jej świadectwa.

— Mylisz się trochę — odpowiedziała z czarującym uśmiechem; — łagodną nie byłam dla ciebie, tylko zgodną, a dla dzieci starałam się właśnie bardzo surową być i wymagającą; lecz niech nam teraz kuzyn o litości swoje zdanie objawi, ciekawam, czy tak blizką pociągnie granicę, jak w tem, które łagodność, ma się rozumieć wyłączną, zbyteczną łagodność potępiło; nie mogę jeszcze uznać wszystkiego, a raczej czuję potrzebę wielu dodatków, zawszeć to przecież o miedzę tylko z sobą stoimy.

— Wszak państwo nie zaprzeczą mi wcale, że jak są ludzie wyłącznie łagodni, tak są i bez łagodności wyłącznie litościwi; owszem, zdarza się najczęściej, że

mają wprost przeciwne usposobienie. Są gwałtowni, popędliwi, szorstcy, ale niemniej przeto ich nerwy tak są już nastrojone, że „widok“ cudzej boleści jest im nieznośny. Współbolenie jest koniecznością ich organizmu: jedni mdleją, gdy krew płynącą zobaczą, bledną patrząc na ranę, lub na jakie kalectwo, inni smucą się każdej nędzy obrazem i każda przykrość bliźniego im przykrą bywa. Otóż usposobienie podobne bynajmniej egoizmu nie usuwa, trafiają się wielcy egoiści z nadzwyczaj litościwem sercem. Pamiętasz, Konradzie, naszego pana Remigiusza, co pierwszy na ratunek wczasie pożaru stodół moich przyjechał i paszy dla inwentarza zaraz nazajutrz przysłał, a tak niegodnie z wszystkimi dzierżawcami swoimi rachunki prowadzi?

— Kaunitz, minister Maryi Teresy, nie pozwalał, by mu o chorobie lub o śmierci bliższych jego przyjaciół donosić — odezwałam się nakoniec, żeby choć cytacyą odwdzięczyć się panu Nepomucenowi; — zawsze utrzymywał, że mu to zbyt wielkie sprawiało zmatwienie. Kronikarskie pamiętniki ówczesne z niedowierzającą humorystyką podają ten szczegół. Ja myślę jednak, że sprawami całej Europy zajęty dyplomata, a przebiegły i rozumny dotego, nie zadawałby sobie pracy na odegranie tak lichej, nie dowcipnej, a co więcej znaczy, nieużytecznej komedyi; to musiało być w niej prawdą, że Kaunitz miał rozdrażnione nerwy. Pełno jest wśród nas podobnych Kaunitzów, którzy dla oszczędzenia sobie litosnej współboleści, przed troską brata się kryją, przed chorobą przyjaciela, od konającej żony, od umierającego dziecka daleko z domu koleją żelazną uciec gotowi.

— Niedość na tem, pełno jest zbrodni nawet przez litość popełnianych; rozejrzyj się tylko w kronikach sądowych i w podaniach historycznych, Konradzie. Ilu to ojców dzieci swoje zabija, żeby ich jęczącego kwilenia nie słyszeć; a ilu to żołnierzy litościwych poroztłukało głowy sierotom, między trupami wyrzniętego miasta znalezionym. Przyznaję zresztą,

że są to wyjątkowe osobliwości, niemniej często wszakże spotykamy objawy równogatunkowego usposobienia, tylko w spokojniejszej formie. Zdarzają się także położenia osobiste i takie przejścia społeczne, że najostrożniejszy egoista nie ma gdzie przed ciągle drażniącemi litość jego pobudkami się schować. Łagodniejszych wówczas opanowywa „zniechęcenie.“ gwałtowniejsi przerzucają się w „mizantropią.“ Kiedy kto raz i drugi stanie oko w oko z taką boleścią, na którą niema ulgi, to cóż? Ręce mu opadają, a kiedy przekona się, że boleści dłużej i dalej niż wszystkich przeszłych i Bóg wie ilu przyszłych rodu ludzkiego pokoleń, że to bezdenność, bezmierność, bezlik na wsze strony, to cóż znowu? Nie poradzi, więc przynajmniej w nieczynność lub nienawiść otuli się dla ulgi jakiejkolwiek, a jeśli brudne, nikczemne wszelkiego nieszczęścia przyrostki zrażą jeszcze w nim odrębną szlachetności władzę (szlachetność, jak państwo czują zapewne, jest bardzo wymagającą artystką i ma arcyestetyczne nałogi swoje), jeźli ją zrażą, to i lenistwo usprawiedliwione w sumieniu i wstręt do cierpień, pierwotnie na łączność z bliźnimi idący, ostatecznie przeciw cierpieniom i bliźnim się zwraca. Mnóstwo słupów skamieniałych, pustelników, osamotnionych wśród świata, mnóstwo biczów sarkastycznych, krzaków cierniowych, nieprzystępnych z oderwanego uczucia litości zakiełkowało. Podobno któryś uczony niemiecki dowodzi, że Tyberyusz z wielkiej litości na okrucieństwo się rozchorował. Gotówbym temu uwierzyć, bo istotnie, można oszaleć z rozpaczonej nad sobą i nad drugimi litości!...

— Ale też ojciec na same tylko patologiczne wypadki uwagę swoję zwraca — zaprotestował pan Konrad. — Według praw normalnego rozwoju, litość jest wszelkich cnót społecznych, humanitarnych zawiązkiem; staje się miłosierdziem, gdy na widzianych biedach i nędzach uczy się niewidziane, lecz wiadome sobie tylko współczuciem ogarniać; staje się poświęceniem nakoniec, gdy się utrwali w duszy i nad innemi

jej popędami zagóruje. Wszelka miłość zresztą, w składowych swoich częściach, trochę litości obejmować musi. Ludzie nie chcą zwykle bywać przedmiotem litości nie dlatego jedynie, że wzbudzać jej kosztem swego cierpienia nie radzi, ale dlatego najbardziej, że ich litość upokarza. No! mają słuszność do pewnego stopnia; litość czysto nerwowa, ograniczona przelotnem wrażeniem, wykrzyknikiem, choćby wsparciem rzuconem przypadkowo, litość bezprzyjazna, bezkoleżeńska, bezłączna na dalsze życie, jest bardzo przykra, działa bardzo jątrząco na zbolałe serce. Lecz nie mają słuszności, jeśli im się zdaje, że z jakiegobądź stosunku potrafią ten pierwiastek zupełnie usunąć. Taki jest stan ludzkości całej, takie jej krzyże, ciężkie i łzawe koleje, że byle człowiek tomahawk opuścił i do człowieka z gałązką pokoju się zbliżył, już jeden nad drugim litować się musi. Litość na dnie każdego ukochania leży, nawet ten, co uwielbia, wtenczas dopiero kochać prawdziwie zaczyna, gdy tajemnicę smutków wielkości odgadnie, gdy nad mękami geniusza, świętego, bohatera czy królowej użalić mu się wolno. Łagodność jest może pożądańszym w społecznościach, litość piękniejszym w indywiduach przymiotem. Są niektóre zwierzęta łagodne. Człowiek pierwszy w rzędzie tworów ziemskich litosnym być zaczyna.

— Ale w co ta litość obrócić się może? ile złego narobić? -podchwycił znowu pan Nepomucen.—Zarzut mi tu stawiłeś, że patologią tylko litości przedstawiam. Nic dziwnego, bo ją dokoła w chorobliwych widzę objawach. Martwa obojętność, chciwe skąpstwo nigdy tyle złego nie zrobiły, ile na przykład owa litość bezmyślna, do ulicznej jałmużny w każdej chwili gotowa, albo rozrzewnienia takich młodych czy starych Marynek, które dziś złotem sypną i we własne szaty przyodzieją, a jutro nie dowiedzą się nawet, czy z przepicia, czy z przejedzenia po długim głodzie ich klienci nie pomarli. Aj! ta litość fantazyjna, ta loterya dla włóczęgów na grosze i złotówki, to istna plaga

zacofanych w cywilizacyi krajów! Próżniactwo i żebractwo, niedbałość i ospałość, uzuchwalone oszustwo, natręctwo, wszystkie śmiecie towarzyskiego nieładu, wszystkie zjadliwe odciski ran społecznych, ślepcy z wyłupionemi umyślnie oczami, połamane ręce i nogi odpustowo-częstochowskich kalek, dzieci wynajmowane żebraczkom na mrozy i skwary: wszystkie te publicznej nędzy nadużycia są jedynie głupiej naszej litości owocem.

— Niech co chce będzie, to głupią litość naszę troskliwie pielęgnować i cenić należy — rzekł pan Konrad bardzo poważnie; — rzadszą jest ona, niż się zdawać może. Gdy pierwszy raz czytałem Pamiętniki Napoleona ze św. Heleny, uderzyło mnie bardzo miłem wrażeniem to spostrzeżenie jego, że jest więcej dobrych, niż złych ludzi wogóle, bo gdyby więcej złych było, wszelka próba rządzenia nimi okazałaby się niemożliwą. Ja zaś myślę, że gdyby dobrzy w przeważnej liczbie się znaleźli, toby Napoleon jeszcze mniej mógł swoje rządy rozpostrzeć nad nimi. Z czytanej i widzianej, choćby w tych dwudziestu kilku latach mego życia historyj, przekonałem się statystycznie, że jest daleko więcej złych niż dobrych, więcej mających złe, niż dobre serca, na całej kuli ziemskiej. Człowiek jest królem przyrodzenia i sam tylko z podniesioną dogóry głową w niebo patrzeć może, mnóstwo jednak poddańczych zachował przywyknień, mnóstwo niearystokratycznych, nieodpowiednich rodowi swemu podobieństw. Jak najświeższy parweniusz ma krewnych po sklepikach, lub nad cepami stojących, tak i on ma ciotecznych braciszków, stryjeczne siostrzyczki to w dżunglach nad Gangesem, to w puszczach brazylijskich, to w lasach z najbliższego sąsiedztwa; nie mówiąc już o Papuasach polinezyjskich, co Lapeyrousa zjedli, ani o Eskimosach, co z głodu jedynie Franklinem się pożywili, ani o Buszmanach afrykańskich, co się od ludzkiego mięsa wstrzymać nie mogą. Pokaże się, że i nad brzegami wszystkich rzek, co do wszystkich mórz przez ocean

Atlantyncki utworzonych wpadają, znajdzie się przeważna liczba usposobień dzikich, nienawistnych, bezlitosnych, takich, co się nie brzydzą mordem, lubią widok boleści, rozkoszują się łowiecką rozkoszą, gdy im się zdarzy prześladować, ścigać, brać na cel i trafiać wymierzonym ciosem. Od salonów wytwornych, do szynków najbrudniejszych, wszędzie jeszcze, w różnej odzieży, w aksamitach, w siermięgach, w korcikach, roją się kuzynkowie tygrysów, wilków, panter i hyen. A czy herbarze naszej człowieczej szlachetczyzny wielu mogą zapisać na kartach swych magnatów, coby już żadnej pozostałości nie czuli z podkładowej, drapieżnej natury plebejuszów, coby przy zdarzonej sposobności, na chwilę tę lub owę, nie mogli być choć kilka razy wciągu życia tygrysem, wilkiem, hyeną, panterą? a lisem podstępnym? a małpą szyderczo przedrzeźniającą? a niedźwiedziem głupowato-zbrodniczym? a myszą niszczycielką? Ilu z nas da sobie zupełnego wyzwolenia świadectwo? Czy was to nie przeraża, moi państwo, że każdy tłum bezimienny tak łatwo do wściekłości roznamiętnić się daje? każde zbiorowo, bezimiennie występujące zgromadzenie tak łatwo, tak prędko z surowości koniecznej w nieużyteczne okrucieństwo się osuwa, czy ono będzie sekcyą tytułowane, czy pułkiem, parlamentem, czy komitetem bezpieczeństwa publicznego?... Otóż mnie to wszystko bardzo przeraża, i dla tego wszelkie dobrego serca zadrgnięcie, wszelki przebłysk złagodnienia i litości umiem szanować, żadnego ironią nie odtrącę, nie pognębię, nie złamię. Nie mam ja sobie do wyrzucenia, żebym kiedy zażartował z młodego przyjaciela, który przy opatrywaniu widoku rany znieść nie mógł, albo żebym przyganiał dzieciom, które się od zarzynanych kurcząt odwracały. Z każdym rokiem, z każdym ważniejszym wypadkiem przekonywam się, jakie to stokroć błogosławione w porównaniu z przeciwnem usposobienie. Przez naukę i przez doświadczenia własne doszedłem ja do tej

prawdy, że dobroć serca jest miarową cechą rasowej cywilizacyi; stoję przy tem, jak mur.

— My też pana wcale z tego stanowiska odmurowywać nie chcemy! Wszak prawda, panie Nepomucenie? — rzekłam wzruszona trochę argumentami pana Konrada.

— Nie, lecz on także powinienby przyznać, że dobroć serca w towarzyskich stosunkach między ludźmi ciągłem grozi niebezpieczeństwem. Dobre serce często bardzo samo na siebie ściąga nieszczęście. Co za masy rozrzewnień wziętych za tkliwe uczucia, co za legiony oszukanych na wdzięczności, zawiedzionych w jej oczekiwaniu, lub odepchniętych w jej wypłacie! Lecz w tych wszystkich sentymentalnych nieszczęściach, które, jak mówiłem, dobre serce na siebie ściąga, jeszcze są gorsze te, które na drugich sprowadza. Wolę żeby mię tunezyjski korsarz biczem zacinał, niż żeby niespodzianie na twarz mi spadła ręka, co ją przed godziną może chętnie z braterskiem uczuciem wyciągniętą do siebie widziałem. Niech mnie zjedzą antropofagi, ale niech mnie kochać nie przestaje, niech obojętnym się nie okazuje ten, który mnie uśmiechem miodowym i dźwiękiem miłego słówka przynęcił, ten, którego ja kochać zacząłem. Niezbyt dawno temu nadmorscy różnych krajów europejskich mieszkańcy, gdy noc była ciemna i burzliwa, wypuszczali na brzegi krowę z zapalonemi u rogów latarniami; krowa obłędnie biegała, a przypływające statki, biorąc światło latarni za sygnał bezpieczeństwa, sterowały ku lądowi i rozbijały się między skałami. Jak latarnia do rogów krowy przywiązana, tak dobre serce w piersiach człowieka bez charakteru osadzone. Łatwiej się ustrzedz od obłudy, niż od szczerości dobrego serca, któremu wytrwania w dobrem i zrozumienia dobrego brakuje. Roją się u nas dobrego serca młodzieńcy, przypatrzyliście się ich dziełom. A kobiety z dobrem sercem?... Lepiej się rozbić o najdzikszą zawziętość, niż się rozbić o dobre serce kobiety.

I pan Nepomucen zaczerwienił się przy swoich siwych włosach, jak młoda dziewczyna. Czuł, że patrzy na panią Maryą, więc gwałtem prawie spuścił oczy ku ziemi.

Może niedłużej jak minutę ogólne trwało milczenie, ale znać było, że wszyscy mniejwięcej zakłopotania jakiegoś doznali, czy wspomnień? czy domysłów? czy przeczuć? Nakoniec, pierwsza się z tego otrząsnęłam.

— Jeszcze nie „Dixi.“ Nic pan nie wspomniałeś o tym trzecim pierwiastku, najczynniejszym w dobroci, który jest datnością, hojnością, pięknym czynem, zwany rozmaicie, a właściwie instynktem pomocniczym zwaćby się tylko powinien. — Mówiłam, niewiele dbając o to, co p. Nepomucen mógł mi odpowiedzieć, jedynie dlatego, żeby wypędzić „anioła“ zbyt ociężałem skrzydłem przelatującego, i pan Nepomucen był w zupełnie takiem samem usposobieniu, bo od niechcenia ledwie zdobył się na te słowa:

— Ha, tak, są ludzie z ogromnie rozwiniętym instynktem pomocniczym. Muchy, które wraz z końmi każdy wóz z piasku wyciągają, Albiny, które każdy upuszczony kłębek podnoszą. Są nadzwyczaj datni wszyscy utracyusze, a zdumiewająco hojni szulerzy i złodzieje. Francuzi mówią: „généreux comme un voleur.“

— Jednak gdy instynktem tym udarowani staną przy wielkiej sprawie ludzkości... — odezwałam się znowu.

— Przy wielkiej sprawie ludzkości! — przedrzeźniająco powtórzył pan Nepomucen. — Jak są mizantropi szalejący z litości, tak są filantropi okrutni z swoją pomocą na litości opartą. Dzieje i biografie pełno ukazują owych pomocników przy wielkiej sprawie ludzkości, w odpowiedni temperament niezaopatrzonych. Fanatycy św. Inkwizycyi, niektórzy członkowie konwencyi, wszyscy prawie gimnazyalni zapaleńcy, niedouczeni lub przeuczeni reformatorzy, mnóstwo ministrów, wodzów, eksperymentatorów wielu,

wielu koło nas i poza nami w Europie i w Ameryce, tą chęcią uszczęśliwienia, instynktem datności, śpiesznością gwałtowną wspomagania upojeni fanatycy.

— A z tego wszystkiego co za wniosek, panie kuzynie?—zapytała pani Marya, niby trochę upominającym głosem. — Łagodność niewystarczająca, litość niebezpieczna, chętność do pomocy szkodliwa, na czemże tedy oprzeć wszystkie z ludźmi stosunki?

— Na miłości — odparł z głębokiem przekonaniem pan Nepomucen. — Kto nie kocha, nie ma prawa ani jednem dobrem słówkiem się przymilić, ani jedną łzą się ulitować, ani jednem podaniem ręki wesprzeć; kto nie kocha, nie ma prawa być dobrym.

— Bo też kto nie kocha, dobrym nie jest — odparła pani Marya. — Kto nie kocha Boga i bliźniego, choćby miał najłagodniejszy temperament, najwrażliwszą litość i najwytrwalszą do pomocy skwapliwość, jak to kuzyn bardzo słusznie w kilku przykładach okazał, dobrym jeszcze nie będzie, jeźli zpod tego wszystko obejmującego przykazania się uchyli: „Kochaj Boga nadewszystko, a bliźniego twego, jak siebie samego.“ W potoczonej mowie, jedynie dla prędszego zrozumienia się, oddzieliliśmy od siebie te dwa wyrazy: dobroć i kochanie, żeby oznaczyć ciaśniej lub szerzej zakreślone kółko naszego życia. W gruncie między dobrocią a kochaniem różnicy niema. Dobroć jest niby drugiem chrzestnem imieniem świętej chrześciańskiej miłości. Dobroć jest miłością naszą dla ludzi, z którymi żadne osobiste, ziemskie związki nas nie łączą.

— Miłością dla niekochanych—smutnie uśmiechnął się pan Nepomucen, a ja się lekko skrzywiłam.

— Moja Maryniu — rzekłam nareszcie — piękna to rzecz miłość, przyjęłabym ją nawet w kształcie miłości od wszystkich i zapragnęła jej dla wszystkich; lecz to bieda największa, że na miłość dziś niema dość ujętnego probierza, by ją zpomiędzy tysiąca nerwowych wrażeń lub fantazyjnych uniesień wyróżnić. Każdy ci powie, że kocha: Torquemada Panu

Bogu, Lamartine Elwirze. Czy cię spali na stosie, czy wiersz natchniony zaimprowizuje do ciebie, powie że kocha, i zkądże my biedni napewno się dowiemy, o ile nam prawdę mówi, lub sobie samemu kłamie? Strasznie też jakoś w tym czasie miłość spowszedniała. Nie w sercach, oh! nie w sercach, ale w retoryce. Każdy się miłością zastawia, tłumaczy, usprawiedliwia, każdy się nią w okresach i zdaniach jak słowem posiłkowem posługuje, tak że ja, co nigdy nie miałam talentu, by dość filozoficznie subjektywność z objektywnością, treść z formą dzielić, w ciągłych a ciągłych zadziwieniach żyję; sama nie wiem, czego się trzymać, jak sobie różne praktyki i zastosowania owej miłości wytłumaczyć. Kocha, rozrzewnia się, łzami oczy mu zachodzą, a niszczy dobrobyt swej rodziny, oszukuje sąsiadów na dostawie pszenicy, ciągnie kubany od interesantów, zastawia sidła na tych, co mu przeszkodą w drodze pod górę stają. Wita się tak serdecznie, przemawia tak zachwycająco, że wstyd nie wierzyć, lecz znowu strach wierzyć. Gdyby to nakoniec samą, prostą obłudą było tylko, łatwe wyjście z kłopotu. Raz i drugi na gorącem się sparzyć, a potem na zimne dmuchać. Z tem najgorzej, niestety, że połowa przynajmniej jest szczerością i prawdą, prawdziwością chwili obecnej; można przysiądz, że grunt na którym budują skałą, bo jest rzeczywiście skałą na bieżącą godzinę, może dopiero jutro się rozkruszyć. Żaden rachunek, plan żaden niepodobny z tymi waszymi ludźmi, co ich bez zastanowienia dobrymi zowiecie, z takiemi sercami fosforycznemi, co przy byle potarciu świecą, a nie rozgrzewają się trwale. Słyszę o człowieku, że heroizmem karmi się, jak chlebem powszednim, w szkołach bierze na siebie odpowiedzialność za psoty kolegów, w męzkiem życiu ratuje zapowietrzonych, rzuca się w ogień pożaru, lub na szyję przyjacielowi z takiem uniesieniem, co mu ledwo piersi nie rozsadzi: więc go najufniej w świecie między znakomitości zapisuję, powierzyłabym mu szczęście jeśli nie Europy, to przynajmniej powiatu, skarby jeśli nie

Golkondy, to przynajmniej Rotszylda, zarekomendowałabym go każdemu z najspokojniejszem sumieniem. Aż tu nagle dowiaduję się, że mój bohater albo pijak, albo utracyusz, albo skąpiec, albo próżniak, albo mściwy, obrażliwy, niesłowny, krótko mówiąc... lód podnogami na wiosnę.

Przebacz mi zatem, moja droga Maryniu, że ci tutaj wobec świadków zgromadzonych, na stemplowym papierze gotowa jestem wystawić pokwitowanie ze wszelkiej dobroci i miłości. Nadewszystko z miłości. Bardzo szanuję lordów angielskich, co bez miłości zaprowadzają wolny handel zbożowy, Amerykanów, co bez miłości znoszą niewolnictwo, Langenbeka, co bez miłości antraksy wycina a nosy przyprawia, Humbolta, co się bez miłości do Ameryki wybrał... pana Konrada, jeśli według tego, co mi ludzie powiadali, nie z samą miłością przecież z za granicy do nas wrócił. Bardzo szanuję obsługujących szpitale, siostry miłosierdzia, lekarzy, administratorów dobroczynności publicznej, założycieli szkół i szkółek, stowarzyszeń wzajemnej pomocy i kas oszczędności. Bardzo ich szanuję, choć większa ich połowa nie przez miłość działa, zaiste, ani też osobliwą dobrocią nie pociąga. Wogóle czynne, ruchliwe, energiczne natury nie wyczerpują się tkliwościami i czułością. Pośpiech ciągły, ciągła oszczędność kosztowniejszego dla nich od dyamentów czasu, daje charakterowi pewną szorstką i niecierpliwą surowość, oswojenie się z porządkiem, czyli nieporządkiem rzeczy ludzkich, przytępia drugostronnie współbolenia władze; jednakże droga życia dla wielu, wielu takich niedobrych, nielitośnych, prostą linią zasług się rysuje i w użyteczność trafia. Czy oni kochają, czy nie kochają? kto ma sądzić? Bóg. Miłości i Boga nie godzi się ciągnąć pod motywa jakiegobądź ziemskiego wyroku. Tajemnica, nie argument. Jeśli kochają, tem przyjemniej dla nich, tem łatwiej z nimi dla drugich; jeśli nie kochają, smutniej i trudniéj: byle zawsze użytecznie, sprawa przed ludźmi wygrana. A kiedy o subtel-

nościach natury ludzkiej mowa, kiedy oznaczyć trzeba wiernie jakąś niekonsekwencyą, wartość moralnej skłonności lub moralnego stanu człowieka, wtenczas musimy koniecznie takiej miary szukać, coby stalszą była, ujętniejszą, jak to już rzekłam, od „systematu,“ dokładniej, widzialniej narysowaną od samego ideału. Dla mnie jedyną skalą, według której wszystkie dobre serca i wszystkie tak zwane dobre uczynki mierzę, jest skala prawa i obowiązku.

— Niby to prawo i obowiązek nie abstrakcyjne także wyrażenia? — rzucił mi pan Nepomucen.

— Dawny prawnik lepiej to odemnie wiedzieć powinien, w każdym razie mogę łatwo z zarzutu abstrakcyi się oczyścić. Prawo jest dla mnie najzwyczajniejszem, jakie może być, *prawem*, od tablicy, która w ogrodzie zrywać kwiatów i deptać po trawnikach zakazuje, do dziesięciorga przykazań i do kodeksu, którym społeczeństwo jednostkę z ogółem wiąże. (Przypuszczam, że kodeks będzie miał kiedyś jaśniejsze, ulepszone w wielu rozdziałach artykuły, niemniej jednak na jaki się trafiło z losu i urodzenia, takiego słuchać trzeba pierwej, nim się go poprawiać zacznie.) A obowiązek jest tem, czego jednostka względem całego społeczeństwa, lub jego członków, dobrowolnie się podejmuje. Czy się podejmie być mężem, czy urzędnikiem, zrobić parę pantofli, czy książkę napisać, powinna to zrobić dobrze...

Pan Marcin tak się złośliwie uśmiechnął, że cała wstydem spłonęłam, „a przynajmniej najlepiej jak tylko umie i może,“ dodałam trochę cichszym głosem, „wtenczas dopiero będzie można zaświadczyć, że jest dobrą.“

— Lecz do Marynki wróćmy nakoniec — poczciwa Marylka zawołała dość prędko, by mi dłuższego kłopotu oszczędzić. — Dlaczego pani nam odrazu nie powiedziała, czy Marynka jest dobrą, czy niedobrą?

— Bo Marynka nigdy jeszcze nie miała sposobności ani do prawa, ani do obowiązku życia swego

stosować. Nie zaczepiła się żadnem zdarzeniem o kodeks, żadną ciągłą pracą o własne przyrzeczenie. Marynka więc nie jest jeszcze dobrą, nie wiem, czy nią będzie, wiem tylko dzisiaj, że dobrą być może.

— I tylko dlatego, że pani to wie, mogła ją pani bez żywienia ogólnikowej miłości bliźniego prawdziwą osobistą przyjaźnią pokochać — zauważył p. Konrad z pewnym uporem, który mnie w nim bynajmniej nie raził.

— Ale czy jest pobożną? — wniósł powtórnie swoje zapytanie p. Stanisław.

VIII.

Drugi wieczór u pani Maryi (urywek 1).

— A pani sama czy kochałaś się kiedy? — zapytał mię najniespodziewaniej pan Nepomucen. Słysząc zwrot ten osobisty, pani Marya się zarumieniła. Ja nie wiem, czy się zarumieniłam, czy zbladłam, ale tego pewną jestem, że się twarzą w twarz obróciłam do pana Nepomucena i z uśmiechem zadeklamowałam wiersz z jego ulubionego poety:

— A naco ta ciekawość? zmów tylko pacierze!

Pan Nepomucen, jak ksiądz Gustawa, nie odmówił zaraz pacierzy, tylko na dalsze ciągnął objaśnienia.

— Przecież sami między sobą jesteśmy. Nie prędko, może nigdy nie zdarzy nam się zebrać, jak dzisiaj; lata całe upłynęły, a myśmy się nie zeszli tak we troje przy okrągłym stoliku, z tą dużą lampą, co na środku stoi. Zupełnie mi się dawne czasy przypomniały, tylko weźcie panie robótki w ręce, a ja wezmę książkę jaką, by wam głośno czytać.

— I wyprowadźcie za drzwi Amelkę, Marylkę i p. Konrada.

— Niech Bóg broni! Niech Bóg broni! — zaprotestował p. Nepomucen — to nasze dzieci, to nasze zstępne pokolenie. O co dla siebie dopominam się w imię dawnych wspomnień, o to dla nich dopominam się w imię przyszłego kierunku. My sobie możemy otwarcie i szczerze mówić, bo kawał naszego życia razem pamiętamy, jako się pani wyraziłaś. Oni mogą wszystkiego słuchać, bo im się żywy przykład, objaśniający zasadę, należy. Mówisz pani: wybór, miłość, ideały; trzeba teraz powiedzieć: prawda, życie, rzeczywistość.

— Panie Nepomucenie—przerwałam wesoło — Napoleonowi nie chciała wierzyć Europa, że cukier można robić z buraków, a Napoleon nie chciał wierzyć Fultonowi, że para żagle okrętów zastąpi; ponieważ coś jest osobliwe, trudne, niebywałe, czyż ztąd wnioskować...

Lecz pan Nepomucen przerwał nawzajem:

— Ja też nie wnioskuję, niech mię pani w żadne wnioski nie plącze; poprostu zapytałem i powtarzam znowu zapytanie, czy pani kochała się kiedy?

Bardzo uważnie patrzyłam w oczy panu Nepomucenowi; lękałam się, że migną chociaż przebłyski ironii, sarkazmu albo zniecierpliwienia dysputowego, pychy argumentowej. Nie, w jego oczach była najspokojniejsza dobrej wiary promienność. Wtedy, Marynko, dziwna mi przyszła do głowy fantazya: biedny, głuchy Beethowen chciał, aby raz przed śmiercią słuch odzyskać i wiedzieć, jak też to brzmienia najpiękniejszej jego sonaty się wydają.

— Ha! tak jest—rzekłam z pewną awanturniczą odwagą — i ja byłam w Arkadyi, panie Nepomucenie, i ja się bardzo, bardzo kochałam — ale tutaj zabrakło mi dalszego wyrazu i nastąpiła wcale niepotrzebna fermata.

— Kochała się pani? w kim? — popędził nielitośnie pan Nepomucen.

— Kochałam się w głosie, który mówił raz do mnie: „kochaj ją.“ Może to była chwila wybrana, ta

jedyna w życiu, co o losie, o przyszłości stanowi, chwila koronacyjna, kiedy wstępujemy na tron wszystkich królestw naszych i obejmujemy władzę nad przeznaczeniem, chwila, kiedy jesteśmy, według tego jak natury naszej starczy, najpiękniejsi, najszczęśliwsi, najrozumniejsi i najlepsi, ach! bo ja niezawodnie najlepszą wtedy byłam, i najzdolniejszą i kiedy chciałam czego w sobie, to się stawało, a może też to głos jedynie był taki wszechmocny i ożywczy. Nigdy przedtem, nigdy potem nie słyszałam mu równego; kiedy pierwszy raz o moje ucho się odbił, zdumiałam, że tyle muzyki i tyle nieskończoności piękna, tyle potęgi cudu, że objawienia tyle może być w jednem odezwaniu się głosu ludzkiego od rozkazu do poszeptu, od wyroku do prośby, cała skala najbogatszych modulacyj i najdźwięczniejszych, najpełniejszych tonów.“

IX.

Kasia, przesyłając książki Marynce, opisuje mniejwięcej parę wieczorów spędzonych u pani Maryni, różne zdania tych państwa co do pójścia za mąż z miłości. Kiedy wszystko gotowe (do przesłania), pan Nepomucen przychodzi pochwalić jej się, że syn jego nie jest przecież takim zimnym, wyrachowanym samolubem, za jakiego w jej oczach uchodzi. Właśnie teraz, dowiedziawszy się o chorobie młodego kolegi ze szkół, mechanika, biednego chłopca, który pracą swoję matkę utrzymuje, podjął się wyjechać za niego na wieś dla skończenia jakiejś roboty (podobno tartaka). To wspomnienie ją zaciekawia, pyta się i dowiaduje, że istotnie jedzie na wieś do pana... wuja Marynki.

Pan Konrad wyjechał rzeczywiście, a tą robotą był tartak wuja Marynki. Przyjęcie czysto obywatelskie, mechanik jeden taki jak drugi, więc miejsce na szarym końcu, pokoik daleko w dworskich zabudowaniach. Konrada bawi ta pomyłka towarzyska, bawi to incognito niby książęce. Marynka pierwsza zwraca uwagę na gładkość obejścia, pewność ruchów i układność całej powierzchowności. Nazwisko zpoczątku nie zwraca jej uwagi, lecz w parę dni potem przynoszą listy z poczty, jeden z nich na podpisie ma imię Konrada. To jej podejrzenie rozbudza, wie co pan Konrad mógł o niej od Kasi usłyszeć, zastanawia się, jaki powód nim kierował w tym postępku. Najpierw wnioskuje, że to spekulacya owej „konsekwentności," o której Kasia jej pisała, lecz dni mijają, jeden, drugi, trzeci, a pan Konrad jak gdyby jej nie było na świecie. Po tygodniu może, sama pani Zenobia uznaje bardzo salonowe ułożenie nowego mechanika, pan wuj odkrywa, że doskonale mówi po niemiecku; pani Zenobia wręcz go pyta, czy się i francuskiego musiał uczyć w swoim zawodzie, Konrad wesoło przyznaje, że nie tylko francuskiego, okoliczności go zmusiły nawet bliżej z angielskim się zapoznać, i to co się zowie gruntownie zapoznać, żeby Royal Academy zrozumiała, co napisze, przełożeni warstatów zrozumieli, co im przedstawi, a robotnicy zrozumieli, co nakaże.—Więc pan pracował w angielskich warstatach?

Marynka wtedy przypomina sobie, co jej Kasia niegdyś o panu Nepomucenie wspominała.—A czy umie pan po włosku? rzuca *niby* w ciąg ogólnej rozmowy. Konrad nie domyśla się intencyi, dość więc spokojnie odpowiada krótko, że mówi tym językiem. Pani Zenobia się dziwi, czy i ten mu był potrzebny?

— Nie, ten już nabył dla własnej przyjemności.— Czy panu nigdy nie przyszła ochota samemu do Włoch się wybrać? — Zdarzyło się, że raz być tam musiał. — Czy w Rzymie? pyta Marynka. — W Rzymie, krótko ucina Konrad. Widząc, że ta wzmianka już go lekko podrażniła, Marynka dalej ciągnie: — Jaki pan szczę-

śliwy! widzieć Rzym i papieża! — Konrad milczy. — Czy to było po pana podróży do Londynu?

— Nie, pani—przed podróżą.

— A to pan z całą świeżością pierwszych wrażeń mógł się przypatrywać pysznym arcydziełom! Jakie też to na panu wrażenie zrobiło? czy długo pan tam gościł? — Muszę przyznać, że samego Rzymu bardzo mało, a papieża wcale nie widziałem. — Jakto być może? czy czasu nie starczyło? — Miałem inne zajęcie i dlatego żadnych o wrażeniu i zachwytach turystycznych szczegółów udzielić nie mogę.

Wyraźne zniecierpliwienie pana mechanika zachwiało trochę fundamenta pierwszych przypuszczeń. Konsekwentny spekulant korzystałby przecież z nadarzonej sposobności i posunąłby się krokiem naprzód w zażyłości codziennych stosunków; pan Konrad jak gdyby o krok cofnął się właśnie. To coś dziwnego; trzeba sobie wyjaśnić, może paladyn w opisanym portrecie zakochany. Jednego dnia Liszta fantazya, na piesni węgierskie ułożona, spada nawałnicą, gradem i piorunem na biedny prowincyonalny fortepian wujaszka, struna pęka, pedał się łamie. Ach! co tu robić? Przed obiadem wuj sam wprowadza pana mechanika do salonu; pierwej tylko w jadalnym pokoju się spotykali.

— Niechże pan z nami zaczeka trochę, bo obiad później, niż zwykle; czekamy gości — może nam co zagrasz (gdyby powiedział *Marynko!* ale to już wyszło z rodzinnego zwyczaju, na pamiątkę zmarłego ojca między przyjaciółami tylko się utrzymało) może co zagrasz, Marylko? To zawołanie Marylki pogłaskało mu ucho, jak gdyby wrócił na 1-sze piętro przy ulicy Miodowej. Zagrać nie może, fortepian zepsuty. Mechanik ofiaruje się naprawić — wdzięczność, pierwsza rozmowa jak równy z równym; ale gość przyjeżdża — pan Filip. Znali się w Anglii, surpryza jak na teatrze. Państwo trochę zakłopotani, uważają Konrada za większego jeszcze, niż był, pana.

— A cóż to! wkradasz mi się pan dobrodziej do domu pod przybraną postacią?

— Ja, panie łaskawy, pod moją najwłaśniejszą z nazwiska i profesyi.

— Ale żeby nas też nie objaśnić!

— Owszem, jaknajsumienniej objaśniłem pana, że w zastępstwie chorego kolegi przybywam.

— Ten kolega zbił mię z tropu.

— Jednak to prawda najistotniejsza, że jest moim kolegą ze szkoły, warstatu i powołania, a nawet osobistej przyjaźni — to złote serce — i chwali kolegę. Pani Zenobia z wielkim taktem przecina dalsze wywody i objaśnienia, zwraca się do pana Filipa, dzieli jego radość z niespodzianki tak miłej, pan wuj znów utrzymuje, że coś wyższego upatrywał w swoim gościu, przez tydzień więcej zrobił niż tamten przez dwa miesiące, i niedość na tem, udzielił rad wybornych co do spadku wody, pogłębienia rowu i t. p.

— Nam się zdaje, że ty wszystko umiesz, nasz drogi Konradzie — odzywa się pan Filip;—gdyby się co u wozu niebieskiego zepsuło przy gwieździe polarnej, tobyś chyba zaraz naprawił.—Marynka nigdy pana Filipa tak ożywionym nie widziała. Pan Filip opowiada, jak mu wydobywanie i oczyszczanie nafty w jego galicyjskich dobrach urządził. Marynkę to wszystko jakoś dziwnie rozdrażnia. Po obiedzie pan Konrad chce odchodzić, ma jakieś dyspozycye do wydania przy tartaku. Zatrzymują, wszakże obiecał fortepian naprawić. Nazajutrz znów się to powtarza. Pan wuj śmieje się, że bezpiecznie może trochę popróżnować, gdyż prędzej robi niż inni, a tego próżniactwa nie policzy mu w rachunku. Konrad wesoło odpowiada, że policzy każdą godzinę swoję, bo idzie na korzyść jeszcze więcej potrzebującego, niż on sam, a właśnie razem z Marynką koło fortepianu coś majstrują—Marynka próbuje akordów, on schylony pedału dociąga.

— Czy i tę pan policzy, co przy naprawie fortepianu spędził?

— Policzę do bardzo przyjemnych godzin w życiu.

— A kiedy tak, to pan mi będzie dłużny; godziny przyjemne w życiu daleko droższe, niż połowa przy tartaku ukończonej pracy.

— Ma pani słuszność, nie zaprzeczam, a jednak z długu mego się nie uiszczę.

— To bardzo nierzetelnie.

— Znów pani ma słuszność... lecz cóż czynić, mnie nie stać na równej wartości monetę.

— Wygodny sposób.

Ułożony związek Konrada z panną Amelią. Systematyczna konkurencya. Rady, Nauki, Wymagania doskonałości, n. p. gorszy się histroryą strzałki piorunowej Młodsza siostra brzydsza, rozumniejsza, entuzyazmuje się do wyższego umysłu przyszłego szwagra, a tymczasem korepetytor braci wcale nie idealny, tylko zakochany, zdobywa serce Amelii, różne ustępy o wrażeniach, *siła porwania, siła porwanej przeciw całej przeszłości własnej i otoczenia...*

Pan Konrad w stosunkach przez pana Filipa wprowadzony ulega trochę wdziękowi Marynki; wrażenie artystyczne bogactwa działa na jego artystyczne popędy, zasypia w nim wszelka pedagogika, do której przy Amelii nawyknął; nic się nie dziwi, że tak kosztownie wychowana panna nie zna dobrze historyi średniowiecznej i o Semiramidzie północnej, Małgorzacie, nie słyszała nigdy. Marynka wcale się też tego nie wstydzi, opowiada swoję edukacyą. Pan Filip przyjeżdża, pan Konrad czuje się w obowiązku odjechania. Chwila niepewności. Marynka sama w sobie rozważa, czy kocha Konrada, stawia niepodobne własnemu sercu żądania: miłość powinnaby ją natchnąć, unieść, przetworzyć, oświecić, wzmocnić. Miłość powinna być jej życiem, jakże ona może nie wiedzieć o miłości swojej, jakże nawet pytać się, czy istnieje; więc nie kocha—a jednak nasuwa mi się przypuszczenie, że jej kobiecej naturze zewnętrznej tylko trzeba inicyatywy wezwania; boć przecież choć powa-

bna, wabiąca być nie może i kończy się na tem. że Marynka idzie za Filipa, Amelia za korepetytora — Konrad się żeni z inną majętną osobą, a siostra Amelii raz tylko w jednej rozmowie rzuca mi te słowa, że miała naturę potrzebującą zawsze najlepszość jakąś ukochać, ale najlepszości jej nie kochały.

Rozmyślam nad tem wszystkiem w dziesięć lat później i żadnych wniosków wyciągnąć nie mogę — żadnego prawa — trzeba się liczyć z faktami. Małżeństwo z rozsądku czem jest dzisiaj? Nie wzorowem, nie gorszącem też. A Marynka w nikim innym się nie zakochała. Pan Filip utrzymuje stan majątkowy w kwitnącym stanie, tylko Marynka przyjechała do Warszawy starać się o nauczyciela dla swego chłopca i bardzo prosi o cierpliwego, bo jej Staś jest łagodne, posłuszne, ale niepojętne dziecko. Panna Amelia ciężkie przechodziła zgryzoty, jej mąż lubi śniadanka proszone i karteczki, czasem jej kupi ciężką materyalną suknię, a czasem zrzędzi, że na obiad leguminę zrobić kazała—dzieci kilkoro—matka surowo chciałaby trzymać, ojciec pieści. Chłopaki łamią wszystkie krzesła w pokojach, dziewczęta lustro potłukły—gdyby się to chciało uczyć! Antośby miał zdolności — Józiaby już zagrać co mogła—ale tak im się nie chce! Wszyscy bardzo się kochają i ciągle kłócą.

Pan Konrad wcale nie ma dzieci. bo żona chorowita; nudziłby się, gdyby mu bardzo gorzko i smutno nie było.

CZY TO POWIEŚĆ?

Plan utworu p. n. „Czy to powieść?“ *)

Kontur ogólny.

Pisząca urodziła się w r. 1816. Ojciec jej był wojskowym, matka najmłodszą wśród dość licznych dzieci zamożnego wiejskiego dziedzica — pisząca miała tylko jednego brata, który się w r. 1812 urodził, wczasie nieobecności ojca. Zwracam uwagę, że i co do imion są pewne historyczne kategorye, przynajmniej zauważyłam to względem wiadomych dla mnie czasów. Przed sejmem czteroletnim kalendarzowe górą: Ignacy, Jan, Józef — Hugo osobliwością — po sejmie czteroletnim rozpowszechnia się masa imion pamiątkowych i dziejowych — dużo jest Tadeuszów, Julianów, Władysławów, nawet Lech. był i Leszek. Za wpływem rewolucyi francuskiej posiały się imiona do mojego nieszczęśliwego podobne — wczasie kongresowego królestwa zaczęto w imionach romansowych smakować, szczęściem że to krótko trwało; po 30-m roku przerwała się ogólność mody, jak się wszelkie ogólności u nas czy w opiniach, czy w przedsięwzięciach, czy nawet w edukacyi przerwały. Mogłam tylko zauważyć w 20 lat temu lub więcej pewien zwrot ku imionom słowiańskim; później uległy więcej rodzinnym wpływom — dawano imię ojca, matki, stryja, wuja i t. p. coraz mniej imion z upodobania, lekceważąc sobie aż do zbytku nazwanie człowieka na całe jego życie!...

W piątym roku swego życia pisząca traci ojca, który się wystrzałem z pistoletu w Saskim ogrodzie zabija. Zdrowie jej matki zaczyna od tego czasu widocznie podupadać, lekarze corok wody Reinerz nakazują — że dzieci zabierać nie można, więc się

*) Z rękopisu Żmichowskiej, udzielonego przez J. B.

je u ciotki zostawia. Ciotka poszła za mąż bogato, wuj przybrany jest wysokim urzędnikiem, bezdzietny, wychowuje jedynaczkę po swoim bracie, przywięzuje się do niej aż na rozpieszczenie i słabość, a żona, niebardzo się też mocnym charakterem odznaczająca. daje się mężowi w stronę jego świata i jego uczuć pociągnąć. Siostrę kocha bardzo. ale dzieci siostry dosyć jej są obojętne; w najskrytszej komórce serca, przy najcichszej rozmowie z sumieniem nigdy żadnego wyrzutu nie słyszy, chociaż wielką różnicę czyni między synowicą mężowską, a parą swoich własnych siostrzeniąt. Wkrótce biedne dzieci i matkę tracą—umiera zdala od nich; całego majątku zostawia tylko 15,000, połowę wniesionej sumy posażnej. Wuj opiekun umieszcza na pewnej hipotece drobny ów kapitalik i płaczącej za siostrą żonie obiecuje, że się zajmie wychowywaniem sierot. Chłopca też zaraz oddają do szkół— dziewczyna siedmioletnia uczy się robić pończochę i szyć najczęściej w garderobie. Nie dokuczają jej, ale nikt jej nie pieści—kuzynka współwychowanica przewodzi nad nią, trochę rządzi nią, ale nie ma z kim się bawić, więc musi czasem dla przywabienia zrobić niejakie ustępstwa. Starsza o dwa lata, ma guwernantkę Francuzkę i dużo książek z obrazkami. Autorka na szczęście swoje u Francuzki w łaski wpada, rozmową uczy się dość prędko po francusku, na obrazkach uczy się historyi świętej, polskiej i rzymskiej, a że jeden z oficyalistów przychodzi co drugi dzień i daje jej lekcye czytania i kaligrafii, więc na imieniny ciotki pisze w dwóch liniach powinszowanie z własnej głowy. Że to była epoka arkadyjskiego szczęścia literatury, kiedy nawet tłumaczeniem „Świątyni Wenery w Knidos“ można się było wkupić do nieśmiertelności, więc powinszowanie sprawia efekt, sława dochodzi pani Wilczyńskiej — typ ochmistrzyni z powołania. Pani Wilczyńska daje się przekupić nadzieją wykształcenia talentu, obiecuje że za rok, jak się pisząca jeszcze trochę douczy i trochę podrośnie, to ją darmo na pensyą przyjmie. Zaczyna się tedy nauka, trochę przerywana nie do ciągu lekcyi; lecz do ciągu pilności wakacyami brata. Na nieszczęście brat już dwunasty rok zaczął, a jeszcze do 3-ej klasy promocyi nie dostał. Brat, może dlatego że był starszym, że z nim już dało się czasem porozmawiać, wydawał się trochę ulubieńcem matki — zpod jej sentymentalnego na nieszczęście zarządu przechodząc pod surowszą obojętnych ludzi rękę, rozdrażnił się, zniechęcił, zleniwiał. Stosunek rodzeństwa po pierwszem rozłączeniu chropowacieje; matka miłością swoją utrzymywała miłość siostrzyczki i braciszka, łączyła ich we wspólnych przyjemnościach, uczyła wzajemnych surpryz —po jej śmierci i po roku szkolnej nauki chłopiec zdziczał bardzo; miłość nieświadomie na dnie serca została, postępki się zmieniły; kuzynka też bałamuci rówieśnego sobie studencika, zawsze mają coś sobie do powiedzenia w sekrecie, zawsze stronią od młodszej dziewczynki — raz nawet samę w lesie przy zbieraniu orzechów odchodzą. Dziewczynka zbłąkana nie przypuszcza, żeby jej kto szukał, wieczorem dopiero spotyka jakiegoś chłopca, który ją do

domu odprowadza, i dziwno jest bardzo znalezionej, że zastaje ciotkę już zaczynającą się niepokoić, a brata spłakanego.

Wczasie kilkoletniego na pensyi pobytu, nauka idzie dobrze piszącej, ale się żaden wyłączny znakomity talent nie rozwija. Charakterystyka rozumnej a bez talentu kobiety, prócz tego pierwej jeszcze wspomnienia pensyonarskie, wakacye razem z bratem spędzone... Przychodzą lata, w których kuzynka na starszych i świetniejszych młodych ludzi zwraca uwagę; student, choć nawet później i promocye dostaje, zawsze jest tylko studentem; jej zaniedbanie znów zbliża rodzonych do siebie. Opawiadają sobie swoje trudności, zmartwienia, czytają razem książki, n. p. pierwsze czytanie Dziadów Mickiewicza. W 32-m roku brat bierze dzierżawę za swoję sumę do 10.000 wzrosłą. Ma się rozumieć, że ją traci wprzeciągu lat kilku, ale tymczasem pisząca bawi w domu swojej ciotki, wybiera się ciągle na nauczycielkę, że ma jednak 500 zł. na rok i dość skłonne do otaczającej ją apatyi usposobienie, więc rzecz z roku na rok się odkłada. Nie jest już kopciuszkiem domowym, jej pensyonarskie świadectwa wyrobiły stanowisko trochę poważniejsze zajmującej się literaturą, co nie znaczy — broń Boże — autorki, lecz pomimo tę godność smutne jednak podrzędne zajmuje miejsce obok pięknej i bogatej kuzynki, ona, brzydsza i uboższa. Na pociechę zawiązuje się trochę przyjaźniejszy stosunek z wujem, który jest wykształconym człowiekiem i prawdziwym XVIII-go wieku wychowańcem. Do skromnych zapasów pensyonarskiej nauki i przypadkowo pochwyconych książek z historyą lub poezyą, przybywa nowy pierwiastek śmiałych negacyj, tak pewnych siebie, jak twierdzenia, tak wierzących w siebie, jak wiara. W co się ten wpływ zamienia? przy młodości, przy zdrowiu, przy odważnem usposobieniu, pisząca nie przechodzi żadnych walk byronowskich, tylko mając po jednej stronie wspomnienia matki, wpływ wychowania pani Wilczyńskiej, dzieła francuskie najsławniejszych z czasów Restauracyi pisarzy: Chateaubrianda, „L'indifférence en matière de religion“ Lamenego, czuje potrzebę sprawdzania, chce sama sądzić i poznawać, chce sama wszystko rozumieć. Sąto lata jej życia, w których wspomnienie i postać brata przeważa. Brat 6-ej klasy nie skończył; boleśnie czuje przerwę tę szkolną, a brak zupełny uniwersyteckiej nauki. Jest on daleko artystyczniejszego od siostry usposobienia, jest więcej nerwowy, w większym smutku się rodził, w dzieciństwie nawet mniej miał odwagi, nieraz go przykładem młodszej siostrzyczki zawstydzono, ale gdy się raz otrząsnął z płonnych strachów (ciemności, cmentarza, światła księżycowego w lesie, wszystkich takich na fantazyą działających wpływów), gdy się raz z bojaźni nerwowej otrząsnął, wstąpiła w niego prawdziwie nerwowa odwaga, rozmiłował się w niebezpieczeństwie; narażanie się było jego rozkoszą najmilszą, czy na polowaniu, czy na wyścigach konnych, czy w pożarze, czy w powodzi, czy między pięknemi kobietami, czy między niechętnymi ludźmi. Lecz mało miał niechętnych, chyba dalszych — w blizkim promieniu ta szczera, buj-

na, artystyczna natura despotycznie pociągająco działała: musieli go ludzie lubić; był też piękniejszy daleko od siostry; jedno drugiemu wiele mogło do wymiany przynieść. Rozróżniały ich zdolności, upodobania, zwyczaje, światki ich znajomych i przyjaciół— łączyło tylko jedno wspólne uczucie — silne, w naturę ich wsiąknięte: „potrzeba czegoś lepszego.“ Z tą potrzebą jednak można jeszcze na wiele bardzo manowców zabłądzić, więc też brat stracił na dzierżawie. Siostra, choć się to może zdawać paradoksem, dlatego właśnie, że była brzydką, stała się na czas jakiś kokietką, w niebezpieczniejszym od kuzynki rodzaju; kuzynka lubiła się podobać i sama łatwo sobie głowę każdym nowo spotkanym wielbicielem trochę zawracała—do wytrwalszego nawet mogła się szczerze p r z y w i ą z a ć, i w istocie przywiązała raz, mając lat osiemnaście — lecz jej narzeczony zginął, dlatego nawet panną jeszcze i towarzyszką piszącej w domu ciotki była; zrazu niby jakiś czas żałoba zajęła, póżniej trudność wyboru zajmowała następujące po sobie lata — trzeba przyznać, że się trochę zmniejszyły zastępy dziarskich a swatalnych salonowców. Nie tak łatwo było się przedstawić z uzasadnionemi pretensyami pięknej, a wiele wymagającej krociowej dziedziczce. Miała ona czasem jeszcze zwroty wielkiej słabości do młodego kuzyna-dzierżawcy, kuzyn-dzierżawca jak wosk topniał pod jej spojrzeniem niekiedy, ale myśli małżeństwa ni jedno ni drugie nigdy nie przypuściło do głowy — taka tedy najpospolitsza w świecie była zalotność bogatej i ładnej. Daleko, jako rzekłam, niebezpieczniejszą była zalotność ubogiej i niełądnej kuzynki, ta chciała być kochaną, żeby wiedzieć co to jest być kochaną, jakie to władze nowe w duszy rozwija? czy będzie to mogło ją, taką trzeźwą, upoić? Zalotność i ciekawość jest najokrutniejsza, chyba zalotność z chciwości lub nieświadoma siebie wyrównać jej może. W tych zewnętrznych dramacikach siostra zawsze przychodzi do ujęcia jakiejś stałej sumy, jakiegoś wyraźnego nazwania tego co jest, po każdej prawie rozmowie z bratem; brat przy siostrze nabiera pewnych wymagań względem kobiety — więcej niż wymagań — natura jego zbogaca się szlachetniejszemi potrzebami w stosunku do kobiety, chociaż w nawyknieniach przeszłości i w temperamencie inne objawiają się skłonności. Wdzięk powierzchowny zawsze go pociągnie, tylko zatrzymać go nie może bez uczuciowej, a może więcej nawet bez umysłowej wartości. Tylko brat nie zastanawia się nad tem rozdwojeniem swojem, a siostra bardzo dokładnie umie zanalizować wszystkie składowe cząsteczki swojej zalotności; wie co jest chęcią poznania, co jest niepokojem rozwijającego się organizmu, co wrażeniem zewnętrznem, co wewnętrznym dodatkiem wyobraźni. Przechodzi epokę sarkazmu — samę siebie i drugich przez ostrożność bierze pod dozór dowcipu (widziałam takie usposobienie w różnych odcieniach i bardzo blizko siebie szczególniej za pierwszej mojej młodości; było to przeważające między memi koleżankami z pensyi usposobienie). Między wielu innymi, co się chcieli pięknej kuzynce podobać, był jeden tro-

chę dumniejszy od drugich—obraził się, że go po dwóch miesiącach uprzejmości z łaski wypuściła. Na upokorzenie ładnej zwrócił się do rozumnej; rozumna bardzo jasno widziała, co się święci, nawet swobodne o tem listy pisywała do brata, a jednak coraz więcej oplątywać się zaczęła w te sieci, które zpoczątku pomagała własną ręką, niby dla żartu, zastawiać na siebie — i zwolna, zwolna, obustronnie, mniemana zemsta, prosta próba, w coś głębszego przechodzi. Zemsta zaciekawieniem się staje — zaciekawienie unoszącą wrażliwością. Są chwile, są drobne życia okoliczności, w których ciągle wiedząca o sobie nietylko że nie kocha, że nie jest prawdziwie kochaną, a jednak czuje, że grunt zpod niej się usuwa, że pociąg jest silniejszy od władzy odepchnięcia.

Piękna kuzynka, rozdrażniona trochę zbyt jawnem i zbyt długiem odstępstwem swego niewolnika, uważa to za honorowe wyzwanie — pojedynek dwóch próżności. Zaczyna jej się powodzić—dla piszącej niebezpieczeństwo stanęło już na punkcie cierpienia. Gniewa się na siebie, ale cierpi. Brat z jej listu domyśla się ciężkiego jakiegoś doświadczenia, które siostra przebywa. Zjeżdża na miejsce, ale nie może położenia rzeczy zrozumieć, widzi tylko młodego człowieka, który w jego przekonaniu nie, wart siostry w rękę pocałować. Typ najzwyczajniejszego z obywatelskich synów, uświetniony tylko kilkoma podróżami za granicę i biegłą francuzczyzną — a jednak fortunny młodzieniec zdaje się, że obie głowy kobiece zawrócił: i pustą i pełniejszą. Dowcipne żarty chłodną wodą oblewają przyzwyczajone do myślenia czoło; przy sercu, które jej godność czuje, sama w sobie szlachetną dumę rozbudza — upokarza ją ta rola współwalczącej; nawet gdy w chwili większego oburzenia na zalotność k o r z y s t n e j partyi, młody człowiek n i e k o r z y s t n e j się oświadcza, z sarkazmem odrzuca ofiarę, a im więcej wbrew swej woli wzruszoną się czuje, tem gwałtowniej szydzi i poniewiera oświadczeniem.

Miałam wielką pokusę dać bratu rolę prawdziwego opiekuna i obrońcy, dlatego że mój brat był zawsze wsparciem mojem, ale z doświadczenia przekonałam się, iż to u nas do wyjątków należy. Większość, jeśli nie wszystkość braci, których znałam — mówię nawet o kochających swoję rodzinę — zawsze częściej bywała praktycznie ratowaną przez siostry, niż coby sióstr ratunkiem być była powinna. Składały się na to okoliczności polityczne i dziedziczny charakter narodu, w którym żeński pierwiastek jest wyżej udoskonalony w rodzaju swoim od pierwiastku męzkiego w swoim znów rodzaju. Lepiej zatem ogólniejszych i powszechniejszych trzymać się pierwowzorów. Brat kocha, brat pomaga, ale więcej pośrednio, niż bezpośrednio. Siostra się krzepi uczuciem, które ma dla brata, rozsądniej patrzy w siebie dlatego, że brat jest obok niej, lecz nie dostaje od niego nowego jakiegoś zasiłku, ani zbawczego słowa; ich usposobienia są różne, lecz są zupełnie pod równą miarę dociągnięte — nie jest wyższy, ani lepszy. Bratuby się zdawało bardzo zajmującą na upokorzenie

syna obywatelskiego kombinacyą, gdyby sam się w tym właśnie czasie o kuzynkę oświadczył, tylko majątkowe względy na przeszkodzie stają; ona zabogata, on tak wszystko stracił, że musi nanowo, jakby świeżo ze szkół wyszły, karyerę swoję rozpoczynać. Nie ma innej przed sobą, tylko gospodarkę. Rozbijają się między rodzeństwem tysiączne plany wspólnego życia i wspólnej pracy. Siostrze kamieniem cięży obecność syna obywatelskiego; duszno jej w atmosferze ciotki apatycznej i kuzynki czczej, jak wspomnienie karnawałowe w dzień popielca; żal jej trochę wuja skeptyka, coraz więcej się ku niej przechylającego, ale potrzebuje zmiany. Zmiany, czego innego! czego innego! woła, jak Ryszard III-ci w Szekspirze: konia! konia! wołający. Nakoniec zatrzymuje się przy jednym planie. Prosi wuja, aby kilkotysięczny kapitał jej bratu oddał; wezmą nową dzierżawę, będzie przy bracie mieszkała, dopilnuje go lepiej i ustrzeże od pokus towarzyskich, on sam zaś pewnie gorliwiej dla niej, niż dla siebie pracować będzie. Wuj nie chce na to zezwolić; długie domowe niesnaski i kwasy, aż w tem ciotka umiera, z nią razem pęka obrączka w skupieniu te wszystkie figury trzymająca. Wuj nie jest wujem rodzonym, synowica jego stanowczo za mąż się wybiera, więc trzeba dom obcy opuścić; żaden inny nie jest dla piszącej otworem, tylko ten jeden być może, który brat dla niej zmuruje.

W nowych warunkach nowe życie: praca i trochę niedostatku — a jednak wielka doza szczęścia: epoka razem czytanych książek, tworzonych i zbijanych teoryj. Kobieta entuzyazmuje się do stoicyzmu; wspomnienia przebytego szaleństwa i doznanych wrażeń wstydzą ją ciągle — chce im dalszym ciągiem całego życia zaprzeczyć. Miłość jest przejściem fizyologicznem: oszukuje nieprzygotowane na jej symptomata umysły — wobec rozumu jest tylko romansem, wobec uczucia pomyłką. Artystyczne instynkta brata zawsze w rozmowie z opozycyą przeciw temu i przeciw wszelkim innym stoicyzmom występują, ale w praktyce życia jego miększa wola zawsze wpływowi siostry ulega. Przez pierwsze dwa lata obojgu jest dobrze. Młody jeden kolega brata, profesor z sąsiedniego miasta obwodowego, często bywając w domu, zajmuje się rozumną siostrą, ale jej serce tak pełne, jej czas tak rozporządzony, jej swoboda tak wygodna, że nie chce zrozumieć nieśmiałych półsłówek. Kiedy nawet brat się wstawia trochę, jest na niego obrażona. „Więc jej nie potrzebuje?“—Później wuj stęskniony przyjeżdża, ma lat 50 przeszło, ale przecież ludzie i w 50-u latach się żenią nawet z młodszemi, niż dwudziestokilkoletnie, pannami. Gdyby chciała przyjąć jego nazwisko, dom, zapis stutysięczny—mogłaby zająć w świecie odpowiednie zdolnościom swoim miejsce. Brat nie śmie się już odzywać, żal mu siostry; nie wie czy jej będzie mógł całą przyszłość zabezpieczyć. Siostra potrzebuje się z sobą porachować — rachunek odbywa sumienny. Wiele, bardzo wiele względów przemawia za wujem, tylko przeciw wujowi jest usposobienie zadowolone obecnością i tajemna niepewność. Może niema miłości, ale jest niezawodnie namiętność.

Gdyby we mnie ten piorun uderzył, jak będę żoną starszego i trochę dziwaczejącego już męża! I stało się — odmówiła bogatemu wujowi, a ubogi profesor znowu nadzieją rozpłonął. W trzecim roku gospodarstwo idzie coraz lepiej — brat na całą okolicę zyskuje coraz więcej powodzenia. Piękny, dowcipny, oczytany — przeczytał więcej książek sam na siebie, niż wszyscy sąsiedzi w pięciomilowym promieniu; jest przedmiotem mnóstwa grzeczności, celem wielu spojrzeń, przyczyną niejednego westchnienia. Zpoczątku opancerzony uczuciem braterskiej miłości i uznanych przez siebie braterskich obowiązków, zdrowo unikał pocisków, ale młoda, śliczna dziewczyna tryumfuje nad artystycznem sercem. Dla siostry niespodziewane słowo pierwszego zwierzenia jest odurzającem, jak spadek z wysokiej góry. Czuje boleść nową, nieznaną, boleść zawodu i ruiny — nazywa ją sobie egoizmem, przełamuje w uciechę, w nadzieję, w świetne o szczęściu brata projekta. Zapoznaje się bliżej z wybraną, lub raczej ze spotkaną czarodziejką; piękna bardzo—tylko piękna bardzo. Brat niegdyś mógł ją z niewłaściwej skłonności wyleczyć — ona nie może brata przed niedobranym związkiem zasłonić. Najpierwej jest w sobie rozdwojona — ciągle się o złą wolę i uprzedzenie posądza, wzrok przed oczywistością zamyka. Kiedy scena rozkapryszenia jakiegoś dowiodła jej nakoniec całej ujemności szlachetnych pierwiastków w naturze pięknego dziewczęcia, zdobywa się na energią i odradza bratu, aby się nie oświadczył, aby lepiej poznał charakter tej, którą żoną chce nazwać. Brat z rozczuleniem zapewnia siostrę, że choćby się ze sto razy piękniejszą i bardziej kochaną ożenił kobietą, to jego przywiązanie do siostry nigdy się nie zmieni. On wie, że jej wszystko winien, że ona jest panią wszystkiego — że gotów czekać, póki sama wyboru nie zrobi i przyszłości swej nie ustali i t. p. Takie słowa nazawsze jej usta zamykają — stara się nawet przyśpieszyć ślub brata; niech nie c z e k a, aż mnie się pozbędzie — i brat się żeni. Ona z nim jeszcze — ale już sama możeby się oddaliła, lecz spostrzega, że jest potrzebniejszą bardziej niż pierwej swemu bratu. Rozdrażniony wymaganiami młodej pani, przed siostrą się skarży — smutny jej obojętnością, przy siostrze pociechę znajduje, a co najwięcej znaczy, zakłopotany, napracowany za powszednim chlebem, od siostry dostaje zawsze kawałek świątecznego chleba. Są dalsi sobie ufnością, są rozdzieleni interesami niejako, trzecia osoba stanęła między nimi — ale ich stosunek zaciska się jeszcze silniej na wszystkich punktach, poza wpływem bratowej leżących. Tymczasem jednak serce kobiece czuje, że straciło najcenniejszy swój klejnot: wyłączne drugiego serca ukochanie. Brak miłości prawa miłości tłumaczy. Gdyby kochać i być kochaną! Kochać! ma już gotową teoryą — kochać tak jak kocha brata, więcej o namiętność — być kochaną tak jak brat kocha żonę, więcej o własną zasługę. Profesor jest zacnym młodzieńcem, ale przyjaźnią nawet nie kocha go tyle jak brata, a namiętnością wcale nie. Analiza całej siatki pokrzyżowanych włókienek—z profesorem zbliżają wspólne obawy, strata wspólnych

dobrych znajomych, jego własne chwilowe niebezpieczeństwo. Ale nie godzi się jedności, choćby najświętszych opinij, brać za miłość; miłości zasadowe, polityczne, socyalne — to równoległa serya innym światowym karykaturom miłości eleganckich, tytułowych, krociowo-tysiącznych i t. d. Okoliczności nieprzewidziane stawiają obok niej człowieka, który odpowiada, o ile ona sądzić może, wszystkim wymaganiom jej umysłu i sumienia. „Nie kocham go, bo w nim żadnej wady nie widzę — to jest entuzyazm. Biada, kto się na entuzyazmie oszuka i za miłość go weźmie.“ Dostrzega wad niektórych w arcydziele; przekonywa się, że nie kochała, bo się odwraca ze wstrętem i t. d., i t. d. — aż brat umiera na tyfus i poleca opiece siostry bratową, z którą się nigdy nie zgodzą, i syna, którym jej się zająć nie dadzą. Moralne zobowiązanie bez kodeksowego prawa.

ROZKŁAD SZCZEGÓŁÓW.

Część 1-a. Lata dziecinne i pensyonarskie.

Część 2-ga. Lata wstępnej młodości. Pobyt w domu ciotki.

Część 3-a. Lata młodości prawdziwej. Gospodarstwo do współki z bratem.

Część 4-ta. Lata młodości ulatującej, od ożenienia się brata, do jego śmierci.

W latach dojrzałych zebrane o całej przeszłości sądy, obliczenie strat i nabytków.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Wspomnienia rodzinne — rady moje.

Niektóre powieściopisarki angielskie zaczynają historyą swoich bohaterów od historyi kilku nieraz wstępnych generacyj; w utworach sztuki jest-to rzeczą trochę zbyteczną, ale w rzeczywistych, lub przynajmniej o ile być może zbliżonych do rzeczywistości autobiografiach, takie sprawozdanie genealogiczne jest nawet obowiązkiem. Coraz więcej zaczyna się gruntować i upowszechniać to przekonanie, że człowiek w oderwanej osobistości swojej nigdy nie może być sprawiedliwie osądzonym, ani dokładnie pojętym. Kto go rozłączy z obejmującemi go zewsząd i zachodzącemi w wewnętrzność jego okolicznościami, to jest kto w nim pod uwagę nie weźmie warunków czasu i przestrzeni, zdarzeń które poprzedzały, przygotowywały i otoczyły jego urodzenie, miejsca, klimatu, praw, religii, obyczajów wśród których

życie swoje pędził — kto tego wszystkiego nie uwzględni i w regestr jego rachunków nie wciągnie, ten zawsze w oznaczeniu sumy ogólnej pobłądzi. Wyroki moralności i artykuły kodeksowe dlatego dzisiaj przebywają tak rewolucyjną erę, że się głównie obracają na uznaniu wolnej woli człowieka. Tymczasem wolna wola jest najczystszym, zaiste, i najwznioślejszym pierwiastkiem każdej osobistości, lecz nie jest pierwiastkiem jedynym, bo i osobistość nie jest nigdy jednostką prostą — podobno mówią w filozofii: monadą — tylko jest całością złożoną, jest kombinacyą, do której przeszłość rodziców, wpływy świata zewnętrznego wchodzą i przedstawiają konieczność, a zdolność tworzenia, zmieniania i wyboru przedstawia wolną wolę. Nauka po obecną chwilę ogólne ledwie zasady tej kombinacyi rozpoznała — bliższych jej trybów działania śledzić dopiero zaczyna. Że klimat krajowy jest w związku z charakterem narodowym, że zdrowie i skłonności rodziców są w związku ze zdrowiem i usposobieniem ich dzieci — to są już fizyologiczne pewniki; ale jaka być może rozciągłość tych wpływów? w jakich kierunkach, w jakich okolicznościach słabiej lub mocniej, wyraźniej lub tajemniej działają? jakie przechodzą metamorfozy na różnych stopniach swego rozwoju? a cóż dopiero mówić, jakiem się prawem w jednostkach rządzą? — to stanowi ogromną masę niewiadomych X X X. Na te iksy niema innego sposobu, tylko cierpliwość i uwaga. Nie od dzisiaj próbowano różnych w tym względzie teoryj. Były religie, mistyczne filozofie, poetyczne hypotezy, które się o rozjaśnienie tych ciemnic kusiły. Wymyślono metampsychozę, odradzanie się jednostek w ludzkości, astrologią czarnych i białych duchów; ś-ty Paweł poprostu pytać się zakazał, czemu są naczynia łaski i naczynia gniewu Bożego; Turcy uznali fatalizm — ale dowiedzionego naukowego pewnika, o ile wiem, nie było i niema jeszcze. Zdaje się, że ta część antropologii równolegle z meteorologią postępuje. W tej ostatniej ludzie już wiedzą, według jakich praw natury deszcz pada i wiatr wieje — gdzie zaś padać musi i wiać będzie, w jakiej ilości, z jaką siłą? tego nawet pan Mathieu de la Drôme nie umiał powiedzieć, chociaż sumiennie nad odkryciem, a raczej nad szczegółowem zastosowaniem ogólnej ustawy powietrznej pracował. Pomimo jego omyłek, uczeni jednak meteorom za wygraną nie dali; na różnych punktach globu urządzono obserwatorya, zapewniono sobie korespondentów, sprawozdawców, aby dzień po dniu, godzina go godzinie notowali proste spostrzeżenia i fakta. Wszyscy mają to przekonanie, że gdy się dużo, bardzo dużo spostrzeżeń i faktów nazbiera, gdy i punktów obserwacyjnych przybędzie, prędzej lub później, ale znajdzie się niezawodnie geniusz bystry i przenikliwy, który z owego piasku drobnostek wyciągnie na jaw tajemnicę natury, zasadę, porządek, konstytucyą jej dziwactw pozornych. Tak i co do rozmaitości ludzkich usposobień; wielu rozumnych przyszło do tego wniosku, że trzeba pierwej korcami piasku fakcików nawozić, nim sąd o złych i dobrych na słuszności, a orzeczenie zła i dobra na

prawdzie oprzeć zdołamy. Nie idzie za tem, byśmy fałszami samemi żyli — znamy prawd bardzo wiele, tyle przynajmniej, ile nam dzisiaj potrzeba — ale nie znamy nitek i żyłek, które je między sobą łączą, więc najczęściej, gdy nam się zdaje, że jedna z drugą nie pasuje, wolność z koniecznością n. p., lub odpowiedzialność moralna z wrodzonemi skłonnościami — to zaraz obcinamy tę, która naszej teoryjce nie odpowiada, i ztąd kalectwa mnogie. Pełno takich grzechów ja sama mam na sumieniu, pomimo wielkiej dobrej wiary i do zuchwalstwa posuniętej odwagi przypuszczeń, rozpoznań i t. p. Każda z nich ma wartość jednogodzinnego conajmniej sprawozdania w meteorologii, a rozszerzona w dopełniające ją rodzinnej przeszłości szczegóły, ma wartość dwóch godzin. Sięgać więc śmiało aż do dziadów i babek — dla kobiety żyjącej dzisiaj, w moim, dajmy na to, lub sióstr moich wieku, dziadkowie i babki przypadną na koniec XVIII-go wieku, rodzice i stryjowie dorośli na początek obecnie bieżącego, młodość osobista już się zacznie przed 30-m rokiem historycznym, ale już po 30-m rozwinie; nie potrzeba spisywać chronologii; lecz in petto koniecznie o niej pamiętać trzeba. Na nieszczęście między dojrzałemi i dorastającemi w tej chwili generacyami, wszystkim brakuje tradycyi, osobistej, rodzinnej tradycyi — nitki się porwały śmiercią lub apatyą, całe tłumy sierot musiały się bez ojców i matek chować — od stu lat (za dwa lata) jedna warstwa po drugiej załamywała się i tylko pamięć ogólnej katastrofy można było przechować. Szczegóły ginęły, na inne znów warstwy lodowy występował smutek — nie lubili mówić o tem co przeboleli, czemu się bezskutecznie poświęcili, lub przeciw czemu ciężkie były ich grzechy — wreszcie ze smutku wyrodziła się apatya. Nie znam ojców, którzyby w gronie swych dziatek cały ciąg życia swego opowiedzieli kiedy — jeśli przypadkiem jakie zdarzenie, to już wielka łaska. Matki częściej mają powód zatajać, niż przekazywać dzieje swoje domowe, przez szlachetną pychę serca lub upowszechnione o godności rodzicielskiej wyobrażenie. To też dzieci bardzo mało o rodzinie wiedzą i najczęściej nie wiedzą tego, co jest najważniejsze do wiedzenia. Wywinąć się można z trudności zapomocą kilku portretów—dawniej się z wielką, jak widać, łatwością portretowano. Miernej fortuny dziedzice miewali w jadalnych salach porozwieszane obrazy wielu swoich antenatów (musieli być wędrowni malarze na skuszenie domatorów). Przy rozwalaniu starych dworów, przy częstszej zmianie miejsca— wśród wojen i ruiną padających majątków — gdzieniegdzie tylko przypadkiem zostało się kilka ram drewnianych, płótnem portretu ociągniętych; z takich ram odmalować należy, tylko wiernie, babkę i dziadka, z Lawaterowską uwagą na rysy, z kompleksyi, z tuszy, z kolorytu fizyologiczne wyprowadzając wnioski. Niech to będą rodzice licznego gniazda dorodnych synów i dwóch pięknych córek.

Synowie się rozsieli w Napoleońskich wojnach od Madrytu do Możajska... z córkami już wskazałam, co zrobić. Odmalują

matkę — niech to już będzie z miniatury — w czasach ostatnich Cesarstwa i pierwszej Restauracyi dominowały miniatury i sylwetki — odmalują, tylko z najdelikatniejszem odcieniowaniem, młodego oficera, którego ogień Lipska i Waterloo oszczędził, a który ginie samobójcą w Saskim ogrodzie — nie potrzeba wspominać dlaczego. Ci co znają Słowackiego, zrozumieją — ja tylko obrałam typ niby wyjątkowy, lecz właśnie bliżej zachodzący w rzeczywistość naszę. „Nie zabijali się Polacy starzy“ — woła Dantyszek, lecz późniejsi musieli się zabijać — i my i po nas idące dzieci, to wszystko sieroty samobójców... ale nie samobójców z rozpaczy, tylko z oburzenia, i dlatego w nas takie usposobienie „melancholiczne,“ jak się wyraża Słowacki, a takie niespokojne zarazem — badawcze bez ostatecznego wniosku w kobietach, przedsiębiercze bez wytrwania w mężczyznach, i dlatego pełno w nas dobrych i niedobrych rzeczy.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Pierwsze wspomnienia moje własne.

Zebrać pełno szczegółów, które mogły utkwić w pamięci dziecka, tylko żeby nie przeholować nadzwyczajnością—pożyczyć u siebie i od drugich sobie przywłaszczyć mamy prawo. Czy to będzie jakaś chwila, w której dziewczynka matkę w jakiejś sukni przez pokój idącą widziała, czy wrażenie świetnych w salonie, w ogrodzie, lub ubiorze czyim kolorów, a szczególniej drobne zdarzenia, w których już braciszek się uprzytomniał. Może być pierwsze sprzeczką nawet, drażnieniem z jego strony — ale matki tak cudownie godzić umieją.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Pobyt u ciotki.

Historya wychowywanej na łasce — niekochanej ale też i nieprześladowanej sieroty; tu przypada zawiązek późniejszych z kuzynką bogatą stosunków.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Pensya.

Wspomnienia o pani Wilczyńskiej i o jej zakładzie; pensyonarskie życie zupełnie myśl na zewnątrz wyciąga, ledwo upartsze natury się w medytacyi ostają; głównie się rozwija ostra, choć bez złej woli, okrutna, można powiedzieć, szyderczość. Młode dziewczęta w gromadce zawsze będą złośliwe i zawsze do wyśmiania choćby anioła z nieba pohopne. Tu się kończy dzieciństwo; trzeba napomknąć, że brat w rewolucyą poszedł do wojska, a siostra już była dość rozwiniętą, by się tem cieszyć i niepokoić.

CZĘŚĆ DRUGA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Świat.

Znów obrazek domu ciotki przyjmującej już gości, żeby kuzynkę po stracie narzeczonego pocieszyć, a kuzynka łatwa do pocieszenia; — jej zalotnostki z bratem, książki spotykane, bo to była epoka prawdziwej posuchy literackiej, aż do 40-go roku istna pustynia Sahara. Można wspomnieć o pierwszem wrażeniu, kiedy rodzeństwo spotkało Kraszewskiego trochę dowcipniej napisaną „Książeczkę do zapalania fajek.“ Bratu się podoba rozdział o ludziach-osłach, ludziach-cielętach, ludziach-wołach, małpach i t. p.; siostra, widząc upodobanie, pisze ornitologią kobiecą o kobietach-czeczotkach, gołębiach, kuropatwach, orlicach. (Nawet może to posłużyć dalej, bo ztąd wysnuje się forma żartów, gdy się przyjdzie bratu z magnetycznym pociągiem syna obywatelskiego ścierać.)

ROZDZIAŁ DRUGI.

Pierwsza pochwała.

Dramacik właśnie syna obywatelskiego — jakie robi na kobiecie niełądnej, która już siebie odsądziła od wszelkich praw podobania, bo ma własne estetyczne o tem pojęcia i wyobrażenia — jakie wrażenie czyni pierwsza grzeczność, pierwszy dowód zajęcia się, pierwsze uczynione wrażenie. To wszystko trzeba scenami, gestami, rozmowami, zdarzeniami uwydatnić, a medytacyami poprzeplatać tylko, że zaś gdy przyjdzie na kobietę chwila, w której zaczyna być ładniejszą, choćby brzydką była, wszystko wkoło niej jaśnieje — więc i stosunek rodzinny odwraca się ku jaśniejszym stronom. Szczegóły różne o wuju wolterzyście, rozmowy, sprzeczki, wpływy.

ROZDZIAŁ TRZECI.

W co się żart obraca.

Obejmuję historyą od chwili, w której się brat listem o panu młodym obywatelu zaniepokoił, aż do chwili, w której siostra konkurenta pięknej kuzynki odrzuca.

ROZDIZAŁ CZWARTY.

Dalej, dalej, gdzieindziej!

Potrzeba zmiany miejsca; szczegóły o niepomyślnem gospodarstwie brata; wycieniowany aż do właściwej subtelności stosunek brata z siostrą; opozycya przeciw ich wspólnemu zamieszkaniu powagą wszelkich względów światowych wsparta. Śmierć ciotki wszystko rozwiązuje.

CZĘŚĆ TRZECIA.

ROZDZIAŁ PIERWSZY.

Razem z bratem.

Ideały w praktykę oprawne; czasem brak książek nowych do czytania; brak sukienki na wieczorek w sąsiedztwie; — stosunek ze służącymi; kłopoty spiżarniowe — a jednak wszystko lekkie, miłe; brat wszystko umie cenić, jako dowód przywiązania — mężowie zwykle jako dopełnienia obowiązków wymagają. Ach! gospodarowałam z bratem jednym, i drugim i trzecim — każdy inny, a każdy jednak taki w powszednich drobnostkach ugrzeczniony, jak starający się kawaler. Robienie kawy i herbaty, przyrządzanie obiadu zamieniało się w jakąś uroczystość i fetę sercową — podanie krzesła przyjmowano jak łaskę z mojej strony. Och! nikt tak nie rozpieści, nikt taką królewską pańskością głowy nie nabije, jak kochający bracia, to też można rozfantazyować się i aż do nadzwyczajności sięgnąć; w sumieniu mojem uznaję wszystko z góry możliwem i zwyczajnem, tylko pamiętać trzeba, że takie idealne życie nie opiera się bynajmniej na idealnych osobistościach — dwie bardzo pospolite mogą się na nie złożyć, nawet podnieść to spostrzeżenie należy.

ROZDZIAŁ DRUGI.

Pan profesor i panna uczennica.

Względem pana profesora najmniej wskazówek udzielić mogę — nie miałam sposobności rozpatrzeć się w autentycznych zakochiwających się milcząco profesorach, ale muszą być tacy i pewnie żywe studyum pod pióro się znajdzie. Panną uczennicą niech będzie owa młoda dziewczynka, która ma bratu głowę zawrócić. A może bratby jej uczył czego? konno jeździć — tylko trzeba epizodami odświeżyć tę trochę zużytą w powieściach sytuacyą. Mogłaby też uczyć i siostra jakiegoś szlaczka na drutach — ad.libitum.

ROZDZIAŁ TRZECI.

Czy iść za mąż bez miłości?

Oświadczyny ex-wuja; analiza własnych usposobień; kilka wątpliwości względem profesora.

ROZDZIAŁ CZWARTY.

Niedosyć to jeszcze z miłości się ożenić.

Brat się żeni — kochany, a jednak niebardzo szczęśliwszy, rozkochany, a jednak niebardzo przez to lepszy. Parę obrazków z gestami i słowami — faits et gestes de Madame. Rozmyślania i teorye zastosowywane do własnego życia de Mademoiselle i jako wyżej.

W ZAKOŃCZENIU.

Związać snopek wszystkich niepewności, żądań, a może podszepną ostatnie słowo — dużo słomy trzeba spalić, nim się piec rozgrzeje.

CZY TO POWIEŚĆ?

Kilka listów zamiast wstępu.

Sieniuchy, 4 lipca 1862 roku.

„Czy pamiętasz N., że miałaś niegdyś koleżankę Leonę Hołosko? *) Nie, nie pamiętasz—a więc muszę ci o niej przypomnieć. Przez rok blizko siedziała razem z Tobą w drugiej klasie u pani Wilczyńskiej. na Sto-Jerskiej ulicy — nie mogę powiedzieć że siedziała na tej samej ławce. choćby to dzisiaj trochę czulej wyglądało; owszem, siedziała na ławce przeciwnej, pomiędzy *fałszywą blondynką* i *brudną koronką*, ale przynajmniej wprost Ciebie, oko w oko. — Ty miałaś nierównie lepsze sąsiedztwo, ze swojej siostry i z Józi R. Takie rozpołożenie stanowisk było raz nawet powodem sławnej przygody z wywróconym kałamarzem. Upamiętniłaś ją wtedy poematem heroi-komicznym— pierwszym, jeżeli się nie mylę, wierszem, jaki zpod twego wyszedł pióra;—później wzwyż wzmiankowana Leona H., trochę starsza od Ciebie (podziwiaj wspaniałomyślność tak szczerze przyznawającej się dziś do tego), prześcignęła Cię w promocyi do klasy trzeciej; znowu jednak połączyłyście się w pierwszym od-

*) W dalszym ciągu pisząca list niniejszy zmieniła trochę takim kształtem rodzinne swoje nazwisko, zmieniła też i nazwiska bliższy stosunek mających z nią osób; starała się jednak zachować właściwe im zakończenia, właściwą pisownię i wszystko, co według jej zdania prawdziwy charater nazwisk wszelkich stanowi.

dziale instytutu guwernantek, i szłyście już ciągle razem aż do chwili, w której Leona z patentem w ręku dziedzińcową kratę pałacu Kernerowej **) przestąpiła — od dnia tego świat was stanowczo rozdzielił. Po kilku latach wprawdzie spotkałyście się raz jeszcze wśród ludzi, nie przypuszczam jednak, abyś to spotkanie odnalazła w pamięci, choćbym Ci ku pomocy najważniejsze przytoczyła szczegóły, na przykład: że to było u państwa Jańskich na wieczorku tańcującym, że miałaś białą suknię z ponsową szarfą i korale na szyi, a Leona czarną gaze-irys i granaty we włosach. Według wszelkiego prawdopodobieństwa, ten wieczorek, choć dosyć świetny, niczem dla ciebie się nie wyróżnił od innych wieczorków, na których kiedykolwiek tańczyć Ci się zdarzyło; w życiu zaś Leony był on ważnym z tej epoki zdarzeniem i dlatego dokładne, niemal drobiazgowe przechowała o nim wspomnienia. — Udziału w owych wspomnieniach nie spodziewa się, ani nie wymaga od Ciebie; w dawniejszych jedynie, w błogosławionych, w dziecinnych trochę nadziei pokłada. Czy się myli? Szczerze i bez ogródki odpowiesz. Jeżeli zupełnie, ale to co się zowie zupełnie na przepadłe zapomniałaś już mnie, Leonę H., wcale się tem nie obrażę i nie rozkwilę nawet. Stosunek nasz, lubo dosyć przyjazny onego czasu, nigdy na wyłączną przyjaźń jakoś nie zakroił. Ani razu nie wymieniłyśmy między sobą dozgonnej wierności obietnic, nie podarowałyśmy sobie wyciętych z warkocza włosów; co więcej, zdaje mi się, że nigdy jedna drugiej nie zapisała się w sztambuchu.. Brak też pamięci w nikim dziwić mnie nie powinien — zapominanie jest dziś ogólną starych i młodych chorobą. Dawniej sądziłam, że wypadków i znajomych z przeszłości zapomina się tylko przez obojętność, próżność, lekcewa-

---

**) Na Miodowej ulicy, późniejszy pałac arcybiskupów warszawskich, którym go właścicielka ówczesna pani Kernerowa zapisała.

żenie, lub własną wolę; dziś widzę, że się ich zapomina najniewinniej w świecie, według tego samego procesu, jak się zapomina choćby najpilniej wyuczonych niegdyś nazwisk geograficznych, choćby najstaranniej notowanych dat z chronologii i t. p. Alboż ja nie wiem z własnego doświadczenia, ile to życia — które przecie nie lekkim puszkiem wypełniłam, ale też nie płynnym w filgranowy zbiorniksą czyłam nektarem — ile życia bezpowrotnie mi się czy w powietrze rozwiało, czy jak woda przez sito przeciekło, dość że zginęło bez śladu. Szukam czasem, tęsknię, żałuję, lecz odnaleść nie mogę. Imiona własne i ludzkie oblicza, wrażenia i zdarzenia, smutki i radości, wszystko to niby w ziemię wsiąknęło — może na wygodniejsze podścielisko grobowe. Bardzo też, o! bardzo jestem dla wszelkiego rodzaju zapomnienia wyrozumiałą. Wierz mi N., możesz się nie żenować i prawdy najgorżkszej (tak świętej pamięci Samuel Linde raz na egzaminie stopniować nam kazał) najgorżkszej mówię nie potrzebujesz w bawełnę obwijać. Zapomniałaś? ha, trudno.— Gdyby nie twoje autorstwo, może dotychczas byłabym i ja także zapomniała o Tobie; lecz jeżeli nie zapomniałaś, to Cię proszę, oblicz się z sumieniem i równie szczerze i bez ogródki napisz, czy byłabyś gotowa bardzo wielką wyświadczyć mi przysługę? Nie idzie tu o pożyczenie pieniędzy, broń Boże! nie idzie o poświęcenie, któreby w czemkolwiek życie zdrowie, spokojność, dobrą sławę lub majątek twój narazić mogło — idzie tylko o dobrą radę — zresztą później się o tem rozmówimy, pierwej przecież dowiedzieć się trzeba, czy sobie przypominasz

Leonę Hołosko.

P. S. Odpowiedź twoja dojdzie mię pod adresem pani Morgulec przez Olgopol w Sieniuchach, gubernia podolska.“

Odpowiedź.

Nie — wcale sobie Leony Hołosko nie przypominam — a to z tej prostej przyczyny, że wciągu wszystkich — już mi się liczyć nie chce ilu — lat rozstania, nigdy nie zapomniałam naszej poczciwej, dowcipnej *Ony*. W młodości, co prawda, było to obecne tylko, niby inwentarzowe, lecz mało używane i rzadko przywoływane wspomnienie, na każdą chwilę gotowe do wydostania i jak kosztowny pierścionek, nieczęsto na palec wkładany, ale z dziedzicznemi klejnotami w pięknej szkątułce bezpiecznie zamknięty. Nabywało się tymczasem nowe klejnoty i błyskotki, płaciło sercem, szczęściem, dłuższemi lub krótszemi życia kawałkami, czasem się człowiek oszukał, czasem znów podarowano mu coś bardzo drogiego, zwykle jednak, przez wszystkie dni powszednie smutku i radości, pracował, żeby sobie kupić pewien stukaratowy dyament najprzeczystszej wody, aż przyszła chwila, w której trzeba było się przekonać, że dyamentu nie kupi już nigdy, nigdy w życiu swojem, że nie kupi nawet żadnej nowej a trwałej pamiątki, bo mu funduszu na opędzenie pierwszych potrzeb życia brakuje. Po takiej-to chwili, każdy co ją przetrwał, zaczyna coraz częściej do dawnych zbiorów zaglądać. Rzeczy co na samym spodzie leżą, mniej używane, mniej wystawione na chemiczne działanie powietrza i słońca, okazują się daleko świeższemi od później zapakowanych, z czego wynika, że w naszym wieku lepiej się dziecinne lata pamiętają, niż dzień co wczoraj przeminął — z większą radością spotyka się szkolną koleżankę, niż przed miesiącem przedstawioną sobie choćby najsympatyczniejszą znajomość. Przypuszczam — jak widzisz ostrożną jestem — przypuszczam że odmienne warunki życia ze mnie i z koleżanki mojej dwa zupełnie do siebie nieprzystające dziwolągi wyszlifowały, może więc nie być między nami wspólnej przyszłości, ale chyba już wspólna przeszłość jakaś osadziła się kamyczkiem

wmozajce naszych dziejów, i musi tam zostać, póki mozajka sama w proch się nie rokruszy.

Cóż powiesz na to, droga Ono, że z tak wielkiej odległości czasu i miejsca zbiegły się nasze duchy we wzajemnem wspomnieniu? Kto wie czy tegoż dnia właśnie, a przynajmniej wątpić nie mogę, że w tymże samym tygodniu, kiedy ty do mnie pisałaś, mnie tu o Tobie mówić raz wypadło, i dziwna rzecz, opowiadałam najdrobniejsze szczegóły zdarzenia, o którem sama w liście swoim wzmiankujesz; wiesz co?—chciałabym wyzwać cię na rękę, czy je z równą pamiętasz dokładnością? Wyznaj szczerze, wszak zapomniałaś którego dnia w tygodniu stała się ta *sławna awantura*, a ja wiem, ja nie zapomniałam: było to w piątek; najniezawodniej w piątek, bo upamiętniło mi się to, że przez cały ranek szukałam ochotniczki, którąby za ciastko z obiadu podjęła się śpiesznie wykończyć nieszczęśliwe moje przepisywanie francuskiego tłumaczenia do pani Wilczyńskiej. Niestety! ani piórem, ani ołówkiem, ani pędzlem biegle nie władałam i wszelkie przepisywania na czysto zalegały u mnie po całych tygodniach i miesiącach. Otóż ciastka dawano nam tylko w dni postne, na ostatnią potrawę; pani Wilczyńska zaś nie mogła tłumaczyć z nami w sobotę, gdyż to był dzień rekreacyi, porządków, szycia, naprawek różnych, a więc w piątek wylałaś atrament i spełniłaś czyn bohaterski. Co do przeszłości, rachunki nasze są więc w porządku, na przyszłość mogę li tylko za dobrą wolę ręczyć z pewnością. Z wyrażeń ostatnich Twego listu mam jednak trochę nadziei, że te intencye moje piekła nie wybrukują; żądasz dobrej rady, Leono: jeśli do czego, to do dobrej rady talent mieć powinnam, dlatego właśnie, że sama sobie radzić nie umiem; nieraz przecież musiałaś słyszeć o znakomitych ekonomistach, którzy się nigdy majątku dorobić nie mogli, o sławnych administratorach, którzy dziedzicznie posiadany majątek stracili, o ministrach genialnych w prowadzeniu spraw wewnętrznych państwa, a najnieszczęśliwiej załatwiających swoje własne do-

mowe sprawy. Na zasadzie tych często występujących zjawisk przypuszczam, że ja także doradczynią koronną wszystkich kobiet zakłopotanych być potrafię; weź mię na próbę, Leono, wytłumacz o co chodzi, jestem gotowa na twoje rozkazy ręką, głową i sercem, stara życzliwa koleżanka N Ż.

Objaśniająca notatka co do wylanego kałamarza.

Istotnie w piątek oczekiwałyśmy w drugiej klasię przyjścia pani Wilczyńskiej; godzina nie była stanowczo oznaczoną, tylko wiedziałyśmy, że między trzecią a czwartą lekcya się zacznie; było zaś już po trzeciej. chwila się zbliżała, za kwadrans, za dziesięć minut mogłyśmy usłyszeć szelest popielatej wełnianej sukni i czarnego jedwabnego okrycia: caluteczka klasa siedziała już w porządku, przed pilniejszemi uczennicami leżały czysto i starannie napisane zadania, mniej pilne, lub też większą masą pozaklasowych lekcyj obciążone z gorączkową niespokojnością skrzypiały po papierze najlepszemi swojemi, przez pana Hermanowskiego (nauczyciela kaligrafii) zatemperowanemi piórami. Czyśmy z Leoną do niepilnych, czy do zapracowanych należały?—nikt sam siebie nie osądzi, zdaje się wszelako, że miałam już wtedy pismowstręt, pisałam brzydko, powoli i niezręcznie; palce moje zawsze były takie sztywne, takie do niczego! naturalnie przeto i ochoty wielkiej nie było, ale trzeba przyznać. że na moje dziewięcioletnie barki trochę zawiele naładowało się ciężaru: stosy kajetów, książek i codzień lekcya muzyki, nie licząc już godziny, w której się „egzercytować“ musiałam. Leoni wszystko to szło daleko łatwiej, liczono ją do panienek mających więcej zdolności muzykalnej; pisała bardzo wprawnie i ładnie, słowem, jak pani Sand się wyraża o najidealniejszych heroinach swoich: „elle était très adroite de ses

mains.“ Czemu dnia tego wraz ze mną, na ostatnią chwilę, opóźniwszy się, pędziła z dopisaniem brakującej stronicy? nie mogę sobie tego wytłumaczyć, lecz wiem, że nagle dwa pióra nasze zanurzyły się w kałamarzu i gdyśmy je równie nagle wyciągać chciały, jej ręka, by się prędzej z sąsiedztwa mojej uwolnić, lekko — dziś jeszcze przyznaję — lekko, ale niecierpliwie moję odtrąciła. Punkt potrącenia tak fatalnie był utrafiony, że z siłą o kałamarz się odbił i na stół go wywrócił: pociekły czarne atramentu zdroje, ba! gdybyż tylko pociekły, lecz one wytrysnęły, chlusnęły co się zowie, i nietylko mój kajet podlały, lecz splamiły jeszcze otwarte już przygotowane do pokazania dwa kajety mojej siostry i Józi R. Ja w krzyk, siostra i Józia w płacz. Jakie bo też to wzory były porządku i akuratności, ta moja siostra i Józia R.! O ile sobie przypominam. nigdy chyba żaden z moich kajetów na czysto nie wyglądał tak niepokalanie. jak ich proste bruliony, rozpacz więc jednej i drugiej łatwo można sobie wyobrazić: bibuły! bibuły! wołają nieszczęśliwe, bibuły! wtóruję obłudnie. gdyż w głębi serca cieszę się, że będę miała doskonałe usprawiedliwienie na niedokończone zadanie.

— Stało się, bibuła już nie pomoże —przemawia do nas Leona, zadziwiająco spokojnym, nawet zdaje mi się, zadziwiająco uroczystym głosem; trzy pary oczu wznoszą się zdumione i w twarzy jej toną. — Dajcie pokój!—mówi dalej—ani ważcie się ruszyć papieru, niech wszystko tak zaschnie, jak się przypadkiem rozlało.

— Piękna mi rada: niech tak zaschnie i na drugą stronę przesiąknie!—protestujemy z resztką oburzenia. — Leona zachowuje równie spokojną i poważną minę.

— Alboż to — pyta niemal surowo — alboż to nie wiecie, że atrament przypadkiem wylany ma zupełnie takie znaczenie, jak wosk lub ołów topiony w wigilią Bożego Narodzenia? byle go nie poruszyć i tak jak

sam się rozpłynął dać mu zaschnąć w spokoju, to można z niego wyraźnie całą przyszłość czytać.

Ah! my wszystkie tak byłyśmy ciekawe całej naszej przyszłości! mnie jednej półsłówko lekkiego zwątpienia się wysunęło, lecz wspólniczki nieszczęścia odrazu uwierzyły, łzy im na końcu rzęs się wstrzymały i któraś tylko dopomniała się o bliższe tej cudowności objaśnienie.

— Jakim sposobem czytać można? Czemu poruszać nie trzeba?

Widzę jeszcze Leonę z jej niezachwianą powagą, jak udziela żądanych szczegółów; że też jej nawet oko wesołym żartem nie zamigotało, że ani razu warga uśmiechem nie drgnęła, zaiste dziś, więcej niż wówczas, podziwiam ten dar improwizacyjny i mimiczny, to stworzenie i wykonanie najszczęśliwiej, najdowcipniej i najskuteczniej dla uspokojenia naszego odegranej sceny. Byłoby wiele hałasu, utyskiwań; byłoby pewnie i do groźnej kłótni przyszło, lecz ona burzę zażegnała, tłumaczyła że przypadek to ręka niewidzialna, która bez naszego pozwolenia różne hece z nami wyprawia, a kiedy atramentu się dotknie, to go równie jak wszyscy ludzie do pisania używa, tylko pisze nim według starożytnych Egipcyan tajemnicy, pisze obrazami; trzeba się pilnie wpatrzeć, zastanowić, a te obrazy stawią przed okiem patrzącego najwierniejsze zwierciadło przyszłości: ze wschodu na zachód, wskazówka epok życia od urodzenia aż do śmierci — z południa na północ miara szczęścia i niedoli. Im więcej papier gdzie atramentu wypije, tem lepiej; im czarniejszy atrament, tem los jaśniejszym będzie; im dalej sięgające kleksy, tem więcej urozmaiconych wypadków kontury treść ich zapowiadają. Ona sama wprawdzie przyznała skromnie, że jeszcze nie umie bardzo biegle w tych kleksach czytać—znała jednak pustelnicę w lesie korzonkami żyjącą, która do wysokiego stopnia tę sztukę posiadała; z za granicy przysyłano papiery przypadkowo rozlanym atramentem oblane, a później przed wyschnięciem ręką ludzką nie do-

tknięte; rzadsze są takie papiery, niżby kto myślał nawet, atrament nie codzień się rozlewa przypadkiem: rozlewa się przez nieostrożność, przez niezgrabność, ale wtedy zupełnie nic nie znaczy, żadnej nie ma wartości. Trzeba koniecznie osobliwego przypadku: im nieszczęśliwszy w obecnej chwili się zdaje, tem nieomylniejszą jest wróżbą, tylko pierwszy i główny warunek, aby od żałowania się powstrzymać.

— O tem przynajmniej, moje drogie — ciągnęła z niepodobnem do odparcia naleganiem — o tem przynajmniej musiałyście słyszeć, że wszelkie żałowanie daleko większą stratę za sobą pociąga.

— Nie, o tem nigdy nie słyszałam — przerwała dobroduszna Józia.

— To mnie bardzo dziwi — z lekkiem zgorszeniem odrzekła Leona.— Chaldejscy Magowie pierwsi upowszechnili tę naukę. Jeden wojskowy, który niedawno był w Grecyi na wojnie, powiadał że tam jeszcze bardzo pilnie strzegą chaldejskich Magów przepisu. Gdy się co zepsuje, złamie, rozedrze, zwłaszcza też kiedy się szkło stłucze, nie wolno szkody żałować, tylko wszyscy pilnują się, aby coprędzej powiedzieć: „niech się na tem złe skończy.“ I złe na tem się kończy, a jeśli kto ręce łamie, jeśli zaczyna „ah“ „oh“ wołać, to mu się ciągle coś gorszego przytrafia.

— A czy wolno żałować umarłych? — zapytała ponownie Józia.

— Umarłych?...— zawahała się Leona—może po raz pierwszy stawiono jej to zagadnienie, ciekawam jakby dzisiaj je rozwiązała: na szczęście li i udoskonalenie, czy na boleść tylko i niedołęztwo żal za umarłymi nam wychodzi? to pewna że wtedy ominęła bardzo zręcznie stanowczą odpowiedź. Niecierpliwie wzruszywszy ramionami, zgromiła biedną Józię: — ja mówię o rzeczach które się tłuką, rozdzierają, łamią, a ta mi tutaj z umarłymi wyjeżdża. Pilnuj się, Józiu, żebyś nie poszła kiedy za pana Filipa z Konopi.

— Lecz co za styczność mają z atramentem te

wszystkie greckie i chaldejskie koncepta? — odezwała się moja siostra.

— Tę styczność, że im większą kto szkodę poniesie przez jego rozlanie *przypadkowe*, a im mniej się w pierwszej chwili przestraszy, tem szczęśliwsze znaki czarna plama odrysuje.

Na takie upewnienie, poczułam że mam prawo z żądaniem wystąpić.

— Ja się nic a nic nie przestraszyłam, nie tak bardzo się też i przelękłam; spojrzyj na mój kajet. Ono, jak ci się zdaje, czy te żydy dobrze wróżą?

— Dopiero wtedy sądzić będzie można, kiedy już zupełnie wyschną.

— Nim wyschną, to może i pani Wilczyńska już przyjdzie, a kajet splamiony będzie trzeba pokazać, więc się go poruszy... — smutną uwagę zrobiła moja siostra.

— To już mniej szkodzi, trzeba tylko trochę ostrożności zachować i palcami go nie dotykać.

W tej chwili jakoś spojrzenie moje ze spojrzeniem Leony się spotkało i naraz jakby mi łuski z oczu spadły, tak wyraźnie w grających wszystkiemi promyczkami źrenicach mojej szanownej koleżanki wyczytałam, że sobie z nas trzech żartuje, iż ledwo głośnym śmiechem nie wybuchłam. Natychmiast porozumiałyśmy się, jak dwaj złodzieje na jarmarku. Leona jeszcze śmielej zaczęła snuć różne koncepta przy moim akompaniamencie i nie było chwilki wolnego czasu, żeby myśl zająć bliższemi następstwami smutnej naszej przygody. Niedość na tem: coraz więcej ciekawych uszu zwracało się ku rozprawiającej Leonie, to jedna, to druga z odleglej nieco siedzących panienek opuszczała swe miejsce, a przychodziła zobaczyć, jak wyglądają czarne plamy naszej przeszłości. Zaczęło się już koło nas małe zbiegowisko tworzyć, gdy wtem na progu ukazała się pani Wilczyńska. Jedno mgnienie oka, a wraca do porządku wszystko, niestety, prócz trzech splamionych kajetów. Nie obyło się wszelako bez szmeru i pewnego rozruchu.

— Co to znaczy? Czemu panny na miejscach swoich nie czekają?—pyta ochmistrzyni.

Nam się zdało, że tak surowo, tak surowo, jak gdyby całą klasę chciała za pokutę na klęczenie w dużym pokoju skazać; a był to najwyższy stopień kary miejscowej, przewyższało go tylko zatrzymanie na pensyi w święta lub niedziele, gdy była nadzieja, że się te dni w domu, pośród rodziny spędzi. Głowy też się pochyliły, cichość padła głęboka, żadne słówko odpowiedzi nie przerwało milczenia, aż tu, o dziwo! Leona z ławki się przeciska, na środek wychodzi i przed panią Wilczyńską staje.

— Jam winna temu wszystkiemu — mówi trochę drżącym, ale wyraźnym głosem.— Przewróciłam kałamarz i atrament się rozlał na kajeta siedzących naprzeciwko panienek.

— Jakimże to sposobem się stało?

— Kończyłam przepisywać moje tłumaczenie i z pośpiechu nieostrożnie pióro umaczałam.

— Na drugi raz niech panna pamięta, że dobra uczennica powinna mieć z dnia na dzień wszystkie lekcye w wigilią już przygotowane.

I na tem się cała ta sprawa skończyła. Może komu zdawać się będzie, że nie o wielkie rzeczy w niej chodziło, lecz my współczesne najlepiej wiedziałyśmy, jaki to zadziwiający dowód cywilnej odwagi złożyła Leona. Dobrowolnie wystąpić przed panią Wilczyńską, oskarżyć się a nie usprawiedliwiać, całą odpowiedzialność na siebie przyjąć i nikogo do niej nie pociągnąć... gdyby kto wierzyć nie chciał, że to było nadzwyczaj trudnem do spełnienia dziełem, tobym go chciała tylko na jeden tydzień na pensyą do pani Wilczyńskiej oddać. Leona po tym czynie swoim ogromnie poszła wgórę w naszej opinii, a jej legendy o zasuszonych kleksach tak wielkie miały powodzenie, że i z trzeciej klasy uczennice nieraz się do niej zgłaszały, by im z tych znaków tajemniczych wróżyła. Moda wróżby trwała przez kilka miesięcy; Leona z niewyczerpaną pomysłowością prawiła o Magach

i hieroglifach egipskich, przepowiadała promocye wyższych klas, lub złe noty w dzienniku, a ja nigdy nie zdradziłam, że to wszystko było z jej strony najpocieszniejszą mistyfikacyą tylko.

Muszę tu jeszcze zrobić małą uwagę. Może się komu trochę niezwykłem wyda, że dziewięcio i dwunastoletnie dziewczęta Egiptem, Chaldeą i Grekami posiłkowały się w swoich żartach; lecz wtedy bardzo wiele historyi uczono, a druga klasa właśnie starożytne dzieje przechodziła.

List II-gi Leony Hołosko.

Początek, jako zbyt osobiste szczegóły zawierający, opuszcza się.

„A teraz na pierwsze dobre słowo uwierzywszy w twoję do rady gotowość, muszę ci powiedzieć nakoniec, o co to rzecz idzie. Potrzebuję koniecznie w przeciągu kilku miesięcy ze dwieście rubli zarobić. Czemu? poco? dlaczego? nie pytaj. Gdybyś jednak trapiła się przypuszczeniem, że twoja dawna współtowarzyszka znajduje się w smutnem majątkowem położeniu, to cię muszę uspokoić. Mam tyle, ile mi na utrzymanie moje potrzeba, tylko nie tyle, ilebym na pewien wydatek odrazu mieć chciała; dlatego też szukam doraźnego zarobku. Po głębokich namysłach przekonałam się, iż tylko piśmienna praca mogłaby mi go dostarczyć. Czy to nie zapóźno już w moim wieku brać się do pisania, kiedy się na to pierwej zdobyć nie mogłam? W dzieciństwie, co prawda, mówiono mi że jestem zdolną, w dalszem życiu literatką mnie nazywano. Istotnie pisywałam bardzo wiele dla siebie, ale nigdy nie pisałam dla drugich. Nie pisałam w latach pierwszej młodości, bo ciasny był mój światek. Kiedy mnie brat kusił, abym za pióro autorskie ujęła, o czemże będę pisała, mówiłam mu zawsze, czy o tem że panna Z. ma

błąd włosy, a pan X. piwne oczy? że tobie kartofle zgniły, owce wypadły, a ja sobie nową ciemno-zieloną sukienkę sprawiłam? Co ja wiem? co ja wiem? gdzie ja bywałam poza klasą, poza bawialnym pokojem, poza stopniem geograficznym, pod którym szanowne sąsiedztwo nasze zamieszkuje? Czy mi wątku i natchnienia pisarskiego dostarczy ploteczka panny S., albo salonowa taktyka mojej kuzynki, albo strategiczne obroty jej konkurentów? Nie śmiałam pisać w kretowinie mojej nizkiej, ciemnej i niewygodnej. Później, gdy myśl moja szersze sobie zdobyła przestrzenie, to jej pilno było nabywać, nie zaś dawać. W wiejskiem obywatelskiego życia uśpieniu, o całą godzinę spóźnił się zegar moich pojęć, w stosunku zegaru bijącego słowami przewodniemi ludzkości. Już powietrzem płynęły i kurzawą wiały po świecie doktryny Saint Simonistów, parabole Lamenais'go, historye Thiers'a, filozofie Schelinga i Hegla, kiedy mi pierwszy raz dopiero zasada dziejowego postępu rozjaśniała mnóstwo wątpliwości i powikłanych zagadnień. Jak biedną Greczynkę nad jaskinią wyziewów siedzącą, tak mnie ogarnęła, upoiła ta wielka idea nieskończenie wytwarzającej się i coraz doskonalszej doskonałości. Nie pisać, wtedy mnie się żyć chciało. Co robić? pytałam, i nastąpiła długa analiza różnych roboty ludzkiej kierunków, nastąpiły potem próby nieszczęśliwe i nieudatne, aż przyszło mi się zapytać już nie o to, jakaby praca lepszą lub pilniejszą była, wszystkie są pilne i wszystkie lepszemi być mogą, węzeł gordyjski zadzierzgnął się o to: co ja zrobić jestem zdolną? Więc się zaczęło sumienne umysłowych zdolności moich badanie: przekonałam się najpierw, że zdolności są wrodzone, nikt ich sam sobie nie weźmie i nikt nikomu ich nie podaruje; przekonałam się następnie, że mi brakowało tych, których najwięcej pragnęłam.

Więc do czegóż moje przydać się mogły? Tymczasem nim się ze zdolnościami porachowałam, nowa pod nogami przepaść się otwiera; spostrzegłam że są we mnie i *skłonności* także, skłonności zupełnie od roz-

porządzenia niezależne, a przeważny wpływ jednak w kierowaniu zdolnościami mające. Przez długi czas nie kłopotałam się wcale o moje moralne usposobienia; byłam siebie pewną, aż tu w stosunkach z ludźmi okazuje się, że jestem porównie ze wszystkimi śmiertelnikami mnóstwem wad i ułomności obarczona. Najgorsze są te, których sobie nazywać nie lubiłam, a które karcone zewnątrz, rozrosły się w inne kształty i zrodziły potworniejsze od siebie choroby. Nie, jeszcze są gorsze od najgorszych te, które przezwałam fałszywie. Na przykład: upokarzało mnie młodociane zamiłowanie pochwał, przezwałam to sobie próżnością; lubiłam gwar, stroje, zabawy —istotnie szczerze, szalenie umiałam się bawić, przezwałam to sobie lafiryndyzmem i oblekłam się w stoicyzm. Bez podniety, jaką bliźniej ręki przyklaśnięcie daje, bez ożywienia, jakiego zadowolenie chwilowej fantazyi udziela, bez tej niedzieli świątecznej wśród dni powszednich, ciężkich do przeżycia, stoicyzm przeszedł w apatyą, apatya w lenistwo i ospałość. Zwolna wyobraźni mojej zaczęło brakować barw i promieni; wola w skrzydłach ociężała; straciłam odwagę przedsiębiorczą, awanturniczą, koniecznie nam buszmanom nowego i dzielnego życia potrzebną. Drugostronnie łatwa życzliwość, owe najistotniejsze przekupstwo, ów aksamit którym się obwijam, żeby drugich nie potrącić i nie być potrąconą, grzeczność towarzyska, rozrzutność w pochwałach i uniewinniających komentarzach, wszystko to zdawało mi się dobrocią, pobłażaniem, wyrozumiałością. Na byle pozór piękna i zasługi biłam skrzydłami entuzyazmu, jak ptaszek do słońca; jeśli mi sumienie szepnęło, że pozór jest rzeczywiście pozorem jedynie, zaraz miałam gotowe w myśli różne usprawiedliwiające mnie teorye: raz że to będzie dla admirowanych podnietą i zachętą, to znów że ja przecież unoszę się nad dobrem, nie nad człowiekiem; jeśli człowiek mnie oszukuje, tem gorzej dla niego, niech się z Panem Bogiem rozsądza, ja nie mam prawa ani śledztwa, ani wyroku. I rozwinęła się miłostkowość

moja aż po kres niebezpieczeństwa i nieszczęść. Sto razy może skompromitowałam się świadectwami mojemi, albo mi na kark spadła wdzięczność najniewygodniejsza, stosunki bardzo dwuznaczne; albo innych naraziłam, że moim rysopismom paszportowym dosłownie uwierzyli i do serc, do domów, do spraw życia swego najniegodniejszych powpuszczali. Nim się tego o sobie dowiedziałam, lata całe to przykrych, to korzystnych doświadczeń przechodzić było trzeba. Na tej pracy wewnętrznej połowa życia mi zmarniała. Kiedy mię w tej epoce do pisania namawiali ci i owi, zawsze mnie to niecierpliwiło. Kto chce pisać, powinien uczyć; a kto uczy, powinien stanąć przed ludźmi z prawdą już ujętą. Czekałam, póki jej chociaż co do samej siebie nie zdobędę. Ha! nie zdobyłam a pisać mi trzeba; pierwej nie śmiałam, potem nie chciałam, a teraz wątpię, czy będę mogła. Rozstrzygnij tę wątpliwość, N., zadaj mi wreszcie jako ćwiczenie to, co dla mnie za możliwe do wypracowania uznasz, a może wystarasz się zamówienia w jakiej redakcyi — redakcye przecież muszą według pewnego planu potrzebować to historycznych, to opisowych, to czysto literackich, belletrystycznych, lub ściśle naukowych artykułów. Z wyjątkiem ostatniego działu, na inne odważyłabym się może; ty mnie weź pierwej na próbę; obstaluj, ja wykonam i zobaczymy, na co się to przyda. Żegnam cię, przyszłego listu niecierpliwie oczekuję.“

Odpowiedź.

Nie spodziewałam się nigdy, że z ciebie, moja Ono, taka skrupulatka się wyrobi; niesłusznie się wyraziłaś, że na pracy wewnętrznej zmarnowało ci się życie, ono się zmarnowało na skrupułach: praca wewnętrzna z tej jaką byłaś, jaką ja znałam, dotychczas już by cię na świecznik jeśli nie kraju całego, to przy-

najmniej całej prowincyi wyniosła; skrupuły zapędziły cię w lenistwo. Sięgając po doskonałość, pominęłaś na drodze twojej niejedno dobre i użyteczne. Pomyślno tylko: czyby się kto wziął do pracy, gdyby same arcydzieła tworzyć był obowiązany? Nie, moja droga, inaczej się dzieje na świecie. Człowiek czasem zapotrzebuje słowo jakie innym ludziom powiedzieć; byle je tylko z głębokiem przekonaniem i szczerem uczuciem powiedział, mniejsza o to że w dodatkach znajdą się błędy i mnogie niekształtności. Mówię to we własnej obronie także. Twój list zrobił na mnie wrażenie ciężkiego wyrzutu za to, że w szranki literackie wstąpiłam bez dostatecznego przygotowania w psychologii, w naukach ścisłych i we własnych skłonnościach swoich. Ja przez to złożyłam dowód moralnej wyższości nad tobą, bo mniej dumną się okazałam. Przykro mi było nieraz, że z jednej strony koszlawo, z drugiej nieprawidłowo ten i ów przedmiot obrobiony, byle jednak główna myśl na tem nie szwankowała, bylem nadzieję mieć mogła, że braterskie dusze zrozumieją o co mi chodzi, to już nie oglądałam się na resztę. Nie myśl, że chcę jako wzór do naśladowania stawić ci się koniecznie, o bynajmniej!

Z nas dwóch układam jedynie ilustracyą do tego aforyzmu, nad którym, proszę, zastanów się, gdy czas będziesz miała potemu: jak są wady, które ludziom pomagają, tak są cnoty, które im przeszkadzają do użytecznego życia.

Bo jednak jako autorka byłabyś mogła być bardzo użyteczną, Leono. Szczęście wielkie, że cię jakaś tajemnicza konieczność do pióra napędza wreszcie. Pytasz się, jaki rodzaj twej pracy najłatwiejsze w redakcyach znalazłby umieszczenie? rzecz wiadoma że powieść. Przewiduję, że z twojem usposobieniem nieprędkobyś się zebrała na obmyślenie planu, intrygi, celu i estetycznych arabesków, lecz na to właśnie mam dla ciebie owę dobrą radę, którą ci z taką pewnością przyrzekałam, że mnie mogłaś chyba o zarozumiałość posądzić. Rada jest taka:

Nie komponuj powieści, ale ułóż ją raczej z wypadków, osób i zdarzeń, na które się własnemi patrzyłaś oczyma. Weź postać, coby od urodzenia do chwili obecnej towarzyszyła ci nieodstępnie, była tobą, a nie tobą, żyła wśród twoich krewnych, znajomych i przyjaciół, a jednak nie wśród tych samych wypadków, ani wśród tych samych okoliczności; weź taką postać, a dasz nam obraz kobiety, będącej może najwierniejszem odbiciem usposobień naszych wciągu bieżącego wieku. Przypomnisz rzeczy zapomniane, wyspowiadasz się z grzechów i pomyłek, usprawiedliwisz z niesłusznych zarzutów i choć jednę niteczkę pajęczą usnujesz między dawnemi, to jest naszemi laty, a między dniem dzisiejszym, który dniem naszym nie jest, który należy do młodych, z silniejszym od nas rozpędem w świat śpieszących pokoleń.

A co? czy nie dobry pomysł? Gdyby ci nie szło o natychmiastowe wydrukowanie, tobym ci jeszcze coś lepszego na myśl podsunęła; rzekłabym krótko i węzłowato: Leono, pisz swoje własne pamiętniki, ale przeczuwam, że swoich własnych wspomnień nie oddałabyś w ręce ludzi obcych i obojętnych. Więc pozostańmy przy typie kobiecym między drugim a siódmym dziesiątkiem naszego stulecia. Nie marudź tylko i oddawaj coprędzej to nieszczęśliwe a poczciwe jednak stworzenie w ręce nie obce i nie obojętne, w ręce któreby chciały szczerze, serdecznie, po dawnemu na szyję twoję się zarzucić. Nie wątpię, że odpłaciłabyś takimże samym uściskiem twojej *N.*

Przez parę lat nie miałam żadnego na ten list odpisu; milczenie Leony nie zadziwiało mnie jednak, widziałam że ciężkie musiała przechodzić strapienia, zapewne i powieści i korespondencyi z dawną koleżanką zupełnie jej się odechciało. Później wszelako, gdy kalendarz za kalendarzem coraz starszą datę chronologiczną przynosił, z żalem nieraz pomyślałem o tym stosunku, tak niespodzianie zawiązanym i tak zerwanym bez przyczyny.

Domyślałam się że nagląca potrzeba zarobkowego pisania usunęła się, lub w inny sposób zaspokojoną została; z jej usunięciem dawne przeszkody moralne wróciły, wzmocnione jeszcze całą siłą nowych cierpień i zawodów. Dopiero w przeszłym roku przywieziono mi z Podola gruby zwitek papierów pod moim adresem, z temi słowami na wierzchu umieszczonemi:

„Z Twej rady napisane, Tobie na pamiątkę przekazuję i do rozporządzenia według Twej woli zostawiam.“

Oddawca zawiadomił mnie, że Leona Hołosko już w roku 1871 umarła. Z przesłaniem dość dużej paczki czekano na okazyą. Okazye między Olgopolem a Warszawą niebardzo częste, jak widać, bywają.

Zaraz po odebraniu, przeczytałam podarowany mi rękopism; nie znalazłam w nim żadnego słowa, któreby mnie stanowczo objaśniło, czy nieboszczka swój pamiętnik, czy powieść napisała; niektóre szczegóły z pensyonarskiego życia były wprost pamiętnikowej treści, ale nie przypominam sobie, by nam kiedykolwiek o swoich rodzinnych stosunkach mówiła to, co w rękopiśmie zamieściła. Wiem że miała jednego brata, ale wysokiej ciotki Joanny, ani wujaszka bez ręki, ani innych figur opisywanych przez nią nigdyśmy na pensyi nie widziały. Tem trudniej się domyślać, ile rzeczywistości jest w przejściach obejmujących jej życie, po wyjściu z pensyi skreślone. Dodawszy jeszcze tę zmianę umyślnie, a jednak bardzo nieznacznie w nazwiskach zaprowadzoną, muszę wyznać szczerze, iż nie wiem czego się trzymać, nie wiem

Czy to jest powieść?

CZĘŚĆ I.

Wiek dziecinny.

Pierwsze wrażenia.

Onego czasu, przed 1830 r., pani Hoffmanowa ogłoszeniem dziennika Franciszki Krasińskiej w modę wprowadziła pisanie dzienników między wszystkiemi kobietami, które wtedy pisać umiały; nie mówi się tu o kaligrafii, lecz o mniej więcej łatwym, lub przynajmniej odważnym na trudności stylu. I ja także dziennik pisałam, pisałam nawet bardzo wiele dzienników. Pierwszy zaczęłam w wielkim sekrecie przed moją ciotką, między dwoma liniami; ostatni dociągnęłam aż pod datę 1859 r. Z całego tego zbioru jedne zeszyty mi poginęły, drugie sama spaliłam, a te kilka, co mi zostały jeszcze z różnych epok mego życia w niepowiązanych między sobą kawałkach, te resztki, te świadectwa współczesne najlepiej mnie przekonały, że tak dzieje pojedynczej jednostki, jak dzieje narodów i dzieje ludzkości całej w sumach ogólnych tylko, w zakończeniach swoich rozdziałowych tłumaczą się i objaśniają. Otóż i dla mnie na pewnem zakończeniu życie już teraz stanęło; ślady jego z papierów, z pamięci i ze wspomnień mam prawo nakoniec w pewną całość złożyć i sprawiedliwszym sądem ów rachunek sumienia objąć. Czy to się zda

komu na co? nie wiem. Mnie smutnej zdać się może na wypełnienie wielu chwil bezużytecznych i pustych, skarbami dawnych radości i dawnych zmartwień. Mój Boże! jak ja kocham teraz te moje w przeszłość zapadłe zmartwienia! ile to było poczciwych, a ile zwycięzko usuniętych! Teraz pomyślmy, od czegoby zacząć. Najwłaściwiej godziłoby się rodzinne stosunki przedstawić, jako wstęp do mojej autobiografii. Niektóre powieściopisarki angielskie zaczynają historyą swoich bohaterów od historyi kilku nieraz poprzednich pokoleń; w utworach sztuki jest to rzeczą trochę zbyteczną, ale w rzeczywistych, lub przynajmniej o ile być może zbliżonych do rzeczywistości autobiografiach, takie sprawozdanie rodzinne jest bardzo użytecznem, nawet powinno być koniecznie przez czytelników wymagane.

Coraz więcej zaczyna się upowszechniać, coraz więcej popierać dowodami to przekonanie, że człowiek w oderwanej osobistości swojej nigdy nie może być sprawiedliwie osądzonym, ani dokładnie zrozumianym. Kto go rozłączy z obejmującemi go zewsząd i z zachodzącemi we wnętrze jego okolicznościami, to jest: kto w nim pod uwagę nie weźmie warunków czasu i przestrzeni, zdarzeń, które poprzedzały, przygotowywały, otaczały jego urodzenie, kto tego wszystkiego nie uwzględni i w rachunek jego regestrów nie wciągnie, ten zawsze w oznaczeniu cyfr wypadkowych pobłądzi; choćby najbieglejszym był w arytmetyce, choćby miał talent najtrafniejszych spostrzeżeń, jeszcze on zaledwie na jednę trzecią do prawdy zbliżyć się potrafi. Trudno zaprzeczyć, że ta jedna trzecia właśnie jest wolnej woli przyrobem, jest ostateczną, najważniejszą częścią każdej osobistości człowieczej, ale bynajmniej całością nie jest. Prawodawstwo wiekowe i dnia dzisiejszego wyroki głównie się jednak obracają na owej wolnej cząsteczce, i dziwić się nie można. Po obecną chwilę nauka ledwo ogólne zarysy tych praw łączności i zależności indywidualnej odkreśliła: bliższych zastosowań szukać dopiero i śledzić zaczyna.

Że klimat wpływa na charakter ludów, że zdrowie i skłonności rodziców wpływają na uzdolnienie ich dzieci, to są już fizyologiczne pewniki, ale jaki być może stosunek tego wpływu? w jakich kierunkach, w jakich okolicznościach słabiej lub mocniej, wyraźniej lub tajemniej działa? jakie koleje, zmiany, metamorfozy na różnych stopniach objawu swego przebywa? to stanowi ogromną masę niewiadomych iksów, na które niema innego sposobu, tylko cierpliwość i uwaga. Nie od dzisiaj próbowano człowieka człowiekowi różnemi w tym względzie teoryami wytłumaczyć. Były już religijne dogmata, mistyczne filozofie, poetyczne hypotezy do rozjaśnienia tych ciemnic niezgłębionych; naukowego aksyomatu po chwilę obecną nie było. Zdaje się, że ta gałąź antropologii w równoległym postępie z meteorologią się posuwa. Już ludzie wiedzą, według jakich praw natury deszcz pada i wiatr wieje; gdzie zaś padać musi i wiać będzie, w jakiej ilości, jak silnie? — z tem sobie nawet nieboszczyk pan Methieu de la Drôme nie mógł dać rady, choć sumiennie nad odkryciem ustawy powietrznej pracował. A jednak uczeni meteorom za wygraną nie dali. Na różnych punktach globu urządzono obserwatorya, zapewniono sobie korespondentów i sprawozdawców, aby dzień po dniu, godzina po godzinie notowali proste spostrzeżenia tylko; wszyscy mają to przekonanie, że gdy się dużo, bardzo dużo spostrzeżeń uzbiera, gdy się punktami obserwacyjnemi całą globu powierzchnię obejmie, to prędzej lub później wyciśnie się z tego piasku drobnych faktów wielką i wspaniałą tajemnicę przyrody, rozpozna się zasadę, porządek i konstytucyą jej działań. Tak też i tam, gdzie o zbadanie wrodzonych popędów, o odróżnienie nabytych przywyknień, o chemiczny rozbiór niejako ludzkiej osobistości chodziło, niejeden pan Mathieu łamał sobie głowę nad jej zbadaniem, aż tu wkońcu się pokazało, że nim się trochę zbliżone ku prawdzie orzeczenie postawi, trzeba pierwej korcami szczegółów naznosić. Każda biografia ma wśród tych

szczegółów wartość jednej zapiski meteorologicznej; biografia rozszerzona w dopełniające o rodzinie wiadomości ma wartość conajmniej dwóch dzień po dniu następujących po sobie obserwacyj. Ileż to ich trzeba, żeby się choć jakie poważne przypuszczenie ułożyć z nich dało! Tymczasem rzucam ziarnko moje do młyna. Przy całem uznaniu mojem dla wspomnień rodzinnych, nie mogę jednak ani pierwszego, ani wogóle osobnego poświęcić im rozdziału. Jak to zwykle u nas bywa teraz, bardzo niewiele ocalało z tradycyi domowej, a i to niewiele taki brak ciągu przedstawia, że trudnoby mi przyszło z tych kawałeczków obrazek jakiś do ładu przyprowadzić; wolę już ze ściśle egzotycznego wyjść punktu, a dawniejsze czasy wspominać wmiarę tego, jak się z moją własną chronologią łączyły, jak do życia i pamięci wrażenia, wpływy, dobrodziejstwa, ha! i krzywdy składały.

Urodziłam się w r. 1816 w Warszawie przy ulicy Zakroczymskiej, gdzie rodzice moi na drugiem piętrze trzy ładne i schludne pokoiki zajmowali. Ojciec mój, Ewaryst Hołosko, był rodem z Podola i służył w wojsku napoleońskiem, a wróciwszy razem z innymi towarzyszami broni, pomimo odradzań krewnych mojej matki, wstąpił do nowo tworzących się pułków w nowem, tak zwanem kongresowem królestwie. Matka, Tekla z Kalińskich, najmłodsza wśród dość licznych dzieci zamożnego wiejskiego dziedzica, w r. 1809 wyszła za mąż za młodego kapitana, który wówczas bił się odważnie przy boku księcia Józefa Poniatowskiego, a tańczył ochoczo na każdej kwaterze, gdy mu się do tego sposobność zdarzyła. W pamiętnym 1812 r., biednej, okropnemi wieściami znękanej urodził się jakby na pociechę syn dawno pożądany, a łzami tęsknoty jednak na wstępie zaraz do życia ochrzczony. Czy mąż wróci? czy zobaczy kiedy tę dziecinę swoję? z tą niepewnością trzeba było przeżyć kilka miesięcy jeszcze. Mąż wrócił nakoniec znędzniały, obdarty, ale wrócił; syna uściskał, świecącym u munduru krzyżykiem pobawił, do sił trochę

przyszedł i znowu za bohaterskim dowódzcą swoim pociągnął. Matka sama z Józiem została, ze łzami w oczach często, nigdy ze słowem skargi lub szemrania. Przeszedł rok jeden, mały Józio z biczykiem po pokoikach już biegał, a od ojca ledwo kiedy niekiedy słówko pisane, albo ustne pozdrowienie przedarło się z trudnością. Po latach trwogi, po latach gorączkowego wyczekiwania wrócił nakoniec Europie pokój, a młodej żonie mąż jej ukochany. Pokój europejski smutno jakoś i niepewnie wyglądał; mąż wracający był smutnym także i w pojęciach swoich zachwianym. Trzeba było całej miłości, jaką matka moja tak dobrze kochać go umiała, aby staremu wojakowi, choć ten wojak był zaledwie trzydziestokilkoletnim człowiekiem, iskrę dawnej swobody, rzutkości i nadziei z serca wykrzesać. Inni dokoła łatwiej zapominali; zmieciono im całą pajęczynę ich przeszłości, oni kędyś o strzechę domową, o byle gałązkę zresztą nową nitkę zaczepiali. Ojciec pamiętał ciągle, że mu praca życia całego w niebyłość odpadła. Rozmiłowany w swojem powołaniu żołnierskiem, nie chciał się rozstać z mundurem i pałaszem i dlatego to korzytał ze sposobności, która mu je zatrzymać dozwalała, chociaż w bezczynnem próżniactwie, jak to mówił nieraz. Kiedym przy końcu 1816 r. na świat przyszła, nowe i podbudzające ożywienie do życia mu wniosłam. Józia bez kłopotu niejako zastał, gdy wstąpił do domu między jedną a drugą zawieruchą; ucieszył mu się, lecz nie miał czasu odróżnić go od wszystkich innych dzieci, które kiedykolwiek pieścił, lub które go kiedykolwiek zajmowały; nie czuł go tak wyłącznie swoim, kochał go tylko jakoby za elektryczno-przewodniem uczuciem macierzyńskiego swej żony ukochania. Inne okoliczności towarzyszyły memu urodzeniu; najpierwej współboleścią i trwogą o życie najdroższej mu istoty dokupywać się musiał pierwszego mego krzyku i pierwszych słów uspokojenia, że wszystko dobrze poszło; matka bardzo długo jeszcze łóżka opuścić nie mogła.

Na straszne jakieś i niezwykłe jej rozdrażnienie sławny doktór Czekierski najgłębszą cichość zalecił; najpierwej tedy Józia, a potem i mnie z kołyską musiał wziąć ojciec do swego pokoju. Gdy raz już wziął, trudna sprawa; musiał w nocy wstawać, na ręku nosić, pielęgnować, dogadzać, i co pierwej dla spokojności żony czynił jedynie, to wkrótce zaczął dla potrzeby własnego serca, aż przesadzać nawet. Gdyby też nie owa konieczność starań i poświęceń, to nigdy może tak głęboko w sercebym mu się nie wślizgnęła; aleć to rzecz wiadoma, poświęcenie najsilniej nas przywiązuje do tych, dla których się poświęcamy. Gdy się matce trochę lepiej zrobiło, zaczęto się naradzać, jakieby imię wybrać dla mnie i kiedy chrzest odprawić. Co do rodziców chrzestnych prędko się rzecz załatwiła; ojciec nie miał tu w królestwie żadnych krewnych swoich, z rodziny matki przeto wybrał na ojca chrzestnego wuja mego Kazimierza, a na matkę chrzestną ciotkę Joannę. Trudniej było o wybór imienia. Matka moja, przez wzgląd na swoję matkę, chciała mnie nazwać Ewusią; lecz ojciec im więcej przywiązywał się do mnie, tem uparciej bronił najpierwszego swego pomysłu. Wkrótce bowiem po urodzeniu mojem dość obojętnie wspomniał tylko, że chciałby mnie Napoleoną nazwać; matka jakąś przeczącą uwagę zrobiła i na tej nierozstrzygniętej wątpliwości zahaczyła się sprawa. Im dłużej potem ojciec niańczył mnie i piastował, tem więcej zrastałam się w jego sercu z pamiątkowem jego bożyszcza imieniem. Trzeba wiedzieć, że jeśli młody kapitan kochał się w księciu Józefie, bezpośrednim swoim wodzu naczelnym, to wódz księcia Józefa, Napoleon, przedstawiał mu się jako dziejową świętością przyodziany kapłan losów całej ludzkości. Była to widać łatwo zapalna wyobraźnia, a nawskróś żołnierska natura. Na takich, co go raz i drugi do zwycięztwa poprowadzili, nie miał mój ojciec sądu, bo przeciw takim nie uznawał prawa. Meteorom osobliwym, co się od tysiąca do tysiąca lat zjawiają zaledwie, wszystko wolno; niech

im nikt tamy nie stawia, oni coś Boskiego spełnią. To nie zdobywcy przecież, owe Aleksandry i Cezary; to są wcielone wyższej cywilizacyi plany i materyały. Dać im czas tylko, niech dzieła dokończą. W tem bieda, że jeszcze żaden nie dokończył; Aleksander Macedoński się rozpił, Cezarowi rzymskiemu Kassyusz z Brutusem drogę zastąpili, Napoleona Anglicy z Europą sprzymierzeni aż gdzieś na wyspę Ś-tej Heleny zapędzili. Jakie on miał kanały kopać, jakie gór łańcuchy gościńcami przebijać, jakiemi ustawami oświatę wspierać, wolność zawarowywać, sprawiedliwość krzewić!... No i ci Anglicy mu przeszkodzili. To Waterloo przeklęte, to Fontainebleau nieszczęśliwe, ten Bellerophon haniebny! Ojciec gorącem swojem, podolskiem sercem gorąco też, ale nie po podolsku, tylko prawdziwie po semicku Anglików i sprzymierzonych nienawidził, po tybetańsku Napoleona uwielbiał, z czego wynikło, że mnie się Napoleony imię w drogę życia, aż do śmierci, na nierozłączną własność dostało. Ksiądz wprawdzie przy chrzcie świętym chciał lekką opozycyą postawić:

— Ależ panie dobrodzieju — szepnął ojcu do ucha — takiego imienia dawać teraz niewolno prawie, a jeszcze też dziewczynie, bo gdyby chłopak...

— A ja chcę żeby moja dziewczyna to imię nosiła — głośno i stanowczo zawyrokował mój ojciec. Ksiądz nie sprzeczał się więcej i mnie Napoleoną już ciotka Joanna z kościoła wyniosła. To są szczegóły, których się dowiedziałam od innych, skoro tylko ich mowę zrozumieć i zapamiętać mogłam; były i takie, które już sama sobie uzbierałam. Nieraz w dalszem życiu mojem, gdy się chciałam lepiej zrozumieć, gdy chciałam wiedzieć, zkąd co wzięło się we mnie, zkąd przyszło lub czemu nie przyszło wcale, cofałam się myślą w jaknajdalszą przeszłość moję, szukałam chwil, słówek, wrażeń, które mogły złe lub dobre rozwinąć we mnie skłonności, wpłynąć na moje upodobania, podłożyć pierwsze tło mego charakteru. Otóż przy tej pracy wewnętrznej pokazało się, że miałam bo-

gatszy może od wielu innych zapas materyału. Czasem ani ja sama temu nie dowierzałam, ani drudzy wierzyć nie chcieli, że takie odległe rzeczy przypominałam sobie; niewiele mi to jednak do osiągnięcia głównego celu dopomogło, żadnych moralnych nie zdobyłam sobie pewników, co najwięcej to jakieś wskazówki tylko, mogące rozwój umysłu ludzkiego objaśnić. I tak na przykład do trzeciego roku przynajmniej pamięć przedstawia mi jedynie zbiór obrazków nieuporządkowanych, w żadne logiczne karby ująć się niedających. Po trzecim roku obrazki dopełniają się wrażeniem, w piątym, w szóstym roku, wrażenie dopełnia się już uczuciem, kiedy niekiedy, ale rzadko, wpływem; zaczyna się w nas niejako to, co ma dłużej lub na zawsze zostać, lub znajdujemy gotowem to, co już było i co zawsze z nami będzie.

Z rozmaitych, że się tak wyrażę, fotograficznych momentów, widzę się raz na przykład w jakimś pokoju z zielonem obiciem, kiedyś znów rozróżniam blask dyamentu na palcu mojej ciotki, inną razą jeszcze przyglądam się, jak w cebrze z wodą pełno złotych i srebrnych podskakuje rybek. Mógłby kto sądzić z tego, że miałam pociąg do wszystkiego co jasne i błyskotne, a jednak więcej może, niż dyament i łuski rybie, zaznaczyła się w mej wyobraźni mała błękitna trumienka o drzwi jakieś oparta, według wszelkiego prawdopodobieństwa skromny szyld ubogiego stolarza. W sypialnym pokoju matki lepiej też pamiętam krzyż hebanowy przy jej łóżku, niż mnóstwo świecących na jej tualecie sprzęcików.

Gdy pojedyncze obrazki zaczęły trochę dłuższego trwania nabierać, pamiętam się na kolanach zapewne matki mojej siedzącą; w obu rękach trzymam główkę słonecznemi promieniami włosów okrytą i cieszę się, że jej loki to krótsze to dłuższe za pociągnięciem być mogą. Nie wątpię, że tem cackiem kosztownem była dobrowolnie u nóżek moich złożona główka starszego mego braciszka. Później, gdy był już dorosłym bratem, przy jakiejś okoliczności spyta-

łam się go. czyby mi pozwolił tak jak w dzieciństwie dla zabawki za włosy go targać. Brat już nie mógł przypomnieć sobie o tym dowodzie niezwykłej uprzejmości, zdawało mu się nawet, że ja także nic podobnego pamiętać nie mogę.

— Kiedy ja loki nosiłem, toś ty chyba drugiego roku nie skończyła jeszcze; przecież wiem, że mi ojciec krótko włosy bardzo wcześnie ostrzygł, z wielkim żalem mojej matki. Wszakże po jej śmierci nawet w kasetce z kosztownościami znaleziono cały zwój z tego żniwa, w grubym papierze z napisem: pierwsze włosy obcięte mojemu Józiowi roku 1818 — 19 marca.

Miał brat słuszność, pamiętać nie mogłam, a jednak co widziałam, to wiem, że widziałam. Na mózgu dość wyraźny ślad się odbił, by przez całe życie niemal ten jasny kolor włosów, paluszkami memi zwijanych i rozwijanych, służył mi potem za normę porównawczą względem wszystkich blondynek i blondynów, jacy się kiedykolwiek przed oczyma memi przesunęli. Zaprzeczył mi też Józio, gdy mu coś nadmieniłam o matce naszej w białe muśliny ubranej.

— A! to już ci się wyraźnie przywidziało — mówił z uśmiechem; — matka po śmierci trzech naszych wujów, którzy jeszcze przed twojem urodzeniem zginęli, nigdy już jasnej sukni włożyć nie chciała. Prawda, i od niej samej i od innych w rodzinie słyszałam, jak dziwnym zbiegiem okoliczności w sam dzień Zielonych Świątek, kiedy lekko, biało ubrana do kościoła na mszę się wybierała, z trzech stron trzy wieści żałobne ją doszły. Z Francyi nadeszło świadectwo, że brat jej najstarszy Jan w Hiszpanii poległ. O młodszym Tomaszu donoszono jej, że wczasie oblężenia Gdańska na gorączkę umarł. Trzeci Antoni z głębi Litwy ostatnie pożegnanie i kawałek czerwonej wstążeczki od krzyża swego na pamiątkę ukochanej siostrze przysyłał. Wszystko to najdalszemi drogami, w różnej czasu kolei, a nawet w różnych latach wyprawione, zbiegło się razem do rąk biednej

kobiety, jakby umyślnie na to, by jej boleść spotęgować. Matka nasza tak serdecznie swoich braci kochała! Z czterech pięknych, dorodnych i tkliwie do niej przywiązanych, został jej jeden tylko, młody kaleka bez ręki, którą kędyś aż na możajskich polach zostawił. Kaleka — lecz mnie się zawsze zdawało, że na świecie całym nie widziałam piękniejszego wujaszka, jak ten mój ostatni, najlepszy wujaszek Kazimierz. O tem potem wszelako; dość że matka nigdy już od tych Zielonych Świątek białej sukni nie włożyła, nigdy się na żadnej tańcującej zabawie nie ukazała. Mimo to wszelako, widzę ją przesuwającą się zcicha na tle zielonego pokoju, widzę wyciągającą do mnie obie ręce zpod przezroczystych falbanek śnieżystego stroju, czuję jak chętnie się w nie przechylam z objęć piastunki, jak się bawię, gdy później to mi na twarz zarzucą, to mi z twarzy uchylą te pajęcze osłony, a śmiech matki dźwięczny i czysty mojemu śmiechowi wtóruje. Kto wie, może to były jej ranne podwłośniki tylko, może na chwilową zabawkę pochwycona jedynie firanka—mnie się zdawało wtedy i dziś jeszcze zdaje, że patrzyłam na jakąś inną, powietrzem odzianą, nie codzienną mamę moję.

Dziwna rzecz —z tradycyi mam tę pewność, że ojciec najwięcej mną się zajmował; jak tylko z mustry lub parady wrócił, najpierwej o mnie się pytał, brał mnie na kolana i po całych godzinach dokazywał ze mną. Józio nieraz mi potem mówił, że przy ojcu nigdy nie płakałam, nawet i wtenczas, gdy mi się chorą być zdarzyło; w najcięższych przejściach ząbkowania, po odsadzeniu od piersi, byle mnie tylko ojciec do siebie przytulił, zaraz mu głowę na ramieniu kładłam i leżałam tak cicha, spokojna, póki nie zasnęłam wreszcie. Ułański mundur ojca powinien był też dziecku głębiej w pamięci się wrazić; taki świetny kaszkiet, takie srebrne szlify i guziki na białych rabatach—no, ja z tego wszystkiego żadnej osobnej nie mam fotografii, najpewniej dlatego, że wszystko było mi ciągle obecne i zwyczajne. Dopiero znacznie później przyszła

chwila, w której ta postać ukochana tak wyraźnie i trwale na zmysłach nawet się odbiła, że dziś jeszcze gdy kreślę te słowa, przy lekkiem natężeniu woli mogę jej rysy uprzytomnić sobie.

Tymczasem snują się w moich wspomnieniach poczciwe twarze piastunki mojej Marcyny i starego lokaja, a raczej ordynansa ojcowskiego, którego wszyscy Piotrusiem nazywali, choć już miał siwe włosy i twarz zmarszczkami pokrytą. Marcyna chodziła w ogromnym czepku, jedwabną chustką grubo przewiązanym; suty garnirunek tego czepca służył mi do pierwszych prób własnych estetycznych pomysłów. To go wznosiłam dogóry, to na oczy spuszczałam, to w jednę lub w drugą przygniatałam stronę, a Marcyna ze wszystkiego mocno była zadowolona, wołała na mnie moje złotko, moje stotysięcy, i każdemu co miał czas jej słuchać, cuda o moim rozumie prawiła. Na szyi zwykle miała kilka sznurów bardzo pięknych korali, przy tem pełno różnokolorowych paciorków i duże żółte bursztyny. W moich oczach miało to wszystko wartość klejnotów szacha perskiego i musiałam kiedyś o jej bogactwie coś powiedzieć, bo mnie wkrótce nauczyła niby jakiejś litanii, którą później przed wszystkimi domowymi, a nieraz i przed gośćmi tak często powtarzałam.

— A jaka to mama, Napolciu?

— Mama jest śliczna.

— A papa? (to francuskie wyrażenie po wojnach napoleońskich zostało nam się jeszcze, mniejwięcej, do 1830 roku).

— Papa jest tęgi ułan.

— A Józio?

— Józio jest królewicz.

— A Napolcia?

— Napolcia jest sto tysięcy.

— A Piotruś?

— Piotruś biedny, biedny, biedny!

— A Marcyna?

— O! Marcyna jest bogata, bogata, bogata!

Były te wszystkie koncepta moje własne niby; Marcyna przynajmniej zaklinała się na wszystkie świętości, że ja sama na nie się zdobyłam, ona zaś w kolejny tylko porządek wciągnęła. Szczególniej podziwienie jej wzbudzała ta logika, że nazwałam ją bogatą dlatego, bo miała bursztyny, korale i paciorki, a Piotrusia nazwałam biednym dlatego, bo ich nie miał ani jednego sznureczka. Wogóle dziś jeszcze pamiętam, jakie znaczenie przywiązywałam do tych określnych wyrazów, któremi obdzielałam moich ukochanych. Śliczna mama była to zawsze mama, raz w białych muślinach widziana, lub też mama przed lustrem zrana swoje długie blond włosy czesząca. Papa, tęgi ułan, był zawsze w swoim ściśle opiętym mundurze i wysokim kaszkiecie na głowie. Józio był królewiczem tylko wtedy, kiedy skończywszy się musztrować, sam nawzajem Piotrusia musztrował: „na lewe ramię broń.“ Piotruś albowiem spełniał kolejno obowiązki zwiechnika i podwładnego, a za Józiem w ogień byłby skoczył, stokroć go wolał odemnie. Raz też w mej obecności zaczął przed Marcyną utyskiwać na niesprawiedliwość naszego ojca.

— Chłopiec piękny jak malowanie, zręczny jak wiewiórka, dziśby go już można do pułku zapisać, i pewnie z bębnem dałby sobie radę, a pan szef (z lat dawniejszych ten tytuł przechował się w nomenklaturze Piotrusia) pan szef surowiej chłopca trzyma, niż niezdarnego rekruta. No, córka miłe dziecko, ale pod względem urody nie umywała się nawet do naszego Józia; nie chłopiec zresztą — dziewczyna — a pan szef za nią przepada.

Z tej skargi Piotrusia bardzo jasno to zrozumiałam, że Józio piękniejszy jest odemnie; ale przepadanie ojca według dosłownego brzmienia pojęłam, strach mnie wielki ogarnął, lecz się z nim utaiłam przed wszystkimi; dopiero gdy ojciec wrócił z miasta, na progu zaraz oba kolana objęłam mu nagłym uściskiem, tak że omało się nie przewrócił, i zaczęłam wołać z całej siły:

— Papo! ja nie chcę, żeby papa za mną przepadał!

— No, a to czemu? — pytał zdziwiony i rozśmieszony zarazem, na ręce mnie biorąc.

— Bo jak papa za mną przepadnie, to ja go nie dowidzę nawet i nigdy potem nie znajdę.

— O! znajdziesz, tylko mnie dobrze poszukasz.

— Toć niania dobrze szukała swego fartucha, a nie znalazła go, bo przepadł. Jak co przepadnie, to już znaleźć tego nie można.

— Masz słuszność, moje dziecko,—bez uśmiechu tym razem odpowiedział mój ojciec, i wziąwszy mnie na kolana, trochę weselej dodał:—Postaram się, dziewczyno, żeby dla ciebie i za tobą nie przepadać wcale. — Nacisk jego głosu dziwne jednak na mnie zrobił wrażenie; pierwszy raz wtedy zapłakałam, choć mnie pieszczotliwie do swej męzkiej piersi przytulał. Matka, obecna temu drobnemu zajściu, przypominała je sobie w ciężkich chwilach i wspominając nieraz, mnie także o tem zapomnieć nie dała.

Czemuż ja piszę o takich drobnostkach, które żadnej biograficznej ani estetycznej formy nie mają?— Piszę dlatego, że niemało nad niemi głowy sobie nałamałam pierwej, nim pod jakiekolwiek prawidło udało mi się je podciągnąć. Tylu różnoznacznych wyrazów mogłam się łatwo i prędko ze słuchu nauczyć, zkąd jednak znalazła się treść mniejwięcej odpowiednia dla nich w moim umyśle? Nikt przecież nie tłumaczył mi, nie objaśniał żadną definicyą ani tego co to jest królewicz, ani tego co to jest sto tysięcy, co biedny— a co bogaty.

Gdyby szło jeszcze o nazwy pospolitych rzeczy, na przykład stół, zegar, łóżko — mogłam się z tem przez częste powtarzanie oswoić, mogłam tego przez wprawę nauczyć; ale o królewiczu nie mówiono przecie tak często, jak o bułce i mleku; królewicza zresztą nigdy w życiu nie widziałam, nikt mi nie wytłumaczył, co to za stworzenie i jak wygląda, a przecież Józio komenderujący, Józio w czapeczce z lampasem na

głowie daleko podobniejszym mi się zdawał do królewicza, niż Józio w granatowym swoim spencerku, choćby odświętnym i stalowemi guzikami przyozdobionym. Niedość na tem—wiem z pewnością, że mnie nikt jeszcze wtedy do trzech rachować nie uczył, kiedy mnie przecież Marcyna „moje sto tysięcy“ nazwała, miałam poczucie, że jestem rzeczywiście jakąś bardzo a bardzo drogą kosztownością. Nie potrzebowałam też długich ćwiczeń porównawczych odbywać, żeby wiedzieć, co to jest biedą, a co bogactwem... Wszakże ja się nie okłamuję, i dziś jeszcze pamiętam, jak tej błębitnej trumienki nikt mi przy prostem nazwaniu żadną definicyą nie określił, jak długo potem nikt przy mnie nazwania nie wspomniał, a kiedy jednak wobec śmierci po drugi raz usłyszałam to słowo, już ono nie było mi obcem i odgadłam, z jakiem wyobrażeniem połączyć je było trzeba. Zkąd ta łatwość, zkąd ta trafność wszystkim prawie dzieciom właściwa — niech fizyolodzy i psychologowie objaśnią, ja tymczasem głęboko jestem przekonana, że to jest dziedzicznej rasowości skutkiem. Dziecko rodzi się już z instynktem do macierzystej mowy swojej; częste powtarzanie daleko ma mniejszy udział w tej nauce, niż szybkie przeczucie niejako poraz pierwszy słyszanych nazwisk i wyrażeń. Nie wiem cobym dała za to, gdybym porównać mogła te spostrzeżenia moje nad samą sobą ze spostrzeżeniami kobiet — no, mężczyzn, a wreszcie byle to był ktoś urodzony z polskich rodziców, a zaczął mówić najpierwej niemieckim, albo francuskim językiem. Znałam wprawdzie niejedno podobne indywiduum, ale od żadnego nie mogłam się współśledczemi wiadomościami zbogacić, bo żadne nie miało na nie potrzebnych zapasów; pamiętali się jedynie od chwili, w której już książkowej nauki dorośli. Otóż ja cztery lata miałam, kiedy się pomyliłam w zastosowaniu wyrażenia, lecz sam wyraz rozumiałam dokładnie. Przepadać! czułam w tych sylabach jakąś stratę wiekuistą; nie wiedziałam naturalnie, że i przez miłość zatracić się można; lękałam

się, żeby istotnie kędyś zdaleka za mną ojciec nie przepadł, a tymczasem przepadać nie było za czem. Byłam bardzo nieładnem, żeby już nie powiedzieć: bardzo brzydkiem dzieckiem. Obok matki mojej wysmukłej, białej jak mleko, różowej jak listek centofolii, z oczami od habru ciemniejszemi, w warkoczem od pszenicy złocistszym — obok braciszka tak pięknie, choć tak męzko do matki podobnego, że go znajomi nasi według ówczesnej mody, greczyźnie hołdującej, Achillesem na Scyros zwali—obok ojca, ślicznego bruneta, któremu niejedna Hiszpanka mogła była pozazdrościć jego ognistych, a długiemi rzęsami przyćmionych oczu, jego bladej, żadnym rumieńcem nieokraszonej, a gładkiej jak stary marmur cery — obok tych trzech przepysznych typów nadwiślańskiej i naddniestrzańskiej piękności, ja tłusta, w stosunku do mego wieku olbrzymka, musiałam szkaradnie wyglądać. Habrowe oczy matki, w pomieszaniu z czarnemi płomieniami ojcowskiego wzroku, uposażyły mnie parą szaro-siwych tęczówek, dość głęboko pod czołem osadzonych. Żółtawe marmury z mlekiem i centofolią zmieszane odbiły się na twarzy mojej jesiennym rzecbym mogła kolorytem, bo na oliwkowej prawie twarzy przyozdobiły się dwoma purpurowemi rumieńcami. Nos mój wcale rysunkowego nie zapowiadał kształtu; czoło szerokie miałam, ale dość nizko zarośnięte bujnemi i kręcącemi się włosami, w różne odcienia kasztanu i orzecha, bursztynu i tombaku przeświecającego pod światło. Usta jedynie miałam drobne, pełne i czystym karminem odznaczone — a na tych ustach roiły mi się piosenki, bajeczki, różne koncepta i wesołe uśmiechy. Że matce to wystarczało, wcale się nie dziwię—ale że ojciec taką niezgrabną, taką niepoczesną dziewczynę kochał, to im więcej ojców na świecie widziałam, tem trudniejsze dla mnie było i jest do zrozumienia. Dzięki jego miłości, pierwszą jutrzenkę życia bez chmury żadnej spędziłam. Zaiste, jak inne dzieci, musiałam nieraz płakać, krzyczeć, grymasić, ale to nigdy żadnego po sobie nie zostawiło śladu

w moich wspomnieniach; całość tych lat najpierwszych złożyła się aż do obecnej chwili w poczucie radości, żartów, śmiechów i zabawy. Im więcej rozwijały się z dziecinnego chaosu władze moje umysłowe, tem wydatniej na pierwszym planie odkreślała się postać mego ojca; przyszedł dzień wreszcie, który ją na zawsze w duszy, w wyobraźni, w oczach moich rzecby można utrwalił. Już wtedy piąty rok miałam.

Nieraz później powtarzano to przy mnie, że od roku już może ojciec mój bywał w tym czasie razporaz smutny, rozdrażniony, i choć żona ze zwykłą sobie wesołą łagodnością przedstawiała mu, że tak bardzo spotykanemi przykrościami trapić się nie powinien, że poza domem godzinę każdą jako wymiar czasu bezświadomie spędzonego uważać trzeba, a w domu, wsród znajomych i serc życzliwych, prawdziwe życie swoje jako obudzony już człowiek liczyć sobie —niewiele to pomagało.

— Ja muszę wziąć dymisyą—coraz częściej powtarzać zaczynał.

Otóż trzeba wiedzieć, że dymisya nie zdawała się wcale roztropnym krokiem z jego strony. Ojciec żadnego nie posiadał majątku; rodzice matki, niezadowoleni z jej zamążpójścia i srodze dotknięci różnemi owej epoki przejściami, młodszej córce nierównie skromniejszy posag niżli starszej dali; pensya majora bardzo więc była potrzebna do utrzymania całej gromadki domowej. Stałe fundusze, bardzo już ograniczone, łatwo się wyczerpnąć mogły, nim jaka dzierżawa dość korzystna lub jaki urząd odpowiedni w służbie cywilnejby się znalazł. Nic dziwnego, że ciotka Joanna, gdy pierwszy raz o takich zamiarach swego szwagra usłyszała, bardzo pogardliwie ramionami wzruszyła i swoim suchym, stanowczym głosem zawołała:

— A! to pomysł prawdziwie godny takiej przewróconej głowy.

Nawiasem dodać tu muszę, że ciotka Joanna do głów przewróconych zaliczała wszystkich, co pisali wiersze, czytali książki dla zabawy, z uwielbieniem

mówili o Napoleonie, i to jest jej własne wyrażenie—kłopotali się o to, co im chleba powszedniego nie dawało. Z siostrą nie zgadzały się w niczem, ale przynajmniej kochały się serdecznie, lecz w stosunku z mężem siostry brak zgodności dopełniał się jeszcze wyraźną, obustronną niechęcią.

Jak przez mgłę przypominam sobie, że kiedyś zrana, gdy ojca w domu nie było, ciotka przyszła do naszej matki ze swoją ukochaną Cesią, siostrzenicą mężowską, która się przy niej od pierwszego roku swego życia chowała. Strasznie już wtedy nie lubiłam tych odwiedzin. Cesia była starsza odemnie, bodaj nawet czy nie starsza i od Józia, jakkolwiek w dalszych latach wątpliwość ta moja nigdy z pewnością rozstrzygniętą nie została; w owych chwilach przynajmniej była znacznie wyższą od niego; nosiła słomkowe, za każdą razą gdy ją widziałam z innego koloru wstążkami kapelusze, nosiła różowe i niebieskie z haftami, lub falbankami wygarnirowane sukienki, w różne wszywki i tiuliki przyozdobione majteczki, ażurowe pończochy i—przedmiot mej pożądliwości—jedwabne, zastosowane do koloru sukni trzewiki z bandażami. A jak trzymała się prosto, jak zgóry patrzyła się na mnie, to aż ja, śmiała do wszystkich wichrowatych i zawiesistych wąsów, które u ojca bywały, od tej imponującej księżniczki ostrożnie, zawsze zdaleka się trzymałam. Brat mój w większych był u niej łaskach, z nim jakoś chętniej przestawać lubiła, więc też i wczasie owej rannej wizyty, biedna ciotka Joanna, zasiadając z matką na kanapie, zaleciła dzieciom, by się do drugiego pokoju bawić przeszły. Cesia natychmiast Józia za rękę wzięła i razem się wyprowadzili, a ja zostałam w swoim kąciku, gdyż nie przypuszczałam nawet, by się to rozporządzenie i do mnie odnosiło. Przez czas jakiś nie uważałam wcale tego, co obie panie do siebie mówiły; nagle matka moja głośnym płaczem wybuchła.

— Jaka ty jesteś dla niego niesprawiedliwa, Joasiu!—łkając, zawołała.

— A jaka ty jesteś słaba dla niego, moja Tekluniu! Przez wzgląd na dzieci powinnaś mu przedstawić, by głupstw nie robił, starszym się nie narażał i swego nosa pilnował. Zobaczysz, że to się źle skończy.

Matka rękoma twarz zasłoniła i widziałam, jak łzy jej przez palce się sączyły. W każdej innej chwili byłabym natychmiast do niej pobiegła, na szyję się rzuciła i pocałunkami te gorzkie łzy obtarła, ale obecność ciotki onieśmielała mnie i drętwiejącym jak uderzenie torpili wpływem na miejscu więziła. Zwolna jednak nabrałam odwagi, pocichu wysunęłam się z ukrycia, lecz gdy spostrzegłam, że i mnie już spostrzeżono, pędem przez pokój przebiegłszy, obok matki stanęłam. Tu już czułam się bezpieczną; po fałdach jej sukni wgramoliłam się na sofę i dosięgnąwszy ucha matki, szepnęłam:

— Nie płacz, mamo, tata zaraz przyjdzie i nie pozwoli, żeby ci ciocia dokuczała.

Zdawało mi się, że bardzo cicho mówię, a jednak ciotka słowa moje dosłyszała. Gdy matka przygarnęła mnie do siebie pieszczotliwym uściskiem:

— A to pięknie—rzekła—całujesz ją za to chyba, że była nieposłuszną i nie wyszła, chociażeśmy kazały, aby dzieci do innego przeniosły się pokoju.

— Ciocia przecież kazała mi się pójść bawić, a że oni ze mną nigdy się bawić nie chcą, więc ja tutaj zostałam.

— O, jabym Cesi tak rezonować nie pozwoliła— surowo odezwała się na moje usprawiedliwienie.

Dziś jeszcze nie wiem czy to szczerze, czy tylko dla nauki słuchaczek swoich mówiła, wiem tylko, że i wtedy i później, na bardzo wiele rzeczy Cesi pozwalała, mogła jednak mieć przekonanie, że jest dla niej ostrą i wymagającą, o ile tego potrzeba zachodzi, tylko niezawsze potrzebę tę widziała, nawet choć Cesia ze złości nogami tupać zaczęła, lub też w dalszem życiu nad swieżo kupionym kapeluszem lub nad odebraną ze sklepu suknią wcale niesłusznie kaprysiła.

Matka moja, nie wdając się w żadne rozpatrzenie tej sprawy, wzięła mnie za rękę i do drugiego odprowadziła pokoju, nie wiem tedy na czem rozmowa obu sióstr stanęła.

Przy pożegnaniu ciotka tylko Józia po twarzy pogłaskała i może dla wzbudzenia we mnie szczerego żalu dała mu karmelek, ale Józio zaraz się nim ze mną podzielił; to już było skutkiem machinalnego prawie nawyknienia, do którego nas matka wdrożyła. Jedno mogło coś dostać, a drugie nie dostać, cukierek czy zabawkę, lecz w każdym razie podzielić się cukierkiem, wspólnie używać zabawki musiało.

W jak długi czas potem, nie wiem—w kilka dni, czy w kilka tygodni, nadszedł dzień, który miał wiekuiście nad losem całej naszej gromadki zaciężyć. Dziś jeszcze wdzięczną sobie jestem, że niektóre szczegóły wiernie aż po chwilę obecną zachowałam w pamięci. Ojciec dnia tego wybierał się na jakąś paradę, a był tak wesoły, żartobliwy, śmiejący się swobodnie, że wedle późniejszych słów matki naszej, miał swój świąteczny humor powitania. Gonił się ze mną po pokoju, Józiowi swego kaszkieta przymierzał, brał nas oboje pod pachy, wgórę unosił i dowodził, że jestem najważniejsza z całego domu osoba; matka przytakiwała, ja zaprzeczałam, on zaś udawał wtedy, że mnie dźwignąć nie może, a Józia daleko łatwiej niby porywał z ziemi i na ramieniu sobie sadzał.

Wszystko to rozigrało nas jak młode kocięta; biegaliśmy i wyskakiwali koło ojca, kiedy się ubierał, klaskaliśmy w ręce i krzyczeli z radości, wmiarę jak świetna tualeta coraz dalej postępowała, dopiero gdy już w pełnym stanął przed nami mundurze, ja nagle oniemiałam i zstąpiło na mnie jakieś niby objawienie dotychczas niezrozumiałej piękności; pierwszy raz głębiej uczułam, co to znaczy nie módz oczu oderwać od przedmiotu, który nam się podoba. Ojciec musiał zauważyć to nieme uwielbienie swojej dziewczyny, gdyż uśmiechnął się bardzo łagodnie, choć z udaną niecierpliwością zapytał:

— I cóż tak patrzysz na mnie wytrzeszczonemi oczyma, zupełnie jak ów zajączek pod miedzą, co to myśliwi o nim nie wiedzą?

— Ah! papo—zawołam—papa taki dziś...

— Śliczny, hę?—podpowiedział złośliwie.

— Nie, to mama jest śliczna.

— A ja szkaradny?

— Co papa wygaduje! Papa jest bardzo piękny — i przypominając sobie jedno z wyrażeń mojej Marcyny, — dodałam: — Pana wygląda jak święty z obrazka.

Rozśmiał się takim młodocianym, studenckim prawie śmiechem, że później, ile razy dźwięk jego w śmiechu Józia odnalazłam, tyle razy dziwna trwoga na serce mi padała.

— Pójdź tu, grzesznico—odezwał się wreszcie nastrojonym już do powagi głosem; — przejrzyj się w lustrze i porównaj, kto z nas bliższy Pana Boga w niebie.

Kończąc te słowa, schylił się, na stoliku mnie postawił i twarz swą tuż obok mojej trzymając, kazał mi w wiszące naprzeciwko lustro spoglądać. Z najlepszą wiarą dopełniłam tego polecenia, ale po sumiennem zbadaniu przedmiotu bardzo stanowczym głosem zadecydowałam, że papa jest daleko odemnie piękniejszy. I w czasie tych chwil, przez żart wywołanej, a dla mnie bardzo starannej rozwagi, wraziłam sobie w pamięć najdrobniejsze odcienia kolorytu i wyrazu, najnieznaczniejsze zagięcia tych szlachetnych rysów. Istotnie, były to rysy godne pendzla i dłuta; został mi po nich cień tylko wyraźny, a żałobny, jak dnia owego wspomnienie. Leży w tej chwili jeszcze przedemną, w złótej obwódce, na tle różowem, czarna sylwetka, którą ojciec aż z Francyi niegdyś matce naszej przysłał; w swoim rodzaju jest to arcydzieło maleńkie; wielce mi ono pomogło do zachowania najdroższego skarbu w skarbnicy drogich pamiątek. Mam i matki sylwetkę, lecz nie tak już dobrze i artystycznie wyciętą. Ojciec na swojej jest zupełnie podobny;

matka była piękniejszą. Jakiż to czysty, regularny ten profil ojca! Jak ta linia nosa delikatnie, ledwo dowidzialnem wzniesieniem środkowem, ciągnie się aż po spadek ku blizko odcinającym się ustom, jak kształtnie brodę w doskonały owal zaokrągla! Czoło jest może zbyt gładkie, kości brwiowe niedość się na niem odznaczają, ale zato odgadnąć można całą jego pogodę i nieustraszoną odwagę, pod masami gęstych włosów, które z trudnością, jak widać, trzymają się narzuconego im układu.

Ach! cieniem tylko sylwetka była, cieniem cienia są dziś słowa moje!

Gdy ogłosiłam mój wyrok, ojciec zaczął mi się sprzeciwiać, że za nieszczerość do kąta pójdę, i niósł mnie jakoby gwałtem, a ja mu się opierałam jakoby naprawdę, i szamotaliśmy się i całowali w tych udanych zapasach, aż przy mundurze guzik jeden się oberwał. Wówczas tak ciasne, opięte mundury noszono; liczyło się to prawie do wojskowego regulaminu; sam Apollo Belwederski byłby musiał przemocą pantalony wdziewać i powstrzymywać oddech przy zapinaniu ułańskiego fraczka z wyłogami. Nic więc dziwnego, że i ojciec stosował się do tej mody—nie lubił jej wszelako. Spotykający go przypadek natychmiast twarz mu zasępił; coś po żołniersku między ustami zaklął i matki na pomoc zawołał.

— Wolałbym do krawca wstąpić, ale już czasu nie będzie, i tak się zabałamuciłem. Przyszywaj prędko, a mocno — mówił już rozdrażnionym i przycinanym głosem do matki.

Matka przyszyła jak mogła najprędzej, jak mogła najmocniej; on ją za to w końce paluszków ucałował, nam dzieciom ręką od ust skinął i szybbo wybiegł z pokoju. Jak zwykle w dnie parady, czekaliśmy ojca na obiad. O drugiej godzinie matka sama pomagała Marcynie stół jaknajprędzej nakrywać i razporaz zachodziła do kuchni, żeby wszystko smaczniej przyprawić i na czas do wydania przygotować; istotnie wszyst-

ko na czas przygotowane już było, ale ojciec nie wracał.

— Już w pół do trzeciej, już trzecia — liczyła niecierpliwie oczekująca matka, a jak to sama nieraz później opowiadała, żadne złe przeczucie o serce jej nie uderzyło; myślała sobie nawet, że mąż dał się kolegom wciągnąć na jaką sutą, winem oblaną przekąskę, i dlatego nie wraca. Jak każdej żonie zapomnianej, a nad przypalającą się pieczenią czuwającej, zbierało się na zły humor, więcej niż na niespokojność. Nam dzieciom jeść się chciało, więc podobno grymasiliśmy ogromnie; Józio mi się sprzeciwiał, ja piszczałam, odgrażając, że się przed ojcem poskarżę, matka nas łajała, godziła, aż nakoniec zupę na stół Marcynie podać kazała, a Piotrusia wyprawiła, żeby się dowiedział, gdzie pan poszedł, kiedy wróci i czy z kolacyą czekać go będzie trzeba. Piotruś znał tak dobrze wszystkie ojca zwyczaje i stosunki, że mógł nawet nieprzewidziane jego projekta odgadnąć; zdawało się, że i tym razem prędką a nieomylną wiadomość przyniesie. Rzeczywiście też nie wstaliśmy jeszcze od obiadu, kiedy drzwi się uchyliły i Piotruś się w nich ukazał, lecz za progiem stojący z ręką na klamce, jak gdyby lękał się, lub nie śmiał wejść do pokoju.

— No, wejdź-że — z przyciskiem zawołała matka;—powiedz, czego się dowiedziałeś?

Piotruś usłuchał rozkazu, wszedł we framugę drzwi, stanął, wyprostował się, jak gdyby miał generała swego salutować, i poruszył ustami, mówiąc coś niby, chociaż żadnego słowa wyraźnie dosłyszeć nie było można. Matka wtedy uważniej na twarz starego żołnierza spojrzała: twarz była blada trupią bladością, wszystkie jej zmarszczki drżały gwałtownie, głos się z trudnością przez zacięte usta przedzierał. Matkę naszę w jednej chwili lodowe zimno trwogi ogarnęło, krew jej w żyłach stygnąć zaczęła, obiema też rękoma stołu się uchwyciła i z wielką trudnością się podnosząc:

— Mów - zawołała tylko, z taką siłą i z taką

boleścią, że my z Józiem przytuliliśmy się jedno do drugiego, a serca biły nam prędko, głośno, jak pisklętom, które w gniazdku swawolny chłopak nielitościwą dłonią przykryje.

Tymczasem Piotruś kilka kroków naprzód postąpił, całą odwagę pewnie ku pomocy przywołał i zdobył się wreszcie na dalsze bezładne, a niemniej przeto okropne słowa:

— Niech pani majorowa się nie lęka, niech pani majorowa będzie spokojna, trzeba o dzieciach pamiętać...

— Mów, mów — powtarzała matka, gwałtownie o posadzkę nogą uderzając.

— Pan szef — wyjąkał Piotruś i zatrzymał się znowu — pan szef — dodał po chwili niby jakiegoś namysłu...—pan szef spadł z konia.

— I zabił się!—krzyknęła matka.

— Ah, tak! zabił się, zabił się — powtórzył Piotruś z głośnym już rykiem, nie płaczem, i cała postać jego drżała, jakby wewnętrznym bólem wstrząśnięta.— I pomyśleć, że to przez jeden guzik nieszczęśliwy! Boże, mój Boże, czegożeśmy doczekali!...

Matka nie drgnęła nawet, słuchając tak przerażającej wieści; ciągle o stół wsparta, szeroko roztwartemi oczyma w Piotrusia wpatrzona, zdawało się, że z natężeniem umysłowo pracuje, by się domyśleć znaczenia jakichś z obcej mowy wziętych wyrazów — aż i domyśliła się wreszcie. Nagle ręce jej opuściły swą podporę, z piersi wydarł się jakiś głos dziki, przeraźliwy, ciało wtył się przygięło i martwą masą, jak strącony posąg kamienny, z łoskotem na ziemię padła. My z Józiem rzuciliśmy się ku niej, za ręce i suknię ciągnąc, zaczęliśmy wołać:

— Mamo! mamo! — a nie pamiętam, czy to było ze strachu, czy ze współczucia widzianej boleści, bo też i następne chwile i dnie następne zwichrzyły mi się w jakiś nieryraźny choć czarny i duszny tuman najsprzeczniejszych z sobą żywiołów. Ledwie w kilka lat potem dowiedziałam się lub domyśliłam, co to

wszystko znaczyło; wówazas nie mogłam jednej nadzwyczajności od drugiej rozgraniczyć i rozróżnić: zemdlenie matki, przybycie wuja mecenasa, męża ciotki Joanny, ona sama nocująca u nas bez Cesi, a taka dla mnie dobra i łagodna, jaką nigdy pierwej nie bywała, jacyś generałowie, pułkownicy i inni wojskowi przychodzący i wychodzący jedni za drugimi, a każdy z twarzą poważną, smutną, ze słowem uroczystej pieszczoty dla Józia lub dla mnie, i jakieś zabawki z różnych stron znoszone, nowe czarne sukienki, obszyte białą tasiemką.. zkądże ja miałam wiedzieć co to wszystko znaczy, a to znaczyło, że już pół-sierotą byłam. Najwięcej jeszcze i najużyteczniejszych w bieżącej chwili rzeczy od mojej kochanej Marcyny się dowiedziałam.

Przedewszystkiem tedy uradzono, by zamieszkałego w Warszawie szwagra uwiadomić. Wuj coprędzej wysłał sztafetę po żonę swoję, aby do siostry śpieszyła. Chciał on sam pierwej nieszczęśliwą do spadłego na nią ciosu przygotować, zła dola sprawiła, że się spóźnił o kilka minut. Biedny Piotruś na zwiady wysłany, kiedy się już niewątpliwie o śmierci swego szefa przekonał, zupełnie głowę stracił. Miał on, jak mówił potem, najlepsze i najrozsądniejsze zamiary; cały plan sobie ułożył, jak to panią majorową zwolna przygotowywać będzie, jak coś stopniowo o spadnięciu z konia, o złamaniu ręki lub nogi, o większem nakoniec niebezpieczeństwie jej powie, lecz gdy oko w oko stanął przed nią, w głowie mu szumieć, w uszach bębnić zaczęło tak, że nie mógł na spokojne słowo się zdobyć, a chociaż potem według programu coś rozpoczął, to gdy mu matka przerwała takiem odrazu całą prawdę obejmującem wyrażeniem: „zabił się“ — jemu niespodziewanie wielką żałością serce się ścisnęło i z ust wyrwały potwierdzająco też same słowa. Ah! jakże ciężko odpokutował poczciwą swoję, mimowolną nieostrożność! Matka, wskutek nagłego przerażenia, a może też i wskutek silnie rozbitej o krzesło i posadzkę głowy, tegoż wieczoru zaraz dostała zapalenia

mózgu, najpierwej też wuj go przy zemdlonej matce naszej wyłajał; wieczorem ciotka Joanna z pół godziny mu dowodziła, że jest choroby, a może będzie i śmierci majorowej przyczyną.

Wczasie przeglądu, gdy ojciec w pełnym galopie przed dowodzącym konia osadzał, nieszczęśliwy ów guzik, ręką matki przyszyty, urwał się i niedopiętą dziurkę w mundurze zostawił. Przed frontem pułku gromy i pioruny na głowę winowajcy spadły. Nim godzina minęła, w bocznej alei Saskiego ogrodu, leżał trup młodego majora z roztrzaskaną czaszką.

Wiadomość lotem błyskawicy pułk cały natychmiast obiegła, żaden z kolegów nie miał odwagi iść z nią do wdowy i sierot losu swego nieświadomych.

— Wstydź się, stary — gderali na niego odwiedzający panowie — ktoby się po tobie spodziewał, że nie potrafisz języka za zębami trzymać.

Piotruś najmocniej w to uwierzył, że popełnił wielką, niepodobną nawet do odpokutowania zbrodnię; wyrzucał sobie, iż nietylko matkę zamordował, ale i ojca na zgubę naraził. Gdyby lepiej był mundur obejrzał i wszystkie guziki własną ręką wypróbował, pan szef uniknąłby wszelkiej nieprzyjemności, bo przecież w czem innem największy nieprzyjaciel nie miałby o co przyczepić się do pana szefa. Pan szef tak doskonale znał służbę, tak szybko i dokładnie wykonywał wszystkie obroty, jakby je ołówkiem po papierze, a nie kopytami po piasku zakreślał. Im dłużej nad tem zgnębiony Piotruś rozmyślał, tem czarniejsze plamy występowały na jego sumienie, tem zjadliwszą rozpaczą wzbierało mu serce. Pogrążony w tych bolesnych dumaniach, z twarzą w obu rękach ukrytą, siedział nazajutrz przy kominie w kuchni i zastanawiał się nad tem, czyby nie lepiej, a nawet czyby nie godziwiej było, gdyby poszedł za przykładem ukochanego swego pana i dowódzcy.

— Już tu nic nie mam do roboty — mówił sam w sobie. — Pani majorowa umrze, dzieciom powiedzą, że to z mojej winy, nikt mi nie da dobrego słowa,

trzeba się coprędzej za panem szefem wybierać. Choćby dziś, tylko że dziś już późno, ogród Saski zamknięty, a jabym chciał koniecznie jak pies położyć się na tej samej ziemi, gdzie on zginął. Niech tylko jutro z rana bramy uchylą, łatwo będzie rzecz całą załatwić. Przechodniów niewielu — pustka bezpieczniejsza.

Wtem poczuł, że jakieś drobne ramię na jego ramieniu zawisło.

— Piotrusiu — odezwał się głosik jakiś smutny, lecz pieszczotliwie serdeczny;— Piotrusiu, wszakże ty z nami zostaniesz? Cobym ja tu zrobił bez ciebie teraz, kiedy papy już niema!

I Piotruś rąk od twarzy nie odjął, ale nieraz później powiadał, że tak mu się w duszy zrobiło, jak gdyby nagle z piekła do nieba go kto przeniósł.

— Pan Józef, sam nie wiedząc o tem, życie mi uratował—dodawał zwykle z wiele znaczącą powagą. Lecz w pierwszej chwili wcale znać tak szczęśliwej przemiany nie było, rozszlochał się jak dziecko i dopiero gdy widział, że łez swoich nie zatai, porwał Józia w objęcie, do piersi go przycisnął, i we dwóch razem na pociechą sobie płakać zaczęli.

Może Piotruś nie wytłumaczył sobie, ale z pewnością uczuł to wszystkiemi władzami duszy swojej, że słowa chłopczyny miały wartość odpowiednią swej nominalnej wartości, że chłopczyna go potrzebował, że ów niezręczny, obwiniony, potępiony, temu dziecku jednak może być jeszcze na długo radą, pomocą i ułatwieniem w pierwszych trudnościach młodocianego życia.

Ja tymczasem, jak pokutująca dusza, snułam się po wszystkich kątach jadalnego pokoju. Pierwszy wieczór zaraz wysadził mnie ze zwykłej kolei. Nawet Robinson Kruzoe nie mógł się czuć tak obcym i samotnym, gdy się pierwszy raz na swej wyspie bezludnej ocknął, jak zapomnianą, opuszczoną, niewiedzącą co z sobą czynić ja się poczułam, wśród tego zamętu, z którego sprawy zdać jeszcze sobie nie mogłam.

Wiedziałam niby. że mnie coś okropnego otacza, lecz nikt nie powiedział, co to być może. Zrazu, gdy się matka ocuciła, coprędzej wprowadzono nas oboje do jej pokoju. Wuj miękkim, przyciszonym głosem nad uchem matki schylony, mówił:

— Tekluniu, masz dzieci przy sobie, oto przyszły; powiedz im choć jedno słówko serdeczniejsze.

Matka błędny wzrok na nas zatrzymała. Mogłoby się zdawać. że nas nie widzi, albo nie poznaje. Wuj niespokojnie śledził wyrazu jej twarzy. Po długiem milczeniu wreszcie, chora, wskazując na nas palcem, szepnęła zcicha:

— Sieroty. — I naraz zmieniły się rysy jej twarzy i w drugie, ciężkie zemdlenie zapadła.

Od tej chwili przystęp do jej łóżka był nam zupełnie wzbroniony. Ciotka Joanna, po odejściu doktorów, kazała oba łóżeczka nasze aż do trzeciego przenieść pokoju.

— Zmówcie pacierz, moje dzieci. i proście Boga, żeby wam matkę przynajmniej zachował — rzekła prawie nie swoim, tak łagodnym głosem. Wszak umiecie sami się rozbierać? — pytała dalej tonem, trochę więcej już do zwyczajnego zbliżonym.—Ośmioletni chłopiec i taka panna już to przecie umieć powinni. Marcyna teraz przy matce potrzebna, musicie się bez niej obejść.

Józio zaręczył, że się obejdzie.

— Mnie zawsze kazał papa. żebym się sam rozbierał i rzeczy porządnie składał, ale Napolcia... — i głos wątpliwie zawiesił.

— Napolcia — powtórzyła ciotka — przecież potrafi zapewne zdjąć sobie trzewiczki i pończoszki. Zresztą na chwilkę może przyślę tutaj Marcynę, żeby jej ztyłu sukienkę odwiązała.

Ciotka na dobranoc lekko ustami głów naszych dotknęła i do matki pośpieszyła.

Ciotka tedy wyszła, Józio się rozebrał. a ja stałam ciągle przy łóżeczku, oczekując przyobiecanego

ukazania się mojej nianiusi. Słuchałam, jak zpod kołdry braciszka stłumione łkanie się dobywało, potem ucichło, a potem zmieniło się w oddech równy, głośny i spokojny. Niebawem też świeca dopaliła się w lichtarzu i zgasła; ciemność wprawdzie nigdy mnie nie straszyła, lubiłam nawet wycieczki do ciemnej sieni i ciemnej za kuchnią komórki, bo wtenczas ojciec chwalił mnie i całował za to, żem zuch dziewczyna. Teraz dopiero, w dłuższem obcowaniu, wypowiedziała mi się ciemność ze wszystkich swoich ujemności: z niebezpieczeństwa i ze smutku; jeśli się ruszę, to mogę głowę rozbić sobie, mogę krzesła powywracać i hałasu narobić, a jeśli tak ciągle stać będzie trzeba, to i nóżki zabolą i zimno być zacznie. Gdyby papa wrócił, wszystkoby było inaczej, teraz już nikt o mnie nie dba. I rzeczywistość tego wyrażenia „nikt o mnie nie dba“ coraz cięższym kamieniem uciskać mnie zaczęła. Był to żal czysto egoistyczny z mej strony, ale niemniej był żalem, co mnie w tej czarnej i posępnej nocy w czarną i posępną stronę życia ludzkiego wtajemniczył; na długo potem, bodaj czy nie na dotychczas jeszcze, zostawił mi po sobie wstręt do zmierzchu i ciemna. Zdawało mi się, że już całą noc tak stoję, kiedy się wreszcie drzwi uchyliły i Marcyna pocichu, na palcach do łóżeczka mego się zbliżyła. Nie wiem, zkąd tę pewność wywnioskowała, ale najmocniej była przekonaną, że już spać muszę oddawna.

— Jezus Marya! a toż co! — zawołała, widząc mnie do poręczy łóżka przyciśniętą i nieruchomie przy niem stojącą — moje złotko nie śpi jeszcze, nie było komu dziecka rozebrać, położyć, kołderką otulić, o moje to biedne maleństwo!

W cichości zniosłam ciemność, samotność, zapomnienie i wszystkie moje krzywdy mniemane, ale tego głosu szczerego politowania znieść nie mogłam. Jak gdybym cały ten czas siły na to zbierała — nagle, pod dotknięciem rąk mojej ukochanej nianiusi wrzasnęłam tak okropnie, że całe mieszkanie napełniło się

szmerem nadbiegających w moję stronę kroków. Ukazał się wuj mecenas bez tużurka i chustki na szyi, a ze świecą w ręku, ukazał się wylękniony Piotruś i ostatnia ze wszystkich ukazała się ciotka Joanna, bezsennie widać przy matce czuwająca, bo ani jeden włos się jej nie rozrzucił pod koronkowym czepeczkiem, ani jedna fałdka przy kołnierzyku nie zagięła.

Na widok ciotki zrobiłam wielkie wysilenie, ażeby się od krzyku powstrzymać, ale nie mogłam już tego dokazać, głos wydzierał mi się z piersi mimowolnie, on już panował nademną, nie ja nad nim, wyrazy nawet, w które się załamywał, nie od mego wyboru zależały. Wołałam:

— Papo, papo, niech papa tu przyjdzie! tu ciemno mi i zimno! ja chcę iść do mamy!

Marcyna kładła mi w ucho najpieszczotliwsze swojego pomysłu przezwiska, całą siłą przyciskała moję główkę do swoich bujnie rozwiniętych piersi, nic to wszystko nie pomagało.

— Marcyno — rzekła ciotka — wynoś ją, wynoś coprędzej; pani się przelękła, tu o życie chodzi. Trzeba kogo poprosić, żeby ją gdzie na tę jednę noc przyjęto. Może znasz jaką kobietę, jakich państwa w kamienicy...

Marcyna nie dosłyszała reszty, bo już zemną do sieni uciekła. Sień jeszcze zablizką była matki, więc zbiegła po schodach aż na ulicę. Gdy mnie chłodniejsze powietrze owiało, przycichłam odrazu; przez kilka chwil jeszcze łkałam, łkałam silnie, trzęsłam się jak w febrze i mówić nie mogłam. Wkrótce jednak ta niemożność nawet minęła i przerywanym głosem zapytałam Marcyny:

— Gdzie, gdzie papa?

— Ot tam, mój robaczku — i wskazała mi na niebo, ślicznie w noc tę pogodną gwiazdami zasiane. Mnie się zdawało, że jednę z nich wskazuje, więc przypatruję się najpromienniejszej i największej ze wszystkich.

— Czy pewnie na tej gwiazdce? — znowu zagadnęłam.

— Tak, tak, zapewne na tej — śpiesznie potwierdziła Marcyna, żeby prędzej skończyć to badanie.

Sama później przyznała, że w ciężkim była kłopocie; cała jej wiara religijna i wszystkie ludowe przesądy wstrętnem jej samobójstwo czyniły, a przecież nie mogła w potępienie swego dobrego pana uwierzyć; co więcej, moralnym swoim instynktem odgadła to, że córka łatwiej zbawioną będzie, jeśli o zbawieniu umarłego ojca głębokie przekonanie w sercę swem zachowa. Gdy mi gwiazdę wskazała, osądziła, że ta najbezpieczniej rozstrzygnie między fałszem a prawdą. Lecz ja dalszych prócz tego potrzebowałam objaśnień.

— A jakim sposobem papa się tam dostał? a kiedy powróci?—nalegającym tonem prosiłam, żeby mi powiedziała.—To musi być strasznie daleko!

— O! daleko, daleko. Nikt z żyjących tam się nie wzniesie, tylko umarli znają drogę, a który trafił, to już nie wraca, bo mu tam lepiej.

I dowiedziałam się wielu zaziemskich tajemnic, że szczęśliwe dusze z innych światów patrzą na nas, znają wszystkie myśli nasze i proszą Boga, ażebyśmy, my ich ukochani, godnymi byli kiedyś złączyć się z niemi na zawsze. Każde słowo Marcyny tak było dla mnie przystępne i zrozumiałe, jak gdybym je nie po raz pierwszy słyszała.

— A czemu mama tak się przelękła, kiedy Piotruś powiedział, że papa się zabił? Wszak mama wie o tem, że pójdzie do papy?

— O! mojaż ty kruszyno najdroższa! mama się przestraszyła, bo tejże chwili byłaby rada za naszym panem pobiegnąć, a was tu samych zostawić się boi. Niktby was już tak nie ukochał, niktby wam tak nie dogadzał, nigdzieby wam tak dobrze nie było — ani u ciotki, ani u babki nawet.

Przeraziłam się wzmianką o tej możliwości.

— Marcyno, mama nie odejdzie jeszcze? — proszącym głosem pytałam.

— Bóg to raczy wiedzieć, moje dziecko. Jeżeli będziecie niegrzeczni, jeżeli Józio będzie hałasował i zaprzęgnięte krzesła około stołu obwoził, jeśli ty krzykniesz choć raz tylko, tak jak przed chwilą krzyczałaś, to mama sobie pomyśli, że jej nie kochacie, nie potrzebujecie, i bez wielkiego żalu rozstanie się z wami.

— Kiedy ja mamę kocham, ja mamy potrzebuję; moja złota, moja jedyna Marcynko! puść mnie na chwilkę do jej pokoju, żebym jej to powiedziała, nim mnie spać położysz.

— Do pokoju pani mecenasowa nigdyby Napolci nie wpuściła; ale wiesz, co zrobisz, mój ty aniołeczku najcudowniejszy? oto jak się na dobrą noc przeżegnasz, tak półgłosem powiesz mamie wszystko, co masz do powiedzenia. Nie bój się, mama usłyszy.

— Nie usłyszy z trzeciego pokoju, to zadaleko.

— Tacy chorzy jak mama to duszą słyszą z bardzo daleka.

Przez cały czas tej rozmowy Marcyna chodziła zemną tam i napowrót przed drzwiami kamienicy, huśtała mnie, całowała, póki zupełnie łkać i drżeć nie przestałam; teraz, widząc mnie uspokojoną, po cichuteczku na górę mnie wniosła. Uprosiłam sobie, że jeśli nie do pokoju mamy, to przynajmniej pode drzwi jej pójdziemy. Na szczęście moje, drzwi były uchylone, lampka w głębi się paliła i przy jej świetle dojrzałam leżącej na poduszkach głowy, z otwartemi szeroko i w jeden puntk utkwionemi oczyma.

— Mamo — szepnęłam zcicha — niechaj mama od nas nie odchodzi; my z Józiem bardzo grzeczni będziemy, bardzo posłuszni, zachowamy się tak cicho, jakby nas w domu nie było, tylko, mamo, nie zostawiaj nas tutaj, już lepiej weź nas razem z sobą do papy.

Oczy matki zwolna się przymknęły, a mnie Marcyna w łóżeczko położyła i gdy mnie całowała, czułam, że twarz jej od łez wilgotną była.

Nazajutrz ciotka Joanna bardzo się zdziwiła, żeśmy oboje z bratem w domu nocowali i cały ranek w stołowym pokoju przesiedzieli, a najmniejszego nie zrobili hałasu. Pochwaliła nas za to, nie chciała jednak zupełnie tak poważnemu usposobieniu naszemu zaufać; według pierwszego pomysłu swego, kazała nas przeprowadzić do sąsiadki z pierwszego piętra, która się nawet pierwsza z chęcią jakiejś pomocy do ciotki zgłosiła. Spędzaliśmy tam po kilka godzin codziennie, zawsze na noc do swoich łóżeczek wracając. Podobno ciotka chciała nas do siebie na wieś wyprawić, zwykle bowiem, chociaż mąż w Warszawie stale przebywał, ona zamieszkiwała niewielki, ale bardzo ładny w pobliżu stolicy folwarczek. Dom był drewniany, lecz wewnątrz wykwintnie urządzony, ogród pełen kwiatów, cienistych szpalerów i pysznych drzew owocowych; za ogrodem krzaki leszczyny, brzozowe gaiki snuły się aż po skraj większego lasu.

Ślicznie tam było, ale dzięki Bogu nie wywieziono nas z Józiem do tych wspaniałości, których wtedy ani Józio, ani ja ocenićbyśmy nie umieli; wuj mecenas zwrócił na to uwagę ciotki, że matka w jakiejś chwili lepszej przytomności, lub podnieconej gorączki, mogłaby nas koniecznie zażądać; dla niej więc zostawiono nas na podorędziu. Tymczasem wysłano listy z wieścią żałobną do babki i do wuja Kazimierza. Jak prędko, nie wiem, ale pamiętam chwilę, w której ten ostatni przyjechał; kiedy wszedł do pokoju, gdzie z Józiem kończyliśmy wieczerzę, blady był, jego włosy ciemno-kasztanowatego koloru tem ciemniejszemi przy świecy się zdały, a że był także i dosyć wysoki, tak mi jakoś ojca uprzytomnił, że aż:

— Papa wrócił! — krzyknęłam. Bo choć mi ciągle mówiono, że papa wrócić nie może, ja wierzyłam, ale nie czułam tego. Istotne zjawienie się ojca w owych dniach pierwszej żałoby nie byłoby mnie wcale zadziwiło. Dzieci nie mają pojęcia śmierci, jabym dodała nawet, że wstrętnego do niej instynktu nie mają; o ile widziałam, jeśli ból nie jest zbyt ciężki,

dziecię nadzwyczaj spokojnie, bez trwogi i żalu umiera, a choćby najszczerzej było do kogo przywiązane, to więcej za odjeżdżającym w powozie, niż za wynoszonym w trumnie tęskni i płacze. Śmierć nie czyni na dziecku tego wrażenia, jakie starsi z nią łączą. Dziecko nigdy nie jest przekonane, że traci kogoś *na zawsze*, że nie zobaczy go *nigdy*. Rzadkie są chyba wyjątki.

My z Józiem nie należeliśmy do wyjątków.

Wuj zmieszał się i przeraził moim wykrzyknikiem, a ja, gdy się o pomyłce przekonałam, równie wesoło zarzuciłam wujaszkowi obie ręce na szyję, jak gdybym zawiedzioną nie była, i Józio w ręce klaskać zaczął, lecz klaskać pocichu, bo pamiętał, że mama chora.

— Biedne, biedne dzieci! — powtarzał wujaszek, obejmując nas jedynem swojem ramieniem.—Czyż tak prędko jużeście ojca zapomniały?

— Ja ojca nigdy nie zapomnę — z oburzeniem zaprotestował Józio.

Przykro mi się zrobiło, że na takie posądzenie zasłużyć mogłam; nie śmiałam się usprawiedliwiać, tłumaczyć; z wielkiem upokorzeniem słuchałam później, kiedy ciotka Joanna opowiadała to zdarzenie, jako dowód mojej nad lata dziecinnej obojętności. Dziś jeszcze ręczyć mogę, że był to niesłuszny zarzut. Nie wuja Kazimierza wzięłam za ojca, tylko tę postać wysoką w płaszczu, z wojskowym ruchem stającą przed nami. Trzeba przyznać, że wcześnie z fałszywym sądem ludzkim się spotkałam. Wuj Kazimierz od chwili swego przybycia zaraz się z ciotką Joanną podzielił godzinami czuwania nad chorą. Babka też, jak mówił, koniecznie do swej najmłodszej wybrać się chciała, ale od śmierci męża tak podupadła na siłach, że ledwo do kościoła parafialnego kiedyniekiedy pojechać mogła; dała więc sobie zbyt przykrą drogę wyperswadować, ale domagała się koniecznie, żeby Teklunia na wyzdrowienie z dziećmi i z całym dworem swoim na wieś do niej przyjechała.

Lecz wyzdrowienie pod wielką jeszcze było wątpliwością. Dziwiło mnie to, że ów wujaszek, który tak zawsze bawił się z nami i dokazywał, teraz ledwo spojrzał na nas, ledwo czasem zrana lub wieczór pocałował, smutnie wzdychając. Trzeba przyznać, że dla dwojga takich pieszczonych, ukochanych dzieci, dla dwojga takich zawias kardynalnych, na których cały zakręt domowy się obracał, spaść nagle w beznaczność zupełną, nikogo prawie nie obchodzić, a każdemu często zawadzać, było to okropnie trudną do spożytkowania nauką. Nic dziwnego zatem, że zwolna te wycieczki na pierwsze piętro, do których zpoczątku namawiać nas było trzeba, zaczęły nam się coraz więcej podobać. Pani Glinicka pozwalała nam wszędzie biegać, wszystko ruszać, wszystkiego się napierać. Nieraz głośne śmiechy nasze rozlegały się po jej pokojach.

— Mój Boże!—mawiała wtedy zacna ta pani — jak to dzieci prędko zapominają, ani pomyślą o nieboszczyku ojcu, ani zatęsknią do matki.

Tymczasem my z Józiem wcaleśmy nie zapominali, ojciec był ciągle myślom naszym przytomny, a do matki serca nam się rwały, tylko uczucia te nie mieszały się z uczuciem cierpienia.

Kto wie, czy boleść nadgrobowa, czy smutek za umarłymi istotnie w naturze ludzkiej sam z siebie powstaje? Byłoby to wielką niesprawiedliwością, lub wielką niekonsekwencyą. Smierć — jedyna niezawodność w losie człowieka, śmierć - konieczność, śmierć - przeznaczenie, śmierć jakieś jutro nieuchylone każdego zrodzonego na ziemi człowieka, czemużby nieszczęściem lub strachem dla drugich być miała!? Żałoba niezawodnie sztucznym jest wyrobem, albo przygotowawczem ćwiczeniem do tego, co się istotnie umarłym należy.

Umarłym należy się pamięć, zachowanie stosunku przez utrwalenie we własnem życiu ich zasad, gdy były poczciwe, przez dosnucie ich zamiarów, gdy były

szlachetne, zachowanie tak wierne, jak wiernie dziejowość je zachowuje przez smutne skutki złych wpływów, które na nas wywarły, przez ciężką pokutę za ich grzechy i błędy. O! pielęgnujmy w sobie to dziecinne usposobienie przy każdem wiekuistem rozstaniu. Nie płaczmy, ale pamiętajmy, iż nasze życie umarłych przedłuża.

Pani Glinicka była-to majętna wdowa, drobna, szczupła, żywa i czynna, pracowita, jak się to rzadko pono między młodemi a majętnemi wdowami spotyka. Chociaż wówczas nie oceniałam tego, to dzisiaj wydziwić się nie mogę, że przy całej drobiazgowości swojej w utrzymaniu domowego porządku, pozwalała nam tak swobodnie się uwijać, między starannie pościeranemi meblami mahoniowemi i mnóstwem rozstawionych po stolikach i serwantkach fraszek. Zasługa jej rośnie w moich oczach, gdy sobie przypomnę, że wcale nie była przyzwyczajona do takich swawolnych jak my z Józiem dzieci. Miała wprawdzie syna jedynaka, ale ten nigdy chyba po dywanach się nie przewracał i po krzesłach na okna nie wchodził. Kiedyśmy się z nim zaznajomili, był-to już student z liceum warszawskiego, czwartoklasista, ze dwanaście lub trzynaście lat mający. Sztywny, krępy, z twarzą okrągłą, z niebieskiemi, na wierzchu osadzonemi oczami, zgóry spoglądał on na nas i zdawało się, że miałby sobie za ubliżenie, gdyby się kiedy aż do bawienia z nami poniżył.

Jednego dnia przecież, nie wiedzieć z jakiego powodu, wracając z klasy, Józiowi obrazek jakiś, a mnie pomarańczę przyniósł. Pomarańcza w owe czasy nie był-to wcale tak pospolity jak dziś upominek — może tam kiedy dostałam od kogo kawałek na skosztowanie, ale mieć całą pomarańczę w ręku, być jej właścicielką niezaprzeczalną, to się równało hesperydowej rozkoszy. Nie posiadałam się z radości, oglądałam skarb mój na wszystkie strony, podziwiałam ogrom, kształt i kolor i w pierwszej chwili unie-

sienia do tego stopnia darem się zajęłam, że dawcę z uwagi straciłam. Po chwili dopiero chciałam wdzięczność moję okazać, ale już student, jakeśmy go z Józiem nazywali, do swojego gabineciku się schronił. Gabinecik ów był jedyny nieprzystępny dla nas zakątek mieszkania. Ile razy które z nas tam się skierowało, zaraz pani Glinicka mówiła, że nietrzeba tam chodzić, że tam nic ciekawego niema, tylko książki i kajety, lub Oleś nad książkami i kajetami schylony. Tego dnia jednak, pierwej nim jakikolwiek zakaz mógł mnie powstrzymać, jednym pędem puściłam się i wbiegłam do tej ciekawej z kajetami i książkami kryjówki. Posiadacz jej klęczał właśnie przy drewnianym stołku i starannie linią arkusz grubego papieru obcinał. Po swojemu rzuciłam mu się na szyję i dusić go prawie w uściskach i pocałunkach zaczęłam. Linia się osunęła, papier się krzywo odkroił, a pan student z wielką biedą ledwo się z objawów mojej serdeczności wyswobodził.

— No dosyć, już dosyć — wołał z wyraźną przykrością — niech mnie Napolcia puści! Starszym, kiedy się uczą, nigdy przeszkadzać nietrzeba.

I z tą radą moralną wyprowadził mnie z pokoju, a potem słyszałam jak drzwi od wnętrza zamknął. Nigdy w życiu nie czułam się tak upokorzoną; dotychczas pewną byłam, że jeśli kogo popieszczę, to mu tem wielką łaskę lub przyjemność sprawię; teraz odtrącono mnie, połajano niemal; dowiadywałam się po raz pierwszy tej smutnej rzeczy, że chęć życzliwa, że garnące się do ukochania serce chłodno odepchniętem być może.

Zasępioną w kąciku, bodaj czy nie płaczącą nawet, spostrzegła wkrótce śpiesznie przez salon idąca pani Glinicka.

— Co ci to, moje dziecko? co, moje kochanie? czu upadłaś? czy cię co boli? Ah! jaką śliczną masz pomarańczę!

Wyraźnie chciała uwagę moję na ten piękny przedmiot skierować. Tymczasem widok jego do reszty mnie rozrzewnił i nie żartem łzami oblałam złote jabłko moje. Po długich pytaniach i bezowocnem usiłowaniu, by na nie odpowiedzieć, zdobyłam się wreszcie na jakie takie sprawozdanie.

— Wyprowadził mnie z gabinetu i drzwi na klucz zamknął.

— Kto, Oleś? — pani Glinicka naturalnie syna swego Olesiem, nie studentem nazywała.

— Tak jest, pan student—odrzekłam.

— A widzisz, moje dziecko, ja ci zawsze mówiłam, żeby mu nie przeszkadzać; on się uczy, on się bardzo lubi uczyć. I pocóżeś tam chodziła?

— Bo mi dał tę pomarańczę.

— Tembardziej nietrzeba było przykrości mu robić.

— Chciałam mu podziękować, uściskałam go, a on mnie za drzwi wypchnął.

— No, to inna rzecz, to już wina Olesia, że się na twojej dobrej intencyi nie poznał. Dzisiaj dajmy mu pokój, niech się uczy, zobaczysz, jutro wyłaję go, będzie musiał cię przeprosić.

Zapewne pani Glinicka nie wyłajała Olesia, niemniej przeto Oleś mnie przeprosił i w rękę pocałował. Twarz jego, dość pochmurna zwykle, łaskawie nawet uśmiechnąć się raczyła. Ja wszelako miałam już tyle rozumu, aby wiedzieć, że ze mnie żartuje.

Przyszedł dzień wreszcie, w którym matka, zdrowsza i silniejsza, widzieć nas zapragnęła. Podobno że jej było trzeba dość długiego przygotowania na tę chwilę. Zpoczątku kazała tak drzwi uchylać, żeby ją głosy nasze dochodziły, potem zdaleka patrzyła, jak się jedno lub drugie w otwartej dla jej oka przestrzeni mignęło, a jednak pomimo tego stopniowania wrażeń, gdy nas wuj Kazimiez do niej wprowadził, tak spazmatycznie płakać zaczęła, że dopiero musiał jej brat pogrozić, iż nas wyprowadzi, aby uspokoiła się trochę.

Ręce jej drżały, gdy nas tuliła do piersi, drżały jej usta, gdy powtarzała to samo słowo, które niegdyś w gorączce nam rzuciła:

— Sieroty, sieroty!

Na szczęście przyszło mi jakieś dobre natchnienie, żeby się spytać mamy, czy słyszała, co ja do niej z drugiego pokoju mówiłam pierwszego wieczora zaraz, jak... jak ciocia Joasia przyjechała.

Nie, mamę ani jedno słówko nie doszło. Więc coprędzej szczerą spowiedź rozpoczęłam, jak ja byłam niegrzeczną, jak strasznie się rozkrzyczałam, że aż Marcynka na ulicę ze mną uciekać musiała, jak mi mówiła, że ojciec na pięknej gwiazdeczce teraz mieszka, jak nakoniec przyszłam pode drzwi prosić, żeby się mama tak bardzo do niego nie śpieszyła.

Matki boleść w rozrzewnienie przeszła.

— Zostanę, zostanę z wami — powtarzała, całując kolejno schylone ku niej główki nasze.

— Pamiętaj, Tekluniu, żebyś dotrzymała tej obietnicy — wzruszonym i poważnym głosem wuj Kazimierz odezwał się na to. Nie chciał jednakże w tak smutnym kierunku dalszej rozmowy prowadzić. Zaczął nas wypytywać o wszystko, cośmy u pani Glinickiej robili i widzieli, więc zaraz Józio pośpieszył z najświetniejszym opisem różnych bogactw i arcydzieł.

— Jakie tam w złotych ramach obrazy z żołnierzami i generałami w mundurach najrozmaitszych; jaki na biurku koń żelazny czy miedziany, tego z pewnością powiedzieć nie umiał; jaki nożyk w perłową macicę oprawny; co za zwierciadło ogromne! — Przerwałam mu mojemi wykrzyknikami:

— Co za fortepian! co za śliczne lalki porcelanowe!

Istotnie takich kosztownych ozdób nie było w naszych skromnych pokoikach. W najpiękniejszym środkowym salonie popielate obicie, stół, kanapa i krzesła jesionowe, czarnym włosieniem pokryte, białe u okien firanki, bujnie rosnące kwiaty w zielono polewanych doniczkach — oto wszystko mniej więcej, co

sobie przypomnieć mogę. W sypialnym matki pokoju było trochę więcej sprzęcików dla wyobraźni dziecinnej ponętnych, ale nie szły w porównanie z tem, cośmy na dole oglądali.

— Cóż jednak z tego wszystkiego najwięcej się wam podobało?—zapytał wuj Kazimierz.

— Mnie koń—zawołał Józio.

— A mnie pomarańcza—rzekłam zkolei.

Trzeba było historyą tej pomarańczy opowiedzieć. Wujaszek zaczął mi dowodzić, że Oleś powinien mi się był jeszcze lepiej podobać.

— Mnie się pani Glinicka podobała, ale ten student, to strasznie brzydki.

— No, patrz, jak ta niewdzięcznica wcześnie sobie wyrabia pojęcia o tem, co piękne lub brzydkie — zwrcając się do matki, z lekkim uśmiechem oskarżył mnie wujaszek.

— Ja nie jestem niewdzięcznica — zaprzeczyłam coprędzej; — choć brzydki, pocałowałam go przecież; ale on taki niegrzeczny, nigdy bawić się z nami nie chciał, zawsze nad książkami siedzi tylko.

— A to właśnie grzecznym beć musi — wtrąciła matka, słabym swoim i drżącym jeszcze głosem. — Wszystkie grzeczne dzieci lubią zawsze nad książkami siedzieć; daj Boże, abyście i wy z Józiem lubili kiedyś także.

— Istotnie — odezwał się wujaszek — słyszałem że ten chłopiec ma wielkie zdolności, wielką chęć do pracy, i że doskonale się uczy.

— Pani Glinicka—zaszczebiotał wtedy Józio— mówiła, że jest pierwszym w swojej klasie i że nawet, kiedy wszystkich lekcyj już się nauczy, wszystkie zadania odrobi, to jeszcze wyciągnie jaką książkę z biblioteki i całą nocby czytał, gdyby mu świecy nie zgasili.

— A tybyś wolał spać, chłopcze? — zapytał wujaszek.

— O! niech śpi lepiej — wyrwałam się choć niepytana. — Mama nie będzie potrzebowała wstawać do

niego, żeby mu świecę gasić, i będzie zdrowsza, nie zaziębi się.

Po wybladłej twarzy matki przesunął się niby ślad zapomnianego uśmiechu.

— Lepiej, moje dziecko, niech mama wstaje, niech się i zaziębia nawet—rzekła, wychudłą ręką gładząc moje włosy;— mamie to nie zaszkodzi, niech tylko Józio dobrze się uczy kiedyś i tak jak Oleś, da mi prawo powiedzieć, że jest pierwszym w swojej klasie.

Słowa te dziwne na mnie zrobiły wrażenie; więc to musi być coś bardzo wielkiego dobrze się uczyć; a jednakże nietrudnem mi się zdawało: jeśli taki gruby i tłusty Oleś potrafi, cóż to dopiero będzie, gdy mój Józio do książki się zabierze. Czyż on nie umiał wybornie wszystkiego, co mu tylko pokazali? Piotruś odchwalić go się nie mógł, jak prędko całej mustry się wyuczył; papa raz tylko pokazał mu, jak to koniem powodować i na siodle trzymać się należy, a Józio zaraz sam trawnik dziedzińcowy wuja mecenasa dokoła objechał, aż go papa pocałował za to, i słyszałam, jak później chwalił przed mamą, że taki pojętny. A jakie to on długie wiersze umiał deklamować!

„Na głębiach oceanu, co dwa światy dzieli,
Gdy wracająca nawa żaglami się bieli"...

Ja tych słów nie rozumiałam nawet, on z pamięci mówił jak pacierz. Z czytaniem wprawdzie nie szło mu tak prędko, może dlatego, że mniej dbał o to; ale teraz, kiedy wie, że mama tego sobie życzy, te pewnie więcej książek od Olesia przeczyta. Wszakże jest daleko piękniejszy i ludzie za nim na ulicy się oglądają.

Takie było wówczas moje wyobrażenie o naukowych zdolnościach.

Tymczasem matka nasza zwolna bardzo, ale jednak przychodziła do zdrowia; nieszczęście nasze wiele współczucia wzbudziło. Kiedy już pan Czekierski pozwolił matce raz na dzień odwiedziny znajomych

przyjmować, zjawił się najpierwej jakiś pan wysoki, okazałej postawy, w ciemnozielonym mundurze, ze złotemi szlifami na ramionach, ale bez nogi. Zdaje mi się, że dziś jeszcze widzę przed sobą tę twarz pogodną, przy białych jak mleko włosach, kobiecą prawie świeżą białością i rumieńcem młodości, a po męzku prawdziwie uderzającą, bystrem ciemnych oczu spojrzeniem, dwoma łukami brwi czarnych jak węgiel i jak węgiel czarnym z obu stron do pół twarzy odkreślającym się zarostem. Kiedy wszedł, najpierwej Józia w czoło pocałował, a potem mnie wziął pod pachy i kazał, żebym ja go pocałowała. Z wujem Kazimierzem witał się nadzwyczaj serdecznie.

— No kolego — z uśmiechem rzekł, wskazując na próżny rękaw wujaszka — dwóch nas tu ludzi, a ledwie trochę więcej niż półtora człowieka. Możnaby z tego zagadkę do Momusa przesłać.

— Jeszcze to pół biedy — odpowiedział wujaszek — kiedy tylko jednej nogi i jednej rękj nam brakuje, a dwa stare poczciwe serca zostały.

— I zostaną usque ad finem. Ale powiedz mi, jak się pani majorowa miewa? Przychodzę do niej z ważną propozycyą, ląkam się, aby jej nie rozdraźniła.

— Kiedy ją pułkownik przynosi, to pewien jestem, że nie rozdraźni.

— Gdyby to pułkownik sam od siebie przynosił, toby nie rozdraźniło może; ale kiedy samego pułkownika poufną drogą z trzecich ust doszło jedynie, to sprawa trochę zawikłana. — I kilka słów zniżonym głosem do ucha prawie rzucił wujaszkowi. Wujaszek okropnie się zmieszał. Chwilę jeszcze rozmawiali tak z sobą pocichu, aż nakoniec obadwa weszli do matki pokoju. W wiele, w wiele lat później dowiedziałam się, że to o los Józia chodziło; ofiarowano mu miejsce w korpusie kadetów, z obietnicą promocyi do szkoły aplikacyjnej.

Matka aż się zatrzęsła z oburzenia.

— Nie, nie chcę! — krzyknęła z istnie gorączkową siłą. — Nie chcę, żeby mój syn w wojsku służył. Pod błogosławieństwem zakażę mu tego. Jeśli mi funduszu na szkoły zabraknie, to do rzemiosła go oddam, do handlu, byleby go moje oczy w mundurze nie widziały.

Pułkownik nie dziwił się temu wstrętowi, a jednak żal mu było, że straci sposobność do bezpośredniej opieki nad synem dawnego towarzysza broni.

— Zachowaj mu pan tylko opiekę przyjaźni i dobrej rady — mówiła matka, serdecznie dłoń jego w obu swoich drobnych rękach ściskając; — taka opieka da mu więcej, niż świetną karyerę: da mu wsparcie na drodze honoru i cnoty.

Pułkownik wyszedł od matki głęboko wzruszony. Gdy spotkał Józia w stołowym pokoju, wziął go za oba ramiona, silnie nim wstrząsnął, w oczy mu długiem, badawczem popatrzył spojrzeniem i rzekł nie wesołym już, nie żartobliwym, ale pełnym powagi i znaczenia głosem:

— Pamiętaj, chłopcze, że gdybyś na poczciwego nie wyrósł człowieka, tobyś ze mną miał do czynienia. Będę ja czuwał nad tobą.

— Józio trochę się przestraszył, trochę zdziwił, lecz mimowolnie prawie rękę grożącego mu z poszanowaniem ucałował.

W kilka dni potem, gdyśmy się z Józiem przy matce leżącej na sofie bawili, weszła do pokoju lekkim, prawie rzecby można bez szmeru płynącym krokiem jakaś pani dobrego wzrostu, dobrej tuszy, w popielatej sukni, czarnym szalem przyodziana, z czarną zapuszczoną u kapelusza woalką; gdy ją podniosła, matka nasza obie ręce wyciągnęła do niej, a nowoprzybyła, ująwszy je z łagodną pieszczotą, stała w milczeniu i patrzyła na zwróconą ku sobie twarzyczkę tak młodą, piękną a tak głęboko już smutkiem napiętnowaną i przez chorobę zniszczoną. Dwa strumienie łez płynęły po jej surowem obliczu, bo to jednak surowe było oblicze; rysy jego, na inną kobietę przeniesione, były-

by mogły nawet odpychającemi się zdawać, wszystkie były niekształtne, zaszerokie; zaszerokim był ich obwód, zaszerokim przedział między piwno-ciemnemi oczami, zaszerokim nos gruby, krutki, a przy mocno wyciętych nozdrzach niemal zadarty, zaszerokie usta, niedość pełne, zaszeroka broda zaczynająca się łączyć z szyją, której już dosyć wydatnie objawiające się wole zagrażało. Otóż mimo tych niedokładności rysunkowych, całość twarzy nie czyniła wrażenia brzydoty; można ją było nazwać surową, ale gdy ją uśmiech rozjaśnił, gdy ją tkliwość rozpromieniła, każdy uznać musiał jej wdzięk czysto duchowy; ja wiem przynajmniej, że ją zawsze dobrą i rozumną, a kilka razy w życiu nawet prawdziwie piękną widziałam. Miałam bo też dość czasu zapoznać się z tą twarzą, we wszystkich zmianach jej wyrazu, od udanego gniewu, do pokrytego milczeniem oburzenia, od użalenia nad cudzą biedą, do żalu nad cudzym błędem; patrzyłam na rozradowaną i na smutną, na trwożliwą i mężną, na zachęcającą mnie do życia i na umarłą.

Nieme powitanie matki naszej z wysoką panią, długim uściskiem i wzajemnym wysiłkiem do powstrzymania głośniejszego płaczu się zakończyło, odwiedzająca pierwsza na kilka słów się zdobyła:

— Moja Tekluniu — rzekła — jaki to Bóg dobry, że ci dał te dwoje dzieci!

Matka szepnęła coś tak cicho, że jej słowa uszów naszych nie doszły. Pani owa chyba także dosłyszeć ich nie musiała, czy nie chciała, bo zamiast odpowiedzieć cokolwiek, ku nam się zwróciła i skinęła, żebyśmy do niej przyszli. Zapewne niepierwszy raz widzieliśmy ją wtedy. Józio bardzo śmiało i zręcznie się ukłonił i w rękę pocałował, lecz ja nie przypominałam sobie tej poważnej osoby, więc też w półdrogi na uboczu stanęłam.

— A jaki grzeczny chłopczyk, ile też lat mieć może? — po matce przesuwając spojrzenie, pytała.

— Dziewiąty rok zaczął niedawno.

— I uczy się już — uczy?

— Zaczął już, ale bardzo mało na swój wiek umie.

Ten sąd matki oburzył mnie, jak największa niesprawiedliwość.

— Mamo — odezwałam się z mego kącika — Józio przecież bardzo dużo umie: umie się mustrować, konno jeździć, po wysokich drabinach chodzić i także długie wiersze deklamować! Piotruś powiada, że niezadługo to lepiej od niego potrafi swoje buciki wyszczotkować i sukienki wyczyścić.

— Jakto! już tyle, tyle rzeczy umie? — podziwiająco niby wykrzyknęła ta, która obcą mi się zdawała jeszcze, ale wcale niestraszną już.—Ah! moja Tekluniu, pokazuje się, że on już wiele pożytecznych posiada wiadomości; dobrze to że konno jeździ, mężczyzną jest przecież, mnie jednak najlepiej się to podoba, że już buciki tak wprawnie szczotkuje i sukienki sam sobie czyści.

— Piotruś powiada, że wojskowy powinien umieć wszystko sam koło siebie zrobić — odezwał się Józio sentencyonalnie.

— Nietylko wojskowy, mój Józiu — z żywością podchwyciła matka — każdy powinien to umieć i tobie się też przyda, choć nigdy wojskowym nie będziesz.

— Nigdy? — ze zdziwieniem powtórzył Józio.

— Niewarto mówić o zbyt dalekiej przyszłości— pośpiesznie gość uprzedził odpowiedź naszej matki — dzisiaj. Józio niech tylko nad tem się zastanawia, jaką to on ma dobrą siostrzyczkę; gdyby nie ona, tobyśmy wszystkich jego umiejętności nie obliczyły ściśle; pójdźże tu, moja maleńka. — I gdy przyszłam— jakże ci na imię? — zapytała, głaszcząc mnie po twarzy.

Było to jedno z pytań ułożonego dla mnie przez Marcynę katechizmu, Nasłuchała się powieści o kradzionych i zabłąkanych dzieciach, więc i mnie coprędzej nauczyła:

— Jak ci na imię?

— Napoleona Hołosko, córka Tekli z Kalińskich i majora pułku drugiego ułanów, Ewarysta Hołosko.

— Gdzie mieszkasz?

— Na ulicy Zakroczymskiej pod Nr.... na drugiem piętrze.

— A jakich twoi rodzice mają znajomych?

Tu następował szereg kilkunastu nazwisk, systematycznie rozdzielonych na państwa, panów i panie.

— Znam ciocię moją Joannę i wuja mego mecenasa, Pawła Dobrzyńskiego; znam państwa pułkownikostwa Sowińskich, znam państwa Dyzmańskich, znam państwa Marszałkowskich, znam pana: Plichtę Kazimierza, pana Kopycińskiego Franciszka, d-ra Czekierskiego; znam panie: Glinicką, Nowodworską, pannę Wrzesińską i panią Wilczyńską.

Marcyna słusznie wnioskowała, że te stosunki mogą mnie, wrazie przypadku, dla obojętnych, lub nawet dla mających złe zamiary, pewną aureolą otodzyć. Wkrótce takiej nabyłam wprawy w odpowiedziach, że nie czekając pytań, jednę po drugiej trzepałam, i teraz więc byłam pewna, że ta pani, ciekawa postępów Józia w nauce, zkolei dowiedzieć się też chciała, czy ja korzystam z udzielanych mi lekcyj. Bez zająknienia przeto szybko młynkować zaczęłam:

— Nazywam się Napoleona Hołosko, jestem córką... mieszkam... znam państwa.. panów... panie... aż stanęłam na pani Wilczyńskiej i odetchnęłam swobodnie.

Słuchająca przygarnęła mnie ku sobie, ucałowała i wziąwszy na kolana, coś po francusku do matki rzekła, a potem zemną bliższą zaczęła rozmowę. Najpierwej musiałam objaśnić, kto mnie tego nauczył i w jakim celu. Spadła na Marcynę i na mnie wielka pochwała.

— Więc ty znasz panią Wilczyńską, moje dziecko?

— Nie znam—krótko i węzłowato odcięłam.

— Ej! czy tylko naprawdę nie znasz? czy nigdy jej niewidziałaś?

— Marcyna mówi, że widziałam, ale ja nie pamiętam.

— Więc czemu ją liczysz między swoich znajomych?

— Bo Marcyna mówi, że to bardzo dobra pani, że wielu biednym i bogatym ludziom jest znaną, więc jej nazwanie zawsze mi na dobre wyjść może.

— Zkądże Marcyna wie o tem?

— Przecież od mamy słyszała. Mama cały rok była u pani Wilczyńskiej i bardzo ją kocha.

— A ty czybyś ją kochała, gdyby była na przykład do mnie podobną?

Zaczęłam się uważniej przyglądać uśmiechniętej, która się ku mnie pochyliła.

— A może to pani jesteś panią Wilczyńską? — zawołałam uradowana moją domyślnością.

— No, zgadłaś; idzie tylko o to, czy taka pani Wilczyńska ci się podoba?

— Teraz to mi się już podoba — odrzekłam po krótkim namyśle.

— Więc pierwej ci się nie podobałam?

— Nie.

— Ah! Napolciu — zgorszonym głosem upominała mnie matka.

— Dajże jej pokój! — przerwala zacna ochmistrzyni; — można zgromić dziecko, kiedy samowolnie wmiesza się do rozmowy starszych i swoje sądy o nich objawia, lecz gdy je pytają, powinno zawsze szczerze, to co ma na myśli, powiedzieć. Nie bój się, zbyt prędko przyjdą lata, w których się nauczy zdania swoje w bawełnę obwijać. Teraz — ciągnęła dalej, ku mnie się zwracając — mam nadzieję, że Napolcia powie mi otwarcie, dlaczego jej się nie podobałam zpoczątku, a teraz już podobam?

— Pani mi się nie podobała dlatego, że nie jesteś taką śliczną jak mama; a podobasz mi się, bo mnie pieścisz i dlatego bo się dowiedziałam, że jesteś tą dobrą panią Wilczyńską, o której mama nieraz nam różne rzeczy opowiada.

Za moją szczerość dostał mi się jeszcze jeden uścisk, po którym nowe nastąpiło zapytanie:

— A czy chciałabyś, Napolciu, być u mnie, tak jak niegdyś była twoja mama, tylko trochę dłużej?

— O! nie! — wykrzyknęłam conajśpieszniej. — Ja nie mogę mamy opuścić. — I zaczęłam się nieznacznie z kolan pani Wilczyńskiej zesuwać.—Mamo, wszak prawda, że nie mogę? Wujaszek mi powiedział, że ja z Józiem tośmy twoje pociechy jedyne.

— Ja też cię nie chcę dziś już z sobą zabierać — przedstawiała pani Wilczyńska — zatrzymując mnie trochę przymusowym sposobem. — Wujaszek ma słuszność; jesteś wraz z braciszkiem największą dla mamy pociechą, ale później, jak podrośniesz, to mama równą pociechę mieć będzie, kiedy zobaczy, że się uczysz i po francusku, i po niemiecku, i grać i rysować.

Wychyliłam się naprzód, by z oczu mamy pomiarkować, czy istotnie mama życzyła sobie tego wszystkiego, ale mama w tej chwili właśnie do ust przyciskała rękę dawnej swej przewodniczki, a nawiasem wspomnieć warto, że była to ręka biała, pulchna i drobna, jakgdyby do najarystokratczniejszego próżniactwa utoczona. Ta pracowita i dobroczynna ręka!

— O droga pani! — mówiła matka nasza z drżącemi w głosie łzami. — Moja biedna sierotka nie ma dość świetnej przyszłości przed sobą, aby z tak wspaniałej obietnicy korzystała, a ja też prawa nie mam żadnego...

— Tylko spokojnie, spokojnie, moja Tekluniu — uprzedzając dalsze słowa, odezwała się pani Wilczyńska. — Trzeba nam się rozsądnie nad tem zastanowić.—I puszczając już mnie na ziemię—niech dzieci idą się bawić, a my tutaj radzić o nich będziemy — dorzuciła, z takim jakoś stanowczym i poważnym tonem, żeśmy bez zwykłej opozycyi i zwykłego marudzenia natychmiast z pokoju się wynieśli. Może w godzinę potem mama napowrót nas przywołała,

a gdyśmy weszli: — Ucałujcie ręce i kolana tej opiekunki waszej — rzekła do nas — ty Józiu za siostrzyczkę, ty Napolciu za siebie samę. Niech tylko Bóg da zdrowie i życie, a w najpóźniejsze lata jeszcze będziecie mieli za co imię pani Wilczyńskiej wspominać.

Ucałowaliśmy ręce i kolana wskazanej nam przez matkę dobrodziejki, i nowy egzamin się rozpoczął i braciszek powiedział te długie wiersze, które mój podziw wzbudzały, a ja znów czułam się upokorzoną, że mi tylko krakowiaki śpiewać kazano. Z własnej też woli, ni pytana, ni proszona, wystąpiłam z wierszem Kniaźnina:

„Śpij, moje złotko, śpiewała matka, kołysząc swe [dziecię.“

Pani Wilczyńskiej bardzo się to podobało, znowu coś do mamy po francusku długo mówila, aż nakoniec późnym wieczorem rozstała się z nami.

W tym czasie także pamiętam odwiedziny pana Józefa Paszkowskiego, kapitana od artyleryi i profesora w szkole aplikacyjnej. Nie wiem jakim sposobem, ale najpewniej przez ciotkę Joannę doszło to naszej matki, że kapitan Paszkowski, gdy pierwszy raz o śmierci naszego ojca się dowiedział, z oburzeniem miał zawołać: „Szaleńcy! szaleńcy! zapomnieli o Bogu, więc o powinnościach prawego obywatela zapominają.“

Matka też wchodzącego nadzwyczaj chłodno powitała. Gdy już kilka zwyczajowych frazesów zamieniono, kapitan wstał z krzesła, jak gdyby się chciał pożegnać, ale wstrzymał się i zaczął wielkiemi krokami po pokoju chodzić. Widać było jakąś niespokojność w jego ruchach, jakąś myśl głęboko pracującą pod zmarszczonem czołem. Nagle stanął przed matką i zaczął mówić tym żołnierskim, trochę szorstkim tonem, który zwykle przybierał, gdy chciał utaić wewnętrzne wzruszenie:

— Pani majorowo! widzę że masz żal do mnie; musiał ci ktoś powtórzyć to, co w ów dzień nieszczęsny

z serca mi się wydarło, na pierwszą wiadomość o waszej stracie. No! trudno, i moja to była strata; kochałem go! Człowiek był z niego do gruntu serca poczciwy, szlachetny, z głową i charakterem. Głupstwo zrobił, głupstwo, nie mogę przecież wbrew przekonaniu mówić, ale go kocham zawsze i was wszystkich przez niego. Czy pani także na myśl nie przychodziło, że mógł inaczej tę sprawę zakończyć? mógł się do dymisyi podać, na innej drodze służąc krajowi, pracować dla rodziny?

— Nie, nie — przerwała matka — żadnego zarzutu nie stawiam jego pamięci; ja tylko jedna wiem, co on przecierpiał, ile zniósł w milczeniu, nic dziwnego, że musiała nadejść chwila rozpaczy i uniesienia.

— Chwila to zawsze grzeszna i nieszczęśliwa; gdybyś w niej była przy mężu swoim, pani majorowo, czyliżbyś ręki jego nie powstrzymała?...

Głos na tem pytaniu zawisł, a gdy matka nic nie mówiła:

— Powstrzymałabyś — ciągnął dalej — jak od grzechu i od nieszczęścia, powstrzymałabyś z instynktu kobiecego i z chrześciańskiego przekonania. Otóż ja także byłbym chciał jego ocalić, a teraz ocalić chcę jeszcze wielu jemu podobnych. Jeśli się żadne słowo surowej nagany nie podniesie, to kto wie, ilu młodych zapaleńców przykład Ewarysta pociągnie!... Cochwila każdy z nas spotyka na swojej drodze przykrości i zadraźnienia, oburzającą niesprawiedliwość częstokroć, a jednak sumienie o wytrwałość się upomina; tylko wytrwałością ciężkie kamienie z drogi naszej usuniemy i lepszego doczekamy się jutra. Wiem ja o tem, że im raźniejsze, tem draźliwsze bywają serca, lecz niechajże każdy z nich ucieczką się ratuje i w przedwczesnym grobie schronienia szuka, któż będzie na owo jutro pracował? Zostaną sami chyba niedołężni i znikczemnieni. Ja też co powiedziałem, tego nie cofnę, pani majorowo; nie usprawiedliwiać się, lecz wytłumaczyć przyszedłem; gdybyś

mnie nie zrozumiała, gdybyś nie wierzyła, że sąd mój w tak bolesnych okolicznościach jest osobistą z mej strony ofiarą... bo co mówię przeciw Ewarystowi, to jakbym przeciw bratu rodzonemu mówił... Pani wiesz najlepiej, jak blizki był między nami stosunek; wszakże o żalu moim nie wątpisz! — I grube jego szczerolitewskie rysy, czerstwe i rumiane, lekką bladością się powlokły, a w poczciwych, lazurowo-błękitnych oczach tak coś lśnić się zaczęło, że gdyby nie był kapitanem od artyleryi, toby można było przysiądz, że tam łza jakaś napływa.

— Matka widziała tę zmianę twarzy, czuła prawdę w tym śmiałym a niekiedy w stłumienie zapadającym głosie; wyciągnęła rękę na pojednanie i rzekła tylko:

— Nie wątpię.

Kapitan rękę po koleżeńsku uścisnął, nawet jej nie pocałował, choć była znakomitą ze swej piękności ręką, w kółkach bliższych i dalszych znajomą, ale gdzież jemu o tem myśleć wtenczas było! W oczach mu zaschło, rumieniec wrócił na lica, do objawu zupełnej radości brakło tylko uśmiechu na ustach, była natomiast nieskończona, niewyczerpana, prawdziwie i rodzinnie kochająca dobroć w spojrzeniu. Przysunął sobie krzesło, rozparł się wygodnie, bo czuł już pewny grunt pod sobą, i bez ogródki zapytał:

— Cóż pani majorowa z chłopcem robić zamyśla?

— Czy chcesz mnie namawiać, kapitanie, żebym go do wojska oddała?

— O! bynajmniej, już wiem że tego sobie stanowczo pani nie życzysz; trzeba jednak plan jakiś ułożyć. Który rok ma chłopiec?

— Zaczął dziewiąty.

— To wielki czas mu do szkół. Czy już zasadziliście go porządnie do przygotowania?

— Od bardzo niedawnego czasu. Mąż mój miał nadzieję, że kiedyś na ułana go wychowa, żeby w jednym i tym samym pułku obadwaj służyli; zdawało

mu się, że Józio bardzo wątły jest i nerwowy, książkową naukę z tego powodu na później odłożył, a tylko fizyczne jego siły rozwijał. Biedne dziecko moje niewiele też umie. Pamięć ma dobrą, lecz uwagę bardzo słabą jeszcze.

— Do której jednak klasy mniejwięcej mógłby zdać egzamin?

— O egzaminie to chyba nawet mowy być nie może; czyta jeszcze niebardzo płynnie i we dwóch liniach pisać dopiero zaczyna.

— To zamało, zamało; zaradzimy temu jednak. Przynajmniej jestże on zdrów teraz?

— O! zdrów, i zmężniał i urosł, tylko mu zawsze dziwne jakieś nerwowe rozdrażnienie zostało. Nie lubi ciemności; ojciec wszelkich starań dokładał, aby go z tego wyleczyć; posyłał go wieczorem po różne rzeczy do pokojów, gdzie światła nie było, żartował z niego, wbijał go w ambicyą i trzeba przyznać, że Józio wstydził się swojej słabości, posłusznie wypełniał wszystkie ojca rozkazy, tylko im trudniejszą była próba, tem on z bledszą twarzyczką po jej odbyciu wracał i zawsze w nocy miał sny niespokojne,

Kapitan się zamyślił.

— Chorobliwe usposobienie — rzekł wreszcie — trzeba czasowi zostawić; przymus niekiedy bywa szkodliwy. Jak z latami sił nabierze, dziecinna lękliwość sama przez się ustąpi. Teraz głównie o nauce myśleć trzeba; w domu nie pójdzie to ani łatwo, ani z karnością i ładem. Trzeba go w inne przenieść otoczenie; nowy tryb życia, nowe twarze więcej mu zaimponują.

— Ależ to niepodobna — zawołała matka. — Najpierwej nie mam na to funduszu, potem nigdybym dziecka mego w obce ręce nie oddała, a potem jeszcze...

— Pani majorowo! bez funduszu się obejdzie, i bez obcych ludzi także. Kiedy przyszedłem dla porozumienia się w tym względzie, to widać że już miałem plan gotowy; nieświetny wprawdzie, ale za-

wsze lepszy od tego, któryby się pod okiem—daruj mi pani — pod okiem znękanej i trochę słabej matki wykonywał. Oto poprostu, daj nam go pani na lat parę.

— Jakto, wam, do szkoły aplikacyjnej? — matka zrozumieć tego nie mogła. Kapitan głośno się rozśmiał.

— Otóż to, kiedy myśl jaka wyobraźnię kobiecą uderzy. Pani raz się już kadetami i szkołą aplikacyjną przestraszyłaś i ciągle cię ta zmora dręczy. A cóżby robił taki malec ośmioletni w naszej szkole aplikacyjnej? Ja mówię o sobie i o żonie mojej. Sam będę go uczył matematyki, historyi, geografii, gramatyki języka polskiego, a może się coś i z klasztornej łaciny przypomni. Żona będzie mu dawała lekcye francuskiego języka i rysunków, a gdyby go zanadto pieściła, to ją wnet do porządku przywołam.

— Nie mogę... — zaczęła matka. Pan kapitan skończyć jej nie pozwolił.

— Pani majorowa — mówił dalej, jak gdyby żadnej przerwy nie było — będziesz go miewała tutaj na wszystkie święta i niedziele, a nam dwojgu osamotnionym, nam co dzieci nie mamy, podarujesz na lat parę złudzenie rodzicielstwa. Wyobrazimy sobie, że chowamy własnego syna, który nam się odrazu w bucikach, majtkach i spencerku urodził. Więc zgoda, co, zgoda?

Matka głową przecząco poruszyła. — Jeszcze raz muszę powtórzyć, niepodobna! Jak w okropnym 1812 r. to dziecko zastępowało mi swego ojca, tak i w obecnej chwili zastępować go musi. Nazwij to, kapitanie, słabością, brakiem poświęcenia z mej strony; ja czuję, że bez niego żyćbym teraz nie mogła. A trzeba jeszcze powiedzieć kapitanowi, że niezadługo na wieś do mojej matki jadę; niech tylko trochę wzmocnię się i od doktora Czekierskiego pozwolenie uzyskam, natychmiast brat przybędzie tu po nas wszystkich i zabierze z sobą na czas nieograniczony. Pomyślże, kapitanie, czemby to było dla mnie, gdybym

odrazu ze szczęściem, z tem cichem naszem gniazdkiem domowem i z synem rozstać się musiała.

Kapitan zaczął znowu szerokiemi krokami pokój rozmierzać. Taki układ rzeczy wcale mu się nie podobał.

— Mniejwięcej jak długo pani zabawiać tam myśli? — spytał, ciągle się przechadzając.

— Nie wiem — smutnie odrzekła matka. — Ja teraz o niczem nie wiem. Jeszcze się nad przyszłością nie zastanowiłam, jeszcze nie obrachowałam się ani ze środkami utrzymania, ani z podwojnym ciężarem obowiązków, które spadły na moje ramiona! Jestem taka odurzona, taka bezsilna, nieradna.. Ale to przejdzie, kapitanie; będę się z Józiem hartowała — i wymuszony uśmiech, jakby do płaczu, ściągnął wychudłe jej rysy.

Szorstki kapitan zupełnie był podobny w tej chwili do człowieka, który tylko co ma się rozbeczeć; poprawił sobie obcisłego kołnierzyka, pociągnął się za gęstą czuprynę i przeczekawszy chwilę, żeby mu głos na mężniejszy ton się nastroił:

— Pojmuję to, pani majorowo — rzekł niby spokojnie.—Józia trzeba wziąć z sobą; ja bo nie wiedziałem, że na wieś wyjeżdżasz. Tylko nie baw tam zbyt długo, jeśli na zawsze osiedlić się nie zamierzasz. Pamiętaj, że dla syna twego pierwsza porządnie przeprowadzona nauka o całym ciągu dalszych nauk stanowić będzie. Gdyby wam na czas pobytu u matki udało się wyszukać jakiego dobrego nauczyciela, to go weźcie, choćby kosztem przycięższej nawet ofiary, lecz jeśli nie wyszukacie, to powrót przyśpieszcie; nie bójcie się, już ja mój plan przerobię, Józio mamy nie odstąpi, a ja będę obojga pilnował i do obojga na lekcye przychodził.

— Alboż to kapitan ma tyle wolnego czasu do zbycia? — przedstawiała matka.

— Ej! co tu gadać, kiedy się jutro nie zacznie robić. Ani przypuszczałem nawet, że pani majorowa

chce na dłużej kędyś daleko wyjechać; nie byłbym zaczepiał tego interesu; ja najlepiej tak lubię, żeby między słowem a czynem nie było i dwudziestu czterech godzin rozpędu, a tu na dłużej niż na 24 dni się zanosi.

— O! ja myślę, że na daleko dłużej—westchnęła matka.

— Na dłużej czy na krócej, zamawiam sobie, bym ja pierwszy wiedział o państwa powrocie. Pani Teklo, czy mogę liczyć na ten dowód waszej przyjaźni? Wszakże nie masz do mnie żalu?

Gdy mu tym razem matka rękę podała, kapitan nie zapomniał już ucałować jej najserdeczniej.

Łatwo się domyślać, że tej rozmowy nie słyszałam, jak to mówią, na własne uszy, ale słyszałam, gdy ją mama wujaszkowi opowiadała, słyszałam później, później jeszcze, gdy mnie ją opowiadał ten sam właśnie kochany mój i zawsze dla mnie najlepszy pan Józef, wówczas już pułkownikiem tytułowany.

Wyjazd na wieś.

Stało się nakoniec! Matka była zdrowszą, wujaszek po nas przyjechał i opuściliśmy Warszawę. Dla Józia i dla mnie dni poprzedzające nasz wyjazd zeszły bardzo wesoło; bawiły nas ogromne kufry i tłomoki, w które mogliśmy się jedno przed drugiem chować; pakowanie wszystkich rzeczy, zwijanie i rozwijanie jedwabnych sukien lub chustek różnokolorowych przed naszemi oczyma zastępowało nam w oknach sklepowych widywane świetności; ale matka coraz była smutniejsza. Żegnała miejsca kilkoletniem szczęściem uświęcone; pierwszym krokiem zstępowała na

drogę bardzo niepewnej przyszłości. Czy zostanie przy matce swojej, czy wróci kiedyś do Warszawy, to było zagadką jeszcze. Wiedziała tylko, że musi nową nitkę nawiązać, ale jasno nie zdawała sobie sprawy gdzie, z jakiej przędzy i jakim sposobem. Ta niepewność losu możeby ją doreszty zgnębiła, gdyby żal nie przygłuszał nawet niespokojności. Tymczasem trochę rzeczy się sprzedało, trochę złożyło u bliższych znajomych, pozostałemi naładowano wóz drabiniasty w cztery konie zaprzęgnięty.

Wóz pod opieką Piotrusia naprzód ruszył, a nas wujaszek do krytego powozu wsadził, sam z Marcyną na przodzie usiadł, kilkanaście rąk wyciągnęło się do nas z życzliwym uściskiem, ale z całej gromadki żegnających przypominam sobie tylko stojącą na przodzie panią Glinicką i tłustego Olesia, który w ostatniej chwili nietylko Józia, ale mnie raczył bez przymusu tym razem ucałować.

Dziś jeszcze wytłumaczyć sobie tego nie umiem, czemu ta pierwsza podróż tak mało na mnie zrobiła wrażenia. Może być, że w danej chwili wrażenie było dość silne, ale coraz nowemi przedmiotami podsycane, utrwalić się nie mogło. Lasy, pola, wsie i ogrody zlały się w jednolitą masę, na której zarysował się obrazek jakiegoś dziwnego złudzenia tylko.

Było to pod wieczór, jechaliśmy lasem, konie były zmęczone; wujaszek z mamą ciągle o tem mówili, żeby to się na nocleg nie zapóźnić, i my też z Józiem niecierpliwie wychylaliśmy główki, w nadziei, że nam się prędzej dom pożądany ukaże. Długie siedzenie na jednem miejscu już nam się sprzykrzyło.

— A czy to daleko jeszcze? — pytaliśmy razporaz.

— O! już niedaleko! — krzyknęłam nagle z radością. Tam, tam, przy końcu lasu biały dom już widać!

Wujaszek się obejrzał i mama także spojrzała, ale domu nie dowidzieli. Wycięcie lasu w dalekiej perspektywie kończyło się tylko zapadającą w tym

punkcie oponą powietrznego widnokręgu. Istotnie koloryt matowy szarej godziny nadał mu lekkie podobieństwo do ściany marmurowej i dlatego, choć mi wszyscy przeczyli, ja się upierałam koniecznie, że tam na nocleg staniemy. Wujaszek żartował że zadaleko. mama z westchnieniem mówiła, że dla mnie zaprędko. bo tam niebo widać tylko, moje dziecko.

— To białe. to niebo?—pytałam zdziwiona.

— Ano niebo—powtórzyła Marcyna;—takuteńkie właśnie, jak nad naszemi głowami.

Dzieciom tak często niestworzone rzeczy wygadują, że ja także nie byłam pewna, czy mnie zwodzą. czy mi prawdę mówią, i póki tylko nie wyjechaliśmy z lasu, póty mnie gwałtowna ciekawość trapiła, czy my do białego domu, czy wprost do nieba zajedziemy; bo jeśli to niebo, naprawdę niebo, to go ominąć niepodobna, bo w poprzek drogi stoi. Co ja tam zobaczę, myślałam sobie, jakie gwiazdy; może gwiazdę na której ojciec żyje; może z nim razem wszyscy zostaniemy. Tam piękniej musi być, niż w kościele Ś-go Jana. żywe aniołki na złotych skrzydłach latają dokoła; kwiaty, kłęby dymu wonnego ze srebrnych kadzielnic, Matki Boskie w złocistych sukienkach, wszystko to snuło mi się tęczowym wątkiem po głowie — wtem wyjechaliśmy z lasu — ani domu, ani nieba. Dom się rozwiał. niebo się usunęło daleko; szeroką białą ścianą obejmuje nas w półkole. tylko ciągle cofa się przed nami; choćby konie cwałem pędziły, nie dościgniemy go nigdy. Jaki mnie żal ogarnął, to dziś jeszcze nie porównałabym go z najcięższemi żalami mojemi. po wielu innych szczęścia i nadziei horyzontach, które tak samo przedemną z ułudnej blizkości w dal niedostępną uciekały. Może to była chwila przeczucia i wróżby... no proszę, gdybym się nie znała, tobym gotowa była o mistycyzm się posądzić. Wtedy jednak obok żalu taki wstyd mnie ogarnął za moję pomyłkę, że nawet ani słowem zmartwienia mojego objawić nie chciałam. Niestety, objawiło się ono w gorszy daleko sposób; zaczęłam kaprysić, krzywić się, z Józiem kłó-

cić, z Marcyną szarpać. i ani mama, ani wujaszek nie mogli pojąć, co za licho wstąpiło we mnie. Iluż to starszych dziwaczy tak, że cierpkością ludzi odpycha, zaczepną nieufnością zniechęca. dlatego jedynie, że w głębi duszy tęsknią za jakiemś białem niebem, do którego na wczesny nocleg zajechać nie mogli. Józio daleko więcej odemnie w tej sławnej podróży wiadomości i wspomnień nazbierał. Doskonale pamiętał wszystkie miasteczka, przez któreśmy przejeżdżali, ale najkosztowniejszym klejnotem w jego wyobraźni pozostał mu pierwszy ranek na wiejskich błoniach zaczęty. Wujaszek, gdyśmy się na siano wszyscy do snu układli, jak gdyby przypominając coś sobie. zawołał na nas:

— Dzieci, dzieci, westchnijcież do Pana Boga, żeby jutro była pogoda, to wam coś takiego pokażę, czegoście jeszcze nigdy w życiu nie widziały i czego może większa połowa mieszkańców Warszawy nigdy także nie widziała.

Józio zaczął się dopytywać; wujaszek nie chciał mu powiedzieć, co to być miało. Ze zwykłym humorem swoim drażnił tylko siostrzeńca, różne mu podając określniki: że to jest okrągłe, że nikt bez tego obejśćby się nie mógł, że małe jak naleśnik, a większe od ziemi.

Ja podobno nic do tej rozmowy nie należałam, bo rozmarzona świeżem powietrzem, natychmiast usnęłam, jak mi tylko mama według zwyczaju krzyżykiem czoło przeżegnała; ale Józio ogromnie się zaciekawił, różne domysły i pomysły w senne marzenia mu się przeciągnęły.

Następnego dnia ledwie świtać zaczęło, już nas pobudzono, ubrano, ciepłem mlekiem pokrzepiono, bo rozkład drogi koniecznego pośpiechu wymagał. Mieliśmy przed sobą ze dwanaście mil do zrobienia, a matka nie chciała, zbyt późno przyjeżdżając na miejsce, wystawiać babuni na zbyt długie oczekiwanie, lub co gorsza, narazić na przebudzenie. Wujaszek siadł tym razem na koźle, wziął Józia na kolana, mnie

też piękne jakieś widowisko zapowiedział, ale nim co do czego przyszło, musiałam pewno niedospane godziny na kolanach piastunki odsypiać, bo nie przypominam sobie, abym później z tej obietnicy korzystała.

Józio tymczasem wybornie sobie przypomina, jaka niespokojność go trapiła, czy szary zmierzch jest pogodą, czy niepogodą. Gdy go wujaszek pocieszył, że się na pogodę zanosi, niecierpliwił się znowu, iż nic przed sobą zbyt osobliwego nie widział.

— Zdaje ci się, chłopcze, że takie piękne rzeczy odrazu jak kule z pistoletu wypadają; nie, mój drogi, trzeba sobie oczy półzmierzchem najpierwej przygotować, a potem silnie patrzeć ku tej stronie.

I wskazał ręką ku której; Józio pilnie patrzył, ale nic jeszcze nie widział.

— Czy umiesz pieśń poranną: „Kiedy ranne wstają zorze?“

— O! umiem już od bardzo dawnego czasu—pochwalił się Józio.

— To powiedz mi, jak te słowa rozumiesz?

Józio zmieszał się trochę; nigdy go to nie troszczyło, coby one znaczyć miały. Zorze trochę mu się z oraniem pomieszały; niepewnym głosem odpowiedział:

— To chłopi, co na robotę wychodzą.

Wujaszek rozśmiał się serdecznie.

— No, niezupełnie zgadłeś; wstają chłopi na ziemi, a zorze wstaje na niebie. Ot widzisz, już pokazywać się zaczyna.

Istotnie pierwsze blaski różane majaczyć nad ziemią zaczynały; zwolna coraz wyżej, coraz szerzej, coraz purpurowiej i złociściej rozlewały się po obłokach.

— Teraz, Józiu, przekonasz się, że to ziemia śpiewa, kiedy jej ranne zorze czas tej muzyki oznajmią. Nadstaw tylko dobrze ucha.

— Ale kiedy koła turkoczą.

— Albożto prócz kół turkotania nic więcej nie słyszysz?

— Nic więcej — odpowiedział zdumiony Józio — chyba jakieś ptaszki, co tu gdzieś blizko świegoczą.

W tej chwili ukazał się łuk wschodzącego słońca i mnóstwo zmieszanych głosów znad zagonów, znad łąk poblizkich i znad stawu, koło którego się przejeżdżało, jednocześnie w powietrze się wzbiło.

— Jakże, czy jeszcze nie słyszysz?

— Ależ wujaszku, to ptaki śpiewają.

— Pamiętaj, chłopcze, że głos ptasząt, szum liści na drzewach, świstanie wichru, cichy szmer płynącej wody, huk grzmotów i piorunów, każde słowo co z ust ludzkich wylatuje, wszystko to razem w jednę ziemską pieśń się składa; a teraz żeby z tej pieśni więcej tonów na chwałę, niż na obrazę Pana Boga brzmiało, zanućmy sobie razem pieśń Karpińskiego.

Wujaszek pierwszą nutę podał, Józio z furmanem przyłączyli się do niego, matka nasza z Marcyną zawtórowały z głębi powozu i — nieraz to brat wspominał, że ta wspólnie zaimprowizowana modlitwa na całe życie późniejsze głębokie zostawiła mu wrażenia. Zmieniał on w dalszych latach pojęcia i przekonania, systemata filozoficzne, wierzył i nie wierzył, ale w każdem przejściu swojem szanował zawsze religią i modlitwę. Pierwsze silniejsze wrażenie jego pod tym względem zbiegło się z wewnętrzną prawdą uczucia i ze szczerą prostotą myśli; wielu jeszcze było wtenczas szyderców, zostało nawet trochę rozproszonych nieprzyjaciół wiary i kościoła, kto wie, czy oni właśnie w dzieciństwie swojem nie spotkali się z jakim objawem obłudy, podstępu lub nikczemności, w imię najświętszego chrystyanizmu popełnianych! Przypuśćmy, że od tego cała różnica między moim Józiem a Wolterem zawisła. Nie zdaje mi się, by ta hypoteza zaszkodzić komu miała, wróćmy jednak do głównego wątku.

Przed wschodem słońca wybraliśmy się z noclegu, zachodnie jego promienie oświeciły nam już wśród szerokiej płaszczyzny rzuconą niby oazę drzew zielonych, szarych chałupek i bielejących gdzieniegdzie

murów. Był to Mielinek, rodzinna wioska. od trzech czy czterech pokoleń w ręku Kalińskich zostająca. Ponieważ od ostatniego popasu wszyscy na swoje miejsca w powozie wrócili, matka więc mnie i Józiowi, z dawno na jej twarzy niewidzianem ożywieniem, różne szczegóły krajobrazu tłumaczyła.

— To najbliższe zagrodzenie, nad którem z komina dym tak prosto wije się dogóry, to najbogatszego z całej wsi gospodarza mieszkanie; widzicie, ma sad dokoła, a jakie w nim jabłka i gruszki! Pamiętasz, Kaziu, jak nas stary Gruda częstował niemi? Czy lepsze były — nie wiem, ale wiem, że lepiej mi smakowały niż te, które u nas we dworze nam dawano.

— Starego Grudy już nie zastaniesz, Tekluniu.

— Iluż ja to nie zastanę z tych, których żegnałam tutaj! — Milczenie zapadło na chwilę, matka jednak pierwsza je przerwała; koniecznie jej było trzeba otrząsnąć się z rzewliwego usposobienia, aby swojej matce na powitanie jeżeli nie wesołą, to przynajmniej spokojną twarz przedstawić. Znowu tedy wskazywać nam zaczęła, gdzie dworskie zabudowania stoją, gdzie ciemnieje ogród rozległy, w której stronie za ogrodem łąki i rzeczka prześliczna.

Nakoniec wjechaliśmy w obszerny dziedziniec i stanęli przed gankiem modrzewiowego dworu. Na ganku stała wysoka, okazałej postawy, a surowych i ostrych rysów kobieta, grubą laską podparta. Matka nasza do kolan jej przypadła i pomimo całego przygotowania, głośnym płaczem wybuchła. Babka pewno płakała także, ale nie wiem, nie pamiętam; wiem i pamiętam jedynie, że w pierwszej chwili, gdy nas mama za ręce wzięła i po jej pierwsze błogosławieństwo przywiodła, babka, przypatrując nam się uważnie, Józia najpierw bardzo serdecznie w głowę pocałowała, a mnie potem lekko twarz ręką pogładziła.

— Jaka podobna do Joasi - rzekła przytem dość obojętnie.

Brzmienie głosu, imię ciotki Joasi, wszystko to jedno z drugiem onieśmieliło mnie bardzo; wtył za

mamę się cofnęłam i jak mnie potem raz jeszcze babka przywołać do siebie chciała, nie wychyliłam się już z mojego ukrycia. W tych drobiazgach rysował się już charakter przyszłego z babką stosunku. Józio został ulubieńcem, Leonka (bo mnie Napolcią zwać nie chciała) nigdy nie mogła sobie łask jej zaskarbić.

Cały ten pierwszy wieczór, a raczej pierwsza połowa wieczoru, pod dachem dziadów i pradziadów, wcale niemiłe zrobiła na mnie wrażenie. Jakiś dziwny strach mnie uciskał; ze strachem przechodziłam sień ogromną, w której na hakach wisiały pozabijane przez wujaszka i przez strzelców jego zwykle zające, kuropatwy, bekasy, cietrzewie; jak w tej porze, kilka lisów tylko i dzik jeden ogromny. Ze strachem zajęłam miejsce moje przy kolacyi, bo właśnie tuż naprzeciwko z czarnych ram i z tła czarnego ogromny mężczyzna w czerwonym kontuszu zdawał się ciągle patrzeć na mnie, i ruszać czarnemi wąsami i grozić mi dwóch wielkich oczów spojrzeniem; ze strachem szczególniej słuchałam babki mojej, ile razy się do mnie odezwała, a zapytana przez nią, na nic odpowiedzi znaleźć nie mogłam. Zostało mi to nieszczęśliwe usposobienie aż do tej chwili pono.

Brak współczucia w otaczających, krytyka niechętnych, potrącanie obojętnych nawet zupełnie, przytępiająco działa na moje władze umysłowe; dziś jeszcze, gdy na mnie spocznie wzrok zimno badawczy lub szyderski, zaraz tracę wszelką naturalność, przestaję być sobą, sztywnieję jak przekrochmalony kołnierzyk. Upokarza mnie to, że ulegam takim wpływom. Jeżeli—prawię sobie morały—jeżeli słuszność po stronie surowych, to powinnam się poprawić; jeżeli niesłuszność, to powinnam nie zważać zupełnie, a ja, biedna, nie mogę! Żebym była dobrą, żebym była dowcipną, żebym była heroiczną nawet — nie oklasków i pochwał mi trzeba, ale koniecznie, koniecznie muszę mieć wkoło siebie kochające i życzliwe serca, przyjaciół lub współwyznawców. Gdyby to we mnie byli od pierwszego symptomatu zrozumieli czuwający nade-

mną, gdyby matka, gdyby mój Kazimierz... ale czyż mogę mieć żal do nich za tę nieuwagę, żal do kogokolwiek za dotkliwsze pomyłki? Nie—nawet na ciotkę Joannę obrażoną nie jestem, choć tę właściwość mego charakteru próżnością często, a raz nawet kokieteryą nazwała; toćże mnie samej trudno było do jasnego przyjść z własnem sumieniem rachunku. Nie mogłam sobie wytłumaczyć, jakim dziwnym sposobem łączyła się we mnie taka dziwna zależność i taka królewska niepodległość względem ludzkiej opinii? Lada kumoszka złośliwa, lada fircyk salonowy mogli mi zatruć chwilę obecną, utrudnić rozmowę, odjąć wszelką ufność do siebie samej. A jednak lubiłam walczyć z towarzyskiemi przesądami, wyzywająco czasem drażnić ogólnie przyjęte, wobec zaś mego sądu nieusprawiedliwione zwyczaje; nigdy się nie cofnęłam przed złym pozorem, przed grozą ludzkiej obmowy, ilekroć tylko o spełnienie czego dobrego, o wyświadczenie bliźnim choćby najmniejszej przysługi chodziło. Kto wie, czy powodem lękliwej drażliwości, równie jak powodem zbytecznego zuchwalstwa, nie były pierwsze dziecięcego losu odmiany. Budziłam się do życia wśród samych kochających i każdem słowem mojem uszczęśliwionych istot; potem coraz częściej zaczęłam spotykać się z bezzasadną przyganą, lub wcale niezasłużonem odepchnięciem; kochający wyobrażali mi prawdziwe moje, wszelkim warunkom społecznym odpowiadające życie. Ojciec, matka, brat, domownicy, toć to przecież słowem Bożem i ustawą ludzką odkreślony światek, toć konieczność losu, a gdybym nie szanowała jej świętości, toby mię jeszcze władze świeckie i duchowne zmusić do tego mogły; niechętni byli jakąś przypadkowością, która bezprawnie spadąła w zakres momojej osobistości—nie rozumiałam ich, wyobrażali mi przykrość, której można było uniknąć, złe, z którego miałam prawo się otrząsnąć... dziecko zaiste nie dowodziło sobie tego wyrazami, lecz czuło sercem, instynktem. Teraz powinnabym mieć więcej rozumu i wiedzieć, że przypadkowość taka jest nieuniknionym,

bardzo prawidłowym i matematycznym życia wynikiem, że i względem niej są nieuniknione obowiązki, jednakże... no, mniejsza o to!

Dwór mieliniecki (jak w okolicy mówiono, chociaż należało go właściwie mielinkowskim zwać dworem, lecz gramatyka zwyczaju nie przemoże; zawsześmy z Józiem mówili o mielinieckich polach, lasach, a więc niech będzie nim) był doskonałym zabytkiem dawnego stylu budownictwa, który, jak się zdaje, najlepiej odpowiadał potrzebom i upodobaniom naszych kilkowioskowych, a choćby nawet mających pewne znaczenie w powiecie obywateli.

W dziciństwie mojem wiele takich widziałam; później znikły jakoś z powierzchni ziemi, może dziś nawet mieliniecki, tak jak one, żadnego śladu po sobie nie zostawił.

Na pierwsze spojrzenie widać tylko było dość ciężką masę czworoboczną, z sześcioma oknami od frontu, po trzy z każdej strony ganku, z drewnianemi ławami, szeroko i daleko naprzód wysuniętego. Z tego ganku wchodziło się do bardzo obszernej i wysokiej sieni: na prawo otwierał się naprzód duży pokój jadalny z dwoma oknami od dziedzińca, za jadalnym równa jemu wielkością sypialnia babki z jednem na dziedziniec, a drugiem szczytowem, na zabudowania gospodarskie zwróconem. Za sypialnią mniejszy trochę i z oknem na ogród wychodzącym pokoik; w tym pokoiku sypiała matka nasza ze swemi siostrami, gdy jeszcze małą dziewczynką była.

Po lewej stronie sieni ten sam rozkład, też same rozmiary pokoi, z odmiennem tylko przeznaczeniem; pierwszy służył za salę do tańca, kiedy się dosyć młodzieży zebrało; w drugim, tak zwanym bawialnym, przyjmowano znakomitszych i rzadziej bywających gości. Bliżsi znajomi, sąsiedzi tacy, którzy to czasem po parę razy w tygodniu bywali, sami już prosto szli do jadalnego, lub do babki pokoju. Trzeci, przykomórkiem zwany, tem się jedynie różnił, że miał drzwi szklane na ogród wychodzące i w nim starsi wujowie

ze swoim *dyrektorem* mieszkali — młodszym albowiem słano na sofkach lub na ziemi, gdzie się miejsce zdarzyło. Dwa te skrzydła jak od dziedzińca sień rozłączała, tak od strony ogrodu łączył i uzupełniał szereg różnych izb gospodarskich i służebnych, zacząwszy od największej śpiżarni, idąc przez spory kredens, a kończąc na garderobie dla dziewcząt służących. Między tem wszystkiem znalazło się jeszcze miejsce na czarną, jak pospolicie mówiono, kuchenkę — właściwie jednak w tej kuchence nigdy niczego nie gotowano, był tylko skład wyborowego na ogień kominkowy drzewa, wielki otwór od pieca, który sypialnię babuni ogrzewał, gdy go stróż w zimie dwułokciowemi szczapami napełnił, i były prócz tego wązkie schodki na strych wiodące.

Z oddaleniem się synów, z pójściem za mąż córek, ze śmiercią dziadka nakoniec, w użytkowaniu różnych części mieszkania lekkie zmiany zaszły, jakkolwiek w języku mieszkańców dawne tytuły się utrzymały. Mówiono zawsze o sali, o bawialnym pokoju, o przykomórku, ale całą tę stronę domu przed naszym przyjazdem wuj Kazimierz zajął na swój wyłączny użytek. Dopiero gdy matka z nami przyjechać miała, przeniósł się do oficyny, a dla siostry z największą starannością i jak mógł najozdobniej lewą połowę domu urządził. Przykomórek zajęła Marcyna z kuframi i szafami do rzeczy, w bawialni ustawiono łóżeczka nasze w nogach przy łóżku matki; między oknami jej tualetę, przy ścianach jej kanapki — wszystko, o ile się dało tylko, w takim samym jak na Zakroczymskiej ulicy porządku. Gdyby jeszcze zielone było obicie, toby się mogło zdawać, żeśmy kawałek Warszawy z sobą przenieśli.

W sali stało biurko z piśmiennemi przyborami, to jest zwyczajny stolik suknem zielonem pokryty; firanki białe i zielone doniczki z kwiatami przypominały dawną naszę siedzibę — czarno jednak lakierowane meble, angielskim perkalikiem poobijane, były już miejscowym zabytkiem. Wzorzysty perkalik na

tle piaskowem w jaskrawych kolorach przedstawiał chińskie pagody i chińskich mandarynów, ku wielkiej mojej, a nawet i starszego Józia radości. Równem źródłem naszej uciechy był parawan, drzwi wchodowe zasłaniający; płócienne jego skrzydła wyklejono lśniącym, niebieskim papierem, u góry i u dołu dano szlak także papierowy, ale złocisty, całą zaś powierzchnię błękitną urozmaicono mnóstwem powycinanych starannie obrazków: były tam ptaszki i konie, krówki i drzewa, ze starych żurnalów strojne panie i w bardzo wysokich kołnierzykach panowie, były też i ze sztychów angielskich historyczne lub z życia domowego sceny, było tyle wszystkiego, że nam dzieciom aż po ostatnią chwilę naszego pobytu zawsze coś nowego dopatrzeć się zdarzyło. Na ścianach wisiały także jedne w złotych, drugie w ciemnych ramach olejno malowane portrety. Czyje? o tem się strasznie tradycya poplątała i prawie zupełnie umilkła. Więcej było męzkich, kobiecych dwa tylko; z tych jeden główne miejsce nad kanapą zajmował. Byli tacy, którzy mówili, że to portret jakiejś praprababki; inni utrzymywali, że jakiejś księżnej, wielce dla rodziny Kalińskich przychylnej. Zachwycałam się tą postacią w naturalnej prawie wielkości przedstawioną: miała na sobie atłasową niebieską suknię, srebrem haftowaną; stanik bardzo długi, mocno wykrojony, obciślej niż dzisiejsza gutaperka do kształtów ciała przylegający; krótkie rękawy, poza łokieć koronkami obszyte; na szyi perły z przepyszną spinką dyamentową; na głowie nizką fryzurę, z całem bogactwem wijących się pierścieni wtył przerzuconą i tylko jednym, czarnym jak heban lokiem na ramię spadającą. Nad fryzurą z za ucha wychylała się pyszna róża czerwona, a drugą, takąż samę, z wymuszonym i trochę zalotnym ruchem, prawa ręka przy sercu trzymała. Twarz była pociągła, nadzwyczaj biała, ale prawie bez rumieńców, czoło gładkie podkreślały brwi wązkie, niby dwa czarne sznureczki; oczy długie, powłóczyste, lekko się ku skroniom wznosiły uśmiechem, który na pełnych,

karminowych ustach zawisnął i nigdy ich nie opuszczał — co mnie czasem w okropną niecierpliwość, pomimo całego zachwycenia. wprawiało. Nos był duży, ale kształtny; gdyby o linią dalej sięgnął, byłby może spuścistym, lecz się ostrożnie tuż na granicy tej fatalności zatrzymał. Zyskała na tem broda z małym dołkiem pośrodku, dość znacznie naprzód wystająca, bo jej nie groziło na później zablizkie z nosem sąsiedztwo, a wdzięk właściwy pewnej zaczepnej śmiałości pozostał. Druga malowana kobieta, przy mniemanej księżnie pani, bardzo skromnie wyglądała. Gdyśmy się jej po raz pierwszy z bratem przypatrywali, uderzyło nas tylko wielkie jej do ptaka podobieństwo, choć do żadnego w szczególności: nie do sowy, nie do indyczki, nie do turkawki lub wrony, tylko ogólnie i typowo do całej ptasiej gromady. Z ubioru trudno było dośledzić, w jakiej żyć mogła epoce; niebieska dama przypominała epokę Sasów, lecz ta drobna twarzyczka z rozumnem spojrzeniem, a śmiesznemi niemal rysami, w dużym białym kornecie, w dużej kryzie i czarnej na piersiach skrzyżowanej chustce wełnianej, mogła tak dobrze za Jana Kochanowskiego, jak za Stanisława Augusta gospodarować z kluczykami, których wprawdzie brak jej było u pasa, ale które widocznie na chwilę przed wejściem malarza wraz z fartuchem odwiązane zostały. Wizerunki mężczyzn nie zwróciły naszej uwagi. O ile dziś z zatartych wspomnień sądzić o tem mogę, były to twarze ludzi dobrze najedzonych, miny poważne z nastrojenia więcej, niż z własnej godności. Jedna tylko najmłodsza twarz, z czysto słowiańskiemi rysami, należała podobno do jakiegoś konfederata z partyi Zaremby; niewiele jednak o nim w rodzinnych wspomnieniach zostało.

Babka mówiła, że to był jej wuj rodzony Skoryzna, ale go osobiście nie znała i dzieciom też żadnych o nim szczegółów nie udzieliła. Wogóle niełatwo od niej było dowiedzieć się czego o rodzinnych z jej młodości lub dzieciństwa stosunkach — a szkoda!

Warto było cośkolwiek usłyszeć o tym jedynym antenacie, który przynajmniej jakieś historyczne zdarzenie reprezentował w ustronnym Mielinku. Gdybym się mu była uważniej przyjrzała chociaż! lecz i to nie; ledwie jak przez mgłę przypominam sobie jego czamarę granatową z pętlicami, niebieskie oczy i bardzo jasne włosy.

Kiedy po kolacyi wuj naszę matkę do przeznaczonego dla niej pokoju wprowadził:

— Niech ci tu dobrze będzie, Tekluniu — rzekł swoim najpieszczotliwszym głosem — abyś z nami długo, bardzo długo, choćby przez całe życie została— i mówiąc to, uściskał siostrę, jakby teraz dopiero witał ją po długiej nieobecności, a my też z Józiem oboje przyłączyliśmy się co prędzej do tych objawów serdeczności, to mamę, to wujaszka po rękach całując; aż ten ostatni każde z nas pokolei wziął na rękę i do serca przytulił tak silnie, tak zręcznie, jak gdyby mu pusty rękaw przy drugim boku przyczepiał się o guziki spiętego na piersiach surduta. Widać, że wszyscy swobodniejszymi się poczuli, gdy ich sień szeroka od stołowego pokoju odgraniczyła.

Wujaszek z mamą zasiedli do poufnej gawędki, Józio biegał po wszystkich trzech pokojach i wesołemi okrzykami zwiastował mi coraz nowe odkrycia znanych i nieznanych przedmiotów.

— A to nasz stolik warszawski! A to lampa wisząca! a tu karafka do wody, kryształowa, rznięta; zupełnie taką samę u cioci Joasi pamiętam. Ach, jaki bukiet prześliczny z białym wazonem! Napolciu, pójdź zobaczyć!

Napolcia nie ruszyła się z miejsca, bo już stanęła jak wryta przed panią w niebieskiej sukni i głęboko nad tem rozmyślała, czy będzie w takiej chodziła, gdy urośnie.

— Józiu, ty lepiej pójdź do mnie — wołałam w odpowiedzi — zobacz-no tylko, co to za śliczna pani nad kanapą wisi.

Józio z łatwością kwiatów odstąpił, żeby się pięknej pani przypatrzeć. Niedługo wzrok na niej zatrzymał, a jednak trafniej odemnie tę postać wysmukłą osądził.

— No, dość ładna — zadecydował śmiesznie stanowczym tonem; — podoba mi się, bo ma czarne włosy, ale na blondynę byłaby może brzydką.

Na blondynę w ustach Józia znaczyło porównanie z mamą naszą i miał słuszność: rzeczywiście twarz z portretu byłaby niezawodnie barodzo wiele, jeśli nie wszystko, na zamianie włosów straciła; przeciwnie zaś, twarz naszej matki, i w swojej koronie złocistej i w najczarniejszych warkoczach, zachowałaby ten sam wdzięk niezmienny.

Mama była też dla nas najwyższym ideałem piękności. Nieraz Józio drażnił się ze mną, że inna zupełnie twarz błękitnej pani mogła mi się tak bardzo podobać; przyszło do tego nawet, że mi ją nazwał szkaradną, ale był to żart tylko, za który ja mu w kilkanaście lat później dobrze odpłaciłam.

Tymczasem oglądając różne rzeczy, takeśmy się z bratem rozbawili, że gdy Marcyna po raz trzeci przyszła nas wołać do spania, z największem oburzeniem przyjęliśmy jej wniosek.

— Dajcie im pokój, Marcyno — ujął się za nami wujaszek; — niech przynajmniej pierwszego wieczora co chcą i póki chcą dokazują.

— Niech dokazują — powtórzyła Marcyna z przekąsem — a jutro nie dam sobie rady z ich obudzeniem; a pani starsza zaraz gniewać się będzie, jak na śniadanie o dziewiątej ubrane już i po zmówieniu pacierza nie przyjdą.

— Oho! — zaśmiał się wujaszek — Marcyna dawny rygor pamięta, ale teraz inaczej u nas będzie. Pani Hołosko wraz ze swemi dziećmi wstanie kiedy zechce, ubierze się kiedy chce, wypije kawę, lub co jej się spodoba, a jeżeli raczy przyjąć obiad na drugiej stronie, to będzie tylko wielkiej jej łaski dowodem; gdyby sobie życzyła, zarazby tutaj nakryto i przy-

niesiono wszystko według jej własnej dyspozycyi. Cóż mówisz na to, Tekluniu? — czy taki układ rzeczy wydaje ci się dosyć wygodnym?

— Dla mnie — odrzekła zagadniona z wdzięcznym uśmiechem — jest rzeczywiście najwygodniejszym, jaki być może na świecie. Widać, że mi go mój Kazio obmyślił; lękam się jednak, czy mamie nie będzie przykro...

— Ej! ty mamo, nie bójże się już swojej mamy— żartobliwie przerwał wujaszek.—Od pierwszego razu, gdy sama zażądała twego przybycia, wytłumaczyłem jej, że teraz przecież nie możesz wrócić do swego panieńskiego pokoiku, a jeżeli masz zdrowie odzyskać i przyjść do jakiegokolwiek uspokojenia, to ci przedewszystkiem zupełnej niezależności trzeba: musisz mieć swoje własne mieszkanie, musisz kłaść się spać i jadać według trybu, jaki ci lekarze nakazali, zwłaszcza też musisz z dziećmi i dla dzieci mieć nieograniczoną swobodę działania. Matka na wszystko przystała. Teraz od ciebie zależy, abyś mój plan bez żadnych ustępstw przeprowadziła; mam nadzieję, że wkrótce na pomoc ci przybędzie nasza poczciwa Rózia.

— Ach! jaka ja niegodziwa — krzyknęła mama; — toć ja dotychczas jeszcze o tę kochaną dubeltową Różę nie spytałam! Czułam, że mi kogoś brakuje; lecz na nieszczęście brakuje mi tu zbyt wielu osób i wyłącznie o niej nie pomyślałam. Gdzież to ona się obraca?

— Szwagier wdowiec wezwał ją listownie, żeby mu pomogła chore dzieci pielęgnować; ona też pośpieszyła, choć z wielkim żalem w sercu. Wiedziała, że masz przyjechać. Jeszcze na wsiadaniu po kilka razy mi przypominała, abym w jej imieniu tę najdroższą panią Teklunię powitał, abym o bukiecie na stolik nie zapomniał i koniecznie na pierwszy obiad twoję ulubioną kaszkę puszkową z bitemi jajami zadysponował.

W ostatnim ustępie tej rozmowy wielce moję ciekawość podrażniła nazwa dubeltowej Róży.

— A któż to jest ta dubeltowa Róża? — spytałam.

— To jest pani, co ma zamiast policzków takie dwie róże kwitnące, jak ty. moja Napolciu.

— Nie mąć-że jej w głowie—przerwala matka— dziewczyna gotowa uwierzyć, a to wujaszek żartuje— ciągnęła dalej, ku mnie się zwracając. — Nietrzeba nigdy tej pani dubeltową Różą nazywać, tylko ciocią. Pamiętaj, Napolciu i ty, Józiu, pamiętaj także. Jest to krewna waszego dziadka; bardzo dobra osoba, która nadzwyczaj dzieci lubi i pełno ślicznych historyj opowiadać umie; wasza mama, nieraz siedząc u niej na kolanach, nie mogła się ich dosyć nasłuchać. Zobaczycie, jak prędko wszyscy troje w najlepszej z sobą przyjaźni będziecie.

— A czemu nie możnaby jej nazywać ciocią dubeltową Różą? — zagadnął Józio.

— Bo się tak nie nazywa. Twoi wujaszkowie, kiedy jeszcze małemi byli chłopcami i nie mieli rozumu, wymyślili dla niej to przezwisko, ja zaś powtórzyłam je dzisiaj przez wspomnienie lat dziecinnych. Przekonacie się kiedyś, jak to miło choćby nawet błędy i grzechy z lat dziecinnych wspominać! Lecz ciocia Rózia nie lubiła dawniej, gdy na nią „dubeltowa Różo“ wołano. Nie chcę, żeby jej moje dzieci najmniejszą przykrość zrobiły.

— O, nie zrobią — odparł wujaszek. — Dziś dla ciotki dubeltowa Róża jest także miłem wspomnieniem przeszłości. Ileż to razy z płaczem i ze śmiechem opowiada, jak Tomasz za swoję własną złotówkę wyprawił do niej z Warszawy list podpisany: „Wielmożnej Imci Pannie Róży Dubeltowej w Mielinku,“ albo też jak my z Janem i z Antonim, wysoko między gałęziami drzew ukryci, wołaliśmy tak na nią, niby trzy kukawki, odzywające się w różnych stronach ogrodu. Sama teraz nie pojmuje, dlaczego ją to przed laty gniewało, bo przecież — oskarżyłaś nas, więc

muszę się przed twemi dziećmi usprawiedliwić — przecież zpoczątku nie mieliśmy żadnej złej intencyi. Jaś pierwszy zauważył trochę dziwny zbieg jej nazwiska z imieniem: Róża Różańska; Tomek, w koncepta obfity, natychmiast dodał, że takie dwie róże można w jednę dubeltową spoić, a biedny Antek uznał, że to jest nawet bardzo grzeczne porównanie i pierwszy z niem w komplimencie do ciotki wystąpił. Jakeśmy spostrzegli, że ciotka najniesłuszniej tak niewinnem wyrażeniem obraziła się, zaczęliśmy dopiero coraz częściej go używać, zwłaszcza też gdyśmy trochę posprzeciwiać się jej chcieli.

— Zaczęliśmy dopiero wtedy być prawdziwie niegrzecznemi i nieznośnemi chłopakami — odezwała się z udaną surowością matka; — to bardzo brzydko, kiedy się kto komu sprzeciwia.

— Masz słuszność, pani siostro, już nigdy nie będę — odpowiedział z wielką pokorą wujaszek, całując panią siostrę w rękę.

Ja wszystko to za dobrą monetę wzięłam i zdumiewałam się nad wysoką władzą i godnością takiej mamy, która nawet wujaszka łajać może i którą tenże wujaszek tak uniżenie przeprasza.

Nakoniec głos Marcyny przestał być głosem wołającego na puszczy; mnie pierwszą sen zmorzył i wkrótce za moim przykładem wszyscy się na spoczynek rozeszli.

Babunia i ciotka Rózia.

Nazajutrz, według programu wuja Kazimierza, piliśmy w swoich pokojach śniadanie, dość późno tym razem, bo gdy nas wreszcie mama do babuni zaprowadziła na drugą stronę, już było blizko południe.

Przy świetle dziennem sień wprawdzie nie wydała mi się tak okropną, ale gdy weszłam do stołowego pokoju i rzuciłam okiem na portret, który mnie w wigilią tak prześladował, wcale przyjemniejszego nie doznałam uczucia, owszem, coś mi jakoby strachem w sercu zadygotało.

— Mamo, kto to? — szepnęłam, nieśmiało paluszkiem wskazując.

— To wasz pradziadek — odrzekła matka, bynajmniej się wrażeń moich nie domyślając.

— Czy on żyje jeszcze?

— Nie, moje dziecko; bardzo, bardzo dawno już umarł.

— Oh! mamo, jak to dobrze.

Mama ze zdziwieniem na mnie spojrzała, lecz nie było czasu do dalszych objaśnień, gdyż stałyśmy już na progu i za lekkiem popchnięciem drzwi same niemal do pokoju babki się otworzyły. Siedziała ona, jak zwykle, w dużym czerwoną skórą obitym fotelu, miała na sobie biały haftowany szlafroczek i biały tiulowy czepeczek czarną wstążką podwiązany, trzymała się bardzo prosto, a wzrok zapewne wiernie służyć jej musiał, bo według zwyczaju zajęta była siatkową, jak pajęczyna cienką, w nader skomplikowane desenie wiązaną robotą. Przed nią, na wielkim okrągłym stole mahoniowym, oprócz wytwornej z przyrządami do ulubionej pracy szkatułeczki, leżała jeszcze gruba, w wytarty aksamit i srebro oprawna książka do pacierza i agatowy różaniec.

— Spodziewam się, żeście już mieli czas dobrze po drodze odpocząć — rzekła dość chłodno, gdyśmy ją wszyscy pokolei w rękę całowali. Mama zrozumiała zawartą w tych słowach przymówkę, nie dając wszelako znać tego po sobie.

— A mateczce kochanej jakże się spało dzisiejszej nocy? — zapytała troskliwie.

— Starzy nie śpią — odpowiedziała babka ponuro; — krótkie życie przed nimi, więc dnie im się

w późną noc przedłużają; natura sama nie chce chwil ostatnich marnować.

— Czyż ktokolwiek z najmłodszych ma pewne jutro przed sobą? — I babka spostrzegła, że balde usta naszej matki lekko zadrżały, gdy wymawiała te słowa; prawdopodobnie żal jej się zrobiło biednej młodej po młodym w żałobie, zmieniając więc przedmiot rozmowy, do Józia się zwróciła.

— No, chłopcze, jakże ci się Mielinek podoba? — zapytała go z trochę rozpogodzoną twarzą.

— Jeszcze nic nie widziałem; Piotruś mi obiecał, że jak od babuni wrócimy, to mnie wszędzie oprowadzi; pójdziemy do stajni, do obory, do owieczek w pole, nad rzekę, a wuj Kazimierz może nawet konno ze mną się przejedzie.

— Zapewne też chciałbyś coprędzej od tej babuni już wrócić?

— O nie! bo dopiero przyszedłem, to byłoby niegrzecznie — bez namysłu odpowiedział rezolutny mój braciszek.

— Więc tylko przez grzeczność u mnie się zatrzymujesz? — podchwyciła babunia.

— Jużcić że przez grzeczność — przywtórzył wnuczek — mama nas bardzo upominała, żebyśmy w Mielinku grzeczni byli, babunię z całego serca kochali, robili wszystko, co tylko nam każe, a jeżeli przyjdziemy do jej pokoju, to żebyśmy odpowiadali roztropnie, gdy nas o co zapyta, lub siedzieli cicho i spokojnie póty, póki nam sama odejść nie pozwoli.

— Przyznaj się szczerze, czy masz ochotę, żebym ci już pozwoliła?

— Ej nie, babuniu, mnie i tu dobrze. — Szczery akcent tego oświadczenia wywołał niby cień uśmiechu na wązkie, między brodą a nosem mocno zapadłe usta babuni.

— Ach, bardzo się z tego cieszę — zawołała już prawie wesoło; — chciałam też właśnie porozmawiać z tobą, wypytać się o różne rzeczy, dowiedzieć co najlepiej lubisz dajmy na to?...

— Najlepiej lubię z Piotrusiem mustrować się i konno jeździć.

— A czy lubisz pić kawę na śniadanie?

— O! bardzo lubię, babuniu.

— A lubisz chodzić w bucikach z ostrogami?

— O bardzo, bardzo lubię; miałem jednę taką parę, tylko że mi zaraz ostrogi się popsuły.

— A czy lubisz się też uczyć? — zagadnęła znienacka. Józio wcale się tem nie zmieszał i bez ogródki do prawdy się przyznał.

— Teraz niebardzo, lecz mama powiedziała, że jak podrosnę i będę miał więcej rozumu, to zacznę lubić coraz bardziej, coraz bardziej, aż kiedyś wreszcie wyjdę na porządnego i światłego człowieka.

— Może ty już podrosłeś od czasu, jak mama to mówiła?

— Ej nie, to było tak niedawno! — i chłopczyna zaczerwienił się, łzy mu w oczach stanęły, bo przypomniał sobie, że słyszał te słowa z ust matki nie do siebie, ale do ojca niegdyś wyrzeczone, jako słowa prośby i wstawiania się za łajanym surowo leniuszkiem, który się do pana korypetytora w pewnym dniu pełnym pokus lekcyi nie nauczył. Czyż rozrzewnienie teraz go ogarnęło? Nie, matka trafniej odgadła, że pomieszanie i zawstydzenienie jedynie.

Jak to zwykle bywa, domownicy i znajomi unikali starannie wszelkiej wzmianki o nieboszczyku, żeby wznowieniem żalu biednych sierot i smutnej wdowy nie drażnić.

Często bardzo, gdy Piotruś z Marcyną w kuchni, lub przyjaciele w bawialnym pokoju zaczęli między sobą mówić o nim najżyczliwiej, niech tylko matka, czy które z dzieci weszło, wtedy przypadkiem, natychmiast, choćby w pół sylaby, przerywali sobie, udając, że są zupełnie innej treści gawędką zajęci. Matce zawsze bywało to bardzo przykrem, a nam dzieciom wpajało zwolna dziwne przekonanie, jakoby się nie godziło zmarłego ojca głośno przy kimkolwiek wspominać. Bez wspomnienia jednak — tłumaczyła

się matka wujowi Kazimierzowi, gdy z nim w swoim *salonie*, wieczorem, znowu na dłuższą rozmowę zasiadła — bez wspomnienia dzieci łatwo zapomnieć mogły, ona zaś tyle szczegółów pragnęła im na wieczne dziedzictwo przekazać, pragnęła opowiedzieć, w jakich okolicznościach i jak młodo wstąpił do wojska, na jakiem polu bitwy krzyż legii honorowej, a na jakiem wyższy stopień oficerski otrzymał. Przecież i o rodzinie ojca trzeba nam wiedzieć tyle przynajmniej, ile on jej kiedyniekiedy powiedział; nadewszystko zaś trzeba, żebyśmy samegoż ojca dokładniej, nie po dziecinnemu, ale po ludzku znały i ceniły. Nikt lepiej, nikt głębiej w serca nasze nie wrazi czci przynależnej jego cnotom i zasługom, jego męztwu i szlachetności, jego dobroci tkliwej, jak dobroć kobieca, jego przywiązaniu do rodziny silniejszemu od najdotkliwszych przykrości, od najsłuszniejszych wstrętów. Ostatecznie przyjdzie może chwila, w której się i przed opowiedzeniem śmierci jego nie cofnie. Lecz pierwej koniecznie trzeba stargać to przymusowe, naśladownictwem wywołane milczenie — milczenie o nieżyjącym ojcu między matką a dziećmi. Toż-to rzecz bezbożna! Teraz, gdy się sposobność najwłaściwsza zdarzyła, nie mogła jej opuścić, przecież musiała się odezwać, i rzeczywiście nie tracąc czasu, odezwała się poważnym, ale bardzo spokojnym głosem:

— Pamiętasz zapewne, Józiu, że ręczyłam tak za ciebie przed ojcem? Musisz tem bardziej polubić naukę i pilnie się do niej przykładać, bym się wobec jego duszy nie powstydziła kiedyś za moję przepowiednię.

Józio w pierwszej chwili ze zdziwieniem spojrzał na matkę, lecz zaraz potem rzucił się ku niej i z namiętną wdzięcznością ręce jej całować zaczął. Nie zdawał sobie z tego sprawy, ale czuł, że tak mu się lżej zrobiło na sercu, jak gdyby mu kamiennego wieka uchylono. Odtąd matka nasza coraz częściej z nami o ojcu rozmawiała i uczyła nas niejako historyi jego życia. Był to dla niej i dla nas przedmiot najmilszy,

a zawsze nowy, choć stokrotnie powtarzany. Ileż to razy o szarej godzinie, na małych stołeczkach zasiadaliśmy przy nogach matki, a zawsze z tąż samą prośbą na ustach:

— Mamo kochana, niech nam mama o papie co opowie! — Później do tego przyszło, żeśmy już nawet pewne dyspozycye wydawali: — Niech nam dziś mama opowie, jak to po śniegu swój patrol tuż koło placówek nieprzyjacielskich przeprowadził — albo też niech mama opowie, jak był rannym pod Pułtuskiem. Jak ocalił życie temu biednemu Niemczykowi, co to krzyczał: matko! matko! A jak to jechał na furze tego poczciwego Żyda, co go zpod Berezyny aż do Wilna zawiózł!

Matka najposłuszniej zadość czyniła wszystkim tego rodzaju wymaganiom naszym i dowiedzieliśmy się, nie z ogółowych pochwał, ale z przytaczanych zdarzeń, że istotnie mieliśmy ojca dzielnego żołnierza, wybornego kolegę, człowieka prawdziwie poczciwego umysłu, kochającego rodzinę, dzieci, kraj swój i wszystko swoje, wolnego zarówno od przesądów, jak od lekceważenia przeszłości, niedość może wykształconego, naukowego, bo kiedyż on miał czas się kształcić! ale w naturze swojej, w popędach, w skłonnościach tak udoskonalonego, jak gdyby już był najwyższej jakiejś wymarzonej cywilizacyi okazem. Jedynym przesądem, jedyną wadą, ah! i najcięższym grzechem jego życia, było fanatyczne poczucie wojskowego honoru. Lecz nie mnie sądzić.

Wracajmy do babki pokoju.

Kiedy Józio w dobrej wierze uroczyste składał przyrzeczenie, że wszystkich sił dołoży, aby naukę lepiej nawet od konnej jazdy polubić, kiedy obie panie, matka i babka, nim jedynie zajęte, napominały go i radziły mu kolejno, ja tymczasem na boku, sama sobie zostawiona, zaczęłam się dokoła rozglądać i różnym rzeczom przypatrywać. Pokój był duży, kwadratowy, a właśnie o tej porze pełen światła i ciepła. Tak dobrze go pamiętam, jak gdybym go

dziś zrana opuściła. Przedstawiał on dziwną mieszaninę prostoty i wykwintu, świeżości i staroświeczczyzny; ściany były poprostu wapnem wybielone, piec nawet, ten sam, co to się w nim z kuchenki paliło, niepolewany wcale; w oknach gładkie, muślinowe firanki, wązką frendzlą oszyte zaledwie, ale sprzęty wszystkie mahoniowe, ciężkie, odwieczne i długą odwieczność w trwałości swojej zapowiadające. Systematyczne ich ustawienie opisując, mogę powiedzieć, że po lewej stronie od tych drzwi, któremiśmy weszli, stało biurko, a raczej, jak babunia mówiła, kantorek, wtłaczanemi bronzami ozdobny, z klapą od wierzchu spuszczaną, pełen we środku szufladek i skrytek. Oj! ten kantorek! moja wielka uciecha i moje wielkie zmartwienie! nieco dalej o nim będzie. Za kantorkiem, w pewnej odległości, stolik z półeczką, na półeczce figurki z saskiej porcelany, jeszcze piękniejsze niż u pani Glinickiej. Przy ścianie poprzecznej, pod oknem na dziedziniec wychodzącem, mała, ciemną wełnianą materyą kryta kanapka, przeciwlegle do stolika i biurka ogromne łóżko mahoniowe, równolegle do dzwi wchodowych, znowu pod oknem szczytowem, druga lecz wyższa i dłuższa kanapa, przed nią ów stół okrągły, zboku przy niej w pewnej odległości ów czerwony fotel babuni, o których się już wspomniało. W rozstępach między meblami dwanaście krzeseł do kanap zastosowanych. Wprost dziedzińcowego okna drzwi, które do panieńskiego niegdyś pokoiku, dziś podręcznej spiżarni babuninej prowadziły. Prawa strona odedrzwi zajęta małym kominkiem i olbrzymim piecem; oto wszystko co pierwej wyliczyć należało, ale wcale nie to, co pierwej wzrok mój pociągnęło ku sobie! Wzrok mój, według zwyczaju, magnetyczną siłą pociągnęły ku sobie dwa obrazy nad łóżkiem, zboku wiszące. Wuj Kazimierz nieraz żartował, że gdyby jakie malowanie na klucz przedemną schowano, to jeszcze węchem poczułabym, że jest kędyś obrazek w pokoju. Ja też u babuni zaczęłam się przypatrywać tym, które wisiały przedemną. Były to dwa portrety, w złoconych ra-

mach, pastelami robione; jeden z nich przedstawiał młodziutkiego bardzo panicza, w jedwabnym zielonym, ciemniejszemi paskami prążkowanym fraku, w białej, długiej kamizelce, w koronkowych u rąk mankietach. Jasne włosy jego upudrowane, ztyłu zebrane w harcap, czarną kokardą przewiązany, zprzodu odwróconym lokiem okalały czoło i skronie, czoło trochę wydęte, wypukłe, skronie trochę zbyt daleko zarośnięte, jak u dziecka.

Bo też i twarz cała dziecinną była; nosek delikatnie zarysowany, a zgrubiały przy końcu, jak gdyby sobie właściwego kształtu nie wyrobił jeszcze. Oczy blado-zielone, raczej figlarne niż wesołe, usteczka jak wisienki najlżejszym wąsikiem nie zaćmione, broda bez śladu zarostu, z małym dołkiem w pośrodku: cera świeża i biała, twarz wogóle pełna, okrągława, wszystko to bez harcapa mogło przypominać różnych kościelnych aniołków twarze; z harcapem jednak musiało znawcom literatury francuskiej Cherubina przypominać, tylko, niestety, Cherubina, który się jeszcze ani dowcipu, ani rycerskości od Beaumarchais'go nie nauczył.

Tuż obok, na drugim wizerunku przedstawiona pani wydawała się starszą od swego towarzysza, mocny kolor czarny jej włosów zpod pudru nawet można było wyraźnie rozróżnić. Miała na głowie ogromnie wysoką fryzurę w pióra i wstążki u samego wierzchu strojną, a środkiem przepiętą taśmą złocistą na palec szeroką, szmaragdami i brylantami wysadzaną. Z za uszu, odpowiedniemi kolczykami przyozdobionych, dwa grube pukle na odkryte ramiona spadały. Suknia ledwo nie zachwiała mego upodobania w owej niebieskiej że srebrem: ta była złotem lamowana, ale cóż, kiedy czerwona! Nie przepadałam wtedy za czerwonym kolorem, choć miałam jakieś mętne wyobrażenie, jakoby tylko księżne i królowe w czerwonych jedwabnych sukniach chodziły, nic też dziwnego, że gdy w takiej czerwonej ujrzałam postać sztywnie się trzymającą, głowę dumnie na karku przegiętą, oblicze

zimne, surowe, z czołem dosyć wysokiem, ale zwężonem, z oczami nie jak niebo, lecz jak stal błękitnemi, z nosem orlim, należącym do tej kategoryi nosów, które pani de Grigman i księżna d'Abrantes we Francyi, a książę generał ziem podolskich i córka jego Marya Wirtemberska w Polsce upamiętnili (z takim nosem zdarzają się twarze bardzo piękne i piękną też była, jakkolwiek niepociągającą ta, która wzrok mój na sobie zatrzymała), nic dziwnego tedy, powiadam, że ją za panującą wzięłam osobę, i gdy babunia dowodziła jeszcze Józiowi o potrzebie dobrej nauki, ja nagle wyrwałam się z zapytaniem:

— Moja mamo, co to za królowa? Czy Barbara, czy Bona?

Wtenczas, w epoce Felińskiego i Truskolaskiej, dzieci oswajały się z imionami Barbary i Bony, jak z najzwyczajniejszemi rzeczownikami w mowie potocznej.

Babka przerwała zbawienne upomnienia i ciekawie obejrzała się, co to mogło być zapytania mego powodem. Wątpliwość wszelka ustąpić musiała przed ruchem mojej ręki, wyraźnie pastel nad łóżkiem wskazującym.

— Jakto, Napolciu, jakto, czyż nie poznajesz babuni?

Oniemiałam. W tej osobie takiej młodej, takiej śnieżnie białej, takiej różano na licach krasnej, takiej szczupłej w pasie, że palcami objąćby ją można, jakże ja rozpoznać miałam moję babunię dobrze otyłą, na twarzy pożółkłą i zmarszczkami urysowaną, z brodą tak bliską nosa, z brwiami i włosami tak białemi jak mleko, z tiulowym takim skromnym czepeczkiem na głowie! Przez minutę może stałam w milczeniu, to na obraz, to na babunię spoglądając, aż nakoniec tryumfalny okrzyk wzniosłam:

— Prawda! prawda! to jest babunia! tak samo na mnie patrzy i ma zupełnie taki duży nos.

Babunia na głos się rozśmiała, skinęła na mnie, żebym do niej przyszła.

— A ten pan obok mnie czy ci się podoba?

— Dosyć ładny, ale Józio piękniejszy od niego.

Istotnie, było jakieś podobieństwo między jednym a drugim, czułam jednak, że na korzyść mego braciszka.

— A czy zgadniesz kto to taki?

— Może który z tych wujaszków, co ich nie znałam.

— Omyliłaś się, moja panno.—Babunia od pierwszego wieczoru i później przez całe życie swoje często mnie panną nazywała. — To jest twój dziadek; przypatrz mu się dobrze i pamiętaj codziennie za jego duszę się modlić.

— O! ja zawsze przy pacierzu powtarzam, żeby mu pan Bóg dał wieczny odpoczynek; mama mnie tego dawno już nauczyła.

— To dobrze, a teraz na pociechę Józia pozwolę, żebyście już poszli się bawić.

Nie daliśmy sobie tego dwa razy powtarzać i zostawiliśmy babkę z matką naszą samnasam i czekaliśmy na Piotrusia, żeby spełnił daną Józiowi obietnicę; ale Piotruś nie przyszedł, tylko obiad wkrótce podano, a przy obiedzie matka była smutniejszą niż zwykle, nic prawie nie jadła, razporaz cisnące się jej do oczu łzy ocierała nieznacznie. Na mnie pradziadek coraz groźniej spozierał i czoło marszczył.

Dzień ten, choć się na tem nie spostrzegłam odrazu, ważny jednak przełom miał w życiu mojem stanowić. Rozdzieliliśmy się z Józiem; dotychczas w trzech warszawskich pokoikach od rana do wieczora ciągle byliśmy razem. Ojciec wprawdzie brał go z sobą na miasto, do koszar, do ujeżdżalni, po tych krótkich wycieczkach jednak braciszek wracał i, chcąc czy nie chcąc, musiał bawić się z siostrzyczką, w braku innego towarzystwa. Obecną bywałam zawsze na jego wojskowych ćwiczeniach z Piotrusiem, pomagał mi lalkę moję ubierać, obiad dla niej gotować i to nas w pewnej równości trzymało. Na wsi rzeczy zupełnie inną przybrały postać.

Zaledwie wstaliśmy od stołu i mama przeszła z nami na drugą stronę, zaraz w otwartem oknie ukazała się głowa Piotrusia. Józio coprędzej wybiegł do niego, a ja, ma się rozumieć, za Józiem.

— Paniczu, śpieszmy się, śpieszmy, takie śliczne źrebiątko wyprowadzono!—wołał Piotruś z rozjaśnioną twarzą.

Józio zaczął w ręce klaskać, ja tak samo: —Źrebiątko, źrebiątko!—powtarzałam, pędząc w stronę gospodarskich zabudowań.

— Napolciu, Napolciu, niech się Napolcia wróci! —pogonił za mną głos Piotrusia.

Stanęłam, nie domyślając się bynajmniej, coby to znaczyć miało. Piotruś mnie objaśnił, że panienki do stajni nie chodzą, że tam dużo gnoju i błota, a ja mam cienkie trzewiczki i białe pończoszki, że ze stajni pójdą z Józiem bardzo daleko, a mnieby nóżki bolały i t. p. Żaden z tych argumentów nie trafił do mego przekonania; po błocie mógł Piotruś mnie przenieść, jeśli się zmęczę w dalszych wycieczkach, mógł wziąć na ręce, lub odpocząć wraz ze mną trochę. Podawane przezemnie sposoby tem silniej utwierdzały ich w przeciwnym mojemu zamiarze. Zarówno stary, jak dziecko, chcieli sobie bez kłopotu, bez żadnego ograniczenia, użyć wiejskich przyjemności. Im bardziej mi odmawiali, tem bardziej się napierałam, aż wkońcu głośnym płaczem wybuchłam.

Mama wybiegła na ganek, babunia z lufcika się wychyliła i pierwsza zapytała, co te krzyki znaczą.

— A to Napolcia koniecznie chce iść z nami do stajni — oskarżał mnie Józio; — przecież panienki do stajni chodzić nie powinny.

— Zwłaszcza, jeżeli tak krzyczą i płaczą—zadecydowała babunia, która od najmłodszych lat swoich nieraz przecież do stajni zabiegała i bardzo konie lubiła. Przeciw jej wyrokowi mama nie śmiała wystąpić, wzięła mnie tylko za rękę i rzekła, nie patrząc wcale na Józia:

— Pójdź ze mną do ogrodu, Napolciu, pokażę ci

moje ulubione ławeczki i kląby. Zobaczymy, czy są jeszcze te grusze i jabłonie, o których ci nieraz mówiłam.

Józio zawahał się trochę na to wdanie się matki, ale fatum przemogło i za Piotrusiem do swoich chłopczyńskich przyjemności pociągnął.

Wieczorem matka bez łajania, łagodnym, sobie tylko właściwym sposobem rozrzewniła go bardzo nad wyrządzoną mi krzywdą.

— Coby to ojciec powiedział na to? wszakże on starszy i poważniejszy, a całemi godzinami z Napolcią się bawił. W ostatnich chwilach, kiedy pracą nie był zajęty i mógł własnej rozrywce czas jakiś poświęcić. Napolcia mu nigdy nie przeszkadzała. A Józio chciał się jej pozbyć dlatego jedynie, że mała i słabsza, nie zdążyłaby może za nim na przechadzce; a toć właśnie dlatego, że mniejsza i słabsza, on, starszy braciszek, powinien się opiekować tą jedyną siostrzyczką swoją. W dalszem życiu może potracą najbliższych swoich, którzy dziś miłością i staraniem ich otaczają, któż wtedy serdecznie i prawdziwie ich ukocha, jeżeli oni siebie wzajemnie kochać nie będą? Brat każdy i każda siostra zawsze się kochać powinni, cóż dopiero brat i siostra sieroty!...

Józio rozpłakał się, przepraszał i mnie i mamę; nazajutrz sam prosił, żebym mu w wycieczkach z Piotrusiem towarzyszyła, ale to faktu spełnionego nie cofnęło; Józio dowiedział się, że ma prawa i przywileje dlatego, że się mężczyzną urodził; Napolcia dowiedziała się, że są dla niej ograniczenia i zakazy dlatego, że się urodziła kobietą. Przy najlepszych chęciach braciszek mój nie byłby mógł we wspólnej ze mną utrzymać się sferze. Mnóstwo okoliczności, mnóstwo drobnych wypadków wyrywało go na zewnątrz i w dal unosiło. Zpoczątku niejedna chwila osamotnienia straszliwą nudą mi zaciężyła. Kiedy mama listy pisała, a Marcyna praniem była zajęta, nie wiedziałam co z sobą zrobić, aż i mnie wreszcie dostało się coś takiego, co mi zupełnie zrównoważyło

wszelkie spotykające mnie ubytki i niedobory. Mniej-więcej po dwóch tygodniach naszego pobytu, ciotka Rózia przyjechała. Była to krzepka, żwawa i czynna kobietka, miernego wzrostu, chuda, bardzo lekko swoje pięć krzyżyków na barkach dźwigająca. Należała ona do rzędu tych nieszczęśliwych, a jednak godnych zazdrości istot, które to los na samotną wędrówkę pomiędzyludźmi wyprawia, żadnym obowiązkiem do żadnego stanowiska nie przywiązuje, a jak na przekorę, kochającem sercem i łatwością poświęcenia się obdarza; służyć, dogadzać, współradować się i współboleć stanowi główną potrzebę ich natury. Takie istoty, gdziekolwiek prąd zdarzeń je osadza, muszą sobie znaleźć kogoś do umiłowania nadewszystko, a że znajdują, o wzajemność, czasem nawet o wartość nie pytając, więc szczęśliwsze są może, niż mństwo innych trudniejszych lub skąpszych w szafunku swego uczucia, niż mnóstwo kochanych nawet. Ciotka Rózia, bardzo daleka i uboga krewna naszej babki, po śmierci swoich rodziców w jej domu została niby na rezydentkę przyjętą; było to raczej ciężką pracą bezpłatną, niż rezydencyą; funkcye trzech przynajmniej oficyalistek: gospodyni naczelnej, szafarki i panny służącej, spadły na jej odpowiedzialność.

Ciocia Rózia musiała wiedzieć o krowach i o trzodzie chlewnej, o drobiu i o warzywie, musiała wiedzieć o czeladzi folwarcznej i o pokojówkach, o spiżarni i o piwnicach, o państwu i o gościach; cioci Rózi wszędzie też pełno było. Robiła masło, chleb piekła, rurkowała babce czepki i szlafroczki falbankami obszyte, prasowała dziadkowi gorsy od koszul i letnie kamizelki; wszystko co było trudniejsze, smaczniejsze, więcej wyszukane, wszystko to przez jej ręce zawsze przejść musiało. Niecierpliwiła się czasem na lenistwo służących, na swawolę paniczów, na niedbałość pana wuja, a kaprysy pani ciotki, lecz nigdy się nie skarżyła na zbytek roboty. Wogóle z wszystkimi żyła na dość przyjaznej stopie, przywiązała się do starszych i do młodszych, bardzo lubiła Benisię, zgadzała się

z Joasią, ale prawdziwą niedzielą tak zapełnionego życia była mała Teklunia. Na tej złotej główce umieściła wszystkie kapitały swojego poczciwego serca. Dziecku była piastunką i boną najtroskliwszą; dziewczynce opiekunką i tarczą obronną przeciw wszelkim połajaniom, pokutom i zbyt długim lekcyom; młodej panience, gdy się w pięknym oficerze od ułanów zakochała, była najżywiej się jej losem przejmującą powiernicą i najodważniejszym wśród przeszkód sprzymierzeńcem. Teraz dzieci Tekluni. bez najmniejszego dla swej matki uszczerbku, cały ten skarb pieczołowitej miłości odziedziczyły. Nie mogę powiedzieć, żeby na mnie większa część przypadła; owszem, ciocia Rózia jedyną może była osobą z całego kółka krewnych, znajomych i domowników, jedyną, która żadnej nie czyniła między mną a Józiem różnicy. Piotruś był Józia stronnikiem; u Marcyny ja przed wszystkimi na pierwszem stałam miejscu; pani Glinicka, o ile sobie przypominam, dla mnie także łaskawą bywała; babunia daleko więcej wolała Józia odemnie; wuj Kazimierz nawet do niego również miał pewną słabostkę, a ciotka Joanna to już bardzo wyraźnie nawet życzliwsze mu względy — lecz ciotka Rózia dla nas obojga równie równie była pieszczotliwą, staranną, równie się nami zachwycała, równo między nas uściski i łakotki dzieliła i mam to przekonanie, że ani o jagódkę więcej na jeden niż na drugi talerz nie wsypała dla nas przy podwieczorku poziomek. Z natury rzeczy wynikło wszelako, że ja lepiej od Józia wyzyskałam ten stosunek. O ile braciszek odstał odemnie, o tyle do ciotki Rózi przylgnęłam; biegałam za nią po wszystkich kątach, jak piesek, według wyrażenia trochę zazdrosnej Marcyny. Ciotka też chętnie brała mnie z sobą, zwłaszcza jeżeli było coś ważniejszego do załatwienia w wydziałach gospodarczych jej zarządowi powierzonych, a każda taka wycieczka niemałe przynosiła mi zyski. W kurnikach darowała mi ciotka śliczną białą kokoszkę, a powiedziała, że trzecia zrzędu krówka do mnie należeć będzie; w chlewkach

otrzymałam parę tłuściutkich i niezabrudzonych jeszcze prosiątek na własność; przy robieniu masła wypijałam zawsze szklaneczkę doskonałej maślanki i dostawałam dla siebie i dla Józia po osełeczce masła żółciutkiego jak złoto, pachnącego jak świeże powietrze na łące; gdy zaś przy pieczeniu chleba obecną byłam, pozwalano mi własną ręką uklepać dwie równe kukiełki, z których jednę potem ofiarowywałam braciszkowi, jako mego osobistego wyrobu upominek. W szafarni przy wydawaniu zapoznałam się doskonale z szafeczkami, w których były rodzenki i migdały, pierniki i konfitury; lecz obok tego doskonale też rozpoznawałam jęczmienną kaszę od gryczanej, pszenną mąkę od żytniej i tak nauka łączyła się z przyjemnością, a dziecinne łakomstwo pomagało do kształcenia na znakomitą gospodynię. Istotnie przyszła chwila, w której stanęłam na czele domu z tym jedynie zapasem wiedzy, jaki mi się po kursach odbywanych z ciocią Rózią w pamięci został; no, i nieźle mi poszło jednak. Wielu rzeczy trzeba się było douczyć, ale od samego początku zaraz okazałam się daleko praktyczniejszą, niż się tego najbliżsi moi spodziewali — za co „wieczny odpoczynek racz dać Panie“ tej prostomyślnej, dziateczki miłującej duszyczce ciotki Rózi. Była to przecież wielce nieroztropna i przeciw zasadom niektórych pedagogów dzisiejszych ciężko grzesząca kobieta; cóż państwo na to powiecie? tak się zemną wszędzie prowadzała, że gdy później dłuższe wieczory nastały, nieraz i mnie i Marcynę wzięła ze sobą do czeladnej izby, a tam, przy kądzieli zasiadłszy, nietylko z przyjemnością sama słuchała, lecz mnie dziecku słuchać nie broniła różnych kłamliwych bajek, różnych historyj o duchach, gusłach i zabobonach. Niechże jej za to... niechże jej za to „światłość wiekuista świeci!“ Ileż-bo to chwil promiennych zawdzięczam jej niewykształconej, instynktowo przez świat idącej dobroci! Może w dalszych następstwach znalazła się niejedna czarna chwila także, lecz promienne

chwile nigdy wzroku nie olśniły, czarne — serca nie zatruły.

Takbym chciała sumiennie i wyczerpująco, już nie dla innych, ale dla samej siebie rozwiązać tę kwestyą bajek i cudowności w stosunku do wychowania dziecka-człowieka! Naczytałam się o tem i ludzie poważni często mi powtarzali, że wszelkie zmyślenia dziecinnemu umysłowi na pokarm podane już tem samem są szkodliwe, że użytecznemi być nie mogą; użyteczną może być tylko prawda; zmyślenie próżno zabiera jej miejsce, gorzej niż próżno: chorobliwie, morderczo, tak samo jak w pewnej danej i zamkniętej właściwemi sobie granicami przestrzeni kwas węglowy zająć może miejsce zdrowego powietrza, jak wrogi kolonista miejsce krajowców, Niemiec miejsce Słowianina.

Uznaję słuszność tych zasad. Jeśli zmyślenie jest kłamstwem, to niema rady, trzeba się go wyrzec. Ale czyż zmyślenie, fikcya, fantazyjność koniecznie kłamstwem być musi? czyliż to nie jest raczej odmienna forma jakiejś prawdy dziejowej, albo psychologicznej, albo przeczuwanej dopiero? Owe baśnie, których słuchałam, toż to po większej części okruchy pierwszych pojęć dziecinnej jeszcze ludzkości; każda w chwili powstania swego była może epopeją, teologią, filozofią, ustawą moralną; każda przydała się ludziom, na posunięcie ich o krok, a choćby o pół kroku, o pół linii ku dzisiejszemu ich stanowisku. Nim się człowiek urodzi, według fizyologicznych spostrzeżeń, ciało jego w stopniowym rozwoju swoim kształtuje się na podobieństwo niższych gromad zwierzęcego królestwa; podobieństwo to nie bywa zaiste dokładnem, a tem mniej do tożsamości prawa sobie rościć nie może, wyraźnie jednak przypomina robaczka, rybę, ptaka, czworonożne twory, aż wkońcu, po odbytej kolei, ludzka postać uzupełnia się i dziedzic zamierzchłej przedwieczności wpośród współbraci miejsce swoje zajmuje. Któż mi zaręczy, że umysł człowieka w okresie dziecinnego wieku nie odbywa równoległych przeobrażeń? czy od

pierwszej bezmyślności zacząwszy, nie kształtuje się także na podobieństwo różnych w niepamięć zapadłych warstw cywilizacyi, póki ostatecznie nie zbudzą się w nim zdolności odpowiednie potrzebom i wymaganiom teraźniejszego stanu społeczeństwa. Otóż niezaprzeczoną jest rzeczą, że między dzikością a oświatą, między popędami instynktu a pierwszą rozumową pracą, zawsze wyobraźnia pośredniczyła; jej pomyłki, jej złudzenia zaspokajały jednych, zmuszały do badania innych. Więc i dziecko ma taką chwilę, w której pomyłek i złudzeń wyobraźni potrzebuje. Nie są one dla niego zupełnie tem samem, czem w dziejach niegdyś były, nie starczą mu za prawdę, ani mu bodźcem do poszukiwań i odkryć nie będą, ale zbogacą jego życie tą władzą, przez którą Goethe duszę swego Fausta zbawił, nie pozwolą mu zadowolić się posiadanem, zdobytem i wiedzianem do tego stopnia, by ku lepszemu nie tęsknił, ku dalszemu nie dążył, ku wyższemu nie sięgał, by nieznanego pozyskać i zrozumieć nie pragnął...

Wszystko to być może, a jednak zastanów się, panno Napoleono, jaką rolę w twojem własnem życiu baśnie odegrały? Rozbudziły twoję fantazyą, rozwarły przed tobą świat jakiś inny, niebywały, pełen blasków, barw, dyamentów, ptaków cudnie śpiewających, dziewic w słonecznych szalach, rycerzy w zbrojach złocistych, pełen także potworów, duchów ciężkie za sobą wlokących łańcuchy, jędz bezzębnych, czarnoksiężników złośliwych, diabłów kusych, rogatych. Na cóż ci się to wszystko zdało? ha! na nic—gdybym była miała choć cień poetyczego talentu, zdałoby mi się może na koloryt, arabeski, na tła i ozdoby, lecz mnie biednej tyle jedynie korzyści ztąd zostało, ile zostało po muzyce, która mnie niegdyś przed laty zachwycała, po pieśni dźwięcznej, ze łzami w oczach słuchanej, a której nuty dzisiaj przypomnieć sobie nie mogę, ile zostało po arcydziełach malarstwa i rzeźby, co to przed niemi czoło w pokorze ku ziemi się chyliło, a których więcej nigdy, nigdy nie zobaczę!

Tymczasem surowym rygorystom pedagogicznym najuroczyściej zaręczyć mogę, że słuchanie bajek, nawet o strachach, zbójcach, czarach i t. d. wcale mi nerwów nie osłabiło, ani też nie zrobiło mnie zabobonną, przesądną i łatwowierną. Nawet pięcioletnia główka moja rozumiała już, że to wszystko nie było rzeczywistością, choć przedstawiało mi się jako pewna możliwość powyżej rzeczywistości unosząca się w powietrzu. Nie wierzyłam, lecz przypuszczałam; nie pragnęłam koniecznie, lecz bardzo silnie czułam owo zbiorowe wszelkich niepodobieństw słowo — „a gdyby"... Nieszczęsne to „gdyby" stało się powodem gorzkich łez, ciężkiego zmartwienia i pierwszej w życiu mojem pokuty; powinno było odstręczyć mnie na zawsze od wszelkich fantazyowań na własną rękę, a na cudze powieści, nie ten jednak skutek wywarło; kamieniem obrażenia stał się dla mnie kantorek babuni, przedmiot podziwu i nigdy nienasyconej ciekawości mojej.

Raz się zdarzyło, że babunia otworzyła go przy nas, ma się rozumieć głównie dla zabawy Józia, i zaczęła wydobywać z szufladek różne drobiazgi i kosztowności, na które patrzyliśmy się ze zdumieniem, ale bardzo grzecznie, jak babunia kazała, niczego rękami nie dotykając. Były tam pierścionki i łańcuszki, bonbonierki i spinki różnej wartości, był zegarek mniejszy od złotówki, choć dwa razy od dzisiejszych grubszy, była tabakierka poloneza Kościuszki grająca, której Józio nacieszyć się nie mógł, był igielniczek z perłowej macicy, złotemi gwiazdkami nabijany, a kształt parasolika mający, któremu ja znów głośny poklask złożyłam, było tyle pysznych rzeczy, że nam się zdawało, jakoby i w Warszawie nic kosztowniejszego znajdować się nie mogło. Kiedy byliśmy najpewniejsi, żeśmy już wszystko zobaczyli, babunia ze śmiechem zapowiedziała nam, że to połowa dopiero, bo wśród szufladek i półeczek są jeszcze rozmaite skrytki, w których daleko droższe przechowują się kosztowności, i mówiąc to, wyciągnęła jednę deseczkę i między dwoma szufladkami ukazał się wązki otwór,

z którego babunia wyciągnęła leżące na wacie drobne białe perełki, pięknym chryzoberylem w złoto oprawnym spięte; było ich z kilkanaście sznureczków, ale krótkich.

— Widzisz, Józiu, to są prawdziwe perły, przypatrz im się dobrze — rzekła, zwieszając je pod światło, aby tem lepiej mleczno tęczowe ich połyski uwydatnić.— Jak urośniesz i będziesz miał się żenić, to ci je podaruję dla twojej narzeczonej.

— Eh! jabym wolał Napolci podarować—odparł Józio.

— Bo nie masz jeszcze rozumu.

— Mnie się też zdaje, że byłyby dla niej zaciasne.

— Bo tych perełek na szyi się nie nosi, tylko na ręku, to jest bransoletka, o, widzisz — i babunia, uchyliwszy rękawa, przymierzyła owej bransoletki na swojem bardzo jeszcze białem i okrągłem poniżej łokcia ramieniu.

— Ah! jak babuni w tem pięknie!— wykrzyknął zachwycony Józio.

— Czy mi bardzo bo twarzy?—z uśmiechem zapytała.

— Do twarzy nie, ale do ręki prześlicznie— odpowiedział bez żadnego zakłopotania.

— Kiedyś taki szczery, to muszę ci powiedzieć, zkąd się w naszę rodzinę te perełki dostały. Dawno bardzo już temu, jedna z sióstr twojej prababki sama raz w domu została, bo wszyscy do kościoła na nieszpory poszli, ona zaś mocno była cierpiącą na głowę i korzystała z ogólnej cichości, żeby się przespać trochę. Jeszcze na dobre nie zasnęła, kiedy jakiś szmer dał się słyszeć tuż przy jej łóżku. Otwiera oczy, patrzy, aż tu stoi przed nią maleńki na dwa cale człowieczek, w koronki, aksamity i złote hafty przystrojony, a kapelusz z piórami grzecznie w ręku trzymający. Skłoniwszy jej się nadzwyczaj dwornie i zręcznie, zaczął ją prosić, aby przez swój pokój przejechać pozwoliła jego siostrze, bo deszcz zepsuł drogę pod mu-

rem ściennym do kościoła wiodącym, a siostra dziś właśnie o tej godzinie ma brać ślub z księciem ogrodowej altany i lęka się zbytecznej wilgoci, najpierwej dla ojca swego, w podeszłym wieku staruszka, a potem dla całego weselnego orszaku, który mógł łatwo zabłocić się i świetne stroje poniszczyć. Siostra prababki z wielką uprzejmością przystała na żądanie malutkiego, a przecież, jako później mówiła, bardzo przystojnego młodzieńca. Miał on podobno takie niebieskie oczy i takie czarne wgórę zakręcone wąsiki, że gdyby tylko męzkiej miary dorósł, toby się w nim można było na zabój pokochać. Chciała nawet przez ciekawość w dłuższą z nim wdać się rozmowę. Ale nim się uniosła z poduszek, już go przy niej nie było. Zaledwie od jego zniknięcia kilka minut upłynęło, wysunęła się zpod pieca duża jak małe pudełeczko kareta, w sześć białych myszy zaprzągnięta, z wygalonowanym furmanem na koźle, a z dwoma hajdukami ztyłu; we środku, przez spuszczone szyby można było widzieć pannę młodą w srebrzystej sukni, w koronkowym woalu i mirtowym wianeczku na złocistych, do kolan rozpuszczonych włosach; obok niej siedział ojciec siwy jak gołąbek, z długą brodą, niby w gronostajowy płaszcz w jakieś gronostajowe futerko otulony. Za pierwszą karetą ciągnęła druga, a w niej narzeczony książę z ogromnym białych kwiateczków bukietem przy błękitnym atłasowym kontuszu. Książę miał bardzo licho wyglądać obok brata swej przyszłej żony; żółty był jak cytryna, chudy jak szpileczka i bodaj czy nie łysy, ale trudno było się o tem przekonać, gdyż dźwigał na głowie książęcą, w krzyż złotemi nitkami przepasaną czapkę. Toczyły się w dalszym szeregu różne jeszcze kolebki i powozy z druchnami i z drużbami, z gośćmi i z muzyką, a na końcu gromadka, najpewniej sług i domowników, uroczysty orszak zamykała. Wmiarę jak się zbliżali do łóżka, każdy z weselników leżącej pani głęboki ukłon złożył, nie wyłączając księcia, który przez okno karety swojej ze trzy razy ręką machnął tak, że na serdecznym palu-

szku jego można było rozeznać dyamencik połyskujący w złotym, najpewniej zaręczynowym pierścionku. Po chwili ekwipaże i piechotą idący wszyscy razem pod łóżkiem zniknęli. Cioteczna praprababka nasza ciekawie ale bez zadziwienia patrzyła na tę procesyą godową, gdyż od pierwszego zjawienia się wykwintnego kawalera poznała już, że ma do czynienia z małoludkami, a wszyscy przecież wiedzieli wtenczas, że małoludki to są łagodne, spokojne, wcale nieszkodliwe istoty; owszem, gdzie sobie mieszkanie obrały, tam się wiodło zazwyczaj wielkoludkom, to jest zwyczajnym synom człowieczym, póki im który z nich krzywdy nie wyrządził; jeśli wyrządził, natychmiast opuszczały podziemia domowe, a za niemi wnet wynosiła się także dobra dola gospodarska: kury przestawały się nieść, wszystkie indyczęta wypadały przy dostawaniu korali, mleko od krów ciągle się warzyło, czasem nawet grad zboże powybijał; przeciwnie, za każde dobrodziejstwo, za każdą uczynność, małoludki starały się koniecznie wdzięczność swoję okazać: od szczurów i myszy dzielnie piwnice i wszelkie składy broniły, przydeptywały kretowiny na trawnikach, od pożaru zaduszeniem zapuszczonej iskry bardzo często ustrzegły, lub z choroby podrzuconemi ziołami wyleczyły, a zdarzało się, że i podarki maleńkie składały. Nic więc dziwnego, że cioteczna praprababka nader spokojnie rozwiązania swej przygody czekała. Pół godziny nie upłynęło jeszcze, gdy już zpod łóżka ukazała się wracająca kareta białemi myszami zaprzężona; tym razem państwo młodzi w niej siedzieli i znów tak jak poprzednio zatrzymali się z pokłonami przed właścicielką sypialnej komnaty, która to właścicielka zauważała nawet, że pannie młodej policzki od płaczu nabrzękły, a pan młody uśmiechał się, jak najszczęśliwszy człowiek pod słońcem, lub raczej pod ziemią. Za książęcą parą cała kawalkata, kłaniając się i uśmiechając, przeciągnęła uroczyście, poważnie, aż kędyś pod piecem znikła. Jednocześnie pochmurne światło dzienne w mrok wieczorny ściemniać się zaczęło i prababka usnęła dość

mocno. Wracający z nieszporów mąż ledwie mógł jej się dobudzić; opowiedziała mu zaraz całe z małoludkami zdarzenie, lecz on śmiał się tylko i dowodził, że to wszystko przyśniło jej się zapewne. Prababka ciągle utrzymywała, że była doskonale już roztrzeźwiona, gdy wesele przejeżdżało przez pokój; on ciągle z niej żartował; zniecierpliwiła się i wkońcu do tego przyszło, iż się bardzo posprzeczali; prababka w płacz uderzyła, nie chciała w żaden sposób dać się uspokoić, ręce łamała, a głównie nad tem, że mąż nie wierzy jej słowom, aż tu nazajutrz z rana uchyla poduszkę i cóż widzi?... oto tę samę z prawdziwych perełek bransoletkę, tym samym chryzoberylem spiętą. Dopiero wtedy i mąż uwierzyć musiał. Był to jednak uparty i sprzeczny człowiek.

W kilka lat później nanowo zaczął żonie dokuczać i klął się na wszystkie świętości, że on sam przygotował tę bransoletkę na wiązarek dla jejmości, lecz widząc jejmość zbyt głęboko żartami jego strapioną, na pocieszenie jej o innym zaczął myśleć prezencie, a bransoletkę cichaczem jako ofiarę małoludków podsunął, by ją tryumfem zadowolić i w dobry humor wprowadzić. Rzecz oczywista, że tak późne odwołanie wszyscy mu za kłamstwo poczytali i bransoletka przez trzy, jedne po drugich następujące pokolenia, z rąk do rąk przechodziła, wraz z wiernie zachowanem dla potomności świadectwem ciotecznej naszej prababki. W drugiem zaraz pokoleniu spadła dziedzictwem na linią poboczną i odtąd panowie Kalińscy mieli ją i narzeczonym swoim w upominku przedślubnym składali, ale Kalińskich już zabrakło.

— A wuj Kazimierz?

— Wuj Kazimierz według wszelkiego prawdopodobieństwa nigdy się nie ożeni. Ciotka Joanna nie ma dzieci. Syn Tekluni jedynym może być spadkobiercą.

Można łatwo się domyśleć, że Józio mnóstwem zapytań razporaz przerywał legendę babuni; ja nawet, choć nieskoro odzywałam się w jej obecności, nie

mogłam jednak powstrzymać mimowolnych wykrzykników:

— Czy być może? Czy to prawda?

Nareszcie, gdy babunia mówić przestała, Józio bardzo poważnie się odezwał:

— Moja babuniu, niech mi babunia powie, kto istotnie miał słuszność?

Babunia wzruszyła ramionami, ale w oczach jej coś wesołego zamigotało.

— Alboż ja byłam przy tem? alboż ja kiedy w życiu małoludków widziałam? ani małoludków, ani praprababki waszej, ani jej męża; każdy jak chce, tak sądzi sprawę między nimi. Jedni jej, drudzy stronę jej męża trzymają, a ty, Józiu, komubyś wierzył?

Józio zastanowił się chwilkę, lecz wnet potem bardzo stanowczym rzekł głosem:

— Jabym wierzył prapradziadkowi, bo przecież małoludków niema na świecie.

— Ale mogły być dawniej—z tymże samym wyrazem w spojrzeniu, niby od niechcenia, zauważyła babunia, i musiała być w bardzo dobrym humorze, bo nawet ku mnie przez ramię spojrzawszy, zapytała: — No, jakże pannie się zdaje? kto na wiarę zasługiwał?

— Jestem pewna, że cioteczna praprababka.

— I dlaczegóż to jesteś tak pewna?

— Bo praprababka widziała.

— Nie zawsze można być pewną tego nawet, co się widzi; możesz kiedy i księżyc w wodzie zobaczyć, a jednak rękoma go nie schwycisz.

Na tych słowach babuni kwestya małoludków bez rozstrzygnięcia zawisnęła tedy; z później słyszanych o babce szczegółów mam prawo dziś wnioskować, że sama prawdopodobnie dość jasnego o tem nie miała pojęcia. Niedarmo przeżyła koniec ośmnastego i początek bieżącego wieku. Zaprzeczenie wszystkiemu i ślepa wiara we wszystko potrącały się w jej umyśle, który łatwo sobie przyswajał zewnętrzne, powietrzem rzecby można płynące prądy, a nigdy so-

bie właściwego punktu oparcia nie szukał i na uznaną prawdę nie zapracował. Józio nie troszcząc się jednak o żadne filozoficzne wątpliwości, dopominał się tylko, żeby mu więcej skrytek pokazano.

— Na ten raz dosyć tego będzie — rzekła babunia; — w innych skrytkach są rzeczy, którychbyś dzisiaj jeszcze nie umiał ocenić; jak będziesz starszy, i tak one w twoje ręce przejdą, a tymczasem podaruję ci tę pieczątkę, żebym się przekonała, jak też umiesz rodzinne pamiątki szanować. — Mówiąc to, wyjęła z małej szufladki małą złotą pieczątkę z krwawnikiem, taką, jakie panowie za czasów dyrektoryatu przy zegarkach nosili. Józio, uszczęśliony, zaczął babunię po rękach całować, a ja także, radość jego podzielając, z uniesieniem do całowania kolan babuni się rzuciłam. Babunia ostro spojrzała na mnie.

— Cóż to znaczy? czy Leonka także się czegoś napiera? to bardzo nieładnie! — zgromiła dosyć surowym głosem.

W jednej chwili jakby mnie kto zimną wodą oblał. Głębokie poczucie wyrządzonej niesprawiedliwości nawskróś mnie przeniknęło. Inna, lepsza odemnie dziewczynka, próbowałaby może uniewinnić się i wytłumaczyć, lecz mnie to na myśl nie przyszło nawet. Podejrzliwość babuni rozbudziła drzemiącą na dnie mego serca godność własną czy pychę, niełatwo osądzić. Na całe dalsze życie już mi to zostało, że przeciw fałszywym zarzutom milczeniem tylko walczyłam; sama siebie oskarżałam często, przyznawałam się do winy z wielką pokorą nieraz, ale nigdy nie umiałam się bronić i usprawiedliwiać. Przy tem pierwszem nagabaniu „niemego diabła,“ jak go w wiele lat później brat mój nazywał, nie zachowałam się jednak z tą spokojnością, jaka mię już w następnych zdarzeniach nie odstępowała. Oko w oko spojrzałam z oburzeniem na babkę, twarz cała drgać mi zaczęła, ale nie chciałam rozpłakać się wobec tej, co mnie skrzywdziła, i w największym pędzie uciekłam z pokoju. Józio wkrótce

za mną podążył i całą we łzach jeszcze przy boku matki zastał.

— Na! masz, Napolciu, ja nie chcę tej pieczątki, weź ją sobie, a nie płacz — powtarzał wśród uścisków i pieszczot, któremi chciał wynagrodzić mi połajanie babuni. Widziałam jednak, że moje rozżalenie bierze w tem samem co i babunia znaczeniu, więc też łkałam coraz głośniej i dopiero gdy matka zaczęła się rozpytywać, słówko za słówkiem wszystko mi z duszy wyciągnęła i najłatwiej uspokoiła, bo zaufała temu, że dziękowałam za Józia, lecz o nic nie prosiłam dla siebie. Pieczątki Józia długo dotknąć się nawet nie chciałam.

— Mój wujaszku, co to za linie pokrzyżowane? — pytał Józio dnia tego wieczorem, pokazując wyryte na krwawniku znaki.

— Mają to być trzy włócznie — odpowiedział wuj Kazimierz.— Dziadunio twój kazał je tu umieścić na pamiątkę drutów, na których ciotka Rózia skarpetki mu robiła.

Wspomniana osoba, z pończochą o kilka kroków przy oknie siedząca, cisnęła kłębkiem na wujaszka:

— Nie plótłbyś asan takich niedorzeczności. Dziadunio pewnie byłby wolał o ciotce Róży zapomnieć, niż sobie dewizki na jej pamiątkę sprawiać. Pójdź do mnie, Józiu, ja ci prawdę powiem Te trzy włócznie, widzisz, one są na tarczy, a powyżej z korony wydobywa się kozioł rogaty, to wszystko razem jest herbem, nazywa się Koźlerogi, wszyscy Kalińscy używają tego herbu.

— Co to herb? — z wielką ciekawością rzucił Józio powtórne pytanie.

— To jest wielkie głupstwo, mój chłopcze — odezwał się wuj Kazimierz, wychowanek francuskiej rewolucyi.

— To jest godło szlachectwa; szlachcic tylko herbu używać może — zaprzeczającym tonem odparła ten określnik ciotka Rózia. Trzeba wiedzieć, że oboje

z Józiem słyszeliśmy nieraz, jak wujaszek na przejeżdżających dziedzińcem wołał:

— Hej, szlachcicu! a gdzież to? — jak o sąsiadach, z którymi miał graniczne zatargi, mówił:—Trzeba tych szlachciców rozumu nauczyć—jak sama ciotka Rózia nieraz z przekąsem mówiła:

— Jakiś szlachcic przyjechał i zaraz mu trzeba wódkę z zakąską podawać, niby to nie ma pilniejszej roboty.—Różne tym podobne zwroty językowe nie podniosły jakoś w naszej wyobraźni godności tego tytułu. Józio nie mógł zmiarkować, czy wuj, czy ciotka Rózia z niego żartuje; ponieważ jednak ta ostatnia uroczyściej niejako przemawiała, więc do niej najprzód się zwrócił:

— Przecież my nie jesteśmy szlachcicami?

Ciotka aż poskoczyła na krześle:

— Jakto nie szlachcicami? z dziada pradziada wszyscy Kalińscy... i—ugryzła się z język—nie Kaliński to przecież, ale Hołosko słuchał jej objaśnień i patrzył na nią szeroko rozwartemi oczami, a była pewna wątpliwość, ba! ogromna wątpliwość nawet, czy Hołoskowie ze szlachty, czy z Ormian pochodzili. Matka spostrzegła jej zakłopotanie i z uśmiechem na pomoc przybyła:

— Kalińscy byli szlachtą, ale ty, Józiu, po ojcu swoim wcale szlachcicem nie jesteś.

Chłopiec z wielkiej radości kilka razy na pięcie się wykręcił.

— Ah, jaki ja szczęśliwy! — zawołał, klaszcząc w ręce—ja tak nie lubię szlachciców!

— Ja także! ja także ich nie lubię!—dopomagałam całym głosem.

— Ale szlachcianki to są wcale przyjemne! — zaczął mi się wuj Kazimierz sprzeciwiać. — Napolcia jest niezawodnie szlachcianką.

— Nie jestem! nie jestem!—powtarzałam, tupiąc nogą z wielkiego zapału.

— Ależ, moje dzieci — łagodnie przedstawiała nam matka — przecież i szlachcic jest taki człowiek,

jak inni; co wam do tego, czy ze szlachty, czy nie ze szlachty pochodzicie, pamiętajcie tylko, że Pan Bóg ludźmi was stworzył i szanujcie każdego człowieka.

— Dobrze, mamo — z gotowem posłuszeństwem oświadczył się Józio — chciałbym tylko wiedzieć, czy to prawda, że szlachcice jedynie używają takich pieczątek?

— Istotnie, oni tylko mają do nich prawo; znaczy to, że któryś z ich przodków służył niegdyś w obronie kraju i za dowód odwagi, za czyn jakiś szlachetny, pewnem godłem obdarzony został. Przecież choć z historyi polskiej to mógłbyś przypomnieć sobie, jak Bolesław Krzywousty złotą ręką i herbem Sulimą Żelisława wynagrodził.

Józio przypomniał sobie i bardzo się zawstydził, że mu to pierwej do myśli nie przyszło. Herby wszystkiemi blaskami chwały, męztwa i zasługi upromieniły się w jego wyobraźni. Z lekkim wyrzutem rzekł też do wuja Kazimierza:

— Wszak wuj żartował? Herb nie jest największem głupstwem?

— O! jeśli mamy z sobą poważnie rozmawiać, panie majorowiczu Hołosko, to powiem panu, że pierwszy herb komuś nadany, to był, dajmy na to, tem samem, czem jest dzisiaj krzyż legii honorowej, który wasz ojciec pod Tczewem otrzymał; był nagrodą, był poleceniem dla wszystkich, aby dzielnego męża i zacnego obywatela przynależnym otaczali szacunkiem. Gdybyś ty jednak, Józiu, tym krzyżykiem twego ojca chciał błyszczeć przed ludźmi, gdybyś się nim chwalił, pokazywał go każdemu i wymagał większych względów za to, że go na pamiątkę odziedziczyłeś, byłoby to wcale niepięknie z twej strony. Gdyby twój syn tak uczynił, byłoby jeszcze niepiękniej, a gdyby który z praprapra i prawnuków twoich, sam przyznaj, do czego byłoby to podobne i czy wtedy największem głupstwembyś tego nie nazwał.

— Ja też pewnie moją pieczątką przed nikim chwalić się nie będę, ale ją schowam, bo mi ją babunia na pamiątkę dała. Czasem to jednak pomyślę, że ktoś z rodziny mamy i wujaszka sławnym czynem kiedyś się odznaczył.

— Chyba to już bardzo dawno być musiało, — rozśmiał się wuj Kazimierz — nie za pamięci ludzkiej, po dziadku naszym miarkując. Wszak prawda, ciociu Róziu?

— Ej, co tam grzechy zmarłych wypominać! — oburknęła się ciocia Rózia — czy to pan starosta był gorszym od innych?

Podania rodzinne.

Istotnie, ciocia Rózia najlepiej wiedziała o tem, co się za dawnych czasów działo; była to niewyczerpana studnia tradycyj rodzinnych, ale z kolorytem, jaki w nich ubodzy krewni bogatym krewnym nadali. Wolno przypuszczać, że osobiste urazy, zazdrostki, niechęci, w różnych miejscach na przyciemnienie barw niektórych wpłynęły; niema jednak wyboru, trzeba wziąć je takiemi jakiemi są, bo innych brakuje. Pamięć rozdrażnionych zwykle w takich razach wierniejszą bywa od pamięci tych, co byli rozdrażnienia powodem. Kiedy dzieci Kalińskich zaledwie o własnym stosunku do rodziców wyraźniejsze zachowały wspomnienie, dzieci Różańskich jedne po drugich wzrastały przy ciągłych sądach i rozprawach nad tem, co zrobił ojciec pana starosty, co on sam, co syn jego. Dzieciom Kalińskich rodzice nie zwierzali się ze swojej przeszłości, nie tłumaczyli postępków swoich zadomowych, nie objaśniali swych

zamiarów i pobudek; dzieci Różańskich od maleńkości nasłuchać się mogły, czomu jakiś Kaliński do tej lub owej partyi należał, czemu z tym lub owym żył w przyjaźni, czemu i z kim się ożenił, aż wkońcu po latach wielu tak się rzeczy złożyły, że wuj Kazimierz nietylko o dziadku i pradziadku, ale nawet o rodzonym ojcu swoim, o rodzonej matce najważniejszych szczegółów z ust cioci Rózi się dowiedział. Po większej części szczegóły te nie były bardzo świetne, ani też bardzo zaszczytne, lecz że były jedyne, więc niepodobna mu było zestawieniem innych faktów, sprawdzić je i do właściwej proporcyi sprowadzić. Trzeba też przyznać, że ciotka Rózia, chociaż w nieprzychylnych sferach gromadziła swoich podań materyały, sama wszelako otaczała je względnością. Miała przecież Kalińskie w swoim rodzie. Według jej zdania, ta pani w kornecie i w czarnej sukni z ptasią fizyognomią, rodzona ciotka pana starosty, za Rożańskiego poszła i pierwsza obie rodziny w koligacyą sprzęgła, a przecież potem inne prócz tego między Kalińskimi a Różańskimi kojarzyły się małżeństwa; biedna żona pana starosty z Rożańskiej się rodziła. Poczciwa ciotka Rózia wielką do tego przywiązywała wagę. Wolno jej było gorzką prawdę znać i naganiać, lecz niechby kto z obcych odważył się z zarzutem wystąpić, wnetby mu prędką a wcale niemiłą odprawę dała, zwłaszcza też od chwili, w której przyjęła gościnność w Mielniku, czuła się solidarnie z jego dziejami związaną — była to jedyna zacnej kobiety próżnostka. Teraz, gdy ją wuj Kazimierz, syn domu, zaczepił, nie mogła jednak pewnej niecierpliwości powstrzymać:

— Co tam pytać o odznaczenie; każdy z nas grzesznym jest człowiekiem i dobrze na tem wyjdzie, jeśli spraw jego po śmierci roztrząsać nie będą.

— To też powinnibyście wyszukać dla Józia jakiego antenata, coby mu stał się wzorem cnoty, męztwa i nauki.

— Albo to jemu ojca i czterech wujów nie dosyć? Chcę mówić trzech wujów, bo ten czwarty, co został, to straszny nicpotem — z uśmiechem poprawiła się niby.

Wuj Kazimierz dalej się jej sprzeciwiał.

— Ciotko dobrodziejko! zapominacie, że tu idzie nie o nas zwykłych śmiertelników, lecz o nieśmiertelnego protoplastę, który to pierwszy w rodzie Kalińskich na szlachecki klejnot Koźlerogi zasłużył sobie.

— Mnie nic do tego kto zasłużył; nie ja klejnotu używam, nie ja będę się wywiadywała, za co przyszedł.

— Czy tylko nie za przyjaźń okazaną tej pani z dwoma czerwonemi różami?

— Wstydź się, panie Kazimierzu, wypominać takie rzeczy.

I od słowa do słowa, od żartu do żartu, zebrało się na długą dysputę, w której po raz pierwszy różne szczegóły o dziadkach i pradziadkach, nawet o prapradziadku jednym słyszałam; ma się rozumieć nie o tym przekorze, co w świadectwo żony swojej i w małoludków wierzyć nie chciał. Często bardzo później wyciągałam ciotkę Rózię na gawędki tego rodzaju.

— Więc przedewszystkiem, co to za jedna była ta pani w błękitnej sukni?

Ciotka Rózia nie mogła mi o niej nic stanowczego powiedzieć. Między Różańskimi utrzymywano złośliwie, że była drugą żoną pana Kalińskiego, młodą i piękną, gdy on już dobrze piąty krzyżyk przekroczył. Wpływem swoim przerzuciła go z partyi francuskiej na stronę elektora; elektor, wdzięczny za tę przysługę, męża starostwem obdarzył, a ją samę na dwór drezdeński zaprosił. Nawet oręż Karola XII, nawet zrzeczenie się tronu przez Augusta, nie zachwiały wierności państwa Kalińskich; on się wieszał przy Denhoffie, marszałku konfederacyi sandomierskiej, ona za granicą lepszych czasów czekała. Gdy lepsze czasy nadeszły, pokazało się jednak, że mężowi szczę

śliwiej się wiodło niż żonie; mąż wrócił z pełnym trzosem, z pełnemi sreber, futer i innych kosztowności wozami; żona wróciła z nudą w sercu, ze zmarszczkami na twarzy i gorzkim w życiu zawodem. Dumna, gniewliwa, wszystkim wkoło siebie dokuczała, aż ją po śmierci ojca młody pasierb za niespełna rozumu podał i w klasztorze zamknął. Według innej wersyi, piękna pani z portretu była wprawdzie gorliwą zwolenniczką elektora, ale nie była żoną Kalińskiego; zawróciła mu tylko starą, pokiereszowaną na wiedeńskiej wyprawie głowę, bo go potrzebowała do tajemniczych z Przebędowskim konszachtów.

Za opuszczenie stronnictwa Kontego dostał od niej tę różę, którą właśnie na portrecie przy sercu trzymała; portret sam sobie kupił, a resztę nagrody egzekucyami ściągnął, gdy pod laską Denhoffa tak zwani konfederaci szeroko kraj plądrowali. Synem tego, jak wuj Kazimierz o nim się wyrażał, „romansowego łupieżcy,“ był mój groźny prześladowca, z którym samnasam w stołowym pokoju zostać nie lubiłam. Dziś już nie przypominam sobie tak wyraźnie rysów jego twarzy; wiem tylko, że było coś bezmyślnie dzikiego w tych oczach, które na mnie, gdziekolwiek stanęłam, patrzyły; w tym karku grubym a krótkim, dużą podługowatą głowę podtrzymującym; w tej ręce postronkowemi żyłami nabiegłej, a na karabeli z takim ruchem, jakgdyby na kańczugu, wspartej. Miałam już ze dwadzieścia kilka lat może, ciotka Rózia nie żyła, o portretach z Mielinka dawno już myśleć przestałam, gdy raz, obchodząc z bratem gospodarstwo, spostrzegliśmy jak byk rozwścieczony wyrwał się z rąk pastucha i zaczął w naszę stronę pędzić. Szczęście że mocne sztachety bezpieczeństwo nam zapewniały. To bydlę w chwili odzyskanej swobody, z rozdętemi nozdrzami, z rozognionym wzrokiem, po człowieczemu strasznem było; nagle łeb jego potężny tak mi pradziadka uprzytomnił, że mimowolnie zawołałam:

— Ah! patrz, Józiu, czyż to ci nie przypomina obrazu ze stołowego pokoju?

Józio w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć, o co chodzi; dopiero potem, kiedy mu się wytłumaczyłam z doznanego wrażenia, sam przyznał, że mogło istnieć niejakie podobieństwo między zwierzęciem, a groźnym bohaterem różnych ciotki Rózi opowiadań. W obojgu widać było tęż samę siłę muskularną i tęż samę gwałtowność wprost zawsze przed siebie pędzącą, bo żadnym względem moralnym, ani żadnem prawem sumienia nieokiełznaną.

Według tradycyj ciotki Rózi, pradziadek miał być nadzwyczaj popędliwy, a co się rzadko z tem łączy, nadzwyczaj zawzięty także; łatwo w gniew wpadał, nigdy popełnionego w uniesieniu występku nie żałował, do skrzywdzonych przez siebie większą prawie, niż do otwartych nieprzyjaciół urazę w sercu chował. Dla chłopów był okrutny; w dzieciństwie swojem ciotka Rózia znała starych gospodarzy, którzy o jego srogości niesłychane rzeczy opowiadali. Bezkarność rozwinęła w nim wszystkie popędy tyranów; z przyjemnością bywał zawsze przy wymierzaniu kar najdziwaczniejszych obecnym. Jeśli dzieciaki wiejskie pod płotem ogrodowym spotykał, to je bez rozpatrzenia sprawy, czy mu trochę ukradły, czy nie ukradły owocu, zaraz w mrowisko na czas pewien sadzał. Kto nie mógł ciągle wzrastającym ciężarem pańszczyzny wydołać, tego do pługa z wołem lub koniem zaprzęgano — a jak się z kobietami obchodził... to już ciotka Rózia mówić nawet nie chciała, dodając zwykle:

— Bo też to ludzie czasem jak kogo popadną, to wszystko, co nieraz przed stu laty złego się stało, jemu na kark pakują.

Zdaje się jednak, że nie przed stu laty wielka się krzywda działa mieszczanom chodeckim, których żydzi w istną arendę od pana starosty wzięli; skargi o nadużycia aż na sejm wysyłano, lecz jak wiemy, sejmy wówczas ciągle zrywane były. W odwecie

dostał mu się jedynie przydomek *żydowskiego starosty*. Jakkolwiek w owych czasach opinia niezbyt surowo gorsze jeszcze półpanków wybryki sądziła, pradziadek jednak nie miał w sąsiedztwie miru, ani w powiecie wziętości. Niejeden sam na sobie doświadczył a wszyscy dobrze o tem wiedzieli, że dla swojej korzyści, dla zysku, a czasem nawet dla prostej fantazyi tylko przed niczem się nie cofnął. Do czterdziestu lat hulał i dokazywał w kawalerskim stanie. Około tego czasu zachciało mu się żenić, lub raczej zachciało mu się kilkoma pięknemi wioskami granice swych dóbr rozszerzyć. Wiosek tych dziedziczką jedyną była młodziutka, trzynastoletnia sierotka Dzimińska, pokrewna Różańskich właśnie. Najbliższy opiekun daleko mieszkał na nieszczęście. Przy Dosi umieścił tylko jakąś powinowatą swoję, która ją niby uczyć, niby doglądać jej miała. Różańscy podobno upominali się, żeby dziewczynę do klasztoru odwiózł; bogate dziedziczki niebezpiecznym bywały wtedy do przechowania towarem. Opiekun słuszność im przyznawał, lecz od roku do roku wyjazd pupilki swej zwłóczył, ciągle się tem tłumacząc, że dość będzie czasu za kratę ją wsadzić, gdy już z lat dziecinnych wyjdzie, bo przecież dziecka takiego nie porwą. Kto wie, czy w tem mniemaniu stara dozorczyni go nie podtrzymywała, gdyż ostatecznie starosta i dozorczynię i dziecko porwał. Śliczna to była jak kwiatek dziewczynka! delikatna a świeża, ciemnorzęsa a blondyna. Przez nią to zapewne ów złocisto popielaty kolor włosa rodzinie Kalińskich się dostał. Tymczasem biedna porwana Sabinka, na pierwszym wstępie zaraz w progi swego przyszłego małżonka, do ciemnej jakiejś izdebki pod strychem wraz z dozorczynią zamkniętą została. Przez parę tygodni przynajmniej starosta chciał je ukrywać, pókiby pierwsza gorliwość szukających nie ostygła. Ukrycie jednak wcale do smaku nie przypadło dzieweczce. Zpoczątku niespodziana przejażdżka dość ją bawiła. Wprawdzie ten pan, co się w karecie przy niej rozsiadł i firanki pospuszczał,

bardzo był brzydki, ale grzecznie do niej przemawiał, obiecywał że jej da cukierków i mnóstwo pięknych rzeczy.

— Czy da lalkę także?

— O! śliczną lalkę, niejednę może nawet.

I śmiał się grubym głosem, i dozorczyni śmiała się także, aż tu zaledwie przed jakiemiś drzwiczkami brudnemi stanęli, coprędzej je po schodach do nizkiej z przymkniętą okiennicą ciupki wprowadził i wychodząc wkrótce po cukierki, jak mówił, drzwi na klucz za sobą zamknął. Dosia przestraszyła się okropnie; najpierw z całej siły pięściami we drzwi uderzać, a potem na całe gardło krzyczeć zaczęła. Stara towarzyska napróżno głowę jej przytulała sobie do piersi, napróżno tłustemi rękoma usta jej zatykała; głos musiał chyba po całym domu się rozchodzić, bo niedługo wrócił starosta nie z cukiermami wcale, tylko z groźnym marsem na czole. Tupnął nogą, rózgą pogroził; dzieweczka z wielkiego strachu oniemiała, później wprawdzie przyszły cukierki i ciastka, wniesiono kawę i owoce, ale już nic jej nie smakowało. Długo w noc nad tem przemyśliwała jedynie, jakim sposobem z więzienia wydostaćby się mogła. Rzecz była trudna, sama to widziała, a jednak nie traciła nadziei! Zdawało jej się, że nazajutrz, kiedy bez krzyków i hałasów bardzo pięknie, bardzo serdecznie tego pana poprosi, by jej do domu wrócić pozwolił, to on pozwoli niezawodnie.

— A jeśli nie pozwoli?

— To napiszę ze skargą do opiekuna.

— A jeśli pisać nie dadzą?

— To ucieknę.

— Jak? gdzie? którędy?

Nie miała o tem żadnego pojęcia, ale miała w duszy silne postanowienie. Nazajutrz starosta nie ukazał się wcale. Wyjechał w odwiedziny do znajomych, żeby zmylić pozory i żeby przypadkiem znajomi do niego w tak źle dobraną porę nie zjechali. Krzyki i płacze nie były zaiste żadną osobliwością na dworze

mielinieckiem za jego rządów, lecz jeśli pogłoska o zniknięciu panny Dzimińskiej się rozeszła, mogły zwrócić na siebie uwagę. W zastępstwie starosty, wierny sługa i godny takiego pana zausznik, nawiedzał uwięzione. Słusznie przysłowie mówi, że potrzeba jest matką wynalazków. Dosia wynalazła jakiś sposób, by służący, odchodząc wieczorem, klucz dwa razy obrócił, a jednak drzwi nie zamknął. W tej klitce, oddawna zaniedbanej, dość było, jak zauważyła, trochę całego zamku podważyć, by się sprężyna wierzchem nie środkiem przesunęła. Udało jej się przy wykonaniu tego planu dozorczynię szukaniem jakiegoś medaliku pod łóżkiem zatrudnić, a służącego poleceniami i różnemi prośbami ogłuszyć. Pierwsza część ucieczki powiodła się tedy. W nocy, to jest raczej późnym wieczorem, gdy jej strażniczka usnęła, zeszła ze schodów szczęśliwie, lecz w ogrodzie do wyjścia na pole trafić nie mogła. Co się gdzie zwróciła, to za ogrodzeniem widziała dziedziniec, albo stajnie i obory, przy których pełno ludzi się uwijało. Na domiar złego, psy podwórzowe z łańcucha spuszczone gwałtownie ujadać zaczęły. Dziewczynka wtył zawróciła i biegła zestrachana prosto przed siebie, lecz gdy szczekanie coraz bliższem jej się zdawało, wdrapała się, jak mogła najwyżej, na najwyższe koło siebie drzewo. Pocieszała się, że byleby dzień zaświtał, to się lepiej rozpatrzy i na dobrą wyjdzie drogę. Niestety! pierwej jeszcze nim świtać zaczęło, dozorczyni się obudziła i zniknięcie swojej wychowanki spostrzegła. Coprędzej zawołała służącego; we dwoje pocichu wyszli na ogród i szczekaniem psów kierowani, niezadługo posród gałęzi małego zbiega odkryli. Zdarzenie to przyśpieszyło jedynie wykonanie planów starosty; uwiadomiony o niem przez swego powiernika, zaraz wrócił do domu i przedewszystkiem biednej Dosi okropną scenę wyprawił.

— Chce się acannie wędrować, to dobrze, wywiozę ja cię do lasu i samę tam zostawię; możesz iść gdzie cię oczy poniosą, tylko pamiętaj, że w lesie

wilki gromadami chodzą: jeśli cię zjedzą, tem lepiej; nie chcę już nic mieć do czynienia z taką nieposłuszną dziewczyną. — Kończąc te słowa, porwał ją na ręce i udawał że chce koniecznie jaknajśpieszniej wynieść ją z pokoju.

— Tak, tak, niech ją wilki zjedzą! — przywtarzała stara duegna.

Dosia broniła się, wrzeszczała i gryzła swego ciemiężcę po palcach, a gdy to nie pomogło, w pokorę uderzyła i prosić go zaczęła, żeby jej przebaczył, żeby do domu odesłał, aż dozorczyni wzruszona tem niby, wstawiła się za nią, i groźny pan wypuścił ją nakoniec ze swego żelaznego ujęcia.

— Na ten raz daruję ci, moja panno, ale pamiętaj, żebyś od tej chwili posłuszną była jak trusia; co ci każę zrobić, lub co ci każe zrobić ta pani, to zrób; co ja lub ona każemy ci mówić, to mów; kiedy każemy milczeć, to milcz. Jedno nieposłuszeństwo, a tejże godziny do lasu wilkom na wieczerzę pójdziesz. Tylko sobie nie wyobrażaj, że wtedy wolno cię puszczę. Jak mnie tu widzisz, dziewczyno, tak cię przywiążę do drzewa i nie odwrócę się nawet, choćbyś mnie świętemi słowami błagała.

Najlepszym dowodem dziecinnego usposobienia Dosi jest to właśnie, że podobnym groźbom uwierzyła. Istotnie, od tej chwili spokorniała jak trusia. Starosta, nie spuszczając się jednak na tę zmianę w jej postępowaniu, tegoż wieczoru zabrał obiedwie swe niewolnice do Warszawy, tam sypnął pieniędzmi, wyrobił sobie indult, a że porwana sierotka robiła już wszystko, co jej robić kazano, powtarzała wyrazy, które jej kazano powtórzyć, i milczała, gdy kazano jej milczeć, więc ślub się odbył spokojnie, z wszelkiemi formalnościami, i czterdziestoletni pan młody jawnie z trzynastoletnią oblubienicą do dóbr swoich wrócił. Nie obeszło się bez procesu, ale ten ciągnął się lat kilka i na ugodzie zakończył. Starosta znaczną sumą opłacił się panu opiekunowi, a żona wraz z wioskami swemi przy nim pozostała. Nie była to już owa

piękna, swobodna dzieweczka, która z taką energią o wydostanie się na wolność walczyła; portret jej, wczasie ostatnich układów majątkowych robiony, przedstawiał jakąś dziwnie przewiędłą, z zestrachanym wyrazem twarzy kobietę; ubrana jest dość bogato, w zieloną jedwabną z długim kabatem suknię, w dyamenty na szyi, przy uszach i u czoła, wśród krótkich loczków zprzodu, a spadających do pół twarzy na bokach. Cała ta świetność jednak nie ożywia spojrzenia blado-błękitnych oczu; nos też przeciągnął się nad miarę, usta w bezmowność jakąś zacięły, piękne tylko zaokrąglenie owalu świadczyćby mogło, że w innych warunkach życia oblicze to, na wpół cierpkie, a na wpół zmartwiałe, byłoby się zapewnie korzystniej rozwinęło; ale warunki życia bardzo ciężkie były — bojaźń i nienawiść.

Mąż nie zmienił się dla niej po ślubie; obchodził się z nią zawsze, jak z niekarnem dzieckiem, któreby pewnie uciekło od niego, gdyby się wilków nie lękało. Nigdy też żadnej władzy jej nie powierzył, nigdy pieniędzy do rąk nie dał; sługi wiedziały, że mogą nie zważać na jej rozkazy; rzadko zjawiający się goście wiedzieli, że jej dla nich uprzejmą ani gościnną być nie wolno; widząc ją zahukaną, milczącą, każdemu skinieniu pana swego posłuszną, wszystkim się zdawało, że się pogodziła ze swym losem i ma z natury cierpliwe, jeśli nawet nie zupełnie obojętne usposobienie. Jeśli mąż krzyknął, popchnął, surowiej spojrzał niż zazwyczaj, w pierwszej chwili drżała jak listek osiny, lecz wkrótce to przemijało i znów kamienna wracała jej spokojność. Instynkt macierzyński nie miał czasu w niej się rozwinąć, w czernastym roku pierwsze dziecię na świat wydała; gdy je straciła po kilku tygodniach, nie było znać żalu na niej, owszem, mógłby kto myśleć, że się ucieszyła prawie:

— No, będę mogła spać znowu spokojnie.

I tak było po urodzeniu i po śmierci każdej z czterech przed skończeniem pierwszego roku gasnących córeczek. Dopiero gdy piąty syn przebył

szczęśliwie krótką miarę życia swych poprzedniczek, zaczęła się nim coraz więcej zajmować. Stało się to dla niej źródłem nowych zmartwień i prześladowań. Ojciec ucieszył się wprawdzie pierwszemu potomkowi płci męzkiej, dziedzicowi nazwiska i dość rozległych włości, nie mógł dla niego wszelako przetworzyć swego charakteru. Gdy trzecioletnie dziecko zniecierpliwiło go czasem zagłośnym śmiechem lub płaczem, dobywał z piersi tegoż samego głosu, przed którym drżeli fornale w stajni i parobcy na polu. Matka raz tylko spróbowała ująć się za swoim Jasiem, lecz mąż, zdziwiony tak niezwykłym postępkiem, do niej samej słowa nawet nie wyrzekł, tylko chłopczynę smagnął przez plecy trzymaną w ręku laską. Od tej chwili nigdy już drugi raz na podobną śmiałość się nie zdobyła, lecz samnasam z Jasiem zostawszy, szepnęła mu do ucha:

— Cicho, Jasiu, zawsze cicho bądź przy ojcu. Ojciec zły, ojciec zabije cię kiedy.

I takie słowa razporaz na serce dzieciaka rzucała, bo też razporaz sposobne do tego trafiały się okoliczności. Starosta zmiarkował, czem najwięcej żonie dokuczyć może; choć się w dawną owinęła apatyą, nie oszukało go to bynajmniej. Jak wiedział o jej wstręcie ku sobie, tak wiedział o jej boleści za każdą wyrządzoną jedynakowi przykrością. Trzymał go też ostro, z nadmiarem upowszechnionej w owym wieku surowości pedagogicznej. Jasiowi nie wolno było bawić się z innemi dziećmi; Jaś chodził w grubych, łatanych suknienkach, nie dostawał przy stole smaczniejszych potraw, a musiał jeść koniecznie te, których najgorzej nie lubił. W szóstym roku zaczęła się jego nauka, z nauką częstsze i nielitościwsze plagi; nie przechodził on przy dyrektorze swoim z infimy na gramatykę, z gramatyki na retorykę, przechodził raczej z rózgi na dyscyplinę, z dyscypliny na baty. Gdyby go do szkół oddano, byłby odetchnął może, ale ojciec trzymał do niego księdza jezuitę pół Niemca z Torunia i jakiegoś

Francuza, tak jak sam gwałtownego. Jedyną pociechą zgnębionego chłopca bywało ukradkowe pocałowanie matki i te słowa, które niemal w przysłowie jej poszły:

— Cicho, cicho przed ojcem; ojciec zły, ojciec cię zabije.

Wmiarę jak chłopiec wzrastał, zaczęła dodawać:

— Czekajmy!

Na co? nie powiedziała mu nigdy. Może roiła sobie, że w synu zupełnie dorosłym a silnym znajdzie obrońcę i mściciela — aż tu jednego dnia starosta gniewem uniesiony, gdy przez sień biegnął za woźnym, który mu pozew od mieszczan doręczył, wskutek cugu jak się zdaje, nagle paraliżem tknięty, w samym progu gankowym upadł bez przytomności. Służba rzuciła się do ratunku i podniósłszy, zadźwigała go do sypialnego pokoju, gdzie właśnie żona szyła bieliznę dla męża.

— Co to jest jegomości? — spytała jak zwykle swoim przycichłym głosem.

Ten sam kredencerz, co ją przed laty na klucz zamykał, w największem pomieszaniu:

— Nie wiemy — odrzekł — może to apopleksya, może to paraliż; nie wiemy, trzeba doktora sprowadzić.

— A tak, trzeba doktora sprowadzić — powtórzyła i wstając zwolna, ostrożnie na palcach ku choremu podeszła.

Chory miał twarz okropnie wykrzywioną, oczy szeroko rozwarte i groźniej przed siebie niż kiedykolwiek patrzące. Postała czas jakiś, bacznie mu się przyglądając, aż nagle twarz rękami zasłoniwszy:

— Ja się boję! — kzyknęła i coprędzej wybiegła z sypialni, a nie oparła się aż na drugiej stronie w przykomórku, gdzie Jaś ze swymi dyrektorami się uczył. Na ten raz ksiądz właśnie lekcyą z nim odbywał. Hałas nie doszedł jeszcze do tego oddalonego zakątka; ona pierwsza przyszła zwiastować, co się stało.

— Mąż zachorował, niech ksiądz dyrektor będzie tak dobry i pójdzie zobaczyć, coby tam zrobić trzeba.

Ksiądz dyrektor zerwał się natychmiast, wołając:

— Jezus, Marya, Józef! Cóż to takiego być może? idźmy, idźmy, służę pani dobrodziejce. — Ale ona iść nie chciała.

— Ja się boję, ja się nie znam na tem — rzekła na usprawiedliwienie, i ksiądz ją samę z Jasiem zostawić musiał. Skoro tylko wyszedł, przyciągnęła syna do siebie z twarzą dziwnie rozpłomienioną, bystro patrząc mu w oczy:

— Jasiu — wymówiła półgłosem jeszcze, ale z wielkim naciskiem — doczekamy się.

Tymczasem sprowadzono jakiegoś Żyda eskulapa, który staroście krew puścił, bańki i synopizma poprzystawiał, ale żadnej ulgi nie przyniósł.

Pod wieczór kredencerz zjawił się w przykomórku, gdzie matka ciągle z synem siedziała.

— Jaśnie pan chce się koniecznie widzieć z jaśnie panią, nie może już mowić wyraźnie, ale razporaz coś zabełkoce, oczyma na krzesło jaśnie pani wskazując.

— Ja się boję, nie pójdę — odpowiedziała tak stanowczo, jak jej się to zapewne od trzynastego roku życia nie zdarzyło.

W innych okolicznościach zausznik pański nie wahałby się może opornej żony gwałtem, choćby na ręku do wzywającego męża zanieść, ale teraz słońce faworów gasło, nie przewidywał, co dalej się stanie, więc się w milczeniu oddalił.

Przez parę dni następnych, różne jeszcze z tem samem orędziem przychodziły poselstwa; każdemu z nich Dosia tęż samę dawała odprawę:

— Ja się boję, nie pójdę.

Gdy chciano syna do ojca prowadzić, jeszcze silniej się temu sprzeciwiała:

— Nie puszczę go, on tam niepotrzebny.

Aż nakoniec ksiądz dyrektor z surowem napomnieniem do niej przyszedł:

— Wolno pani starościnie robić, co się jej podoba, sama będzie przed Panem Bogiem odpowiedzialną, ale nie wolno jej sumienia dziecka swego tak strasznym grzechem obciążać, by się do umierającego ojca z ostatniem pożegnaniem nie zbliżył. Jest przecież w tych latach, że mu za ekskuzę nie stanie ani na tym świecie przed ludźmi, ani na tamtym przed sądem ostatecznym, zbyteczna troskliwość matki, a choćby jej rozkaz wyraźny.

Kończąc te słowa, wziął chłopca za rękę i udał się z nim do pokoju chorego.

Tam już wszystkie przygotowania do ostatnich religijnych obrzędów poczyniono: dwie zapalone gromnice i oleje święte stały na stole, białym obrusem przykrytym, proboszcz miejscowy, w komży i stule czytał głośno łacińskie za konających modlitwy; we drzwiach komnaty na rozcież otwartych klęczała gromadka wiejskich ludzi i domowników, odgłosem dzwonka zwołanych. Jasio chciał także przy nich uklęknąć, lecz ksiądz dyrektor mocnem szarpnięciem pociągnął go i tuż przy łóżku na kolana rzucił. Jedyne wrażenie, jakie siedmioletni chłopak po tak uroczystych chwilach zachował, było wrażeniem niewymownego strachu i wstrętu.

— Nigdy pierwej — mówił on — tak strasznym ojciec mi się nie wydał; wąsy mu się najeżyły jak miotły, nos zgarbaciał i przesunął się w jednę, a dolna sina warga w drugą stronę; włosy czarne jeszcze, ale posklejane, poczochrane, wiły się około twarzy niby robactwo jakie, mowę utracił już zupełnie, oczy tylko zwolna się poruszały i gdy na mnie padło ich spojrzenie, tak okropnie białkami łysnęły, jak gdyby chciał z głowy swojej na moję głowę je rzucić. Co prędzej zakryłem twarz rękoma i nie oderwałem ich aż do chwili, póki się obrządek ostatniego namaszczenia nie skończył. Wówczas dopiero zbliżył się ksiądz dyrektor i bezwładnie leżącę rękę ojca ująwszy, na mojej

głowie położył. Juźciż wiem. że najlepsze były jego intencye; miało to niby błogosławieństwo oznaczać, lecz skoro mych włosów te zimne. długie palce dotknęły, zdawało mi się, że według zwyczaju za włosy mnie targnęły i pochwyciwszy mocno. ciągnęły ku sobie w trumnę, w ziemię, w śmierć. Krzyknąłem tylko przeraźliwie i zemdlałem.

Czasem, w chwilach dobrego humoru. pan Jan streszczał swoje opowiadanie, i własnym synom, gdy ich surowsza od niego żona ukarała, powtarzał zwykle:

— Dziękujcie Bogu. że wam nie gorzej; ja miałem takiego ojca, który już oleje święte przyjął, już konał, a jeszcze mnie za łeb wytargał.

Gdy się to działo w sypialni umierającego starosty, żona jego, postępkiem księdza upokorzona, głębiej zaczęła nad swojem położeniem rozmyślać; znała to do siebie, że była trwożliwą i nieradną; dojrzała w nienawiści tylko, co do innych spraw życia, nigdy z lat dziewczęcych nie wyszła. Jeśli ksiądz dyrektor grozić jej będzie, jeśli ten niegodziwy kredencerz zamknie ją znowu i sam ster rządów obejmnie, cóż ona pocznie wtedy? Mogą wszystko rozdrapać, rozdzielić między siebie, mogą Jasia wywieść gdzie daleko, lub Bóg wie co z nim zrobić, a sama nie potrafi się temu oprzeć, więc musi kogoś na pomoc zawezwać.

Opiekun źle jej pilnował w dzieciństwie, dał się potem przekupić mężowi, do opiekuna zgłaszać się nie warto. Z całej rodziny został jej tylko jeden krewny po matce, który jej więcej okazał raz współczucia, którego za to starosta nie lubił, który oddawna już nie pokazał się w ich domu, ale był poczciwym choć niemajętnym i bez wpływów człowiekiem: był to właśnie ojciec ciotki Rózi. Korzystając z chwili zupełnej samotności, napisała kilka słów do niego, z wyrażeniem swoich obaw, przypuszczeń, niepokojów i z prośbą, żeby przybył do Mielinka, skoro tylko o śmierci starosty się dowie. W tej chwili nie wzywała go jeszcze; trudno jej było uwierzyć w tak śpieszne i nie-

spodziane wyzwolenie; lękała się, by mąż cudem jakim do sił i zdrowia nie wrócił. Z napisaną kartką dużo też miała kłopotu, w czyje ręce ją powierzyć, przez kogo posłać. We dworze wszyscy byli na ostatniem namaszczeniu starosty obecni; ogrodem ku stajniom pobiegła i spotkała nareszcie wyrostka jakiegoś, który tam koło nich się kręcił.

— Pójdź-no tu — zawołała, rękę przez sztachety wyciągając — okulbacz sobie konia i ruszaj coprędzej z tym papierem do pana z Karczówki, do pana Różańskiego, rozumiesz? Tylko pamiętaj, żeby nikt się nie dowiedział z czem i gdzie jeździłeś, pamiętaj, tak pan kazał!

Czy ze zwyczaju tylko dorzuciła te słowa, czy umyślnie skłamała, żeby stajennego chłopca posłuszniejszym sobie uczynić, bądźcobądź kłamstwo było niepotrzebne; wszyscy wiedzieli, że pan dogorywa, a pani do władzy przychodzi, chłopak też uwinął się coprędzej, tak, że w jej oczach jeszcze na koń skoczył i gościńcem za stodołami pocwałował.

Ledwie pani Dorota wróciła na swoje miejsce po tej wycieczce, dało się słyszeć stąpanie kilku osób w przyległych pokojach i zemdlonego syna jej przyniesiono.

— Czy go zabił? — zapytała, blada jak ściana wchodzących — czy ojciec zabił Jasia? — powtórzyła gwałtownie, gdy jej zrazu nikt nie odpowiadał.

Ksiądz dyrektor wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Zkądże to pani dobrodziejce takie dziwne myśli do głowy przychodzą? jeszcze Bóg skarze i rozum pomiesza. Jaś wziął do serca śmierć ojca, jak widać. Gdy go ręka ojca z błogosławieństwem dotknęła, wzruszył się bardzo i zemdlał, a pani dobrodziejka zaraz takie do niczego niepodobne przypuszczenia tworzy. Będą one nieraz panią trapiły, a jak sobie pomyślisz, żeś ostatniemu życzeniu męża umierającego zadość nie uczyniła, jeno okrutnem posądzeniem ścigałaś go w tej chwili, kiedy on już przed sprawie-

dliwością Bożą stawał, to ci pewnie sumienie spokojnie zasnąć nie da.

Może ksiądz dyrektor byłby się okazał prawdziwym prorokiem, gdyby ta biedna, zgnębiona istota miała jakiekolwiek sumienie; lecz jej nie dano ani moralnie, ani fizycznie rozwinąć się według praw innym ludziom przyznanych, to też kiedy Jasia ocucono i wszyscy wyszli z pokoju, ona ujęła tylko obie ręce swego syna i silnie je we własnych dłoniach ściskając, z uśmiechem głośno zawołała:

— Doczekaliśmy się, doczekaliśmy się, Jasiu!— i nagle ton zniżając, zastraszona prawie własnem zuchwalstwem, po dawnemu do ucha mu szepnęła: — Cicho, cicho bądź jeszcze. Póki ojciec w domu, póty źli ludzie w domu; oni cię ukradną, uwiozą, zabiją.

Siedzieli tak we dwoje, wspólnie ciesząc się i lękając, aż dzień pogrzebu nadszedł. Ksiądz dyrektor, surowiej niż kiedykolwiek przemawiając, zmusił ją do tego, że wraz z synem poszła na cmentarz za pogrzebem i była obecną na nabożeństwie. Tego wszelako nie wymógł, by wdowią żałobę przywdziała.

Między gośćmi na stypę sproszonymi znajdował się i pan Różański. Zaraz mu się to nie podobało, że ktoś z bliższych krewnych nieboszczyka do zarządu całym obchodem i przyjęciem wezwanym nie został. Gdy wracająca z kościoła starościna przed domem z powozu wysiadła, zbliżył się do niej i rękę podając, rzekł nieco przytłumionym głosem:

— Jaśnie wielmożna starościno, wdzięczny za dowód ufności, służby moje pokornie z całego serca ofiaruję.

— To niechże waszmość pójdzie ze mną — odpowiedziała mu, nie zachowując już żadnej ostrożności— chciałabym z waszmością o wielu rzeczach się naradzić; — a widząc, że kilkunastu sąsiadów bliżej stanęło i z ciekawością jej się przypatrywało, żeby im od razu cały stan rzeczy objaśnić — sama jestem — dodała— a chociaż mój syn pod wąsem chłopak już prawie, nie pomoże mi on w ciężkich kłopotach moich; my

oboje jako dzieci maleńkie nie wiemy, co nam z prawa uczynić należy, ani co przeciw prawu źli ludzie czynić nam mogą. Krewnym i znajomym matki mojej byłeś, panie Różański, powiedz mi teraz, jak mam sobie postąpić, żebyś był moim i mego Jasia opiekunem. Wy wszyscy, miłościwi panowie, przebaczycie mi zapewne, że was tu na gospodarstwie przy obiedzie zostawię, a sama przez ten czas do cichszego zakąta się oddalę, aby się o własnej i o jedynego dziecka przyszłości z życzliwym krownym rozmówić — i wobec wszystkich podawszy rękę Różańskiemu, zaprowadziła go na drugą stronę do bawialnego pokoju, gdy resztę gości zachmurzony ksiądz dyrektor na przygotowaną biesiadę pogrzebową do jadalnej wielkiej izby zapraszał.

Po godzinie może wrócił Różański i ma się rozumieć wszystkich jeszcze przy stole zgromadzonych zastał. Pani Dorota opowiedziała swoję przeszłość i teraźniejsze przedstawiła położenie; słowa jej proste, często bezładne i dziecinne, najlepiej mu dowiodły, jak rzeczywiście opuszczoną i niezdolną była do zabezpieczenia się od byle chciwej na jej majątek ręki. Zaraz to zrozumiał, że trzeba ją niejako pod straż obywatelskiej zacności oddać. Nie tracąc ani chwili czasu, wystąpił do zgromadzonych z uroczystą przemową; sam głęboko wzruszony losem wdowy i sieroty, wzruszył i słuchaczy swoich.

Ciotka Rózia z wielką dumą wspominała zawsze o tem krasomówczem swego ojca powodzeniu i miała słuszność, nie dlatego, jak się chlubiła, że ojciec łaciną sadził i cytat z Pisma Świętego równie jak z filozofów starożytnych nie skąpił, lecz dlatego, że prawdziwie dobry i obywatelski spełnił uczynek.

Postanowiono zaraz przy świadkach, między którymi był przecież sam podkomorzy nawet, zlustrować całą po nieboszczyku pozostałość i spis wraz z kluczami do rąk wdowy złożyć; na przypilnowanie zaś tak rzeczy, jako też zarządu gospodarskiego, póki się prawnie opieki nie ustanowi, zostawić tego, któremu sama najpierwej i najzupełniej zaufała. Gdyby uchwalo-

ne *zaraz* tego samego dnia przynajmniej w wykonanie weszło. byłoby się jeszcze lepiej stało, ale zaraz odłożono do jutra i gdy się grono poważniejszych osób w powiecie zebrało koło południa, już wtedy ani kredencerza, ani Francuza nie było. Ksiądz dyrektor żadnych objaśnień udzielić nie mógł, zajęty był tylko uczniem swoim i sprawami swego powołania; gdzie pieniądze i klejnoty, gdzie klucze od tego wszystkiego — nie wiedział; pytano starościny, lecz i ta domysłami jedynie rozpoczęte poszukiwania kierować się podjęła.

Starosta jej własne rodzinne klejnoty u siebie pod kluczem chował i tylko w ważniejszych okolicznościach do stroju, jak na przykład gdy malowano jej portret, użyczał. Widziała, że je wynosił z sypialnego pokoju, ale gdzie je składał, nie wiedziała nigdy; wnioskuje tylko, że w kantorku zapewne, bo tam wiele jest skrytek. Przeszukano kantorek, przetrząśnięto wszystkie skrytki, ale prócz kilku talarów saskich, nic nie znaléziono. W głowach pod łóżkiem stała duża gdańska, skórą psa morskiego obita, z żelaznem okuciem szkatuła; od szkatuły klucz zaginął. Gdy ją przyzwany ślusarz otworzył, podobnież jak w kantorku ujrzano pustki w przegrodach i tylko trochę papierów na dnie leżących. W ogóle poszukiwania wykazały bardzo smutny stan rzeczy. Ani pieniędzy, ani męzkich, ani kobiecych klejnotów wcale nie było, sreber stołowych mniej niż ich w wigilią przy obiedzie widziano; śpiżarnia bez zapasów; w oborze kilka nędznych krówek, w stajni kilka dychawicznych koni, w sąsieku trochę starganej słomy, w śpichrzu conajwięcej dwa korce rozsypanego ziarna: oto wszystko, co na dalsze prowadzenie gospodarstwa nowym dziedzicom zostawiono.

Znać, że już wczasie choroby pana starosty grabież się zaczęła w zabudowaniach folwarcznych; we dworze musiała być późniejszą. O dwóch zbiegach żadnej nie powzięto wiadomości; zdawało się niepodobnem, aby sami we dwóch dali sobie radę z pokradzio-

nemi rzeczami, które jednak nie lekkie być musiały do przeniesienia. Pominąwszy już srebra, bieliznę, futra, kosztowniejsze pasy i żupany, toć prócz tego pieniądze same ówczesne dość ciężkie bywały, a starosta, według zdania całej okolicy, miał dużo pieniędzy. Różne też były posądzenia, ale ciotka Rózia, nadmieniając o nich hurtownie, zawsze dodawała:

— Boże broń od posądzenia na niewinnego człowieka.

Tymczasem, gdy w innych wioskach z tym samym jak w Mielinku spotkano się nieładem, trzeba było o środkach wyżycia i utrzymania się pomyśleć. Podkomorzy głosował, żeby Różański całe dobra zadzierżawił, zostawiając wszelako starościnę na mieszkaniu w mielnickim dworze. Ani jedno, ani drugie słyszeć o tem nie chciało.

— Wielce miłościwi panowie — odezwał się podobno ojciec ciotki Rózi — wolę ja, żeby Rożański kogoś pilnował, niż żeby ktoś pilnował, a co gorsza, nie pilnował Różańskiego.

Starościna ze swojej strony płakała i prosiła, żeby jej samej w Mielinku nie osadzano.

— Ja chcę z Jasiem do Warszawy pojechać; tam więcej ludzi, tam bezpieczniej, a ja się tu boję — kończyła dalej poswojemu.

Stanęło na tem, że dla ściągnięcia niezbędnych na bieżącą chwilę funduszów, jednę wioskę w zastaw puszczono; dla innych miał się Różański poczciwego jakiego dzierżawcy wystarać, a starościnę z połową zastawowych pieniędzy do Warszawy, według jej życzenia, wyprawić. Jaś przecież powinien był kończyć nauki, a jej samej należało się trochę wytchnienia i rozerwania za tyle lat egipskiej niewoli.

Podkomorzyna, w całem sąsiedztwie wysoko szanowana matrona, podjęła się panią Dorotę odwieźć, zainstalować na miejscu i komuś ze swoich znajomych pod opiekę oddać. Wszystko zrazu poszło bardzo gładko. Pani Dorota wiernie słuchała rad Różańskie-

go i szła za wskazówkami zacnej podkomorzyny. Jasia w szkołach pijarskich umieszczono, z czego chłopiec nadzwyczaj się cieszył i nawet przez czas jakiś korzystał; dopiero później, gdy sumienny Różański zaczął wszystkie dochody dzierżawne w ręce pani starościny składać, różne zmiany w usposobieniach syna i matki nastąpiły.

Jaś zaczął hulać, a matka we wszystkiem nie Różańskiego już, ale Jasia radami powodować się zaczęła. Można sobie wyobrazić, jak dwie takie nieoględne, świata, ludzi, rzeczy można złego i dobrego nieznające istoty, prędko zachwiały ubezpieczony dla nich przez Różańskiego dobrobyt. Tysiące szły na fraszki bez żadnej wartości, na rozrywki, na szaleństwa, na fantazye. Pani Dorota ciekawą tylko była, ciekawą jak dziecko, ale też zmienną i jak dziecko obojętnie zapominającą. Nigdy jej na myśl nie przyszło, że można nie kupić tego, co chwilowo jej oczy ciągnęło ku sobie; gdyby kto siedmioletnią dziewczynkę po sklepach oprowadzał, toby jej odrazu niemniej pewnie cacek i świecidełek się zachciało, jak pani Dorocie, gdy na ulicę wyszła; tylko siedmioletnia dziewczynka nie miałaby woreczka z pieniędzmi, a pani Dorota miała go na nieszczęście przy sobie. Leżały u niej na składzie drogie materye, muśliny, hafty, wstążki, różne sprzączki, pióra, kwiaty, figurki porcelanowe, różne koszyczki, igielniki, poduszeczki, wszystko to bez użytku. Nie dbała o żadne stroje, nie chwaliła się przed innymi ze swoich nabytków, bo się daleko od ludzi trzymała — ot tak poprostu, pilno jej było wyszastać te wszystkie pieniądze, z których przez długie lata ani grosza w ręku nie miała.

Jaś ze swojej strony bardzo podobną objawiał skłonność, tylko trwalsze od matki wyrobił sobie upodobania; przepadał za tem wszystkiem, czego mu kiedyś ojciec najsurowiej bronił. Lubił się bawić, stroić, lubił smacznie zjeść, smacznie wypić, a zwłaszcza tak lubił nie uczyć się, że po roku już go matka ze szkół do domu wziąć musiała. Niebawem też we wszystkie

przywileje niezależnego młodzieńca wstąpił: grał w karty, latał po redutach, nadskakiwał ładnym kobietkom i, widząc go swobodnym, wesołym, samowolnym, niktby się nie domyślił, że z dziewiętnastu lat życia siedemnaście pod grozą kańczuga w prześladowaniu i pognębieniu spędził. A jednak owe lata zostawiły po sobie ślad niestarty: zupełny brak woli, i to—o czem sam o sobie nie wiedział — zupełny brak męzkiej odwagi. Ostatnie to nieszczęście, bo juścić w jego położeniu daleko więcej nieszczęściem, niźli wadą było, spowodowało zgubę jego w Warszawie, a do pewnego stopnia ocalenie na wsi w gnieździe rodzinnem. W owym czasie pojedynki tak zwyczajną bywały rzeczą, że się o nich codziennie prawie, jak o powszednich zdarzeniach, mówiło. Jaś wyobraził sobie, że to inny rodzaj hulanki musi być tylko; widział, jak ten i ów koło niego za byle słowo kolegę lub przyjaciela wyzywał, więc raz przy pijatyce nie wiedzieć o co się obraził i któregoś ze współbiesiadników on także na ostrze wyzwał. Kiedy przyszło stanąć na placu, widok dobytego żelaza bardzo niemiłe jakoś zrobił na nim wrażenie; usprawiedliwiał się, że ani szpady, ani pałasza, ani żadnej broni nigdy jeszcze w ręku nie miał. Świadkowie, rozweseleni taką naiwnością, wnet się na migi z wyzwanym porozumieli i obstawali przy tem, żeby się bił koniecznie; biedny Jaś wziął francuską szpadę do ręki, ale nim doszedł na wskazane miejsce wprost swego przeciwnika, zbladł jak trup, w uszach mu tętnić, w oczach ciemno robić się zaczęło, padł na ziemię jak długi, a nieszczęśliwe walki narzędzie z jego własnej ręki wzdłuż biodra aż po kolano się przesunęło i krwawym śladem drogę swą oznaczyło. Nie była to zbyt wielka rana, ale na matce ogromne zrobiła wrażenie; zdawało jej się z opowiadania Jasia, że młodzi ludzie w całej Warszawie na jego życie czyhają; dotychczas pozwalała mu na wszystko, cieszyła się, że czas wesoło przepędza, ale teraz prosiła i zaklinała, żeby na wieś z nią wracał; Jaś wcale nie był

od tego; niespodzianie więc do Mielinka zjechali — szczęściem, że to zdarzenie całe zbiegło się razem z listem Różańskiego, w którym ich najusilniej do powrotu namawiał. Pomimo jego staranności i zabiegów, bezrząd w stolicy mieszkających ogromne sumy pochłonął, wioski były pozadłużane; ta nawet rodzinna pani Doroty, w której osiedlić się pragnęła, na kilka lat jeszcze musiała w ręku wierzyciela dzierżawcy pozostać. Mielinek tylko stał otworem dla swych dziedziców; pani Dorota poprzestawiała w nim wszystko, pozmieniała przeznaczenie pokojów, ale nie mogła otrząsnąć się z wrażenia grozy i postrachu, jakiemi ją te miejsca przejmowały. Syn, dwadzieścia parę lat już liczący, często ją samę zostawiał, odwiedzał sąsiadów, zabierał nowe znajomości, ale matki nie mógł namówić, by mu w tych wycieczkach towarzyszyła. Pojechała raz do podkomorzyny, raz do Różańskich i przekonała się, że jej trudno żyć z ludźmi; jak w Warszawie, tak i w Mielinku zamknęła się przed światem, z tą jedynie różnicą, że w Mielinku niepotrzebne rzeczy skupować przestała. Zpoczątku kazała sobie znosić przywiezione z Warszawy kufry i pudła; widziano ją po godzinach nieraz przyglądającą się sztukom materyj, świecącym fraszkom i różnym na nic nieprzydatnym drobiazgom; ustawiała małe filiżanki na stoliku przed sobą, migotała pierścionkami pod światło i tak jej dnie schodziły przez parę miesięcy — potem znudziła ją ta zabawka; próbowała gospodarstwem rozerwać się trochę, chodziła wszędzie, patrzyła na wszystko, ale nie wiedziała ani o co się pytać, ani jakie dawać polecenia; znowu się jej to sprzykrzyło. Póki Jaś był w domu, póty znać było na niej jakieś ożywienie; gdy się oddalił, zapadała w gorszą jeszcze niż za życia męża martwotę. Ta biedna w starzejącem już ciele małego dziecka duszyczka, samotność swoję zaczęła nakoniec zabobonnemi dziwactwami wypełniać. Nieraz gdy szła przez pokój, stanęła nagle i blada, drżąca, niespokojnie wtył spozierała; to znów siedząc nad jaką bezcelową robótką, wypu-

szczała ją z rąk niespodzianie i wyciągnąwszy szyję, zdawała się nasłuchiwać głosów jakichś w otaczającej dokoła ją ciszy. Jednego dnia nawet wieczorem wbiegła do kredensu z mętnym wzrokiem, z wyciągniętemi przed siebie rękoma, krzycząc przeraźliwie:

— Jegomość! jegomość!

Nic dziwnego, że po takim wypadku, służba cała najmocniej uwierzyła w to, że duch pradziadka pokutuje i z dawną zawziętością swej żonie dokuczyć się stara. Tłusta, nowo przyjęta gospodyni spotkała go przed sienią, dziewka folwarczna na schodach piwnicy, stajenny go widział, jak sam sobie karego konia okulbaczył i przez drzwi zamknięte wyjechał na nim, a gdzie harcował, nikt nie zgadnie; nad ranem koń już stał przy żłobie i gdyby nie to, że był szmatami piany okryty, możnaby przysiądz, jakoby nigdy ztamtąd się nie ruszył. Po kilku tygodniach każdy prawie chłop we wsi miał jakąś straszną historyą do opowiedzenia o ukazującym się duchu, a każdą straszną historyą służące z przydatkami pani swej powtarzały; była to ciężka próba na taki słabiutki umysł. Inna, wrażliwsza, na jej miejscu możeby obłąkania dostała, ją uratowała apatya. Chwile przestrachu nie zostawiały po sobie długich chwil obawy. Nie myślała o nich, gdy minęły. Lecz ta bezmyślność właśnie, ten brak wszelkiego zajęcia rozwinęły się w stan chorobliwy, w jakieś wycieńczenie sił żywotnych, którego sama nie spostrzegła, którego inni też nie spostrzegali. Jaś bawił się wesoło i nie przypuszczał nawet, że mu kiedyś przyjdzie rozstać się z matką na zawsze, a jednak przyszło do tego. Rok cały gasła powoli i zgasła jak świeczka. Gdyby nie pani Różańska, która, coś zasłyszawszy o jej wielkiem osłabieniu, w odwiedziny do niej przyjechała, toby nikogo przy niej w tych ostatnich chwilach nie było. Karnawał i nowy przedmiot miłości coraz częściej i coraz na dłużej Jasia z domu wyciągały. Poczciwa krewna w łóżku zastała Dosię— bo istotnie tak zdrobniała, tak zeszczuplała, że podobniejszą była w tej chwili do małej porwanej Dosi,

niż do wyrosłej z lat dziewczęcych pani starościny Doroty. Włosy jej, wcale jeszcze nieprzeświecające siwizną, podawnemu w dwa warkocze splecione, wzdłuż twarzy dwoma złocistemi falami płynęły, a gorączkowy rumieniec świeżą cerę na wychudłych policzkach zastępował. Co się u niej bardzo rzadko zdarzało, z pewną radością powitała nowoprzybyłą.

— Jak się miewasz, moja kochana Różańsiu; siadajże tu bliżej. Musisz mi różne rzeczy powiedzieć.

— Czegóż to pani starościna najwięcej ciekawa? Przeczuwam, że mnie chce na plotki o panu Janie wyciągnąć; ludzie głośno gadają, że się żeni.

— Daj Boże! daj Boże! widzę, że mu serce do panny Siekierskiej przylgnęło, ale nie o tem chciałam mówić — zatrzymała się na odpoczynek i na zebranie myśli; po dość długiej chwili dopiero przerwała milczenie: — Jak ci się zdaje, kochaneczko, czy po śmierci jegomość będzie miał jeszcze jakie prawo do mnie?

— Ot, co tam o takich rzeczach myśleć! śmierć jeszcze daleko! — w pocieszający mtonie odparła matka ciotki Rózi.

— Ale bo to widzisz — znów po pewnym przestanku odezwała się chora — jegomość od kilku już miesięcy ciągle mi się pokazuje, chodzi za mną, wymyśla, jak to czasem za życia bywało, raz nawet chciał mnie za rękę szarpnąć, ale uciekłam. Dawniej byłby mnie dogonił, teraz nie mógł — więc go się też nie bałam tak bardzo. No! przyszedł to i odszedł, groził, to i ja wodą święconą groziłam, patrz pani, mam ją tu przy sobie na podorędziu; jestem teraz daleko śmielsza przeciw niemu, nie chcę jednak w wieczności się z nim spotkać.

— Najlepiej zdać wszystko na miłosierdzie Boże. Niech się pani starościna z księdzem o tem rozmówi.

— Tak! będzie trzeba księdza niedługo sprowadzić, ale jeszcze nie zaraz; okropnie się zmęczyłam.

Upadła na poduszki i twarz jej nagle mienić się zaczęła. Panią Różańską dziwna trwoga ogarnęła, pochyliła się nad leżącą i półgłosem zapytała:

— Czy chcesz pani, żeby dać znać synowi? W parę godzin może tu być z powrotem.

Wstrząsnęła lekko głową i bardzo już niewyraźnym głosem odrzekła:

— Niech się bawi, biedactwo! tak długo nie było mu wolno. A kiedy ksiądz przyjdzie? — dodała wkrótce, zapominając o żądanej zwłoce.

— Natychmiast — odpowiedziała coraz bardziej zaniepokojona pani Różańska i wybiegłszy z pokoju, nietylko po księdza, ale i po Jasia na dwie strony wyprawiła posłańców. Za powrotem zbliżyła się na palcach do łóżka; chora miała oczy przymknięte, oddech krótki lecz równy. Zdawało się, że usnęła i że ją sam sen pokrzepi. Cichość głęboka już od półgodziny trwała może, gdy się dał słyszeć odgłos dzwonka. Drzemiąca nagle oczy szeroko rozwarła.

— Czy to ksiądz idzie do jegomości? — przerywanym głosem pytała.

— Nie, to pani chciałaś się z nim widzieć — przypomniała jej Różańska. Ślad przelęknienia zniknął też z jej twarzy.

— Mam go prosić... — zaczęła mówić, lecz w tejże chwili ksiądz wszedł do pokoju i skinąwszy na panią Różańską, zaczął jej się o stan chorej wypytywać.—Mam go prosić—powtarzała ona tymczasem—mam go prosić... — lecz znać trudno jej było rozpierzchające się myśli pozbierać. Ksiądz stanął przy niej, przemówił coś o nadziei wyzdrowienia, o łasce Sakramentu, który nietylko duszę, ale i ciało uleczyć może, wszystko to przecież żadnego nie robiło na niej wrażenia. Ciągle się biedziła z ujęciem w słowa tej prośby, co jej oddawna chyba na sercu leżeć musiała, aż nareszcie z wielkiem sił fizycznych i umysłowych natężeniem skupiła potrzebne jej wyrazy i bardzo przytomnie popatrzywszy na księdza proboszcza:

— Proszę księdza — dość głośno rzekła — nie przy nim... tam, gdzie moje biedne córeczki, cztery córeczki — szepnęła ciszej; głębokie westchnienie pierś jej wzniosło, głowa ku przodowi opadła i ksiądz już nie potrzebował jej odpowiadać.

Koło północy Jaś wrócił do domu; z ustnego orędzia nie mógł wymiarkować, czy to o jaki przypadek, czy o niespodziewaną a niebezpieczną chorobę chodziło, i gdy w sieni spotkał wychodzącą naprzeciw siebie panią Różańską, z ciekawością raczej, niż z niepokojem, zapytał jej:

— Co to się matce stało? — a nie zważając na milczenie, szedł dalej, nawet gdy go Różańska do drzwi puścić nie chciała.—A! więc matka zasnęła! — wytłumaczył to sobie. Dopiero jak przy świecy, którą trzymała w ręku, ujrzał ślady łez i wielkie pomieszanie na jej twarzy, domyślił się, że mu coś strasznego zagraża.

— Przecież matka nie umarła! -- z trudnością drżące usta wymówiły.

— Jesteś mężczyzną, panie Janie, jesteś chrześcianinem, powinieneś odważnie i pokornie znieść ten cios... — zaczęła prawić pani Różańska, ale Jaś nie dosłuchał jej wcale. Szarpnął drzwiami, wbiegł do pokoju, rzucił się na szyję umarłej i zaczął krzyczeć, płakać, wyrzekać, istotnie szczerym ale więcej kobiecym, więcej dziecięcym, niż męzkim żalem przejęty.

— Pan Jan — mawiała ciotka Rózia, gdy jej o dziadku naszym do wspomnienia przyszło — pan Jan bardzo dobrym był człowiekiem, tylko bardzo bawić się lubił.

I mnie dziś, gdy to piszę, zdaje się, że nie potrafiłabym w krótkich słowach lepiej streścić jego usposobienię, chyba jedną maleńką dodając sylabę: pan Jan *byłby* bardzo dobrym człowiekiem, tylko że strasznie bawić się lubił. Srogość ojcowska wszystkie ojcowskie wady mu zbrzydziła. Miał łagodne usposobienie, przykro mu było widzieć smutnych

i cierpiących; jeśli mógł im co pomódz, to pomagał, jeśli nie mógł, to od nich uciekał. Chłopi na wsi doskonale wiedzieli o tem, że każdy co zechce, to od niego wyprosi. Służący mieli tę pewność, że im wszelkie zaniedbanie obowiązków służbowych, wszelką niezręczność, a nawet i lepkość w palcach przebaczy. Wiele potrzebował, bo wiele wydawał, ale na zysk chciwym nie był, cudzej krzywdy nigdyby nie zamierzył; mógł się jej dopuścić bezwiednie, sumienie jednak świadczyło mu w tym razie, że umyślnie tego nie zrobił. Wogóle instynkta miał poczciwe, jakkolwiek nie wypracował z nich żadnej cnoty, żadnego nawet szlachetnego czynu: wszystko się kończyło na lekkich wzruszeniach, rozrzewnieniach i pięknych słówkach. Ah! i dzisiaj na tem się kończy. Tylko dziadek mój pięknych słówek z dobrą wiarą nadużywał, głęboko był przekonany, że gdy je wypowie, to już ważnego obowiązku dopełni, bodaj czy mu się też nie zdawało, że wprost przeciwnie ich literze i brzmieniu nie postępuje bynajmniej. Teraz ludzie mają więcej rozumu, deklamują nie dlatego, że treść deklamacyi im się podoba, choćby po amatorsku, ale dlatego, żeby się *oni* podobali; a co do postępowania, to już żadnej nie mają wątpliwości, wiedzą z największą pewnością, że się wcale do sensu z ich wyrazami nie składa. Dziadunio na przykład bardzo wiele miał szacunku dla tych, którzy należeli do konfederacyi barskiej, może na to wpłynęła niechęć ojca, w wielkiej przyjaźni z Kreczetnikowem żyjącego, bądźcobądź jednak, czuł się ztąd trochę wyższym od państwa Siekierskich, którzy, jak słyszał, przed konfederatami na bory, na lasy uciekali, srebra, pieniądze i cały z sobą zabierając dobytek. Kiedy sejm czteroletni obradował, dziadunio się unosił nad jego mądrością i cnotą, wstążeczki z napisami przypinał do ramion i do kapelusza, a niedalej jak o miedzę, sąsiad Tuczyński klął, na czém świat stoi tych, co złotą wolność zgnębili i szlachtę w chłopów pozamieniali. Trzeba też pamiętać, że bezowocne lecz zacne sym-

patye pana Jana, w stosunku do tła otaczającej go społeczności, miały przynajmniej zasługę wyboru; nie słyszał o nich w dzieciństwie, nie witały go one urokiem nowego objawienia na progu młodzieńczego wieku, nie miał też i zdolności potemu, by nad prądami wręcz przeciwnych sobie wyobrażeń zastanawiać się, rozmyślać, wnioskować; miał przed sobą takie i owakie — że mu się takie, nie owakie podobały, to już było skutkiem naturalnego pociągu. Dziś sprawa już przesądzona, co było pod wątpliwością, stało się prawdą uznaną i wszyscy wychowali się pod wpływem tych samych zasad i pojęć; zastosowanie ich do życia własnego mogłoby jedyną między ludźmi różnicę stanowić, a tu przecież tłumy całe, jak mój dziadunio, na słowach poprzestały!

W sześć miesięcy po śmierci matki, pan starościc Kaliński młodą i piękną żonę do domu swego wprowadził. Historya tego ożenienia bardzo też, według mego zdania, korzystnie o dziadku świadczy. Mieszkał w sąsiedztwie o parę mil pan chorąży Siekierski, bogaty ale stary już obywatel, z drugą, a więc, jak łatwo domyśleć się można, znacznie od siebie młodszą żoną; dom prowadzili otwarty; kto lubił wino, tańce i karty, mógł się w nim wybornie zabawić; jako wiemy, pan Jan ani do wina, ani do tańca, ani do kart wstrętu nie miał; złożył więc państwu chorąztwu swoję atencyą i był tam później kilka razy jeszcze, był i na festynie jakimś, a prócz samego pana, prócz pani, dwojga jej dzieci, czternastoletniej panienki i dziesięcioletniego chłopczyka, nikogo więcej z tej rodziny nie widział. Jednego dnia zdarzyło mu się w porze obiadowej wstąpić tam niespodzianie; miał dalszą drogę przed sobą, ale nie godziło się przecież tuż pod dworem przejeżdżać i takich gościnnych, życzliwych przyjaciół nie odwiedzić. Zastał wszystkich przy stole; według zwyczaju państwo z dziećmi pierwsze miejsca zajmowali, a w pewnej odległości, na szarym końcu, kilka osób z wyższej, jak się domyślał, służby domowej siedziało; przyjęto go

z oznakami wielkiej radości, posadzono między matką i córką, ale gościowi niewygodnie jakoś było. Wczasie powitania wprawne jego pod tym względem oko ustrzeliło już bardzo ładną, młodą osobę, po tejże co on teraz stronie siedzącą. Kilka razy pod różnemi pozorami, to naprzód, to wtył się wychylał, twarzy jej nie mógł zobaczyć wszelako. Gdy wstawali od obiadu, pan Siekierski zaczął sąsiada przepraszać, że głodny zapewne być musi, że tak skromny był poczęstunek i t. d.

— Ale przynajmniej na dopełnienie żołądka wypijemy sobie dobrej kawy ze śmietanką — mówił uprzejmie, prawie błagająco, bo sam nadzwyczaj kawę po obiedzie lubił, a niezawsze, jak widać, żona mu ją dawała. Pan Jan się wymawiał, dziękował, nic nie pomogło.

— Ej! Ewusiu—zawołał gospodarz—zajmij-no się tam prędko i dopilnuj, żeby wszystko jaknajlepsze było.

Piękna młoda osoba szła już ku drzwiom wolnym, jak się pan starościc później wyrażał, majestatycznym, niby królowa krokiem. Rozkaz u drzwi ją zatrzymał. Odwróciła dumnie na karku trzymaną głowę i spytała z wyraźnym zniecierpliwienia akcentem:

— Na wiele osób?

— Juścić że na trzy, opryskliwie zadysponowała pani domu.

I zachwycająca kawiarka, czy panna respektowa, oddaliła się w milczeniu. Przeprowadzono starościca do bawialnego pokoju, zaczęto go o zdrowie matki, o pobyt w Warszawie wypytywać, aż nakoniec ukazał się służący z kawą na tacy, a za nim też sama, intrygująca starościca postać, z cukiernicą w ręku.

Pani chorążyna zerwała się jakoś żwawo i coś pocichu mówić do niej zaczęła.

— Już ja widzę, że w niczem jejmości dobrodziejce nie dogodzę, — odezwała się głośno przybrana w bardzo lichą sukienkę z fartuszkiem, pana Jana

królewna. Głosik był trochę ostry, lecz nierażący, zwłaszcza że choć z mocno zaciętych i wązkich, ale ze świeżych i czysto purpurowych usteczek się wydobył. — Jejmość dobrodziejka zawsze mnie łaje, kiedy cukier w obce ręce powierzam, zkądże mogłam wiedzieć, że na dziś inne prawo?

— No, no, niech acanna nie rezonuje, tylko wraca do swojej roboty; kilku łutów w cukierniczce pilnuje, a całe funty na łasce kucharza zostawia!

— Jest-ci przy nich Karolka, to im się nic złego nie stanie.

— Karolka właśnie w kuchni siedzieć nie powinna; proszę mi ją tu natychmiast odesłać.

— Odeślę ją z wielką przyjemnością, jeśli mnie posłucha. A może i Walusia także? Bo jak połowę konfitur wykosztują, to jejmość dobrodziejka znowu na mnie winę złoży.

— Ej ty!... — krzyknęła chorążyna z ledwo powstrzymanym gestem czynnego gniewu. I miała pewnie jakiś dosadny wyraz na końcu języka, lecz przypomniawszy sobie obecność gościa, zniżonym tonem dodała jedynie: — Ty gadzino! ruszaj mi ztąd zaraz!

— Serdeńko moje! uspokuj się, nic tak przecie złego nie zrobiła — wdał się najniefortunniej w to zajście pan chorąży.

— Nic złego — przedrzeźniając, powtórzyła małżonka — o! ja wiem, że asan ją zawsze podtrzymujesz. Jedno warto drugiego... Ale pocóż tu łaskawemu sąsiadowi domowemi sprawami próżno uszy trudzić. Czy słodko pan pija kawę? czy lubi dużo, czy mało śmietanki? — pytała bardzo grzecznie i usta się wdzięczyły, choć w głosie znać jeszcze było, że się dławiła wielu niedomówionemi słowami.

Tymczasem łaskawy sąsiad ciekawie się przysłuchiwał krótkiemu dyalogowi, ciekawiej jeszcze patrzył w zadąsane, a tak nic przez to jednak na wyniosłości swojej nietracące oblicze młodej dziewczyny. Sekunda, błyskawica, chwilka nieujętna — dwa spoj-

rzenia skrzyżowały się w przelocie; pan Jan się uśmiechnął, panna żywym rumieńcem spłonęła, odwróciła się, uciekła i tak głośno drzwi się za nią przywarły, że aż wszystkie szyby w oknach za odchodzącą jęknęły. Może się czuła obrażoną, może wstyd jej było przy świadku złego doznać obejścia? Kto ona? Czem jest właściwie ta sponiewierana, a zuchwała? Zrobiła na nim wrażenie tak już silne, że nie śmiał o to zapytać. Jeśli kawiarka, panna służąca lub coś w tym rodzaju, to młodego na fundusz wezmą, wyżartują, wyśmieją, a co gorzej, zaczną i tej biedaczce dokuczać.

Państwo Siekierscy nie poczuwali się do obowiązku udzielenia mu jakichkolwiek co do zaszłej sceny objaśnień; sama pani widocznych dokładała starań, by w umyśle starościca zatrzeć jej wrażenie; obiecywała mu, że go swatać będzie; przebiegła z nim całą listę panien na wydaniu o sześć mil dokoła. Chorąży anegdotkami uzupełniał wyliczane imiona, ale to wszystko zamierzonego celu nie osiągnęło. Pan Jan ze współczuciem myślał tylko o kłopotach wyłajanej nadzorczyni konfitur, niepokoił się trochę nawet, że Karolka i Waluś nie przychodzą. Lecz Karolka i Waluś przed usmażeniem konfitur wcale do pokoju nie przyszli — domawiała ciotka Rózia z krótką nauką moralną o łakomstwie na mój osobisty użytek.

Tego samego dnia późnym wieczorem, pan Jan w gronie hulaszczej młodzieży wzmiankę jakąś o Siekierskich usłyszał.

— Powiedz mi — rzekł skwapliwie do swego amfitryona — czy nie widziałeś nigdy u nich tej panny, co w dnie powszednie do stołu razem z nimi siada?

Amfitryon jej nie widział; rzadko tam bywa, mieszka daleko, żyje wśród innych stosunków.

— Hej panowie! — zawołał jednak wesoło, czy który z was nie widział nigdy tej panny, co z Siekierskimi do stołu w dni powszednie siada?

— A bo co?—odpytało kilka głosów.

— A bo to istna osobliwość—tłumaczył pan Jan z wielkim animuszem. — Na sługę niby wygląda, a na panią patrzy, chodzi w wypłowiałej sukience i w powalanym fartuchu, a kiedy nagle ją przed sobą zobaczysz, to jakbyś w słońce o samem południu spojrzał; aż ci się w oczach zaćmi, taka śliczna!

— Cóżby to za jedna być mogła? — ten i ów bąknął pod nosem.

— Aha! — zawołał jeden — domyślam się! To niezawodnie córka chorążego z pierwszego jego małżeństwa.

— Czyżby tak piękna znowu? —powątpiewająco odezwał się drugi.

— Jużcić że prędzej piękna, niż brzydka. Brzydkiej chorążyna nie chowałaby tak pilnie przed nami — zauważył trzeci.

— Więc dlaczegóż piękną chowa?— z naiwnością pan Jan wybadywał.

— Zwyczajnie jak macocha, mój drogi —wtrącił któryś ze słuchających. — Każda macocha radaby pasierbicę w kropli wody utopić, lub na dziesięć spustów w klasztorze gdzie zamknąć. Chorążyna nie lepsza od drugich, ba! ludzie zaczynają już gadać, że gorsza nawet daleko; zęby sobie ostrzy na spadek, co się po nieboszce matce dla córki jedynaczki został. Usunęła ją od towarzystwa, chciałaby żeby o niej wszyscy zapomnieli; jeśli przypadkiem koniecznie już musi coś o niej powiedzieć, to kłamie jak najęta, rozwodzi się nad jej chorowitem usposobieniem, nad jej dzikością, nad brakiem wszelkiej ogłady. Tymczasem widać, że jej tylko do posług gospodarskich używa, po garderobach ze służącemi trzyma i bezkarnie dręczy od rana do wieczora.

Panu Janowi w żywej pamięci stanął szereg owych lat siedemnastu, które mu żółcią i piołunem surowość ojcowska zatruła; rozrzewnił się nad losem uciemiężonego Kopciuszka.

— Chorąży wszelako zdawał się życzliwsze mieć dla swej córki uczucia; sam słyszałem jak się za nią ujmował, może kiedyś i na obronę się zdobędzie— pytająco rzucił te słowa w nadziei; że czegoś więcej się dowie. Przedmiot bardzo go zaciekawiał; istotnie więcej wnet się dowiedział.

— Tak ci się zdaje, mój Jasiu — rzekł zaraz jeden z bliższych Siekierskiego sąsiadów; — alboż nie słyszałeś, jak mocno jejmość dobrodziejka jegomości dobrodzieja pod pantoflem trzyma? Kiedy mu kawy i na tabakę żałuje,. to stary nad córką się rozczula, w gruncie rzeczy jednak niebardzo pewno się martwi, że mu panna dłużej, a choćby i na zawsze w domu zostanie, bo nie będzie musiał posagu jej wypłacać. Strasznie on do miłego grosza przywiązany.

— Ależ to niepodobna—zawołał pan Jan z uniesieniem—żeby tak ludzie spokojnie na cudzą krzywdę patrzyli! Musi być przecież jakiś sposób ratunku dla tej nieszczęśliwej.

— No, jest sposób — ktoś inny mu odpowiedział — trzeba tylko żeby się znalazł konkurent, coby wszystkie trudności przełamał. Niekażdy ma na to ochotę; bez awantur, bez wykradania, bez procesów, nikt starszej chorążanki nie dostanie, a prócz tego nie wiadomo, ile i czyby za chorążanką co dostał. Pomijając nawet te względy, o samej pannie różne wieści chodzą: a to że zła, a to że bez wychowania i ordynaryjna, a to że brzydka i wielką chorobę cierpi.

Pan Jan aż się z krzesła na równe nogi zerwał.

— To potwarz — krzyknął — najnikczemniejsza potwarz! Wzrost, figura, jak u bogini; oczy modre jak u Minerwy. Przy czarniejszych niż pióra krucze włosach płeć tak delikatna, że możnaby porachować wszystkie żyłki od skroni wzdłuż lica biegnące! Zdrowiem i siłą kwitnie postać cała; a jakie ruchy wspaniałe, jakie wdzięczne!... I pomyśleć sobie, że taka cudna dziewczyna pod macoszyną tyranią we łzach i smutku najpiękniejsze dni swej młodości pędzi... Toć ja sam widziałem, jak ledwo w moich oczach pięścią

jej nie uderzyła. Nazwała ją gadziną, ta baba niegodziwa! Dziwi mnie to, że dotychczas nikt się nie znalazł, coby tę ofiarę z paszczy smoka wydarł.

— I mnie dziwi — przerwał mu gospodarz — bo jeśli ona z Kozłowskiej się rodzi, to musi mieć w sześciu cyfrach posażek. Znam tę rodzinę: bardzo, bardzo zamożna. Opowiadano mi nieraz, że przed laty zmarły stolnik Kozłowski każdego z trzech synów osobnemi dobrami, a każdą z trzech córek stoma tysiącami talarów dobrej, srebrnej monety wyposażył.

— Stoma tysiącami talarów! — powtórzył jeden, drugi i trzeci, rozdziawiając gęby.

— Przynajmniej tak dziś jeszcze mówią w naszej okolicy — przytwierdził pytany.

— Wiecie co, moi panowie, wartoby się przekonać o tem! — odezwał się jeden z najstarszych między młodymi.

— Warto! warto! — echem odbili inni.

— Któż z was pierwszy wystąpi w obronie niewinności? — zwrócił się pan Jan do wszystkich.

— Ha! jam gotów — rzekł ten, co z wnioskiem próby wystąpił.

— Ah! to wybornie zrobisz, na moję pomoc we wszystkiem liczyć możesz.

— Bardzo dziękuję, wolałbym się bez tej pomocy obejść zupełnie. Jakiś to mętny interes; chcesz mi pomagać, a sam od siebie nie występujesz, choć właśnie twoje pochwały na trop nas wprowadziły.

— Moje pochwały są zupełnie bezinteresowne — upewniał pan Jan z ręką na piersiach. — Primo; jestem zbyt młody, nie chcę sobie tak wcześnie świata zawiązywać; secundo: chociaż mi się panna Siekierska podobała, oh! nadzwyczaj podobała, jako rezolutna kawiareczka, to jako starsza córka domu nie ma dla mnie tak wielkiego uroku. Wolałbym pierwszą, wszakże mnie rozumiecie? Tertio, mówiliście tu panowie, że się konkury do pięknej chorążanki nie obejdą bez awantur, wykradań i procesów. Otóż każdemu z was wiadoma zapewne nieszczęśliwa historya mego

ojca; gdybym się puścił na te drogi, toby mi kto mógł przyciąć potem, że mężczyźni z rodu Kalińskich kradzioną tylko żony miewają.

Śmiać się zaczęto; wszystkim się zdawało, że pan Jan żartuje, a pan Jan szczerze myślał to, co mówił; nie chciało mu się żenić, nie chciało mu się w awantury, może w pojedynki zaplątywać; słuchał bardzo spokojnie, jak pan Floryan o wyprawie do chorążostwa rozprawiał, kogo on tam na swaty z sobą weźmie, jak się ojcu przedstawi, jak macochę podejdzie, jeśli mu panny nie zechcą ukazać. Pan Jan życzył mu szczęśliwego powodzenia, a jednak smutno i kwaśno mu było. Tak serdecznie tej biednej, prześladowanej pasierbicy żałował!

Wypadki tymczasem dziwny obrót wzięły.

Po wyjeździe starościca piekło zawichrzyło całą rodziną Siekierskich. Pani najpierwej męża wyłajała, że śmiał przy obcym człowieku utrzymywać, jakoby nic złego nie zrobił ten gagatek jego, ta chytra, przebiegła dziewczyna, ta Ewa bezwstydnica...

Tu przypadła litania różnych przymiotników i rzeczowników, do wypisania czarnym atramentem na białym papierze wcale się nienadająca.

— Jeśli mi jej — groziła — natychmiast z domu nie wywieziesz, to popamiętasz moje słowa; choćbyś konał, ani kropli kawy ci nie podam, ani na jeden niuch tabaki grosza odemnie nie dostaniesz.

— Serdeńko! gdzież ja mam ją wywozić? — submitował się staruszek.

— Gdzie? alboż to niema u nas dosyć klasztorów w kraju?

— A kiedy ona nie chce.

Od czegóż ty ojcem jesteś, niedołęgo? Hej! zawołać mi tu panny Ewy — krzyknęła przez drzwi do sieni.

Panna Ewa na wezwanie posłańca wkrótce się stawiła. Ogłuszył ją w pierwszej chwili potok obelg i wyrzutów. Zkąd jej się wzięło dzisiaj do bawialnego

pokoju wchodzić przy gościach?—wygląda jak kocmołuch — wstyd robi domowi, a jaka zuchwała przytem, ząb za ząb kłóci się, niby z równą swoją; zobaczyła modny fraczek i zaraz się jej w głowie przewróciło; co ten pan o niej pomyśli? będzie pewny, że to pomywaczka jakaś intrygą na dwór pański się wkręciła. Takich uchybień i nieprzyzwoitości ona, Chruścicka z domu, dłużej cierpieć nie może. Jutro ojciec sam jejmościankę do panien benedyktynek w Sierpcu dostawi.

Panna Ewa, jak posąg wyprostowana, z głową dogóry wzniesioną, z przygryzionemi wargami, z szybko drżącą na policzkach skórą, w głębokiem milczeniu wysłuchała tej całej perory. Gdy się macocha zmęczyła i na ostatniej pogróżce dla wypoczynku zawisła, wolno i dobitnie odpowiedziała jej dopiero:

— I owszem, niech mnie jejmość dobrodziejka do klasztoru odeśle; wolę być u benedyktynek, niż tutaj, a dlatego nie tryumfuj pani; zakonnicą nie zostanę.

Odwróciła się i chciała odejść.

Macocha, do ostateczności rozjątrzona tym spokojem winowajczyni, rzuciła się ku niej, jak zapamiętała, targnęła za włosy i silnie w twarz uderzyła, tę śliczną twarz, po której „żyłki od skroni wzdłuż lica biegnące“ pan Jan tak chętnie byłby się podjął zrachować. Powstał krzyk i lament. Ewa odepchnęła macochę i uciekła do oficyn, gdzie się w lamusku na klucz zamknęła. Ojciec przez cały wieczór między jedną a drugą się uwijał, tę przepraszał, tę namawiał, a ma się rozumieć ani u jednej, ani u drugiej nic nie wskórał. Na uzupełnienie całości, Karolka i Waluś brzydko się od konfitur pochorowali.

W całej okolicy Ewa miała jednę tylko życzliwą osobę, na którą wrazie potrzeby trochę pewniej liczyć mogła. Była to pani podkomorzyna, cioteczna siostra jej matki. Przestraszona więcej daleko, niż to okazywała wobec macochy, zapowiedzianą podróżą i klasztorem, wymknęła się z lamusika, u ekonomowej zna-

lazła coś nakształ kałamarza i brudny kawałek papieru z regestrów gospodarskich wydarty, skreśliła na nim kilka słów o ratunek wołających:

„Jaśnie Wielmożna Pani Ciotko a Dobrodziejko moja osobliwa!

W ostatniem niebezpieczeństwie sierota ręce do ciebie wyciąga. Macocha się uwzięła, żeby mnie zakonnicą zrobić; jabym wolała umrzeć i nie doczekać jutra, bo mnie jutro do benedyktynek wywieść mają. Niech Jaśnie Wielmożna Pani Podkomorzyna ocali mnie i do służby przyjmie, przyrzekam, że chleba nie będę darmo jadła, byle spokojnie; tu mnie macocha bije i za włosy targa codziennie. Ręce i kolana Jaśnie Wielmożnej Podkomorzyny Ciotki i osobliwej Dobrodziejki mojej całując pokornie, miłosiernemu sercu się poleca

najniższa sługa i najnieszczęśliwsza sierota

Ewa Siekierska.“

Między domownikami panna Ewa nie miała wielkiej miłości; jedni przez pochlebstwo trzymali z panią chorążyną, donosili o niej plotki różne i w czem mogli, w tem jej dokuczali, pewni będąc w wyższych sferach poparcia; innych ona sama zniechęciła ku sobie szorstkiem postępowaniem, opryskliwością i pychą bez granic. Ewa wszystkich służących podejrzewała o szpiegostwo i nieprzychylność; widziała w nich wrogów tylko i donosicieli, a im więcej macocha ją samę poniżyć się starała, tem większą ona czuła potrzebę poniżenia tych ludzi, by na chwilę nie zapomnieli, że jest pańską córką i wyższem od nich stworzeniem Bożem. Na wsi zato, między chłopami, uciemiężona pasierbica wielką miała wziętość.

Trzeba przyznać, że była dla nich nierównie względniejszą; zbyt daleko stali, więc się nie obawiała poufałości, lub zaczepnego uchybienia z ich strony. Największą wszelako zasługą panny Ewy w każdej

chałupie była wyrządzona jej krzywda; zła macocha, poniewierana sierota, legendowe na prostych wyobraźniach czyniły wrażenie. Sami nieraz godni litości, litowali się nad zaniedbanem dzieckiem we dworze; ten i ów przyniósł pokryjomu jakiś dar ubogi z jarmarku, ta lub owa podsunęła króbkę poziomek, kilka świeżych jajek, czasem żółciutkiego masła osełkę. O matce nieboszce, o jej bogatych strojach, o jej krociowym posagu z właściwą ich naturze hyperbolą różne historye córce opowiadali. Ewusia na słowo im wierzyła, czuła się w każdej chwili właścicielką skarbów nieprzebranych, widziała się w przyszłości złotem i klejnotami okrytą i w te oczekiwania swoje przyodziana, dumnie stąpała po ziemi, choć miała na nogach grube, a często i podarte trzewiki. Tego wieczora, gdy z wielkim trudem, pośpiechem i natężeniem list ów (który po śmierci dziadka znalazł się na pamiątkę w szkatułce jego schowany, z mnóstwem błędów ortograficznych i dość fantazyjną kaligrafią), gdy list ów przygotowała, nie zgłosiła się z nim do nikogo we dworze, tylko chyłkiem na wieś wybiegła i tam zaraz posłańca konnego znalazłszy, do podkomorzyny wyprawiła. Nad ranem posłaniec umówionym znakiem się zameldował i przez okienko lamusowe odpowiedź doręczył; podkomorzyna miała nadzieję, że obawy jej siostrzenicy płonnemi się okażą, nadmieniła coś o posłuszeństwie dla rodziców, o tem, że rodzice najlepiej wiedzą, co szczęście ich dziecka zapewnić może, a wkońcu obiecywała, że wcześnie przed południem sama na miejsce zjedzie i prosić będzie chorążostwa, by jej pozwolili córkę ukochanej krewnej swojej na czas jakiś zabrać.

Była to kobieta z wielkim taktem i głos w powiecie mająca, ta pani podkomorzyna; nawet gwałtowna pani Siekierska liczyć się z nią musiała. Między obu domami koligacyjne stosunki dawno już zupełnie ochłodły; co dwa, trzy lata, chorążostwo nawiedzali podkomorzynę w towarzystwie Ewuni, umyślnie na ten dzień wystrojonej, przypstrzonej na poka-

zanie, że zdrowa i że jej się krzywda nie dzieje. Ponieważ zaś wiekowa matrona wogóle do spraw cudzych wtrącać się nie lubiła, ponieważ nadzwyczaj rzadko z domu wyjeżdżała, więc nie przypuszczali nawet, aby mogła kiedykolwiek ich zamiarom na przeszkodzie stanąć. Stanęła jednak i bardzo, w tym dniu pamiętnym, gdy już krytą bryczkę chorążego przed domem na drogę ładowano, a przemocą niemal wyciągnięta z lamusa panna Ewa marudziła, o ile jej konceptu starczyło, byle się przyrzeczonej pomocy doczekać. Nakoniec doczekała się. Ogromna landara miejsce bryczki przed gankiem zajęła i z landary poważna, uśmiechnięta, grzecznie się wszystkim kłaniająca podkomorzyna wysiadła. Zdumienie, zakłopotanie, szepty, migi, bieganina, wszystko to łatwo można sobie wyobrazić, choć wszystkiego tego właśnie podkomorzyna jakby nie widziała wcale.

Ewunia cochwila spodziewała się, że sprawa jej wywiezienia rozsądzać się zacznie, a tu cicho; o klasztorach, krzywdach, przymusach ani słówka. Podkomorzyna mówi o pogodzie, o reumatyzmach swego męża, o nowinach warszawskich, i tak aż do obiadu. Po obiedzie dopiero przy kawie, którą na raz Ewusi nietylko przyrządzać, ale i pić w bawialnym pokoju wolno było, zaczyna się utyskiwanie nad losem sędziwych małżeństw, samotne życie pędzących, gdy się dorosłe ich dzieci w świat rozejdą. Podkomorzyna zazdrości chorążostwu tych dwojga pocieszek, które długo jeszcze dom ich rozweselać mogą; ona tak lubi koło siebie młodość i wesołość, a w ciszy i samotności żyć musi, pewna jest nawet, że mąż jej z nudów gorzej niż kiedykolwiek choruje, więc też przyjechała z wielką prośbą do pana szwagra (chorąży aż się na krześle poprawił, tak mu przyjemnie było ów tytuł z ust tak szanownych po kilkunastu latach usłyszeć); szwagier pozwoli, żeby najstarsza jego córka choć kilka tygodni przy krewnej swej matki zabawiła, będzie to prawdziwie dobry uczynek i t. d. i t. d.

W chorążynę jakby grom uderzył; zaczęła coś

jąkać o tem, że Ewusia bardzo jest w domu potrzebna, że do wyjazdu nieprzygotowana, że się najpilniejsze roboty jakieś zaczęły, a podkomorzyna przy każdej wymówce głową kiwając:

— O ja wiem, ja wiem—mówiła tylko—jaka pani dobra; tem wdzięczniejszą jestem za łaskę, umiem cenić szlachetne serce państwa, że sami wyrzekając się użytecznej zawsze pomocnicy, pozwalacie jej uprzyjemnić dwojgu staruszkom smutne godziny dogasającego ich życia.—I tak chwaląc, dziękując, wmawiając, podkomorzyna Ewusię z sobą zabrała. Trochę bielizny i jednę suknię macochy rzucono w węzełek.

— A nie rób plotek asanna—dodała na przykładek macocha—jedno mi słowo piśnij, o zobaczysz, jak ci przytnę języka. Żadne krewieństwo matki nic ci nie pomoże.

Ewusia, wyjazdem swoim uszczęśliwiona, wbrew zwyczajowi, nic na to nie odpowiedziała. Nie lękała się dalszej przyszłości, drżała tylko o chwilę obecną. Coby to było, gdyby ją ze stopnia landary cofnięto jeszcze! Wolała spokojnie się zachować. Ze stopnia jej nie cofnięto, przebyła szczęśliwie bramę, wieś całą i na otwartem polu swobodnie odetchnąwszy, zaczęła dopiero kolana i ręce podkomorzyny całować. Ta już wiedziała, czego się trzymać w domowych stosunkach rodziny Siekierskich. Głęboko jednak przejęta uszanowaniem dla władzy rodzicielskiej, nie chciała córki przeciw żonie ojcowskiej podtrzymywać.

— Jacy dobrzy państwo chorążostwo, że mi ciebie na czas nieograniczony pożyczyli — rzekła tylko i pogłaskała schyloną ku sobie głowę młodej dziewczyny.

Takim-to sposobem się stało, że gdy w kilka dni potem pan Floryan czterema końmi, modnym karyklem, ze starym jakimś przyjacielem chorążego, w konkury przed dwór zajechał, już w nim panny Ewy nie zastał.

Pan Jan, przeciwnie, odwiedzając bez żadnego celu, wprost z grzeczności tylko, dawną swojej matki opiekun-

kę i znajomą, na wstępie, zaraz w pierwszym pokoju, oko w oko z przedmiotem swego współczucia się spotkał.

Nie miał on czasu głośnego wykrzykniku zadziwienia powitalnym komplimentem wytłumaczyć, bo panna wybiegła coprędzej i nie pierwej się ukazała z powrotem, aż ją wyraźny rozkaz podkomorzyny zawezwał. Przyszła zadąsana i usiadła na brzegu krzesełka, z odwróconą od gościa twarzą.

— Wszak już znasz starościca Kalińskiego? — rzekła do niej podkomorzyna, której pan Jan wspominał przed chwilą, jak i kiedy pierwszy raz pannę Siekierską zobaczył.

— Nie, nie znam—krótko i szorstko odcięła się zapytana.

Pan Jan po drugiej stronie stołu stał przed nią wyprostowany jak trzcina i jak trzcina zginający się w wielokrotnie powtarzanych ukłonach.

— Nic dziwnego, że W. M. panna na lichą osobę moję żadnej nie zwróciła uwagi, niemniej przeto dzień, w którym po raz pierwszy miałem zaszczyt i szczęście ujrzeć jej oblicze, będzie dla mnie zawsze pamiętnym i białą kredą na czarnych sadzach mego życia oznaczonym.

Ewusia zaczerwieniła się, ale milczała uparcie. Dużo myśli cisnęło, jej do głowy, tak jej zaimponowała grzeczna oracya młodego człowieka, niedawno, jako słyszała, z Warszawy przybyłego Rozmawa jak ołów się wlokła, póki nakoniec z pola w towarzystwie jakiegoś sąsiada pan podkomorzy nie wrócił. Byłto sobie wesoły, krotochwilny staruszek, lubił młode i ładne koło siebie twarzyczki, gadał co mu ślina na język, jak to mówią, przyniosła, czem nieraz gorszył swoję żonę, ale niczyjej krzywdy nie patrzył; spory obywatelskie przykładnie godził i rozsądzał, ogólne posiadał zaufanie i tylu przyjaciół, ilu znajomych niemal.

— Bo też—jak mówiła ciocia Rózia—o nic się u ludzi nie upominał, ani o pieniądze, ani o rozum, ani o cnotę wysoką: byle nie łotr wierutny i na uczynku schwytany, każdy mu był dobry. Nie odrzucał nawet

porucznika Łuczyńskiego, który z nim właśnie przybył, a którego ludzie kosterą i pasożytem nazywali.

Z wejściem starych panów, ożywiło się nierozmowne dotychczas towarzystwo. Panna Ewa, jak Zuzanna biblijna między nimi siedząca, to się czerwieniła, to się chichotała, aż wreszcie coraz śmielej odzywać się zaczęła. Pan Jan upatrzył chwilkę stosowną, usiadł na miejscu odwołanego przez podkomorzynę porucznika i słodkim a trochę przyciszonym głosem zapytał, czy może mieć nadzieję, aby go panna chorążanka od dnia dzisiejszego przynajmniej w grono swoich znajomych policzyć raczyła?

— Nie zdaje się, aby waszmość panu zależało co na tem — odpowiedziała, krygując się i przybierając najdumniejszą postawę swoję; — moimi znajomymi są ci tylko, którzy mnie znają zawsze i wszędzie, czy jestem pięknie, czy ubogo ubrana, czy siedzę na pierwszem, czy na ostatniem miejscu.

— Przebóg! co W. M. panna przez to rozumie? — ze szczerą niespokojnością pan Jan zawołał.

— Oto rozumiem, że pan starościc zupełnie inaczej względem mnie się zachowywał przy macosze, a inaczej tutaj.

— Czyż to moja wina, łaskawa panno chorążanko? Prawda, że nie wiedziałem kim jesteś, bom nawet nie słyszał od nikogo, że chorąży ma taką piękną i dostojną córę, jednak skoro cię zobaczyłem, tejże chwili ślubowałem w duszy mojej, że muszę wyśledzić, jaka to przebrana królewna u państwa Siekierskich się kryje. Jeśli na miejscu rodziców i służących nie pytałem, to przez dyskrecyą tylko. A nużby W. M. panna była jaką pretendentką do której z koron europejskich i gdyby drogie jej życie od najgłębszej tajemnicy zawisło?

Panna Ewa rozśmiała się wesoło.

— A kiedyś się waszmość dowiedział z pewnością, że nie jestem żadną pretendentką do korony, to chyba sobie powiedziałeś, że pomywaczką być muszę, boć mi o tem nawet macocha nadmieniła.

— Czy podobna! takie kłamstwo, taka nikczemność! Przebacz mi W. M. panna, że się tak o kimś z jej rodziny wyrażam, ale jestem tem oburzony!

— Więc tak nie było? — i stalowo błękitne oczy panny Ewy bystro w oczach pana Jan utkwiły.

Pan Jan zmienił dotychczasowy przesadny trochę ton głosu i z pewną uroczystą prostotą mówić zaczął:

— Jeśli chcesz wiedzieć prawdę, panno chorążanko, to ci powiem, że przestałaś być dla mnie królewną z bajek i z przygód rycerskich w tej chwili dopiero, gdy się dowiedziałem, że jesteś najstarszą córką pana Siekierskiego, od macochy srodze prześladowaną, i w tej chwili też zaczęłaś być królową całej mojej przyszłości, którą chętnie poświęcę, jeśli się zdarzy sposobność w czemkolwiek przez to do twego szczęścia się przyłożyć. Weź mnie, panno chorążanko, na próbę, daj rozkaz jaki, a przekonasz się, czy na wierne służby moje liczyć można.

— Ot, gadasz W. M. niestworzone rzeczy i myślisz, że zaraz wszystkiemu uwierzę dlatego, bom się między gęsiami i kurami wychowała. Niech się pan starościc przekona, że nie trzeba zbyt wielkiego rozumu, by prawdę od żartu rozeznać.

— Bo też prawda od żartu nie rozumem się rozeznaje, ale sercem i uczuciem sprawiedliwości. Gdybyś panna chorążanka przypomniała sobie to, co nieraz pewnie o latach mego dzieciństwa słyszałaś, to nie wątpiłabyś, że jej położenie tak mocno mnie obchodzi. Nie posądzałabyś mnie, że ja, co sam do lat młodzieńczych prawie biedny, obdarty, poniewierany, ludziom na oczy pokazać się nie śmiałem, teraz dlatego, że mnie trochę lepiej, na prześladowanych zgórybym patrzył i tejże samej osobie, według uboższej lub wytworniejszej sukni, lekceważenie lub szacunek okazywał. O! panno chorążanko! jakże to boli niesłuszny zarzut! — I pan Jan rękę na piersi położył, jakoby je na świadectwo bólu i szczerości swojej wskazywał.

Ten ruch mimowolny przez porucznika dostrzeżony mnóstwo żartów wywołał.

— Zaprędko, zaprędko, mości panie! Pani podkomorzyno, pilnuj siostrzenicy, bo starościć już po własne serce sięga i wyraźnie ma ochotę pannie podkomorzance je ofiarować.

— Ej, co tam waść gada!—zaprzeczył mu podkomorzy—nie ofiarować serce, ale gwałtem chce je przy sobie zatrzymać nasz starościc, bo czuje, że mu do Ewusi ucieka, a tymczasem Ewusia strasznie surowo na niego spogląda.

— Któż z nas ma racyą? tylko prawdę pod słowem honoru powiedz nam, Jasiu—wołał porucznik.

Pan Jan głośno oświadczył, że podkomorzy daleko trafniej stan rzeczy ocenił

— To pewna, że serce uciecby chciało, ale obojętność i niesprawiedliwość, jak noc i burza, strachem je przejmują, na ofiarę zaś serca dać nie wolno, póki się nie wie, czy przyjętem zostanie — i raz jeszcze pokornie skłoniwszy się pannie Ewie, na drugą stronę pokoju przeszedł.

Najzalotniejsza kobieta nie byłaby mogła lepszego sposobu wymyśleć na owładnięcie całej duszy biednego starościca, jak panna Ewa ze swojemi wymówkami. Zpoczątku trochę się obraził, potem zaczął rozważać różne okoliczności; przypomniał sobie, że nawet z krzesła się nie ruszył, gdy weszła wtedy z ową nieszczęśliwą cukiernicą. Widział przecież, że kobieta i że piękna. Siedziała z państwem przy stole — co mu pytać o więcej? Uchybił nieszczęściu, dał niejako poparcie zawziętości i okrucieństwu. Cóż to za ciężkie życie być musiało tej cichej, bezbronnej, cierpliwej ofiary, na pastwę takiego potworu rzuconej!

Pan Jan wyraźnie zapomniał, że ofiara niekoniecznie cicho, bezbronnie i cierpliwie wobec potworu występowała. Wszystkie jej smutki na skalę swoich własnych wspomnień mierzył, o jej wrażeniach ze swoich wrażeń wnioskował.

Wróciwszy do domu, rzecz całą zaraz matce

opowiedział i obydwoje trapili się, rozrzewniali, niepokoili póty, póki Jaś znowu do państwa podkomorzych się nie wybrał.

Tym razem panna Ewa łaskawiej go przyjęła. Szczegóły, których jej wuj podkomorzy udzielił o panu Kalińskim, rozwiały wszelką względem tego ostatniego podejrzliwość. Sądziła ona, że ów panicz warszawski przez grzeczność dla macochy umyślnie dla niej był niegrzecznym; teraz przekonała się, że nawet o jej istnieniu na świecie nie zasłyszał nigdy. Nastąpiło wkrótce lepsze pomiędzy nimi porozumienie; zaczęli sobie doznane krzywdy opowiadać, litować się nad sobą, no, i pokochali się wreszcie. Pan Jan przestał się lękać wczesnego ożenienia, otrząsnął się z pierwotnych skrupułów swoich, gotów był pannę Ewę nietylko wykraść, ale przemocą nawet, zajazd zrobiwszy, gwałtem z domu rodzicielskiego porwać; szczęściem, że do tego nie przyszło.

Trudności było wiele, blizko dwa lata na nie zmarniało, biedna pani Dorota umarła tymczasem, nie doczekawszy się upragnionej synowej, może nawet pan Jan byłby się zniechęcił i rozbawił na przepadłe, lecz panna Ewa dotrwała, panna Ewa na wszystko sposób znalazła, panna Ewa i z ojcem i z macochą poradziła sobie. Odmówiono jej ręki, gdy podkomorzy uroczyście przyjechał afekt starościca oświadczyć i o pozwolenie bywania w domu chorążostwa prosić. Pani Siekierska oburzona, że pasierbica zabiera najmajętniejszego w okolicy chłopca, na którego dla swojej własnej córki liczyła, wybuchnęła jawnym gniewem, złajała sędziwego swata, że wraz z żoną na intrygi i romanse dziecko z domu wywieźli, że oni, rodzice, mają zupełnie inne co do swej córki postanowień widoki, że jego przebiegłość na nic się nie zda, że będą musieli przed trybunałem za swoje oszukaństwo odpowiadać, aż i w podkomorzym stara krew zawrzała; powiedział i owszem, prawa się nie lęka, bo nie on-to przez długie lata z funduszu sieroty zyski ciągnął, nie on ją dręczył, obdzierał i prześladował,

nie on do klasztoru chciał pakować, żeby sobie macierzysty jej spadek przywłaszczyć.

Zajście to w całym powiecie ogromnego narobiło hałasu; panna Ewa musiała do ojca wrócić, tyle skorzystała jednak, że już do dawnego opuszczenia i zaniedbania nie wróciła, wypłynęła na wierzch, jak oliwa; trudno ją było podawnemu ukrywać.

Chorąży ostrożniejszy był od swojej połowicy. przekonał ją, że nie trzeba drażnić ludzkich języków; jak się wygadają, to i ucichną, jak ucichną, to i zapomną. Byle Ewusia czas jakiś za mąż nie poszła. jest wszelka nadzieja, że już wcale potem nie pójdzie. Chorąży najmocniej sobie postanawiał wszystkich starających z kwitkiem odprawiać. lecz chorążyna coś skuteczniejszego wynalazła; ciągłe odmawianie mogłoby również, jak zamknięcie w klasztorze, wątku plotkom ludzkim dostarczyć, co odmówiony, prócz tego, to nieprzyjaciel gotowy; trzeba raczej przyjąć jednego konkurenta i stanowczo go popierać; Ewusia głowę staci za tym fircykiem Kalińskim, innego męża nie zechce, powie się wtedy, że jej wolno zwlekać i grymasić, wolno kiedyś odrzucić nawet, ale na żaden inny wybór rodzice się nie zgodzą.

Pan Floryan brzydki. nieokrzesany, warchołowaty, ale posesyonat i dobrego rodu, wybornie się nadawał do takiej roli stracha na pannę Ewę i na konkurentów. Zbyto go wprawdzie lada jakąś wymówką, lecz można było coś napomknąć, coś drugim do ucha powiedzieć. I napomknięto i powiedziano. Pan Floryan (zapomniałam jego nazwiska) zaczął bywać w urzędowym charakterze zaszczyconego pozwoleniem ojcowskiem kawalera.

Ewusia płakała, największe niegrzeczności robiła panu Floryanowi, nic to nie pomogło. Macocha rozkoszowała się jej płaczem. pan Floryan na zły humor nie zważał, bo miał przed sobą w perspektywie owe sto tysięcy bitych talarów, które stary Kozłowski córce swojej, a matce panny Ewy posagiem wyliczył.

Ciągnęło się to rok, ciągnąć zaczęło i drugi, gdy

się nagle panna Ewa opatrzyła, że jednak dziwną jest rzeczą, dlaczego jej z większą natarczywością nie przymuszają do spełnienia woli rodzicielskiej; macocha przecież dość była biegłą w wyszukiwaniu przymusowych środków. Od podejrzenia do podejrzenia, od domysłu do domysłu na ślad prawdy wpadła. Trzeba się było przekonać, ale pierwej jeszcze trzeba było ze strony pana Jana się zabezpieczyć; widywali go czasem w towarzystwach, a kiedyniekiedy ukradkiem w chałupie wiejskiej, lub przy parkanie ogrodowym; gdy się raz tak zeszli na umówionem miejscu, wspomniała mu o swojem odkryciu i surowo zaleciła, aby zupełnie był spokojnym, choćby od najwiarogodniejszych świadków usłyszał, że ona, Ewa Siekierska, po zaręczynach z panem Floryanem.

Istotnie z wielką odwagą rozpoczęła grę dosyć niepewną. Wszystkim znajomym, a wkońcu i panu Floryanowi powiedziała, że gotowa jest pójść nietylko za starego dziada zpod kościoła, ale nawet za samego pana Floryana, byle się od macochy uwolnić. Pan Floryan, poprzestając na tem uczuciu, dopominał się, żeby zaręczyny natychmiast odbyć, a dzień ślubu oznaczyć. Siekierscy się przelękli takiego pośpiechu, przelękli jeszcze bardziej, gdy przez Ewę podmawiany pan Floryan zażądał pewnych układów co do majątku i co do kosztowności przez zmarłą matkę pozostawionych. Wynajdywali coraz to nowe powody do zwłok, mitręgi; tymczasem pan Jan zboku przez wspólnych znajomych nasunąć kazał chorążemu, że z nim daleko łatwiej przyszłyby rachunki; gdyby na jego wolę ten interes zdano, wyrzekłby się wszelkiej do posagu pretensyi. Panna Ewa tylko oparła się jego zbyt krewkiej szlachetności.

— Nie wyrzekaj się; dosyć na teraz, że wymagać nie będziesz.

Co do głównego celu, rada okazała się skuteczną.

Chorąży, z dwojga złego wybierając, wolał już córkę za Kalińskiego wydać, bez oznaczonego terminu

jakiejkolwiek wypłaty, niż za pana Floryana z nieuniknionym procesem. Proces dopiero znacznie później po śmierci chorążego się rozpoczął. Sancita konfederatów targowickich na stronę chorążyny go rozstrzygnęły. W dziewięćdziesiątym czwartym roku wznowiony i niepopierany pod sądami pruskiemi, przy stosunkach ówczesnych męża Karolci i Walusia Siekierskich zagmatwał się i dostarczył materyału na tak długie szykany, że jeszcze na pensyi u pani Wilczyńskiej mogłam sobie roić o tych sumach bajońskich, które z wygraną na mnie i na Józia spłynąć miały.

Tymczasem państwo Kalińscy bardzo szczęśliwie z sobą żyli, na zasadzie dopełniających się różnic i przeciwieństw. Dziwna rzecz, jak w zupełnie tych samych napozór warunkach, dwa zupełnie odrębne wyrobiły się typy. Nasz poczciwy dziadunio pod katowską ręką swego ojca stracił hart ducha, męzką siłę charakteru: na wolności rozweselił się, z dzieciństwa jednak nie wyrósł, dzieckiem moralnie był aż do śmierci swojej; ucisk doznany rozbudził w nim nieograniczoną chęć używania, lecz obok tego wstręt do wzajemnego słabszych i podwładnych ucisku. Im okrutniejszym był dla niego ojciec, tem on litościwszym był dla wszystkich. Każdem wrażeniem, upodobaniem i postępkiem stanowił żywy kontrast ze swoim poprzednikiem.

Babunia, także od szóstego roku swego życia przez macochę dręczona, powinna była zbrzydzić sobie te wady, które wszystkich krzywd jej młodości stały się przyczyną; a jednak pomimo prawej i silniejszej daleko niż u dziadka natury, bardzo wiele z nich przejęła. Nie byłaby, zaiste, na cudze dobro czyhała, nie wydarłaby nikomu jego dobrej sławy, nie zagrabiłaby jego majątku, ale wśród niekochających rozwinęła w sobie pewien obronny zrazu, zaczepny w dalszym ciągu życia egoizm; nikt o niej nie myślał, więc przywykła ciągle sama o sobie myśleć — wygody swej, przyjemności, korzyści nie byłaby się wyrzekła dla nikogo na świecie; były to rzeczy zresztą, które

jej nigdy do głowy nie przychodziły. Za wszelkie dobro, którego innym nie zrobiła, trudno ją było do odpowiedzialności pociągnąć — ot poprostu nie wiedziała, nie miała na to pojęcia; gorszem to było, że jej nieświadome samolubstwo bardzo często objawiało się w formie od macochy żywcem zapożyczonej. Spokojniejszy niby miała układ, większą powagę zewnętrzną, lecz niech się tylko zniecierpliwiła, rozdąsała, wnet jej do ust cisnęły się te same wyrażenia, któremi niegdyś chorążyna względem niej tak szczodrą była. W gniewie też same ruchy, takąż samę popędliwość znaczyły. Miała nawet do pewnego stopnia skąpstwo i chciwość chorążyny; tylko skąpstwo babuni ograniczało się na żałowaniu wszystkiego, czy to chleba, czy szpilki dla tych, których nie lubiła. chciwość zaś była tylko nadzwyczaj czujną skrzętnością. Czynna, pracowita, ster rządu z leniwych rąk swego męża pochwyciwszy, przez lat czterdzieści przeszło nie wypuściła go ani na chwilę; objeżdżała folwarki, rozrządzała pańszczyzną, kupowała, sprzedawała, zawierała kontrakty; cały nawał interesów, cały byt rodziny na jej głowie się opierał. Nie była to może bardzo uzdolniona, bardzo genialna głowa, ale był charakter aż do uporu wytrwały i była wola aż do szkodliwej czasem niezmienności, silna. Przy swojem stalowem usposobieniu, miewała jednak babunia różne nieprzewidziane i nieubłagane, jak fatum, dziwactwa; uprzedzała się do ludzi, uprzedzała do własnych dzieci; od pierwszej chwili urodzenia, nim się jej biedne niemowlę czemkolwiek naprzykrzyć mogło, już jedno więcej niż drugie kochała. Jedno w kolebce przy jej łóżku ciągle sypiało, drugie odrazu kazała wynosić do garderoby: jedno stroiła w piękne haftowane sukienki, drugie w grube perkaliki i płócienka domowego wyrobu; jednemu podsuwała przysmaczki i łakocie, drugie karmiła grubą z izby czeladnej strawą; ani przed sobą, ani przed innymi ludźmi, ani pewnie przed Panem Bogiem na spowiedzi nie czuła się w obowiązku usprawiedliwienia

tego postępowania: tak było, bo tak było. Aż do odwagi cywilnej posuwała nieustępność we wszelkich swoich zwyczajach, pomysłach, rozporządzeniach.

Raz się zdarzyło, że w Mielinku przypadł nocleg księciu prymasowi Poniatowskiemu, gdy właśnie szkoły krajowe objeżdżał. Całą tak zwaną drugą stronę urządzono na jego przyjęcie; sypialnię tam, gdzie my później z matką sypialiśmy, a że to był pokój najcichszy, najspokojniejszy w całym domu, więc babunia kazała tam ustawić w jednym kącie, na dwóch drewnianych koziołkach, dość sporą baryłkę wiśniaku. Już to babunia słynęła z zaprawy różnych swoich nalewek, ale wiśniak za koronę tych arcydzieł uchodził. Wiele na tem zależało podobno, by się wystał i broń Boże nie zmącił.

Dziadunio koniecznie chciał go usunąć z apartamentów księcia prymasa, babunia ani wspomnieć sobie nie dała:

— Cóż to znowu, to on z partesu zstąpił i nie wie o tem, że wiśniaku przed wyrobieniem się z miejsca ruszyć nie można? Przykryję go nowym kilimkiem, to będzie nawet bardzo ładnie wyglądało.

Pomimo kilimka, niestety, wyglądało to wcale a wcale nieładnie; mąż namawiał, prosił, perswadował, nic nie pomogło; dopiero gdy już po drodze przedewsią rozstawione widety znać dały, że książę prymas już jedzie, a pani domu strojeniem się na jego powitanie zajętą była, dziadunio wezwał starszych chłopaków na pomoc i cichaczem przez przykomórek wyniósł do ogrodu baryłkę, koziołki i kilimek razem. Żona mu tego przebaczyć nie mogła i nigdy już w życiu drugiego wiśniaku nie nastawiła.

— Kiedy sobie mojego zachodu nie cenicie, to się bez niego obejdzie.

Inną znów razą miała wystąpić w charakterze gospodyni na jakimś balu, który okoliczne obywatelstwo wydawało dla Eugeniusza Beauharnais, w Płocku podówczas konsystującego. Babunia nasza ani jednego słowa po francusku nie umiała. Radzono jej,

żeby się nauczyła kilku wyrazów witających i dworskiego ukłonu.

— Jeszcze też co! — wykrzyknęła z oburzeniem. — Jak pojadę do jego kraju, to będzę z nim po francusku gadała, a że on tu do mego kraju przyjechał, to niech mnie po polsku wysłucha. Kłaniać się też po dworsku, czy nie po dworsku, w moim wieku nie będę się uczyła. On młokos, a ja stara, jemu więc wypada o ukłonach myśleć.

Rzeczywiście też w rzędzie innych pań stojąc przededrzwiami, któremi wszedł ukochany pasierb wielkiego Napoleona, trzymała się prosto, sztywno i wystąpiła z polską do niego przemową:

— Miło nam jest przyjmować tak zacnego gościa i t. d. i t. d.

Książę Eugeniusz uśmiechnął się i z grzecznem skinieniem głowy:

— *Merci* — odpowiedział.

Od Płocka do Kutna, od Kutna do Warszawy powtarzano sobie różne o tem spotkaniu dwóch potęg historye.

O, bo co prawda, to prawda, babunia była w swoim rodzaju znakomitą potęgą, naprzód dlatego, że robiła zawsze to, co chciała, a potem że w najbliższem kółku wszyscy inni także to, co chciała, robili. Dziadek w Ewusię wierzył daleko więcej, niż w dziesięcioro przykazań Bożych i pięć kościelnych, Ewusi słuchał potulniej, niż swego ojca niegdyś z marsem na czole i ręką do plag wzniesioną, Ewusię zdradzał często, ale szanował zawsze, Ewusi nawet bał się, jak student księdza prefekta, a jednak rzecz osobliwsza, ta Ewusia kochała swego zawojowanego Jasieńka, jak nigdy żony zawojowanych przez siebie mężów nie kochają. Może to było skutkiem wrodzonego jej naturze uporu, może skutkiem mniejszych moralnych serca kobiecego wymagań: nie była zazdrosną. Jasieńko uchodził za sławnego w swojem otoczeniu bałamuta; w jej mniemaniu było to rzeczą

tak nieodłączną od jego stanu męzkiego, jak ubiór, jak buty ze sztylpami, albo frak i kamizelka. Dla dzieci była nierównie ostrzejszą, niż dla męża, a miała ich siedmioro. Najstarszy syn, Janem po ojcu zwany, najstarsza córka Benisia, a potem najmłodsza nasza matka, więcej od innych uprzywilejowane były; ciotki Joanny i Tomasza wcale nie lubiła, a Antoniego i Kazimierza jak się zdarzyło. Cała ta gromadka, mimo niesprawiedliwych wyróżnień, bardzo się między sobą kochała. Ulubieńcy często na siebie winy brali nieulubieńców; wzajemna pomoc, wzajemna obrona w dojrzalsze lata się przeciągnęła. Tymczasem jedni za siebie, drudzy za innych, wszyscy oni bali się matki, jak ognia. Ojciec był ich tarczą i osłoną; wzywali pomocy ojca, żeby przed matką ukryć drobne szkody, drobne przestępstwa i wcale niedrobne, bo czasem na swawolę zakrawające figle. Łatwo to się udawało; dozór, choć surowy, ani pilnym, ani ciągłym nie był; babunia obchodziła stodoły, pola i łąki, wyjeżdżała do miasta za interesami sądowemi i podatkowemi; dzieci wtedy, zwłaszcza jeśli ojciec z niemi pozostał, dokazywały jak myszy, kiedy kota nie czują w domu. O naukę rodzice niewiele dbali, że to był jednak czas ogólnego w narodzie rozbudzenia, ży wymagania były na porządku dziennym, że zamiłowanie oświaty jak planeta nad całą Europą ciągnęło, więc i państwo Kalińscy chłopców do szkół pijarskich oddali, a dla dziewcząt jakąś Francuskę guwernantkę przyjęli. Chłopcy najlepiej wyuczyli się w szkołach tego, o czem, jak się już wspomniało, dziadunio bardzo pięknie rozprawiać umiał; lecz dziadunio, przy dość burzliwych zasadach i opiniach, nadzwyczaj pogodne do śmierci wiódł życie, ah! tak pogodne, że dla zrównoważenia pewnie zawierucha po świecie trzech jego synów rozwiała. Jan, najstarszy, w 1791 roku do wojska się zaciągnął; we dwa lata za jego przykładem Tomasz podążył. Gdy ich dwóch losy po Wołoszczyźnie i Włoszech nosiły, Antoni z wielką tęsknotą rady sobie dać nie mógł i niespodzianie ze szkół

zniknął bez wieści; dopiero w kilka lat później wynurzyło się jego nazwisko w jakimś buletynie zpod Jeny. Kazimierz na własne usilne żądanie został do szkoły politechnicznej oddanym. Po trzech latach i po złożeniu egzaminów w stopniu oficera, i on w świat szeroki ruszył. Szczęściem, wujowie moi nie odziedziczyli trwożliwego po ojcu usposobienia. W owej bohaterskiej epoce trudno, zaiste, było męztwem się odznaczyć, a jednak wszyscy czterej odznaczyli się i miłość kolegów a szacunek dowódców swoich zyskali.

Jakoś mi serce żywiej bije, gdy piszę te słowa. Śmiesznością może jest wielką pysznić się z czynów ludzi, których nie znałam, którzy przed mojem urodzeniem pomarli, a jednak nie mogę się rozstać z pewnem uczuciem dumy rodzinnej. Wujowie byli zawsze moją arystokracyą; dziś jeszcze za coś gorszego, no, nie gorszego, lecz za coś uboższego poczytuję wszystkie współczesne moje, które takich ojców i takich wujów jak ja nie miały.

I Mielinek opustoszał bardzo, gdy go młodzi panicze opuścili. Dziadunio tak lubił w ich gronie zajeżdżać na kuligi, bale, imieniny! Na pociechę dwie córki, już dorosłe, ściągały trochę okolicznej młodzieży. Ciocia Benisia daleko była od ciotki Joanny piękniejszą, dziwili się też wszyscy, dlaczego w towarzystwie mniejsze miała powodzenie, a to dlatego, że Benisia była smutną.

Od chwili wydalenia się dwóch starszych braci, nigdy już pierwotnej swobody umysłu nie odzyskała. Ciotka Rózia sądziła zrazu, że to z tęsknoty za braćmi pochodziło.

— Ale nie — dodawała potem — tego wszystkiego jej podróż do Warszawy w 94 roku narobiła. Nieszczęście mieć chciało, że kędyś na Bednarskiej ulicy tuż ku Wiśle państwo Kalińscy mieszkanie najęli. Powiadają, że przez rzekę można było widzieć wszystko, co się na drugim brzegu dzieje, a działy się okropności, to już rzecz wiadoma. Między zgroma-

dzonym tłumem patrzących nietylko słabym kobietom, ale i mężczyznom jak dęby rozrosłym serca z bólu pękały — nie według pospolicie używanego wyrażenia, ale pękały rzeczywiście na śmierć, jak gdyby je kula nieprzyjacielska ugodziła. Naszej Benisi serce wprawdzie odrazu nie pękło, dostała tylko okropnych spazmów, jak to nazywano wówczas, gdy się kto od śmiechu, płaczu i krzyku powstrzymać nie mógł.

Odtąd już ciągle chodziła jak nieswoja, blada, trochę niby kwiat złamany pochylona, z podsiniałemi oczami; nie mogła ani dawnej cery, ani dawnego humoru odzyskać; daremnie się wymawiała, rodzice, chcąc ją rozerwać, spraszali gości, wozili ją po zabawach, a ją to wszystko męczyło. O Joasię zaczynał się wtedy starać p. Dobrzycki, młody, bardzo przystojny prawnik z Warszawy, ztąd częstsze niż kiedykolwiek tańce, przejażdżki, aż tu razu jednego, gdy późno w nocy do domu wracano sankami, sanki się nagle o kamień rozbiły i trzeba było do pierwszej wioski spory kawałek iść po śniegu piechotą. Obie siostry równie ciepło były ubrane, Joasi nic to nie zaszkodziło, ale Benisia zaraz nazajutrz gorączki dostała; nikt się tem nie przeraził i ona sama ręczyła, że byle przespać się mogła, to jej nazajutrz zupełnie dobrze już będzie. O doktorów wówczas nie było tak łatwo na prowincyi; zaziębienia, katary, febry leczono zwykle domowemi środkami, i Benisi też przyniosła matka do łóżka duży kubek winnej polewki tęgiej i korzennej; chora wstręt do niej miała ogromny, jak dziecko ze łzami w oczach prosiła, żeby ją od tego lekarstwa uwolnić, ja sama wstawiałam się za nią, lecz ktoby tam był wyperswadował co pani Kalińskiej, kiedy raz sobie powiedziała, że tak zrobić trzeba; biedna Benisia musiała duszkiem cały kubek wychylić, nie zdążyła już oddać go matce, bo z rąk jej upadł i na podłogę się stoczył, chora zaś nagle serdecznego śmiechu dostała tak, jak w Warszawie; przeraźliwym głosem krzyknęła kilka razy:

— Widzę! widzę!

Oczy jej w słup stanęły, ciało się wyprężyło, usta rozwarły i zamilkła na wieki.

My, stojące przy niej, aniśmy przypuszczały nawet, by się tak prędko z życia do śmierci przeniosła; zaczęłyśmy wołać ratunku, zbiegł się dwór cały, ojciec i siostry strwożone zaczęły ciało rozcierać, wodą i olejkami najtęższemi skrapiać — juścić że nie pomogło, ja pierwsza zdobyłam się na odwagę i półgłosem szepnęłam:

— Umarła.

Matka gniewnie spojrzała na mnie, odepchnęła mnie od łóżka i wyrwawszy z rąk mych flaszkę z wódką kolońską, chciała skronie leżącej zmaczać, ale jakoś, gdy się tej głowy bezwładnej dotknęła, zimny dreszcz nawskróś ją przejął, opuściła ręce i ten sam gniewny, a nawpół już błędny wzrok na mnie zwróciwszy:

— Tak jest, umarła! — zawołała tonem rozpaczliwego wyrzutu, jak gdyby czy mnie, czy córkę, czy Pana Boga o to nieszczęście winiła; jednocześnie odwróciła się śpiesznie, zaczęła biedz tak prędko, jakby coś za nią goniło; pan Jan, spłakany, przerażony, podążył w jej ślady, lecz ją dopiero kędyś w końcu ogrodu dopędził.

Widok Jasieńka łkającego i załamującego ręce oprzytomnił ją zupełnie, podała mu ramię, on wsparł się na niem, ani myśląc o tem, że jemu raczej należało być żony podporą. Wrócili tak razem do dworu.

— Zaimij się pogrzebem — rzekła pani Kalińska, gdy już przed sienią stanęli, i puściła go wolno, a sama, zamknąwszy się w przykomórku, już ani razu od tej chwili do pokoju córek nie wróciła.

Przez dwa dni, póki zmarła z twarzą odkrytą, jak do ślubu przybrana, między kwiatami na katafalku stała, pani Kalińska nie wychyliła się ze swojej kryjówki, dopiero gdy już wieko trumny przybito, ukazała się zmieniona bardzo, ale spokojna i w tej samej sukni, którą miała na sobie, gdy owę zabójczą polewkę Benisi przyniosła. Widać że wcale od tego

czasu się nie rozbierała; chciałam ją przestrzedz, bo gości pełne były pokoje, a jej suknia zmięta, jasna i zapylona.

— Możebyśmy przeszły kredensem do garderoby, ażeby jejmość czarny tołubek włożyła? — zapytałam pocichu.

— Co waćpannie do tego — obruszyła się na mnie i tak jak stała, tak poszła za karawanem do kościoła. Nie pozwalała nawet mężowi cieplejszem futerkiem się przyodziać. Zdawać się mogło, że umyślnie choroby szuka, bodaj czy i nie śmierci, ale kiedy też to choroba na zawołanie, a śmierć w porę komu przyszła!...

Pani Kalińska ze dwa tygodnie prawie nie jadła, prawie nie sypiała; z drugiego pokoju słyszeliśmy z Joasią, jak po całych nocach chodziła od okna do drzwi naszych do okna, i ledwo o świtaniu na parę godzin się kładła, wreszcie zaczęła kłaść się coraz wcześniej i uspokoiła się trochę.

Nie wiem, za co do mnie ciągle jakby żal czuła głęboki; jeżeli przyszłam po jakie rozporządzenie, odpowiadała mi krótko, niecierpliwie, albo też nic wcale nie mówiła. Trwało to przeszło pół roku. Już naseryo myślałam, by się do siostry mojej przenieść, tylko że pan Jan ledwie nie płakał, gdy mu o tem wspomniałam. Zwolna też niełaska pani Janowej złagodniała.

Jednego dnia, kiedyśmy same zostały w jej sypialnym pokoju, najniespodzianiej pierwsza się do mnie odezwała:

— Jestem pewna, że gdyby Benisia tak się nie otrząsała na polewkę i ze smakiem ją wypiła, toby jej pomogła niezawodnie; ale jak raz się poddała swemu obrzydzeniu, tak już nie zebrała dość silnej woli, żeby się z niego otrząsnąć, a ty jeszcze, Różańsiu, utwierdziłaś ją w tem dziwactwie.

Ja utwierdzałam ją w dziwactwie! miły Boże! Ale co tu się było tłumaczyć! Jeśli takie wyobrażenia mogły nieszczęśliwą matkę pocieszyć — tem lepiej.

Nie pisnęłam ani słówka, choć się rzewnemi łzami rozpłakałam, uścisnęłam tylko jej kolana, a ona, niby na przebaczenie, głowę mi ręką pogłaskała. Ze mną, dzięki Bogu, dobrze się jednak skończyło, ale Joasia miała prawdziwy krzyż do zniesienia. Ile razy jej narzeczony przyjechał, tyle razy nie minęły jej wyrzuty za to, że jej same romanse w głowie, choć powinnaby mieć w tym czasie przynajmniej poważniejsze myśli — byle jej dobrze było na świecie, na nic i na nikogo nie zważa. Tak jej pilno z domu wylecieć, że ślubby wzięła, choćby w kaplicy na cmętarzu.

— Matka nie może mi darować, że ja zamiast Benisi nie umarłam — mawiała do mnie ze łzami w oczach Joasia; lecz to nie było płaczliwe i łatwe do ugięcia się pod niesprawiedliwością stworzenie, z tego względu więcej niż inne rodzeństwo do matki podobną była. Przekonawszy się tedy, że rozdrażnienie tej ostatniej wzmagać się przeciw niej, a nie słabnąć zdaje, wręcz oświadczyła, że istotnie dla własnego i dla matki dobra coprędzej Mielinek opuścić pragnie. Że zaś pan Dobrzycki przybył tam właśnie na zwykłe odwiedziny, Joasia wraz z nim ułożyła, aby ślub odbył się natychmiast, cicho, bez weselnych godów, bez czekania na dokończenie wyprawy, na urządzenie ostateczne domu pana młodego — i tak się stało.

Nazajutrz po tej rozmowie, narzeczony poczynił stosowne kroki i z indultem w kieszeni, a Joasią przy boku, stanął przed jej rodzicami o błogosławieństwo prosić. Pan Jan był ogromnie tą niespodzianką zmartwiony. — Jakto? więc on, pierwsze dziecko swoje w małżeński związek oddając, nie wystąpi z głośnem na całe sąsiedztwo przyjęciem, nie spełni za pomyślność nowożeńców toastu, nie wytańczy się na weselu?... Trudno mu było pogodzić się z tą myślą — musiał jednak, bo Joasia była stanowczą, a pani Kalińska nieprzeciwną. Zamówiono księdza proboszcza na wczesną po południu godzinę. Panna młoda włożyła białą muślinową, niedzielną swoję

sukienkę i drobny, ledwo że znaczny, przy jej ciemnych włosach, wianeczek mirtowy na głowę.

— Przynajmniej — rzekła do mnie — mama nie będzie zazdrościła, żem się piękniej od Benisi ubrała.

Do kościoła poszliśmy wszyscy razem piechotą.

— No, wyobraź sobie, moje dziecko — dodawała w tem miejscu ciotka Rózia — toć to ja druchną być musiałam obok Tekluni! Pięćdziesięcioletnia panna i dwunastoletnia dziewczynka — aster przy pierwiosnku... Bądźcobądź, było komu pana Dobrzyckiego przez kościół przeprowadzić, ale Joasia szła sama; niktby z jej twarzy nie odgadł, czy to jest dla niej wielką przykrością, czy najzwyczajniejszem zdarzeniem Ślub się odbył bez świadków prawie; czas był roboczy, godzina zwykle najżwawszą pracą zajęta, więc i przez otwarte drzwi kościoła ledwo parę dziadów, kilka bab i trochę dzieci się zebrało.

Wszystko to na mnie przykre wrażenie robiło, wszystko jak zła wróżba wyglądało, a przecież, Bogu dziękować, państwu mecenasostwu dobrze się powodzi i szczęśliwie z sobą żyją; prawda że dzieci nie mają, lecz kto tam zgadnie, czy mu dzieci na pociechę, czy na zmartwienie się rodzą; najmędrzej w żadne wróżby nie wierzyć. Gdyśmy do dworu ze ślubu wrócili, zastaliśmy już koczyk p. Dobrzyckiego zaprzężony, upakowany i do ruszenia w drogę gotowy. Nowożeńcy weszli do pokoju, żeby ostatnie rodzicom złożyć pożegnanie. Najpierw oboje do nóg matce się rzucili, dziękując i przepraszając.

— Mamo — rzekła Joasia poraz pierwszy w tych zajściach drżącym i wzruszonym głosem — niech mi mama przebaczy, że jej zastąpić nie potrafiłam...— imię Benisi, stłumione łkaniem głębokiem, ust jej nie mogło przestąpić, ale matka je odgadła. Na chwilę rozrzewnienie jakieś odbiło się w rysach jej twarzy, łza w oku błysnęła, przytuliła klęczącą Joasię do serca, pocałowała ją w czoło i nagle zerwała się, po-

biegła do kantorka, wyciągnęła zeń jakieś spore aksamitne pudełeczko.

— Na! weź, — rzekła, zmuszając się niejako do zwykłej swojej szorstkości — weź, to ci się z prawa należy.

W pudełeczku były kolczyki, naszyjnik i bransoletki, które sama w dzień ślubu od pana Jana dostała.

Chcieli potem państwo młodzi równie uroczyście z ojcem się pożegnać, ale pan Jan czuł chyba, że jakoś dziwnie będzie wyglądał przed dwojgiem do nóg jego schylających się, a wyższych wzrostem i poważniejszych całym układem osób. Nie dopuścił więc tego przeciwieństwa, rzucił się na szyję córce, wyściskał zięcia i przyrzekł rzeczy wyprawne tudzież sumę posagową Joasi do Warszawy niezadługo przywieść. Przyrzekł i dotrzymał słowa. Niemcy wtedy tak ułatwili zaciąganie pożyczek, że tylko wspomnieć było o zamiarze i swój podpis na papierze położyć, wnet pieniądze jak woda płynęły. Pan Jan byłby mógł ze swoich wiosek przeszło trzydzieści tysięcy gotówki bez kłopotu zebrać.

Urodzaje były piękne, zboże wysoko płaciło, lecz na dobrą cenę licząc, właśnie pani Janowa zdecydowała, że lepiej wyjdą, jeżeli odrazu całe pięćdziesiąt tysięcy na nizki procent wezmą, a po sprzedaniu zbiorów tego i przyszłorocznych dług spłacą. Wyrachowanie zawiodło. Zboże i pszenicę sprzedawało się częściami, pieniądze w ręku państwa topniały, dług długiem pozostał, nagle wypowiedziano sumę, straciło się więcej, niż była warta, ale Joasia przynajmniej część swoję odebrała w całości. Przechody wojsk, liwerunki, nieurodzaje podkopały do reszty znaczny niegdyś majątek Kalińskich. Niepokój o los wszystkich synów, głuche wieści że ten zginął, a tamten ranny, a inny znów do niewoli wzięty, zachwiały nawet energią naszej babuni. Szło coraz gorzej, coraz gorzej, aż gdy nakoniec wuj Kazimierz powrócił, zastał już tylko Mielinek trochę obdłużony w ręku rodziców, ojca bardzo podupadłego na siłach, matkę

długie odmawiającą pacierze w tych godzinach, które niegdyś nadzorowi gospodarskiemu poświęcała. Trzeba wiedzieć, że babunia nasza pod sterem macochy nie rozwinęła w sobie bardzo religijnego usposobienia. Lubiła chodzić do kościoła, bo to było dla niej jedyną rekreacyą, jedynym w ciągu tygodnia wypoczynkiem. Spowiadała się dla dopełnienia zwyczaju i naturalnie przed pójściem do spowiedzi musiała trochę katechizmu się nauczyć; wszystko to jednak było jej zupełnie obojętnem, wszystko tak do życia najcieńszą niteczką nieprzywiązującem, jak turecki alkoran, lub talmud żydowski. Poszedłszy zamąż, nasłuchała się od swego Jasieńka i od jego znajomych różnych żartów, różnych dowodzeń, jak to ich wówczas miryadami po powietrzu wirowało. Im grubiej ociosane, im dosadniejsze właśnie, tem łatwiej do jej przekonania trafiały, Pani Kalińska uchodziła w towarzystwie za tęgiego ducha, *esprit fort* co się zowie, za kobietę bez przesądów i bez zabobonów; że zaś jej prowadzeniu nic do zarzucenia nie było, wielu mężów na piątkowe i sobotnie posty skazanych bardzo jej panu Janowi zazdrościło.

Gdy przyszło jednak urzędowe o śmierci trzech synów zawiadomienie, naraz zmieniła się zupełnie, to jest nie zmieniła się w moralnem tego słowa znaczeniu, nie stała się ani lepszą, ani pokorniejszą, ani wyrozumialszą dla drugich, lecz zaczęła pościć i modlić się bezprzestannie.

— Biedna kobiecina — mówił nieraz wuj Dobrzycki, najwierniejszy Voltaira i Helwecyusza zwolennik — zdaje się jej, że Pan Bóg czworga dzieci ją pozbawił dlatego, bo Mu nie dziękowała za nie; teraz Go ciągle prosi i bodaj że ma nadzieję ich zwrotu się doprosić.

Dziadek nasz i tej pociechy nie umiał sobie przyswoić. Rozrywał się jak mógł podawnemu, ale rozrywki męczyły go i wkońcu dwa mu tylko upodobania na osłodę trosk wszelkich zostały: dobra kuchnia i dobre wino. Jedno z drugiem śmierć przyśpie-

szyło, ale przynajmniej śmierć łatwą i niebolesną, śmierć najodpowiedniejszą temu lekkiemu, bez pożytku, ale i bez szkody dla drugich życiu. Po kapuście napił się wina, zaziębił trochę, dostał zapalenia kiszek, wnet sparaliżowanie nastąpiło i po dniach kilku, sam nic o tem nie wiedząc, ze światem, coraz więcej koło niego poważniejącym, rozstał się na wieki wieków.

— A co się działo przez cały ten czas z Teklunią, z matką naszą?

Jej wspomnienia miały być kiedyś ukojeniem wielu smutków, wielu ciężkich choć dziecinnych zmartwień biednej sierotki, która tak się czuła opuszczoną i zaniedbaną, że gdyby jej poczciwa ciotka Rózia nie przeniosła czasem w minione lata i wśród wskrzeszonych jej słowem zmarłych nie stawiła, to ona, sierotka, w nienawiści, kłamstwie i zazdrości bardzo koszlawoby się rozwinęła. Co więc później o matce słyszałam, to i później napiszę dopiero.

Większa część zebranych tutaj podań rodzinnych pierwej daleko, bo już w Mielinku mi się dostała. Z początkiem ich łączy się pamięć ważnego dla mnie, osobliwego, nieznanego do tej chwili zdarzenia, najpierwszej w życiu pokuty. Śliczny kantorek babuni stał się tego nieszczęścia powodem.

Gdy się nasłuchałam różnych bajek o cudownych skrzyniach, o lampach Aladyna, przyszło mi na myśl, że i ten mebel starożytny, skrytkami napełniony, musi w sobie coś nadzwyczajnego zawierać. Może nawet bez wiedzy babuni znajduje się tam jakie miejsce tajemnicze, w którem czarnoksiężnik jaki pod słowem zaklęcia nagromadził pełno skarbów, dyamentów, zabawek. Tak mi się tem głowa nabiła, że gdy mi się czegokolwiek zachciało, to zaraz myślałam: „w kantorku i to być musi!“ Miałam już tyle sprytu, że się przed nikim, nawet przed Marcyną nie zdradziłam z moich przypuszczeń. Raz jednak zachciało mi się bardzo niebieskiej ze srebrem sukienki dla mojej lalki. Niebieska ze srebrem na portrecie albowiem stała się ideałem wszystkich moich tualetowych pożądań. Wsu-

nęłam się do pokoju babuni, kiedy tam nikogo nie było, i stanąwszy przed kantorkiem, zaczęłam paluszkiem bronzy po bronzach naciskać, a jednocześnie różne cudaczne łączyć z sobą sylaby, w nadziei, że gdy szczęśliwie trafię na właściwy ich układ i gdy właściwej niewidzialnej sprężyny się dotknę, to nagle kantorek stanie otworem, szeroko, szeroko, od jednej do drugiej ściany, a w jego wnętrzu ukażą się stosy jedwabiów, aksamitek, tiulów, wstążek i nadewszystko ukaże się półka cała, zapchana sztukami niebieskiej ze srebrem materyi...

Ale cóż? trudny warunek! Trzeba znaleźć koniecznie sprężynę i słowo zaklęcia! a może właśnie u wierzchu nie u dołu szukać trzeba? Tak wysoko nie mogłam dostać; przysunęłam sobie krzesło, jeszcze mi było zanizko, postawiłam na krześle podnóżek babuni, i z wielką radością dosięgnęłam szczytu nakoniec. Opukując świecące arabeski, razporaz próbowałam, czy się już drzwiczki nie otwierają. W takiej chwili właśnie zeszła mnie babunia.

— A to co?—zawołała tak głośno i surowo, żem ledwo z mego rusztowania nie spadła.—Czego tu panna szukasz? To brzydko, bardzo brzydko do cudzych kantorków otwierać.

Babunia moje fantazye ze wschodnich powieści przesadzała na grunt aż nadto poziomej rzeczywistości; bodaj czy mnie o coś gorszego, niż o prostą ciekawość nie posądzała nawet.

— Przyznaj mi się zaraz, czegoś ztąd chciała? —powtórzyła kilkakrotnie.

Ja nic nie odpowiedziałam, tylko zaczerwieniona, blizka płaczu, bez ruchu, stałam na podnóżku, który wraz z krzesłem i posadzką chwiać się zdawał pod memi nogami. Cóż ja bo mogłam odpowiedzieć na zapytanie babuni? Do ust mi się cisnęło, że chciałam niebieskiej ze srebrem materyi, ale pierwej musiałabym przecież objaśnić, wytłumaczyć, a ja właśnie przed babunią z niczego wytłumaczyć się nie umiałam. Dziś mogę dodać, że byłoby to rzeczą zupełnie bez-

użyteczną. Babunia nie byłaby mi uwierzyła, a najpierw nie byłaby i zrozumiała. Zniecierpliwiona milczeniem, wzięła mnie tedy pod pachy, zsadziła na ziemię i raz jeszcze tupnąwszy nogą, krzyknęła:

— Przyznaj się!

Ten groźny wyraz, którego raz tylko w mojej obecności mama do Józia użyła, gdy tenże cisnął kamieniem, a trudno było rozsądzić, czy za psem goniącym syna pachciarzowego, czy za samym właśnie synem pachciarzowym od psa uciekającym, ten wyraz mówię doreszty wszelką przytomność mi odebrał. Przypomniałam sobie, że Józio powiedział wreszcie:

— Tak jest, mamo—a mama pytać go przestała, choć długą jeszcze potem wiodła z nim rozmowę.

Zdawało mi się, że równie tanim kosztem wybrnę z kłopotu, rzekłam więc prędko i śmiało:

— Tak jest, babuniu...

Lecz babunia wcale się moją odpowiedzią nie zadowolniła; nazwała mię upartą, niegodziwą dziewuchą i silnie schwyciwszy mą rękę, pociągnęła za sobą do stołowego pokoju.

— Stój mi tutaj—mówiła, pakując mię do kąta, przez wielki czarny kredens i ścianę utworzonego. — Stój, póki się nie namyślisz bez wykrętów żadnych powiedzieć mi, czego to chciałaś z mojego kantorka.

Naprzeciwko zaraz wisiał portret pradziadka i tak strasznie patrzył na mnie, jak gdyby w tejże chwili miał z ram swoich wyskoczyć i tą karabelą swoją głowę mi uciąć.

— Babuniu!—zawołałam drżącym i od wzbierającego płaczu niewyraźnym głosem—moja babuniu kochana, ja chciałam z kantorka niebieskiej ze srebrem materyi, ja myślałam, że ją tam czarnoksiężnik gdzie schował — ale babuni już przy mnie nie było.

Odeszła do swego pokoju, a silnem drzwi zatrzaśnięciem spowiedź moję przygłuszyła.

Przez czas jakiś stałam, niby w posążek trwogi i rozpaczy zamieniona; zmrużyłam powieki, tem większy niepokój mnie ogarnął; pradziadek mógł rzucić

się na mnie pierwej nim spojrzę, ucieczka byłaby wtedy niepodobieństwem; prócz tego dziwna jakaś siła przykuwała wzrok mój do jego twarzy: widziałam, że gruba warga pod ogromnemi wąsami poruszać, że mięsiste nozdrza rozdymać się zaczynają, słyszałam nawet ich sapanie przyśpieszone, mrukliwe, do prychania rozdrażnionego kota podobne — alboż ja wiem? może tam rzeczywiście był kot gdzie wpobliżu, to pewna, że dłużej w towarzystwie pana starosty niepodobna mi było wytrzymać. Przykaz babki, obawa jej gniewu, posłuszeństwo dla starszych, wszystko nabok poszło. Bez krzyku, bez płaczu, z prawdziwie szaloną odwagą tchórzostwa opuściłam miejsce pokuty i cicho. powoli, z oczyma w obraz utkwionomi, zaczęłam ku drzwiom się przysuwać. Jak raz klamki dopadłam, tak jednym pędem nie oparłam się, aż w głębi ciemnej kuchenki, przy stosie złożonego tam drzewa. Czemu nie pobiegłam do matki? tego dziś nie wiem tak, jak i wówczas nie wiedziałam. Instynktem może przeczuwałam, że matka nie zechce lub nie potrafi przeciwko babce mnie bronić; przed babką zaś koniecznie skryć się było trzeba. Babka drugi raz wsadziłaby mię do kąta i samnasam z pradziadkiem zamknęła. Kuchenka na długo była miejscem najbezpieczniejszem. Wkrótce źrenice oswoiły się z ciemnością i rozwidniało mi dokoła; dostrzegłam schodków na górę wiodących; schodki mię zaintrygowały. Czy drzwi od nich zamknięte? Nie. Co za szczęście, dają się otworzyć! Kolumbowa żyłka lekko drgać zaczyna i puszczam się na odkrycie światów nieznanych; wstępuję, wstępuję coraz wyżej, aż się odsłania przedemną obszerna równina strychu, zastawionego mnóstwem pak, kufrów i starych rupieci. Gdy ja to jedno po drugiem oglądam, na dole tymczasem spostrzeżono moję nieobecność. Matka najpierw głośno przez okno wołać mię zaczęła, pewną będąc, że gdzie z Marcyną lub ciotką Rózią wybiegłam na dziedziniec, pomimo dość już mocnego zimna. Pokazało się, że ani Marcyna, ani ciotka Rózia nie wiedziały, co się ze mną dzieje; wnet więc obie z różnych stron

nawoływać mnie zaczęły; ja pod strychem nic tego nie słyszałam, ale babka nadole usłyszała zaraz i wyszła, czy z dobrą intencyą uwolnienia mnie z pokuty, czy z zamiarem oskarżenia przed matką, dość że wyszła i trochę się zdziwiła, nie zastając mnie na wyznaczonem miejscu kary i poprawy. Dopiero wtedy harmider się zrobił podobno. Babunia całe moje przestępstwo, tak jak się zarysowało w jej umyśle, opowiedziała mamie, mama zdobyła się na tę odwagę, że bardzo żałowała, czemu jej nie wezwano do zbadania tej sprawy; ona przecież zna mię najlepiej, a ja do niej śmielszą jestem, niż do innych; ciotka Rózia napomknęła Marcynie, że mnie od siebie puściła, nie spytawszy się nawet, gdzie i poco idę. Marcyna powstała na ciotkę Rózię, że mnie upilnować nie może, bo panna Różańska ciągle za sobą Napolcię wodzi, panna Różańska zbałamuciła Napolcię tak, że jej teraz w pokoju zatrzymać niepodobna, panna Różańska jedna dziś tylko u Napolci coś znaczy i t. d. i t. d. Sprowadzono wuja Kazimierza do narady. Wuj Kazimierz wzdłuż i wszerz przebiegł ogród cały, wysłał Piotrusia za bramę drogą ku wsi wiodącą, sam wszystkich w dziedzińcowym obwodzie pracujących wypytał, czy mnie gdzie nie widziano; ale, ma się rozumieć, nikt mię nie widział i nikt też nie mógł zobaczyć. Babunia z laską w ręku, coraz głośniej stukając, dokoła stół okrążała w jadalnym pokoju, matka przed sienią z załamanemi rękoma, blada, bez ciepłego okrycia, razporaz przywoływała mię jeszcze całą siłą nużącego się już głosu; ciotka Rózia z Marcyną zaglądały pod wszystkie łóżka i kanapy, czy gdzie nie zasnęłam przypadkiem; wuj Kazimierz klął pocichu, Józio płakał głośno i wraz z innymi kręcił się tu i owdzie.

Nagle sień przebiegając spostrzegł, że drzwi od kuchenki są nieco uchylone, stanął na progu, nic nie widzi zrazu, ale on już nie wątpi, że ja tam być muszę; woła raz i drugi, ciotka Rózia mu perswaduje, że przecieżbym do takiej ciemnej jamy z własnej chęci nie

weszła; Józio ręczy, że się nigdy ciemności nie bałam i coraz donośniej woła:

— Napolciu! Napolciu! Napolciu!

Właśnie zachwycałam się drewnianą małą karyatydą, od jakiegoś zepsutego mebla oderwaną przed laty, kiedy mnie nagle głos ów tak dobrze znany dosięgnął i z błogiego wyrwał spokoju. Leciuchno, niby myszka, zbiegłam po kilkunastu schodach, ostrożnie jednak na ostatnich się zatrzymałam, i podając się tylko naprzód ku drzwiom niedomkniętym, półgłosem w szparę rzuciłam:

— Józiu, a czy nie ma tam babuni?

Józio, zamiast odpowiedzieć, pobiegł do matki, radośnie wykrzykując:

— Jest, jest, mamo! znalazłem ją!

W jednej chwili usłyszałam wielki hałas przyśpieszonych kroków, pomieszanych głosów i nim zdążyłam się zastanowić, co to wszystko znaczyć miało, już mnie matka na ręku do swoich pokojów niosła, wuj Kazimierz Józia po ramieniu klepał, za uszy targał i przepysznego wyżła w podarunku mu obiecywał. Ciotka Rózia z Marcyną ściskały się i całowały; stukanie laski w jadalnym pokoju ucichło, babunia do siebie wróciła. Kiedy różne objawy radości uspokoiły się trochę, gradem na mnie spadło mnóstwo zapytań. Przestraszyłam się znowu i zaczerwieniłam, jak sztetyńskie jabłuszko; wujowi pewno podejrzanem się to zdawało, bo mi palcem na nosie pogroził, chociaż się wcale nie groźnie uśmiechał; dopiero matka przywołała wszystkich do porządku.

— Najpierwej chciałabym wiedzieć, moja Napolciu, zkąd ci się wzięło dzisiaj bez zawołania i bez pozwolenia iść tak samej do pokuju babuni?

Taka szczera ciekawość tkwiła w akcencie pytającej, że mnie to odrazu do swobody i otwartości nastroiło; opowiedziałam wszystko od początku do końca: świetne nadzieje, okropne zawody, strachy, ucieczki, przystań ratunku i wytchnienia na strychu odkrytą.

Wuj śmiał się na całe gardło. Gdy skończyłam:

— Tekluniu—rzekł, zwracając się do mamy—czy byłabyś przypuściła nawet, gdy cię poraz pierwszy do kuchenki za samowolne obcięcie włosów prowadzono, czy byłabyś przypuściła, że twoja córka nie ztamtąd, lecz tam właśnie uciekać będzie? Trzeba przyznać, że osobliwe wybrała sobie miejsce, prawdziwie miejsce smutnej pamięci dla nas wszystkich siedmiorga zkolei.

— A jednak dzieci mają bardzo sprawiedliwe przeczucia—zauważyła ciotka Rózia;—jużcić Bogiem a prawdą, ja sama wolałabym była nietylko w ciemnej kuchence, ale i w najciemniejszym lochu być zamkniętą, niż z tym szkaradnym portretem pana starosty samnasam się zostać, zwłaszcza, gdy człowiekowi czasem nagadano o nim takich historyj, że aż włosy na głowie powstawały.

— Jakto, ciociu, włosy ci powstawały na głowie?—zapytałam ciekawie.

— Oto tak—z uśmiechem odpowiedział wuj Kazimierz, rozczochrując dogóry gęstą swoję czuprynę.

W żaden sposób nie chciałam poprzestać na tem objaśnieniu i tak zaczęłam się ciotce Rózi przymilać, prosić, naprzykrzać, że nakoniec jednę z tych historyj opowiedziała, a za tą poszła druga, trzecia i tak dalej, coraz dalej, aż się zebrał materyał na wszystko, co tu poprzednio opisałam.

Nie przypominam sobie, czy w tymże samym czasie, czy trochę później, zupełnie nowe zdarzenie zapisało się w dziejach mego życia. Po pierwszej pokucie, pierwsza choroba na mnie spadła — pierwsza przynajmniej, która mi wyraźniejsze po sobie zostawiła wspomnienie. Zdaje się, że to była jakaś gorączka; zaczęła się od mocnego bólu głowy i wiem, że ten zpoczątku bardzo mi dokuczył, ale później—wszystko nagle się zaciera. Widzę ostatnią chwilę, w której mama na ręce mnie bierze i do łóżeczka przenosi — lecz odnajduję się dopiero w chwili, w której z Józiem

stoi nademną i blada, zmieniona, a jednak promieniejąca radością, mówi do niego:

— Józiu, Bóg taki dobry, Napolcia będzie żyła!

I najpierwej ona sama pocałowała mnie w czoło, a braciszek pocałował mnie w wyciągniętą na kołderce rękę i oboje uśmiechali się do mnie i wiem, że im chciałam coś ważnego powiedzieć, ale mama palec na ustach lekko mi położyła, dodając stanowczy rozkaz:

— Cicho, Napolciu, jutro będziesz mówiła, dzisiaj spać jeszcze trzeba.

Zasnęłam więc bardzo posłusznie, lecz od następnego przebudzenia zaczął się szereg dni, szczęściem mojem przenoszących mnie niby w dawne, stosunkowo do mej skali dawne, bardzo dawne warszawskie czasy. Wyszłam znowu na pierwszą w zakresie trzech pokoików osobę. Mama z Marcyną od rana do wieczora, to obie razem, to koleją siadywały przy mnie. Józio rzadko mnie odstępował; wuj Kazimierz, wracając od gospodarstwa lub z jakiej wycieczki w sąsiedztwo, do mnie najpierw wstępował, a i Piotruś też dość często się ukazywał i różne wiadomości o moich krówkach, o moich prosiątkach przynosił, nie mówiąc już, że raz przyniósł we własnych objęciach moje dwie śliczne czubate kokoszki; nawet babunia, kiedyniekiedy, przychodziła o moje zdrowie się zapytać, a raz była tak na mnie łaskawą, że mi podarowała z zielonych wstążeczek i woniejących lawendą uplecioną poduszkę do szpilek. Na wyzdrowienie, to jest na pierwsze przejście do drugiego pokoju, czekała mnie większa jeszcze niespodzianka. Rozpieszczona ciągłem dogadzeniem, stałam się bardzo wymagającą. Przez trzy dni pierwej spostrzegłam, że mnie Józio coraz częściej i na coraz dłużej odbiega; zaczęłam się tem obrażać, zaczęłam się skarżyć na takie zaniedbanie, lecz on to wszystko żartami zbywał, a jeśli mama wymówkom była obecną, to i mama z uśmiechem radziła mi, żebym cierpliwą była i przywiązaniu braciszka ufała.

— To czemuż on tu ze mną nie siedzi?—dąsałam się, płaczu blizka.

— Gdybyś wiedziała czemu—wesoło tłumaczyła mi wówczas mama — gdybyś wiedziała czemu, tobyś nie potrzebowała ufać; ufność się daje ludziom na niewidzialne i niewiadome. Nie miałabyś żadnej zasługi, gdyby Józio przyszedł i usprawiedliwił ci się ze swego oddalenia; zasługę będziesz miała dopiero wtenczas, gdy, nie pytając o nic, powiesz mu sama, i co ważniejsze, uczujesz to sama, że braciszek bardzo cię kocha; a jeśli nie bawi się z tobą tak ciągle, jakbyś ty pragnęła, to musi mieć słuszne do tego powody.

Niekoniecznie w dalszych latach umiałam się do tej nauki macierzyńskiej zastosować, niekoniecznie pewną dziś jeszcze jestem, czy zastosowawszy się, byłabym ze wszystkimi ukochanymi dobrze wyszła na tem, ale w ówczesnych okolicznościach zdobyłam się na tę hojność serca, co się ufnością zowie. Wieczorem Józio przyszedł, a ja mu żadnych nie czyniłam wymówek; nazajutrz otrzymałam za to nagrodę. Jeszcze Marcyna ubierać mnie nie skończyła, gdy Józio pod zamknięte drzwi przyszedł zapukać i zapytał:

— A czy już, czy prędko skończycie?

— No, już idziemy—zowołała wreszcie Marcyna i tejże chwili drzwi się rozwarły; zdumiona stanęłam na progu. Ściany salonu osłonięte były zielonością sosnowych i modrzewiowych gałęzi, na środku stół nasz okrągły, a na nim drugi stolik, dwa foteliki drewniane, zieloną farbą pociągnięte, na jednym z nich moja lalka wyświeżona w niebieskiej nie ze srebrem, lecz srebrem przynajmniej obszytej sukni, i to wszystko razem objęte w półkole małych doniczek z wysokiemi, na wysokość lalki, powojami. Pierwszy raz w życiu poczułam, że mi siły fizycznej do radowania się brakuje, wyciągnęłam tylko ręce do stojącej obok stołu mamy, a gdy mama mnie wgórę podniosła, twarz o jej ramię wsparłam i pocichuteńku płakać zaczęłam.

Józio tymczasem w ręce klaskał, śpiewał, wyskakiwał, aż zdziwiony mojem milczeniem, podbiegł ku nam i z niepokojem:

— Co to się stało Napolci? czy znowu się rozchorowała?—dobadywać począł.

Mama wiedziała już, że osłabienie jest mego rozrzewnienia przyczyną; by więc prąd wrażeń w inną skierować stronę, żartobliwie mówiła Józiowi, że ja się wstydzę tylko chwilowo popełnionej względem niego niesprawiedliwości.

— Bo to widzisz, mój drogi, kiedy po całych godzinach przesiadywałeś z Piotrusiem nad wyrobieniem tego stoliczka i tych krzesełek, Napolci się zdawało, że o nią nie dbasz wcale, że wolisz biegać i dokazywać, niż przy niej biedaczce chorej siedzieć i z nią się bawić, a ja ci dotrzymałam tajemnicy i ani słówkiem nie zdradziłam, jaką to siupryzę z Piotrusiem i ciotką Rózią na dzień pierwszego jej wyjścia przygotowujecie. Patrz tylko, Napolciu moja — ciągnęła dalej, ku mnie się zwracając—Józio wszystkie te deseczki sam wygładził, przykroił i pomalował; Piotruś mu składać i kleić dopomógł; oni także wystarali się małych doniczek, zasadzili w nich powoje, żeby taką ładną altankę dla twojej lalki ustawić, a błękitną sukienkę to ciocia Rózia własnemi rękoma uszyła.

Zaczęłam wszystkich dokoła ściskać, wszystkim dziękować, lecz najserdeczniej Józia uścisnęłam, Józiowi za podarunek najwdzięczniejszą byłam. Tak więc z choroby żadne przykre nie zostało mi wrażenie: ból, gorsze czasem od bólu lekarstwa, złe wszelkie w jakąś niebyłość zapadło; pamięć przechowała mi jedynie pieszczoty matki i braciszka mojego, troskliwość otaczających i te chwile radości niespodziewanej, którą mi Józio zgotował.

Ah! jak to wówczas przy matce dobrze było i chorować. Już to matka nasza prawdziwy talent miała do wywołania z serc obojętnych nawet jakiegoś wyższego uczucia dla tych, których mama kochała; czyniła to bez rozmysłu, bez oznaczonego zgóry celu i planu, ot—poprostu siłą prawdy wewnętrznej, magnetyzmem własnej miłości. Nigdy zapewne nie powiedziała sobie, że trzeba w sercach dzieci brater-

skie przywiązanie gruntować, a jednak wiem z pewnością, że jej wpływom, zbyt krótko, niestety, działającym, oboje z bratem zawdzięczaliśmy tak długą trwałość wzajemnego między nami stosunku.

Powiadają, że jeżeli szczera miłość rodziców złączyła w małżeństwo, to zawsze zobopólne przywiązanie dzieci ich potem łączy. Nie idzie tu nawet o miłość doskonałą, o niezachwianą wierność, o zgodę wzorową szlachetnych zasad, przekonań i dążności — takie ideały zostawiają się wyższym, już ucywilizowanym naturom do urzeczywistnienia — idzie tylko o miłość nader przystępną, o miłość obustronnego pociągu i przez całe życie obustronnego upodobania; mogą się wtedy zdarzać chwilowe nieporozumienia, może nie być wspólności pojęć, równości w zdolnościach i w wykształceniu towarzyskiem—byle w organizmie została ta skłonność, silniejsza od wszelkich rozkapryszonej woli obłędów, nad wszelką zmiennością górująca, stalsza od wszelkiej niestałości, już ona starczyć może do zapewnienia młodszej generacyi bogatszego w serdeczne skarby dziedzictwa. Istotnie widziałam sama różne tego przykłady; najbliższym zaraz był przykład naszych wujów i ciotek. Ojciec lekkomyślny, matka niesprawiedliwą między niemi czyniąca różnicę, ale ojciec i matka kochający się od pierwszego niemal spotkania aż do śmierci, więc i cała ta gromadka także trzymająca się razem, pomocna sobie w ciężkich przejściach swoich, rozradowana zawsze powitaniem, roztęskniona oddaleniem, a tak długo, długo smutna po stratach!...

Była to gromadka wszelako. Inne żywe ilustracye, którym się przypatrzeć mogłam, gromadkami były także. W gromadce częściej jedno drugiego potrzebuje, częściej jedno drugiemu służyć musi i to wybornym dla niej cementem się staje. Z dwojgiem dzieci trudniejsza sprawa. Każde jest pół-jedynakiem w rodzinie, każde zkolei celem wszystkich starań i wszystkich zabiegów; każdej przywyka odbierać, nie dawać. W obojgu też bezświadomie kiełkują egoisty-

czne popędy, nałogi, oczekiwania, bo starsi mają dość czasu, by i temu i temu zosobna wyłączną troskliwość poświęcić, by i to i tamto nieustanną opieką, wygodami i bezpieczeństwem otoczyć. Miłość braterska nie rozwija się w tych warunkach, dzieci nie uczą się wspierać, wyręczać, bronić jedno drugiego przed groźbą, karą lub zaczepką; owszem, często sobie zawadzają, często żądają od siebie tego, czego im rodzice i domownicy nie skąpią: żądają ustępstw, przyjemności, zadośćuczynienia wszelkiej prośbie, a z dalszym ciągiem czasu wszelkiemu wymaganiu.

My z Józiem pewnie też nie byliśmy lepszymi od innych; Józio był sprzeciwny, ja popędliwa i samowolna. Jeśli nas te wady nie zobojętniły wzajemnie w dalszych latach, zasługę tę jedynie matce przypisać należy. Ona tak jakoś we własnem sercu serca nasze zespoliła, żeśmy nigdy wśród najdrażliwszych okoliczności nawet rozłączyć ich nie mogli. Józio sam nieraz mawiał, że wczasie mojej choroby spostrzegł się i dowiedział o tem. że bardzo mnie kocha. Ale bo też to matka wciągnęła go we wszystkie niespokojności, troski, obawy i nadzieje swoje. Ledwo oczy otworzył, już mu rozpowiadała, czy źle czy dobrze noc przebyłam, co gadałam w malignie, jak się miewam. Raz, gdy wielkie niebezpieczeństwo groziło, ze snu go zbudziła i do mego łóżeczka za rękę przywiodła.

— Wszak prawda—rzekła—że smutnoby ci było, gdybyś ten raz ostatni przed śmiercią swojej siostrzyczki nie widział? Przypatrz jej się uważniej, Józiu, dłużej ją pamiętać będziesz.

Gdy siostrzyczce lepiej być zaczęło, braciszek znowu stał obok matki i pierwszą dobrą nadzieją wspólnie się cieszyli; gdy wyzdrowiała, oni także pierwszą niespodziankę dla niej razem obmyślili. Takie chwile na zawsze w serce przesiąkają.

W zabawach naszych, jeśli przyszło do sprzeczki, matka bardzo rzadko w charakterze sędziego występowała. Najczęściej jakiś sposób znalazła, by nas czem innem zająć, lub do zrobienia sobie małej grze-

czności, do wyświadczenia przysługi okazyą nam stręczyła. Nigdy jej pomysłów i dobrych natchnień nie brakło, choć, jak to powyżej wspomniałam, nie o to jej chodziło wyraźnie intencyami, abyśmy się kochali, pod tym względem żadnej nie przypuszczała wątpliwości, tylko tak równo nas kochała, że w każdej chwili oboje wesołemi, zadowolonemi widzieć pragnęła. Pamiętam n. p., jak obrazkami wyklejany parawan ledwo się nie stał wielkiej między mną a Józiem rozterki. Każde z nas po jednem skrzydle obrawszy sobie, zaczęło się przechwalać, że ma daleko piękniejsze figurki i malowidła na swojej stronie.

— A ja mam taką ładną krówkę!—wołałam.

— E! co tam krówkę, ja mam karetę w cztery konie zaprzągniętą—wołał Józio.

— U mnie jest domek z ogrodem, to więcej znaczy, niż kareta.

— Wielka mi rzecz dom pusty! Jeśli odemnie nie pożyczysz kanapy, łóżka z figurkami, krzeseł i stołu, to co będziesz w twoim domu robiła?

— Daj mi kanapę tylko, mój Józiu, już tu sobie znalazłam krzesła i dwa stoliki.

— A co mi dasz za kanapę?

— Dam ci bardzo pięknego Turka z fajką w ustach.

— A mnie na co się zda twój Turek? ja Turków nie lubię, bo oni biednych Greków męczą.

I tak od targu do targu, od obrazka do obrazka, Józio przekonał mię, żem wybrała to, co było najbrzydszego na parawanie. Potem zdradliwie ofiarował mi zamianę i kiedym pewną była, że już wszelkie piękności parawanu posiadłam, on mi znowu wyższości tych właśnie ganionych przez niego obrazków dowodzić zaczął, kosztem czterokonnej karety moję wzgardzoną krówkę wynosić; kiedy mi zaczął przymawiać, że ja świetne ekwipaże, nieużyteczne rzeczy więcej cenię, niż to poczciwe stworzenie, które nas mlekiem swojem żywi, które po śmierci nawet mięso na pokarm, a skórę na buty i trzewiczki nam daje,

oburzyłam się takiem nadużyciem wymowy, broniłam, póki mogłam, lecz gdy mi wkońcu słów i poglądów zabrakło, uciekłam się do zwyłego środka bezsilności i rozbeczałam się na głos. Matka wtedy, nie godząc nas, ani żadnych nie prawiąc morałów, osobiście tylko do zabawy naszej przystąpiła i trochę inny dała jej kierunek; wziąwszy niby jedno skrzydło w posiadłość, zawnioskowała, żeby sobie wzajemnie różne przedmioty podarowywać.

— Oto ja mam dla Józia duży bęben z pałeczkami i trąbkę złoconą — mówiła z uśmiechem. — Józio rano wstanie, na wszystkich śpiochów zabębni, a później w pole się wybierze i będzie głośno trąbił, żeby się koło niego psy gończe zebrały. Napolci ofiaruję rozłożystą jabłonkę, której gałęzie aż uginają się pod ciężarem owocu. Napolcia poprosi ogrodnika, żeby jej te piękne, rumiane jabłuszka postrącał, i będzie miała czem nas wszystkich obdzielić; a jak przyjdzie do dworu Magdusia ze wsi, to nietylko ją poczęstuje, ale jeszcze z pełnym fartuszkiem dla innych dzieci do domu wyprawi. Ciekawa teraz jestem, co ja od Józia dostanę?

Józio był w wielkim kłopocie; szukał, namyślał się i wreszcie wybrał pawia z roztoczonym ogonem.

— Wszakże mama ptaszki lubi — usprawiedliwiał się, niezupełnie względem swego daru na sumieniu spokojny.

— No, lubię trochę mniejsze — odpowiedziała na to żartobliwie — lubię kanarka, słowika, wilgę, ale i paw mi się przyda. Czy zgadniesz na co, mój chłopcze?

Chłopiec zastanowił się trochę i w ręce klasnął z radością.

— Już wiem na co!—zawołał—jak będzie pióra gubił, mama nam je zbierać każe i wszystkim parobczakom ze wsi do kapeluszy porozdaje.

— Brawo! zgadłeś; lecz teraz trzeba jeszcze powiedzieć, co dla Napolci przeznaczasz.

— Napolciu, czy chcesz tę krówkę, o którą się na mnie rozgniewałaś?

— Nie, nie chcę — odrzekłam z resztką żalu i rozdąsania w sercu.

Józio wcale się o to nie obraził; chętka sprzeciwienia się odstąpiła go już zupełnie; zaproponował mi biurko jakieś, czy komodę, pełną, jak ręczył, muślinowych i jedwabnych sukienek, co też nakoniec dość łaskawie przyjęłam.

— Teraz na ciebie kolej — mówiła do mnie mama—spodziewam się czegoś bardzo pięknego.

— Bo ja też coś bardzo pięknego dla mamy wynalazłam—z pewną dumą odezwałam się na wyrażone życzenie.—Oto jest anioł biało ubrany, z koroną w jednej, a z jakąś zieloną w drugiej ręce gałązką. Wszak prawda, mamo, że śliczny ten anioł?

Mama popatrzyła przez chwilę na niego, smutna myśl widać przez głowę jej przebiegła — ah! ta sama zapewne, która i mnie tak często później ze wspomnieniem tej chwili wracała — nie wyraziła jej przecież, tylko mnie w czoło pocałowała i po krótkiem milczeniu:

— A Józiowi?—rzekła tylko.

— Józio może sobie weźmie tego psa ogromnego, co zpod śniegu czyjąś głowę odgrzebuje. A może woli rycerza w żelaznej zbroi, a może pałac z wieżyczkami? Tylko że pałac od psa i rycerza daleko jest mniejszy.

W przystępie szlachetnej hojności byłabym wszystko, co mnie samej się podobało, Józiowi przekazała; on też nie sam odrazu, ale z pomocą mamy dopiero za psem się oświadczył.

— Bo ci rycerze — jak mu przedstawiała — w swoich żelaznych zbrojach o tem myśleli jedynie, żeby ludzi zabijać, ranić, brać do niewoli; a pies z góry S-go Bernarda ocala życie podróżnikowi.— I zaraz opowiedziała nam różne ciekawe szczegóły o tem zmyślnem zwierzęciu, o zakonnikach, którzy się niem

posługują, o górach, o Szwajcaryi; w przypuszczeniu wystawiła, coby to ze mną się działo, gdyby śnieżna zawieja naszego Józia tak gdzie pochłonęła; aż pod urokiem jej słowa wszystkie czarne i błękitne diabełki pierzchnęły daleko, a w serduszkach słuchaczy rozrzewnienie i chęć—więcej niż chęć—potrzeba zrobienia jakiejś przyjemności, dodania czegoś do szczęścia ukochanych w duszy zostały — no, i w pamięci nowa jakaś wiadomostka została się także.

Trzeba przyznać, żeśmy się ciągle wielu ciekawych, zajmujących, a nadewszystko wielu pożytecznych rzeczy uczyli. Jak mama na parawanie o Szwajcaryi, tak wuj Kazimierz na pokrowcach od krzeseł i kanapy różnych zabawnych szczegółów o Chinach nam udzielił. W starej książce in quarto rozkoszowaliśmy się wizerunkami książąt i królów polskich, od Lecha z długą brodą i Popiela z myszami, do Sobieskiego z długim wąsem i Augusta z peruką. Nie bez tego, żeby się też razporaz nie usłyszało wzmianki o Włoszech, gdzie najstarszy wujaszek w legionach służył; o tej nieszczęśliwej Hiszpanii, w której pod Saragossą zginął; o Jenie, gdzie wuj Antoni krzyż dostał; o Lipsku i Elstrze smutnej pamięci, o Gdańsku, Moskwie, Możajsku — to wszystko świat nam rozszerzyło i w dalekie obce strony wyobraźnię ciągnęło. Z Napoleonem i z Bonapartem do ładu wprawdzie trafić długo nie mogłam; osobna jednak z wujem Kazimierzem rozmowa objaśniła mnie, że byli jedną i tą samą osobą; że młody student ze szkoły wojskowej, takiej n. p. jak szkoła aplikacyjna, o której przecież wiedzieć musiałam, postąpił na porucznika, został potem kapitanem, pułkownikiem, generałem, głównym wodzem i konsulem. Przechodząc te koleje, nazywał się ciągle Bonaparte, lecz kiedy cesarzem się ogłosił, zaczął używać chrzestnego imienia swojego i wstąpił na tron jako Napoleon I. Zdawało mi się, że to jest bardzo zwyczajną rzeczą z porucznika tak na cesarza zaawansować. Nic a nic się nie dziwiłam najdziwniejszemu właśnie historyi powszechnej zjawisku. A i spra-

wy tureckie nie były nam obce, można to już było zmiarkować wyraźnie z okazywanej przez Józia dla Greków sympatyi.

Daleko więcej jeszcze, niż pod dachem, uczyliśmy się pod gołem niebem, na dworze. Uczyliśmy się ziemi, ludzi, pieśni, zwyczaju rodzinnego, nie mówiąc już o pracach wiejskich, z któremi wzrok się oswajał i myśl się oswajała. Znaliśmy osobiście wszystkich niemal gospodarzy po chałupach, wielu żwawszych parobków, każdą dziewuchę, co przychodziła do krów dojenia, do pielenia w ogrodzie, lub na przędziwo wieczorne. Wśród dzieci miałam też jednę wielką przyjaciółkę, Magdeczkę, a Józio miał wybornego do psot wszystkich towarzysza, Wojtusia. Magdeczkę, z upokorzeniem wyznać mi to przychodzi, kupiłam sobie za jabłka i wstążeczki. Kiedy późną jesienią okrężne sprawiano, myśmy pierwszy raz się poznały; a było to okrężne sute i tłumne, zdaje mi się, że nigdy już potem świetniejszego nie widziałam. Zastawiono stoły kołaczami i mięsiwem, nie żałowano wódki i piwa, dla starszyzny i miodek się znalazł, dzieciom rozdawano owoce i pierniki, a skoro tylko ów cały poczęstunek się skończył, zabrzmiały skrzypce z basetlą i w ogromnej sali mieliniecklej wuj Kazimierz z przodownicą ochocze tany rozpoczął. Kilku młodych panów z sąsiedztwa, kilka panienek z rodzicami umyślnie na ten dzień przybyłych, niebawem też wciągnąć się dało za jego przykładem; Józio wybrał sobie do oberka najsłynniejszą w Mielinku śpiewaczkę, a i mnie nawet stary Szymon wziąwszy za obie ręce, dokoła parę razy okręcił. Bardzo mi się to podobało, lecz już po starym Szymonie napróżno drugiego wyglądałam tancerza. Matka też wkrótce cofnęła się ze starszemi paniami i mnie z sobą zabrała; wypraszałam się od tego poważnego towarzystwa jak mogłam, na nic się prośby nie zdały.

— Toć widzisz jaki tam tłok — rzekła matka; — gdybyś upadła, niktby cię nie dowidział nawet,

zdeptaliby mi moję Napolcię, jak robaczka, a co jabym potem robiła?

Rzecz była dosyć prawdopodobną, nawet dla mojego pojęcia, że mogliby mię zdeptać, a jednak strasznie mi żal było z sieni wychodzić. Smutnie stanęłam przy krzesełku mamy i ze łzami w oczach nasłuchiwałam wyraźnie przez drzwi zamknięte dolatującej muzyki, bijących o posadzkę podkówek, aż na widok mojej rzadkiej miny i mamę litość zjęła. Babunia zasiadła właśnie była do kiksa z księdzem proboszczem i dwoma wiekowemi paniami w swoim pokoju, bo utrzymywała, że ten hałas ją męczył; mama tedy zaprosiła resztę gości na drugą stronę, gdzie można, jeśli zechcą, drzwi otworzyć i popatrzeć jeszcze trochę na bawiącą się z wieśniakami obywatelską młodzież. Wszyscy chętnie się na jej projekt zgodzili i gdyśmy już, przeszedłszy dziedzińcem i ogrodem, w otwartej sali zasiedli, mama szepnęła mi na ucho:

— I cóż, czy tu węselej, moje dziecko?

— O! daleko weselej, tylko jabym tak chciała potańczyć jeszcze trochę.

— To idź i uproś sobie jakiej dziewczynki, żeby tutaj do pokoju przyszła tańczyć z tobą.

Zdawało mi się, że już sprawa skończona. Tuż pod oknem stała gromadka dziewcząt od dwunastego mniej więcej do szóstego roku, wszystkie wspinały się na palce i zakukiwały ciekawie do sali. Upoważniona zezwoleniem matki, wybiegłam coprędzej i zaraz jednej z najwyższych prośbę moję przedstawiłam. Najwyższa zachichotała i uciekła. Druga, trzecia i dziesiąta tak samo zemną postąpiły, a ja nawet wytłumaczyć sobie nie mogłam, co było tych ucieczek powodem. Zwróciłam się nakoniec do małej, prawie mego wzrostu dziewczynki, która przy murze skulona i trochę drżąca od zimna stała. Spódniczka jej była zakrótka na bose nóżki, chustka obwiązująca głowę trochę wytarta i spłowiała, ale kołnierzyk od koszuli

czyściuteczki, ładnie wyprasowany, tylko bez żadnej zadzierżki.

— Czy ty pójdziesz zemną do pokoju? — spytałam.

O radości! dziewczynka nie uciekła, tylko odwracając się odemnie, mruknęła:

— Kiej się wstydzę.

Zaczęłam jej dodawać odwagi, upewniałam że moja własna mama pozwoliła mi ją do pokoju zaprosić, wszystko to nie trafiało do jej przekonania; ciągle mi jedno i to samo powtarzała:

— Kiej się wstydzę.

Od próśb i namawiań do obietnic przeszłam.

— Pójdź zemną, a dostaniesz duże czerwone jabłko.

Ruszyła wreszcie z miejsca i doszła do drzwi szklanych przymurku; tu znów na progu stanęła jak wryta, ze swojem:

— Kiej się wstydzę.

Przyniosłam jabłko, skłoniła mi się, ale wejść nie chciała, przyniosłam drugie, ośmieliła się drzwi przestąpić. Za trzeciem wciągnęłam ją do sypialnego pokoju, gdzie nikogo nie było, ale o przetańczeniu oberka ani z nią mówić, nawet jabłka nie skutkowały. W tej ostateczności przypomniałam sobie, że między gałgankami mam czerwonej wstążki kawałek; czerwona wstążka stanowczo lody przełamała, i puściłyśmy się w kręgi najpierwej po sypialnym pokoju, potem i po sali, bliżej muzyki, i było nam tak dobrze razem, żeśmy się już do późnego wieczora nie rozłączyły. Ona mi powiedziała, że się nazywa Magdeczka Kuźniczanka, ja jej powiedziałam, że jestem Napolcia Hołosko, i przyrzekłyśmy sobie często się odtąd widywać. Istotnie, Magdeczka przyszła zaraz nazajutrz i ofiarowała mi kwartę co najmniej doborowych laskowych orzechów. Wywzajemniając się, pokazałam jej moję lalkę, wszystkie moje zabawki, i darowałam kilka najpiękniejszych ze zbioru mego gałganków. Magdeczka na drugie odwiedziny wystąpiła z darem

dwóch świeżutko zniesionych jajek; mama jednak zakazała nam tych wzajemnych prezentów, bo dzieci właściwie nic swego do rozdania nie mają.

— Wszak prawda, Magdusiu, że to cię matula i z orzechami, i z tą parą jajek wysłała?

— A dyć matula — powiedziała Magdeczka.

— No, to jej powiedz, żeby się nie kosztowała. Panienka to tylko przyjmie od ciebie, co sama zrobisz; pomożesz jej zepleć ogródek, w lecie jagód przyniesiesz, a zobaczysz, jaka ci będzie wdzięczna. I panience przyjemniej będzie daleko, jeśli ci własną ręką fartuszek kiedy uszyje.

Na takiej stopie mama postawiła nasze stosunki, które daleko pomyślniej się rozwinęły, niż z ich początku wnioskować było można; niemniej przeto Józio pod jednym względem mógł być dumniejszym ze swego Achatesa. Przy pierwszem zabraniu znajomości, nie Józio o łaskę Wojtusia, ale Wojtuś o łaskę Józia się postarał. Kiedy ja Magdeczkę przekupywać musiałam wstążką czerwoną, Józia Wojtuś przekupił małym, lecz dobrze już odchowanym żywym zajączkiem. W rozwinięciu dalszej przyjaźni wszelako, po mojej stronie lepsza część się znalazła; Magdeczka było to ciche, łagodne i poczciwie przez matkę wychowane stworzenie; Wojtuś sprytny, przebiegły, dowcipny, ale hultaj na szeroką skalę, byłby panicza nietylko do wybierania gniazd ptasich, ale i do gorszych rzeczy skusił, gdyby nad nim Piotruś nie czuwał i za czuprynę go czasem porządnie nie wytargał.

Dziwna rzecz! daleko niesprawiedliwsze były wówczas warunki położenia, a przecież daleko łatwiejszem zbliżenie się dworu z chałupą, na czysto ludzkiej drodze. Przypuszczam, że i wówczas chłop miał niechęć do pana, pan miał lekceważenie i w wielu razach pogardę dla chłopa, ale poza temi hierarchicznemi stanowiskami zdarzało się, że Kuba w sukmanie, a Jakób w surducie zasiadali do wspólnej gawędki, radzili o wspólnych interesach, wyświadczali sobie przysługi wzajemne i Kuba szczerze był do

Jakóba przywiązanym, a Jakób wielce Kubę szanował. Między kobietami jeszcze łatwiej było o życzliwy stosunek. Ciotka Rózia nieraz z wdzięcznością wspominała, jak wczasie wojny, przed Prusakami, u Grądziny Kacprowej dla siebie, swoich manatków i sreberek bezpieczne znalazła schronienie. Marcyna także po wczesnem owdowieniu, przez pamięć dawniejszych względów, zgodziła się do służby u swojej kochanej panienki, co dla niej zawsze taką dobrą była. Dzisiaj słyszę nierzadko o właścicielach ziemskich, którzy wiele czynią dla podniesienia oświaty i dobrobytu sąsiadujących z nimi włościan; słyszę rzadziej już, ale słyszę, że i gromada w pewnych okolicznościach jawny dowód szacunku i zaufania swemu sąsiadowi, właścicielowi ziemskiemu, daje, ale o takich osobistych, trwałych i życiem zaświadczonych przyjaźniach, dawno, ah! bardzo dawno nie słyszałam pono. Zapewne jest to skutkiem wstecznego fata morgana wszelkiej pamięci, przy schyłku życia ku dziecinnym zwracającej się latom, ale jabym przysięgła prawie, że dawniej lud nasz, lud mieliniecki przynajmniej, był i piękniejszym i lepszym od tego, który dzisiaj widuję, a choć się to nieprawdopodobnem zdawać może, powiem nawet, że zamożniejszy na zewnątrz wyglądał. Ile razy wzięto mnie do kościoła, nie mogłam się napatrzeć pięknym strojom zebranej gromadki; kobiety zamężne miały takie sute jedwabne chustki na głowach, takie wzorzyste fartuchy, takie jubki sukienne z barankowym albo lisim kołnierzem ogromnym, dziewczęta jak łanie wyglądały w jaskrawych gorsetach, w kwiecistych spódnicach, z mnóstwem korali, paciorek na szyi, z mnóstwem wstążek na głowie.

Niektóre nosiły w kształcie wysokiego dyademu czółka aksamitne, szychem obszyte, kwiatami przybrane; ja bo się zachwycałam temi czółkami! Koniecznie raz prosiłam mamy, żeby mi wiejski ubiór sprawiła; mama tem jedynie mi wyperswadowała gogorące życzenie moje, że to byłoby zapiękne dla mnie

i gdybym weszła między inne panienki, wszyscyby na mnie jak na dziwowisko jakie patrzyli. A młode chłopaki jak dziarsko wyglądały w swoich świtach popielatych, różnobarwnemi pasami ściągniętych, z czerwoną zadzierżką przy białym kołnierzu od koszuli, z szafirowemi wiązaniami przy okrągłych barankowych czapach! Zachowanie się ich było także, o ile pamiętam, gładsze daleko i przyzwoitsze; ani klątw tylu, ani grubych wyrazów i żartów przez cały ciąg pobytu mego w Mielinku nie słyszałam, ile o trzydzieści lat później, gdy mi się zdarzyło ucho puścić na dziedzińcowe lub czeladnej izby gwary. Między sobą zgodniej żyli, chętniej sobie pomagali; kradli pana i księdza, ale rzadko jeden drugiemu co ukradł. Występki, z któremi się dzisiaj razporaz spotykamy, wówczas jeszcze do osobliwości się liczyły, lepiej się obchodzono ze staremi rodzicami.

Jednego dnia, pamiętam, gdyśmy wyszli z mamą na przechadzkę, ujrzeliśmy przy krzyżu podewsią wielkie zbiegowisko, szczególniej kobiet i dzieci. Wpośrodku staruszka jakaś, dość krzepka jeszcze, dość nawet porządnie przyodziana, na ziemi siedząc, rzewnemi łzami gorzkie skargi zawodziła; przy niej leżał mały węzełek i gruby kij podróżny. Opowiadała, że ją własna córka z domu wypędziła o tym żebraczym kiju na świat szeroki, obcy.

— Boże! mój Boże! czegóż ja dożyłam! — wyrzekało biedactwo; — miałam taką porządną gospodarkę, miałam skrzynkę pełną chust nowiuteńkich, słoninę, i krupy i co gęba zachciała w komorze, wszystko jej i zięciowi oddałam, a teraz mi kawałka chleba na starość żałuje!

Brzmią jeszcze w uszach moich te wykrzykniki zgrozy i oburzenia, które towarzyszyły prostym żalom pokrzywdzonej matki.

— Jezu Chryste! toć to chyba Boga w sercu nie mają. A toć się skarania Pańskiego nie boją. Czy to przy pacierzu nie mówią: „czcij ojca twego i matkę twoję?“ Jakto? i nikt się za wami nie ujął? Dyć to

pomsta Boska dosięgnie ludzi, którzy na takie pogaństwa obojętnie patrzą!

To pewna, że słuchający obojętnie nie patrzyli; stary Szymon coś w rękę podróżnej wcisnął, jedna gospodyni do siebie na nocleg ją zaprosiła, inna dzbanuszek mleka przyniosła, krajanki sera i chleba sypały się jak z rogu obfitości; nawet moja przyjaciółka Magdeczka obwarzanek na ofiarę złożyła. Nie przypominam sobie, jak się to wszystko skończyło, czy staruszka w Mielinku została, czy do córki wróciła, ale wiem, że ten wypadek na mieszkańcach wioski zrobił jakiejś nadzwyczajności wrażenie, *wiem*, że „opinia publiczna“ silnie była nim zajęta, bo przez kilka dni ciągle jakieś nowe szczegóły o złej córce i wypędzonej matce do dworu przynoszono.

Nie byłaż to dla nas dobra nauka, ta nauka ogólnego wstrętu do czynów nieludzkich i zbrodniczych? Może niejedna, równie użyteczna, w serca tą samą drogą się przedostała, tylko zapomniana, niewyróżniona, rozpłynęła się w żyłach, a śladu jej w wielu poczciwych chęciach i szlachetnych dążnościach nie można było później rozeznać. Co do mnie, żałuję bardzo, że ze dwa lata dłużej nie pociągnęła się ta bezświadoma moja edukacya; co do Józia jednak, atmosferyczne prądy choćby najzdrowszych wpływów były już trochę niedostateczne. Książkowe postępy jego nie dosięgały lat, sił i wzrostu. Matka codziennie czytać mu i pisać przy sobie kazała, uczył się z nią rachunków i słówek francuskich; wuj Kazimierz nawet odszukał jakiejś starej łacińskiej książki i powtarzał z nim od czasu do czasu: *terra est rotunda*, albo skandował deklinacye i konjugacye, wszystko to jednak szło dorywczo, bez ładu, bez metody żadnej, z małą korzyścią, a wielkim trudem dla ucznia, który się codzień więcej do wszelkiej drukowanej i pisanej litery zniechęcał. Matka, powagą słów kapitana Paszkowskiego się osłaniając, ponieważ przyjąć nie mogła tak doskonałego nauczyciela, jak go sobie

w swej wyobraźni przedstawiała, wolała żadnego nie przyjmować: tymczasem Józiowi na dziesiąty rok się przesunęło, potrzeba szkolnej karności coraz silniej otaczającym go czuć się dawała; zapewne wkońcu źle przygotowany, rozpieszczony, biedny chłopiec do najbliższych w sąsiedztwie szkół powiatowychby poszedł, gdyby... gdyby nie panna Malwina Stopkowska.

Panna Malwina Stopkowska w kilka miesięcy po naszym przyjeździe do Mielinka, zjawiła się jako gwiazda pierwszej wielkości na horyzoncie tamtejszej okolicy. Ojciec jej był za czasów wojennych jednym z najczynniejszych dostawców. Ożenił się z córką urzędnika, Niemca, którego łaski potrzebował wtedy; dorobił się milionowego, jak powiadano, majątku, stracił go bardzo prędko na karty, hulanki, a zwłaszcza na kobiety, żonę postępowaniem swojem rychło do grobu wpędził i sam nie wiedząc co ma robić z trzechletnią swoją Malwinką, rzucił ją na kark dziadkowi, który był wdowcem po żonie Polce i z trzech córek miał jeszcze jednę niezamężną w domu przy sobie. Dziadek na szczęście lubił dzieci, ale ciotka przedewszystkiem zabawy lubiła. Bawiło ją to zpoczątku, że może dziecko stroić jak lalkę i przed gośćmi w charakterze troskliwej opiekunki występować. Niedługo to trwało jednak, dziewczynka była rezolutna, gadatliwa, często uparta, czasami gwałtowna, umiała się przypochlebić, umiała też i dokuczyć z zadziwiającą na wiek swój przebiegłością. Ciotka wkrótce sprzykrzyła ją sobie, zaczęła łajać, karać, niecierpliwić się, a kiedy do głośnych scen przychodziło, dziadek w obronie wnuczki stawał zawsze. Malwinka wnet to rozdwojenie władzy rodzinnej zmiarkowała, w piątym już roku starczyło jej dowcipu na to, by w nieobecności dziadka ulegle klapsy i pokuty od ciotki przyjmować, za powrotem jego dopiero skarżyła mu się w sekrecie, opowiadała więcej niż było, a nawet i to, czego nie było wcale. Zamążpójście ciotki mogło się stać prawdziwem dla siostrzenicy dobrodziejstwem, pod wyłącznym sterem dziadka możeby się

rozwinęła na kapryśną, światową i samolubną kobietę, ale przynajmniej ten nałóg podszeptów kłamliwych nie miałby czasu dojrzeć w zdolność kłamstwa i w talent intrygi. Tymczasem ciotka za mąż nie szła, dziecko wyrosło na dziewczynkę, dziewczynka na panienkę. Przedmioty starć i wzajemnej niechęci stopniowo się też zwiększały. Jeśli w początkach o szklankę kawy, o ciastko lub o przechadzkę chodziło, to potem współzawodnictwo miało na celu kapelusz, suknię, klejnocik jaki przez dziadka jednej lub drugiej darowany, wkońcu do klejnocików, podarków przyłączała się jeszcze myśl o testamencie dziadkowym. Zdaje się, że nim pierwszą długą suknię panna Malwina włożyła, już doskonale umiała stratę od zysku w każdym interesie, korzyść od szkody w każdem położeniu rozróżnić. Bystrem pojęciem i wyborną obdarzona pamięcią, uczyła się dobrze, a wcześnie bardzo do salonowych towarzystw wprowadzona, spostrzegła natychmiast, że nietylko strój, piękność, tytuł, ale i wykształcenie umysłowe do błyszczenia w nich pomaga, zapragnęła też uczyć się wszystkiego, o czem słyszała, że jest w modzie lub że cechę niezwykłości umiejącemu nadaje. Dziadek na metrów, jak ich wówczas zwano, nie żałował pieniędzy. Malwina brała lekcye od Francuza, Niemca, Włocha i Anglika. Czech Jawurek codziennie godzinę muzyki, a Szczurowski co drugi dzień godzinę śpiewu jej dawał, Bruder dwa razy, a Marszałkiewicz raz w tydzień przychodzili, pierwszy sławny w swoim czasie malarz kwiatów, drugi miniatur; pan Zieliński wykładał jej historyą, literaturę i język polski, ksiądz pijar Dąbrowski, zachwycony jej zdolnością, sam się podjął z naukami matematycznemi oznajamiać ją potrochu. Z tego wszystkiego panna Malwina małą cząsteczkę ledwie na nierozdzielną aż do śmierci własność przyswoiła sobie. Po rozstaniu się z Bruderem i Marszałkiewiczem, ani jednego listeczka, ani jednego nosa własną nie odmalowała ręką; prócz kilku pieśni Tassa i komedyj Goldoni'ego, czytanych ze

starym Rinaldim, wątpię bardzo czy choć raz później włoską książkę otworzyła, a jestem zupełnie pewną. że angielskiej żadnej ani razu. Poważna matematyka jeszcze, niestety, mniej po sobie śladów w jej głowie zostawiła, zato jednak biegle mówiła i prawie bez błędu pisała po francusku, z rodzinnego obyczaju nabrała wprawy w niemczyźnie, z usilnej pracy zapanowała nad trudnościami gry fortepianowej, w rozmowach literackich zręcznie umiała zastosować zasób swoich historycznych wiadomości, śpiewała trochę zbyt cienkim, niezupełnie czystym głosem, ale z najmodniejszych oper wyjątki. No! ledwom nie zapomniała powiedzieć, że tańczyła szala. gawota i girlandę, a to przecież niemałe wtedy miało znaczenie. Ciotka na tę całą edukacyą ramionami tylko wzruszała. dowodziła ojcu. że większą część łożonych kosztów jakby za okno wyrzucał. Malwinie zwykle nie żałowała złośliwych przycinków o jej pretensyach do rozumu, o śmieszności, którą przez to ściąga na siebie, lecz to wszystko na nic się nie zdało. Ojciec płacił, Malwina się uczyła, i rzeczywiście, gdyby ta ostatnia czuła w sobie prawdziwe naukowe usposobienie, gdyby rozmiłowała się w tym lub owym przedmiocie, gdyby ze szczerą chciwością po skarby wiedzy ludzkiej sięgnęła, byłaby nieochybnie w śmieszność i dziwactwo popadła. Nie było wtenczas miejsca dla takich kobiet na świecie, między światem a niemi żadnej nie było łączności. każda dla innych, i co gorzej dla samej siebie, stanowiła osobliwość niesłychaną, przywłaszczała sobie lub jej narzucano wyjątkowe przywileje, z potrzeby i z konieczności musiała nie być taką, jak wszyscy. Malwina uniknęła tego niebezpieczeństwa, uczyła się jak Hetera grecka, dla podwyższenia swej ceny, a nie wartości.

Wiele jej zależało na tem. żeby o spamiętanych faktach zajmującą prowadzić umiała rozmowę, nic a nic się nie troszczyła o to. by je w całość ująć, prawa ich dośledzić, przekonanie swoje oprzeć na nich lub zbudować. Nie potrzebowała ona zresztą niczego

sobie dowodzić i zaprzeczać niczego — właściwie mówiąc, nie miała żadnych przekonań; miała tylko zamiary, instynkta, nawyknienia i skłonności, złe czy dobre, nie sądziła, było jej to zupełnie obojętne, rozum służył jej tylko do zadosyćuczynienia chęciom i upodobaniom; w myśli jej nawet nie pozostało, że powinnaby go na coś szlachetniejszego użyć, na wykrycie czy na rozjaśnienie jakiejś prawdy, dla niej samej lub dla drugich użytecznej; od tych kłopotów zupełnie wolną była, dlatego też nie stała się pedantką, tylko według mody ówczesnej, bardzo miłą w towarzystwach osobą, z którą mężczyźni nawet o poważniejszych przedmiotach mówić mogli. Nie przeszkadzało to wcale, że i o niepoważnych mówić mogli także; panna Malwina doskonale rozumiała ich wtedy i na odpowiedziach nie zbywało jej, chyba w tym razie, gdy milczenie wymowniejsze być mogło od słowa.

Trzeba sobie przypomnieć ten czas wojen, zmian ciągłych i ciągle niepewnego jutra, ten czas gwałtownych namiętności, lekkomyślnie z niebezpieczeństwem igrającej odwagi i pożądliwszego w obec śmierci do uciech, do szałów, do chwilowej rozkoszy nastroju. Niedarmo to starożytni cypryjską boginię w objęcia Marsowi rzucili —, jest coś odurzającego w atmosferze bojowej. Usta, co szepcą prośbę serdeczną, mogą tak prędko oniemieć w trupiej bladości! ręka, co rękę pieści w uścisku, może tak łatwo zbezwładnieć na wieki!... Jest zawsze jakieś uwielbienie przy pierwszem spotkaniu, jest żal, trwoga, złe przeczucie przy pożegnaniu; każdemu silniej krew w żyłach krąży pod zmiennych wrażeń natłokiem, huk dział sumienie przygłusza, szulerski obłęd duszę ogarnia, stawia się wszystko na kartę, spokój lat długich, szczęście rodzinne, obowiązek matki i cześć dziewicy — stawia się wszystko, by wygrać jednę chwilę upojenia!...

Raz zachwiane w posadach swoich, społeczeństwo nie prędko wraca do zwykłego porządku; w tym

zwykłym porządku bywają nadużycia i występki, ale nadużycia popełniają nikczemni, występki źli ludzie.

W przewrotach burzliwych, zawierucha po drodze swojej nawet dobre, ciche, z innych względów szlachetne natury porywa. W najgorszej epoce czasów Stanisława Augusta nie słyszało się o tylu skandalach, wykradzeniach, ucieczkach, jak w pierwszych dziesiątkach bieżącego stulecia; a nie księżne i hrabiny, nie wielkie panie i wielkie awanturnice bywały bohaterkami tych smutnych dramatów: w szlacheckie dworki, do mieszczańskich kamieniczek sięgnęła zaraza. Ileż ja sama znałam później dobrych matek, które pierwej niewiernemi były żonami, żon przykładnych, które pierwej wstydem okryły czoła rodziców; ileż kobiet pracowitych, użytecznych, z poświęceniem pielęgnujących starców, z miłosierdziem przygarniających sieroty, które przecież nie śmiały wspomnień swojej młodości dotykać! Był-to czas dziwnego jakiegoś zamieszania pojęć, rozluźnienia stosunków towarzyskich i w tym-to czasie na nieszczęście przypadło pierwsze rozwijanie się władz ciała i umysłu Malwiny. Biedna dziewczynka bez matki, z ojcem niesumiennym, dziadkiem słabym, ciotką zazdrosną i zdolnościami niebezpiecznemi, na ster własnych popędów zostawiona, oczadziała wśród tych miazmatów, co się dokoła niej w powietrzu unosiły; chwałą i romansami wszystko tchnęło, lecz ona pierwej romans na swej drodze spotkała, nim się chwałą olśnić zdążyła. Zakreśliło to najzgubniejszy kierunek jej wadom; te które mogły ją wynieść do potęgi złego, wcześnie skrzywione, wtrąciły ją tylko w niekonsekwentność zepsucia.

W jedenastym roku już jej metr Francuz miłosne słówka szeptał do ucha i zamiast stylowych cwiczeń, bileciki pisywali do siebie. W dwunastu latach prowadzono ją na wieczory, gdzie przed licznem zgromadzeniem w tańcach solo występowała, a istotnie tańczyła bardzo wdzięcznie, według zasad sztuki choreograficznej. Panie bawiły się nią, jak dzieckiem cu-

downem, lecz Malwinka wcale być dzieckiem, choćby nawet cudownem, nie chciała; młodzi panowie prawili jej grzeczności, ten i ów za rączkę ścisnął, ten i ów w rączkę pocałował, lub do powozu wsadzając, na pożegnanie ustami twarzy dotknął, a dziadek śmiał się z wszystkiego, pysznił talentami swej wnuczki, a wnuczce tymczasem niezdrowe wrażenia spokojność właściwą jej wiekowi mąciły i przedwcześnie po ojcu odziedziczone skłonności rozwijały. Było to wielkiem dla niej nieszczęściem, pomijając wszelkie względy moralne, było nieszczęściem według miary jej życzeń i projektów. Tak zręczna i wykształcona, niezawodnie wśród tłumu zdobyłaby sobie los świetny, to jest męża bogatego, z dziedzicznym, a choćby zresztą z wysłużonym tytułem. Zdawało się, iż wszystkie dane ku temu posiada: nie była romansową, w żadnej chwili żywsze uczucie nie ściągnęłoby jej z raz obranej drogi, nie zachwiało w raz powziętym zamiarze. Była pochlebną i ugrzecznioną równie dla kobiet, jak dla mężczyzn, mogła oszukać zazdrosne, przekupić najoporniejszego. Ułożeniem swojem, wysoką edukacyą, mogła najwykwintniejsze gusta i najpróżniejszą miłość własną starającego się o swą rękę zadowolić. A jednak lata młode przyszły i lata młode przechodzić zaczęły, a nikt się o rękę panny Malwiny nie zgłaszał. Bałamuciła wielu, nie rozkochała żadnego. Tu wpoprzek drogi nieszczęśliwy temperament jej stanął. Gdyby chociaż namiętny — namiętność jest siłą wielką; namiętność oddziaływa na drugich sama przez się, unosi, porywa, chłonie, czasem druzgocze, często znicestwia, ale zawsze zdobywa i w posiadanie swoje zagarnia. Lecz Malwina nie była namiętną, była tylko zmysłową i łatwą kobietą. Otóż zmysłowość i łatwość jest to zbieg dwóch najzgubniejszych ułomności w charakterze zepsutej i ambitnej dziewczyny; czyni ją zależną od własnych wrażeń chwilowych, zdaje na łaskę i niełaskę zdobywców, psuje najlepiej osnute plany, zawodzi w najprzebieglej zestawianych obliczeniach; prędzej zimna kokietka głowę zawróci

i niepokojem serce do siebie przykuje; dziwna rzecz, że panna Malwina tego nie zrozumiała. Widać jednak, że nie zrozumiała, bo dość wcześnie zaczęły o niej krążyć różne podejrzane wieści, może plotki, lecz w każdym razie nie zupełne potwarze. Kiedy miała lat dwadzieścia, jakaś hrabina galicyjska zachwycała się jej muzyką, jej tańcem, jej francuzczyzną bez skazy, i koniecznie naparła się dziadkowi, żeby tę kochaną, jedyną Malwinkę na parę lat przynajmniej wziąć jej z sobą do Lwowa pozwolił. Dziadek wzdragał się jakoś, ale Malwinka wielką miała ochotę na nowej scenie szczęścia próbować, a przytem stosunki z hrabiną, przyjaźń z hrabiną, jakiż to urok miało dla panny Stopkowskiej! Dziadek zezwolił wreszcie, rozpłakał się trochę przy pożegnaniu; dwa lata w jego wieku, to czas bardzo długi! Malwinka obiecała często pisywać, oczy kilka razy chustką obtarła i do karety hrabiowskiej siadła.

Pięć miesięcy nie upłynęło, aż tu przed kamienicę taż sama kareta zajeżdża i z niej wysiada bez hrabiny, tą razą sama jedna, Malwinka. Rzuca się dziadkowi na szyję, ona biedna, prześladowana niewinność! Hrabina okazała się najniegodziwszą opiekunką; zazdrościła jej towarzyskich powodzeń, oplątała ją w najczarniejsze intrygi, rozgłosiła po świecie lwowskim, że z jej mężem romansuje, to też dłużej wytrzymać nie mogła i zażądała, by ją natychmiast do Warszawy odesłano. Osobliwsza to rzecz jednak, że choć między Lwowem a Warszawą tak mało wówczas było stosunków, niebawem jednak przybłąkały się trochę odmiennie wersye tejże samej powieści; złe losy mieć chciały, że hrabina była dość brzydka i niebardzo rozumna. Mąż jej ładny, przystojny i jeden z najdowcipniejszych ludzi w swojej prowincyi. Wszystkie też panie odrazu uwierzyły tym wersyom odmiennym więcej, niż skargom Malwiny. Zaczęły coraz chłodniej ją przyjmować, coraz dalej od niej się usuwać i gdyby Malwina nie była obdarzona zadziwiającą giętkością, do pokory niemal

podobną, gdyby też na chwilę wytrwałości jej zabrakło, własna godność pod naciskiem drobnych uchybień i wyraźnych niegrzeczności oburzeniem wezbrała, niezawodnie kółka śmietankowego towarzystwa na zawszeby się przed nią zamknęły; ale potrafiła ona być tak niziutką, że się aż wyższą nad to wszystko stała.

Więc podawnemu dozwolono jej tańczyć na kilku jeszcze świetnych salonach warszawskich. Wogóle przecież osunęła się w trochę inną sferę, bliższą dziadkowi narodowością i sympatyami. W tej sferze spotykała młodego jenerała Strafmana. Nie był to ładny, ani bystrością umysłu odznaczający się człowiek, uchodził tylko za bardzo dla płci pięknej niebezpieczną znajomość. Jego karykiel codziennie zatrzymujący się przed kamienicą, w której mieszkała Malwina, więcej jej zaszkodził, niż wszyscy hrabiowie galicyjscy i eleganci warszawscy. Gdy się do tej sprawy niechęć zawistnej ciotki wmieszała, skończyło się na jakiejś gorszącej awanturze; dziadek nawet zmartwił się i oburzył, a pannę Malwinę do drugiej ciotki zamężnej na wieś wyprawił, pod zagrożeniem, że jeśli za mąż nie pójdzie, to jej ani w domu swoim, ani nawet w Warszawie widzieć nie chce.

I oto zjechała w okolice Mielinka do poczciwej pani Staszewskiej panna Malwina rozumna, panna Malwina utalentowana, panna Malwina wielkiego świata wychowanka, panna Malwina tą jedynie myślą zajęta, że koniecznie męża znaleźć musi, jeśli chce łaski dziadka i zachwianą towarzyską pozycyą odzyskać

Jednego dnia wuj Kazimierz nam oznajmił, że jedzie na imieninowe zebranie w sąsiedztwo, gdzie zapewne i pani Staszewska z córkami i z panną Malwiną będzie. Imię panny Malwiny już w Mielinku nieraz wspominano około tego czasu.

— Ciekawą jestem — rzekła matka — co ty mi o niej powiesz.

Tego dnia wieczorem nic nie powiedział, bo zabawa się przedłużyła i wrócił dopiero nad ranem, ale przy obiedzie zapytany:

— A cóż panna Malwina?

Skrzywił się lekko i głową potrząsnął.

— Czyż panna Malwina niebardzo się w naszych stronach podoba?—zapytała babunia.

— Mnie się nie podobała, ale innym to i owszem; o ile zauważyć mogłem, ułożenie jej bardzo wykwintne, a jak prawić co zacznie, to jej tak gładko idzie, jakby z otwartej książki czytała.

— Czy też z nią rozmawiałeś osobiście?

— Broń Boże! — odparł wujaszek, udając wielce przestraszonego tem prostem przypuszczeniem swej siostry. — Pięknie bym wyszedł! panna Malwina mówi biegle wszystkiemi językami europejskiemi, a ja, choć w wojsku francuskiem służyłem, nie mogłem się nawet po francusku nauczyć; umiem tylko doskonale kląć i wymyślać, ale jak się chcę grzecznie odezwać, to sama przecie wyśmiewasz mnie zaraz. Cóż zrobić? Duch święty odmówił mi tego daru, zapewne dlatego, abym ja, jako kapitan artyleryi, nigdy z panną Malwiną nie rozmawiał.

Bo też rzeczywiście wcale nie lubił z damami rozmawiać. Dla matki naszej tak zawsze serdeczny, uprzejmy i pełen słodyczy, dla jej dzieci taki łagodny i wesoły, w towarzystwie tak zwanem dobrze wychowanych kobiet nudził się okropnie, milczał zwykle jak ryba, albo szorstko pomrukiwał, jak uciekły z kniei niedźwiadek. Tak niestety! niema doskonałości na świecie i dowiedziałam się później, że mój kochany wujaszek Kazimierz nie był także doskonałym. Co gorsza, prosty niby topola nadwiślańska, wzrostem wybujały fizycznie, był moralnie nader ułomnym człowiekiem. W gronie dobrych koleżków, przy piwie, fajkach i kartkach czas mu najlepiej schodził. Nie zaniedbywał on dlatego gospodarstwa, nie trwonił majątku, okazyi do hulanek nie szukał, a choć grał namiętnie, nigdy więcej nad to, co ściśle do niego należało, nie przegrał. Musiała to już być poprawna nieco natura dziadkowa. Dziadek nie mógł się obejść bez gwaru, szumu i wszelkich podniecających próżniacze

życie środków; wuj Kazimierz tylko, gdy je spotkał na swej drodze, to ich pełną piersią używał. Były to chwile studenckiej rekreacyi dla niego; zapewne milej byłoby mi teraz napisać, że chwil takich w jego życiu poważnem, miłością rodzinną wypełnionem, śladu żadnego niktby nie dopatrzył, ale cóż! prawda przedewszystkiem. Na pociechę to mogę zaświadczyć przynajmiej, że jakkolwiek w rekreacyi się lubował, jeszcze mu zdolności i człowieczeństwa starczyło, by dnie świąteczne lub uroczyste inną radością obchodzić.

Może wpływ kobiecy byłby dał lepszy postępowaniu jego kierunek, ale jak dziś miarkuję, w całem otoczeniu jego, w ogólnym nawet sądzie towarzyskim, nie było pod tym względem dość surowych wymagań. Skutkiem tradycyi rodzinnej, oswajano się z wielu nadużyciami tych panów. Nawet matka nasza, tak szanująca wierność i żadną pokątną miłostką nieskalane serce swego męża, dla błędów brata miała obojętną prawie pobłażliwość. Raz pamiętam, gdyśmy z Józiem po dziedzińcu biegali, z przeciwległej oficyny wyszła kobieta jakaś po wiejsku, ale bardzo ładnie ubrana, stanęła na przyźbie, obejrzała się dokoła i zaczęła wołać:

— Antoś! Antoś!

Z za węgła domu wytoczył się wtedy tłusty trzechletni chłopaczek w białej koszulce, czerwoną krajką przepasany, z jasnym jak len włosem, z wielkiemi błękitnemi oczami.

— Patrz— szepnął mi braciszek do ucha — Wojtuś powiada, że ten chłopiec to nasz krewniak—a gdy ujrzał zdziwienie na mej twarzy, dodał pośpiesznie: — tylko o tem głośno mówić nietrzeba, wujaszek mógłby się rozgniewać, a i Piotruś gotówby znów Wojtusia za uszy wytargać.

Stosując się do życzeń Józia, głośno o tem nie mówiłam przed nikim, ale pocichu zapytałam pierwej ciotki Rózi, która się uśmiechnęła i powiedziała tylko:

— Ej, co tam Wojtuś plecie; ty się w to nie mieszaj, co do ciebie nie należy.

Nie poprzestając na dobrej radzie, jeszcze ciszej prosiłam Marcyny, żeby mi wytłumaczyła, co to wszystko znaczy; Marcyna także się uśmiechnęła, dodając z nastrojoną powagą:

— Fe, jaka to Napolcia ciekawa; grzeczne panienki nie powinny słuchać plotek i dopytywać się o rzeczy, których im starsi nie chcą powiedzieć.

Że Napolcia jednak była ciekawą, pomimo przygany Marcyny. więc dwa razy zbyta moralnemi przestrogami, po ostateczne objaśnienie do swojej mamy się udała; otóż mama, jak ciotka Rózia, jak Marcyna uśmiechnęła się, lecz przypominam to sobie dobrze, i zarumieniła lekko.

— Nikt mi nie mówił dotychczas o tem pokrewieństwie, moja Napolciu; może rodzice Antosia mają swoje powody, żeby się z tem ukrywać. Jakbyśmy się zaczęły wywiadywać, co oni za jedni, zapewne przykrośćby im to zrobiło, najlepiej więc tak milczeć, jak oni milczą, a czy krewni, czy niekrewni, czy z państwa, czy z chłopów rodem, to dla nas wszystwo jedno. zawsze to bracia nasi, bo już cię uczyłam, Napolciu, że Bóg nam kazał wszystkich ludzi za braci naszych uważać.

Słowa matki na owę chwilę zupełnie mnie zaspokoiły, później dopiero ów jej uśmiech i rumieniec, gdy całą sprawę lepiej zrozumiałam, dał mi bardzo wiele do myślenia.

Matka nasza raz tylko, i to w początkach naszego przybycia, zapytała w mojej obecności wuja Kazimierza:

— Czy ty nigdy o ożenieniu nie pomyślisz, mój Kaziu?

— Spodziewam się, że mnie o to nie posądzasz — prędko wuj odpowiedział.

— Dla czegóżby nie? — rzekła znów matka poważnie — czy dlatego, że nas troje zjechało tutaj, sądzisz być obowiązkiem twoim...

— Co też ty wygadujesz, Tekluniu — przerwał wuj, jedyną rękę swoję na szyję siostrze zarzucając;— daruj mi, lecz nic a nic o was trojgu nie myślałem, tylko że jestem kaleką, że mam czterdzieści lat zapasem, że mi brak towarzyskiego poloru i że młoda panienka, któraby mnie zawiele i zamało przyjęła, nie rokowałaby wcale dobrej i rozsądnej żony. a starej panny lub wdowy, choćby nawet rozsądną i dobrą była, jabym znów sobie nie życzył, ani ty nawet wmówićbyś we mnie nie potrafiła... — Głośny śmiech zawtórował ostatnim słowom, a potem przez kilka dni jeszcze wujaszek z mamy żartował, że, jak wszystkie kumoszki, każdego swataćby rada, że dla każdej znajomej i dla każdego znajomego ma parę dobraną, i koniecznie chciał wiedzieć, czy jemu pani Glinickiej nie przeznaczyła w swojej wyobraźni.

Oh! gdyby panią Glinicką był dostał biedny nasz wujaszek!...

Babunia nasza jednak nadzwyczaj pragnęła, żeby wuj Kazimierz się ożenił. Przy każdej sposobności, czy w złym, czy w dobrym była humorze, żartem lub seryo, chwaląc i łając, zawsze powtarzała toż samo:

— Powinieneś się ożenić; najlepiej zrobisz, jeśli się ożenisz; koniecznie trzeba, żebyś się ożenił.

My z Józiem takeśmy się tych słów osłuchali, że nam się zapowiedzią czegoś nieuniknionego zdawały. Nieraz tworzyliśmy różne domysły o przyszłej wujence naszej, jak to ona będzie piękna, dobra, jak nas będzie kochała, jak bawiła się z nami, o! pewno nie tak, jak ciocia Joasia. Wujenki nic a nic nie będziemy się bali, śmiało wszystko jej powiemy; żona wuja Kazimierza, to naturalnie będzie drugi wuj Kazimierz, częściej w domu siedzący, więcej mający czasu, by się nami zająć. by z mamą o dawnych wspomnieniach i o naszej przyszłości gawędzić, słowem wuj Kazimierz-kobieta.

Tymczasem przypadło nowe jakieś w okolicy zebranie, bodaj czy nie imieniny samej pani Staszewskiej; wszyscy ją bardzo lubili i szanowali, bo rzeczy-

wiście skromna, cicha, mężem, dwoma córkami i domem wyłącznie zajęta kobieta zasługiwała na to. Zapowiadano też blizkie zaręczyny jednej z panien Staszewskich, mówiono o konkurencie już dla drugiej gotowym, lecz panny *Malwiny* z żadnem jeszcze poważnego wielbiciela nie łączono nazwiskiem. Wszyscy chwalili, podziwiali, nikt się starać o nią nie zaczynał. A tu kilka miesięcy od jej przybycia z Warszawy upłynęło; strach, co to będzie dalej! Kuzynki młodsze zamąż powychodzą, ciotka mniej gości przyjmować będzie, powrót do Warszawy w nieokreśloną przyszłość się usunie. W tak rozpaczliwem położeniu drobna okoliczność uwagę jej na wuja Kazimierza zwróciła. Jestem pewna, że przy jego anty-salonowem usposobieniu nigdyby może do bliższej znajomości między nimi nie przyszło; onaby rej wiodła w anglezie lub mazurze, onby rej wiódł między zgromadzonymi w jakimś dalszym pokoju mężczyznami; onaby grała na fortepianie, onby grał na zielonym stoliku w sztosa lub faraona. Na nieszczęście ktoś plotkę zrobił i doszło to uszu panny Malwiny, że kapitan Kaliński wielką ją panią nazwał i bez ogródki powiedział, że mu się nie podobała. A toć sto innych kobiet w podobnem zdarzeniu czułoby się zadraśniętemi w swojej miłości własnej! tylko z owych stodziewięćdziesiąt dziewięć starałoby się dowieść panu Kalińskiemu, że wcale o jego zdanie i sądy nie dbają, co nawzajem pan Kaliński uważałby za rzecz arcy-słuszną i sprawiedliwą. Panna Malwina przeciwnie. W głębi duszy nic a nic ją to nie obeszło, że jakiś wiarus obozowy mówił czy nie mówił o niej; że jej to przecież dość zabawnem się wydało, postanowiła sobie, przy pierwszem lepszem spotkaniu, dalszej rozrywki wysnuć ztąd wątek. Jak się wzięła do tego, nie wiem, ale to wiem, że kiedy według zwyczaju przyszło do pytań i opowiadań po powrocie z zabawy, wuj Kazimierz daleko już przychylniej wyrażał się o pannie Malwine.

— To wcale przyjemna osoba—mówił — przekonałem się, że nietylko o książętach i hrabiach, lecz

nawet o kampaniach Napoleona ma coś do powiedzenia. Jak mnie o Możajsk zaczepiła, to ile razy chciałem jej szczegół jaki objaśnić lub wytłumaczyć, zawsze się pokazało, że tak wie wszystko dokładnie, jak gdyby tam na miejscu była.

— Zkądże wam przyszło tak blizko się zaznajomić, by aż o Możajsku rozprawiać? — zapytała nasza matka.

— Ztąd, że panna Malwina obligowała Franusia, aby mnie do niej przyprowadził; nie miałem wielkiej ochoty, no cóż, odmawiać nie wypadało—szedłem jak na ścięcie, aż tu panna Malwina zaczyna od przeproszeń, że milsze pewnie przerwała mi zajęcie, ale dowiedziawszy się, w jakiej bitwie rękę straciłem, chciała nietylko mnie poznać, jako świadka tylu wielkich i bohaterskich wypadków — a upstrzyła to w różne słówka miodowe, że się mimowolnie mocniej od polnego maku zarumieniłem — lecz pragnęła jeszcze dowiedzieć się, czy też przypadkiem nie znałem Juliana Zaręby, który właśnie pod Możajskiem zginął. Ona jest z matką jego w dość blizkich stosunkach, a i samego Juliana przypomina sobie, jak ją małą dziewczynkę na ręku nosił i szlifami swojemi bawił. Toć musiałem przyznać się, żeśmy z Julianem w bardzo serdecznej żyli komitywie, nic więcej jednak nie mogłem powiedzieć. Nawet o jego śmierci sam niewiele co słyszałem; mnie już w Pasarzewie kartacz rękę zdruzgotał, Juliana przy zdobywaniu dominujących pod lasem bateryj szczęśliwiej, bo odrazu i prosto w piersi kula ugodziła. Panna Malwina natychmiast się domyśliła, że to pewnie w tem samem starciu, w którem rosyjski generał Tuczek poległ. — A tak, przyświadczyłem, w tem samem, z obu stron dzielni ludzie padali.—Więc mię zaczęła pytać znowu, kiedy po raz ostatni z Julianem się widziałem, jakiego on był usposobienia i humoru, czy koledzy bardzo go lubili; a te wszystkie szczegóły zbierała dla jego matki, dla której w nieszczęściu jedyną pociechą być mogły. Od słówka do słówka, rozgadałem się jakoś o tym poczciwym

chłopaku, bo rzeczywiście wyborny z niego był towarzysz; nikt lepiej nie umiał zmyszkować, gdzie są najpiękniejsze dziewczęta i najlepsze siano dla koni. Jużcić tej jego zasługi pannie Malwinie nie wspomniałem; mówiłem jedynie, że miał ogromne szczęście do ludzi, że był wesoły jak ptaszek na wiosnę, że nikt dowcipniej nie potrafił żartobliwem słówkiem zażegnać szemrania głodnych wiarusów naszych i rozpogodzić czoła wielu sztabowemi niesprawiedliwościami zniechęconej starszyzny.

Wujaszek przytoczył tu kilka anegdotek, z tem zastrzeżeniem, że ich pannie Malwinie nie opowiadał, więc ja też opowiedzieć ich nie mogę, chyba tę jednę o krzyżu, kiedy pominiętemu w rozdawnictwie nagród kapitanowi tłumaczył, z jaką dumą będzie mógł kiedyś oddać sobie tę sprawiedliwość, że nigdy żaden z wrogów krzyża jego nie widział. Wujaszek raz tylko zapamiętał tego trzpiota Juliana w poważniejszym nastroju; zdarzyło się to właśnie na dwa dni przed bitwą możajską. Siedzieli koło siebie i baraszkowali przy biwakowem ognisku, wtem Julian zamilkł, głowę na ręce opuścił i długo tak ją trzymał, ani słówka nie mówiąc. Wujaszkowi się zdawało, że usnął. Nagle wzniósł czoło, kilka razy ręką je przetarł i rzekł wreszcie:

— Dziwna rzecz, zkąd mi się to wzięło; zupełnie o czem innem myślałem, aż tu niespodziewanie w oczach mi stanął nasz dworek podlaski, wapnem bielone pokoiki, płócienkiem poobijane sprzęty, i samego siebie ujrzałem, jak małem chłopięciem za matką po wszystkich kątach się włóczę. Wszystkie chwile lat owych tak dalekich do pamięci mi wróciły; patrzyłem na próg, przez który zwykle upadałem, na kubek kryształowy, który kiedyś rozbiłem, na krzesło, co mi w zabawach konia zastępowało, rozpoznawałem kolor ciemnowiśniowy sukni matczynej, jej uśmiech, gdy mnie łajała; ot, wiesz kolego, co to znaczy? — to znaczy, że już nigdy matki nie zobaczę.

Wujowi także miękko trochę na sercu się zrobiło.

— Nie my pierwsi i nie my ostatni zapewne, co pożegnanych witać już nie będziemy. Zwyczajny to los na wojnie — powiedział tylko dla uspokojenia Juliana, a rzeczywiście jego samego w tej chwili nieznana pierwej niespokojność ogarnęła. Nazajutrz było wiele do roboty, zapomnieli smutnego wrażenia, które jednak trzeci dzień usprawiedliwił w różnym stopniu dla obudwóch.

Tę historyą złego a trafnego przeczucia, to już wuj Kazimierz w całości pannie Malwinie opowiedział.

— Dziewczyna widać dobre serce mieć musi; ze łzami w oczach mię słuchała — dodał wkońcu obszerniejszego niż kiedykolwiek ze swych odwiedzin sprawozdania.

Potem przez czas jakiś sam nic o pannie Malwinie nam nie mówił, ale razporaz któryś z sąsiadów przybywających do Mielinka ze znaczącym uśmiechem uwiadamiał nas o coraz świetniejszych powodzeniach salonowych pana Kalińskiego, o względach, jakie mu ciągle panna Malwina okazuje. A to nie chciała tańczyć, żeby dłużej z panem Kalińskim rozmawiać; a to o zaśpiewanie proszona do niego się zwróciła, by wiedzieć, jakie piosenki najlepiej lubi; a to znów na jego intencyą zagrała arcydzieło imitacyjnej sztuki, utwór bardzo podówczas ceniony, pod tytułem: „La bataille.“ Słyszałam ja go później, zachwycałam się nim wraz z innymi, bo proszę sobie wyobrazić tylko kaskady akordów, oktaw, gam chromatycznych, ręce na krzyż przekładane, wszystkie pedały w ruchu, nie wyłączając tak zwanej janczarskiej muzyki; byle trochę dobrej woli, słyszało się huk armat, bum, bum, bum — tętent koni galop, galop, galop—minorowy jęk rannych; — śliczne to było. Zenitem moich życzeń artystycznych, na lat kilka przynajmniej, stała się owa batalia panny Malwiny. Gdybym, o gdybym ja kiedy ją zagrać mogła! Lecz cóż to są ludzkie życzenia, przyszły chwile, w których byłabym mogła, a nie zagrałam jednak!

Wuj Kazimierz pierwsze moje gusta podzielał; według wszelkiego prawdopodobieństwa, nie byłby żadnej symfonii Beethovena z otwartemi oczyma dosłuchał; batalii słuchiwał zawsze z wielką przyjemnością, od początku do końca, słuchiwał póty, póki się samej grającej nie sprzykrzyła.

Ale co tu dłużej omawiać! Panna Stopkowska rozważyła to sobie, że Kalińscy, choć już nie tak bogaci, zawsze jednak do najznaczniejszych rodzin w okolicy zaliczanymi byli, że pan Kazimierz, choć niemłody, niemówiący po francusku, nosił tytuł dziedzica Mielinka, że prócz tego miał bardzo uzasadnioną nadzieję wygrać sławny proces, w którym o miliony chodziło, jedno więc z drugiem biorąc, przy zupełnym braku świetniejszych widoków, i tym nieświetnym zadowolić się postanowiła. Takiej światowej, przebiegłej, wykształconej osobie nietrudno było prostodusznego wojaka zbałamucić. Więc go też zbałamuciła; nie bez przyczyny używam tego wyrażenia: jak inni, tak i wujaszek nie pokochał się w pannie Malwinie, lecz dał jej się zbałamucić. Pochlebiało to jego miłości własnej, że go wśród innych wyróżnia, za dobrą monetę przyjmował jej piękne słówka o bohaterach świeżo rozegranej epopei, jej rozczulenia nad losem poległych i zawiedzionych, ale to jeszcze miłością nie było. Dopiero gdy na nieszczęście jeden z sąsiadów dał się słyszeć, że taka panna Stopkowska nigdyby za takiego pana Kalińskiego nie poszła, on się poczuł w honorze swoim obywatelskim i kapitańskim dotknięty. Szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie; a cóż to, on, oficer wielkiej armii, gospodarz na dziedzicznym kawałku ziemi, ma być niższym od jakieś Warszawianki, córki bankruta, dlatego że u wielkich pań na balach bywała i po francusku szczebiocze? Otóż ludzie się przekonają, czy jej nie dostanie, jak tylko szczerze o tem pomyśli.

Tylko szczerze pomyśleć niełatwo mu było przez czas jakiś. Miał obowiązki względem matki, którą

za rzeczywistą właścicielkę pozostałego majątku uważał, miał obowiązki względem siostry, którą sam sprowadził i przez całe życie u siebie zatrzymać byłby pragnął. Bił się z myślami, zastanawiał, kombinował, tworzył różne projekta o wzięciu na swoje imię osobnej dzierżawy. A tymczasem panna Malwina ciągle się roztkliwiała nad jego szczęściem rodzinnem, nad poważną i czerstwą starością jego matki, nad wdziękiem i szlachetnem ułożeniem tej zachwycającej, kochanej pani Hołosko, nad grzecznością i dowcipem tych dwojga jej dziatek milutkich, aż nakoniec w złej godzinie wymusiła na wuju naszym to stanowcze zapytanie:

— Czy istotnie pani się zdaje, że mogłaby wśród nas być szczęśliwą?

— A pan czy istotnie powątpiewać o tem możesz?—odrzekła panna Malwina, rumieniąc się i oczy spuszczając, według wszelkich na podobną okoliczność przepisów.

Wuj Kazimierz mógł na tych słowach poprzestać, ale że to był człowiek bardzo prawy, a niebardzo pewny siebie, chciał więc tę kwestyą jeszcze jaśniej przed sobą i przed panną Malwiną postawić.

— Mam prawo wątpić — zaczął trochę drżącym, a ciągnął dalej coraz pewniejszym i spokojniejszym głosem; — jestem znacznie starszym od pani, chowałem się na dobrego żołnierza i byłem dobrym żołnierzem, ale nie chowałem się na przyjemnego w towarzystwie, na biegłego w literaturze, w naukach lub sztukach pięknych, i takim nigdy nie będę. Pani byłaś na wielkim świecie, przyzwyczaiłaś się do wygód, zbytków i świetności, których w naszem cichem kółeczku zawsze brakować ci będzie. Znajdziesz serca poczciwe, kochające, ale nie znajdziesz tego, co może więcej upodobaniom twoim odpowiada i więcej szczęścia zapewnić ci jest zdolne.

Panna Malwina wzniosła na te słowa oczy swoje łzami niespłakanemi opłynięte i zatrzymując je na szczerych jak prawda oczach pana Kazimierza, za-

częła mu prawić o sieroctwie swojem, o tem, że prócz dziadka trochę zniedołężniałego, nikt jej nie kocha. rodzony ojciec nie dbał o nią, ciotka, przy której się wychowała, była tylko współzawodniczką łaski dziadka, była prześladowczynią jej dzieciństwa, zazdrosnym szpiegiem jej młodego wieku, a państwo Staszewscy dobrzy są dla niej, gościnni, lecz obojętni — co ona ich obchodzi! a te dwie siostry cioteczne, miłe dziewczątka, to jednak czuje w nich pewną niechęć ku sobie, pewne uprzedzenie za to, że wyższą od nich edukacyą przyjęła. Ah ta edukacya nieszczęśliwa, iluż to jej narobiła nieprzyjaciół! czemże jednak miała sobie życie zapełnić, czem brak wszelkich uczuć rodzinnych wynagrodzić?...

Wuj Kazimierz uwierzył każdemu słowu; nazajutrz prosił swej matki, żeby pojechała uroczyście go państwu Staszewskim oświadczyć, sam list z prośbą o rękę wnuczki do dziadka napisał i nic o żadnych zmianach w urządzeniu domowem nie myślał, tak był pewny, że panna Malwina za tem jedynie tęskni, by się z gromadką jego ukochanych połączyć. Kiedy mu nasza mama uwagi swoje w tym względzie czyniła i niemożliwość takiego wspólnego osadnictwa przedstawiała, nawet mówić sobie o tem nie dał: dowodził, że gdyby nie miał matki i siostry z dwojgiem dzieci obok siebie, toby panna Malwina nigdy za niego nie poszła.

Istotnie, sam był o tem mocno przekonany. Babuni jednak i naszej mamy przekonać nie mógł. Obiedwie się cieszyły jego ożenieniem, ale do narzeczonej nie czuły jakoś dość serdecznego pociągu. Pierwsza z nich, zaraz po powrocie od państwa Staszewskich z pomyślną odpowiedzią, wezwała córkę i syna do narady i gotowy dalszego układu plan im przedstawiła.

— Ty z żoną zostaniesz w Mielinku; ja z Teklunią zamieszkam w Warszawie; sam wiesz najlepiej o tem, że Teklunia nie odebrała równego z Joasią posagu; teraz, gdy głów do podziału ubyło, jednej i dru-

giej więcejby się może należało, ale to już między sobą po mojej śmierci rozpatrzycie; teraz chcę tylko dla Tekluni sumę trzydziestu tysięcy na Mielinku zabezpieczyć. Póki nie będziesz mógł jej zebrać, póty siostrze tysiąc pięćset złotych płacić będziesz. Ja z mojego dożywocia ustąpię i zawaruję sobie tylko trzy tysiące rocznego dochodu.

— Ależ, matko — chciał przerwać wuj Kazimierz. Babunia na to nie pozwoliła i dalej rzecz ciągnęła.

— Trzeba dom cały odświeżyć niewykwintnie, ale dostatnio. Panna Stopkowska nie ma prawa książęcych ani hrabiowskich od ciebie domagać się komnat, lecz ty nawzajem nie masz prawa na stare śmieci ją wprowadzać. Ileż jest w kasie gotówki?

Wuja Kazimierza bardzo zafrasowało to pytanie. W kasie było coś około sześciu tysięcy, lecz te, według jego sumiennych rachunków, do ogólnego gospodarstwa, do matki i siostry należały. Własną część swoję na zwykłe kawalerskie wydatki obrócił. Nagle cały ogrom nowych potrzeb przed oczyma mu stanął. W tej chwili chętnie byłby się rzekł wszelkich do ręki panny Malwiny pretensyj; kto wie, gdyby się sprawa zahaczyła na wczorajszych czułościach, możeby się i cofnął; nie uważano tego wówczas za przeciwne honorowi mężczyzny, owszem, jeden z najlepszych jego przyjaciół nieraz się z tem przechwalał, że sześć razy był zaręczony, a za siódmym dopiero w stanie małżeńskim odpoczął.

Wujowi i wszystkim wuja kolegom zdawało się to chlubnem świadectwem wesołej fantazyi, dowcipu i szczęścia do kobiet, ale tutaj rzeczy inaczej stanęły; matka powagą swoją oświadczyny jego uświęciła, wuj bardzo matkę szanował, niepodobna mu było lekkomyślnem zerwaniem na zarzut współuczestnictwa ją narazić. Chciał czy nie chciał, żenić się musiał; ale czyż te zmiany są nieodzowne? Panna Malwina przecież ręczyła mu, że się bez nich obejdzie. W kłopo-

cie swoim raz jeszcze próbował jej własnemi słowami się zasłonić:

— Nie, matko — rzekł więc po chwili dłuższego namysłu — nie zgadzam się wcale na twoje projekta; powiedziałem Malwinie, że jeśli mnie chce przyjąć, to koniecznie matkę i siostrę musi przyjąć wraz zemną; z matką i z siostrą ja się nie rozłączę, ale też panna Malwina wcale tego odemnie nie wymaga. — „Będzie nam dobrze wszystkim razem“ — powiedziała mi przecież; jeśli zmieniła zdanie, to ja także postanowienie swoje zmienię, tylko że wiem z pewnością, iż do tego nie przyjdzie, nigdy nie przyjdzie — ona was tak ceni, tak kocha, tak pragnie ciągle żyć z wami! Słyszałem z ust jej własnych...

— Ot, głupstwa acan pleciesz — surowo odezwała się babunia; — kiedy pannie chce się iść za mąż, to na wszystkie warunki kawalera przystać gotowa, ale jak za mąż pójdzie, inną piosnkę wnet śpiewać zaczyna; toż i mnie wczoraj nagadała: „że nam wszystkim razem dobrze z sobą będzie, a *chociaż ciasno*, postara się o to, żebyśmy jedna drugiej nie przeszkadzały;“ tymczasem wie ona doskonale, że gdzie ciasno, a trzy kobiety na jednem miejscu siedzą, tam zawsze jedna drugiej przeszkadzać musi i acanbyś się tego po ślubie dowiedział, z wielką dla siebie i dla nas konfuzyą, gdybym ja za acana rozumu nie miała.

Zmiarkował wuj Kazimierz, że kiedy acan do dyskursu się wmieszał, to już powziętego zamiaru choćby w dziesięć par wołów matce z głowy nie wyciągnie; cicho zatem zachmurzony siedział i od czasu do czasu tylko za wąsy się targał. Nic na to nie zważając, babunia nasza zaczęte rozporządzenia kończyła:

— W kasie, powiadasz, jest blizko sześć tysięcy, toć powinno wystarczyć na meble i kuchenne sprzęty, których dokupić trzeba, bo przecież i my z sobą część dziś będących w użytku zabierzemy do Warszawy; powóz mój nieźle jeszcze wygląda, trzeba go jednak

odnowić, przemalować, trzeba i koniom nową uprząż sprawić, trzeba i twoję własną garderobę podopełniać i do mody zastosować, trzeba o podarkach ślubnych pomyśleć. Na to wszystko dostaniesz odemnie dwieście dukatów, radź z tem sobie jak możesz, a nie kłopocz się o koszta naszego przesiedlenia do Warszawy, bo te ja biorę na siebie.

Wuj Kazimierz widział, że istotnie matka czyni, co może, a nawet trochę więcej, niż może, dla niego. Było to rzeczą tak niezwykłą przy jej bezświadomym egoizmie, że dziś ja sama tego wytłumaczyć sobie nie umiem; gdyby wuj Kazimierz do ulubieńców należał, to jeszcze mniejby mi się dziwnem zdawało, ale go zawsze do obojętnych liczono. Czy więcej go ukochała, kiedy sam jeden z czterech synów jej został, czy tak gorąco pragnęła związku, który miał imię rodowe Kalińskich utrwalić, czy panna Stopkowska swoją rezygnacyą na ciasnotę, swoją gotowością na obywanie się bez wygód, do których ją przyzwyczajono, swojemi półsłówkami o chęci poświęcenia się dla tak zacnej rodziny jej miłość własną zadraźniła, trudno to sprawiedliwie rozsądzić; dość, że w całym układzie babunia przedewszystkiem o ułatwieniu życia nowo kojarzącej się pary myślała, nawet Teklunię trochę nabok z uwagi spuściła. Cóż dziwnego, że innych zapomniała zupełnie; ale Teklunia nie zapomniała o nikim z ukochanych swoich.

— A cóż z ciotką Rózią się stanie? — zapytała babuni.

Babunia lekko się zarumieniła, gdyż istotnie, wśród daleko sięgających planów o tej jednej krewnej, od lat młodości prawie najczynniejszej pomocnicy swojej, w ciężkich przejściach najwierniejszej swojej towarzyszce, o tej nie pomyślała wcale.

— Ciotka Rózia — rzekła, jąkając się trochę — ciotka Rózia... zapewne przy szwagrze lub przy której z zamężnych siostrzenic osiędzie; my tu wszyscy, jak jesteśmy, postaramy się o to, żeby jej na przyzwoite utrzymanie nigdy nie zabrakło.

— Co tego, to już zanadto! Matka wyjeżdża, siostra wyjeżdża, jeszcze mi chcecie i ciotkę Rózię odebrać! co jabym tu robił sam jeden pomiędzy obcemi twarzami... Panna Malwina nie będzie obcą — poprawił się dość prędko — ależ i dla niej trzeba kogoś starszego, coby jej pomagał w zarządzie domowym, coby ją wrazie choroby lub mego oddalenia kobiecą jakąś opieką otaczał.

— Trzeba wiedzieć jednak — półgłosem wtrąciła nasza matka — czy to się z życzeniami ciotki Rózi zgadzać będzie.

— Choćbym jej miał plackiem do nóg upaść, to upadnę, a nie puszczę.

I tak się też stało. Wujaszek prosił, po rękach całował, plackiem do nóg nie padł, ale w długiej gawędzie o swojem położeniu, on. co bez krzyku dał sobie rękę amputować, jak bóbr się rozpłakał i ciotka Rózia przyrzekła, że go nie opuści.

Teraz jednak warto wspomnieć, jakie wrażenie na Józiu i na mnie przyszła nasza wujenka zrobiła. Zpoczątku wcaleśmy na nią żadnej nie zwracali uwagi; była parę razy z wizytą w towarzystwie państwa Staszewskich, była pono i na tem sławnem okrężnem, które między mną a Magdeczką taki przyjazny zawiązało stosunek, aleśmy wtedy zupełnie czem innem byli zajęci, goście starszych państwa nic nas nie obchodzili, nie wiedzieliśmy nawet, jak wyglądają. Dopiero gdy raz mama zaczęła się na wizytę z nami wybierać, ogromnie nas to zdziwiło, bo mama pierwej nigdzie z domu się nie ruszyła.

— Co to znaczy? - pytaliśmy ciekawie.

Mama powiedziała, że jedziemy w odwiedziny do przyszłej wujenki naszej.

— Jakiej wujenki?

— Panny Malwiny Stopkowskiej.

Jakże innemi oczami przy powitaniu na tę pannę Malwinę się spojrzało!

Była dla nas zadziwiająco uprzejmą i łaskawą, bawiła się z nami, wszystko niby według naszego

programu, a wszystko przecież inaczej. Chciała koniecznie, żebyśmy kozaka tańczyli; pokazała Józiowi, jak ma nogę od nogi odbijać, pokazała i mnie, jak zkolei przytupywać, naprzód iść i cofać się, jak chusteczkę, zamiast fartuszka przewiązaną, w rękach trzymać powinnam, ale to wszystko nie na wiele się zdało. Jeszcze Józio dość zręcznie się z zadania swego uiścił, lecz ze mną panna Malwina rady sobie dać nie mogła. Niezgrabny był ze mnie pieniuszek i tylko z moją Magdeczką w kółko na jednem miejscu kręcić się umiałam. Co mnie panna Malwina ustawi i po danej instrukcyi sama do fortepianu wróci, to ja zaraz w prawo, w lewo, naprzód biegnę i tylko Józiowi przeszkadzam; panna Malwina jednak wiele miłości własnej przywiązywała do swojego nauczycielskiego talentu, a w owym dniu tembardziej, bo przed matką i przed wujaszkiem popisać się z nim chciała. Nieudolność moja większa atoli była od jej najlepszych chęci: ani karmelki, ani żadne objaśnienia i kierowania pożądanego nie osiągnęły celu. Wkońcu dała za wygraną i stawiając mnie naprzeciw mego braciszka, z uśmiechem zapytała:

— No, maleńka, czy potrafisz przynajmniej stać na miejscu tu, na tym kwadraciku z posadzki i nie ruszać się nigdzie, tylko raz jedną, drugi raz drugą nogę podnosić i mocno za każdym razem o siebie uderzać?

— O potrafię, potrafię — z głębokiem przekonaniem odrzekłam, co tembardziej, jak się zdaje, pannę Malwinę rozśmieszyło, bo jak srebrny dzwoneczek, zabrzmiał głos jej wesoły z temi słowami w przydatku:

— Jaka to wyborna, nieoszacowana dziewczynka!

Istotnie, zaczęło mi się wieść wcale nieźle, tupałam z zapałem — ale cóż? trzewiczki moje były nowe, a posadzka tak gładko woskiem pociągnięta, że nagle w ważnej chwili Józiowego tryumfu poślizgnęłam się i na nos upadłam. Mama nasza była już z takiemi zdarzeniami doskonale oswojona, spokojnie zo-

stawiała nas własnemu przemysłowi, póki się jakieś ważniejsze uszkodzenie nie zdarzyło. Może ta jej spokojność zahartowała nas trochę, bo rzadko kiedy płakaliśmy po dość mocnych rozbiciach nawet. Józio, dziewięcioletni chłopiec, trzymał się ostro przez ambicyą — ja, podobno przez brak wrażliwości, łatwiej ból wszelki wytrzymać mogłam, bo rzeczywiście mniej mnie wszystko niż Józia bolało. Zapewne i tego dnia byłabym się z cichem męztwem podniosła, gdyby nie to, że mi panna Malwina na pomoc przybyła. Usłyszawszy łoskot ogromny, zerwała się od fortepianu i tak szybko w objęcia swoje mnie pochwyciła, że nie miałam czasu o własnej sile na nogach stanąć; nie wiem czemu jednak, ratunek więcej mnie przestraszył, niż uspokoił. W pierwszem dotknięciu i w pierwszem spojrzeniu panny Malwiny było coś takiego, co mnie silniej od stłuczonego nosa raziło; dosłyszałam też, jak przez zaciśnięte zęby szepnęła jakieś słowo, które mię narazie do głębi serca ubodło i ogromnie zaciekawiło. Tak często je później z ust jej słyszałam, że z pewnością mogę ręczyć, iż to było poprostu:

— Insupportable!

Ale wtedy zdawało mi się czemś okropnem; czułam, że musi być z francuskiego wzięte, że nieprzychylnie było wyrzeczone.

Głośno jednak płynęły słowa pieszczotliwe, utulające.

— Moje biedactwo! moje kochanie! czy bardzo się rozbiłaś? O! jaki nosek czerwony, trzeba zimnej wody przyłożyć. Panie Kazimierzu, zadzwoń pan, niech Jacenty wody przyniesie.

Wszystko to przejęło mnie grozą jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa i rozkrzyczałam się na dobre. Panna Malwina raz jeszcze szepnęła to samo „insupportable“ i dopiero w ręce mamy mnie złożyła. Mama zaraz powiedziała, że im nic nie będzie, ja też prędko temu zapewnieniu uwierzyłam, płakać przestałam — i tak się kozak zakończył. Wieczorem,

gdyśmy do domu wracali, wujaszek wziął mnie na kolana i koniecznie chciał się odemnie dowiedzieć, jak mi się panna Malwina podobała? nie odrazu przecież zaspokoił swoję ciekawość. Przycisnęłam się do niego i udawałam, że zasypiam, ale tak mi się zaczął sprzeciwiać, tak warkoczami po twarzy łechtać, aż do ostateczności przywiedziona, szczerze ale bardzo niegrzecznie zawołałam:

— Kiedy ona mi się nie podobała, wujaszku!

— A to dlaczego? — z pewnem zdziwieniem pytał mnie znowu.

— Taka była dobra dla ciebie, tak cię pieściła— dodała jeszcze mama głosem wyrzutu i upomnienia.

— Prawda — rzekłam — ale po francusku coś złego na mnie powiedziała.

— Zkąd możesz wiedzieć że coś złego, jeśli po francusku mówiła?—odezwał się wujaszek.—Wszakże ty jeszcze ani słówka w tym języku nie rozumiesz.

— Nie rozumiem — odparłam — ale wiem, że to musi być coś bardzo złego; jak się kiedyś nauczę, to wujaszka przekonam.

— Alboż ty pamiętasz nawet, co to było takiego?

— O! pamiętam...

Ale gdy powtórzyć chciałam, okazało się, że pamięć, na którą z taką pewnością liczyłam, zawiodła mnie trochę; kręciły mi się w ustach różne składowe sylaby, lecz do całości żadnym sposobem trafić nie mogłam.

Wujaszek i mama śmieli się tylko ze mnie, a ja byłam w rozpaczy i przysięgłam sobie w duchu, że się coprędzej po francusku nauczyć muszę. Kto wie, czy to nie było powodem, że przy pierwszej zdarzonej sposobności istotnie bardzo gorliwie, a więc i łatwo, przyswajałam sobie tę cudzoziemską mowę.

Józio zręczniej odemnie przeszedł wujowski egzamin, lub raczej uniknąć go potrafił. Nim się do niego z zapytaniem zwrócono, on pierwszy się wyrwał;

— Wujaszku, jak ta panna Malwina ślicznie tańczy, to jeszcze nic podobnego widzieć mi się nie zdarzyło!... a jakie ma śliczne nóżki! Jestem pewny, że na mnie jużby zamałe były jej czarne atłasowe trzewiki. Czy wujaszek uważał?

— Broń Boże! nie uważałem — z udaną odrzekł powagą.

— O! ja to uważałem — dobrodusznie pochwalił się Józio — szczególniej kiedy naprzeciw mnie stanęła i zaczęła Napolci pokazywać, jak to trzeba tańczyć, doprawdy myślałem, że mogłaby jej na chwilę tych drobnych swoich nóżek pożyczyć, a nie byłoby tak wielkiej między jednemi i drugiemi różnicy.

Wujaszek poklepał Józia po głowie, żartował z trafności jego oka, a jednak utrzymywał, że dla jej sprawdzenia powinien koniecznie o pantofelek panny Stopkowskiej poprosić i przekonać się, czyby go mógł, czy nie mógł na własną nogę obuć.

Tego wieczora nie odrazu jakoś w mojem łóżeczku na sen mi się zebrało; przewracałam się ciągle z boku na bok, gadałam sama do siebie, aż mama przyszła zapytać o przyczynę tej niespokojności. Przyznałam się, że mi wielki sekret na sercu ciąży.

— Cóż takiego?

— Ale mama nie powie nikomu?

— Przecież to mama nauczyła cię, Napolciu, że sekretów, które nam powierzają, nigdy się innym osobom nie wyjawia. Pamiętasz, jak to Józio w sekrecie mi się przyznał, że dla ciebie stoliczek i krzesełka robi? To też nic o tem nie wiedziałaś aż do ostatniej chwili.

— Ja bo tylko chciałabym się o coś mamy zapytać.

— Zkądże ta nieśmiałość? Mówiłam ci tyle razy, że mnie właśnie o wszystko najpierwej pytać powinnaś.

— Ale bo to nie jest nic takiego... takiego... — szukałam wyrazu, coby jakąś pewną, naukową uży-

teczność oznaczał, lecz mama wnet zgadła co chciałam powiedzieć i raz jeszcze z przyciskiem powtórzyła:

— O wszystko, o wszystko pytać mnie trzeba, Napolciu, nietylko o takie, albo takie rzeczy...

Po długich korowodach, objąwszy matkę za szyję, szepnęłam jej do ucha:

— Oto moja mamo, niech mi mama powie: czy panna Malwina piękna, czy brzydka?

Wyobrażam dziś sobie, jak te słowa matkę zdziwić, rozśmieszyć i zakłopotać musiały, nic tego jednak na zewnątrz nie okazała; zwykłej gawędki głosem odrzekła mi, że to od gustu patrzących na nią osób zależy: jednym się wydaje piękną, drugim niepiękną może, ale wszyscy przyznają, że jest bardzo miłą, ładnie ułożoną i nadzwyczaj w towarzystwie przyjemną panienką, co też właśnie daleko więcej od piękności znaczy.

Moje pytanie jednak nie było tak dziwnem, jakby się z pozoru zdawać mogło: i wtedy i teraz nie podjęłabym się rozstrzygnąć pierwotnej mojej wątpliwości. Panna Malwina miała wszystkie dane na doskonałą piękność, ładu jedynie brakowało jej kształtom; doskonale piękne zosobna, niekorzystnie wydawały się w połączeniu. Gdyby ktoś z rumowisk starożytnych posągów układał na chybił trafił nową jakąś statuę, możeby mu wówczas coś podobnego do panny Malwiny się złożyło: na torsie Menady osadzona, z krótką szyją jakiejś rzymskiej imperatorowej głowa, do szeroko, choć płasko rozwiniętego biustu przyczepione ręce Galatei, i to wszystko razem wsparte na wpółdziecinnych nóżkach Hebe olimpijskiej. Koloryt gorsu śnieżnej białości, koloryt twarzy znacznie ciemniejszy. Włosy przytem niezupełnie blond, oczy niezupełnie czarne, rysy wydatne, surowo i poważnie zakreślone, a cały ich wyraz uśmiechnięty jak Naiwność, złagodzony jak Rozrzewnienie. Jeszcze w tej chwili, gdy to piszę, gotowabym powtórzyć moje zapytanie: czy panna Malwina piękną, czy brzydką była?

W kilkanaście lat później Józio mi tę kwestyą rozsądził:

— Panna Malwina była bardzo powabną, ale nasza wujenka była strasznie brzydką kobietą.

Od tych odwiedzin u państwa Staszewskich, następuje cały szereg zdarzeń i wypadków, które chociaż w pamięci luźne pozostawiły wspomnienia, żadnem wrażeniem jednak na treść mojego życia nie wpłynęły. Rozpoczęło się wysyłanie jednych, a sprowadzanie drugich sprzętów i mebli, malowanie pokoi, przenoszenie się do oficyny, gdzie już ładnie ubranej wieśniaczki, ani krewniaka Antosia nie było, słowem wszelkie przygotowania, towarzyszące urządzeniu nowego domu dla nowo skojarzonej pary.

Ciotka Joasia na dwa dni przed ślubem z Warszawy przyjechała, mąż jej wymówił się listownie nawałem bardzo pilnych interesów. Dostałam od ciotki najpierw burę za to, żem się szkaradnie opaliła, a potem śliczną muślinową sukienkę z zakładkami, różową szarfę i różowe atłasowe trzewiczki. Józio nie uniknął też wymówki za swoje opóźnienie w naukach, choć Bogiem a prawdą, nie jego to było winą, lecz dość prędko się pocieszył aksamitną szafirową kurtką ze srebrnemi guzikami i parą białych, z kozacka przykrojonych majteczek.

Wogóle ciotka Joasia zdawała mi się, pomimo darów swoich, jeszcze surowszą i sztywniejszą, niż kiedykolwiek. Dowiedziałam się później, że ją o pannie Stopkowskiej niekorzystnie w Warszawie uprzedzono i martwiła się wyborem swego brata, choć nikomu się do tego nie przyznawała, bo zrywać już było zapóźno. Do państwa Staszewskich zjechała drugostronnie rodzina panny młodej. Dziadek, chudy, wysoki, lekko pochylony, z długim, jak mleko białym, na ramiona spadającym włosem. Ciotka, czterdziestoletnia panna, wysoka także, ale tłusta i z mocno czerwonemi na okrągłej twarzyczce rumieńcami. Ojciec wreszcie, to ciągłe wszystkich bliższych swoich utrapienie, nizki, pękaty, łysy, kosooki, z krogulczym

nosem, z siatką krwawych żyłek na policzkach i mocno ku przodowi wystającemi szczękami.

Wesele odbyło się dość cicho u państwa Staszewskich. Nazajutrz przeprowadziny daleko suciej i szumniej w Mielinku obchodzono. Babunia przez dwa dni tylko odpoczywała po tak niezwykłem w jej wieku utrudzeniu; trzeciego dnia jużeśmy się wszyscy wraz z ciocią Joasią do Warszawy wybrali.

Najcięższe było z ciotką Rózią rozstanie. Popłakaliśmy się wszyscy, ona sama najwięcej; szczególniej gdy się Tekluni swojej na szyję rzuciła, to się zdawało, że jej serce z żalu pęknie.

— Co ja tu bez was pocznę, nieszczęśliwa? — wśród łkania przerywanym głosem mówiła. — Wszystko jacyś obcy ludzie, a tacy dziwni, nieprzystępni. Pani Kazimierzowa już wczoraj wspominała, że chce sama całego gospodarstwa objąć kierunek; bardzo to grzecznie i przychylnie brzmiało w jej ustach; powiada, że mam prawo wytchnąć sobie po tylu latach pracy, zwłaszcza po ostatnim z kilku miesięcy zamęcie. Jużciż to w dobrej zapewne myśli ułożyła sobie, ale ja tu nie na spoczynek zostałam. Starsza pani także zajmowała się gospodarstwem, a pewno lepiej się znała na niem od wszystkich Warszawianek, przecie jednak i dla mnie znalazło się dosyć roboty. Jeszcze, dzięki Bogu, sił starczy, nie śpieszno mi do odpoczynku na łaskawym chlebie.

Matka i babunia zaręczały jej, że pani Kazimierzowa chciała jej tylko coś przyjemnego powiedzieć, bo już ma tę słabostkę, że wszystkim dokoła pragnęłaby wdzięczne i miłe zostawić po sobie wrażenie; lecz żeby ciocię Rózię usunąć, żeby ją na łaskawym, czy niełaskawym chlebie trzymać — nie, tego nawet przypuszczać w jej najskrytszych intencyach nie można. Ciotka Joasia ramionami tylko ruszyła, słuchając tych upewnień.

— Jak ci tu będzie źle, moja Róziu, to wiesz przecie, że nie od dzisiaj bardzo szczerze cię prosiłam, abyś do mnie przyjechała na pomoc w moich kło-

potach. Za pierwszym kaprysem młodej pani pisz coprędzej; ja natychmiast konie po ciebie wyprawię.

I uściskała bardzo serdecznie spłakaną dawną drużkę swoję.

Wszystko to mówiło się w oficynie, przy zbieraniu reszty woreczków, kobiałek i pudełeczek po pokojach, któreśmy tymczasowo zamieszkiwali.

Drugie uroczyste pożegnanie odbyło się w ganku, przededworem. Tu już wuj Kazimierz z żoną ściskali nas i całowali, żałując że odjeżdżamy, i dopytywali, kiedy przyjedziemy znowu, a byle prędko, a byle na długo. Wujaszek miał łzy w oczach, wujenka jak do modlitwy białe swoje rączki składała; któżby im tej nadziei odmówił! Obiecywała się babunia, obiecywała się mama; jedna jedynie ciotka Joasia ani słówkiem do ich obietnic się nie przyłączyła.

Godzi się też wspomnieć, że do Józia Wojtuś przyszedł z pożegnaniem, a do mnie przyszła Magdeczka. Wojtuś mężnie się trzymał, lecz moja Magdeczka rzewnemi zalewała się łzami, a niezbyt czystą obcierając je ręką, za każdym razem widoczny ślad czarnego smutku zostawiała na swojej pulchnej, okrągłej jak bursztówka twarzyczce. Chciałam ją pocieszyć smacznym z migdałami obwarzankiem, który mi ciocia Rózia do kieszonki wsunęła, lecz nawet obwarzaneczek bezskutecznym się okazał. Zarzuciłam jej więc obie ręce na szyję, a całując i pieszcząc, szeptałam ciągle, że wrócę niezadługo, że jej z Warszawy piękną wstążeczkę przywiozę. Zgorszyła się temi czułościami pani Kazimierzowa.

— Ale dosyć już, dosyć! — wołała na mnie — sama się pobrudzisz o tego moruska.

Nadzwyczaj mię to przezwisko, do przyjaciółki mojej zastosowane, obraziło.

— Magdeczka nie jest moruskiem — odparłam z wielką powagą — morusek to moja krówka, trzecia zrzędu w oborze; ciocia Rózia mi ją darowała i przyrzekła, że o niej pamiętać będzie. Wujaszek przecież

słyszał o tem, a Magdeczka jest moją przyjaciółką, mama zawsze ją tak nazywa.

— No, nie gniewaj się, Napolciu — odezwał się wujaszek, z wesołym uśmiechem do powozu mnie wsadzając. — Jeszcze wujencia Malcia nie obeznała się tu ze wszystkiem i wzięła twoję Magdeczkę za moruska, bo jest w tej chwili z pozoru swego buziaka trochę do twojej krówki podobna; jak pozna tę ostatnią, już się mylić nie będzie. Ale, ale, zapomniałem najważniejszej rzeczy: toć muszę się dowiedzieć, czy mi zechcesz w pacht puścić Moruska, twego prawdziwego Moruska?

— I owszem, lecz tylko póty, póki tu sama nie wrócę.

— Ile żądasz kwartalnie?

O kwartałach nie miałam jeszcze jasnego pojęcia; nie troszcząc się jednak o to, stanowczo wyrzekłam, że chcę całego złotego.

— Patrzcie, jaka mądra dziewczyna — zażartował znowu wujaszek — cały złoty pieniądz, ma się rozumieć; targowałbym się z tobą, ale przy pożegnaniu jakoś nie wypada; więc dobrze, cokwartał złoty pieniądz odbierzesz—cały złoty...

Przechyliłam się jeszcze z całusem do wujaszka, ten drzwiczki od powozu zatrzasnął, furman biczem energicznie powietrze przeżegnał i ruszyliśmy za wrota.

We wsi jeszcze różne gromadki zatrzymywały nas po drodze z pokłonem i błogosławieństwem dla starszej pani, z życzliwem słowem dla ich kochanych panienek, bo po starym zwyczaju, córki babuni panienkami zwykle nazywali, a i dla nas, dla paniątek, serdecznych wyrażeń nie brakło. Gospodarze łzy mieli w oczach, kobiety głośnym płaczem zawodziły, babunia sama, choć sztywno i surowo się trzymająca, kilka razy nieznacznie oczy obcierać musiała. Ciotka Joasia ściskała ręce dawnych znajomych swoich; mama nasza była bardzo bladą i wzruszoną, a każdemu, co do niej się zbliżył, drżącym głosem powtarzała:

— Daj nam Boże zobaczyć się prędko i szczęśliwie... ah! ja tak pragnę, żebym mogła witać się z wami jeszcze!

Wśród takich oznak żalu i przychylności, większa połowa mieliniecki włościan aż do krzyża za wsią nas zaprowadziła; tu jeszcze krótki przystanek, powtórne szczerych uczuć wynurzenie, kilka łkań głośniejszych i nakoniec czwórka ślubnych wuja Kazimierza rumaków z kopyta naprzód ruszyła po lekko piaszczystym gościńcu. Ogromny tuman kurzu wzniósł się dokoła i przed oczyma naszemi znikł krzyż, znikła gromadka żegnających, znikł cichy, piękny Mielinek.

. . . .

Na drugi dzień ku wieczorowi ukazała nam się Warszawa. Czas był łagodny, powietrze czyste, niebo rozpogodzone, a słońce poza nami coraz niżej na horyzoncie się osuwając, ostatnie jaskrawo żółte blaski swoje rzucało na długą, nierówną linią murów i dachów i wgórę wybiegających wieżyc kościelnych. Gdzieniegdzie szklane okna odstrzelały niby płomieniem pożaru, gdzieniegdzie krzyż wysoko ponad ziemię wzniesiony metalicznem światłem zamigotał; lecz i nad wszystkiemi blaskami ciężyła chmura jakaś gęsta, ciemna jak ogromna wstęga żałoby, z końca w koniec nad wielkiem miastem rozciągnięta. Zbijały się w nią, jak zwykle nad każdem zbiorowiskiem ludzi, wszystkie dymy, sadze, kurzawy, pary i wyziewy codziennego życia. Nie tłumaczyłam sobie wtedy owego zjawiska, nie pytałam nawet o jego przyczynę, tylko nagle głęboki smutek mnie ogarnął. Przez całą drogę tak cieszyliśmy się z Józiem, że do Warszawy wracamy! Z Warszawą łączyliśmy wspomnienia szczęścia, radości, jakiegoś bytu błogiego, bez troski, bez cierpień, wśród samych życzliwych i kochających nas osób. Zdawało nam się, że cała przeszłość nasza, z ojcem niegdyś spędzona, wróci nam taką samą, bez ojca.

Jużcić wiedzieliśmy, że trochę smutniejszą być musi, że trochę pustszą i ciągle za oddalonym zpomiędzy nas tęskniącą. ale zresztą taką samą; zkądżeby nawet inną być mogła. Wmiarę jak zbliżaliśmy się ku stolicy, Józio niecierpliwie kamienie stajowe przy szosie rachował.

— A to już milę tylko mamy do Warszawy; a to już pół mili, a to już ćwierć tylko przed nami. Ot widzę, widzę, rogatki niedaleko!

Uczestniczyłam przez czas jakiś w jego okrzykach, lecz gdy na mnie owo niespodziane przygnębienie padło, ucichłam zupełnie, wysunęłam się zpomiędzy babki i ciotki Joasi, przyklękłam na dnie powozu i głowę o kolana matki jakby do snu oparłam. Sama przed sobą sprawy zdać nie mogłam, czy mi żal było Mielinka, czy strach tej Warszawy, którą tak ciemne tumany osłaniały; pamiętam jedynie, że gdybym była mogła, tobym była jaknajdalej uciekła; pocieszałam się mnóstwem niedorzecznych przypuszczeń: może nam za rogatki wjechać nie pozwolą; może ktoś z Mielinka konno przycwałuje i tak ważne listy odda babuni, że wszyscy będziemy musieli powracać; a może to nie Warszawa... Wujaszek Kazimierz opowiadał przecież, jak to w dalekich krajach ukazują się miasta, ogrody, jeziora; podróżnik dąży ku nim, wtem z przed oczu mu nikną; kto wie, czy ona tak nie zniknie? Może też koła się połamią; może ja zachoruję i umrę nagle; o! byle nie dojechać — nie dojechać tam, gdzie tak czarno, dymno, tak nieprzystępno dla słońca! Wyraźnie była to jakaś chwila przeczucia, lub, jakby ktoś mistyczniejszy odemnie się wyraził, chwila jasnowidztwa najbliższej i najdalszej przyszłości. Gdyby to można było nie dojechać! Gdyby zatrzymać się lub skończyć w tej chwili. ostatniej z rajskich chwilek dzieciń**stwa mojego! Wszystko dotychczas było mi łatwe i miłe, wszystko zabawą i uciechą; ja sama dla drugich byłam rozweseleniem, pieszczotą, nadzieją!... Z niedalekim końcem szóstego roku rzeczy zmienić się musiały; sześcioletnie dziecko przestaje być przedmiotem

ciągłych podziwów i celem wyłącznego zajęcia; zwolna wkładają na nie pierwsze, dość lekkie wprawdzie, niemniej jednak stanowcze obowiązki; zadowolenie starszych w wymagalność przechodzi; im więcej niegdyś widziano w dziecku dowcipu i pojętności, tem więcej później żądają od niego rozumu i pracy. Co się podobało z jego strony, to już niecierpliwi; co śmieszyło, to razi; co zdumiewało, to powszednieje. Drobna istotka, pełna tajemnic i osobliwości, przedzierzga się w małe, ludzkie, pełne wad i zwyczajnych ludzkich usposobień stworzenie; a dzieje się to bez przygotowania, z dnia na dzień prawie, jak gdyby kto tęczowe wczoraj od pochmurnego jutra nożyczkami odkroił. Nie miałam, zaiste, żadnego sformułowanego o tych kolejach dalszych losów pojęcia, instynktem chyba odgadłam je zapewne i dlatego smutno mi się zrobiło, dlatego czułam, że bezpowrotnie jakiś kawałek błękitnego nieba za sobą w przepaść spada, że mnie jakiś promienny cherub odlatuje, że coś tracę na zawsze, a przedemną gęsta mgła się ściele i po twardych murach kłębami się zwiesza. O! gdyby tam można było nigdy, nigdy nie dojechać!

Dojechaliśmy nakoniec; dziwna rzecz nawet: za zbliżeniem się naszem mgły pierzchły, chmura się rozwiała, nad brukiem warszawskim niebo równą pogodą, jak nad polami wiejskiemi świeciło. Stanęliśmy u kresu podróży naszej.

Wczasie jednej ze swoich przedślubnych wycieczek, wuj Kazimierz wszelkich dołożył starań, by nam znaleźć, choćby i w dalszej części miasta, lokal tani a wygodny. Powiodło mu się bardzo szczęściwie i w miejscu, które, dziś pod forteczne mury zajęte, ulicą być przestało, lecz które wówczas „za zdrojami“ zwano, udało mu się wynająć cztery duże pokoje z kuchnią i śpiżarnią maleńką za tysiąc dwieście złotych rocznie. Babunia z mamą podzieliły się pokojami, choć właściwie pierwszy pokój babuni za wspólny niejako salon i wspólną służył jadalnię. Wuj mecenas wszystko na przybycie nasze ustawił, uporządkował i czekał nas

z życzliwem słowem powitania. Kiedyśmy weszli na schody pierwszego piętra i obejrzeli dokoła, zdawało nam się, że nigdzie piękniej być nie może, że do cichego życia niczego brakować nie będzie dwom kobietom smutnym i spokojnym, dwojgu dzieciom wesołym a nie rozhukanym. Były kwiaty na oknach, były przy oknach białe zielonemi sznurami podtrzymywane firanki, były dawne meble według dawnego mniejwięcej trybu rozstawione, były gdzieniegdzie nowe stoliki, nowe kanapki, zapełniające puste miejsca szerszego apartamentu, były nawet stare obrazy na ścianach, portrety dziadka i babki w jej sypialni, stary tajemniczy kantorek jako dawniej wprost jej łóżka ustawiony, portret smutnej prababuni, jedyny przez babunię wybrany, w jej drugim pokoju, uwolniony od sąsiedztwa groźnego męża, weselej niby w przeciwległem lustrze się przeglądał. U mamy także staloryty księcia Poniatowskiego i Napoleona, powieszone mniejwięcej w tem samem, co na Zakroczymskiej ulicy położeniu; krzyżyk czarny hebanowy podobnież przy łóżku stanął i tylko na jego czarnych ramionach zawisły teraz dwie naszych rodziców sylwetki. Matka umyślnie je wydobywała, żebyśmy codzień przypatrywać im się mogli i w pamięci zachowali rysy ojca z jej rysami nierozerwalnie połączozone. Na tualecie między oknami rozłożono tak dobrze znajome nam świecidełka i drobiazgi. Nie od zielonego obicia wprawdzie, tylko od białych murów się to odbijało, ale było wszystko nasze, było więcej nowych rzeczy, było więcej przestrzeni, nie było tylko jednej kosztowności, do której przywykliśmy na Zakroczymskiej ulicy i w Mielinku: nie było słońca. Okna wychodziły na północ, lecz tego nikt nie spostrzegł, nikt o tem nie pomyślał nawet. Każdy znalazł coś takiego, czem się ucieszył niespodzianie, każdy cioci Joasi i jej mężowi dziękował. Mama bardzo serdecznie siostrę i szwagra uścisnęła, babunia nawet zięcia w głowę pocałowała; istotnie znać było, że nietylko z obowiązkową starannością, lecz i z prawdziwie

rodzinnem uczuciem zajęli się uporządkowaniem całego mieszkania.

Mnie jednak po kilku chwilach radosnych oględzin, znowu smutno jak przed wieczorem się zrobiło. Weszłam z nogami na sofkę, w mamy pokoju stojącą, i tak się w kąciku cichutko przytuliłam, że mnie znać prawie nie było. Już to muszę przyznać, że między babunią, ciotką Joasią i panem mecenasem nigdy się zupełnie swobodną nie czułam; prawdopodobnie i tym razem ich obecność potrzebę samotności rozbudziła we mnie. Gdy Józio, z właściwą sobie żywością, biegał po nowej siedzibie naszej zgóry na dół i zdołu na górę, gdy pomagał Piotrusiowi ściągać i rozpakowywać tłomoki, ja ciągle w głębi sofki zasunięta, rozmyślałam sobie, co to będzie, jeśli mnie zawsze, przez bardzo długie „zawsze“ z babunią tylko i państwem mecenasostwem żyć przyjdzie Nigdy pierwej się nie zastanowiłam, że choć przy mamie, to jednak sami z mamą nie zostaniemy; zrobiło mi się bardzo tęskno za wujem Kazimierzem, lecz cóż, kiedy obok wuja ciągle już odtąd, jak przy pożegnaniu na ganku, wujenka Malcia stać miała. Gdyby żył ojciec, wszystko byłoby inaczej; onby nikomu dokuczyć mi nie pozwolił, ująłby się za mną, choćby mię sama babunia na pokutę wsadziła; i znowu przejął mnie taki jakiś głód serca za ojcem, żem sobie usta rączkami zasłonić musiała, tak mi się gwałtem chciało na cały głos krzyczeć:

— Papo, mój papo! wróć do nas!

Dopiero gdy wieczerzę na stół podano, spostrzegli się wszyscy, że mnie niema w dwóch oświetlonych babuni pokojach. Zaczęto wołać, słyszałam, ale żadnem słówkiem nie zdradziłam mojej kryjówki. Matka weszła ze świecą w ręku i powtórzyła kilka razy moje imię, a ja, ciągle w kłębuszek zwinięta, całą siłą twarz do poręczy przyciskałam, żeby się mimowolne łkanie z piersi nie wyrwało. Lecz wkrótce matka dowidziała zaciśniętej w ramiona sofy nieruchomej figurki.

— Co ci jest, Napolciu?—powtórzyła raz jeszcze — co, moje dziecko? czy chora jesteś? czy cię co boli?

W tej chwili właśnie ciocia Joasia ukazała się na progu.

— Ej, cóż znowu? chora! rozespała się dziewczyna i teraz grymasi; ale Tekluniu, czy się to godzi, żebyś taką dużą tłustą pannę na ręku nosiła? Ty sama z tego rozchorować się możesz.

Ah! prawda, prawda, byłam już dużą panną, której matka na ręku dłużej dźwigać nie mogła! Duża panna spać poszła bez kolacyi, a w nocy jej się śniło, że jest dwa razy grubsza i wyższa od pana mecenasa i że nie ją mama, lecz ona mamę niesie kędyś daleko, przez całe szeregi długich białych pokoi.

Nazajutrz było jeszcze trochę zamętu z odpakowaniem i układaniem przywiezionych rzeczy; drugi dzień zszedł jakoś na oswojeniu się z nowem pomieszkaniem — matka też była dosyć zmęczoną i siedzieliśmy sami z babunią, gdyż ciotka Joasia zaraz pierwszego wieczora z mężem na wieś wyjechała. Trzeciego dnia dopiero mama ubrała się i z Józiem wyszła na miasto. Miałam wielką ochotę towarzyszyć jej w tej wycieczce, lecz mi wyperswadowała, że idzie za interesem Józia tylko, a wkrótce pójdzie za moim i wtedy mnie weźmie z sobą, a braciszka w domu zostawi.

— Zobaczysz wtedy, Napolciu, że ja się naprzykrzać nie będę—dorzucił ze swej strony braciszek tonem poważnego napomnienia, co mnie bardzo zawstydziło i przestałam się naprzykrzać, choć niemniej ciekawość mnie trapiła, jaki to może być ten interes, wyłącznie Józia, a nie mnie obchodzący.

Po kilku godzinach dowiedziałam się nareszcie—mama wróciła z Józiem, znać było jeszcze ślady łez na jej długich rzęsach, ale twarz miała bardzo spokojną i gdyby jednym uśmiechem ją rozpromienić, to możnaby powiedzieć, że uradowaną nawet. Józio zato był chmurny i milczący—daremnie kilka razy pytałam go, co robił na mieście, czy to o sprawunek chodziło, czy o zabawę? zbywał mnie ciągle trochę niegrzecznem „daj mi pokój,“ aż dopiero gdy zniechęcona i rozgniewana poszłam w drugi kąt pokoju ze smutną minką

gałganki moje układać, żal mu się zrobiło, sam przyszedł do mnie, zaczął pomagać mi w zwijaniu moich sztuczek materyj, a nakoniec niepytany i nieproszony sam pierwszy się odezwał:

— Byliśmy dzisiaj z mamą u państwa Paszkowskich. Czy wiesz, Napolciu, że on sam to bardzo dziwny człowiek.

— O, ja znam państwa Paszkowskich, tylko ich sobie nic a nic nie przypominam—odrzekłam z bardzo spokojnem sumieniem, bo istotnie znałam ich według tradycyi Marcyny, ale nie byłam pewna, czy ich kiedykolwiek w życiu na żywe oczy widziałam.

— Jakto, nie przypominasz sobie? tego kapitana od artyleryi z okrągłą czerwoną twarzą, co u nas za życia papy dość często bywał? Brzydki, ale taki dobry; nieraz przecież śpiewałaś mu: „za górami, za lasami wilczysko tańcuje.“

Nie, te szczegóły nic mi jeszcze osobistości pana kapitana nie objaśniały, - lecz mniejsza o to — pilniej mi było o teraźniejszości coś usłyszeć, niż dawne odgrzebywać wspomnienia

— Dlaczego powiadasz, że dziwny? — spytałam.

— Bo nie mogę zmiarkować, czy go bardzo lubię. Rozmawiał zemną tak serdecznie i wesoło, pytał o wuja Kazimierza, o jego żonę, o gospodarstwo wiejskie, a potem tak mi dokuczył, jak nikt jeszcze w życiu.

— Dokuczył ci, mój Józiu? Jak on śmiał ci dokuczyć? wszakże mama tam była!

— To właśnie najgorzej, że w obecności mamy nazwał mnie nieukiem.

— Co on miał za prawo nieukiem cię nazwać? — z oburzeniem zawołałam.

— No, zdaje się, że miał jakieś prawo, kiedy mama na to pozwoliła.

— I tak mu nagle to przyszło? bez żadnego powodu?

— Niezupełnie nagle, bo to było po egzaminie.

— Co to znaczy po egzaminie?

— A jużcić po egzaminie — bo mnie wypytywał z rachunków, z łaciny, z gramatyki polskiej.

— Ty przecie wszystko to umiałeś, mój Józiu — rzekłam z niezachwianą pewnością, gdyż istotnie miałam to przeświadczenie, że Józio umie zawsze trochę więcej nad to, czego się uczył. Wielkiem zdumieniem przejęły mnie z ust jego własnych usłyszane słowa:

— Tobie się zdaje, że to łatwe rzeczy, a ja nigdy wybrnąć nie mogę z tych accusatiwów i datiwów, z tych naszych przypadków i form nie wiem ilu, a jeszcze gorzej, kiedy przyjdzie w jednem i tem samem zadaniu arytmetycznem to dzielić, to mnożyć, to dodawać, to odejmować, aż się w głowie kręci, co trzeba pierwej, a co potem robić.

— Mój biedny Józiu! więc ty zapomniałeś tych lekcyj z wujem Kazimierzem?

— Ciekawym, ktoby nie zapomniał! Między ostatnią a dzisiejszym egzaminem ile to już czasu minęło; a to wizyty, a to wesele, a to podróż, nic dziwnego, że mi się wszystko w głowie pomieszało.

— I cóż ty mówiłeś panu Paszkowskiemu?

— Kiedy mnie pierwszy raz zapytał, odpowiedziałem, co mi na myśl przyszło — źle — pyta drugi raz — ja znowu odpowiadam: jeszcze gorzej — to też później pytał i pytał, a ja ani słówka już nie pisnąłem. Dopieroż potem zaczęły się morały: „Jeśli cię mało uczono, to możesz mało umieć i masz prawo powiedzieć: tego się nie uczyłem, ale nie masz prawa nie umieć tego, co już raz umiałeś. Smutno mi to powiedzieć przy twojej matce, ale widzę, że z ciebie okropny nieuk, choć jesteś dobry i rozgarnięty chłopiec.

— No proszę, jaki ten pan Paszkowski nieznośny! kto go pytał o zdanie?

— Domyślam się, że chyba mama pytać musiała, bo podobno obiecał jej, że mnie wprzeciągu tego roku do szkół przygotuje.

— Toż to będzie utrapienie prawdziwe; jak tu przyjdzie, to mu się nie ukłonię nawet.

Wieczorem jednak już ten złowrogi zamiar zmieniłam; mama długo z nami rozmawiała i wytłumaczyła nam, jaki to pan kapitan szlachetny i zacny jest człowiek, jak przy ciężkich obowiązkach profesora szkoły aplikacyjnej, nowej pracy się podejmuje, aby synowi kolegi swego i przyjaciela dopomódz. Rozmowa z Józiem przekonała go, że to umysł otwarty, bystry, pojętny; egzamin też, choć tak nieszczęśliwie wypadł, nie zniechęcił go wcale; utrzymuje on, że byle Józio raz tylko zmiarkował, że do książki, równie jak do kosy i sierpa, tych samych władz, to jest uwagi, pamięci a nadewszystko dobrej woli używać trzeba, gdyby raz tylko otrząsnął się z upornego lenistwa, którem nie natura, lecz jakieś dziwne rozkapryszenie do nauki przystęp mu utrudnia, to jest pewny, że czas stracony wkrótce się odzyska, a nasz Józio wyrośnie kiedyś na pożytecznego krajowi obywatela.

Mama nie wątpiła, że jej syn ukochany ziści tę piękną przepowiednię i że będzie pilnym, chętnym, we wszystkiem swemu nauczycielowi posłusznym.

* * *

Tu się właściwie kończy epoka mego dzieciństwa i na tem też kończę pierwszą część opowieści mojej. Chwila rozpoczęcia nauk już stanowi inną życia epokę.

KONIEC.

(Od Redakcyi). Do tego punktu ś. p. Narcyza Żmichowska dzieło swoje doprowadziła. Szybki postęp cierpienia wytrącił jej pióro z dłoni, a znękany umysł musiał uledz potrzebie spoczynku, który wyprzedził na kilka tygodni spoczynek drugi, wieczny.

W chwili gdy rozpoczynaliśmy druk niniejszej powieści, ś. p. Narcyza, mimo objawów choroby, czuła się rzeźwą, silną i pełną nadziei, że ten swój „testament duchowy," jak ją nazywała, w całości będzie mogła przekazać krajowi, jako ostatnią po sobie pamiątkę. Podzielaliśmy te jej nadzieje, a pragnąc zapoznać corychlej czytelników z tym śpiewem łabędzim genialnej poetki, przystąpiliśmy do wydawania go, nie otrzymawszy całości rękopisu. Był to może błąd pod względem wydawniczym, materyalnym; ale jesteśmy przekonani, że z tej winy rozgrzeszą nas wszyscy ci, którzy, umiejąc poznać rękę mistrza, choć w niedokończonym obrazie, z zajęciem czytali przygody Napoleonki Hołosko. Drogiemi są dla każdego najdrobniejsze nawet urywki wyszłe zpod pióra naszych wieszczów i tuszymy sobie, że dzieło ś. p. Narcyzy, lubo niedoprowadzone do końca, znajdzie serdeczne przyjęcie w kołach naszych czytelników.

Winniśmy dodać wreszcie, że utwór niniejszy stanowi poniekąd sam w sobie odrębną całość, jako zamykający okres dziecinny życia bohaterki. Wedle planu autorki, powieść miała zawierać jeszcze dwie części, obejmujące wiek młodzieńczy i lata dojrzałe Napoleony. W obu tych częściach miały występować na widownię inne niż w pierwszej osoby, a ztąd i część pierwsza niejako osobną powieść stanowi.

O WYCHOWANIU POCZĄTKOWEM.

I.

Kiedyśmy jeszcze małemi dziećmi byli, uczono nas, jako czegoś nadzwyczajnego, że młody król Salomon, gdy mu w sennem widzeniu Pan Bóg dał wszelkie dobra do wyboru, nad szczęście, nad długie życie i bogactwa „rozumne serce" przełożył. Dziś takich Salomonów pełno po świecie chodzi. Gdyby się pierwszego lepszego przechodnia w surducie lub mundurze akademickim na ulicy spytać, jest bardzo prawdopodobnem, że jeśli nie każdy, to codrugi przynajmniej Salamonowym odpowiedziałby wyborem. Ściśle mówiąc, nie ręczymy, czyby się dosłownie o rozumne serce dopominał, ale pewnem jest i niezawodnem, że przed innemi łaskami Bożemi, dałby rozumowi pierwszeństwo. Nikt wprawdzie i dawniej rozumem nie pogardzał; jednak zdarzało się słyszeć różne przeciw niemu deklamacye. Łajali mu poeci; kazali go się wyrzekać fanatycy; nie dowierzały mu spokojnie drzemiące duszyczki. Dziś to wszystko ustało. Przed dziesięciu laty zachwiała się wiara w Odę do młodości; po wojnie francuskiej straciło prawie całą powagę swoję stare przysłowie, że lepszy łut szczęścia, niżeli funt rozumu. Owszem, rozum wszedł na porządek dzienny. Wielki na niego popyt,

co znaczy, że podaż niedostateczna, ale bo też wszyscy nagle się spostrzegli, iż według dalszej króla Salomona historyi, rozum przedstawia najwyższą w świecie potęgę. Rozum daje władzę nad losem, dać więc może i sławę, i majątek i szczęście, o ile ów błękitny ptaszek od zewnętrznych okoliczności zależy. Ludzie wprawdzie, powiększej części, mają to przyjemne złudzenie, że już są rozumnymi, lecz je równoważą roztropną chciwością i chcieliby jeszcze rozumniejszymi być od innych, lub rozumniejszymi poza pewną, zwykłą miarę. Wspomnijmy im o poczciwości, o cnocie, o szlachetnych uczuciach, wielu może wzruszy ramionami: przy wielkim rozumie bez tego wszystkiego obejść się łatwo, jednak znajdzie się i takich niemało, którzy jasno dowiodą, że przy prawdziwym i najzupełniejszym rozumie to wszystko właśnie samo z siebie przyjść musi. Istotnie, trudno zaprzeczyć, doskonały rozum jest cnotą *in actu*, jak doskonała cnota jest rozumem *in potentia*. Lecz mniejsza o to. Nie nasza rzecz w tej chwili ujmować się za jedną, lub drugiemu dykcyonarzowych określników dostarczać. Stawiamy fakt jedynie. Rozum dziś poszedł wgórę. *Ultra-konserwatyści* mają cześć dla *inteligencyi* taką samę, choć inaczej wyrażoną, jak niegdyś *ultra-demagodzy* dla tak zwanej *la Raison* mieli, *ultramonatanie* tak gorliwie starają się o przygarnięcie rozumnych ludzi w swoje szeregi, jak gwałtownie *nihiliści* obraziliby się z pewnością, gdyby im powiedziano, że rozumnych ludzi między sobą nie mają. Rozumu! rozumu! rozumu! nam, wam, im wszystkim rozumu trzeba koniecznie, trzeba coraz więcej, trzeba prędko, natychmiast. Otóż wiadomą jest rzeczą, że ten rozum rządzca losów i zdarzeń, nim rządzić zacznie, musi być pierwej zbiorem zdolności, albo nie będzie rozumem. Rzecz prosta, jak pewnik matematyczny. Zkądże tu wziąć zdolności? Przedewszystkiem z woli Pana Boga: z natury, klimatu, pożywienia, z dziedzicznych usposobień pradziadów, słowem z tego, co stanowi rasowość i rodowość, co tak jest z nami nierozdzielne,

jak skład czaszki naszej, układ naszego mózgu, jak wzrost, kolor skóry i t. p. Zdolności tedy z sobą na świat przynosimy; czasem trochę mniej, czasem trochę więcej, czasem w bardzo pięknej, czasem w bardzo niebezpiecznej kombinacyi, ale zawsze są to już w nas gotowe i jedyne przyszłego rozumu zawiązki. Cóż tu robić, żeby nakoniec rozumem dojrzały? Ogromnie kłopotliwe zapytanie. Choćbyśmy najgoręcej pragnęli jakąś niespodziewaną odpowiedzią na czytelników zadziałać, musimy, chcąc nie chcąc, oklepaną wszystkim wiadomą radą się posłużyć i przyznać, że niema innego środka, tylko, gdy o to chodzi, by wrodzone zdolności na rozum kiedyś dojrzały, trzeba koniecznie je rozwijać. Rozwijanie zdolności jest właśnie głównym celem wychowania, a że przedewszystkiem początkowego i domowego wychowania, na ten raz o tem początkowem i domowem wychowaniu, odnośnie tylko do jego wpływu na umysł dziecka między pierwszym a siódmym rokiem, słów kilka powiedzieć zamierzamy.

Pierwszy ten rozdział życia ludzkiego jest najważniejszym w całym dalszym jego przebiegu; śmiało powiedzieć można, że ma większe znaczenie, niż późniejsza nauka, większe nawet, niż studya uniwersyteckie. W tych kilku latach dziecko więcej z siebie wydobywa, więcej w siebie przyjmuje, niż przez długie lata najdłuższego życia. Budzą się w niem i kształtują wszystkie władze, któremi kiedyś uczyć mu się przyjdzie, a jednocześnie zbierają się wszystkie materyały, o których uczyć będzie się musiało. Zjawiska świata Bożego i ludzkiego działają zewsząd na tę wątłą, drobniutką istotę, działają systematycznie według stałych praw logicznych i ona też, choć tak wątła i drobna, wyrabia sobie odpowiednie im systematyczne i logiczne pojęcia. Nie trzeba sobie lekceważyć tej pracy dlatego, że w niej napozór żadnego nie dopatrujemy wysilenia. Jest to praca ogromna; gdybyśmy tylko pamięciowe obliczyli nabytki, to jużby się pokazało, że do siedmiu lat więcej dziecko

ich gromadzi, niż człowiek dorosły, któryby się obcego uczył języka. W każdym obcym języku dla dorosłego są już wszystkie prawie brzmienia i dźwięki znajome, w niejednym większa przynajmniej połowa wyrazów; dla dziecka, jako wiemy, każde brzmienie osobnej potrzebuje wprawy, każdy wyraz przez czas jakiś osobnej niby lekcyi. Jeśli nauka postępuje z zadziwiającą i pełną uciech rodzicielskich szybkością, to dlatego głównie, że umysł jest świeży, niezmordowany niczem. Zaznaczmy sobie ten szczegół, jeszcze nam się do niego odwołać wypadnie. Tymczasem jednak nie sama pamięć tylko w główce dziecięcia pracuje. Dziecię musi poznawać, musi z wyrazem wyobrażenie rzeczy łączyć. Kiedy się do tego wdrożymy, zdaje się to nam bardzo łatwem; kiedy bliżej zastanawiamy się nad dziećmi, widzimy, że to ich dosyć także trudu kosztuje, że to dłuższej wprawy nawet niż pamięć wymaga. Ileż razy bawimy się wesołym szczebiotem jakiegoś maleństwa, które w najdziwaczniejszy sposób mnóstwem spojników, przysłówków, niespodzianych rzeczowników częstokroć mowę swoję na chybi trafi przyozdabia — „czy ci smakuje bułeczka? a to *właśnie* zjadłam. Gdzie siostrzyczka twoja? *Owszem* w domu została.“ Każda matka zapewne przypomina sobie pełno podobnych wyrażeń i niejeden ojciec śmiał się z nich zapewne — była to jednak owa pierwsza samodzielna praca duchowa, od pamięci wyższa i trudniejsza, był to współznacznik tego szukania rzeczywistej, umysłowej wartości wyrazu. Nie można stanowczo oznaczyć chwili, kiedy dziecko do niej przychodzi, to pewna, że po jakimś przeciągu czasu i *właśnie*, i *owszem* i różne tym podobne określniki zaczynają bardzo stosownie być używane.

Między piątym a siódmym rokiem daje się nowy niedostatek i tuż obok nowe zarobkowanie spostrzegać. Dziecko posługuje się właściwemi wyrazami, lecz te wyrazy plączą mu się i zestawiają w szyk dla nas starszych zupełnie niezwykły: „Ja się bym napił wody.“ „Ztąd idź sobie... z masłem chleba proszę“

i t. p. Błędy te i stopniowe również jak pierwej, nieznaczne ich poprawianie świadczą o najważniejszej czynności umysłowej wytwarzania się władzy, która jest koroną władz ducha ludzkiego, wschodem słońca rozumu, bo jest pierwszem uporządkowaniem luźnych wyobrażeń — pierwszą próbą dobrania stosownego ładu dla myśli — pierwszą jej logiką.

Pobieżnie tylko wymieniliśmy najważniejsze punkta w owym procesie rozwoju umysłowego, aby usprawiedliwić twierdzenie nasze, iż przed siódmym rokiem dziecko więcej ma w sobie do roboty, niż potem przez lat dziesiątki całe. A jest to robota, która dużo trudu wymaga i dużo sił fizycznych zużywa, najlepiej to może fizyologia objaśnić, najłatwiej biegły higienista wytłumaczy. Lecz i bez głębokiej znajomości fizyologii lub higieny, kto tylko baczniejszą zwracał na dzieci uwagę, sam pewnie do tej ostatniej wynikłości wszystkich swoich spostrzeżeń trafił. Wobec niej jakże się rodzice. opiekunowie, przewodnicy zachowywać powinni? Przypominamy jednak, że tu w zapytaniu li tylko wyrobienie strony rozumowej mamy na względzie. Otóż pod naciskiem tej celowości, dwojakie są ich obowiązki: dodatnio-czynne i ujemno-bierne. Pierwsze stosują się do ciała, drugie wprost do umysłu. Żeby ciało dostarczyć mogło najlepszego na przyszły rozum warsztatu, musi być krzepkie. zdrowe. silne; mądrze i szeroko już o tem przed kilkudziesięciu laty Jędrzej Śniadecki pisał — do dzieł jego odsyłamy wszystkich, co mają sobie kierunek jakiej drobnej dzieciny powierzony; wrazie gdyby się okazała potrzeba bliższych i wyłącznie do jej organizmu zastosowanych wskazówek, toć przecież godnych Jędrzeja Śniadeckiego następców nie braknie między lekarzami naszymi. Zbytecznem byłoby rozwodzić się dłużej o tym przedmiocie, chcemy tylko nad uzupełniającym go przydatkiem zastanowić się trochę. Pielęgnowanie zdrowia, wzmacnianie nerwów i muskułów niedostatecznem zawsze

będzie, jeśli się z kształceniem zmysłów nie połączy; jest to ważny, a na nieszczęście często pomijany dodatni obowiązek. Nie mówimy tu o kształceniu zmysłów, jako narzędzi działania, bo to jeszcze do poprzedniej kategoryi fizycznego hodownictwa należy, ale mówimy o kształceniu ich, jako narzędzi działających, o kształceniu ich użycia. Pod tym względem obszerne mamy pole do czynnej przysługi. Nadewszystko zmysły wzroku i słuchu, te prawdziwe podwoje, któremi wszelkie wyobrażenia do umysłu się przedostają, starannej wymagają uprawy. Niedość na tem, że zdrowe oko widzi, trzeba koniecznie, żeby umiało patrzeć, żeby nawykło obejmować każdą cząstkę widzianego przedmiotu, żeby przedmiotów pięknych i użytecznych, o ile to podobnem, jaknajwięcej dokoła siebie do oglądania znaleźć mogło. Niedość na tem, że ucho słyszy, trzeba koniecznie, żeby wdrożyło się do chwytania różnych odcieni głosu ludzkiego, różnych stopniowań brzmień i dźwięków, bo z brzmień i dźwięków składają się wyrazy, a za dokładnem i czystem słyszeniem wyrazów idzie dokładne i czyste ich wymawianie, im dokładniej zaś, im czyściej słyszane są i wymawiane wyrazy, tem czyściej i dokładniej odpowiednie sobie pojęcia w umyśle stemplują. Niezmiernie to ułatwia łączenie słowa z wyobrażeniem i od czczych, pustych naleciałości mowy dziecka strzeże. Obecnie takie kształcenie zmysłów dziecka zaczyna być nieco więcej niż dawniej uwzględniane; kiedy się postępowo prowadzi, *nauką o rzeczach* je zowią. Stanowi ono pierwszy podkład i przejście zarazem do ścislejszej książkowo-piśmiennej nauki, nigdy wszelako w jej sferę przed siódmym rokiem dziecka wdzierać się nie powinno. Tu kres już wszystkich *dodatnich* względem pierwszej epoki jego życia obowiązków.

Liczniejsze są obowiązki *ujemne*, a nawet pomimo przydanego im określnika, surowiej niemal od poprzednich pilnować się w nich trzeba. Tam szło o zapewnienie korzyści, tu chodzi o uniknienie nie-

zawodnej szkody; tam dopominaliśmy się pomocy, tu przed krzywdą bronić należy. Wspomnieliśmy pokrótce o ciężkiej pracy, jaką dziecko nieświadomie samo w sobie odbywa; żeby jej owoce nie zmarniały, właśnie wiedzieć nam wypada nie to, co czynić, ale to przedewszystkiem, czego nie czynić; po pierwsze: pamięci dziecka nie przeładowywać, po drugie: pojmowania zjawisk zewnętrznych, owego łączenia wyobrażeń z wyrazami, nie mącić i nie utrudniać; po trzecie: wrodzonej logiki nie zbijać z prostej drogi i w niewłaściwe dla niej kierunki nie popychać. Od dopełnienia tych trzech warunków późniejsza bystrość, jasność i treściwość myśli, to jest bogactwo pojęć, łatwość słowa i trafność wniosku zależy. Od bogactwa ogarniętych pojęć, od łatwości wiernego słowa, od trafności stanowczego wniosku zależy niemylność sądu, trafność wyboru, silniejsze skupienie woli człowieka; od sądu, wyboru i skupienia woli zależy nakoniec ów rozum zupełny, który jest ogólnym społeczeństw dzisiejszych pożądaniem, który nad złą i dobrą dolą panuje, przypadkowość zwycięża, los pod swoje prawa ugina.

Nie nasza rzecz tutaj szczegółowem dowodzeniem te ogólnikowe założenia popierać; gruby tom dałoby się o nich napisać, a przecież nieuprzedzonemu czytelnikowi jedna chwila rozwagi na ich uznanie i przyswojenie sobie wystarczy. Nam teraz daleko pilniej jest mówić o tem, czy wymienione przez nas obowiązki weszły już w powszechne wykonanie, czy nie weszły jeszcze. Co do pierwszego ich działu, zdaje nam się, że niema przeciw niemu żadnej protestacyi, wiele jednak do życzenia po dziś dzień zostaje: zbyt mało swobody i ruchu dają dzieciom; trochę im skąpią powietrza i słońca; troskliwiej dbają o leczenie choroby, niż o utrzymanie zdrowia; więcej psują rozpieszczeniem w nałogach, niż pieszczotą w ukochaniu, lecz to wszystko jeszcze nie tak prędko i bezpośrednio na przytępienie zdolności dziecinnych oddziaływa. Prędko zaś i bezpośrednio przytępić je mogą grzechy

przeciw drugiej kategoryi obowiązków popełnione. Tu już nie trzeba czekać pełnoletności i usamowolnienia wychowańców, by się o smutnych skutkach własnego uchybienia przekonać. Kilka lat na to starczy, żeby wyrządzone im przed siódmym rokiem krzywdy już około piętnastego na jaw wyszły i wszelką nadzieję tak gorąco upragnionej wyższości rozumowej odjęły. Dzień po dniu nasuwają się przykłady podobne; dzień po dniu ojcowie i matki ręce łamią nad przyszłością córek i synów, którzy im niegdyś, z kolebki wyszedłszy zaledwie, tak świetne do nauk i dzielności charakteru rokowali usposobienie. Lecz dzień po dniu inni ojcowie i inne matki w teżsame popadają błędy i teżsame gotują sobie zawody. A żadne, żadne upominanie dotychczas nie pomaga! Słusznie bo jeden z naszych znakomitych pedagogów. Ewaryst Estkowski, powtarza: „łatwiej sto dobrych urządzeń i zwyczajów w dniu jednym obalić, niż jakiekolwiek głupstwo wprzeciągu wieków nawet wykorzenić“... — Tem właśnie odwiecznem głupstwem, tą przyczyną ogólnego zwątlenia zdolności w warstwach towarzyskich, które posiadają wszystkie środki właśnie ich rozwinięcie ułatwiające—tą plagą od szarańczy gorszą, co każde wschodzące plony wyniszcza, jest u nas zwyczaj zawczesnego uczenia obcych języków, ale to uczenia w taki sposób, jak gdyby istotnie własny zastąpić mogły kiedyś i zastąpić miały.

Rodzice maleńkie dzieci swoje w trzecim już, w czwartym, a najpóźniej w piątym roku oddają zupełnie prawie w ręce cudzoziemek, bon francuskich, niemieckich, szwajcarskich. Pomijamy wszelkie zarzuty, jakieby ze względów moralnych uczynić można lekkomyślności takiego zaufania. Wiemy najlepiej, że ów kosztowny towar sprowadza się z za granicy bez żadnej rękojmi, że się do domu przywozi, jak bilet loteryjny w tym lub w owym kantorze wyciągnięty — mniejsza o to; przypuszczamy, że więcej jest dobrych biletów, niż mamy nawet prawo się spodziewać; przypuszczamy, że się niejednemu uda szczęśliwie wielki

los wygrać i spotkać jakąś idealnie doskonałą Szwajcarkę, jakąś w milionie jedyną Niemkę — od umysłowej krzywdy w niczem to jeszcze dziecka nie odratuje. Najdoskonalszy ideał musi względem niego z najokrutniejszem nadużyciem wystąpić, bo go musi obcych wyrazów uczyć wtedy, gdy ono jeszcze z pierwotnie uzbieranemi do żadnego ładu nie doszło. Grzech to pierwszy przeciw *pamięci*. Natura dała jej wystarczające siły, aby między drugim a piątym rokiem dźwignęła cały dykcyonarz jednego języka; głosy otaczających kolebkę dziecinną, echa powietrzne, pieśni po wieczornej rosie płynące, wszystko to dziecku niesie pomoc i ułatwienie, a jednak czasem i bardzo uzdolnionemu trud się czuć daje nielada. Pomyślcie tylko, co się z niem dzieje, gdy nagle do tej jego pracującej pamięci zaczną podwójną liczbę wyrazów pakować, gdy ją przycisną drugim, grubszym jeszcze dykcyonarzem z brzmieniami, z dźwiękami, które się nigdy pierwej o jego uszy nie obiły, których nigdy poza pewnemi godzinami, poza pewnem kółkiem towarzyskiem, a częstokroć nigdy nawet z ust własnych rodziców nie słyszy.—„Jemu to tak łatwo przychodzi — mówią z błogim zadowolenia uśmiechem — uczy się bez przymusu, sam nie wie, kiedy zaczął po francusku mówić.“ I to jest właśnie największe nieszczęście! Gdyby przymusu częściej używać było trzeba, gdyby dziecko wiedziało, jakim kosztem w nowe piórka się stroi — cierpienie jego mogłoby ostrzedz, zachwiać wolą rodziców, odsunąć na czas jakiś ten zgubny kielich od ust jego obojętnych, ale że nic nie ostrzega, nic zrazu wiedzieć o złem nie daje, więc się dalej brnie śmiało. Świeża pamięć bardzo jest rozciągliwa: wypełnia się ją bez miary, jak balon lotnemi gazami, symbolistyką pojęć, zamiast ich rzeczywistością z wyrazami, zamiast poznawaniem tego, co wyrazy oznaczają tylko; później, gdy przyjdzie już koniecznie ciała stale do owego balonu pakować, choćby to były dyamenty i złoto najczystszej próby, nic nie nada—kitajka pęka na wszystkie strony, co się w nią

wsypie to się i wysypie zaraz. Może co przylgnie do jakiegoś zagięcia, ukryje się w jakiejś fałdzie, ale nic nie przyrośnie, nic nawskróś nie przejmie: będą to zawsze innogatunkowe, nie „asymilowane“ pierwiastki. Za tym grzechem przeciw pamięci, jak skutek za przyczyną, ciągnie grzech drugi: jasność pojęć się zamąca. Nim dziecko zdąży wszystkie rodzinnej mowy wyrazy i wyrażenia sprządz w zupełną jednoczesność z wyobrażeniami i pojęciami swojemi, nanowo musi rozpoczynać tę czynność i, ma się rozumieć, że ją daleko chwiejniej, niedołężniej przeprowadza. Kiedy samo coś powiedzieć chce jaknajprędzej, minuta nieraz i dwie minuty upłyną, nim sobie zwiąże pojęcie *ogrodu* n. p. z obcem *le jardin*, jeśli mu bona *promenade*, *champ*, czy *prairie* podpowie, wszystko mu jedno, każdy wyraz przyjmuje w zastępstwie pierwszego, byle jakkolwiek zgadzał się z ostatecznem wyobrażeniem przechadzki i biegania— tym sposobem żaden wyraz nie przedstawia odrazu dobitnie odkreślonego na tle imaginacyi obrazka, tylko przedstawia jakiś zamazany kilkoma przynajmniej blizkoznacznikami rysunek. Warunkiem nieodzownym, żeby pewne dźwięki głosu jasno rysowały w umyśle dziecięcia przedmiot, którego są symbolem, jest to przedewszystkiem, żeby długo, bardzo długo w jednym i tym samym kształcie, to jest w jednym i tym samym języku, a nie w kształtach różnolitych, to jest w różnych językach, ucha jego dochodziły. Wykroczenie przeciw temu przykazaniu dość jawnie spostrzegać się daje — jawniej niż przeciążenie pamięci, zdradza je często mowa zająkliwa, niepewna, rozwlekła. Grzechu trzeciego przeciw swobodzie wrodzonej logiki znowu nie można z równą stanowczością widocznemi skutkami udowodnić, rzecz tę jednak całe późniejsze życie stwierdza, że on najgłębiej sięga w naturę człowieka i z gruntu jego zdolności podwraca. Nie wyobrażajmy sobie, że wewnętrzna, wrodzona, zasadnicza logika, której nikt z książek uczyć się nie potrzebuje, która jest cząstką

instynktową rozumu, którą zwykle rozumem chłopskim zowią, nie wyobrażajmy sobie, że ta logika od wprawy tylko, od powziętego lub narzuconego upodobania zależy. Oh! nie, ona właśnie jest nieuchyloną koniecznością umysłu, dziedzictwem rasowej przeszłości, ustosunkowaniem jednostki do najprzystępniejszego dla niej kawałka świata Bożego.

Były ludy żyjące w długiej zaciszy; były inne wśród ciągłych niebezpieczeństw wyrosłe—w jednych krajach natura, trochę jednostajniejsza, zabezpieczała im trochę dłuższą przyszłość; w drugich burzliwsza, z każdem jutrem druzgotała dzieła każdego wczoraj. Ztąd rozmaity tok myśli u rozmaitych plemion i w rozmaitych okolicach globu ziemskiego. Jedni szybciej chwytają wynikłość; inni dokładniej snują prowadzące ku niej wywody; ci od pierwotnego wyrażenia udzielanie myśli swojej zaczynają i do ostatniego porządnie je prowadzą, tamtym znowu najpilniej jakoś ostatnie wypowiedzieć i dopiero później z pierwotnem je spoić, lub nawet całe spojenie domyślności słuchaczy zostawić. Są, którym, jak widać, przez długie stulecia wszystko na rozwadze i przygotowaniu zależało; są, których byt wyraźnie od pośpiechu zależał. Niedarmo zapewne Niemcy takie długie okresy budują, a Anglicy taką zwięzłą i treściwą mają dla myśli swej formę — niedarmo charakterem francuskiej mowy jest ciągle przeczenie, a w naszej twierdzących tylko zwrotów używać wolno. Ślady zapomnianych przejść i dziejów skamieniały, jak kości zwierząt przedpotopowych, we właściwej każdemu językowi składni gramatycznej. Kto umysłowi dziecka tę składnię odziedziczoną usuwa pierwej, nim ona cały jego duchowy zarobek w swoje szufladki porozkłada, ten mu niczem niewynagrodzoną krzywdę wyrządza—jakoby mu odjął instynkt, a nie dał wzamian wiedzy, tylko sztukę. Można bardzo biegle nauczyć się składni obcej—tylko nie można własnej zatracić w pamięci, tylko nie można innej zaszczepić w naturze. Niech jak chce płynnie mówi kto po francusku, myśleć on po francusku nie potrafi jednak;

o ile właściwą sobie składnią myśleć nie umie, o tyle, rzecby można, myśleć zupełnie przestaje, a pamięciowe tylko tworzy kombinacye wyrazów. Niech nam znów będzie wolno zdanie nasze wesprzeć powagą zasłużonego na niwie praktycznej pedagogiki pracownika: — „Guwernerowie i guwernantki — mówi Estkowski—nie umiejąc zazwyczaj po polsku (co właśnie najgłówniejszą ich zaletę podług wyobrażenia rodziców stanowi), mają rozwijać umysł młodego pokolenia i rozwijają go, ale jak? Oto wtłaczają weń wyobrażenia, których zmysłowe wrażenia miejscowe nie dostarczyły; obeznają go z przedmiotami obcemi, których w rzeczywistym pojawie nie ogląda; uczą swych *elewów* i *elewki*, że co polskie, niewarte wzmianki, i że tylko we Francyi szukać trzeba wzorów na wszystko co dobre, piękne, wzniosłe, naśladowania godne i t. p. Ztąd się wyradza dziwny niestosunek między tem, czego się młodzieniec wyucza, a tem, co go otacza; oziębłość dla wszystkiego, co swoje, bo i jakżeż to cenić i poważać, czem się przyzwyczaiło pomiatać? Że zaś wychowaniec lub wychowanka musi żyć w kraju swoim, przyzwyczaja się zatem w skutek wskazanego trybu wychowania myśleć bez podstawy, czuć bez prawdy, paplać bez zastanowienia, a żyć bez celu!"

Właśnie kiedy już każdy tak pragnie rozumu, kiedy wszystkim tak bardzo, bardzo rozumnych ludzi potrzeba!

Zawzięty ów i długotrwały upór naszego społeczeństwa w nieszczęsnej sprawie cudzoziemczyzny musi mieć jednak słuszniejszą jakąś przyczynę, niż próżność, niż modę, niż złą wolę. Próżność nie ostałaby się rozpowszechnieniu francuzczyzny na Franciszkańskiej ulicy, pod gontami dworków zagonowej szlachty, w składach obuwia za Żelazną bramą; oddawna pewnie wyszukałaby sobie nowego odróżnienia. Modaby się też zmieniła; zmieniły się przecież żaboty, peruki i fryzury. Zła wola — aleć o złą wolę nawet pierwszych grzeszników, co przykład dali, nie posądzamy wcale, jakżebyśmy ją mogli prostym naśladow-

com zarzucić? Jest to więc nałóg jedynie, przywyknienie, z którego się otrząsnąć niepodobna. — Trąd był niegdyś w średnich wiekach tak pospolitą chorobą, że go już leczyć przestano — a jednak ustał i zniknął zupełnie, gdy się sprzyjające mu okoliczności usunęły i przerobiły.

Jakież więc wśród naś okoliczności chorobę cudzoziemczyzny podtrzymują?

Jakim sposobem usunąćby je można?

Co zaraz teraz zrobić trzeba?

To są pytania, które z przedstawionych dziś uwag się wywięzują, a na każde z nich pokolei osobną odpowiedź dać się godzi.

Ach! przepraszamy, jest jeszcze jedno ważne i z przedmiotem dziś wniesionym ściśle połączone pytanie: Czyżby nauka obcych języków zawsze i zupełnie uzdolnieniu rozumowemu szkodliwą być miała?

II.

Ile razy nam się zdarzyło poważny zarzut stawić ludziom; którzy dzieci swoje w pierwszych a najważniejszych latach ich życia cudzoziemkom powierzali, zawsze spotkaliśmy się z temi dwoma bardzo silnemi argumentami: naprzód, że bon polskich niema wcale, powtóre, że języki cudzoziemskie są koniecznie dziś potrzebne; że się bez nich w żadnym, czy to humanitarnym, czy technicznym zawodzie obejść nie można; że wreszcie los niepewny, przyszłość Bóg wie gdzie rzuci człowiekiem i t. p. i t. p. Ani jednemu, ani drugiemu nie przeczymy wcale. Usprawiedliwienie ma za sobą tyle pozornej słuszności, że nawet wierzymy

w jego szczerość zupełną. Pierwszy punkt zwłaszcza nietylko już w gazecie niniejszej był wspominany, ale spotykamy się z nim na ustach najzacniejszych ojców rodzin, słyszymy go od najtroskliwszych matek.

— Cóż na to poradzić?—mówili po przeczytaniu właśnie artykułu Gaz. polskiej znajomi nam rodzice;— za granicą oświata przenika do najniższych warstw towarzystwa; pełno ochronek, szkółek, popularnych wykładów; dzieci, mające ograniczone potrzeby i pragnienia ubogich, rosną z pojęciami i z zasobem wiadomości, który najbogatszym jest wspólny. Córka biednej przekupki, wdowa po nieszczęśliwym rzemieślniku, Szwajcarka, Niemka, Francuzka czy Angielka, każda z nich chętnie podejmie się wszystkich, ale to wszystkich posług, których od bon wymagać musimy nieuchronnie, a każda posiada przytem ów stopień wykształcenia, owę ogładę ucywilizowaną, jaka wśród nas jest tylko klas zamożniejszych, lub, na nieszczęście, nie zamożniejszych już, lecz zawsze jeszcze wydelikaconych przywilejem. Panienka, co sama niegdyś bony miewała, pani, co im z własnego biurka płaciła może onego czasu, pewnie w złej godzinie nie pomyślą nawet o tem, że mogłyby, w braku wszelkiej innej kwalifikacyi, bonami przy czyichś dzieciach zostać. Córki średnich i niższych urzędników, równie jak trochę wyższych oficyalistów i wszelkiego położenia mieszczan, gdy ich konieczność zarobku przyciśnie — o ile na mierną bardzo nauczycielkę egzaminu zdać nie potrafią, o tyle rzucą się do szycia, do sklepowej obsługi, ale boną—nie, żadna z nich boną nie będzie. Jak my, tak pewnie wiele już innych rodzin, wskutek ciągle powtarzających się nawoływań, gotowi bylibyśmy wyrzec się zresztą wczesnej nauki języków, ale przyzwoitego dozoru i przyzwoitego ułożenia dla swoich dzieci wyrzec się nie możemy.

Szukają więc ich ci państwo u zupełnie sobie nieznanych Francuzek, Niemek, Szwajcarek, lub cór dumnego Albionu. Szeroko o tem rozprawiaćby się dało. Lecz nie tykając rzeczy stokrotnie już ogada-

nych niechaj nam wolno będzie powtórzyć tu list, a raczej ogłoszenie, czy też może odezwę, którąśmy w charakterze zapytującej odpowiedzi osobom czyniącym nam powyższe uwagi do przeczytania podali.

„Jestem z poczciwej rodziny. Od dzieciństwa uczono mię dziesięciorga przykazań Boskich i pilnowano surowo, żebym ich w niczem nie przestąpiła. Mogę sobie oddać tę sprawiedliwość, że mi pełnienie ich wszystkich nigdy zbyt trudnem nie było, a niektórych było tak łatwem nawet, jak gdybym się już z niemi w sercu urodziła. Mam więc dobre skłonności i czyste obyczaje; ale zawsze mi brakowało potrzebnej do nauk zdolności. Rodzice nie przymuszali mię też, bym nad książką po całych godzinach się mozoliła. Umiem tylko dość gładko czytać, wyraźnie pisać i o tyle rachować, że się przy kupnie i przy obliczaniu codziennych wydatków nie pomylę. Do robót i do gospodarstwa okazywałam zato więcej nierównie zdatności. Z prawdziwego upodobania jednak chciałabym się innemu zawodowi poświęcić. Bardzo lubię małe dzieci i wszyscy mi przyznają, że małe dzieci nawzajem lubią mię także. Zmuszona obecnie poza ojcowskim domem szukać pracy na własne utrzymanie, staram się o miejsce bony. Żeby uniknąć nieporozumień, jakie zwykle w tej mierze zachodzą między rodzicami, a krajowemi kandydatkami, postanowiłam niniejszem ogłoszeniem wszelką wątpliwość i wszelki powód do zobopólnych zażaleń usunąć. Raz tedy jeszcze oświadczam, że jakkolwiek z początkami najnieodzowniejszych nauk: historyi, geografii, arytmetyki i t. p. oswojona, nie mam pretensyi być choćby niższą i najniższą nauczycielką; owszem, uważam sobie za obowiązek do prawdziwej, książkowej nauki wcale się nie mieszać; pragnę być tylko prostą boną, w najściślejszem znaczeniu tego wyrazu, lecz nie chcę też być mniej niż boną, nie chcę być ani piastunką, ani niańką, które dwuletnie dzieci dźwigają, albo jednoroczne kołyszą, bo do dźwigania siły dostatecznej nie czuję, a mam to przekonanie, że czasu mego pożyte-

czniej użyć, niż przy kołysaniu, potrafię. Jako bona, takie na siebie przyjmuję obowiązki: podejmuję się pilować dzieci w dzień i w nocy; ubierać je i rozbierać; naprawiać ich bieliznę i utrzymywać ją w porządku. Prać i prasować nie podejmuję się wcale; wrazie potrzeby jednak przeprać, jak to mówią, i przeprasować jakie drobiazgi lub sukienkę chętnie będę gotową. Mogę też zawsze sprzątnąć w pokoju dziecinnym. Szczegółowo teraz objaśniając bardzo ogólnie tylko wyliczone powinności moje, muszę najpierwej powiedzieć, co ja właściwie przez pilnowanie rozumiem i w jaki sposób dopełniać go zamierzam. Zrana, skoro tylko dzieci się obudzą, nie dam im w łóżkach leżeć, ani długo figlować nawet; jużcić trochę, to nie zaszkodzi. Jedno się pocałuje, z drugiem się pożartuje, aby tylko uśmiechem i weselem powitały dzień Boży; coprędzej jednak będą musiały spuścić nóżki, kołderkami skromnie się owinąć i zacząć obuwać na wyścigi; z piątym rokiem każde samo bez pomocy do tej czynności będzie już powołane; młodsze przy mej pomocy na to pierwsze wyzwolenie zpod zawisłości od drugich przygotowywać się będą. Wmiarę, jak które wyśpieszy, lub koleją według starszeństwa, jedne same także myć się będą, drugie ja umyję: twarz, rączki, szyję codziennie wystałą w pokoju, ale nie ciepłą wodą, chyba, że doktór zaleci inaczej. Główki wszystkie już własną ręką poczeszę, sukienki poopinam i o ile matka nie będzie miała czasu, lub zwyczaju osobiście tego dokonywać, gdy już ubrane będą, pobożnie z niemi ranny zwykły ich paciorek odmówię; jak długi, z jakich modlitw, czy pieśni złożony, to już zupełnie będzie od wydanego mi rozporządzenia zależało. Po pacierzu zjemy śniadanie; wiem, że trzeba uważać, aby dzieci jadły porządnie, a nawet zgrabnie, aby nie plamiły sukienek, ani serwet i obrusów, chcę też pilnie tego przestrzegać. Po śniadaniu, może rodzice przyzwą dzieci do siebie na dzieńdobry; użyłabym wolnego czasu do sprzątnięcia pokoju; gdybyśmy jednak dłużej razem zostać mieli, tobym wszystkie maleństwa zasa-

dziła gdzie niedaleko przy jakiej cichej zabawie. Młodszym dać trochę czystego papieru i ołówki w rękę, pewnie spokojnie się zachowają; starsze nieraz wezwę na pomoc, żeby się ze szczoteczką i ściereczką do kurzu obchodzić nauczyły; przydać im się to może, choć dlatego, by później wiedziały, czego od własnych sług wymagać mają. Ile też razy inna podobna robota domowa dla mnie się znajdzie, zawsze się postaram jaki udział w niej dla dzieci wymyśleć. Przy prasowaniu mogą i one swoje gałganki małemi żelazkami prasować, przy praniu prać je na miseczce, maglować na wałeczku; dzieci bardzo lubią podobnego rodzaju zatrudnienia; rzadko ich używają, bo się wszyscy kłopotu i późniejszego nieładu boją, lecz ja przecież nie od tego będę, żeby sobie roboty oszczędzić, lecz żeby im właśnie przyjemności i zajęcia urozmaicać. Po sprzątnięciu wspólnej sypialni, po odwiedzinach u rodziców, nastąpi oglądanie obrazków, lub tego, co same wczasie sprzątania narysują; wywiąże się ztąd rozmowa o rysowanych i oglądanych przedmiotach; za tem pójdzie śpiewanie różnych do ich pojęcia stosownych piosenek, powtarzanie ładnych wierszyków, opowiedzenie czego z historyi, a wreszcie koło południa przechadzka. Na wsi można w ogrodzie i rozmawiać i biegać potem; w mieście rodzice wskażą, gdzie pójść będziemy mieli. Spodziewam się jednak zasłużyć zczasem na tyle zaufania z ich strony, że mi pozwolą kiedyś wybierać do przechadzki miejsca, w których lepsze dla dzieci znajdę powietrze i przyjaźniejsze do swobodnej zabawy warunki, niż w Saskim ogrodzie na przykład. Ma się rozumieć, iż chwil spacerowych nie użyję na własną rozrywkę, ani na gawędki ze znajomemi czy nieznajomemi osobami. Przy obiedzie równy dozór będzie, jak przy śniadaniu. W pół godziny po obiedzie, gry biegane w pokoju, jeśli jest zimno i słota, albo zbyt wielki upał na dworze; dalsza niż zrana wycieczka, jeśli jest ciepło i pogoda. Z każdej wycieczki takiej muszą dzieci cośkolwiek skorzystać; bardzo mało naraz, ale zawsze cośkolwiek; niechby

nazwisko jednego kwiatka, jednego drzewa, niechby jeden szczegół tylko o jakiem zwierzęciu, czy narzędziu, czy budynku gospodarskim, czy towarze w sklepowem oknie wystawionym — to już nie od mego wyboru, ale od ich własnej ciekawości i niespodzianek życia będzie zależało; niemniej, w końcu wszystkiego, po dwóch, trzech latach, dość spory zapas rzeczy widzianych lub wiedzianych do późniejszej nauki się przygotuje. Gdy wrócimy na odpoczynek, zabiorę się albo do szycia, albo do innej jakiej ręcznej roboty; może siatkowej, może szydełkowej, a może i na drutach. Wszelkiej usilności dołożę, by się dzieci przez ten czas dobrze bawić nazwyczaiły, to jest: by same zajęte będąc, jaknajmniej drugim przeszkadzały. Dla rozumniejszych użyję w tym celu odpowiednich zabawek, lub nawet podobnych moim robótek. Dzieci chętnie biorą się do igły, do szydełka, do drutów, do wszystkiego, co w ręku starszych widzą. Byle tylko wymiarkować, jak długo mogą nad jedną siedzieć, byle zawsze chwilę znudzenia uprzedzić i rzecz z rąk im odebrać pierwej, nim same ją porzucą, to i większą gorliwość się wzbudza i niepostrzeżenie, bez trudu do zupełnej wprawy przychodzi. W sześciu latach dopiero, jeśli się upodobania nie wyrobiło, to trzeba zwolna do coraz dłuższej wytrwałości *zmuszać*, bo już dziecko na progu człowieczego życia staje; rok, pół roku ledwie upłynie, a przyjdzie mu z pierwszego swego obowiązku pierwszą pracą, nauką się uiszczać. Póki można jednak, o ile można jednak, powinna każda bona pamiętać, że zaszczepienie upodobania jest najbezpieczniejszą rękojmią późniejszej wytrwałości. Co zaś do robótek wzwyż wymienionych, to niema pod tym względem wielkiej między chłopczykami a dziewczynkami różnicy; można ich wspólnie zająć niemi; gdyby wszelako pierwsi sami innego domagali się zatrudnienia, to się dla nich znajdzie szpagat na siatki (w przypuszczeniu więcierze), pudełka na oklejanie, papier kolorowy na kwiatki i różne tym pododne drobnostki. Dla trzecioletnich i czworoletnich dzieciaczków do-

pomniałabym się na te godziny o całą misę piasku i wiórków z rąbanego drzewa; są to dla nich pożądańsze od najkosztowniejszych cacek materyały. Rzeczywiście przekonałam się, że więcej daleko pomysłowości w ich główkach rozwijają; więcej też, co prawda, nieporządku w pokoju robią, ale później wszyscy razem do zamiatania się biorą i z porządkiem czynnie zapoznają. Tymczasem trzeba się i na to przygotować, że wśród ułatwień, przy zachęcającej pomocy nawet, nie zawsze dzieciom, równie jak i starszym niekiedy, zabawa się wiedzie. Są dni pochmurne, są dni rozdrażnienia, niecierpliwości i ciągłej do gwałtownych wybuchów pokusy; dzieci zaczną być niegrzeczne, zaczną się sprzeczać i ponad pewną miarę hałasować; jeśli ich wtedy jaka ciekawa powiastka z ust moich nie zwabi i w zgodzie a w cichości do podwieczorku przynajmniej nie utrzyma, to już chyba muszę złe chwile przecierpieć i tę jedynie mieć grozę na dokazujących, że się wieczorem wszystko, jak było, rodzicom opowie i że przy pacierzu trzeba będzie bliźnich i Pana Boga za całe sprawowanie się przeprosić. Gdybym w takich razach, lub przy innych okolicznościach, dostrzegła objawu nietylko już dziecinnej drażliwości, ale prawdziwie ludzkiej wady jakiej: popędu do pastwienia się nad zwierzętami, pychy względem uboższych dzieci, zazdrości lub czegoś podobnego, wtedy po radę i wskazówki dalszego postępowania zgłosiłabym się do rodziców. Jest wszelako jedno przestępstwo, lecz o tem później będzie mowa. W nadwieczornej porze zwykle rodzice lubią mieć dzieci przy sobie; albo razem z niemi wychodzą, jadą gdzie, albo rozmawiają i żartują, to będzie więc i chwila najstosowniejsza zapewne do pobieżnych rachunków sumienia; ważniejsze bowiem zachowają się na osobną konferencyą. Liczę, że czas ten bez stanowczego przeznaczenia, rozporządzeniom rodzicielskim zostawiony, mniejwięcej aż do kolacyi się ściągnie. Po kolacyi znów pół godziny rozrywki; a po rozrywce, tak jako zrana przypilnowanie, żeby się dzieci same rozebrały, żeby rzeczy swoje przy

łóżeczkach porządnie złożyły i za dzień szczęśliwie skończony Panu Bogu podziękowały. Ale czyż istotnie każdy dzień wspólnego naszego pobytu szczęśliwie się skończy? Ach! muszę i to powiedzieć, że nie każdy zapewne. Wiem sama w sobie, iż wszelkiej uwagi dołożę i ostrożność wszelką zachowam, lecz wiedzą to i matki, które same dzieci doglądając, troskliwiej od wszystkich bon i piastunek czuwają nad niemi — wiedzą wszystkie doskonale, że przed nagłym a nieprzewidzianym wypadkiem uchronić się niepodobna. Mimo dozoru i napomnień, dziecko częstokroć upadnie, potłucze się, skaleczy: jeśli upadnie, potłucze się i skaleczy jedno z tych, które mnie powierzone będą, zdaję się w tym razie na wrodzone poczucie słuszności rodzicielskiej, bądźcobądź jednak, to przynajmniej najuroczyściej przyrzekam, iż nigdy żadnego podobnego nieszczęścia przed matką nie zataję, bo nigdy dla uniknienia jej żalu do mnie, dla uniknienia najprzykrzejszych wymówek nie chciałabym dać „maluczkim" gorszącego przykładu i nie uczyłabym ich skrytością przed sądem starszych i przełożonych grzeszyć. Że na każdym kroku w ustach dziecinnych słów prawdy, a w sercach dziecinnych miłości prawdy będę przestrzegała, to jest przecież domyślnem zobowiązaniem i żywotną treścią wszystkich innych zobowiązań moich. W tym kierunku mam serce pełne dobrych chęci. Pragnę, żeby zpod mego wpływu wyszły dzieci łagodne, posłuszne, pracowite, szczere, szlachetne i kochające. Może jednak nie wyjdą takiemi; za rozwinięcie wszystkich owych pięknych przymiotow ręczyć mi nie wolno i zobowiązania w tym sensie nie przyjmuję, bo tu już wszystko od łaski Bożej, od wrodzonego usposobienia, a głównie od przykładu obojga rodziców zależy. Zdaje mi się, że prócz wiernego pełnienia spisanych w rozkładzie dziennym uczynków i prócz tej chęci moralnej, prócz tej szczerej dążności ku najwznioślejszym celom, rodzice nie mają prawa niczego więcej odemnie wymagać.

Teraz jeszcze trzeba mi wyłuszczyć, czego ja od nich przy ugodzie żądać będę. *Ze względu na dzieci*: żądam, aby pokój, w którym z niemi mam sypiać, był dość obszerny, widny i suchy; abym miała zawsze pod ręką zastosowane do potrzeb stopniowego rozwoju obrazki, najlepsze powieściowe książki, któreby wyczerpniętą opowiadaniem pamięć zasilały, i najprzystępniej ułożone o naukach przyrodzonych dzieła, żebym się ich poradzić mogła, ile razy tylko pytanie jakie dziecka niedość przygotowaną na odpowiedź mię zaskoczy. Będzie mi też potrzeba dużo białego i kolorowego papieru, tudzież kolorowych ołówków. Poproszę też o dostarczenie niektórych zabawek; lalek, wózków i koników nie wspominam, bo to się samo przez się rozumie, ale niektórych n. p. freblowskich różnych łamigłówek, małych żelazek do prasowania, garnuszków i t. p., nie wszystkich odrazu wszelako, a szczególniej nie na pierwsze zachcenie dziecka. Dobrze jest, kiedy dziecko uczy się coraz dłużej oczekiwać, spodziewać się i pragnąć; im dłużej potrafi, tem więcej ciągu kiedyś w zamiarach i woli mieć będzie. Pomijając już wszelako tak oddaloną nadzieję, stopniowa i częściowa zmiana rozrywek jest mi potrzebną dla ich urozmaicenia i przeciągnięcia aż po termin ósmego roku w życiu każdego dziecka. Wtedy ono samo powinno już umieć się bawić i samo środki ku temu obmyślać powinno. Chociaż te wszystkie szczegóły bardzo ważne są w moich oczach, przypuszczam jednak, że w zadośćuczynieniu im mogą zajść czasem przeszkody od różnych okoliczności zależne; znajdzie się na to rada. Ale teraz muszę przedstawić dwa warunki, które dla mnie tak wiele znaczą, że ich odrzucenie równałoby się niemożliwości zawarcia jakichkolwiek układów. Pierwszy warunek jest ten, by każde rozmyślne kłamstwo surowo przez rodziców skarcone zawsze było. Wiem, że są kłamstwa nieroz myślne, z nieujętej w karby i niezrozumiałej samej

sobie fantazyi popełniane; nad temi czuwać trzeba, zwolna od nich odzwyczajać, przestrzegać dziecko, by mu w nałóg nie weszły, ale więcej na czas liczyć, bo wmiarę jak umysł dojrzewa, zwykle takie pomyłki między wyobraźnią a rzeczywistością prostują się nieznacznie i wkońcu zupełnie ustają. Lecz jest inne kłamstwo, daleko szkodliwsze, kłamstwo tchórzostwa, podstępu, mściwości; jest zaparcie się dokonanego przestępstwa, usprawiedliwienie się wykrętne, oskarżenie fałszywe, przemilczenie; na to wszystko żądam bardzo ostrej kary; żądam jej od rodziców, gdyż bona nie ma prawa ostro karać powierzonych sobie dzieci, ma tylko obowiązek szczeŕze rodzicom o każdej ich zdrożności powiedzieć. Względem wszelkiej innej, jakiej się dzieci dopuścić mogą, zgóry już pobłażania i tylko uradzenia sposobów ochronnych prosiłam; przeciw tej jednej gniewnego oburzenia potrzebuję. Drugim warunkiem jest osobna, dla mnie wydana przez światłego lekarza instrukcya, jak się mam z dziećmi stosownie do ich kompleksyi, temperamentu i usposobienia obchodzić. Byłam nieraz świadkiem bardzo smutnych następstw lekkomyślnej niewiadomości, lub co gorsza, tradycyjnych przesądów w tej mierze. Niechże więc lekarz, zupełne rodziców zaufanie posiadający, w ich obecności udzieli stanowczych przepisów: kiedy dzieci mają wstawać? któremu z nich po parę godzin snu przed lub po obiedzie zabezpieczyć należy? o jakiej godzinie spać iść wieczorem powinny? w jakich odstępach czasu jadać śniadanie, obiad i t. p.? co pić mogą? czy w każdej porze i po wszystkiem, czy nie po wszystkiem? które dziecko spokojniej trzymać wypada? któremu zaś więcej ruchu potrzeba? Jeśli gimnastyka okaże się niezbędną, mogę się z nią o tyle obznajmić, że potrafię wykonywania głównie zaleconych poruszeń dopilnowa zwłaszcza na wsi, gdzie właściwego nauczyciela gimnastyki mieć niepodobna. Tego wszystkiego dopominam się ze względu na dzieci.

Ze względu na siebie wreszcie, takie jeszcze podaję żądania: jeśli mi się zdarzy w czemkolwiek, pomimo najlepszych chęci, życzeniu rodziców uchybić, proszę, aby mię o to przy dzieciach nie upominali, lecz samnasam przestrzegłszy i błąd mój wytłumaczywszy mi, dobrą radą na dalszą drogę wsparli. Muszę i to przedłożyć, że chociaż praca moja zabawą się po większej części ogranicza, jednak i w owej zabawie umysł pewnego wytchnienia potrzebuje; chciałabym przeto codziennie, gdy dzieci zasną, mieć parę godzin wolnego dla siebie czasu i corocznie parę razy trzytygodniowe wakacye. Byłoby mi nadzwyczaj miło święta jakie Bożego Narodzenia, lub Wielkiej Nocy w rodzinnem gronku spędzić, ale wiem, że to są epoki największego w każdym domu zamieszania i chwile, w których dzieciom najpilniejszego właśnie dezoru potrzeba. W żadne więc takie uroczystości oddalać się nie chcę. Inny czas dni powszednich, po wspólnem z panią moją porozumieniu się, wybiorę. A niech mi też wolno będzie przed każdym moim wyjazdem wskazać osobę, która za pewnem wynagrodzeniem, wczasie mej nieobecności, zastępować mię będzie; zupełna bowiem przerwa w pilnowaniu, choćby tylko w sposobie postępowania, w rozkładzie godzin i zabaw, na bardzo długo potem karność psuje i mąci porządek. Co zaś do obejścia się rodziców, do ich uprzejmości i poważania, do stanowiska, jakie mi własnem postępowaniem względem innych służących oznaczą, to jedynie zastrzegam sobie, żeby zupełnie takimi byli, jakimi zwykle dla bon francuskich i angielskich bywają. Wypowiedziawszy nakoniec do ostatniego słowa wszystko, co od siebie powiedzieć miałam, śmiem teraz upraszać łaskawe osoby, które zemną w ugodę wejść będą chciały, żeby się do mnie raczyły zgłosić tą właśnie drogą, jakiej obecnie na przedstawienie zobowiązań i warunków moich obrałam. Niech mi nawzajem podadzą swoje własne warunki i uwadomią zarazem, ile mi dzieci do pilnowania powierzą i ile za ich dopilnowanie zasług spodziewać się mogę? W za-

wiązaniu stosunków redakcya pośrednictwo swoje przyrzekła.“

— I cóż państwo na to?

— Ha! gdyby taka bona była do wzięcia, dziś jeszcze przesłalibyśmy jej odpowiedź, że przystajemy na wszystkie warunki—to jest, trudno zgadnąć dlaczego doktór w tę sprawę, jak Piłat w Credo się wmieszał — jednak niechby i temu dziwactwu dogodzić. Mamy troje dzieci między ósmym a trzecim rokiem, gotowibyśmy tysiąc złp. rocznej pensyi postąpić. Ale to wszystko mistyfikacyą zapewne.

— Może i nie mistyfikacyą. Niech państwo tylko ogłoszenie naodwrót przemienią: podane warunki w przyjęte zobowiązania, a przyjęte zobowiązania, w podane warunki przemienią. Między przyjętemi zobowiązaniami, lekarska instrukcya będzie już nie dziwactwa, ale prostej troskliwości dowodom; między warunkami możnaby też, prócz listu, jakiegoś praktyczniejszego świadectwa od piszącej i od każdej z jej tytułem zgłaszającej się osoby zażądać. Gdyby na przykład: kilkomiesięcznego przynajmniej uczęszczania lub stałego pobytu w jakiej ochronce?... Stawione wymagania uzupełniłoby się oznaczeniem przeznaczonego wynagrodzenia. Zobaczymy, czy się kto zgłosi. Konieczność zarobkowej pracy zaczyna coraz silniej kobiety różnego ukształcenia, na różnych stopniach towarzyskiej hierarhii, uciskać. Gdyby tylko była jakakolwiek pewność lepszych na tej pedagogicznej drodze widoków, pełno wdów, sierot i biednych panienek w tym kierunku kształcićby się zaczęło, a może dość już ukształconych znalazłoby się choć kilka. Przedewszystkiem trzeba, żeby miały jakąś rękojmię powodzenia i promyczek jakiejś zachęty. Czy państwo pierwsi dobry przykład dacie? No, zacznijmyż!

Zdaje nam się, że list nie jest wcale mistyfikacyą, w każdym razie upewnić czytelników możemy, że słowa w nim: „W wywiązaniu stosunków redakcya pośrednictwo swoje przyrzeka“ są zupełną prawdą.

SŁOWO PRZEDWSTĘPNE

DO DZIEŁ DYDAKTYCZNYCH

PANI HOFMANOWÉJ,

przez Narcyzę Żmichowską.

Teraz, kiedy w dalszym ciągu rozpoczętego wydawnictwa przyszło nam ściśle dydaktyczne dzieła pani Hofmanowej dla młodych czytelniczek przygotowywać, pewne wątpliwości nas ogarnęły: czy istotnie na te dzieła młode czytelniczki się znajdą? Chyba niema u nas ani jednej matki, coby z poszanowaniem i wdzięcznością nazwiska ich autorki nie wspominała; lecz ile też jest dorosłych i dorastających córek, któreby się z *Pamiątką po dobrej matce* gruntownie zaznajomiły? a ile takich, któreby choć z ważniejszych rozdziałów *O powinnościach kobiet* sprawę zdać mogły?... Dość często jeszcze spotykają się te książki po różnych bibliotekach domowych, ale zdaje się, że stoją na półkach dla kompletu w zbiorze tomów, a nie przechodzą z nich jakoś dla pożytku w ręce swoich właścicielek; odgrywają rolę poważnych zabytków przez ogół mniej lub więcej szanowanych, lecz z bezpośredniego użycia wykluczonych i szczególniej od lat

kilkunastu na zapomnienie skazanych. Otóż nikt temu nie zaprzeczy, bo każdy mógł to choć raz własnem doświadczeniem sprawdzić, że niema nowszych rzeczy, nad rzeczy zapomniane. niema dogodniejszych czasem, nad wiele takich, któremi się już posługiwać zaprzestano i potem niespodzianie odnaleziono je znowu.

Według naszego przekonania, chwila takiego odnalezienia dla pism dydaktycznych pani Hofmanowej nadeszła. Większa część, bardzo nieraz i wykształconych kobiot, zna je tylko z hurtownej, tradycyjnie przekazanej opinii, lub wnioskuje o ich treści z innych powieściowych tejże autorki utworów. Prawda, że autorka te utwory nawskróś moralnością swoją przejęła; od najkrótszej anegdoty, do dwutomowej powieści, każde spostrzeżenie, każdy obrazek, wykrzyknik każdy bólu czy radości, opis każdy charakteru czy zdarzenia, wszystko to jest żywym przykładem tylko, mającym uwydatniać różne zasady, w *Pamiątce* i w *Powinnościach kobiet* zawarte. Jak z samych przykładów jednak niktby sobie całokształtu, dajmy na to Gramatyki Kopczyńskiego lub Małeckiego, odbudować nie potrafił, tak z samych powieści pani Hofmanowej nikt o całokształcie jej nauki moralnej czystego wyobrażenia powziąć nie może. Ma pani Hofmanowa dotychczas wielbicielki swoje w młodej generacyi, ma i przeciwniczek niemało; te zarzucają, że je w zbyt ciasnych osadziła ramkach, że jej przepisy nie wystarczają na zaspokojenie twardych wymagań dzisiejszej rzeczywistości; tamte dowodzą, że ona najlepiej zrozumiała powołanie kobiety i najnieomylniejsze ku jego spełnieniu wykreśliła drogi. Jedne i drugie wszelako sądy swoje gruntują na tej tylko rozpowszechnionej wiadomostce, że pani Hofmanowa uznała kobietę niższem od mężczyzny stworzeniem Bożem, kazała jej być cichą, uległą, łagodną, zawsze czyjejś władzy poddaną i na czyjejś pomocy opartą. Rzeczywiście, jest tam o tem w *Pamiątce* i w *Powinnościach* szeroko i długo pisane; śmiało

przecież stronom spornym zaręczyć możemy, że gdyby tylko dwa te dzieła osobiście przeczytać zechciały, spotkałyby się z mnóstwem niespodzianek, a gdyby jeszcze nad datami wyjścia ich obu zastanowić się raczyły, wieleby przez to ciekawych objaśnień same sobie do udzielenia znalazły.

Dla rozumnej, dla żyjącej tu. na ziemi pradziadów, kobiety, jest to już poniekąd obowiązkową nawet rzeczą, aby ostatecznie sprawę sobie zdała, w jakim stosunku są jej własne o moralności pojęcia, do moralnych pojęć pani Hofmanowej. Nie mamy w tej chwili na względzie wewnętrznej takiego zestawienia korzyści. Choć wielką byćby mogła, mówimy tylko o ściśle naukowej powinności wiedzenia, jaką drogą doszło się chwili obecnej i z jakich pierwiastków wytworzyły się osobiste nasze przekonania, żebyśmy ich pierwiastkami przeciwnej natury nie zamącili, a jednak wszelkim odpowiednim dodatkiem podsycić i wzbogacić umieli. Tak zwana sprawa kobieca od pewnego czasu coraz poważniej ludziom stawiać się zaczyna. Ze wszystkich stron już nowe teorye, nowe ideały, i co więcej znaczy, potrzeby nowe przeciskają się do nas pod różnemi tytułami: emancypacyi, równouprawnienia, wolności kobiet i t. p. W powietrzu krąży mnóstwo pogmatwanych z sobą zagadnień; migają światła słoneczne, ale i wichry poświstują burzliwe. Jeszcze między nami nie wystąpiła przed trybunał opinii kwestya rodziny i współwładzy, jak to przy każdej sposobności we Francyi się zdarza, jak w Ameryce dość już często słyszeć podobno można; niemniej wszelako nacisnęła nas już kwestya oświaty, zarobku i niezależności, tak prawie, jak się w Anglii uczuć dała, jak tam ją zwolna rozstrzygać zaczynają. Mamy i my też stosowną do podjęcia takiej pracy porę. Żaden nagły a gwałtowny przewrót nas nie zaskoczył, przytomnej trzeźwości umysłu nam nie odjął, rozbudzonemi namiętnościami wrodzonego porządku wyobrażeń nie pomieszał; możemy gruntownie się zastanowić nad celem naszych dążności, możemy

obmyśleć skuteczne do osiągnięcia go środki, możemy własnemu lub drobnych dzieci wychowaniu nadać wprost w jego stronę zmierzający kierunek. Do takiego przygotowania się na przyszłość konieczne są sumienne z przeszłością rachunki. Kto się w podróż wybiera, musi przecież obliczyć nietylko ile ma funduszu, ale nawet w jakiej, zpod jakiego stempla monecie, żeby później przy wymianie zbyt wiele nie tracił. Do takich rachunków dzieła pani Hofmanowej są jedyną pomocą, a nawet gdzie tradycyi rodzinnej brakuje, są jedynym materyałem. Przed pół wiekiem odegrały tak ważną w ukształceniu kobiet polskich rolę, że dziś najmłodsze, częstokroć najoporniejsze czytelniczki wiele jeszcze wśród własnych nabytków z jej dziedzictwa mają.

Pani Hofmanowa nie była zwyczajną, mniej lub więcej utalentowaną autorką, która w mniej lub więcej udatnej formie wypowiada ludziom różne po jej głowie snujące się myśli; była ona bardzo długo organem wypowiadającym myśli, co się kobietom i o kobietach po wszystkich głowach snuły. Niepodobna jej ominąć, bo niepodobna wykreślić z początkowych dziesiątków bieżącego stulecia daty ogromnego wpływu, jaki *Pamiątka po dobrej matce* wywarła, ani skutków, jakie znów ten wpływ już był wywarł, gdy się we dwadzieścia lat później dzieło *O powinnościach kobiet* ukazało. Nie chcemy tutaj zasad autorki rozbierać; jest to przecież jej pism, nie naszych, wydawnictwo, a musielibyśmy nieuchronnie własne zdanie obok jej zdań wywodzić, czasem własne spostrzeżenia jej spostrzeżeniom przeciwstawiać. Ku temu szczupły zakres przedwstępnego słowa zupełnie się nie nadaje, a co więcej znaczy, z tem się pedagogiczne przekonania nasze nie zgadzają. Lepiej dać do czytania dwa stanowczo między sobą różniące się dzieła, niż jedno obciążone przydatkiem notatkowych uwag, które, jako cząsteczki z całości pewnego ustroju wyrwane, mogą mieć dla czytających inne, nie takie wcale jak dla piszącego, znaczenie. Wszelka

prawda, w polemicznej formie przedstawiona, traci na doniosłości swojej. Ocenienie moralnej dydaktyki pani Hofmanowej zostawiamy więc, i gorliwie nawet zalecićbyśmy chcieli, na pierwszą samodzielną pracę każdej młodej osobie, która już wieku rozumnego dorosła. To się zresztą i powyżej nieco zaleciło; dodamy teraz jedynie, że ta praca podobna może służyć za wyborny kamień probierczy do rozpoznania gatunkowości własnych usposobień. Zamiłowaniem, niechęcią lub obojętnością względem pani Hofmanowej możnaby mierzyć skalę uzdolnienia, kierunek popędów, nawet wnioskować o temperamencie kobiet naszych; my jednak i tego rodzaju ciekawej hieromancyi się wyrzekamy. Inne sobie wytknęliśmy zadanie: pragniemy przedewszystkiem podać zewnętrzną historyą znaczenia i wziętości, jaką pisma pani Hofmanowej między ludźmi miały, roztrząsnąć mniejwięcej powody, które na zachwianie ich powagi wpłynęły, i wytłumaczyć, czemu *Pamiątka po dobrej matce* zwłaszcza tak długo była prawomocną ustawą dla kobiet polskich, czemu dziś jeszcze jest ich „wielką kartą,“ *charta magna*, którą, jak w Anglii, rozwinięto, poodmieniano do niepoznania, ale której zniesienia niktby się domagać nie śmiał.

Może niejedna szesnasto, a jeszcze pewniej ośmnastoletnia główka (jeśli się tak stanowczem twierdzeniem naszem zaciekawi i *Pamiątkę* weźmie do czytania), przebiegając te wszystkie proste, zwyczajne rady przez dobrą matkę dla Amelii spisane, dziwić się będzie ogromnie: zkąd one niegdyś tyle rozgłosu miały? A chyba wcale wierzyć nie zechce, że w jej włanem wychowaniu, ukształceniu i pojęciach dotychczas jeszcze udział pewien mają. Zrozumiałaby to, gdyby w *Pamiątce* dośledziła jakiejś głębokiej erudycyi, lub jakiegoś Kolumbowego odkrycia. którem początek nowej epoki wybitnie odznaczyćby się dało; z tem właśnie nie spotyka się na kartach *Pamiątki:* ani brzeżeczka najdrobniejszej Guanahami; same rzeczy znane powszechnie i znane od tak dawna prze-

cież, że i w chwili ukazania się książki wszyscy o nich wiedzieć już musieli. Trudno temu zaprzeczyć, wiedzieli niby, a jednak książka, stosunkowo do wyznaczonego sobie zakresu, była najwięcej wpływową książką ze wszystkich, jakie się wtedy u nas drukowały. Była tak niemal wpływową w naszym kraju, jak niegdyś Emil Russa w całej Europie, a pewnie więcej, niż później *Edukacya postępowa* (Education progressive) pani Necker de Saussure we Francyi. Nie widzieliśmy przynajmniej, ani słyszeli, ani czytali o tem nigdzie, żeby rodziny francuskie jakiejkolwiek sfery towarzyskiej, lub opinii politycznej, córki swoje kształciły takim trybem, jaki pani Necker de Saussure zaleca, choć pani N. de S. jest wielką powagą pedagogiczną i dzieło jej daleko obszerniejsze, kunsztowniej ułożone i bardziej wymaganiom naukowym odpowiednie, niż nasza *Pamiątka po dobrej matce*. Tymczasem, jak na wzór Emila wszędzie próbowano mnóstwo dzieci wychowywać, tak według przepisów *Pamiątki* ze dwa pokolenia obywatelskich i mieszczańskich dziewcząt u nas wychowano. W każdej chwili możemy jeszcze rozeznać ślady tego, co się po pierwszym, i tego, co się po drugiej w zastosowaniu utrzymało. *Emil* zaiste przynosił z sobą nowe pomysły, śmiałe rozumowania, porywającą częstokroć namiętność stylu: *Pamiątka* cicha, skromna, pokorna, zupełne przeciwieństwo z nim stanowiła; niemniej przeto dzieje ich wpływu miały wiele ze sobą podobieństwa, a tylko jednę wybitną różnicę: Russo natychmiast prawie po ogłoszeniu *Emila* spotkał zawziętych nieprzyjaciół i teraz jeszcze surową spotyka krytykę; *Pamiątka* odrazu zjednała swej autorce współczucie kraju całego, a jej krytyki, również jak krytyki wszystkich innych, zwłaszcza dydaktycznych dzieł pani Hofmanowej, nigdy i nigdzie czytać nam się nie zdarzyło. Słyszeliśmy głosy niezadowolenia, lecz te zwykle poprzestawały na wypowiedzeniu osobistego przekonania w dysputach lub pogadankach bawialnego pokoju. Każde jawne, drukowane słowo

było zawsze słowem pochwały, czci i uznania, szczególniej też ze strony kobiet. Pani Eleonora Ziemięcka, która sama *Myśli* swoje o wychowaniu kobiet ogłosiła; pani Paulina Kraków, autorka tylu ulubionych dzieciom naszym powiastek, szanowana powszechnie przewodniczka naukowego zakładu; pani Seweryna D., usiłująca niegdyś wznowić i dalszym ciągiem poprowadzić redakcyą nieodżałowanych Rozrywek: wszystkie te znakomitości żeńskiej literatury jednozgodnym zawsze i zawsze pełnym uwielbienia o pani Hofmanowej odzywały się chórem. Dziwna rzecz, zpośród mężczyzn, których ona właśnie na tak wysokim postawiła piedestale, których żadną wymówką, żadnem zwątpieniem o sprawiedliwem użyciu ich fizycznej i rozumowej przewagi nigdy, zdaje się, nie obraziła—zpośród mężczyzn odezwał się głos jakiś niewdzięczny i po raz pierwszy w zeszłym roku z odczytem bardzo dla niej surowym wystąpił. Nie wiemy, czy zastanawiał się prelegent nad zasadami autorki, czy też swoje raczej przy tej sposobności rozwijał: czytaliśmy jedynie w sprawozdaniu kilku dzienników, że do współczucia słuchaczy nie trafił. Zdawaćby się mogło, jakoby pisma p. Hofmanowej wyższe były ponad wszelką krytykę. Ludzie wszelako nie wierzą w taką absolutną doskonałość na tej ziemi, i my nie wierzymy; spodziewamy się nawet, że cała osobliwość tak niezwykłego w zawodzie autorskim powodzenia dość łatwo dalszym ciągiem naszych objaśnień się wytłumaczy.

Najpierwej trzeba sobie przypomnieć, że kiedy panna Tańska w roku 1819 swoję *Pamiątkę po dobrej matce* wydała, pisząca kobieta w naszym kraju była dość jeszcze ciekawą rzadkością. Wspominano gładkie rymy ze Szlacheckiego dworku Elżbiety Drużbackiej; *Domownik* Wandy Maleckiej w rąkopismach od roku obiegał Warszawę, ale częściej damy z wyższego towarzystwa, lub takie wielkie panie, jak księżna Czartoryska generałowa ziem podolskich i córka jej księ-

żna Marya Wirtemberska do pióra się brały. Chwalono zawsze i bezwzględnie ich dzieła, prawdopobnie przez grzeczność rycerską, może trochę przez dworactwo, może przez to pobłażliwe zdumienie, przez które wkrótce miano w niebogłosy sławić siedmioletniego Józia Krogulskiego, nie żeby już muzyka jego była tak piękną, lecz że był taki maleńki... a może czasem chwalono przez poczucie sprawiedliwości, bo przecież między dzełami kobiet był i *Pielgrzym w Dobromilu*. Wogóle też chwalić jeszcze lubiono, skutkiem zapewne odziedziczonej po dwóch wiekach do panegiryków skłonności. Namiętna krytyka dopiero wtenczas głośno odzywać się zaczęła, gdy pierwsze walki klasyków z romantykami wybuchły. *Pamiątka* panny Tańskiej ukazała się w chwilach niczem niepodrażnionej łaskawości. Były też to chwile ogromnego w piśmiennictwie ubóstwa, a już rozbudzającej się umysłowych zajęć potrzeby. Za pruskich czasów książki bardzo zobojętniały naszemu społeczeństwu; za księztwa warszawskiego głucho się nagle zrobiło. Literatura umilkła. Kilkakrotnie już u nas pojawiały się synkopy tego rodzaju. Wielu dziś jeszcze przypomina sobie ostatnią zprzed 1841 roku. Kto był jej świadkiem, ten wie najlepiej, jak to trudno wtedy rozruszać sparaliżowaną publiczność, a jak łatwo jej się podobać jednak. Ludzie od czytania odzwyczajeni mało książek kupują, efemerydalne czasopisma z braku prenumeratorów jedne po drugich nikną, ale każdy gładszy wierszyk, każda poprawniejszej prozy stronnica witana bywa zachętą, życzliwością i drobnych kółek towarzyskich poklaskiem. Tak się i w pierwszych latach królestwa kongresowego działo. Wstępujący w zawód autorski niewiele wprawdzie manny, ale dużo zbierali laurów. Bardzo maluczkie rzeczy bardzo wielką na siebie zwracały uwagę, dostarczały przedmiotu do rozpraw najwykwintniejszym salonom stolicy, ważyły szalę powodzenia pism peryodycznych. Dosyć przeczytać to, co sama pani Hofmanowa o swoich synonimach bezimiennych na próbę w świat wyprawionych wspo-

mina. Takie niewinne synonimy! okruch podobno z gier towarzyskich uratowany i wygładzony, wszakżeć to i one dosyć hałasu narobiły, by młodej Klementynie pierwszy stanowczy zamiar autorskiej pracy nasunąć. Wśród tak przyjaznych okoliczności, uwzględnienia dla kobiet, przywyknień panegirycznych i szybko wzrastających literackich upodobań, łatwo można sobie wyobrazić, jakie wrażenie zrobiła całotomowa książka, przez „młodą Polkę“ napisana i ogłoszona. Były to jednak zewnętrzne tylko okoliczności: książka przynosiła z sobą ważniejsze daleko wewnętrzne warunki istnienia. Styl jej był potoczysty, starannie poprawny, a jednak pełen prostoty i za serce chwytającego wdzięku; przedmiot jak świat stary, ale w naszym kraju poraz pierwszy bez żartu, uroczyście, z dobrą wiarą i z dobrym celem w szranki literatury wniesiony. Że wszędzie ogromną wzbudził ciekawość, to nic dziwnego; dziwniejszem zdawaćby się mogło to, że wszędzie i wszystkim odrazu do przekonania trafił. Mężczyźni chwalili, kobiety się zachwycały. Panna Tańska, naprzekór przysłowiu, które mówi, że „jeszcze się ten nie urodził, coby wszystkim dogodził,“ dokazała tego cudu niesłychanego i wszystkim, ale to wszystkim dogodziła.

Cud się spełnił zupełnie naturalnym sposobem, według praw odwiecznych i nieuchylonych, a jak w tym wypadku, to do zjawiska równowagi zastosowanych. Gdybyśmy to upartem dziś wyrażeniem lepiej objaśnić mogli, tobyśmy powiedzieli, że *Pamiątka* stanęła *al pari* z całym zasobem wyobrażeń czytającej ją publiczności. W epoce jej narodzin zachodziły u nas pewne różnice opinij w kwestyach politycznych, społecznych, naukowych i religijnych; lecz co do kwestyi kobiecej, tej wcale jeszcze nie było. O stanowisku kobiet, o ich wychowaniu i obowiązkach, wszyscy, nie wyłączając samychże kobiet, jedno wspólne zdanie mieli, i panna Tańska zupełnie się z owem zdaniem zgodziła.

Kiedy mówimy „jedno zdanie,“ tobyśmy powinni

raczej liczby mnogiej użyć, bo zdań już było dosyć i nie wszystkie nawet tak przystawały do siebie, jak trójkąty równoboczne; owszem, między zdaniami temi, czasem bardzo nierówno powykrawane boki dotykały się wzajemnie, ale tworzyły jednę, ogólną figurę geometryczną tem odznaczającą się, że w każnej głowie pomieścić się mogła i do każdego mózgu przystawała. Nie była to zresztą nadzwyczajność, jedynie chwili ówczesnej właściwa; gdybyśmy chcieli sumienny z całego zbioru własnych naszych pojęć zrobić obrachunek, pokazałoby się, że jeszcze nietylko o sprawie kobiecej, ale o wielu innych sprawach tego świata i życia, ja, ty i on, my, wy i oni, wszyscy mamy w głowie takie odłamki wcale nie według zasad matematyki ułożonych figurek. Po każdym społeczeństwie krąży zawsze pełno prawd ogólnikowych, pełno maksym, zdań, przepisów, które jakoby niewidzialnym cementem piaskowe ziarnka ludzkich osobników w trochę więcej spoiste, jednolite bryły łączą. Są-to odziedziczone z najdalszych wieków klejnociki, wypróbowane recepty, są czasem wręcz przeciwne sobie rady i przestrogi, żadną napozór niteczką logiczną niezwiązane, a mimo to, równie wiarogodnemi przykładami doświadczenia poparte: słowem, jest pewna masa szczerozłotej mądrości z różnego czasu na zdawkową monetę przebita i w obieg dla wygody, jako też bezpieczeństwa tłumów, wypuszczona. Stanowi ona prawdziwą własność gminną, pradziwy komunalny majątek ludzkości, no, i trzeba rzec rażące słowo: do niej wszystkie *komunały*, wszystkie, czyściej po polsku mówiąc, *pospolitości* należą. Z komunałów, z pospolitości żartujemy sobie wesoło; jednakże najświetniejsze odkrycia, najdowcipniejsze wynalazki, najrozumniej i najnieomylniej dowiedzione prawdy póty są przywilejem tylko szczęśliwych i uzdolnionych, póki do tej skarbnicy nie wpadną. Kapłani egipscy posiadali niewątpliwie głęboką znajomość tajemnic natury, zdaje się, że wiedzieli o niej szczegóły, dotychczas jeszcze dzisiejszym uczonym nieznane; lecz cała ich

wiedza przepadła, bo się nie upostaciowała i nie rozeszła w tej komunalnej formie, jaka później streściła dla maluczkich tylu innych mędrców i tylu innych badaczy zdumiewające pomysły. Dziś lada prostaczek umie tę doskonałą proporcyą ułożyć, że nie wolno tego czynić bliźnim naszym, czegobyśmy nie chcieli, żeby nam bliźni nasi czynili; lada dziecko powtarza, że ziemia koło słońca krąży w przestrzeni. Jakież to grube ciemności zalegałyby jeszcze dzieje świata, gdyby dla dowiedzenia się chociaż o tych dwóch prawdach tylko, każdy musiał pierwej osobiście astronomii i wszystkich artykułów kodeksu się uczyć! Istotnie, po geniuszu, który objawia coś użytecznego i zbawiennego, największym dobroczyńcą ludzkości jest krzewiciel, rozsiewca, propagator, który coś zbawiennego i pożytecznego upowszechnia.

Panna Tańska była w swoim rodzaju niezrównaną krzewicielką, rozsiewczynią, propagatorką. Z wrodzonym sobie darem spokojnego wdzięku umiała w obieg puścić najnowsze swej epoki wyobrażenia, pod osłoną najstarożytniejszych zasad. Słusznie powiedziano, że jej talent miał wiele z talentem Reja podobieństwa. Może dlatego nawet, jak sama w swoich notatkach wyznaje, czuła pewien pociąg do tego autora i najdłuższe z niego wyjątki w Wiązaniu młodej Polki podała. Rej wprawdzie jest bardzo rubasznym, a był niemal heretykiem: panna Tańska, przeciwnie, jest zawsze surowo przyzwoitą, ale była też niemal emancypantką. Pominąwszy nawet, że zupełnej używała niezawisłości, że choć młoda i niezamężna, prowadziła dom otwarty, przyjmowała u siebie gości płci obojej, że obywała się bez wszelkiej opieki starych ciotek, krewnych, czy jakich płatnych do towarzystwa matron: jeszcze o tem pamiętać trzeba, że wystąpiła z żądaniem naukowego wykształcenia dla kobiet, a cnót obywatelskich od kobiet. Skutkiem tych sprzeczności i podobieństw, tak Rej, jako i panna Tańska, oboje wybornie odzwierciedlili średnio proporcyonalny stopień cywilizacyjnego wzniesienia swej

epoki; oboje w dziełach swoich z nieposzlakowaną wiernością, na tle prawd niezmiennych, osadzili napływowe prawdy chwili bieżącej; oboje też. zdrowe rady niosąc współczesnym, drogocenny historyczny obrazek dla potomnych zgotowali. *Pamiątka po dobrej matce* w trzysta lat blizko uzupełniła *Wizerunek poczciwego człowieka*, takiego, jakim był zapewne niejeden w XVI wieku u nas, „wizerunkiem poczciwej niewiasty“ takiej, jaką niejedna było w 1819 roku. Bezwątpienia Rej nie mógł walczyć o lepszą z Grzegorzem z Sanoka, ani z Frycem Modrzewskim, nie przynosił nic nowego, choć pisał i o tem, co wtedy jeszcze nowem było; Rej niczego nie zmienił, nie objawił, ale czystem echem powtórzył to, co najlepszego wówczas ludzie między sobą gadali; i *Pamiątka po dobrej matce* nic też nowego w świat nie rzuciła; żadnej nowej teoryi, żadnego systemu nie wniosła, ale po raz pierwszy wyraziła w pięknej formie to, co już dawno wszyscy powtarzali, z przydatkiem tego, co od niedawna powtarzać zaczęli, a ze szczególnym zwrotem na to, co wśród rzeczy powtarzanych najlepszem i najgodniejszem do zachowania dla przyszłości było. Panna Tańska w *Pamiątce* tak silnie dotrzymała wątku tradycyi, że córka jej *dobrej matki*.byłaby mogła niezawodnie w dobranej parze ze wskrzeszonym synem Rejowego szlachcica przed ołtarzem stanąć, a mimo to dodała jej sercu i głowie tyle zapracowanego przez ciąg trzech wieków bogactwa, że mogłaby też i dzisiaj być szczęśliwą zacnego męża żoną.

A jednak, mimo tak świetnej wynikłości, coraz więcej przybywa kobiet bardzo moralnych i bardzo wykształconych, którym przecież moralność i wykształcenie według pierwowzoru Pamiątki wcale już do przekonania nie trafia. Kto chce sobie tę osobliwość jasno wytłumaczyć i pierwszy a najważniejszy utwór panny Tańskiej bezstronnie ocenić, ten powinien koniecznie zwrócić uwagę na składowe jego części. Są w nim trzy niby żywioły pomieszane, lecz nie złączone, każdy innego gatunku, każdy inaczej w czasie

ustosunkowany i każdy tak dobitnie od dwóch drugich odstający, że go z łatwością po chwili zastanowienia rozpoznać można. Najpierw tedy jest żywioł przedwiekowy, a raczej wiekuisty: część *praw* i *zasad*; potem jest żywioł chwili bieżącej: część *historyczna* niejako i *pamiętnikowa;* jest nakoniec żywioł przyszłości: część rad i życzeń, część *postępu* i *krzewicielstwa.*

W części pierwszej, którąby dla skrócenia *zasadniczą* nazwać można, p. Tańska zgromadziła wszystkie owe prawdy niezaprzeczalne, wszystkie ogólniki od niepamiętnych czasów rozpowszechnione i uznane, wszystkie owe komunały i pospolitości, które sobie ród ludzki ciężką pracą zdobył i do umożliwienia dalszego bytu, jeśli niezupełnie jeszcze w naturze i skłonnościach, to przynajmniej w sumieniu, w ustawach, warunkach cywilizacyjnych wszech ludów wyrył głęboko. Zaraz w naczelnym, choć drugim zrzędu rozdziele, *o płci żeńskiej,* p. Tańska fundamentalne całego dzieła kładąc założenie, tak się odzywa:

„Przyrodzenie mocą udarowało mężczyznę, bo obronę słabszych, sprzeciwianie się niesprawiedliwości, karę występku jemu powierzono. On krew swoję na placu bitwy wylewa, mądre pisze ustawy, pilnuje ich wykonania, kraje podbija, wznosi, broni ich i rządzi niemi; słowem, jest mężczyzną. Czulszą i słabszą Bóg stworzył kobietę: łagodzić, miękczyć, uszczęśliwiać śmiałego swego towarzysza powinna.

...Kobieta słodka, cierpliwa, uprzejma, skromna, rozsądna, kobieta taka, jaką być powinna, cechę niebieskiej istoty na sobie nosi...

...Wtenczas kiedy, mąż oddalony od domu, nad polepszeniem stanu swych współbraci czuwa, wykonania sprawiedliwości, dobrego porządku strzeże, dla dobra ogółu, lub na utrzymanie swej rodziny pracuje —działa także czynna żona. Mniej znakomite, lecz równie użyteczne są jej domowe zatrudnienia: utrzymuje przyjemne ochędóstwo, rząd w domu, miły spoczynek; gotuje mężowi po pracy i uprzyjemnia tkliwą miłością czarne niekiedy pasmo dni jego życia. Przy niej rozkosz żywsza, a smutek traci połowę goryczy; ona mężowi niekiedy dodaje nawet odwagi, dobre

czasem dać mu może rady i tym sposobem, lubo skrycie, użyteczną stać się światu. Cóż dopiero, kiedy zostanie matką...

...Przywiązanie dobrej matki wieczną pamięć w sercach ludzkich zostawia. Cnotliwy młodzieniec z zapałem o niej mówi, a sędziwy starzec zapomni o miłości, o sławie, znaczeniu. a na wspomnienie matki skropi łzą cichą zorane wiekiem lica...“

Wszystko to piękne i zacne; wszystko to prawdy zasadnicze, których nie można usunąć ani z podwalin społeczeństwa, gdzie je węgielnym kamieniem obowiązku wmurowano, ani ze wzniesionej nad społeczeństwem kopuły, gdzie jako lampa ideału zawisły. Pierwszym więc punktem wyjścia dla panny Tańskiej jest, jako widzimy, r o d z i n a. Pewnik równie niezachwiany, jak ten, co go się przy wstępie do nauk matematycznych spotyka: „część jest mniejszą od całości; całość jest zbiorem wszystkich swoich części.“ O ile ludzkość, o ile to lub owo społeczeństwo jest pewną całością, o tyle musi mieć swoje części, molekuły, rodziny: człowiek pojedynczy, rodziną nieotoczony, będzie w niej tylko... atomem. Pewnie jednak, prędzej czy później, młode czytelniczki nasze dowiedzą się, że jako w dalekiej starożytności, tak i w najnowszych czasach wznosiły się różne głosy przeciw rodzinie i małżeństwu; zacząwszy od starego Platona, skończywszy na Furyerze we Francyi i nihilistycznych romansach tu i owdzie drukowanych, układano różne plany innego w świecie ludzkim porządku, dlatego że ten, który istnieje, ani szczęścia nie zapewnia, ni wolnej woli człowieka dość nie uszanuje... Ile razy nam się zdarzyło słyszeć i czytać takie rozburzające wiekuistą moralność dowodzenia, takie grożące jej trwałości teorye, natychmiast przypominały nam się drugostronne dziwactwa fakirów indyjskich i europejskich ascetów, którzy, dla chwały Pana Boga mydła i wody się wyrzekłszy, brudem porastali. Przypominałam sobie wtedy wszystkie znajome sobie matki, jak się krzątały i trudziły, żeby swoje maleństwa do schlu-

dności nałożyć! Serce je nieraz bolało, gdy przy myciu rozpieszczone płakać i wrzeszczeć zaczęły; nic to nie pomogło jednak: matki myły odważnie, czesały, kładły świeżą bieliznę, ja podziwiałam cierpliwość i heroizm; aż tu później chciano mię przekonać, że dopełnienie owej najprostszej i koniecznej macierzyństwa powinności: zaszczepiona w naturze dziecka potrzeba ochędóstwa, miało być dorosłemu za przeszkodę na drodze ku świętości poczytane, a wyrzeczenie się tych ciężko nabytych przywyknień, udaremnienie tych poczciwych starań kilkoletnich miało być najwyższej doskonałości świadectwem! Toż i ludzkość, przez długie wieki, jak troskliwa matka czuwała i czuwa jeszcze nad obmyciem coraz większej ilości swych dziatek z geologicznego brudu ich przedpotopowych instynktów, żądz, namiętności, nad zaszczepieniem w naturze zstępnych pokoleń swoich coraz głębszego poczucia cnót i coraz wznioślejszego pojęcia obowiązków rodzinnych.

Aż strach bierze pomyśleć, ile to wojen, napadów, rozbojów złożyło się na wykrzesanie jakiegoś przywiązania do ogniska domowego, na wytworzenie jakiejś odrębności rodzinnej w dzikich gromadach luźnie błąkających się po stepach, lasach i górach, a gdy nakoniec zbudziły się szlachetniejsze popędy, ile bohaterstwa potem, ile ofiar dobijało się tego prawa, które dziś jest najnaturalniejszą i najściślej obowiązującą ustawą: prawa rodziców do wychowania swych dzieci, prawa dzieci do znania i szanowania swych rodziców. Miałożby to skupianie się jednostek u szczytu najlepszości swojej znów w pierwotne ziarnka się rozkruszyć? No, bądźmy spokojne, ani mydlarze nie zbankrutują na zbytniej swych bliźnich pobożności, ani książka nie znicestwi dziejów, ani żadna teorya nie uchyli dokonanego faktu: rodziny. Póki zaś rodzina stanowić będzie zawiązek, molekułę ludzkości, póty jedynie taka rodzina, jaką p. Tańska przedstawia w *Pamiątce*, będzie rodziną moralną i szczęśliwą: mąż

silny, dzielny, śmiały; żona łagodna, skromna, domową pracą zajęta; dzieci w miłości zrodzone, dobremi przykładami rodziców w zgodzie wychowane. Wiele jest zaiste okoliczności, wyobrażeń i zwyczajów, które szkodliwie na stosunki rodzinne oddziaływają; wiele jest rodzin niemoralnych i nieszczęśliwych, tak samo, jak wiele jest osób zasmolonych, robactwem oblazłych i wcale od dzieciństwa do czystości niewdrożonych: to wszelako nie zbija zasady p. Tańskiej, owszem, udowadnia ją właśnie, bo rodziny są niemoralne i nieszczęśliwe nie dlatego, iż są rodzinami, ale dlatego, iż się nie zekształtowały według tej modły wzorowej, jaką p. Tańska zastała już na świecie między ogólnie uznanemi prawdami, jaką dla użytku młodych pokoleń powtórzyła, jaką wy same, dziś młodem pokoleniem będące, jeszcze młodszym od siebie w spuściźnie przekażecie. Oto więc macie wskazaną wartość pierwszego i głównego komunału *Pamiątki*. Wszystkie następne z niego się snują i do niego wyłącznie zwracają. Niektóre są podane w całej nieozdobnej prostocie swojej. *O powierzchowności* pisząc, autorka własne rady i uwagi na tle bardzo powszednich maksym rozwija:

> „Ganię tych, co sądzą ludzi z powierzchowności, bo często pozory są mylne!... Często się też zdarza, że najpiękniejsza postać próżną głowę i próżne ukrywa serce, a kształt ciała brzydki i nieforemny najrzadsze zasłania przymioty... Sam Sokrates cenił piękną i ujmującą powierzchowność i sądził, że piękna dusza w pięknem i zdrowem ciele największym jest przyrodzenia darem. Tegoż zdania jestem...“

Kiedy *o domowych i kobiecych zatrudnieniach* pisać jej przychodzi, wręcz od wiadomej wszystkim, niezaprzeczalnej i oklepanej zaczyna prawdy:

> „Kto chce być spokojnym, wesołym, szczęśliwym, kto chce uniknąć nudów i zasłużyć na imię godnej szacunku i użytecznej istoty, ten niech zawsze czynnym będzie.“

Ale też w wielu miejscach te rzeczy wiadome i niezaprzeczalne umie nieraz panna Tańska podeprzeć jakiemś słówkiem, jakimś zwrotem, co je w pamięci i we wrażeniu odświeża:

„Nic szanowniejszego nad zdrowie; samę tylko cnotę przekładać nad nie powinnaś.“

Święte słowa! na sercu każdej rozumowo pełnoletniej dziewczyny, ach, i każdego niepełnoletniego rozumowo młodzieńca chciałoby się je wyryć nigdy niezatartemi zgłoskami. *Potrzebę łączenia piękności duszy z pięknością ciała*, rzecz o której bezwątpienia wszyscy od wieków byli, są i na wieki będą przekonani, niemniej wdzięcznym obrazkiem zagaja:

„Czyż nie jest sprawiedliwie, aby kwiat przewyższał w piękności naczynie, w którem rośnie? aby obraz kosztowniejszym był od ram go otaczających? Ciało nasze do ram i naczynia, duszę do obrazu i kwiatu przyrównać można.“

Te przyrównania właśnie ogromne w swoim czasie miały powodzenie i zachwycone czytelniczki na pamięć się ich uczyły. Każda stronnica książki coś podobnego przedstawia, ostatni rozdział wreszcie jest całego jej ducha streszczeniem, a zapewne dziś jeszcze wszyscy się zgodzić muszą na podane w nim rady:

„Amelio! szukaj szczęścia w cnocie i w samej sobie, znajdziesz je bez długich zabiegów; zupełna ufność w Najwyższym, świadectwo sumienia, te skarby najdroższe człowieka, zapewnią ci szczęśliwość na zawsze. Bądź umiarkowana w żądaniach swoich; pragnij tego tylko, co się z łatwością stać może, i pragnij tak słabo, abyś dotkliwej nie uczuła boleści, gdy i te żądania spełnionemi nie będą. Kochaj rozsądnie, *kochaj tylko osoby godne kochania.* Przestawaj na tem, czego odmienić nie możesz, bądź zadowolona ze stanu, z losu twego. Nigdy niczego nie zazdrość nikomu. Nie wymyślaj sobie nowych obowiązków, własne

ściśle dopełniaj; *ceń wyżej powinność nad ofiary*, dobre mniemanie u ludzi przekładaj nad głośne imię; dbaj więcej o spokojność, niż o dostatki. Surowa dla siebie, baczna na najmniejsze postępki, nie zastanawiaj się bardzo nad drugimi...

Dbała o zdrowie swoje, nie bądź zbyt troskliwą; czuła na cudze zgryzoty i cierpienia, usiłuj jaknajmniej uważać na własne; pamiętaj, że każdy człowiek cierpieć musi i że zbytnie w tem życiu szczęście możeby w nas nadzieję przyszłej szczęśliwości zatarło. Ile możności wspieraj nieszczęśliwych i czyń przysługi; nie wymagaj wdzięczności, a niewdzięcznych nie napotkasz nigdy. Miej gust w pracy, niech zatrudnienie najmilszą będzie dla ciebie rozrywką; czytaj mało, ale dobrane książki, zawczasu pracuj nad ozdobą umysłu swego: zasiewaj z młodu, abyś w późniejszym wieku zbierać mogła. Nie zaniedbuj talentów od przyrodzenia ci nadanych i z pracą nabytych; tak w cnotach, jak w naukach, nie wstecz, ale naprzód idź zawsze. Nie mów, że kiedyś dołożysz starania do nabycia nowych cnót i wiadomości; nie odkładaj na jutro, co dziś uczynić możesz; nie czekaj życia: *żyj w obecnej chwili*...“

Może znalazłoby się wśród tych ogólników parę takich, coby więcej szczegółowego potrzebowały objaśnienia; na przykład tam, gdzie autorka o umiarkowaniu w żądaniach mówi, niezawodnie czytelnicy domyślali się, że to miało ograniczone do osobistych przyjemnostek znaczenie: ani cnoty od własnych dzieci, ani uczciwego postępowania od najbliższych swoich, ani możności użytecznej pracy dla siebie nigdyby panna Tańska „tak słabo“ pragnąć nie kazała; cały ten spis przedstawiał więc i przedstawia same zdrowe i bardzo zbawienne rady; nikt przeciw nim z zarzutem wystąpić nie mógł, a co więcej, nikt o ich spowszedniałość nie mógł się prawować, gdyż panna Tańska pierwsza je zebrała i w katechizmową całość ułożyła. One też *Pamiątce po dobrej matce* odrazu moralnego katechizmu powagę nadały, one jej długotrwałą wziętość zapewniły.

Część, którąśmy historyczną i chwili bieżącej żywiołem przejętą nazwali, inne przechodziła koleje. Zpoczątku najwyżej ceniona, najwięcej potem wywo-

łała niechęci i taką względem wszystkich dzieł dogmatycznych pani Hofmanowej wzbudziła nieufność, że je stopniowo w obojętnego zapomnienia usunęła ciemnicę. Są w tej części różne przepisy i prawidła, które już po kilkunastu latach zaczęły być strasznie niewygodne, a wśród teraźniejszych okoliczności wyglądają częstokroć, jak trzewiczki z bandażami przy skórzanych na grubej podeszwie bucikach. Im bardziej rażą jednak, tem bardziej dla nas zajmujące być powinny. Uważnej czytelniczce zabłysną nieraz istnie fosforycznem z grobowca przeszłości światełkiem; wmiarę zaś jak rodzinne albo książkowe wspomnienia rozjaśnią jej pojęcie ubiegłej przed półwiekiem epoki, wiele ustępów, dziś za niewłaściwe i płonne poczytanych, wytłumaczy się zacną pobudką lub wcale godziwą praktycznością. Żeby mniej wprawne umysły na tór słuszniejszych komentarzy wprowadzić, weźmy pod rozbiór kilka chociaż z takich przebłysków czysto pamiętnikowej natury.

Rozdział o *Zdrowiu* pełno ich przedstawia. Z samej wzmianki o spazmach już mnóstwa ciekawych rzeczy dośledzićby można. Zkąd ten przycisk położony na chorobę, o której dzisiaj jak o innych tylko cierpieniach histerycznych się słyszy? Jedno słówko objaśnia, że ztąd zapewne, bo je udawano. Ale czemu udawano? Niezawodnie dlatego, iż łatwiej było udać, niż inną chorobę, a udającym musiało to jakieś korzyści przynosić. Kiedy przecież śmiano się z nich i nie wierzono im wcale? Wierzono pomimo szyderstwa, gdyż niewątpliwie jak teraz, tak i wtedy zdarzały się prawdziwe, a niebezpieczne wypadki. Czemuż teraz o udawaniu nie słychać? Zmieniły się okoliczności i usposobienie kobiet się zmieniło. Długa to, nadzwyczaj długa historya! Trzebaby ją rozpocząć chyba na dworze Stanisława Augusta; zaczepić o sentymentalną starościnę w Niemcewiczowskim Powrocie posła; opowiedzieć straszliwe kataklizmy, które koniec XVIII i początek XIX stulecia odznaczyły; przypomnieć ten rok 1812, co go żadna matka

i kochająca żona bezkarnie nie przeżyły; trzeba rozejrzeć się w pierwszych latach uciszenia po tylu burzach gwałtownych: lecz wszystko to jedno z drugiem wymagałoby osobnej całotomowej rozprawy. Myśmy tutaj gdzieniegdzie ledwie główne punkta wytknęli, ażeby czytelniczki nasze same dosnuły sobie wątek różnych przeobrażeń, jakim prawdziwa i nieprawdziwa choroba spazmów ulegała, jakiemi modna spazmatyczka w modną lwicę się zamieniła i jakie na niejednę dziś żyjącą, młodą kobietę naszę bodaj czy tak nie wpłynęły nawet, że z lubością sobie marzy o śmiałych amazonkach, o dzielnie pływających najadach, o Dyanach z fuzyą zamiast kołczana przez pola pędzących, o idealnem jakiemś upojeniu ruchu i przeszkód zwalczonych, o rozwoju spotęgowanych władz ciała i wrażeń fantazyi, a jeśli przyzna się w duchu, że ze sto razy odegrała komedyą niezachwianej odwagi, to może z czystem sumieniem ręczyć przynajmniej, że ani razu do głowy jej nie przyszło, by komedyą lękliwości odegrać. Co tej różnicy powodem? śledząc powodu, najlepiej właśnie każda z was się przekona, ile to pamiętnikowych ciekawości zaznaczyło się w tych kilku wierszach trzeciego rozdziału:

> „a nadewszystko unikaj zbytecznej czułości... nadweręży ci nerwy i sprowadzi słabość, tak powszechną teraz między kobietami, którą spazmami nazywają; słabość wyśmianą od tych, którzy jej nie znają, szkodliwą osobom, co ją ze szczególnej przesady czy próżności udawać zwykły, przykrą tym, które jej wistocie podlegają. Młoda osoba wiedzieć nie powinna o tym rodzaju choroby....“

Następują potem przepisy tradycyjnej prababek i pradziadków naszych higieny, cenny nawet dla sztuki lekarskiej zabytek:

> „niech ci proste potrawy najlepiej smakują; strzeż się wszelkich mocnych trunków; słodyczy, cukrów jaknajmniej używaj (panna Tańska była przekonana, że jej dziadek Czempiński z tego umarł, iż codziennie cukierki jadał. Może to i prawdą było. Da-

wniejsze organizmy nie potrzebowały naddatkowego odżywiania, ale co im szkodzić mogło, dziś wątlejszym pomaga i klątwę z cukierków już zdjęto: wielu młodym osobom w kuracyach je zalecają; nawet stare wino i porter przepisują!...) Bez szkodliwych pachnideł, szczególniej też bez piżma, łatwo się obejść możesz; niech ubiór twój będzie niewyszukany, jak cały sposób twego życia... Przyzwyczajaj się do znoszenia niewygód: kto zanadto się pielęgnuje, ten nie wytrzyma najmniejszej przykrości i lekki powiew wiatru zaszkodzić mu może. Nie odrzucaj przycięższych cokolwiek robót, bo te siły wzmacniają: strzeż się zbytniego ciepła w ubiorze twoim, mieszkaniu, pościeli; nie bój się słoty, zimna i niepogody. Jednakże nie jest mojem zdaniem, żeby zanadto się hartować: zbytek we wszystkiem szkodliwy..... Świeże powietrze i umiarkowane poruszenia utrzymują nas także w zdrowiu... niech codzień okno w twoim pokoju przynajmniej na pół godziny otwartem będzie.

Póki tylko możesz, obchodź się bez lekarstw i doktora, ale kiedy słabość zagraża niebezpieczeństwem lub długiem cierpieniem, nie używaj żadnych domowych leków, poradź się lepiej człowieka biegłego w swej sztuce, miej w nim zupełną ufność i słuchaj go we wszystkiem.“

To już byłoby trochę zapóźno. Czy słabość zagraża, czy nie zagraża niebezpieczeństwem, lekarz tylko rozpoznać może; lepiej go zbyt wcześnie, niż zbyt późno zawezwać, często bardzo w porę użytym środkiem można śmiertelniej chorobie zapobiedz. Dzisiejszy ten komunał. w czasach panny Tańskiej, jak widać. był dopiero naukowem zdaniem. Niemniej przeto wszystkie owe upomnienia mają dla nas rzeczywistą jeszcze i bezpośrednią wartość. Czuje się, że je zdrowe jakieś i krzepkie pokolenia w rocznikach doświadczeń ludzkich zapisywały, tylko z tem bieda największa, że obecnie ród zwątlałych potomków opacznie czyta niektóre szczegóły. I tak, gdy się zaczęło oddziaływanie przeciw spazmatyczkom i omdlewającym heroinom, oddziaływanie w znacznej części pismami pani Hofmanowej wywołane, zbytek pielęgnowania się ustąpił zbytkowi niedbałości, a to, co miało być przyzwyczajaniem się do niewygód, przeszło w zabroniony właśnie nadmiar hartowności.

Możnaby sądzić niemal, że dziś żadna młoda osoba między temi synonimami najlżejszej nie przypuszcza różnicy; ogromne powodzenie uzyskała ta jedynie przestroga, żeby się „nadto nie pielęgnować.“ To też wy, młode panienki, a nawet żony i matki, nigdy się nadto nie pielęgnujecie, choć co prawda, wcale nie jesteście przyzwyczajone do znoszenia niewygód. Bo też niewygoda zupełnie co innego, a wasze niepielęgnowanie się zupełnie co innego znaczy. Niewygoda, to ciasny pokoik, twarde łóżeczko, ranne wstanie, gruba choć czysta bielizna, niewyściełane mebelki, prosta bryczka, bodaj nawet jednokonny wasążek, domowy oprzęt, ustąpione lepsze miejsce i różne t. p. rzeczy, różne towarzyskie, na próżność, nie na płuca lub żołądek działające, przykrości. Wasze zaś niepielęgnowanie się, to poprostu zapomniana chustka, kiedy się z ogrzanego pokoju przez zimną sień przechodzi; niewłożony ciepły berlacz, kiedy po śniegu biegać wypadnie; szklanka mroźnej wody chciwie wśród zmęczenia i gorąca pochłonięta, albo zamiast wachlarza na przestrzał okno otworzone, słowem wszystkie owe nieroztropne lekkomyślności i płoche junactwa, że już o próżnostkach mody, o szkodliwych dla zdrowia przywyknieniach, o nocnem czuwaniu, kosmetykach, ciężkich perukach rozpalających głowę mówić nie będziemy. Takiego rodzaju niepielęgnowanie się wasze bynajmniej zahartowaniem nie jest; jest ono ciągłą pogróżką tylko dla tych co was kochają, marnotrawstwem czegoś więcej niż życia, bo zdolności umysłowych, i czegoś więcej nawet niż osobistego szczęścia, bo silnej woli i spokojnie wytrwałego charakteru, od których władza nad szczęściem zależy.

Prócz takich dłuższych ustępów, są jeszcze tu i owdzie krótkie, oderwane wyrazy, które przez czas ów kilkodziesięcioletni archeologicznej już nabrały wartości: często wspominana *czułość* przywodzi na myśl całą epokę rewolucyi francuskiej; nigdy tak wiele o czułości nie mówiono, jak podczas terroryzmu.

Robespierre razporaz na czułość swoję się powoływał, i dziwna rzecz, ciągłe użycie tego wyrażenia najzawziętszym przeciwnikom swoim w puściznie zostawił. Dzisiaj coraz rzadziej z *czułością* się spotykamy; po większej części *tkliwość* ją zastąpiła. W innem znów miejscu czytamy o naśladowaniu „strojów greckich,“ to znów dyrektoryat we Francyi i świetne dni pierwszego Cesarstwa na myśl przywodzi. No, jakie to było naśladowanie!... życzylibyśmy naszym paniom dawne dzienniki mód przejrzeć; „dziś mnie, jutro tobie“ stoi zwykle na wielu kamieniach grobowych, niechże i piękne panie pomyślą tylko, że tak będą kiedyś na portretach i fotografiach swoich, jak te figurki na starych „żurnalach“ wyglądały. Nie wyszukując przecież innych, równie kosztownych zabytków, najważniejszy z nich jeszcze uwadze czytelniczek wskazać musimy. Wiadomo, że jak pierwszy dział *Pamiątki po dobrej matce* przedstawia głównie obowiązki względem samej siebie, tak następny zajmuje się wyłącznie *cnotami potrzebnemi kobiecie*; ich wyliczenie rozdział *o prawdziwej pobożności* otwiera. Dwa wyrazy w tytule. Niejedna młoda panienka spojrzy, będzie jej się zdawało, że już wie o co chodzi i kartkę spokojnie przewróci. O! prosimy się zatrzymać! te dwa wyrazy, to bardzo zajmujący staloryt; streściły w sobie ważną choć przelotną chwilę naszej religijnej historyi; malują wiernie usposobienia naszych wykształconych ludzi ówczesnych, atmosferę w której panna Tańska żyła jeszcze wtedy i doskonale też uwydatniają zwierciadlaną stronę jej talentu. W rok, we dwa lata później, pisząca położyłaby u góry: *O pobożności*, i toby jej wystarczyło, jak się pokazuje, że istotnie wystarczyło, gdy naukę moralną w instytucie guwernantek wykładać zaczęła, i gdy na krótko przed śmiercią swoją, potem, wykład ów, jako dzieło *O powinnościach kobiet* do druku podała; znać jednak, iż dla blizkich z tego czasu znajomych, dla przeważającej w całem towarzystwie opinii, dla odparcia często spotykanych zarzutów, ten dodatek

„prawdziwej“ musiał jej być koniecznie na razie potrzebnym. Wśród określeń, które wszędzie u niej mają pewność prawd wiekami uświęconych, tutaj jedynie przebija się mimowolnie jakaś chęć usprawiedliwienia, wytłumaczenia swego przedmiotu, uspokojenia niby podejrzeń przez niego zbudzonych; rzeczywistą treść jego objaśnia przez mniej i więcej (*plus* i *minus*), przez dodatność i ujemność.

„......chcesz być zawsze jednakowo szczęśliwą, niech prawdziwa pobożność napełnia twą duszę.... Nie zakłada się ona u mnie tylko na odmawianiu pacierzy, na zwiedzaniu kościołów, na rozdawaniu publicznie jałmużny, na surowem drugich upominaniu, słowem na samych powierzchownościach, częstokroć próżnych i mylnych; ale raczej na wielbieniu Boga w duchu i w prawdzie, na żywej miłości bliźniego, na ścisłem dopełnianiu obowiązków względem siebie i drugich.“

Polecamy ten ustęp szczególniejszej pamięci naszych czytelniczek, nietylko dlatego, że jest rzeczywiście pobożny i codziennego odmawiania przy pacierzu godny, ale i dlatego, że się nań nieco dalej odwołać nam przyjdzie.

Nadmieniliśmy prócz tego, że wiele przepisów trochę, a czasem nas bardzo dzisiaj przy pobieżnem czytaniu Pamiątki rażących, daje się jednak na mocy ówczesnych wyobrażeń wznioślejszą, niżbyśmy przypuszczali, pobudką wytłumaczyć. Spróbujemy to znowu kilkoma przykładami udowodnić. I tak: panna Tańska wiele mówi „o podobaniu się.“ Śmiało i otwarcie używa tego wyrażenia, aż dumniejsze serca upokorzonemi, a surowsza cnota zgorszoną prawie się czuje, bo to jakby na przyobiecaną nagrodę wszelkich moralnych postępków zakrawa. Pisząc *O powierzchowności*, autorka tem niemal rozpoczyna, że piękność jest potrzebną płci naszej, „bo to jej przeznaczeniem miłe na umysłach czynić wrażenia;“ stara się, co prawda, piękne kobiety przed próżnością zabezpieczyć, szpetne pociesza, że w ich mocy są wdzięki rozumu, cnoty i pięknego ułożenia, sama jednak *gracyą*

ładnych najwyżej podnosząc, zdanie swoje w ten sposób przedstawia:

„Nieraz mi się zdarzyło widzieć dwie kobiety w jednym walczące zawodzie: jedna zadziwiającej była urody, druga miłą i tylko ładną. Zrazu zdawało się, że piękna pokona; lecz wkońcu laur zwycięzki w ręku ładnej pozostał.“

Jakiż to mógł być zawód, w którym miła powierzchowność zwycięzkie zapewniała laury? nie pensyonarki, ani guwernantki, jak się zdaje? Mógł on być tylko salonowym dwóch panien na wydaniu zawodem, i pewniebyśmy dzisiaj uczennicom naszym przy wykładzie moralności dla zachęcenia ich do gracyi o podobnym turnieju nie wspominali. Wówczas nikogo to nie zastanowiło i ani jedna ładna nie czuła się obrażoną wskazanym jej przykładem. Bo też jakkolwiek żadne wyścigi, prócz konnych i gimnastycznych, nie budzą w naszych sercach wielkiego współczucia, trzeba jednak wiedzieć, że właściwe „podobanie się“ bez wyścigów, jako dar i sztuka wzięte, miało niegdyś bardzo odmienne od dzisiejszego znaczenie. Kto czytać będzie wszystko, co panna Tańska w Pamiątce, a pani Hofmanowa gdziekolwiek o podobaniu się napisała, powinien dopełnić sobie tego słowa ze strony podobającej się uczuciem szczerej życzliwości i pewną wyższością umysłową, a ze strony tych, którym się podobano, uznaniem i szacunkiem. Że tak było, a nieinaczej, to się we wszystkich sąsiednich, poprzednich i następnych zdaniach przebija. Autorka stanowczo wymaga od Amelii, by się wszystkim zarówno podobała, starym i młodym, mężczyznom i kobietom. Starym i młodym nie tak trudno byłoby jeszcze, ale mężczyznom i kobietom zarazem!... to już potrzebowało czegoś więcej, niż zewnętrznej układności: to potrzebowało prawdy wewnętrznej przedewszystkiem, bo kobiety między sobą wybornie się znają, a ich wprawne oko gęsich stopek pod najświetniejszej barwy pawiemi piórkami dostrzeże. Podobająca się ogólnie musiała tedy rzetelną wartość posia-

dać, bez obłudy być uprzejmą, a bez chełpliwości rozumną. Przecież tego samego i dzisiaj każdy moralista od ludzi wiążących się w stosunki towarzyskie, a każda czytelniczka od swoich znajomych i koleżanek żąda; jedyna w tem różnica, że dzisiaj zwrócilibyśmy główną uwagę na przyczynowe, psychologiczne nas samych urządzenie, bo dzisiaj lękalibyśmy się arcysłusznie fałszywego słów naszych wykładu; panna Tańska zaś główną uwagę zwróciła na skutek podobnego urządzenia, bo spokojną i niezachwianie pewną była, że ją wszyscy odrazu właściwie zrozumieją.

Rzeczywiście, wszyscy współcześni odrazu zrozumieli; dopiero kiedy zmienił się cały charakter naszego towarzyskiego życia, kiedy dla kobiet najwdzięczniej ułożonych nie było ani w bawialniach, ani w salonach lepszego miejsca i liczniejszego otoczenia, jak dla tych, które największe niedorzeczności prawiły; kiedy gładka twarzyczka i perłowe ząbki zaczęły się daleko więcej od najdowcipniejszych pytań i odpowiedzi podobać (nie mówimy tu o podobaniu się indywiduom, lecz zbiorowemu towarzystwu), a zwłaszcza kiedy poza ścianami salonów dla rozumnej, prawego serca, nieskażonych obyczajów *kobiety* zaczęto mieć prawdziwy, jak dla innych rozumnych, prawych i nieskazitelnych *ludzi* szacunek: wtedy znacznie „podobania się“ na barometrze pojęć moralnych bardzo nizko spadło i zamącono je różnemi współwywołującemi się myślami: to zalotności, to chęci prędkiego zamążpójścia, to próżnostki kobiecej, to przyznanego sułtaństwa mezkiego. Tymczasem w epoce panny Tańskiej było ono ekstraktem najczystszej towarzyskiej zalety. Coraz trudniej porozumieć się w tej mierze, bo coraz zupełniej zmienia się teraz sama nawet treść towarzyskiego życia. Im bardziej zakres pracy kobiecej się rozszerza, im silniej jej potrzeba, jej konieczność średnim warstwom społeczeństwa uczuwać się daje, w tem ciaśniejszych granicach dawniejsza towarzyskość się skupia, w tem szerszych obecne stowarzyszenia jednostki pochła-

nią. Krok jeszcze na tej drodze, a łączność ludzi między sobą dwa tylko będzie miała ogniska: rodzinne i publiczne; ojciec, matka, dzieci, i gromada, mityng, tłum. Już teraz po większej części kobieta z codziennego odosobnienia ledwie kilka razy doroku wystąpi z jakim balem, lub na jakim balu, i mówi się, że w towarzystwach bywa. Między jej pracownią, a rzęsisto oświetlonym salonem coraz rzadziej widzieć się daje przejściowy, prawdziwie bawialny pokój; jest wszędzie pokój do przyjmowania gości, tylko niema już takiego, w którymby to często, bez zaproszenia, w dni oznaczone i nieoznaczone, przypadkowo niby, a jednak zwyczajnie schodzili się dobrzy jedni drugich znajomi. Utrzymują się węzły przyjaźni, została pewnie w sercach poczciwa życzliwość; nie wątpimy, że i wiele gotowości do szczerej braterskiej pomocy zostało: ale znikł jeden odcień dawnego towarzyskiego usposobienia: ludzie nie tęsknią za sobą; czasem potrzebują się widzieć dla wspólnego interesu, naradzić choćby i nad dobrem bliźnich, potrzebują zresztą dopełnić względem kogoś jakiejś grzeczności, chcąc czyjejś urazy uniknąć, ale nie tęsknią do siebie! Zniknęła owa stara zażyłość, co to ani przyjaźnią, ani wspólnym interesem, ani wzajemną pomocą nie była, a mimo to, przez nawyknienie i pewną przyjemność w spotykaniu się razem ludzi trzymała. Prawda, że im czasu wtedy nie brakło, a funduszu przy rozsądnej oszczędności łatwo wystarczało, o czem najlepiej autobiografia pani Hofmanowej przekonać nas może. Z pięciu tysiącami rocznego dochodu, jej matka potrafiła opędzać nietylko własne i trzech dorosłych córek potrzeby, ale jeszcze potrafiła otoczyć ich gronem najświatlejszych w kraju ludzi, przygotować dla ich późniejszego wieku najświetniejsze i najmilsze wspomnienia. Bywał u niej Woronicz, Wyszkowski, Brodziński, Heltman, Feliks Bentkowski, bywały i panie na puławskim dworze lub u starościny wyszogrodzkiej poznane, a jednak przy dobrym grosza zarządzie, koniec z końcem roku zawsze jakoś się wiązał i młoda Klementyna w swoich

notatkach ciągle te lata latami szczęścia być mieni. A nie było to wyjątkowe zjawisko, ten bawialny pani Tańskiej pokoik; był on tylko trochę pełniejszym znakomitych osobistości; ale równie napełnionych nieznakomitemi osobistościami, tak w Warszawie, jak na prowincyi, mnóstwo stało dla łaskawych nawiedzin otworem.

Każda pani domu miała koło siebie wierną i stałą swoich zażyłych znajomych gromadkę; ta gromadka za pośrednictwem niektórych członków łączyła się znów z inną gromadką, a ta jeszcze z inną, i tak mniejwięcej wszystkie wiedziały o sobie. Czem pierwej była koligacya szlachecka, tem wówczas towarzyska zażyłość się stała. O pierwszej mawiano, że kiedy kto kichnie, to mu z Litwy: „Na zdrowie“ zaraz odpowiedzą; druga nie sięgała tak daleko: niteczki koligacyjne ze wszech stron się pozrywały, ale zastąpiła je towarzyska spoistość najodleglejszych czasem od siebie kółek. Jeśli nikt z Litwy zdrowia już nie życzył, to przynajmniej bardzo prędko w Hrubieszowskiem wiedziano, jaki w Warszawie dowcip kto powiedział, a w Warszawie nawzajem ludzie często się śmieli z żartu, co się któremu Kaliszaninowi udał; rozpowiadali sobie anegdotki o podlaskich kasynach i nie potrzebowali czytać w gazetach umyślnych korespondencyj, żeby znać nazwiska osób rej wiodących w Sandomierskiem, lub ogólnym szacunkiem w Kielcach otoczonych. Przy takim układzie rzeczy, *podobanie się* nabierało pewnej doniosłości, równoważnej z dobrą sławą i powszechnem uznaniem. Panna Tańska miała za sobą prawo jeśli nie surowej moralności, to przynajmniej moralnego faktu, gdy ręczyła, że nieraz ładna przeciw nadzwyczaj urodnej sprawę wygrać może; bo też tak było wtedy: wygrywały ją nawet niemłode przeciw młodym, jeśli zasługa szła w parze z talentem towarzyskości.

Młodym osobom dzisiejszej generacyi jeszcze dziwniejszem od tego wszystkiego zdawać się będzie zapewne, że autorka nie szczędzi swojej Amelii żadnej

z tych drobiazgowych przestróg, które im powtarzano, gdy dziewczynkami w domu, lub uczennicami na pensyi były: „Stój, siedź zawsze prosto, niech twój chód będzie lekki; pamiętaj o sposobie przyzwoitego kłaniania się ..“ ani im na myśl nie przyszło, żeby te napomnienia co wspólnego z moralnością miały. Jak się dobrze zastanowią, łatwiej to zrozumieją; ale nie wdając się już w dalsze wywody, powiemy tylko, że niezwykła ważność, tym postronnym szczegółom nadana, do osobistej historyi panny Tańskiej należy. Choć ułomna, a może właśnie dlatego że ułomna, nigdy się z tem nie kryła, iż powierzchowne wdzięki bardzo wiele w jej przekonaniu znaczą. Uczennice jej później aż o niesprawiedliwość pomawiały ją nawet, taką słabostkę okazywała hojniej w powaby uposażonym. Było to trochę skutkiem szlachetnej potrzeby zaświadczenia, że sama do zewnętrznych wdzięków żadnej nie roszcząc petensyi, innym ich nie zazdrości, a jednak oceniać umie; było poczęści przywyknieniem wzroku i serca, mającego od dzieciństwa piękną matkę, piękne siostry i piękne ciotki na ukochanie; było wreszcie ową już wspomnianą wiernością odbicia ogólnych usposobień, którym taki kierunek nadało właśnie kilka gwiazd pierwszej świetności, nad naszym horyzontem jaśniejących; w każdym razie wszystkie powody niewinne były, lub poczciwe. Czy który z nich przeważał? tego się nie podejmujemy rozstrzygnąć. Na jednę przestrogę wszelako chcielibyśmy zwrócić jaknajpilniejszą młodszych i starszych czytelniczek uwagę. Już panna Tańska się skarżyła, że rodzice i nauczyciele mało na ten przedmiot dawali baczności. Dawali przecież nierównie więcej, niż dzisiaj; a przedmiotem był „organ głosu i mowa.“ Zaniedbaliśmy się zupełnie w tym względzie, a wartoby się poprawić, jeżeli nie pod grozą odstręczonego konkurenta, jak to w Pamiątce napisano, to przynajmniej w nadziei świetniejszego powodzenia przy wielu otwierających się dla niebogatych kobiet zawodach, od publicznego

nauczycielstwa zacząwszy, do artystycznej, coraz większy szacunek zjednywającej sobie, teatralnej karyery.

Tuż obok tej przestrogi, jakoby w dalszym ciągu, czytamy: „Chroń się wszelkich towarzystw, gdzie dobry ton nieznany;“ trochę przykro brzmi to w naszych uszach. My teraz, prócz wokalnych i instrumentalnych (ma się znów rozumieć), żadnych *tonów* nie lubimy. Bo też z francuska tak zwany teraz „dobry ton“ przypomina tak z francuska zwaną „koteryjność.“ Koteryjność nie nowym zaiste, nie dzisiejszym jest wymysłem; powstała jednocześnie z architekturą, lub co najpóźniej to wtedy, kiedy wzniesiono mury pierwszego na świecie pałacu; jednakże panna Tańska mogła jeszcze nie znać się na niej. Jest to żywioł wyosabniający, który za młodych lat jej życia skupiał się bardzo nieznacznemi kropelkami wśród otwartego morza ogólnej zażyłości. Trzeba dobrze albowiem gromadki zażyłych znajomych od wszelkich koteryj rozróżnić. Tam zewsząd była łączność i dostępność, tu wszędzie jest wyłączność i odgraniczenie. Z gromadek zażyłych, złe czy dobre po całym rozchodziło się kraju; żądano na przykład, żeby wszyscy porządnie ubrani ludzie czystym, o ile być może, paryskim mówili akcentem; w koteryach bardzo sobie życzą, żeby nikt po angielsku nie mówił, gdy one tego języka używają; jeśli wkrótce się upowszechni, koterye gotowe do hiszpańskiego lub arabskiego się zwrócić: koterye żyją i utrzymują się zawsze jakimś monopolem.

Wmiarę jak stara zażyłość zwolna u nas przygasała w coraz cięższej losów atmosferze, jeszcze starsza od niej koteryjność natychmiast odzywać i wzmagać się zaczęła. Wszyscy, których skłonność lub położenie wyzwalały z twardych warunków obowiązkowej pracy, zależnego losu, roztropnej oszczędności wreszcie, wszyscy tacy pozawiązywali się w koterye i koteryjki. Są one dzisiaj najróżnorodniejszego gatunku: są bawiące się, muzykalne, literackie, pobożne, są arystokratów, są bogaczy, są marnotrawców, są i ludzi specyalnie dobrego tonu, najnudniejsze może ze

wszystkich, najszczelniej same w sobie zawarte, najnielitościwsze dla przechodniów. Takie właśnie *dobrego tonu* koterye zepsuły *reputacyą* dobremu tonowi. Onego czasu wszelako dobry ton nader ważne spełniał posłannictwo. Z bólem serca przyznać to musimy, że jeszcze w początkach bieżącego stulecia, obok zacności, nauki, bohaterstwa i wielu innych przymiotów, we wszystkich warstwach społeczeństwa bardzo była upowszechnioną gruba i nieoględna rubaszność. Tej rubaszności przeciwstawiły się wymagania dobrego tonu. Zachowanie się tak z obcymi, jak z najbliższymi sobie, ujęto w karby drobiazgowych, a surowo przestrzeganych foremek. Utrzymują, że pojedynki karczemnym burdom i bijatykom zapobiegają: despotyzm ówczesny dobrego tonu (który wcale koteryjnym nie był) odzwyczaił od słów karczemnych, klątw i żartów nieprzyzwoitych. A niech sobie szczęśliwe dzisiejszej ogłady wychowanki nie lekceważą tej przysługi dobrego tonu. Dlatego jedynie, że niegdyś tak bardzo nań uważano, one bezwiednie w najczystszym jego wycisku skąpane, mogą już wcale o nim nie myśleć i na wrodzone instynkta się spuścić. Trudniej to szło zrazu; więcej potrzebowało czujności, niż sobie wyobrażamy nawet. Wiele zewnętrznych przyczyn złożyło się u nas na przedłużenie takiego stanu nieokrzesanej szorstkości. Ileż-to lat kraj cały był jednem niby obozowiskiem tylko, a ileż kobiet i swojem i mężkiem gospodarstwem trudnić się musiało wtedy. Zaiste, ani życie obozowe, ani ciągłe doglądanie parobków i pańszczyzny na wykwintność ułożenia korzystnie nie wpłynęły i doborem pięknych wyrażeń potocznej mowy nie bogaciły. Około 1819 roku rzeczy już wiele na dobre się zmieniły, przy zjazdach, ucztach, festynach, rzadziej już i troche mniejsze spełniano kielichy, a płeć piękna zachowywała bardzo przyzwoitą powagę; ale niebezpieczeństwo odpadnięca jeśli nie w złe, to w przywyknienie do znoszenia złego było jeszcze tak groźnem, że powinnyśmy być nadzwyczaj wdzięczne autorce za te słowa propagandy, dobremu tonowi poświęcone. Im

dalej wraz z jej książką, im do biedniejszych dworków się rozchodziły, tem skuteczniejszy wpływ bezpośrednio wywierały.

Najobfitszym w rysy pamiętnikowej wartości jest rozdział *o Ozdobie umysłu*, najmniej właśnie żywego między nami zastosowania mający. Istotnie warto go odczytać, choćby dlatego, żeby te dawniejsze pozwolenia i zakazy z obcemi wymaganiami, a nawet rządowemi nakazami porównać. Panna Tańska bardzo w nim gorliwie na uczenie się mitologii i historyi nastaje, co już samo przez się mogłoby za datę chronologiczną jej autorstwa starczyć. Biedna geografia, według jej zdania, ma tylko do historyi pomagać i od śmieszności w rozmowie bronić; historya naturalna ma się ograniczać na uwielbieniu „wdzięków przyrodzenia,“ na zachwycie, jaki sprawia wschód i zachód słońca, lub jasna noc siorpniowa; na rozmyślaniu o dobroci, i wszechmocy Boga, kiedy się widzi polny kwiatek, kroplę rosy, robaczka co go ledwie dojrzeć można w trawie.“ Cały ten program zlewał się w doskonałą harmonią z krążącemi dokoła upodobaniami i wyobrażeniami. Mitologia była rzeczywiście chlebem powszednim piśmiennych i czytających ludzi. Każdy porządny człowiek conajmniej ze dwa razy na dzień jakieś porównanie mitologiczne musiał skleić, lub usłyszeć przynajmniej. Było to już dowcipniej, prościej ułożone, niż w epoce makaronizmu, lecz było tak samo prawie nieuniknionem i koniecznem. Obrazy, rzeźby, ozdoby, ubiory nawet kobiet wyglądały mitologicznie, lub w najlepszym razie, jak wiemy, po grecku. Wyszedłszy z kuchni i spiżarni, każda pani domu, choćby nad nią sufit belkowy tylko się unosił, wstępowała potrochu w mitologiczną atmosferę. Kędyś w kącie stał jakiś trójnóg, lub na stoliku jakiegoś bóstwa posążek. Portret ojca przedstawiał może arcykapłana tylko, lecz już matka jej, lub ona sama, pewnie Florą lub Dyaną na ciemnem płótnie stała. Dzieci nie potrzebowały się uczyć o Marsie lub Wenerze, o Muzach, Apollinie, Minerwie: te imiona własne wpadały im do ucha

razem z najpospolitszemi rzeczownikami; uczyć się było trzeba nierównie głębszych pogańskiej wiary tajemnic, nierównie drobniejszych niż symboliki szczegółów: o geografią zaś nikt się nie troszczył; byle sama geografia w opowiadanej podróży na prawej ręce nie została, wszyscy byli zadowoleni. Naukami przyrodniczemi daleko też mniej wtedy się zajmowano, niż już w czasach Stanisława Augusta zajmować poczęto. Mówimy tu o zajmowaniu się ciekawych jedynie, t. j. takich, co właśnie gruntownie nauki nie znają, ale o jej zdobyczach i sumarycznych wynikłościach bardzo wiedzieć lubią: bo przecież mieliśmy jeszcze takich, co się jej chlubnie a użytecznie poświęcali, upodobanie publiczności tylko zwróciło się ku innym przedmiotom. Franciszek Skomorowski jak mógł, tak w Pamiętniku naukowym zgromadzał prace wiernych matematyki i fizyki zwolenników: Pamiętnik ostatecznie musiał beletrystyczną przyjąć barwę i szpalty swoje utworom Karola Sienkiewicza, Józefa Korzeniowskiego i innych Krzemieńczanów otworzyć.

W towarzyskich zebraniach tylko literackie rozbierano kwestye. Na palcach pewnie byłoby można policzyć kobiety, którym się wtedy o uszy obiło, że Jan Śniadecki wydał jakąś genialnie uprzystępnioną geografią matematyczno-fizyczną. Jakkolwiek w spisie zaleconych dzieł polskich panna Tańska wymieniła ją później, nie jesteśmy zupełnie pewni, czy ją sama przed lub wczasie pisania Pamiątki czytała, czy ją nawet czytała i potem. Całej płci pięknej u nas najlepiej, a kto wie, może jedynie to było wiadomem z astronomii, że Kopernik dowiódł obrotu ziemi koło słońca i że sam był z pewnością Polakiem, a nie Niemcem. Jedna przecież sztuka w blizkim związku z naturą będąca wysoko u nas pod tę porę kwitnęła: było to ogrodnictwo. Przykłady dały wielkie panie: księżna Czartoryska w Puławach, księżna Radziwiłłowa w Arkadyi, nie mówiąc już o zbyt dalekim Potockich w Tulczynie. Wkrótce szlachetne to zamiłowanie po całym kraju licznych znalazło naśladowców;

kobiety szczególniej się niem przejęły. Pamiętamy z dzieciństwa naszego jednę płaską, dość piasczystą Podlasia okolicę, gdzie w promieniu mniejwięcej pięciu mil dokoła, było ze siedm pięknych ogrodów, a prócz tego każda jednowioskowa obywatelka, każda lepiej się mająca dzierżawczyni ze swego sadu sama obficie wszelkiego używała owocu, domownikom go nie skąpiła, obdzielała nim sąsiadów, a jeszcze się jej na sprzadaż, no, i na nieuniknioną stratę dość zostało. Przez wzgląd tedy na ogrodnictwo, upomina dobra matka Amelią, żeby się pilnie botaniki uczyła. Nad wszystkiem jednak historyi pierwszeństwo daje. Tu już nie stawia żadnych ograniczeń, owszem, tak daleko sięgające stawia wymagania, że niewiele czytelniczek dzisiejszych zadośćby im uczynić mogło. Szczodrość ta autorki, trochę nieproporcyonalna do innych części jej planu, jest znowu jednym z owych przejawów na gorącym uczynku, jak to mówią, pochwyconej przeszłości. Żyli jeszcze współcześni Naruszewicze; Tadeusza Czackiego przed kilku zaledwie laty do grobu złożono; Niemcewicz, wyborny popularyzator, swoje śpiewy i powieści właśnie drukował; Woronicz uroczystym rymem zbiory Sybilli sławił i sam podobneż zgromadzał, a już i nienaukowi ludzie zasłyszeli byli o tem, że jakiś młody człowiek, chudy, wysoki, zadziwiająco uczony, wszystko wie, co się przed tysiącami lat działo. Lecz byli inni badacze nierozsławieni jeszcze, a już w nowo poodrywane skarby wiedzy bogaci. Jak Argonauty po zdobyciu złotego runa, tak oni rzucali się w świat szeroki, by zdobyć przedwiekowych dziejów tajemnice. Jan Potocki szukał ich rozwiązania na brzegach Czarnego i Żółtego morza; Chodakowski pytał o nie rozkopanych kurhanów, podsłuchiwał ich w dźwiękach piosenek ludowych. Zajęcie się historyą tkwiło w duchu bieżącej chwili, unosiło się w powietrzu. Najbardziej zacofani wstydzili się na tym jedynym punkcie niewiadomości swojej. Historya była punktem wyjścia dla wszelkich poglądów, dowodzeń i przekonań. Znajomość historyi

uważano niemal za również obowiązującą, jak znajomość katechizmu. Panna Tańska nie potrzebowała też w skromne usprawiedliwienia owijać się pod tym względem; na użytek wszystkich rówieśnic Amelii, dość jej było powtórzyć zewsząd echem odbijane zdania, a te komunały same przez się ułożyły najśmielszy plan, o jakim nigdy pierwej nie słyszano, lub raczej plan, o jakim nigdy pierwej nie słyszano w pedagogicznym zakresie kobiecej nauki:

> „Z nauk powyżej wymienionych (autorka wymieniła tylko historyą, geografią, mitologią i historyą naturalną) najwięcej zgłębiaj historyą; w niej wiele światła czerpać można: wystawia nam wszystkie królestwa i państwa świata, wielkich i sławnych ludzi, wskazuje początki nauk i kunsztów, uczy przykładami sztuki panowania, wojowania, zasad rządu i polityki, sposobów postępowania w każdym wieku i stanie.“

Tak wiernie zastosowano się do tej rady, że istotnie wszystkie uczące się dziewczęta nasze daleko więcej wiedziały o zasadach rządu i polityki, niż o ziemi, po której chodziły, i o powietrzu, którem oddychały. Niejednemu zdawać się mogło, że to kraj cały tak śpiesznie panny Tańskiej usłuchał, a tymczasem to panna Tańska całego kraju tylko wiernie podsłuchała. Wyborne jej rady co do pisania listów, głośnego czytania, dokładnej pamięci nazwisk i szczegółów przy opowiadaniu czego w towarzystwie, jakkolwiek po dzień dzisiejszy każdemu przydać się mogą, niemniej przeto wybitną cechę swej epoki przedstawiają i jednę po drugiej możnaby objaśnić stosunkiem, zdarzeniem lub modą ówczesną; lecz takie objaśnienia zbyt dalekoby nas zaciągnęły. O samych *pamiętnikowych* ustępach musielibyśmy chyba długi, jak dzieło co je zawiera *Pamiętnik*, wydrukować, a miejsce nie potemu i wiele jeszcze innych rzeczy do powiedzenia nam zostaje. Daliśmy kilka wskazówek, kilka przykładów; niech czytelniczki ostrzeżone dopytują się reszty wkoło siebie: niewszystkie przecież usta, które im odpowiedzieć mogą, na wieki już zamilkły. Jedno

tylko nieporozumienie czujemy się w obowiązku osobiście roztrząsnąć; jest to najcięższy, w zasadzie dość słuszny, w fakcie niedość uwzględniony zarzut, z jakim spotykaliśmy się bardzo często, gdy o pismach pani Hofmanowej mówiono. Nieraz pod jej wpływem nawet wzrosłe wychowanki żaliły się, że wszędzie z punktu widzenia mężczyzn na kobiety patrzy, że jej *Pamiątka po dobrej matce* szczególniej przyczyniła się da rozszerzenia jakiejś porównawczej metody, według której przeznaczenie, obowiązki, zdolności kobiet objaśniano zawsze przeznaczeniem, obowiązkami i zdolnościami mężczyzn, tak, że wreszcie kobiety same nałogowo się przyzwyczaiły wszystkie warunki swego położenia, nawet osobistą wartość swoję oceniać nie według stałej, bezwzględnej miary, ale według miary odnośnej do położenia i do wartości mężczyzn. Skarżono się też, że cała nauka moralna autorki w każdym szczególe jest taką, jaka mężczyznom podobać się mogła, i że się zdaje, jak gdyby na podobanie się im głównie obliczoną była.

W rzędzie cnót przeważne miejsce zajmują te, które mężczyzn uszczęśliwić mogą; w długim z trzeciego działu regestrze zdrożności kobiecych niema ani jednej prawie z tych, co samymże kobietom życie utrudniają i psują, niechby tylko lękliwość, nieradność, łatwowierność w przykładzie wymienić; natomiast znajdują się wszystkie wady, które mężczyznom w nas zawadzając, celem ich żartów i przymówek się stały. Jest ciekawość i gust do plotek, próżność, kokieterya, zazdrość, przesada, słowem wszystkie te kalectwa ducha ludzkiego, które na wyłączną własność podarowano kobietom, chociaż są jaknajwspólniejszą posiadłością, bez różnicy płci i stanu, wszystkich niedojrzałych, bezczynnych, w ciasnotę wepchniętych i szczelnie zakorkowanych umysłów. Przypominamy sobie, jak raz znajoma nasza, a później w literaturze wysoko ceniona korespondentka Biblioteki Warszawskiej, pani Zofia Węgierska, żartobliwie podnosząc ten jednostronny charakter *Pamiątki po dobrej matce*,

dowodziła, że ją trzeba jeszcze radami dla syna Ludwika uzupełnić. Ojciec mógł niezawodnie wskazać mu, jakim powinien być obywatelem, rolnikiem czy przedsiębiorcą, żołnierzem czy urzędnikiem; ale to nie wszystko przecież: reszta do matki należała. I zaraz z właściwym sobie dowcipem rozwinęła cały plan równoległego szeregu rozdziałów: o powierzchowności, jakim pan Ludwik być powinien w towarzystwie, żeby się kobietom podobać; o cnotach serca i duszy potrzebnych dobremu synowi, bratu, mężowi i ojcu; o wadach najczęściej zatruwających żonom pożycie domowe, między któremi-to wadami były wszystkie w *Pamiątce* wyszczególnione, tylko z dodatkiem ilustracyjnych wzorków i pobieżnych uwag, rozróżniających n. p. męzką kokieteryą od zwyczaju bałamucenia kobiet, męzką zazdrość od tęsknoty za wyłącznem uczuciem, męzki bezrząd i nieporządek od prostej blageryi i od umyślnego kłamstwa. Było to bardzo humorystycznie i, trzeba przyznać, bardzo trafnie wypowiedziane, lecz tylko ze względu na tych panów, a zupełnie bez względu na historyczną datę dzieła, ogłoszonego przed urodzeniem pani Węgierskiej. Trzeba koniecznie pamiętać, że panna Tańska wzięła do obrobienia przedmiot zupełnie u nas odłogiem leżący. Źródłowem jej wsparciem, przewodnictwem, zasiłkiem mogła być tylko żywa tradycya i najznakomitsze dzieła o wychowaniu piszące. Śmieszną byłoby rzeczą twórczości na tem polu od niej wymagać. Moralności nikt przecież z własnego pomysłu, jak bajki, nie tworzy. Objawiciel czasem ją uzupełnia, udoskonala, oczyszcza, ale nauczyciel wykłada jedynie, tłumaczy, porządkuje to, co już gotowem zastał.

Udowodniliśmy już tutaj, że panna Tańska w najkorzystniejszy sposób wyzyskała żyjącą tradycyą; otóż w tej tradycyi głos męzki zawsze przewodził; wyzyskała i książki znakomite, ba, nawet nieznakomite: lecz książki wszystkie o moralności, o wychowaniu kobiet przez mężczyzn były pisane, licząc w to i owę niemiecką, która ją do wydania *Pamiątki po do-*

brej matce zachęciła. Z innych miała pod ręką ś-go Franciszka Salezego, Fenelona, lecz jeśli nawet do dzieł Russa zajrzeć się odważyła, wszędzie znalazła to samo. Według ustaw teologów i filozofa, kobieta nie dla siebie, nie dla udoskonalenia swego, nie na istotę ludzką, ale na żonę i matkę dla mężczyzny kształcić się powinna. Panna Tańska nie wymyśliła tego porządku rzeczy; on ją poprzedził i przetrwał, a właśnie dlatego, że go uznała i w niczem nie naruszyła, łaskawszym się okazał dla nowo przez nią wprowadzonych pierwiastków. Młodym czytelniczkom trudno bo wyobrazić sobie, jakie to wielkie szczęście dla nich ztąd wynikło, że panna Tańska wówczas żadnej potęgi ziemskiej nie obraziła, że nie wystąpiła z żadnem śmielszem wymaganiem, że sama nie umiała nazwać ani określić gatunku rozpowszechniających się dążności. Los chwiał się wtedy nie między tem, czy kobiety będą się, czy nie będą uczyły algebry i fizyki, ale między tem, czy się czegokolwiek uczyć powinny. Wyrok opinii publicznej nigdyby wprawdzie nie dosięgnął wyższych sfer towarzystwa; nasze wielkie panie zupełnie tak samoby się kształciły, jak przedtem, potem i teraz, ale szło tu o oświatę klas średnich. W klasach średnich objawiał się niezawodnie wielki popęd do umysłowego rozwoju i artystycznych upodobań ale też, objawiało się bardzo silne przeciw *edukacyi* kobiecej uprzedzenie. Dzięki na ten raz owej figurze geometrycznej, z różnorodnych zasad i komunałów skrystalizowanej, ci sami, którzy naukę kobiet najgłośniej potępiali, daleko chętniej od zezwalających na nią dzisiaj z wykształconemi kobietami się żenili.

Wpływ kobiet wykształconych bez zaprzeczenia wiekszym był, niż jest obecnie (gdyż obecnie, prawdę mówiąc, wcale go nie mają). Więcej było żon poczciwych, co jednak samowładnie panom swoim panowały, więcej światłych matek, co kierowały sprawami rodzin i przyszłością swych dzieci, więcej pań domu, co skutecznie oddziaływały na opinią i charakter swoich kółek towarzyskich; niemniej przeto edukacya kobieca

wstręt jakiś podejrzliwy budziła. Na jej karb liczono wszystkie palpitacye serca i romanse, wszystkie papiloty na głowie, a dziury w pończochach, wszystkie gitary w rękach, a źle i niesmacznie na stół podane obiady. Wyszydzano ciągle *parle franse* i uczernione atramentem końce paluszków; po sto razy opowiadano jedne i teżsame anegdoty o modnej damie, co się dziwi że mleko palcami doją, kiedy byłoby mniej obrzydliwem, gdyby je drewnianemi szczypczykami wyciskano, albo o wracającej do domu pensyonarce, jak kurczęta bierze za kanarki, a gęsi za łabędzie, a pastuchów za pasterzy... Wzrastaliśmy przy odgłosie tych śmiechów i żartów, dziś jeszcze brzmi nam w ustach ich akcent pełen dobrej wiary, wesołego humoru i ufnej we własną wyższość pewności. Skromny program panny Tańskiej, szanując uprzedzenia, a zadość czyniąc sprzecznym z niemi popędom, rozstrzygnął kwestyą oświaty kobiet w sumieniu publicznem; usunął on podejrzliwość niechętnych, ujął w pewne karby dowolność próbujacych, a zachęcił do czynnego działania szczerych zwolenników. To chronologiczne wyjaśnienie położonej przez autorkę zasługi niech nam będzie przejściem do trzeciego żywiołu *Pamiątki po dobrej matce*, żywiołu, któryśmy częścią propagacyjną i postępową dzieła tego nazwali.

Pierwszym i wielkim postępem już było samo stawienie programu, zwłaszcza też stawienie go przez kobietę, która w postępowaniu swojem żywą mu była nieszkodliwości i dowodnej korzyści rękojmią. Szczęśliwe to zjednoczenie ograniczonych wymagań, z zacnym charakterem wymagającej, niemało się przyczyniło do poparcia jej życzeń i uzyskania dla nich ogólnego współczucia. Wnet się pojawiło mnóstwo dzieł naukowych z wyłączną dla płci żeńskiej dedykacyą. Pan Karol Milewski wydał Historyą powszechną dla panien, po wszystkich pensyach przez jakiś czas używaną; Łukasz Gołębiowski umyślnie dla nich także Rys historyi polskiej ułożył, nawet zacny pan Antoni Waga, przez całe życie niestrudzony badacz tworów

natury, a dziś w sędziwych latach niestrudzony nad brzegami Nilu i wśród pasm Atlasu wędrownik, przyniósł w darze płci pięknej wiadomości z astronomii, fizyki i mineralogii. Dziś może już czwarto-klasowa pensyonarka obraziłaby się, gdyby podejrzywała, że ją chcą uczyć jakiejś arytmetyki, lub chemii, lub geografii innej, a nie tej, której się uczy jej młodszy braciszek; nie zrozumiałaby tego może. Wtenczas nietylko rozumiano, ale i potrzebowano koniecznie. Kiedy *Pamiątka* dała hasło wzywające nas do oświaty, jakkolwiek ją tylko *ozdobą umysłu* nazwała, niewiele jednak przygotowanych do jej nabycia zastała ochotniczek. Trzeba już coś wiedzieć, żeby rozpoznać w sobie, że się wie zamało.

Tego pierwszego rozczynu wiedzy dostarczyli właśnie wspomnieni powyżej autorowie. Dzieła ich, wcale nie pedagogicznie napisane, przyczyniły się jednak do „uwidomienia ciemności,“ że się trochę Miltonowskiem posłużymy wyrażeniem. Ogłaszano je nie w myśl uszczuplenia naszej wiedzy, przeciwnie, miały być do jej nabycia zachętą i przynętą. Wszelką ich niedokładność zresztą, wszelkie braki swego własnego programu wynagrodziła panna Tańska drobnym określnikiem, który się w bardzo ważne dla nas rozwinął następstwa. Każe nas wprawdzie *mało* uczyć: wszystkie zwierzchności jej świata zaraz się na to zgadzają, co już, jako wiemy, pewną zdobycz stanowi; lecz dodaje niebawem: mało, ale *gruntownie*, i znów każdy przytakuje: „ach! ma się rozumieć, gruntownie! nadewszystko gruntownie! Któż kiedy słyszał choćby sofizmat jaki przeciw gruntowności!“ Jedyny to może umysłowy rzeczownik, bezspornie przez wszystkich szanowany. Chemicznemu rozkładowi poddawano nieraz cnotę, prawdę, ale gruntowności nigdy. Otóż najskąpsza doza gruntowności ma to do siebie, że nieskończoną obfitość uprzystępnia. Kto się gruntownie czterech działań arytmetycznych na pierwszych dziesięciu cyfrach nauczy, ten potem z drugą i trzecią dziesiątką, i z setkami i z milionami da sobie radę;

a gdy się jeszcze w tych kombinacyach rozmiłuje, niewiedzieć gdzie skończy; gruntowność zaś do rozmiłowania się w przedmiocie swoim nadzwyczaj usposabia. Tej wynikłości nie przewidywała autorka i nikt o niej nie myślał: jednozgodnie zatwierdzono gruntowność. Niestety! z wielkim żalem przyznać się musimy młodziuchnym siostrzyczkom naszym, że nas i po tem zatwierdzeniu niczego jeszcze *gruntownie* uczyć nie zaczęto, bo to pono rzecz najtrudniejsza, w bieżącej chwili nawet dość rzadka; zaczęto jednak uczyć nas *porządniej*, z pewnym ciągiem, od jakiegośbądź początku do jakiegośbądź końca, i to nas dalej pchnęło. Nawet przy porządkowem tylko uczeniu, jeden szczegół chęć i potrzebę wiedzenia drugiego szczegółu wywołuje; ciekawość ciekawością się budzi, a umysł, raz na tę drogę naukowego zaciekawienia zwrócony, nigdy już w lat dziecinnych senności nie spocznie. Czy to szczęściem, czy nieszczęściem dla nas, czy to dobrą chęcią, czy nierozwagą z jej strony było, zawsze pewną jest rzeczą, że panna Tańska najwięcej się przyczyniła do zgotowania tej konieczności wielu z najbliższej generacyi Ameliom.

Drugie dobrodziejstwo propagacyjne nietylko na same kobiety, lecz i na mężczyzn i wogóle na cały kraj u nas spłynęło... powoli. Panna Tańska z zapałem się odezwała przeciw nadmiernemu uczeniu się obcych języków, mianowicie też francuzczyzny, która mowę rodzinną zupełnie prawie z towarzystw „dobrego tonu“ usunęła. W towarzystwach gdzie sobie żadnego tonu nie dawano, okropnie tej mody nie lubiono. Próżność do niej nęciła, lecz też, jak wszelką próżność, wyśmiewano ją bez miłosierdzia, zwłaszcza że cierpiano od niej więcej, niż od zwykłych zadraśnień próżności. Autorkę *Pamiątki* bolała krzywda własnego języka, niemoralny wpływ nauczycieli i nauczycielek cudzoziemskich; tych wszystkich, którzy nie mieli sposobności lub czasu po francusku się nauczyć, bolało najdotkliwsze ze wszystkich upokorzenie.

Łatwiej było znieść pychę magnatów odróżniających się zbytkiem, strojem, cugami, choćby tytułem wreszcie: z natury prawa społecznego każdy wiedział, że muszą być przecież ubożsi i bogatsi, wyżsi i niżsi; ale to odróżnienie się obcą mową, ta uchybiająca odprawa dana słuchającemu, żeby nie wiedział o czem przy nim rozprawiają, to unicestwienie jego obecności, to jakby wyrzeczenie się wspólnego z nim pochodzenia, wiele serc bratnich zraniło, wielu oburzonym na całe życie zapisało się w pamięci. Wszyscy tacy zasmuceni czy gniewni z poklaskiem przywtórzyli słowom panny Tańskiej, wszyscy najszlachetniejsi uradowali się ich rozgłosem, bo wkrótce *Pamiątka po dobrej matce* w ręku daleko od Warszawy mieszkających żon, sióstr i córek się znalazła. Musimy też zaznaczyć, że cały pogląd autorki na naukę obcych języków, choć był rzeczywiście usposobienia pewnej części narodu odbiciem, przedstawia nam się jako najsamodzielniej przemyślany, najniezawiślej od postronnych względów obrobiony. W zasadzie tkwiła prawda, w piszącej głębokie tkwiło przekonanie; jak zwykle więc, gdzie prawda z głębokiem przekonaniem w słowie się połączy, słowo to zrobiło wrażenie, wpływ wywarło. Śmiało można powiedzieć, że *Pamiątka* rozpoczęła, a wszystkie późniejsze pisma pani Hofmanowej wywołały u nas reformę, która nadużycie cudzoziemskich języków o tyle przynajmniej ograniczyła, że się i do nauki rodzinnego zwrócono Nie wyobrażajmy sobie, byśmy dziś w pojęciu tej sprawy choć na jeden krok dalej postąpili. Wszystko co mamy, to się jeszcze za jej czasów i bezpośrednio pod jej natchnieniem zrobiło, owszem, kto wie, czy nie uroniliśmy trochę z otrzymanego dziedzictwa. Przybyło tyle usprawiedliwiających dawną słabostkę względów, ludzie takiej biegłości w szermierstwie dyalektycznem nabrali, tak wiele dawnych rzeczy zapomnieli, że rady panny Tańskiej mogłyby żywcem jutro w jakiem piśmie być przedrukowane i pewnie czemś bardzo nowem zdawałyby się jeszcze. Wcale przynajmniej nie znać

tego po wychowaniu dzieci, by ich matki czytały kiedykolwiek i rozważyły przypuśćmy n. p. te słowa:

„Czyż może być związek jaki między wielorakiem brzmieniem na jednę i tęż samę rzecz, a ozdobieniem umysłu i duszy? Języki nie uczą nas myśleć, tylko mówić, a wszak każdy przyzna, że nie słów mnóstwo, ale mnóstwo wyobrażeń przynosi zaszczyt rozumowi człowieka. Nauczywszy się z pracą kilku języków, poświęciwszy porę najzdolniejszą do nabycia potrzebnych i gruntownych wiadomości na dowiedzenie się, jak nazwać kilkorako: *stół*, *chleb*, cóż robi większa część niewiast naszych? Oto we wszystkich językach, które umieją, czytają romanse.“

Było to w r. 1819 napisane, a w roku 1875 wiele kobiet mogłoby wziąć cały ustęp za osobistą do siebie przymówkę.

Musimy jeszcze wspomnieć o jednym rozdziele *Pamiątki*, mającym także wielkie prawo do wdzięczności ze strony niewiast polskich. Jest w nim słowo pełne znaczenia i przyszłości, a w swoim czasie daleko trudniejsze do wymówienia, niż prośba o historyą z wykładem zasad rządu, niż o gruntowność nawet. Chyba tradycya rodzinna, pamiętniki, powieści współczesne, a jeszcze lepiej to wszystko razem wzięte, mogłoby dać dzisiejszym czytelniczkom rzeczywiste wyobrażenie o stanie obyczajów, pojęć moralnych i ideałów, które w tej przejściowej epoce na pierwszą i główną podstawę rodziny, bo na zawieranie małżeństw wpływały. Władza ojca i matki zachowała jeszcze całą patryarchalną surowość swoję, obok dziwacznego prawie spoufalenia się z dziećmi. Nieraz pytano się córki, co będzie na obiad jadła, gdzie chce pojechać, jaką suknię chce kupić; ale nie pytano wcale, czy chce, czy nie chce pójść za przedstawionego jej z woli rodzicielskiej konkurenta. Między bogatszymi szczególniej, większa połowa małżeństw kojarzyła się z przymusu, rozkazu lub familijnych układów. Jeśli rozpieszczona poprzednio dziedziczka zapragnęła innego szczęścia, niż to, co jej wyznaczano, buntem się go dokupywać musiała, a wślad za buntem

szło zwykle nieszczęście, a wślad za uległością gorzej jeszcze, bo szło coraz częściej zdeptanie narzuconych sobie obowiązków. W atmosferze niebezpieczeństw wojennych, bohaterstwa i niepewności dnia jutrzejszego, wyrobiło się więcej charakterów namiętnych, ale też wiele bardzo i beznamiętnego zepsusia. Życie towarzyskie po okropnych wstrząśnieniach nie mogło jeszcze przyjść do równowagi; wezbrane, szumiące, naprzód pędziło z niewyczerpaną, a zarazem nieprzerobioną siłą pierwotnego popchnięcia. O tylu dramatach rodzinnych, o tylu wykradzeniach, pojedynkach, klątwach, ślubach tajemnych, o tylu wypadkach gorszących, a nawzajem o tylu przykładach zdumiewającego poświęcenia, o tylu wzorach niezłomnej stałości, o tylu dowodach niż wdzięk, młodość i życie nawet trwalszego uczucia, o tylu w piękną rzeczywistość wcielonych sielankach, o ilu wtedy przez ciąg jednego roku nasłuchać się było można, to chyba teraz przez całe dwadzieścia lat ostatnich nikt w Warszawie nie słyszał. Zmieniła się powoli nie forma, ale zasada rodzinnych stosunków; odzywały się w naturze człowieka nowe głosy, których sam jeszcze dobrze nie rozumiał; żądało w nim coś wolności dla instynktów swoich, dla zachwytów, dla tęsknot: ale jedni szukali zaspokojenia w nadużyciach, inni w rozpaczliwej walce z przeszkodami, a jeszcze innym osobiste, losem wygrane szczęście za wszystko starczyło. Sąd ogółu, jak zwykle w braku jasno stawionej zasady, chwiejną i od podmuchu okoliczności zależną szalą mierzył owe zjawiska, sprzyjał głębokim uczuciom, przebaczał gwałtownym namiętnościom, ale też nie karcił lekkomyślnej aż do zuchwalstwa swawoli. Bywali zaiste, są i będą pewnie do skończenia tego świata ludzie złych obyczajów; nie widać jednak dzisiaj całej klasy owych sławnych wówczas „bałamutów,“ których karyerą, stanem, profesyą być się zdawało uwodzenie kobiet i przechwalanie się z odniesionych nad łatwowiernemi tryumfów. Wszędzie był zamęt i chaos, nawet w świecie ideałów. Bardzo moralne kobiety

najsprzeczniejsze częstokroć miały wyobrażenia o moralności co do wyboru żony, a zwłaszcza też co do wyboru męża. Księżna Wirtemberska, ofiara familijnych widoków i dziecięcego posłuszeństwa, swoję Malwinę za „domyślnością" i głosem serca prowadzi; pani z Krasińskich Elżbieta Jaraczewska, ułomna, majętna, niemłodo za dymisyonowanego generała wyswatana, a w pożyciu małżeńskiem szczęśliwa, wszystkie bardzo ładne powiastki swoje na cześć i zalecenie rodzicielskiego rozporządzenia poświęca. Dodajmy jeszcze, że ton przeważający w nastroju towarzyskim ze zbytku ugrzecznienia o romansowość zatrącał; że jeśli rzadsze były rozwody, to salonowej kronice nie brakło ciekawych do opowiadania awantur; że najpiękniejsze wyrazy uczucia sponiewierały się w zwyczajnych komplimentach, lub zbrudziły w grzesznych szałach: gdy to wszystko razem pod uwagę weźmiemy, dopiero nam się okaże, jak trudne i kłopotliwe mogło być położenie każdego, coby chciał ostatecznym wyrokiem nagromadzone wątpliwości rozstrzygnąć. Otóż dwudziestoletnia dziewczyna wyszła z tego położenia zwycięzko i bez zakłopotania. Wyszła tak, bo jej myśl była czystą, jej natura zdolną ukochać silnie, wyłącznie i raz na zawsze. Nad chaosem z prostotą wyrzekła słowo zakreślające dalsze drogi przeznaczeniu kobiety i losom rodziny, uznała moralność miłości:

„Dwie tylko znam drogi do świątyni hymenu (hymen brzmi trochę archeologicznie, lecz nie sprzeczajmy się o jego wspomnienie, choćby dla zaraz potem następujących wyrazów): jedna prawdziwej miłości, druga rozsądku i przyjaźni imię nosi...."

Panna Tańska wyraźniej zaleca ostatnią, ale pierwszej nie przeciwstawia żadnych nikczemnych pobudek chciwości, dumy lub przesądu. Zbyt wiele wymagalibyśmy od młodej autorki, gdybyśmy chcieli szukać w jej dziełku badań psychologicznych i społecznych, napomnień takich, jakie dzisiaj w Bluszczu,

w dydaktycznych pismach pani Beecher Stowe *) lub autorki Jana Halifaxa **) spotykamy. Wyobrażenia tego rodzaju nikomu wtedy do głowy nie przychodziły. Samo odłączenie rozsądku i przyjaźni od prawdziwej miłości najlepszym jest dowodem braku pewnych danych w doświadczeniu, przykładach i talencie wnioskowania. Bądźcobądź jednak, zawsze to po raz pierwszy z dobrą wiarą i powagą prawdziwą miłość w przewodniku moralnym dla kobiet wspomniano. Ludzie przywykli byli ten wyraz w piosenkach tylko słyszeć, w bajkach i powieściach czytywać; od tej pory zaczęli się oswajać z nowym jego charakterem, a dziś dorasta on już do wysokości zasady: bez wstrząśnień emancypacyjnych, bez reformy społecznej zmienia treść obowiązków rodzinnych, zawarowywa godność kobiety i udoskonalenie przyszłych pokoleń. Nie przeszedł on w prawo nakazujące, ani w zwyczaj dość upowszechniony nawet, ale przeszedł w uznanie, wyrył się na sztandarze wznioślejszych dążności i szlachetniejszego gatunkiem swoim usposobienia.

Wiele kobiet jeszcze bez miłości zamąż wychodzi, lecz żadna z nich przynajmniej nie wyobraża sobie, że czyni lepiej, moralniej, niż gdyby zamąż z miłością w sercu poszła. Może i panna Tańska nie przewidywała, aby kiedyś rzucone przez nią słowo rozwinęło się takim prawdziwym ziarna gorczycznego rozwojem. Widać, że przecież los podobny spotyka prędzej czy później wszystkie słowa, naturą osobistą, życiem i czynem zatwierdzone. Czego nie dopowiedziała w książce, czego nie przerozumowała dość jasno w umyśle, to zrzeczywistniła w postępowaniu swojem. Pod tym względem jej biografia może najlepszą zastąpić naukę i każdej młodej osobie za teoryą służyć. Nie mówimy tu o bogatych dziedziczkach, lecz o całej masie tych niepewnych losu, ubogich

---

*) Chimne'ys corner.
**) A Woman's Thoughts about Women.

dziewczynek naszych. Jak dla nich brak posagu przy twardych warunkach pracy i zarobku widoki za mąż pójścia przesłania, tak w owym czasie brak kształtnej powierzchowności zdawał się je pannie Tańskiej przesłaniać; najpierwej tedy rozstała się z wszelką myślą o zmianie stanu, potem zabezpieczyła się, żeby nigdy nie potrzebować, „nie musić“ za mąż wychodzić, bez nieprzewidzianej nadzwyczajności, to jest wzajemnie podzielanego uczucia — autorstwo wystarczało na jej utrzymanie. pożytek czytelników, rozkrzewianie własnych przekonań za cel życia stanęły Było to położenie jeśli nie przewyższające, to zupełnie równe *spokojnej pomyślności* małżeństw z rozsądku zawartych. I właśnie dlatego, że miała niezależność, dostatek, swobodę, wyobraźnię szukaniem męża niezadraśnioną, uczucie próbami marzycielstwa niestępione, właśnie dlatego poszła za mąż z miłości. li z miłości tylko, a nie widać w żadnem słowie późniejszem, żeby kiedykolwiek za takie pójście Bogu, mężowi i samej sobie wdzięczną być przestała. Gruntem więc szczęścia jest niezależność i piękny cel życia, reszta przydaną będzie... może. Panna Tańska nigdzie wszelako o niezależności i własnym celu życia nie wspominała *w Pamiątce*, te dwa słowa przesuwają się tylko w jej dziennikowych notatkach Czy to było zręczną ostrożnością z jej strony, czy istotnem przekonaniem, że jej wolno zupełnie wyjątkowe, a dla innych kobiet nieodpowiednie zajmować miejsce, trudno to rozsądzić. Pewną jest rzeczą przynajmniej, że dobrze zrobiła. Ani na rzymskiem prawie wychowany jurysta, ani żadna surowo starego obyczaju i starych pojęć strzegąca matrona nic jej do zarzucenia nie mieli, a młodość wdzięczną jej być musiała. Od pierwszej do ostatniej kartki *Pamiątka po dobrej matce* z takim właśnie talentem zadość czyniła ogólnym czasu wymaganiom: w prawdach zasadniczych o przeszłość niezachwianą wsparta, w szczegółach wierna upodobaniom, nawet i przesądom współczesności, siejąca w przyszłość zdrowe ziarna nowych potrzeb i sto-

sunków, musiała każdemu do serca i do przekonania trafić. Najostrzejsze jej przepisy niczego nikomu nie odbierały, z wyjednanych przez nią ustępstw większość korzystać mogła, a wszyscy razem łączyli się w szlachetnem uczuciu, nawskróś całe dzieło przejmującem; wszyscy myśleli to samo, uznawali to samo, pragnęli nawet tego samego, co w *Pamiątce* wydrukowanem czarno na białem im się ukazało. Któż mógł wtedy sądzić, rozbierać, usterki drobne wytykać, a zarzuty pilnie obmyślać? szczęśliwi ludzie! cieszyli się tylko, że pożyteczne dzieło na świat wyszło. Krytyka była niepodobną.

Zamiast krytyki, odezwał się jednozgodny chór pochwalny; posypały się dowody uznania i szacunku, kraj cały przyklasnął. *Pamiątka* rozeszła się w najdalsze strony, przedostała do najskromniejszych dworków szlacheckich. Oddawna nie przypominano sobie tak świetnego powodzenia; chyba *Śpiewy historyczne* narówni stanąć mogły. Powodzenie najlepszą bywa zachętą. Wnet autorce o nowem, szerszem, ważniejszem daleko dziele marzyć się zaczęło. Miała to być Amelia, córka owa radami *Pamiątki po dobrej matce* wychowana i nawzajem dzieci swoje kształcąca, nie w moralności już tylko, ale przeważnie w religii. Wybór tego kierunku najlepiej poświadcza wszystko, cośmy o zwierciadlanej właściwości talentu panny Tańskiej nadmienili. Trzeba wiedzieć, że istotnie były to chwile, w których między osobami „wyższego tonu,“ z pokrzywdzeniem owej *prawdziwej pobożności* w *Pamiątce* określonej, zaczęła w modę wchodzić stronnicza *żarliwość religijna* i zaraz objawiła się cechową formą swoją, to jest: gwałtowną skwapliwością do bojowania, nie z innemi wyznaniami, to się tak niepodobnem wtenczas zdawało! ani wszechmocy jezu-

itów, ani księcia Bismarka, ani niczego podobnego nie przypuszczano nawet; lecz był na placu rozbrojony już nieprzyjaciel: niedowiarstwo zaczęło więc bojować z niedowiarstwem.

Właściwie mówiąc, niedowiarstwa nie było u nas w narodzie; sama panna Tańska z własnego przykładu widzieć mogła, że dzieci nasze pod wpływem kościelnych obrzędów wzrastały, a szacunek powszechny otaczał wszędzie kapłanów, zwłaszcza gdy byli takimi, jak Piramowicz, Woronicz, jak skromny pleban wiejski, jej znajomy, ksiądz Mikołaj Żubr. Raz jeszcze powtarzamy, niedowiarstwa nie było w narodzie. Było trochę hultajów, co w nic na świecie, a szczególniej w cnotę i obowiązek nie wierzyli: tacy zawsze i wszędzie, na dworze arcychrześciańskiego Ludwika XIV bywali, i w klasztorach najsurowszych się znajdą; zresztą zaś były tylko pojedyncze osoby, więcej badawczym umysłem obdarzone, naukowemi pracami zajęte, mające swoje przekonania z przekonaniami powszechnemi mniej zgodne, ale to przecież od najdawniejszych czasów się zdarzało, i za Egipcyan Mojżeszowych, i za Greków Sokratesa i za wieków najsilniejszej wiary, gdy mnich Bakon w swojej celi automaty ustawiał, a subtelny Abelard bez przytułku się błąkał; zjawiali się tacy ludzie między nami za Piastów podobno, za Jagiellonów niezawodnie, za królów obieralnych bezwątpienia, a za panny Tańskiej z wszelką pewnością: cała różnica w tem zachodziła, że ich pierwej prześladowano i na stosie palono (u nas bardzo rzadko, jednakże czasem, czasem), za życia zaś panny Tańskiej nikt nie przypuszczał, aby to rzeczą godziwą kiedykolwiek, a możliwą wówczas było.

W całym ogóle społeczeństwa, obok przeważnie rozwiniętej religijności, tkwiło głęboko poczucie i uznanie zasad tolerancyi. Poczucie to mamy nawet prawo za wrodzoną, gatunkową skłonność szczepu naszego uważać. O ile wolni od zewnętrznego nacisku, przed Skargą i po końcu XVIII-go wieku,

zawsze rozwinęliśmy w sobie głębokie poszanowanie dla każdej formy i dla każdego obrządku, którym człowiek oddaje cześć Bogu, którym najwznioślejsze, na jakie go stać, pojęcia swoje o prawdzie i miłości wszechmocnej wyraża. Jużcić i nas doszły podmuchy zachodnich huraganów, co po fanatyźmie ślepej wiary zionęły fanatyzmem ślepego zaprzeczenia; nigdy one nie wysadziły nas jednak z historycznej kolei naszej, nie odbiły się w żadnem dziejowem zdarzeniu, a za życia panny Tańskiej zostały po nich tylko owoce zbawiennej nauki i głosy poważne, co się koniecznie pięknych i szlachetnych czynów na świadectwo religijnemu wyznaniu domagały. Później, oh! znacznie później słyszeliśmy, że podobne domagania się ubliżają świętości prawd dogmatycznych, że są zwykle do każdej herezyi wstępem; natenczas wszelako były one raczej wielkiego rozszczepienia zakończeniem i były górą nad innemi. Kto zadość czynił tej potrzebie, więcej nawet, tej tęsknocie tłumów; kto religią naddziadów z czystą chrześciańską moralnością, z gorącem ukochaniem ludzkości łączył, tego mało powiedzieć szacunek publiczny, bo tego osobista wdzięczność najpoczciwszych serc naszych otaczała. Lecz drugostronnie, im pilniej kto „obchodził morze i suchą, aby jednego nowego zakonnika przyczynić; im głośniej przysięgał na kościół, im hojniej sypał dziesięcinę z miętki, i z anyżu i z kminu, a miłował pierwsze siedzenia na wieczerzach i pierwsze stolice w bóżnicach i pozdrowienia na rynku“ *): tem ściślej w jego sprawy wglądano, tem zawzięciej urągano jego niepożytecznej służbie i belkom w oczy jego powbijanym.

Widać, że właśnie pojęcia o pobożności padły na serce panny Tańskiej w chwili najważniejszej jej wewnętrznego rozwoju. Spotkała się z niemi u rajskich

---

*) Ewangelia według ś. Mateusza, rozdz. XXIII, w. 15. Tłumacz. Wujka.

wrót szczęśliwie spędzanej młodości, na progu tego drugiego początku życia, kiedy to człowiek sam nad wolą swoją, rozumem i kierunkiem zwierzchnią władzę obejmuje. W jej nawskróś rodzinnem usposobieniu tak doskonale odpowiednie mu zasady głęboko się wkorzeniły i wkorzeniwszy, zostały; zewnętrzny nacisk towarzyski wypaczył je nieraz, przytłumił, ale z każdą chwilą, w której niezawisłość moralna wracała, wracało też moralne. głównie sprawy religijnej uznanie, wrcacał ów słonecznie ciepły i jasny zdrowy rozsądek, coby go niemal chłopskim rozumem nazwać było w niej można, gdyby się tak często na cudze pola nie dał wyprowadzać. Przytoczyliśmy słowa, które panna Tańska najpierwej współziomkom swoim jawnie wypowiedziała; możemy jeszcze na dowód przytoczyć te, które pani Hofmanowa, ku schyłkowi życia, sama dla siebie, jak się zdaje, kreśliła:

„Religia jest niczem więcej, jak moralnością z wiarą złączoną, można więc powiedzieć, że z dwóch istot się składa: z wiary i z moralności. Kto wierzy, a nie jest moralnym, ma tylko wiarę, jest bigotem, świętoszkiem, czasem fanatykiem; kto jest moralnym, a nie wierzy, jest filozofem mocnym duchem. Sto razy lepiej mieć moralność jak wiarę, ale najlepiej i najpewniej moralność swoję połączyć z wiarą i to dopiero religią się zowie.

Prawie wszystkie najrzetelniejsze opinie błąd za sobą ciągną; w umyśle mieści się zawsze cień obok rzetelnego przedmiotu; ztąd i zbytek wiary, do którego niektóre kobiety są więcej przywiązane, niż do istotnie potrzebnej.

Szkoda że kapłani daleko więcej się przywięzują do wiary, niż do moralności: ich nauki zamiast być religijne, to jest łączyć tajemnice wiary z przepisami moralności, są niemal zupełnie odrębne; dlatego też wielu wierzy, a mało dobrze czyni.

Nie sądzę, aby należało do religii przykrości i umartwienia sobie zadawać; dosyć zdaje mi się znosić je z pokorą, gdy przyjdą.“

Takie było. śmiało rzec można, całego kraju religijne przekonanie i usposobienie. Najfanatyczniejsi

odstępcy jeszcze głośno dowodzili, że choć oni sami nie wierzą, to zawsze kobietom religia jest potrzebna. Tymczasem razem prawie z ukazaniem się *Pamiątki*, może już trochę wcześniej, ale wtedy jawniej i śmielej zaczęto się do walki przeciw owym zgubnym, niebezpiecznym wyobrażeniom gotować. Szermierka tego rodzaju wcale z istotnych potrzeb, ani skłonności kraju nie wynikała; obcą była charaktorowi narodowemu, szkodliwą państwowym interesom. Przyszła też po prostu jako najwykwintniejsza, dobrego tonu moda z Paryża. Tam miała powód istnienia, można ją było historycznie objaśnić i poniekąd usprawiedliwić. We Francyi zwycięzkie zmartwychwstanie zewnętrznych obrządków katolicyzmu i politycznego wpływu duchowieństwa wyrodziło się z naturalnego położenia stronnictw: gdy jedne koniecznie chciały utrzymać nadane sobie przez rewolucyą prawa, drugie koniecznie przywrócić wydarte sobie przez rewolucyą przywileje. U nas nie było ani takiej rewolucyi, ani takich stronnictw. Naród wiary nie utracał. Żadna część jego zbiorowo i czynnie nigdy jej nie zaczepiała; żyliśmy w świętej zgodzie ze stolicą apostolską; niedowiarstwo nie przedstawiało w naszym kraju odrębnego interesu, nie miałoześrodkowanego działania, ani celów swoich innym celom nieprzyjaznych. Kiedy przeciw niemu walczyć zaczęto, zrobiono to pod wpływem francuskich, a nie naszych rodzimych stosunków, i zrobiono na sposób francuski. Arystokracya nasza, wieczna turystka, wiecznie poufałością zwyczajów naszych miejscowych drażniona, przejęła się zasadami swoich dobrych przyjaciół z Faubourg St. Germain. Może sobie roiła, że przy pomocy tak mistrzowsko obmyślanej metody dawne wpływy odzyska; może chciała tylko jak piękniejszą francuzczyzną i angielskim językiem z tłoku się wyróżnić; może poprostu uległa zwykłemu popędowi naśladownictwa: dość, że wielkie panie pierwsze hasło trwogi rzuciły i wojenne chorągiewki rozwinęły. Stało się to wtedy właśnie, gdy najczystsze, najpierworzutniejsze przynajmniej

uczucie religijne zstąpiło do gorących serc młodzieży naszej, gdy, nie mówiąc już o szkołach pod kierunkiem księży pijarów, nawet świecki uniwersytet wileński przygotowywał nam Zana i Mickiewicza.

Jeśli co nam groziło w blizkiej przyszłości, to pewnie mistycyzm więcej, niż bezbożność. Otóż tego objawu i zwrotu nie zrozumieli, boć naturalnie zrozumieć nie mogli, francuscy księża i francuskie emigrantki; francuskie emigrantki, które przewodniczyły wychowaniu całej prawie generacyi „wychowywanych“ dziewcząt naszych; francuscy księża, czyli tak zwani labusie, którzy wszystkich prawie majętniejszych paniczów naszych kształcili. W samej okolicy Izdebna panna Tańska przeszło pięciu ich znała. Były między nimi szlachetne i nieszlachetne, moralne bardzo i niebardzo moralne osobistości, ale wszystkie razem, kobiety i mężczyźni, wystraszeni z własnej ojczyzny, unieśli z niej w duszach swoich rozpacz, przerażenie, nienawiść starciem dwóch fanatyzmów zbudzoną, a ciągłemi stratami, tęsknotą i cierpieniem podtrzymywaną. W zaślepieniu swojem nie ocenili różnicy, jaka zachodziła między krajem, z którego uciekać musieli, a krajem, w którym schronienie znaleźli; ciągle im się zdawało, że apokaliptyczny potwór ich ściga i polskie dzieci w obawie francuskich Maratów i Robespierów wzrastały. Inną wszelako otoczone atmosferą, byłyby zapewne o całą głowę i o całe piersi te płonne grozy przerosły, gdyby wzór Burbońskiej restauracyi na najświetniejsze salony nasze nie oddziałał i w wielu miejscach nie zastał tak już przygotowanego pod swój zasiew gruntu. Panna Tańska jest wyborną ilustracyą owej chwili dziejowej. Sama sobie zostawiona, w prostomyślnej wierze matki swej z różnych naleciałości obcego nabożeństwa otrząśnięta, życzliwością światłych przyjaciół, jak Wyszkowski, Woronicz i Brodziński wsparta, napisała *Pamiątkę*, dzieło piękne, poczciwe i bez zaprzeczenia dla wszelkiego rodzaju czytelników bardzo pożyteczne. Na nieszczęście, dawne stosunki rodziców i pierwszych

jej dzieciństwa opiekunek, przed wnuką nieszczańskiej rasy Tańskich z dworku na Pradze i Czempińskich ze Starego miasta, rozwarły szeroko podwoje najznakomitszych w kraju i stolicy domów. Nie spostrzegła się nawet, jak zwolna atmosfera tych wyżyn światowych ogarniać ją i przenikać zaczęła, bo to jest nader magnetyczna i odurzająca atmofera, szczególniej właśnie dla warstw średnich towarzystwa...

Dla panny Tańskiej jeszcze większe uwzględnienie mieć się godzi, pamiętając na jej rodzinne położenie i z dzieciństwa zaszczepioną do piękna i wykwintu skłonność. Zdziwiłaby się pewnie, gdyby jej kto był powiedział, że srebrzysty głos pani Ordynatowej, że echo toczonych u ministra Grabowskiego rozpraw towarzyszyły śpiewanym wówczas piosenkom, mierząc im takt i wysokość tonu. Rzeczy takie zawsze trochę bezwiednie w nas się rozgrywają Trzeba już być ostrożnym i pilnie czuwać nad sobą, żeby ich pogmatwania rozwikłać. Panna Tańska nie była niczyim przykładem ostrzeżona i wcale z tej strony nie czuwała nad sobą. Coraz bardziej skręcając na obcą drogę, coraz nawet pewniejszą była, że za przewodem własnego natchnienia postępuje. Szczerze pobożnej, nieraz pewnie obił się o uszy żart jaki z Woltera zapożyczony; miała nawet jakiegoś wuja, wielkiego niedowiarka, który źle się prowadził, nędznie umarł i w domu matce chorobą swoją wielkiego kłopotu narobił: kiedy potem słyszała gorzkie utyskiwania na brak religijności, na podkopane i blizkie zupełnego wywrotu świętej wiary podwaliny, pewną była, że na prawdę straszliwe niebezpieczeństwa im grożą.

Gdyby się od lat pierwszej młodości czuła obowiązaną do ścisłego rozumowania, toby może ustawiła znaczenie tych ulotnych w bawialnym pokoju gawędek, z wypadkami szerszego na zewnątrz życia, gdzie katolików żaden jeszcze niedowiarek nie ciemiężył, żaden jeszcze nawet różnowierca zaczepić nie śmiał; gdzie tłumy ludu po staremu do świątyń Pańskich się garnęły, gdzie nikt się zmiany obrządków ani dogmatów

nie dopominał, gdzie wreszcie wszystkie prawie kobiety, tak jak ona, modliły się gorąco i odwiecznych słów pacierza uczyły swoje dzieci. Lecz panna Tańska czuła się tylko obowiązaną do wiernego wypowiadania tego, co jej w charakterze dobra i cnoty się przedstawiło. Gdy ją wzruszono skargami nad opłakanym stanem religii ojców naszych, gdy pozornem jej lekceważeniem zaniepokojono, zbudziła się w niej gwałtowna potrzeba niesienia jakiegoś ratunku, przedsięwzięcia jakiejś pracy, któraby złemu i nieszczęściu drogę zabiegła. Autorka naturalnie przedewszystkiem pomyślała o książce. Skromny, czysto moralny zakres *Pamiątki* już jej niedostatecznem się zdawał. Wielki plan ułożyła. Dzieło przynajmniej w sześciu tomach być miało; zaczęła je: plan się coraz bardziej rozrastał w jej wyobraźni; liczba sześciu tomów zbyt jeszcze ograniczoną się zdawała; i dwanaście na snujący się wątek mogło nie wystarczyć. *Amelia matką* zamierzała objąć cały kurs teologii dla ludzi świeckich. Najpierw trzeba było ogólnie dusze młodych wychowańców przysposobić: dowieść nieomylności, doskonałości prawdy wyłącznej i koniecznej potrzeby religii katolickiej; potem szczegółowo, z objaśnieniami historyą świętą opowiedzieć; potem wyłożyć dogmatykę, potem prawo, dzieje kościelne, a to wszystko na tle powieściowem, w obrazkach z codziennego wiejskiego życia jakiejś idealnie cnotliwej hrabiowskiej rodziny. Sam już ten podkład był wadliwym: fikcya ubliżyła powadze głównego przedmiotu, główny przedmiot czasem od fikcyi zapożyczonym się zdawał. Nauka wiary, której stanowczo z władzą i pewnością udzielać trzeba, w Amelii zaczyna się od dowodzenia. Gorliwa ta matka, przez całe dwa tomy polemizuje z filozofią XVIII-go wieku i niezmiernie się cieszy, że dzieci ciągle jej słuszność przyznają. Walczy wprawdzie głęboko tkliwem słowem niekiedy, ale częściej bardzo słabą dyalektyką. Raz nawet, gdy ją miękkość własnego pomysłu uniosła, tłumacząc nieodzowną konieczność ostatecznego sądu, daleko zupełniej swoich uczniów,

niż cenzurę duchowną zadowoliła, i było trzeba, obok tytułowej kartki, umyślne ostrzeżenie wydrukować.

Oczywiście nie wiodło się tej pracy; bardzo świetnie natomiast piszącej wieść się zaczęło: „powinszowania, pochwały, kupcy sypać się zaczęli; Amelia zwróciła na siebie uwagę rządu; głośno mówiono, iż trzeba autorkę tak użytecznego pisma zachęcić, że trzeba wynagrodzić;“ — „jabym życzyła sobie pensyi dożywotniej,“ powiada w poufnych dzienniczkowych notatkach swoich, i z dziwną naiwnością tuż zaraz dodaje: „Ach Boże, jakaż to opatrzność Twoja!... Powiedziałeś Panie: „dobrze temu, który się mnie trzyma!“ W tym sensie rzeczywiście dobrze było pannie Tańskiej, spadła na nią kilkotysięczna gratyfikacya, urzędnicze kobiece w ministerstwie oświaty godności, później nawet i owa zapragniona pensya dożywotnia jej nie minęła; dwa tylko drobne szczegóły ziarnkami pieprzu wpadły do czary upajającego tryumfu: pokątna ploteczka i milczenie dzienników. Z pokątnej ploteczki doleciało jej uszu, jakoby ktoś zarzucił, „iż pochlebstwo piórem jej prowadziło, i że dlatego, że religia w modzie, ona się do religijnego dzieła wzięła.“

Co do mody religijnej, to już objaśniło się nieco, jakim sposobem, przez jakie pośrednictwa na pannę Tańską wpłynęła. Że wpływ ten był zupełnie bezświadomie przyjęty, za to ręczyćbyśmy mogli; co zaś do pochlebstwa, to wręcz zaprzeczyć mamy prawo. Nie ona pochlebiała, lecz jej pochlebiano właśnie. Póki jakaś niemajętna, trochę garbata, młoda osoba dzieł sławionych drukować nie zaczęła, póty, jakkolwiek rozumna i ślicznie po francusku mówiąca, niepostrzeżenie się między magnateryą naszą przesuwała i zbliżenie się do wielkości światowych żadnego prawie dla niej nie przedstawiało niebezpieczeństwa. Z kilku cierpkich wyrażeń dzienniczka przypuszczamy, że i matce i córce przykre to nawet być musiało nieraz. W wielu też miejscach pism swoich, czy przeznaczonych, czy nie przeznaczonych do druku, córka powtarza później, że wcale nie jest arystokratką, że wcale

nie sprzyja arystokracyi. W jej przekonaniu arystokracyą były tylko same wgórę *zadarte nosy* i pogardliwie niedowidujące człowieka-robaczka oczy, nosy i oczy takie, jakie bywają dla nudnych, dla niepotrzebnych a potrzebujących, lub dla nieuległych wreszcie. Pannie Klementynie wcale na myśl nie przyszło, że arystokracyą być mogą także i uśmiechnięte usta i serdecznie do uścisku wyciągnięte dłonie, bo prawdziwą naturę arystokracyi nie jej obejście się, ale jej zasady stanowią; duma jej tkwi nie w zewnętrznych objawach, ale w dążnościach, przekonaniach i celach. Gdy koło skromnej, ubogiej panienki nagle szumno się zrobiło, gdy głos publiczny okrzyczał ją nadzwyczajnością, gwiazdą nową literatury, prawodawczynią kobiet, zaraz przychylniejsze względy pomijaną dotychczas otoczyły. Nic dziwnego, że panna Tańska, bliższa czasów szlacheckiej klienteli i możnowładczego patrońswa, dała się tym względom pociągnąć. Dzisiaj, kiedy i klientela nic nie przynosi i patrońswo nic zrobić nie może, iluż-to jeszcze pociągnąć się daje blaskowi tytułów, znakomitości starych nazwisk, przepychowi starych pamiątek; ileż męzkich talentów łamie się, samodzielność swoję traci dlatego, że grzeczną ciekawość biorą za istotne współczucie, chęć przyozdobienia gromadzonych u siebie zebrań za braterstwo w obec inteligencyi, przyjemność opiekowania się zasługą za jej uznanie, starania łożone dla jej wyzyskania na korzyść własnych widoków za szczerej przyjaźni dowody.

Prawdziwa arystokracya tak umie być zachwycającą i uroczą, tak wysoko rozwinęła artyzm życia i estetykę formy: trudno się oprzeć jej sile przyciągającej! Już wspomnieliśmy, że panna Tańska była ogromnie wrażliwą na zewnętrzny układ rzeczy i osób. Powabniejsze uczennice większe u niej miały łaski. Wytworność stroju, mieszkania, powozów, obsługi zarówno też na nią działała. Cóż dopiero, gdy wszystkie te okoliczności podnosiło jeszcze i uwybitniało historyczne jakie nazwisko? Cały instynkt niezbyt

dawnej przeszłości i cześć dla świetnych wspomnień dziejowych odzywały się razem w jej duszy; czuła się niższą bez poniżenia, uznawała się nierówną na mocy praw natury i spółeczeństwa; dworactwem jednak brzydziła się głęboko, lecz miała o niem równoległe do pojęć o arystokracyi wyobrażenie. Dla niej dworactwo — a musiała się różnych jego opisów nasłuchać z ust własnej matki, uciekającej przed jego dotkliwemi kolcami—dworactwo łączyło się z upokarzającem nadskakiwaniem, z próżnością gwałtem do wielkich panów się cisnącą, z przymileniem wyczekującem łaskawej nagrody. Nie wiedziała, że jest inny gatunek jego, dla serc prawych i zasad szlachetnych niebezpieczniejszy: dworactwo nie prośby, lecz podziękowania, nie narzucania się, lecz chętnego stowarzyszenia, nie zapotrzebowania czyjej łaski, lecz grzecznie z naszej strony zrobionego ustępstwa. Przeciw temu dworactwu ustępstw panna Tańska zupełnie była bezbronną w sumieniu i w przywyknieniach swego wychowania. Kiedy się trzymała zdaleka, o nic nie prosiła i nie nadskakiwała nikomu, była pewna, że nic sobie nie ma do wyrzucenia i że jest surowa jak Katon; jeżeli zaś jej szukano, a nie usunęła się, jej coś ofiarowano, a nie odrzuciła, jej chciano się podobać i spodobano się istotnie: za to przecież odpowiedzialną być nie mogła, to już wynikło z zachowania prostej uprzejmości przepisów. Plotka więc nie była dla niej nauką ani przestrogą, głębokie tylko wywołała oburzenie. Co zaś do milczenia dzienników, tego sobie wytłumaczyć nie mogła. Istotnie, wyszedł tom pierwszy, wyszedł drugi, a żadne pismo o *Amelii* nie wspomniało. Zpoczątku chciała w siebie wmówić, że to dzieło się rozchodzi, dobry wpływ wywiera, matkom w pomoc przychodzi; kraj jednak bliżej się z niem nie zapoznał. Domy, w których *Pamiątki* na pamięć się uczono, przez długi czas nie słyszały nawet, że wyszła *Amelia matką*.

W dziesięć lat może po jej ukazaniu się, przypominamy sobie, jak młode wielbicielki pani Hofmanowej

z zadziwieniem dowiadywały się o jej istnieniu: „Więc jest dalszy ciąg *Pamiątki po dobrej matce?* ach! jakże chciałabym go przeczytać.“ „Cóż, kiedy nie taki ładny podobno — odpowiadano zazwyczaj —strasznie rozwlekły, *filozoficzny* (!); mówią, że tam coś księża zganili.“ I takim nagrobkiem przyciśnięta książka już z martwych nie powstała; weszła do bibliografii, przepadła w literaturze. Autorka sama, w kilkanaście lat później, rozpamiętywając jej dzieje, poznała, że to była wielka omyłka, która ją kosztowała dużo pracy, dużo pieniędzy i cztery lata najpiękniejszej młodości, kiedy wyobraźnia najświeższą, kiedy serce najpełniejszem zapału. Szczęściem jednak, owe cztery lata nie sama Amelia wypełniła; na odpoczynek po teologicznych dysputach, od czasu do czasu zwracała myśl swoję panna Tańska ku drobniejszym przedmiotom: ukazały się pierwsze jej *Powieści moralne*, potem stokroć błogosławiona *Helenka*, a nakoniec, gdy druk Amelii fundusze wyczerpnął, zaczęło się wydawnictwo *Rozrywek*. Imię redaktorki nowym zajaśniało blaskiem, wpływ jej poczciwy nową wzmocnił się zasługą. Wszyscy doskonale na tem wyszli, że recenzenci głosu nie podnieśli. Może być, iż jakiego gwałtowniejszego ochotnika cenzura powstrzymała, wogóle jednak przeważyło poszanowanie użytecznego na innych drogach talentu, a prawdopodobniej jeszcze ta broniona przez pannę Tańską religia tak mało nieprzyjaciół spotykała wtedy, że ci nawet, którzy w nią nie wierzyli, lub inaczej wierzyli, szanowali ją w wierzących i nie chcieli tak ważnej sprawy po trybunałach opinii publicznej rozwłóczyć. Nie chcieli też zapewne budzić dopiero co uśpionych namiętności. Rzecz ta, milczeniem pokryta, mogła bez śladu przeminąć; jedno słowo odporne mogło bardzo szkodliwe następstwa wywołać. Najłatwiej to o religią kłótnie wzniecić, najtrudniej je potem uciszyć, a nam pocóż się wtedy kłócić było? Zabobonów nikt nie głosił, przesądów każdy się wypierał; czarownic nie pławiono, dzieci przed ich urodzeniem do klasztoru nie przezna-

czano; uczciwy uczciwego szanował, wszystkich razem Pan Bóg miał kiedyś sądzić: więc roztropnie zrobili krytycy, że rozumowaniom Amelii przeciwnych rozumowań nie stawili. Krytyka była niebezpieczna. Tem niebezpieczniejsza, że chociaż, powtarzamy to, moralność a pisma panny Tańskiej o moralności nie były zupełnie jednoznacznemi wyrazami, tak się złożyło jednak, iż panna Tańska, pierwsza u nas pisząc o moralności dla kobiet, zgromadziła w dziele swojem wszystkie uznane, wyrobione i rozpowszechnione między nami pojęcia moralne; każdy więc, coby *Amelii matki* zasady odrzucił, łatwo ściągnąłby na siebie, a gorzej, bo na grono współwyznawców swoich podejrzenie, że i najświętsze zasady moralności odrzuca. Raz jeszcze powtarzamy: ze wszelkich względów krytyka była niebezpieczna.

Tymczasem lata mijały, blizko dwadzieścia ich upłynęło. Pani Hofmanowa daleko we Francyi mieszkała, a tutaj porosły dzieci, co się na Helence sylabizować uczyły; dojrzało pokolenie, co się według *Pamiątki po dobrej matce* kształciło; rozeszły się w świat szeroki instytutowe wychowanki, co z ust samejże pani Hofmanowej odczytów o moralności słuchały. Dzisiejszym młodym czytelniczkom zdaje się zapewne, że wdzięczność dla nauczycielki, poszanowanie dla autorki promienniejszą niż kiedykolwiek aureolą jej nazwisko otoczyć musiały: otóż zupełnie przeciwnie się stało. Po epoce bezwarunkowego uwielbienia, nastała epoka nietylko sprawiedliwych, ale i niesprawiedliwych zarzutów. A najpierwej, żeby choć wczęści tę niesprawiedliwość uczennic dla profesorki wytłumaczyć, musimy się powołać na własne pani Hofmanowej notatki. Gorszyło ją

„wynoszenie się nad stan, ta gwałtowna i nierozsądna chęć rodziców, żeby koniecznie ich dzieci mędrszemi od nich były. Nie jest ona szkodliwa dla mężczyzn: oni lepiej ze światłem obchodzić się umieją. Słabość umysłu niewieściego w tem się najlepiej okazuje, że mało która znieść je umie i dlatego to uczone, edukowane, mądre kobiety tyle zawsze są wyśmiewane...“

Spostrzeżenie pani Hofmanowej było trafne, ale zasada niesłuszna. Wiele i wtedy i dziś jeszcze można widzieć biednych ofiar przez *edukacyą* z drogi szczęścia, a nawet z drogi cnoty wykolejonych, niewięcej przecież niż takich, co są przez ciemnotę, przez brak *edukacyi* w zepsucie i nędzę popchnięte. Słabość umysłu niewieściego znieść czasem nie mogła światła, bo też znieść go nie może każdy, co długo w piwnicy siedział. Rybki podziemnych jezior wcale oczu nie mają, ślad tylko, że ten organ posiadały kiedyś i że go znowu odzyskać są zdolne. A zresztą panna Tańska najlepiej wiedziała, jaka to była edukacya, jakie szmermelowe światło! Wyśmiewano uczone, mądre kobiety; pominąwszy jednak, że z nich żadna ani prawdziwie uczoną, ani mądrą nie była, gdyż choć z regestrów bibliograficznych wiedzieliby o niej dzisiaj, pominąwszy to, każdy jeszcze mógł na własne oczy być świadkiem, jak często i gruntownie i prawdziwie uczonych, mądrych mężczyzn, jeśli im prostej praktyczności w towarzystwie niedostawało, kobiety wyśmiewały nawzajem. Śmiesznością jest niezdarność, nietrafność, dzika pretensya, niewłaściwe odezwanie się, ubiór na czupieradło zakrawający, ale nie uczoność. Pani Sommerville już pod te czasy bardzo uczoną była, a nikt jej nie wyśmiewał: dwa razy za mąż chodziła. Że zaś rodzice chcą gwałtownie i koniecznie, żeby ich dzieci mędrszemi od nich były, to niech im za to Bog Najwyższy błogosławi; spełniają przecież najofiarniejszą rodzicielską powinność; gdyby się w tym względzie najdrobniejsza zazdrostka wkradła, gdyby samolubstwo roztropnością zamaskować się dało, światby stanął, jak zepsuty zegarek. Lecz

mniejsza o spostrzeżenia i mniemania pani Hofmanowej, to smutniej, że:

„dochodziły ją wieści, jakoby Instytut guwernantek większy jeszcze popęd dawał tej nieszczęśliwej manii. Wszystkim urzędnikom, ekonomom, małym dzierżawcom zawracała się głowa, wszyscy córki swoje nagwałt chcieli tam oddawać....“

W tej mierze, jak sama się przyznaje, pani H. była *arystokratką*:

„gdyby jej chcieli słuchać naczelnicy, toby przyjmowali tam tylko takie panienki, których rodzice (mniejsza: szlachta, czy nie szlachta) dobrze wychowani. Córka wyższego urzędnika, który umarł i żonę bez sposobu zostawił, sierota dobrze urodzona, kupcówna zubożała takieby miejsca miały.“

Naczelnicy, jak widać, niezupełnie pani H. słuchali, bo najwięcej było w Instytucie córek bardzo nizkich urzędników, bardzo ubogich, ciężko zapracowanych rodziców. Było parę i kasztelanek, nawet hrabianka się przesunęła, a rzecz dziwna, ani zdolnością do nauk, ani chwalebnem postępowaniem w dalszem życiu żadna z owych utytułowanych nie zasłynęła. Wszystkie nagrody i szkolne zaszczyty musiano przysądzać właśnie córkom nie dobrze wychowanych, ale dbających o dobre wychowanie dla swych dzieci rodziców. Newet jedna z ówczesnych uczennic, a późniejsza następczyni w wykładzie moralności, zbyt młodo zgasła Elżbieta Kosmelska, była także ubogą, bez świetnej parenteli dziewczynką. Pani H. ani zdolnością, ani pilnością ująć się nie dała nigdy; jej zachowanie się względem „instytutek“ było zawsze bardzo chłodne i, mamy prawo od niej się tem wyrażeniem posiłkować, *arystokratyczne*. Niejedna, która pierwej zachwycając się *Pamiątką* i *Rozrywkami*, wzdychała do poznania pani H., jak do najświetniejszej w życiu swojem uroczystości, siadłszy potem na ławce wrzędzie jej słuchaczek, wydziwić się nie mogła, czemu tak przyjemna powierzchowność, tak ślicznie czytane rzeczy głębszego na niej nie czyniły wrażenia. Młode serca odczuwały w jej sercu brak

przychylnej życzliwości; nie miała słowa zachęty dla mniej zdolnych, ani uśmiechu zadowolenia dla pojętniejszych. Obchodziła się z wszystkiemi grzecznie, pisała swoje *rozdziały* sumiennie, ale nie mogła się rozstać z tą myślą, że ma do czynienia z uzurpatorkami cudzych miejsc i cudzego dobra; ztąd też jej naukom brakło ożywczego ciepła i przenikającej w głąb duszy skuteczności; nie wytworzyła ze swego audytoryum licznego zastępu dość gorliwych zwolenniczek, coby później wiernie i stale jej przekonania szerzyły, jej kierunku ślepo się trzymały. Spotykaliśmy w dalszem życiu wiele kobiet, na których drukowane dzieła pani H. stanowczy wpływ wywarły; nie spotkaliśmy uczennicy, którąby z jej ustnego wykładu zaczerpnęła jaką pomoc w urządzeniu swego losu, uniosła w pamięci coś droższego, niż artystyczne uwielbienie dla jej pięknego głosu, potoczystego stylu i pańskiego ułożenia. A jednak to był wykład moralności!... Choćby i te komisarzówny, co je pani A. *) tak czarno odmalowała, choćby i córki tego drwala znad Wisły **), wszystkie, najuboższe z najbogatszemi miały równe do niego prawo, bo wszystkim zarówno był potrzebny, zarówno przynależny. Kiedy się panna Tańska *Amelią matką* zajmowała, na każdej kartce jej pamiętnika jest ślad głębokiego przejęcia się swojem zadaniem. U światłych ludzi szuka rady i wskazówek, wertuje źródłowe dzieła; przemyśliwa, poprawia, ulepsza, serce jej bije, łzy płyną, gdy pisze niektóre ustępy. Wkrótce potem na usilne prośby pana Kosakowskiego, członka Komisyi edukacyjnej, przyjmuje urząd eforki; dwie szkoły i dwie pensye będzie miała pod swoim dozorem; jedyna uwaga, która tej zapisce towarzyszy, jest:

---

*) Zobaczyć w życiorysie notatki z r. 1827.

**) W powieściach moralnych, powieść na miesiąc Wrzesień.

> „Ciekawam moich tam odwiedzin; mnie się zdaje, że to istna komedya.“

I znowu w kilka dni później:

> „Odebrałam pochlebne wezwanie na eforkę od Komisyi oświecenia i wezwanie na sesyą. Bawi mię to...“

Prawda, że nikt z mężczyzn nie zajmował się wtedy poważnie naukową oświatą kobiet; może i sama Komisya oświecenia uważała ją trochę za komedyą i bawiło ją to, ale ze strony samejże kobiety, zwłaszcza takiej, jak panna Tańska, potrzebowaliśmy serdeczniejszego współczucia; pragnęlibyśmy w jej rachunkach z samą sobą spotkać dowód jakichś przygotowawczych prac, namysłów, jakieś uwagi i spostrzeżenia, gdy ją na profesorstwo do Instytutu powołują wreszcie. Mniejsza o to, choćby te uwagi i spostrzeżenia najniekorzystniejsze dla „instytutek“ były.. A przyznajemy, mogły być bardzo niekorzystne w tych pierwszych latach, kiedy się kilkadziesiąt dorosłych panien z różnych stron kraju w jednę gromadę zebrało i na jasno sprawy zdać sobie jeszcze nie umiały, o co chodzi w tej ich nauce? czem one są? czy takiemi jak inne pensyonarkami? czy stowarzyszeniem młodych osób z własnej woli w naukowym celu połączonych? Świeżo otworzonemu zakładowi brakło wszelkiej tradycyi, brakło zwyczajem wytworzonego drobnych ustaw kodeksu. Przełożone, we względzie umysłowej wartości, zupełnie narówni, niektóre niżej od podwładnych swoich stały. Poza urzędowym godzin rozkładem wszystko szło próbami tylko, bez ładu, bez karności. Działy się różne nadużycia; słychać było i o romansowych awanturach, bo też pomyśleć tylko: między piętnastym a dwudziestym czwartym rokiem życia kilkadziesiąt młodych, bujnych, nieujarzmionych tak bardzo pracą naukową organizmów, nad niemi władza, ale żadnego kierunku, w nich posłuszeństwo, ale żadnego poszanowania. W pięć lat później wszystko to inaczej się ułożyło. Możnaby powiedzieć, że pani Wilczyńska przeszła tylko przez sale oddzia-

łów, a zaraz cała rzesza właściwy sobie przyjęła charakter; boż też pani Wilczyńska kochała nas wszystkie razem i każdą zosobna. Choć sama bezdzietna, miała ten instynkt macierzyński, co do pierwszej lepszej, choć obdartej. zabrudzonej i brzydkiej dzieciny z pomocą rękę wyciąga, ogarnia, rozgrzewa i pieści. Ileż takich biedaczek przytuliła ona do siebie! iluż dała chleb ciała i chleb duszy, odzież zewnętrzną i umysłowe stroje! Nie wiemy, może to bezstronności słowom naszym w opinii czytelniczek ujmie, ale też drugostronnie błogiego sercu ujęłoby zadośćuczynienia, gdybyśmy się w tej chwili nie przyznali, że i my do grona owych przygarniętych się liczymy. Za to jednak ręczyć mamy prawo, iż nie śmielibyśmy osobistej wdzięczności uczuciem się rządzić przy podaniu by też najdrobniejszego z owych czasów szczegółu. Nam o to chodzi jedynie, by słowa nasze poprzeć dowodem, by możność ich sprawdzenia każdemu ułatwić. Nie sposób zresztą, żeby i najmłodsze z czytelniczek nie miały koło siebie jakiej poważnej matrony, jakiej na całą okolicę szanowanej cioci czy babci, i żeby ta ciocia czy babcia z własnych wspomnień lub ze słyszenia przynajmniej opowiedzieć im nie mogła o najsławniejszej w Warszawie pensyi, na którą to z całego kraju, i z Litwy i z głębi Ukrainy zwożono bogate pensyonarki, a zawsze dosyć miejsca dla biednych „bezpłatnych" zostawało.

Jak pani Hofmanowej przypisywano maleńką słabostkę do pięknych uczennic, tak pani Wilczyńska miała wcale nie maleńką, ale raczej niepohamowaną słabość do zdolnych; gdzie tylko wybitniejsza zdolność jej uwagę zwróciła, czy w milionowej dziedziczce, czy w podrzutku nawet, tam wnet jej serce lgnęło. Względem uboższych nie mogła się oprzeć pokusie, zaraz im pomagała się kształcić; w zamiarach czasem ograniczała się na czytaniu i pisaniu, lecz niechże dziewczka sama potem ku czemu wyższemu ciągnąć się zaczęła, niechże co napisała bardzo gładko, przytoczyła bardzo dowcipnie, sama na klawikordzie wybrzdąkała

ze słuchu jaki polonez lub mazurek, to zwykle tak się kończyło, że wchodziła do klasy, i szła przez wszystkie koleją i mieszkała na pensyi, póki się dla niej właściwego umieszczenia nie znalazło. Parę takich wychowanek wprost od swej opiekunki z błogosławieństwem i wyprawką, jak od rodzonej matki, za mąż poszło. Byli roztropni ludzie, co panią Wilczyńską surowo za taką łatwość „adoptacyi“ łajali, bo trzeba wiedzieć, że ta pani Wilczyńska, choć nam się zdawała wszechwładną i groźną ochmistrzynią, z natury była miękką, łagodną, trwożliwą kobietą. Zkąd brała siłę i stalową hartowność w pełnieniu trudnych swoich obowiązków? to dziś jest dla nas wielką psychologiczną zagadką, przypominając sobie, jak w każdym innym stosunku aż do słabości była ustępną, aż do ślepoty stratną i wyzyskiwać się dającą. Od dobrych uczynków jednak, od przyjmowania na pensyą biednych sierot po wojskowych i urzędnikach, od manii zbierania po swej drodze różnych zdolniejszych dziewczynek, żadne łajania nawet jej nie odzwyczaiły. Świat unosił na szerokie morza te przysposobione jej dzieci; niejedna zupełnie od pani Wilczyńskiej odstąpiła, pani Wilczyńska nie odstąpiła od żadnej. Zawsze się wywiadywała o ich powodzeniu, cieszyła dobrym losem, troszczyła przykrościami, gotową stała na pomoc za byle słowem wezwania; dobrą radą strzegła od błędu, pobłażaniem i cierpliwością prostowała ścieżki już zbłąkanych. A nie zestawiamy tu zwyczajowo pod pióro nasuwających się stylowych wyrażeń: jedno po drugiem do myśli nam przychodzi, niby treściwa legenda różnych obrazków i wypadków, jedno po drugiem moglibyśmy komentarzami imion własnych objaśnić: to jest n. p. Jacquelina, Suzeta, Atenaisa, łatwo się domyśleć można, że z wojen francuskich rozbitki; a to znów Aniela, Anetka, Hipolitka, Misia. Jeśli niniejsza książka wpadnie kiedy do ręki której ze współczesnych towarzyszek naszych, może jej przypomni Kornelią, Wandę, Hortensyą, domyśli się o kim mowa i chwilę dobrej przeszłości

drugi raz jeszcze przeżyje, kto wie. czy nie nad grobem!... Wróćmy wszelako do Instytutu.

Czem w kilka lat później pani Wilczyńska była dla niego *), tem kilka lat wcześniej pani Hofmanowa być już mogła; ale cóż, kiedy ona nie kochała swoich uczennic. Spokojniej dzisiaj tę rzecz rozważając, zdaje nam się, że prócz nieufności do wynoszących się nad stan, musiała być inna jeszcze wzajemnej obojętności przyczyna. Miała pani Hofmanowa wielki, niezaprzeczony talent jako autorka pedagogiczna, lecz brak jej było pedagogicznego powołania: są to dwie zupełnie różne między sobą zdolności. Nikt za to odpowiedzialnym nie jest, że której z nich, a choćby i obu nie posiada. Szczerze pragnęliśmy ten punkt niejasny na korzyść pani Hofmanowej rozświecić, staraliśmy się ściągnąć bliższe szczegóły o wychowankach, które pod wyłączną jej opieką w Paryżu się kształciły, ale żadnych dotychczas nie mogliśmy otrzymać. Kto wie, czy słowa nasze, z osobistych jedynie wspomnień i spostrzeżeń pisane, nie obrażą jakiego przywiązanego do dawnej przewodniczki serca i czy nie wywołają zaprzeczeń, sprostowań, prote-

---

*) Instytut guwernantek, jak wszelki nowego pomysłu, a prócz tego istotnie bardzo nieumiejętnie prowadzony zakład, mało w kraju budził zaufania. Komisya oświecenia, pragnąc poprzeć jego sprawę w opinii publicznej, starała się ją z ogólnie szanowanem nazwiskiem pani Wilczyńskiej połączyć. Kiedy zaś pani W. nie chciała, bo i nie mogła własnej pensyi zamknąć, a do Instytutu się przenieść, postanowiono przynajmniej 1823 r., że pensya ta z tytułem *wzorowej* urządzi się tak, by miała wspólnych z Instytutem profesorów, a każda jej uczennica klasy trzeciej będzie mogła, gdy zechce, bez egzaminu do 1-go oddziału Instytutu być przyjętą. Potem w początkach 1830 r. zamianowano panią W. główną niby ochmistrzynią. Miała jakąś zwierzchność nad przełożoną rzeczywistą, ale nie mieszkała w Instytucie, tylko odwiedzała go niekiedy. W roku 1833 nakoniec pensya wzorowa i Instytut połączone zostały w jeden i ten sam zakład, równie mieszkaniem, jako też urządzeniem. Dla pani W., podeszłych lat osoby, zaczęły się podwójnie ciężkie kłopoty, spadła na nią podwójna odpowiedzialność, aż i śmierć przyszła.

stacyj. Z wielką radością czytać je będziemy; nie chcieliśmy tu bowiem pani Hofmanowej oskarżać, tylko chcieliśmy późniejsze zobojętnienie jej słuchaczek instytutowych wytłumaczyć.

Co zaś do ogółu, lub ścilej się wyrażając, co do znacznej części kobiet naszych, które tylko czytelniczkami jej pism, a w dzieciństwie poddankami jej wpływu były, tu wszystko zwykłą rzeczy ludzkich poszłą koleją. Zawsze tak się dzieje, że bezpośredni następcy i bezpośredni poprzednicy najsurowszymi jedni dla drugich bywają sędziami; dopiero gdy ich rozgrodzą nowe pokolenia, zaczynają wzajemnie sobie sprawiedliwość oddawać. Nic w tem zresztą niema dziwnego. Dobrodziejstwa poprzedników spływają przedewszystkiem na dzieci, dzieciom zaś każde dobrodziejstwo zdaje się być koniecznością, zwłaszcza cywilizacyjne, i to nieraz twardą bardzo, przymusową koniecznością. Przeciwnie znowu, omyłki, niedokładności wszelkie poprzedników ujawniają się ludziom już dorosłym; oni w chwilach pierwszej młodości najcięższej za nie pokutują, więc też najgłośniej przeciw nim się skarżą. Poprzednicy ze swojej strony widzą, że nie wszystko tak plonuje, jak to sobie w chwili siejby obiecywali; trudno im się rozeznać w niespodziewanych przemianach i kombinacyach wykwitających z oględnie ich trudem przecież uprawionej gleby: niecierpliwią się i oburzają, a tymczasem znów inna teraźniejszość dojrzewa. Jej błędy wykazują, że niesłusznie lekceważono pierwotnych darów korzyści; jej zasługi dowodzą, że niesłusznie lękano się późniejszych prób i poprawek; jej pierwotne niespodzianki wreszcie przekonywają, że każda generacya ma prawo na własną rękę coś przedsiębrać, i między dwoma przeszłościami do lepszego porozumienia przychodzi. Taż sama historya z panią Hofmanową się powtórzyła. Dziewczynki, od urodzenia niemal w atmosferze *Pamiątki po dobrej matce* skąpane, wcale tego nie rozumiały, że wznioślejsze o obowiązkach pojęcie, szlachetniejsze ku szlachetniejszym celom popędy, go-

rętsze sprawiedliwości między ludźmi łaknienie, winne były nie samej tradycyi tylko, nie wrodzonym skłonnościom wyłącznie, ale jeszcze kobiecie, która się pierwsza dla nich i od nich tego dopominała. Zaprawdę, w kierunku przez nią wytkniętym daleko, a bezpiecznie zajść można było. Stopniowo doskonaliłby się podział pracy rodzinnej, rozszerzałby się wmiarę potrzeby zakres udzielanej kobietom oświaty, coraz wyższe ich rozumowe uzdolnienie bez walki zjednywałoby sobie coraz ogólniej szanowaną powagę i coraz szersze do zastosowania pole: wszystkoby szło gładko, spokojnie, bez podrzutów i bez powstrzymywań; wszystkoby rosło zcicha, a szybko, jak kulka śniegu po równej płaszczyźnie toczona. Cóż, kiedy od jednego do drugiego pokolenia nigdy pono dość równej niema płaszczyzny! na ten raz, co gorzej, wielka rozpadlina otworzyła się nawet. Małe dziewczynki, według programu i ducha pani Hofmanowej kształcone, po kilkunastu latach ujrzały się wśród stosunków zupełnie innych niż te, do których je kształcono. W świecie otwierającym się przed niemi zabrakło nagle głównego ze świata pani Hofmanowej czynnika: zabrakło wyższości mezkiej. Przez całe dwa środkowe dziesiątki bieżącego stulenia, mimo uroczystych zapewnień panny Tańskiej, w kółkach towarzyskich wcale nie było widać, żeby który z tych panów gotował się „krew swoję na placu boju przelewać,“ żeby zdolnym był „mądre pisać ustawy, pilnować ich wykonania, kraje podbijać, wznosić, bronić i rządzić niemi.“

Jest to, co prawda, dość rzadką we wszystkich wiekach i miejscach osobliwością — niktby się może nie dopominał o nią w gronie znajomych swoich; gorzej z tem było, że niejedna dwudziesto i dwudziestokilkoletnia kobieta miała prawo zaręczyć, jako się przed jej okiem ani razu i taki nie przesunął mężczyzna, „coby nad polepszeniem stanu swoich współbraci czuwał, wykonania sprawiedliwości, dobrego strzegł porządku, dla dobra ogółu lub na utrzymanie swej ro-

dziny pracował.“ Owszem, cokrok prawie spotykało się próżniaka, nieuka, dandysa, na którego utrzymanie rodzina musiała pracować, który bardzo szkodził dobru ogółu, psuł porządek, sam wiele niesprawiedliwości popełniał, a wcale się nie troszczył o stan współbraci swoich i wszelkie tego rodzaju zachcianki niemiłosiernie chłostał dowcipem, jeśli go miał choć trochę w najlichszym gatunku, obelgą, jeśli mu nawet najlichszego brakowało dowcipu. Pod względem oświaty i wykształcenia każda kobieta, która nie znała jakiego szanownego zabytku lepszych czasów, przebiegając z metodą porównawczą szeregi swoich współcześników, bez najmniejszej zarozumiałości czuć się mogła równą najlepszym, a wyższą od bardzo wielu. Młodzi panicze albo i tego nie umieli, co umiały młode panienki, albo umieli tylko to samo, co i one: trochę historyi, trochę wierszy; lecz umieli inaczej, obojętnie, nie naseryo, rzecby można nie na życiowe jakieś zastosowanie pięknej myśli, lub wzniosłego przykładu. Były pewnie wyjątki, lecz z tych najwięcej pono szkolne jeszcze zasiadało ławy. W powszednim tłumie dorosłej młodzieży żaden nie stwierdzał dogmatu pani Hofmanowej o mężczyźnie, któremu „Wszechmocny ogół życia powierzył;“ wszyscy oni głęboko jednak w niego wierzyli i równej też wiary od kobiet żądali. Nie potrzebujemy zapewne mówić, iż od większości nie żądali jej daremnie, większość miała przykazania pamiątki w swej naturze; lecz znaczna liczba schyzmatyczek, o których tu właśnie wspominamy, wcale się na ten artykuł nie godziła. Głodne i spragnione, zawistnem okiem podziwiały sutą zastawę przygotowaną dla tych, co do niej apetytu nie mieli. W ręku braci, kuzynów, sąsiadów, znajomych była wszelka możliwość użytecznej dla ogółu pracy; jak królowie, mogli jeszcze rządzić w swoich dziedzicznych, jak prokonsulowie, w swoich dzierżawnych wioskach; mogli po biurach różnych wydziałów sumiennie krajowe sprawy załatwiać, mogli na trybunałach sądzić występnych lub bronić niewinnych; mogli leczyć, nauczać z ambon

i katedr profesorskich; mogli stać się ubłogosławieniem włościan, gwiazdami przewodniemi maluczkich, sternikami rozbitków, siłą upadających: oni zaś grali w karty, tracili majątki, zdrowie, zdolności, a ze sztuk pięknych do choreografii chyba żywszy objawiali pociąg. Serca młodych sióstr i znajomych tymczasem, zasilone piewszym blaskiem oświaty, żywiej niż kiedykolwiek czuły, że szczerze pragną służyć bliźnim swoim, że kochają niewygasłą miłością ideał kroczącej ku udoskonaleniu ludzkości, że na wszystkie poświęcenia i trudy byłyby gotowe, byle do trudów i poświęceń sposobność znalazły. Lecz im właśnie tę sposobność odjęto, a niechby się i nastręczyła kiedy, to im odjęto zdolność korzystania z jej dobrodziejstw. Przy załatwianiu najprostszej majątkowej sprawy, przy wykonaniu najpoczciwszego zamiaru, brakowało im zasadniczych, praktycznych wiadomości. W niczem sobie poradzić nie umiały, a zaufać nie było komu. Pani Hofmanowa kazała je uczyć historyi, pozwoliła im zajmować się literaturą, nie wzbroniła czytania poważnych książek, ale wzbroniła nauk ścisłych i, co ważniejsza, w imię dobrego tonu zakazała „wdawania się ze służącymi.“ Wierne przeprowadzenie tego planu następującą dało wynikłość:

Kobiety nabyły istotnie wielu historycznych wiadomości, z nazwiskami i z chronologią nawet, z mnóstwem anegdot luźnie powybieranych, nadzwyczajnie zajmujących, lecz żadną nitką przewodnią niepołączonych i zdanych na dowolność ich własnego wnioskowania. Wpojono w nie prócz tego jeśli nie zasady, to przynajmniej główne prawidła własnego języka i ze dwóch obcych w przydatku; obdarzono je zarysem literatury powszechnej, niezbędnemi szczegółami o pięciu częściach ziemi; podano tytuły nauk przyrodzonych z objaśnieniem, o czem w każdej z nich jest mowa; nauczono je trochę rachować: one zaś same postarały się o dużo czytania, a w tem oczytaniu trafiły na dużo poezyi — ach! poezyi starożytnej, nowo-

żytnej, obcej i krajowej, a nadewszystko wnioskowanej, marzonej bardzo dużo, ile się jej tylko w głowach i w sercach pomieścić mogło. Jednocześnie od kolebki prawie czuwała nad niemi pilnie ich oka i ucha strzegąca przyzwoitość. Szorstkie babki i prababki wśród czeladzi wzrosłe, z prozaicznemi koniecznościami gospodarstwa obyte, umiały potem w nieobecności mężów z ludźmi i z majętnością dać sobie radę; delikatniejsze wnuczki i prawnuczki, zdala od pokojowej nawet służby trzymane, o parobkach i dziewkach folwarcznych nic prawie nie wiedziały. Jednak nie była to partesowa niewiadomość o inno-gatunkowem, niby niższem plemieniu; przeciwnie, wpływ pani Hofmanowej przejął serca nasze tkliwszą niż kiedykolwiek miłością dla kmiotków, litością dla biedniejszych, potrzebą wymiaru sprawiedliwości pokrzywdzonym — tylko wszystkie te piękne uczucia, jak czasem w romansach piszą, zaczynały się bez osobistej znajomości, z portretu i na słowo pośredniczących przyjaciół. Każdy dziś przyzna, że jedno z drugiem, a raczej to całe jedno bez czegoś drugiego, stanowiło trochę niedostateczne, smutniej nawet wyrazić się trzeba: stanowiło bardzo niebezpieczne wyposażenie. Wyposażone nie domyślały się niebezpieczeństwa, nadzwyczaj prędko zato pojęły niedostateczność.

Według pierwotnego planu, kiedy je trudność jaka w rozpoznaniu prawdy nacisnęła, kiedy wątpliwość jaka cały szereg ich przekonań podwróciła, kiedy *książka* jaka niezrozumiałe formą i treścią stawiała dowodzenie, kiedy pełno ich własnych psychologicznych spostrzeżeń gmatwało się niedokładnem wyobrażeniem, a raczej zupełnym brakiem wyobrażenia o prawach fizyologicznych; kiedy najpoczciwsze chęci i usiłowania rozbijały się o niewzruszoną faktów z ekonomii społecznej logikę: wtedy miała przyjść im w pomoc wszechstronna mądrość ojca, brata, przyjaciela domu lub męża i miała wszystko im objaśnić, wytłumaczyć, ułatwić. Tymczasem ojcowie i bracia z córkami i siostrami w żadne długie gawędki wdawać

się nie lubili; przyjaciele domu nic więcej od nich nie wiedzieli, a mężowie... dopiero gdy której przyszło wybierać, lub już wybranego uszczęśliwiać, przekonywała się, jak z tej strony cały program był zawodny. Albo nie ukazywał się taki, któremu z ufnością przyszłość swoję powierzyć można było, albo ten, któremu ją z zawiązanemi oczami powierzono, wcale do uszczęśliwienia swego historyi, gramatyki, ba, częstokroć i ortografii nie potrzebował, a czytanie, literaturę, malarstwo, muzykę za istne plagi swoje uważał. Zamiast mężów znakomitych, niedość przez swoje żony pojmowanych, zaczęło coraz więcej snuć się po świecie żon, niemających najmniejszej do znakomitości pretensyi, tyle tylko, że starannie wychowanych, a wszelako zupełnie dla mężów swoich niezrozumiałych. *Pamiątka po dobrej matce* zaręczała, że mężczyźni „daleko mniej wad od nas mają, że nie znają nikczemnej zazdrości, płochej próżności, nie mają tylu dziwactw, nie lubią się tak sprzeczać, nie są tak uważnymi na wszystko, tak wielkimi w małych rzeczach.“ Jakże nie miała się zachwiać powaga całego dzieła, gdy tyle złudnych *fata morgana* na kartach jego się spotykało!

Rzeczywiście, powaga nietylko się zachwiała, ale zupełnie upadła; szczególniej też w średnich warstwach społeczeństwa zdolne i sumienne młode kobiety poczuły się jakby umyślnie oszukiwane. Całą niesprawiedliwość warunków otaczającego je życia w znacznej części na swą mistrzynię złożyły, jak gdyby to ona jedną książką swoją taki porządek w świecie zaprowadziła, że kobieta nie powinna się tego i owego uczyć, choćby miała największą ochotę, a mężczyzna ma być jej panem, opiekunem i zwierzchnikiem, choćby mu się niczego uczyć nie chciało. Było to bardzo niesłuszne uprzedzenie; pani Hofmanowa wcale takiego położenia rzeczy nie wytworzyła, nie życzyła sobie i nie przeczuwała nawet: wyrobiło się mimo jej woli i wiedzy, skutkiem licznych przyczyn, zewnętrznych wojen, wychodźtwa i t. p. Rozdrażnienie jednak przeciw autorce *Pamiątki* podsycano

ciągle odwoływaniem się do jej wyroków. Gdzie tylko głos śmiesznej skargi lub wymagania się odezwał, tam zaraz jej maksymy i rady przeciwstawiano, a gdy bez ogródki niektóre kobiety zaczęły utrzymywać, że im się wyższa nauka i możliwość użyteczniejszej pracy należy, biedaczki, istotnie myślały o tej możliwości, co zaniedbana przez właściwych robotników, odłogiem leżała i szła w potrójną stratę, zamiast iść w zysk jakikolwiek; gdy ostatecznie wyrzekły jeszcze słówko, które pani Hofmanowa bez wyrzeczenia pocichu w czyn wprowadziła, i *niezależności* zażądały, ogromny powstał hałas.

Młode czytelniczki same już może zrobiły to spostrzeżenie, że ludzie każdą nowość zawsze z ogromnym przyjmują hałasem. Już to jest rzeczą nieuniknioną, a powiedzmy szczerze, w wynikłościach swoich bardzo przydatną. Jedni wszelkiej nowości zbyt skwapliwie się chwytają, inni wszelką nowość zbyt nieoględnie ganią. Trudno byłoby wypróbować jej rzeczywistą wartość, gdyby nie hałas. Lecz ten błogosławiony hałas odstrasza niezręcznych, płoszy niepowołanych, dodaje wytrwałości głęboko przekonanym, zużywa pociski niechętnych, objaśnia wielu szczegółami bezstronnych i przyśpiesza godzinę sprawiedliwego sądu. Tak więc i hałas, który towarzyszył wystąpieniu pierwszych kobiet garnących się do wyższej nauki, chciwych na męzką pracę i żądających niezależności, był sobie zwyczajnym bardzo i koniecznym hałasem. Jedna tylko osobliwość odrębną mu cechę nadała. Oto gdybyśmy chcieli dzisiaj całą tę sprawę jasno sobie przedstawić z pozostałych po niej świadectw spółczesnych, okazałoby się, że mamy pełno aktów oskarżenia, a żadnego aktu obrony. Jest-to niby monolog zgodnego tłumu przeciw milczącemu antagoniście. W każdem czasopiśmie, w mnóstwie książek, komedyj, karykatur, spotykamy się z dowodami wypowiedzianej tym kobietom wojny; nie spotykamy się jednak ze stawianym przez nie oporem i moglibyśmy wcale nawet o ich istnieniu nie wiedzieć, gdyby nam go właśnie

zaczepki, żarty, szyderstwa, a czasem bardzo poważne napomnienia nie stwierdzały.

Sumując wszystko, co w tym względzie powiedziano, drukowano i narysowano, zdaje się, że większą połowę całości można odliczyć na karb zwykłego przekomarzania się nieśmiertelnego Adama z nieśmiertelną Ewą; zaczęło się to nazajutrz po ich wypędzeniu z raju, a nie skończy się, chyba aż kiedyś znowu do raju wrócą. Z drugiej, mniejszej połowy, część przypada na słuszne zarzuty, część na proste nieporozumienie. O pierwszej połowie, to jest o przekomarzaniu, niema co się rozwodzić. Każda z czytelniczek codziennie się w nie bawi i doskonale je rozeznać od ważniejszego słowa potrafi. O słusznych zarzutach i nieporozumieniach trochę więcej musimy tu objaśnień udzielić.

Właściwie mówiąc, słusznych zarzutów wcale nie było. Jedne z nich opierały się na tak potwornych fantazyach, że dziś po nich i śladu nie zostało; drugie na takich błahostkach, że bez uśmiechu wspomnieć o nich trudno. Gdybyć to był kto wtedy ze słusznym zarzutem wystąpił, możeby się wielu pomyłek uniknęło; ale tych, które ciskano, o ile wiemy, najgorsza z lepszych kobiet ówczesnych nigdy do siebie zastosować nie mogła. Drugostronnie zdawałoby się, iż jedyne pretensye, do kobiet zastosowane, ograniczały się na tem, że nosiły gładkie suknie, obcinały krótko włosy, niektóre paliły cygara, a wszystkie prawie zbyt wiele czasu na czytanie marnowały. Jakkolwiek przecież pociski nieprzyjaciół chybiały celu, lub godziły w niewłaściwe punkta, punktów jednak właściwych i błędów rzeczywistych nie brakło. Najcięższym grzechem tych kobiet była potrzeba wyróżnienia się od drugich, przechodząca czasem w zaczepną dziwaczność. Młode ich serca tak się oburzały martwotą, bezmyślnością, ospalstwem, zepsuciem wreszcie, które dokoła nich zalegało, niczyjej nie zwracając już uwagi, tak się oburzały wszystkiem, co niestety już „zwyczajnem“ się stało, że koniecznie zapotrzebowały myślą, słowem

i uczynkiem z tą powszednością się rozgraniczyć. Przedewszystkiem obrzydł im dykcyonarz towarzyski; szukać zaczęły rzadziej słyszanych, dobitniejszych wyrażeń. Ztąd... jakby to powiedzieć?... nie przesada, bo to pojęcie zawsze pojęciem jakiegoś udawania dopełniamy, one zaś wcale nie udawały, owszem, w ich błędzie tkwiło sporo dziecinnej naiwności; ani hyperbolą tego nazwać nie można, bo hyperbola jest czysto retoryczną i świadomie użytą postacią: w nich to nie było ani retoryką, ani postacią żadną, nie było pożyczonym dla innej myśli wyrazem: była myśl właśnie zawsze najzgodniejsza z brzmieniem wymówionego słowa; lecz ta myśl, niech nam wolno będzie posłużyć się trochę dziwacznem przyrównaniem, choćby dlatego iż właśnie o dziwaczność chodzi, ta myśl na przekrwienie kosmologiczne chorowała. Same wszechświatowe zajmowały ją kwestye, same szerokie poglądy, same niebotyczne szczytności: doskonałość, postęp, wiedza, szczęście, ludzkość, zbawienie, Bóg. Z najciaśniejszego kącika, od najdrobniejszej plewki wzlatywały na te obszary i przenosiły w nie wszystkie swe kosztowności, o których-to powiedziano: „gdzie skarb twój, tam i serce twoje.“ Rzeczywiście tam był ich skarb i tam było ich serce, a z pełności serca mówiły usta, co je nieraz w towarzystwie na śmieszność, lub przed sądem rostropności na ostrą przyganę wystawiało... Są święte słowa, z któremi nie można bezkarnie cochwila na targ wyjeżdżać, póki się treścią życia, uczynków i cywilizacyi nie wypełnią. Najgorzej gdy się ucho oswoi z wyrazem, a wyraz straci cały swój urok dla wyobraźni, spospolicieje pierwej, nim się uświęci. Mojżesz znał dobrze tę stronę umysłu człowieczego i nie krzywiąc bałwochwalstwem żadnego pojęcia, dozwolił ludowi wspominać Adonai, zakazał wymawiać groźnego imienia Jehowy. I dziś dla chrześciańskich ludów są takie groźne nazwy, którebу warto na uroczyste chwile ofiary zachować.

Entuzyastki ówczesne nie pojmowały jeszcze tej szlachetnej ostrożności, a łączyły do niej drugą daleko

niebezpieczniejszą. Poczytywały sobie za nieuchylony obowiązek własne postępki do głoszonych własnemi ustami przekonań zastosowywać. Bywa to czasem cnotą, bywa czasem szaleństwem; w chwilach uniesienia, gdy osobiste nasze uczucia, stosunki, interesy w grę wchodzą, najczęściej bywa szaleństwem. Niejedna też z młodych kobiet ówczesnych po tej drodze zastosowywania na manowce się zbłąkała i wielu może tragicznym podejrzeniom dała wrzekomą podstawę. Tak n. p. wszystkie rozumne, poczciwe, wykształcone kobiety, wszystkie już wtedy za kardynalną prawdę uznawały, że miłość tylko powinna kojarzyć małżeństwa. Nikt tej zasady przynajmniej zerwaniem rodzinnych węzłów nazwać nie może, a przecież jej właśnie do ich zerwania użyto Były żony, co istotnie przez rycerską jakąś honorowość sądziły, że koniecznie powinny zadość aforyzmowi uczynić, choć już z braku doświadczenia lub zdrowych pojęć moralnych przełamały jego ustawę; nie mogły nanowo iść za mąż z miłości, lecz porzucały swych mężów dlatego jedynie, że ich nie kochały. Podobne wypadki wszelako liczyły się zawsze do nadzwyczajności; daleko pospoliciej opuszczały ich dlatego, bo się zakochały w kim innym. Wielkie moralne nieszczęście! wielki społeczny występek! Nic on w gruncie łącznego nie miał z dążnościami najśmielszych nowej generacyi przodownic; zdarzał się od niepamiętnych czasów, zdarzał wczoraj i dzisiaj zdarza, tylko wczoraj i dzisiaj tajemnicą przyzwoitości, wstydu. obłudy resztą i kłamstwa, lecz zawsze tajemnicą przysłonięty. Ówczesne kobiety, ma się rozumieć mówimy li o wyjątkach moralnemu nieszczęściu podległych, ówczesne więc kobiety oszukiwały same siebie, że nie popełniają społecznego występku, lecz naprawiają społeczne zboczenie; głębokim wstrętem przejęte do wszelkiej skrytości i wszelkiego fałszu, w imię miłości wywoływały sceny nienawiści, wrzaski, zgorszenia, potępiającą nawet dla czystszych uczuć opinią

publiczną. W jakiś czas potem, gdy już dość nawarzyły niepokoju, zamąceń, gdy dość już naszkodziły współwyznawczyniom i współwyznaniu swojemu, dramatyczna historya kończyła się zwykle rozwodem kościelnym, albo rekolekcyami i nawróceniem grzesznicy, t. j. poprostu zawiązaniem nowej, lub spojeniem rozwiązującej się rodziny. Żeby stanowczo, na mocy jakiejś, choćby nowej, zupełnie świeżo, pomysłowo skomponowanej moralności odrzucał kto u nas formę rodzinną, zwłaszcza też żeby kobieta ją odrzucała, o tem nigdy nie słyszeliśmy jeszcze. Wiemy tylko, że jest zepsucie, o którem znowu daj wam Boże czytelniczki jaknajpóźniej i jaknajmniej się dowiadywać; ale odwrotnej moralności poczciwa przeszłość oszczędziła dotychczas chwilom bieżącym, więc trzeba mieć nadzieję, że i przyszłym oszczędzi; alboż my to jacy tacy, nie sanfedyści przecie i nie nihiliściarze...

Zuchwałe wypowiedzenie swego przekonania pociągało za sobą mniej ważne wprawdzie następstwa, niż pokusa niewłaściwych zastosowań, często jednak niekorzystniejsze może, a trwalsze na otaczających czyniło wrażenie. Towarzyszyły mu zazwyczaj namiętne dysputy i liczne przeciw dobremu tonowi wykroczenia. W tem właśnie największa bieda, że te zapalone młode głowy czuły nieprzezwyciężoną do dobrego tonu odrazę, brzydziły się jego drobiazgowemi fałszami i niedołęztwo kobiece podsycającą układnością, a przecież lepiej mieć przeciw sobie wyrok trybunału w sprawie kryminalnej, niż wyrok dobrego tonu w sprawie życia i prawdy. Dziś niejednej na sumieniu ciąży, iż bez potrzeby drażniła zbyt groźnego nieprzyjaciela. Udało się przez to kilka drobnych swobód dla was zdobyć, lecz wiele rzeczy wyższej wartości przepadło. Że możecie same po ulicach chodzić, koleją jeździć, o czem chcecie, o rozumnych książkach, czy nierozumnych plotkach w towarzystwie rozmawiać, wszystko to winnyście pierwszym radownicom, co wam wśród szyderstw i wydziwiań drogę utorowały. Zwyczaj odzywania się młodych osób

w najliczniejszych zebraniach, chociaż ich poprzedniem zawezwaniem nie upoważniono do tego, dziś już nikomu dziwnym, ani rażącym się nie zdaje. Znamy ojców i matki, którzy właśnie bardzoby sobie życzyli, aby ich córki wraz z długą suknią i wysoką fryzurą, zasiadłszy w gronie gości, umiały prowadzić ożywioną rozmowę. Podówczas był to przywilej, wraz z czepkiem i brylantami, dla mężatek wyłącznie zachowany; każdego mniejwięcej obrażało, gdy głosem pewnym, spokojnym, bez skromnego na licach rumieńca, jaka ośmnasto lub dwudziestoletnia panienka zagajała milczące przy herbacie posiedzenie; a jak jeszcze wyciągnęła na stół rozprawę o jakich kwestyach z rewolucyi francuskiej (Thiersa dzieło już zaczynało wtedy krążyć po świecie), jak Szylera i Goethego w grobie poruszyła, to jej nigdy tego nie przebaczono.

W tej chwili jednak na myśl nam przychodzi, że która z czytelniczek, gdy spojrzy na tytułową kartę obecnego wydawnictwa, gotowa przypuścić, iż kobieta, co pisze to słowo przedwstępne, z własnej biografii czerpie owe drobniutkie szczegóły i przykłady. Otóż musimy powiedzieć, że droga piszącej pod tym jednym względem łatwiejszą była, niż wielu innych jej współtowarzyszek; a kiedy jeszcze coś z jej pseudonimem w Pierwiosnku wydrukowano, to coraz częściej nawet z tą uwagą się spotykała, że jej wolno mieć własne swoje przekonania i niezupełnie tak jak wszyscy inni postępować. Otóż pisząca nigdy tej wyjątkowości autorskiej zrozumieć nie mogła. Jeśli większa swoboda miała być zdrożnością jakąś, to ją obrażało, że z autorstwa chciano patent na zdrożności wykroić, a jeśli była tylko przywilejem rozumnych, to ją znów obrażało, że autorstwo, biedny, prosty talencik za jedno z rozumem biorą. Ileż bo ona znała rówieśnic swoich, ileż ciągle jeszcze poznaje kobiet, które przez całe życie ani jednego słówka nie podały do druku, a od których tak wiele się nauczyła. Geniusz pięknych czynów stokroć wyższy od najwprawniejszego stylu, a natchnienia dobroci od natchnień

poezyi nieśmiertelniejsze. Kto znał wielkich ludzi, a był kiedykolwiek przez dobrych ukochanym, ten pewnie przyzna, że nie z formułkowej skromności, ale z głębokiego przeświadczenia rzuciliśmy te kilka bliżej nas dotyczących wyrazów. Wróćmy teraz do głównego założenia.

Trudno temu zaprzeczyć, że maleńkie w maluteczkich sprawach zwycięztwa usposabiały ogół do niechęci w daleko ważniejszych, niestety! Każda niezwykłość, poza rutynę codziennych zajęć wychodząca, równą podejrzliwość budziła. Współczucia dla pokrzywdzonych nie potrzebujemy wam pewnie żadnem orzeczeniem tłumaczyć, żadnym objaśniającym przykładem usprawiedliwiać; przypomnimy tylko, że rozciągało się ono przedewszystkiem na stan wieśniaczy, obowiązkami pańszczyzny bardzo jeszcze wtedy uciśniony. Obywatele nie mogli tego rodzaju litości wytłumaczyć sobie. Zacniejsi mieli spokojne sumienie, że chłopów nie uciemiężali, owszem, byli im w wielu razach pomocni i użyteczni; mniej zacni każdą wzmiankę o tak drażliwym przedmiocie za osobistą poczytywali obelgę, a wszyscy razem byli tego zdania, że już przynajmniej od czasów księztwa warszawskiego, wszystko się jaknajlepiej i najsprawiedliwiej ułożyło. Przeciwne dowodzenie w ich mniemaniu dowodziło nietylko błędu, lecz istnego obłędu nawet. Cóż dopiero przeciwne postępowanie! Są jeszcze może osoby, które pamiętają, jak pewna obywatelka w najlepszej wierze rozpowiadała, że bratowa pani Eleonory Ziemięckiej dostała pomieszania zmysłów, bo u siebie na wsi założyła szkółkę i po całych dniach z dzieciakami sylabizuje, albo po chałupach się włóczy i chorym babom lekarstwa roznosi. Dość liczne było grono słuchających, a nikt się wyliczeniem tak osobliwych symptomatów psychiatrycznych nie zadziwił. Niektóre, zresztą bardzo poczciwe kobiety obecne, szczerze, ale to zupełnie szczerze, bez złej myśli, w ich chorobliwość uwierzyły, z obecnych zaś panów ani jeden nie zwątpił, wielu poprzestraszało się na-

prawdę. Zastrzegamy sobie wszelako, żeby pod tem ilustrującem zdarzeniem mylnej daty nie położyć. Nie wolno jej zanadto w drugą połowę piątego krzyżyka naszej stuletni przesuwać. Grube jeszcze chmury tu i owdzie nasz widnokrąg zalegały. Nie było wtedy pono żadnej wyższej cnotą. rozumem, a nawet wyższej duchem prawdziwej pobożności kobiety, coby w dalszych znajomych swoich pewnej nieufności nie wzbudzała, czy to była chciwa nauki, pracowita, a co więcej umiejąca skutecznie pracować Kazimiera Ziemięcka, o której mówiliśmy przed chwilą; czy gorącej wiary i gorącego serca Wincenta Zabłocka; czy surowa dla siebie, uczynna, choć niepobłażliwa dla drugich, praktyczna i wysoko ukształcona Emilia Gosselin; czy ta aż do śmierci wierna sługa cierpień, niedostatku i smutku bliźnich, ta prawdziwa bez habitu siostra miłosierdzia nasza Walerya Lewicka; czy zdrowej rady i pomocnej ręki Kryspina Stelmowska; czy ta niedawno zgasła wśród nas Anna Skimborowiczowa, o której rzeczby można słowami Pisma: „Balsam wylany imię twoje,“ tak każdy przy niej czuł się pewnym, spokojnym, tak ukochanym w jej sercu za poczciwe chęci swoje, tak przebaczonym za grzechy, tak pojętym w najwznioślejszych pragnieniach i najpoziomszych trudnościach swej ziemskiej wędrówki. Z wielu innych wymieniliśmy te kilka nazwisk jedynie, bo są ogólniej pamiętane, a trzeba, żeby dorastające pokolenie nie zapomniało ich przecie. Godzina sprawiedliwości nadeszła wreszcie dla nich; lecz wszystkie one łagodne i surowe, ciche i czynne, nie przeszły młodości swojej bez zaczepek, oskarżeń, czasem potwarzy, czasem tylko przymówek dokuczliwych.

Jakkolwiek niebezpiecznem uznano wszelkie współczucie poza dziedziniec dworski sięgające, że jednak mało było takich, coby, jak pani Ziemięcka, szkółki własnym kosztem otwierać i utrzymywać mogły, cała ta sprawa bez echa pewnieby przebrzmiała — a najlepsze są takie sprawy bezechowe! ludzie się

mimowiednie oswajają z niemi, niby ze wschodem i z zachodem słońca; piąty, dziesiąty naśladować zaczyna i nim się ogół spostrzeże, już one zwyczajem, już chlebem powszednim się staną — na nieszczęście tego daru bezechowości nie miały po większej części kobiety ówczesne. Zdawaćby się mogło prawie, iż całą próżność swoję, tę próżność, o której pani Hofmanowa pisze, przeciw próżnościom zwróciły. Istotnie było w tem może i próżności trochę. Znajoma znajomej, przyjaciółka przyjaciółki byłaby się wstydziła okropnie, gdyby jej się pochwycić dała na jakiej towarzyskiej obłudzie, lekkomyślnej zalotności, lub zbytku wykwintnym. Byliśmy nieraz świadkami zabawnych bardzo w tym rodzaju przechwałek; jedna nad drugą wywyższała oszczędności i abnegacye swoje: ta najmniej darła trzewików, ta wcale nie używała rękawiczek w lecie; tej suknia dwanaście tylko złotych kosztowała, tamta mówiła że sobie ośmiozłotową sprawi. Gdyby tak dłużej potrwało, weszłyby w modę taniość i stoicyzm, ale grunt był zaświeży. Namowa, pochwała, czasem prośba tylko brata, męża lub narzeczonego wszelką skwapliwość dalszych wyrzeczeń się powstrzymywała. Były i między kobietami prócz tego głosy rozsądku, w imię estetyki wzywające do miarkowania zbyt skorych zapędów. Ostatecznie też na tem się skończyło, że więcej używano perkalików, niż tybetów, więcej tybetów, niż jedwabi, a bez aksamitów zupełnie się obchodzono. Nie przyszło nawet do wymyślenia nowego kostiumu, jak to się nie wporę amerykańskim bloomerystkom uczynić zdarzyło. Wogóle między naszemi kobietami nie zawiązało się ani jedne stowarzyszenie, ani tajne wolnomularstwo; nie obniosły się one żadną uchwałą, nie przyjęły żadnych znaków, nie organizowały w żadne kółka i komitety: ale łączyła je taka wspólność upodobań i wstrętów, a nadewszystko taka wspólność wychowania i warunków życiowych, iż mniejwięcej wszystkie popełniały też same błędy, wpadały na też

same pomysły, temi samemi niemal środkami ku tym samym dążyły celom.

Spokojni ludzie nie mogli sobie wyobrazić, że się to bez jakiegoś sprzysiężenia odbywa. Najokropniejsze zgorszenie wybuchło, kiedy coraz więcej młodych osób zaczęło włosy krótko obcinać. Jedne obcinały dlatego, że im naprawdę znudziło się corano przed lustrem po pół godziny siedzieć, a nieporządnie uczesanej głowy na karku nosić nie chciały, bo nieporządku do swobód społecznych nie liczyły; inne znów obcinały włosy dlatego, że im było z tem bardzo ładnie; inne przez naśladownictwo, a jeszcze inne przez rozbudzoną chętkę wyszczególnienia się od drugich. Więcej jednak znaliśmy takich, co do każdej liberyi wstręt głęboki czując, i tej liberyi, niby jakiegoś przekonania, wcale nie lubiły. Kiedy jeszcze do obciętych włosów bez potrzeby, dla sprzeciwienia się jedynie dobremu tonowi, wiele drobych i białych rączek za cygaro pochwyciło, nie szczędzono przy sposobności rozsądnych napomnień. Lecz wy, młode czytelniczki, najlepiej wiecie, jak to z młodemi bywa, jaki upór wywołuje rozsądna przestroga, jaką zawsze koniecznością się zdaje najlichsza błahostka, co przypuszczalnie niepodległość woli naszej zaświadcza. Otóż jak dzisiaj niejedna z was pudruje włosy, choć jej matka przedstawia, że są bez pudru w naturalnym kolorze daleko piękniejsze; jak niejedna ciężkie koki przypina, choć tyle głosów przeciw zbytniemu rozgrzaniu głowy i zaraźliwości martwych cudzych włosów powstaje: tak i wtedy obcinano warkocze, a palono cygara, choć najbliższe towarzyszki częstokroć zwały to dziecinną zabawkę, niegodną rozumnej kobiety pustotą, lub też jeszcze treściwszego używając wyrażenia — oh! bo na to się ze Stefanem Witwickim godziły, że to szczeropolskie wyrażenie najniesłuszniej zpomiędzy wyrażeń dobrego tonu usunięto, że jest ono zbyt często potrzebne, aby je bez szkody usunąć się dało..., używając więc tego wyrażenia, nazywały obcięte włosy (zwłaszcza jeśli włosy były piękne),

a zapalone cygaro w każdej okoliczności (z wyjątkiem bólu zębów) nazywały poprostu: głupstwem. Powinny były raczej nazywać nieszczęściem. Dwa te najpodrzędniejsze szczególiki największego zgiełku stały się przyczyną. Okrągłe głowy purytanów nie były może więcej podejrzane wcasie restauracyi Stuartów, jak krótkie loczki tych dziewczyn niebacznych, i tu właśnie zaczęło się zgubne „nieporozumienie.“

Jużeśmy wspomnieli, że kobiety, któreśmy dotychczas różnemi przydomkami określili, same dla siebie żadnego nie wymyśliły tytułu, bo się właśnie żadną odrębnością, ani żadnym cechem nie uznawały; ze względu na swoje kobiece położenie, miały bezwątpienia pewne wspólne ideały i potrzeby, lecz żadnej na myśl nie przyszło, by się wspólnym dogmatem jakiegoś wyznania połączyć: łączyły się szczerą przyjaźnią, gdzie grunt był równie poczciwy, a okoliczności ku temu sposobne, ale częstokroć łączyły bardzo przeciwne sobie pojęciem, zasadami, ortodoksyjne z protestanckiemi, nawet wielkoświatowe z surowego ascetyzmu zwolenniczkami. Niektóre, do matematycznej ścisłości języka niewtajemniczone, pozwalały sobie niekiedy demokratkami się nazywać; inni tymczasem *emancypantkami* je przezwali. Było to w najściślejszem już znaczeniu prawdziwe „przezwisko.“ Użyli go najpierwej nieprzyjaciele wszelkiej emancypacyi, potem, choć rzadziej, jej stronniczki używać zaczęły, a jak się raz do nich przyczepiło, tak już dotychczas do pewnego typu kobiet, poczęści wywnioskowanego tylko, a poczęści zupełnie właśnie na rozumie niewyemancypowanego, przyrosło i w historycznej terminologii miejsce swoje zajęło. Przezwisko to stało się bardzo niewygodnem i groźnem. Jednocześnie albowiem we Francyi rzeczywiste a sławne emancypantki na scenę świata wystąpiły. W dobrej, czy w złej wierze, umyślnie jedne z drugiemi pomieszano, choć jeśli nie wręcz przeciwnie, to bezwątpienia z innych źródeł, po innych pochyłościach płynęły te prądy.

We Francyi. jakośmy powiedzieli, rzeczywiście emancypacya się rozwijała: tam pan niewolnicę swoję wyzwalał. tam mężczyzna dążności kobiety określił. Saintsimonistki, Furyerystki i inne. aż do socyalistek włącznie. od mężczyzn najpierwej dowiadywały się o prawach kobiety, nie przymierzając jak onego czasu panna Tańska od mężczyzn także dowiadywała się o kobiety obowiązkach. Mężczyźni nasi, nie reformatorowie. pannie Tańskiej, zamiast dogmatu zgody, stary dogmat uległości przekazali. Mężczyźni francuscy, reformatorowie, w szlachetnem uniesieniu ogłosili Francuzkom dogmat wolności i równouprawnienia. Wolności naturalnie takiej, jaką pojmowali, jaka im samym najmilszą się zdawała; równouprawnienia naturalnie kodeksowego, we wszystkich paragrafach, jakie niegdyś z własnych przywilejów na wyłączną swoję korzyść, a krzywdę kobiet spisali: słowem kobiecie pozwolili być mężczyzną. To też we Francyi najdzielniejsze obronicielki i zdobywczynie samodzielności zawsze z siłą męzką. nie kobiecą, walczyły i osiągały samodzielność, najlepiej do upodobań męzkich, nie kobiecych przystającą. Nasze tutaj kobiety, gdyby też i wiedzione wkorzenionym od wieków nałogiem, chciały się były za wsparciem męzkiej prawicy oglądać, to już wiemy, że męzkie prawice bardzo w tych latach podrętwiały i żadna z nich ku pomocy wyciągnąć się nie mogła. Gdzie ukształconych brakowało, tam prosto logicznem następstwem i przekształcających, tam reformatorów być nie mogło. Żaden przewodnik się nie ukazał, żaden inicyator nie zjawił. Kobiety w Polsce same z siebie czerpać musiały, lecz też zaczerpnęły odpowiedniejszych własnej naturze potrzeb, skarg i nadziei. Kiedy genialne francuskie wyzwolenice dopominały się o równość w szczęściu. w swobodzie, w użyciu, one, z trudem nabywające, wołały tylko o równość w wiedzy i w możności poświęcenia. Wkrótce jednak obdarowanym z łaski różnych systematów więcej wzięto, niż dano kiedykolwiek; dziś tłumy ich zdolne, bystre, wykształ-

cone stanęły na rozstajnych drogach między zrzeczeniem się wszelkiej umysłowej samoistności, a gorszem od swawoli nadużyciem; przed naszemi kobietami zakreślił się wtedy i rozciągnął po dni dzisiejsze jeden prosty, choć ciężki do przebycia gościniec: własnej pracy i zasługi. Nikt się nie raczył nad odmiennością tych dwóch kierunków i wynikłości zastanowić, szczególniej też w epoce, o której wspominamy, wszystkie niezadowolone ze swego położenia i ze stanu rzeczy kobiety, czyli tak zwane emancypantki, w tęż samę rubrykę wpisano, nieprzyjaciółkami moralności rodzinnej ogłoszono i za wyjęte zpod szacunku publicznego uznano. Był to, co prawda, więcej hurtowny, niż do osób pojedynczych z imienia i nazwiska adresowany wyrok, niemniej wszelako czarne chwile dla skazanych snuć się zaczęły. Niechby tam zresztą i wszystkie emancypantki wsadzono do kozy, mniejsza o to. Poco te i owe obcinały włosy, nosiły skórzane paski, albo kortowe gładkie szlafroczki bez fałdów? poco zwłaszcza deklamowały szumnemi wyrazami, gdy jeszcze ani jednego żywym czynem poprzeć nie były wstanie? poco się niecierpliwiły na tych panów, którym od trzeciej klasy pilno już było w zawód obywatelski wstąpić? Niechby sobie pokutowały za to. Ale że wraz z niemi w śmieszność poszła sprawa ich nauki, w podejrzenie sprawa szkółek wiejskich, w nienawiść prawie myśl o wszelkiej rzeczy nowej — to istotnie wielką szkodą dla społeczności, a dla nich samych prawdziwą było rozpaczą.

W takich-to chwilach rozdrażnienia, prześladowania i wikłających się coraz groźniej nieporozumień przybyło jakby umyślnie dla ich podsycenia nowe dzieło pani Hofmanowej o Powinnościach kobiet. W treści swojej dzieło to było najwierniejsze zasadom *Pamiątki po dobrej matce*; w szczegółach było daleko bogatsze. Kiedyśmy je niedawno odczytywali, uderzyła nas właśnie myśl odpowiednia zamieszczonemu tu już powyżej spostrzeżeniu, a mianowicie jakiem błogosławieństwem dla kobiet naszych stać

się mogło, gdyby je autorka mniejwięcej przed piętnastu laty była ogłosiła i gdyby sobie równą, jak jej *Pamiątka*, wziętość zjednało. Tyle rad zdrowych na szczęście życia, tyle ustępów do obrachunku z własnem sumieniem pomocnych; przy tem wszystkiem ów pierwiastek o godzinę wcześniejszy, niż zrozumienie już ogólnie rozbudzonych potrzeb, i ów kierunek zbawienny już przejawiającym się dążnościom! Nieszczęście mieć chciało, że książka ukazała się zbyt późno. Zamiast o godzinę uprzedzać, została wtyle o całą dobę, przynajmniej względem okoliczności swego czasu i stanu umysłowego swoich czytelniczek. Zaczepiła też ona i miejscowe tak zwane emancypantki, których pani Hofmanowa nie znała osobiście, ktore ze słuchu jedynie sądzić mogła, sądzić zapewne według świadectw takich pań, jak pani A., co się przed nią na wysoką edukacyą córek swego komisarza skarżyła, albo pań X. i Z., co się nad guwernantkami Polkami znęcały. Niejedna też z oskarżonych wielką miała ochotę stanąć wraz z panią Hofmanową przed kratkami sądu przysięgłych i wzajemnie ją oskarżyć, że los i duszę kobiety zdała na władzę mężkiego rozumu, a nic nie obmyśliła dla tych, co same przez świat iść będą musiały, same bez ojca, bez brata, bez męża, lub co gorzej, w sierocej i wdowiej żałobie, z drobnem rodzeństwem, z gromadką własnych dzieci, u skraju czarnej szaty jej zwieszonych; lub co najgorzej, gdy iść będą musiały przy boku niedołężnego ojca, marnotrawnego brata, zupełnie właśnie na rozumie upośledzonego męża? Cóż ta nauczycielka moralności obmyśliła dla ubogich? Nie uwzględniając nawet zdolności, zakazała im sięgać po „umysłową ozdobę.“ Słusznie, bo stroje nie dla ubogich, lecz chleb dla głodnych koniecznym, a zdolność prawdziwa jest okropnym głodem, straszliwym głodem, gdy się jej właściwego nie da pokarmu. Jeśli więc nie dlatego, by się zdolność rozwinęła, to choć dlatego, by się nie struła, by w zgubną dla innych nie przeszła chorobę, należał jej się chleb wiedzy i prawdy; ona jej wskazała, jako

ratunek, łaskę bogatych wątpliwą; służbę, zawsze ciężką, rzadko stosownie wynagrodzoną; igłę, bez kapitału nigdy na potrzeby rodzinne niewystarczającą. Pragnienie niezawisłości wewnętrznej i zewnętrznej grzechem nazwała, a przecież sama panna Tańska wyrzekła się dla niej ofiarowanego jej miejsca z sutą płacą, ze zbytkownemi wygodami i z zapewnionym funduszem. Czemu takie niechrześciańskie wyzyskiwanie prawa, którego innym zaprzecza? Nie jestże to istotą wszelkiej arystokracyi? Tylko że wnuczce mieszczanina-doktora, córce puławskiego oficyalisty do arystokracyi zbyt daleko jeszcze; więc jest tymczasem nałogiem dworactwa, schlebianiem wielkopańskim opiniom. A ten cały szereg w metodzie porównawczej zamieszczonych fałszów, czyż oszukane przebaczyć go mają?

I leżało już pióro na ostro zatemperowane w pogotowiu, lecz nim się je wzięło do ręki, przychodziło na pamięć, że jednak to pani Hofmanowej zawdzięczało się najmilsze i najpoczciwsze lat dziecinnych uciechy; że ona pierwsza w zrozumiałym języku zbudziła piękne nierozwiniętych jeszcze serduszek wrażenia, pierwsza je zawezwała do wznioślejszych obowiązków i cnót obywatelskich. Można było w poufnej gawędce nazywać ją arystokratką, dworaczką; najzawziętsza przeciwniczka musiała jednak przyznać, iż arystokratka, czy nie arystokratka, dworaczka, czy nie dworaczka, zawsze ta kobieta-autorka w życiu swojem nieskazitelny zachowała charakter, wyrzekła się świetnego stanowiska, opuściła krewnych, przyjaciół, ziemię rodzinną, by los męża podzielić, a teraz, gdy chora i tęskniąca, ostatnie może słowo współrodaczkom przesyła, miałażby się w nagrodę z wymówkami spotkać? Nie, takiej kobiecie ubliżyć niktby nie miał odwagi. Szlachetne cierpienie rozbrajało wszelką urazę, więc i krytyka była rozbrojoną.

Dzisiaj, po pięćdziesięciu kilku latach od ukazania się *Pamiątki po dobrej matce*, wiele wody upłynęło, wiele teoryi się zmieniło, wiele namiętności przycichło, Czas sam przez się dydaktyczne niedokładności pism pani Hofmanowej sprostował; zamiast wykazywać jej omyłki, raczej zachęcać trzeba, żeby młode pokolenie odświeżyło sobie w pamięci wszystkie te obowiązki, zalety, sposoby, które ona tak wdzięcznie, tak misternie przedstawiać umie, a które, bądźcobądź, każdemu życie uławić i osłodzić mogą. Godzić się więc z nią coraz więcej, a nie sprzeczać nam trzeba. Sprzeczać się już niema o co. Najpierw co do najdrażliwszych punktów widzimy, że stosunki upodobniły się już pod pewnym względem do tych dawniejszych przez nią opisanych. Jeśli nierozumni mężczyźni są zupełnie tak samo nierozumnymi, jak nierozumne kobiety, to mężczyźni rozumni daleko więcej zawsze od rozumnych kobiet umieją. Zatrudnienia kobiece, w *Pamiątce* wyliczone: malarstwo, muzyka, haftowanie, gospodarstwo domowe, dla wielu panienek i mężatek byłyby dziś przyjemniejsze może, niż za dni panny Tańskiej nawet; ale mało jest dość szczęśliwych, by się niemi zabawiać mogły. Żelazna konieczność miękkie niegdyś karki, bez względu na ich powab łabędzi, w ciasną obrożę zakuła, a ludzie, co się śmieli pierwej, gdy kobiety o użyteczną dla ludzkości pracę wołały, nie szydzą już i nie potępiają żadnej, gdy się o skromną możność zarobkowania dopomina: szanują każdą, co zarabiać umie. Na drodze wiedzy i umysłowego rozwinięcia niema zaiste dość skutecznej pomocy, ale też niema polinezyjskiego *tabu*; niema wpoprzecz granitowych murów i w Imię Boże stawianych zakazów. Społeczeństwo zdaje się mówić do kobiet: „Uczcie się, jeśli możecie; umiejcie, jeśli potraficie, i myślcie o tem, żebyście same sobie wystarczyły, bo wrazie potrzeby nikt na was z opieką i wsparciem nie czeka.“ To też kobiety — mówimy o dziedziczkach przewodniej myśli, o kochających światłość i szukających sprawiedliwości — kobiety rozumieją te słowa, nie

zazdroszczą mężczyznom, radują się ich postępem, korzystają z niego o ile być może, a przedewszystkiem pamiętają, że teraz i w najdalszej przyszłości to jedynie będzie ich udziałem, co same własną zasługą nabędą. Nie piszemy „zdobędą,“ gdyż właśnie chcielibyśmy przekonać czytelniczki nasze, że okres *zdobyczy* już zamknięty, *nabytki* nie wzbronione, więc walka skończona.

Kiedy zaś walka skończona, to i wszelka pism dydaktycznych pani Hofmanowej krytyka jest zupełnie niepotrzebna.

Dla jednej mojej znajomej i bardzo wielu nieznajomych

RZECZ O SŁUŻACYCH.

Przez NARCYZĘ ŻMICHOWSKĄ.

Jedna moja znajoma opowiadała mi raz, że u jej prababki, wczasie mód greckich jak teraz, trzy dziewczęta służące wzrok straciły przy haftowaniu bardzo cienkich muślinów indyjskich, bardzo cienkiemi jedwabiami, w bardzo cienkie punkciki.

Słuchając tego, zrobiłam uwagę, że ona zato nie może znaleźć dziś takiej służącej, któraby na oznaczoną godzinę jedenassą zrana pokoje czysto sprzątnęła, powierzonych sobie przedmiotów nie gubiła, w mieście, gdy wyjdzie po sprawunki, na całą połowę dnia nie ginęła i t. d., i t. p.

Tutaj biedna — ma się rozumieć moja znajoma, a nie służąca — uskarża się na konieczny ztąd nieład domowy i smutne jego następstwa, w stosunku do jego zatrudnień rodzinnych.

Próbuję ją pocieszyć, jak się zazwyczaj pociesza skarżących: Cóż chcesz, moja droga? logika historyczna...

Ale ona gorszy się tem, nie chce brać żadnej odpowiedzialności za swoję prababkę; wszakże jest obu-

rzona jej nadużyciami, potępia jej nieuwzględnianie równego sobie człowieka w służących, nigdyby takiego występku nie popełniła — i owszem, przykładnie dba o zdrowie najniewdzięczniejszych swoich pokojówek. Kiedy się któraś rozchorowała nagle, to jej samowar coprędzej własnemi nastawiła rękoma, i w nocy do niej przychodziła zaglądać, i doktora i apteki z jej woreczka opłacony był rachunek i bynajmniej zatem w grzechu prababki swojej nie uczestniczy, więc i pokutować za niego nie powinna.

Ja przedstawiam, że nie o grzechu i nie o pokucie mówiłam, tylko o prawie dziedzictwa...

Moja znajoma przerywa mi znowu i tłumaczy z mocnym akcentem rozżalenia, że niczego po prababkach swoich nie odziedziczyła, ani ruchomego, ani nieruchomego majątku.

Gdyby jej można było chociaż próżność rodową zarzucić. Gdyby szukała chwalby z tego, że w jej genealogii były prababki noszące indyjskie cienkie muśliny, haftowane cienkiemi jedwabiami, w bardzo cienkie punkciki i kwiateczki!... lecz moja znajoma nie ma nic zgoła z artystycznych usposobień — chciałaby, szczerze i serdecznie chciałaby swoje demokratyczne przekonanie do osobistych spraw codziennego życia zastosować, nie uznaje więc żadnego prawa dziedzictwa i wyrzeka się wszystkich złych czy dobrych prababek swoich...

Wmiarę jak jej ożywienie wzrasta, moja uwaga, na początku rozmowy pobieżnie tylko rzucona, zaczyna burzyć się i fermentować, musuje argumentami, wzbiera mnóstwem dowodów i uderza mi do głowy. Jak to zwykle bywa, tracę zprzed oczu pierwszy i główny przedmiot rozmowy, to jest służących, oburzam się natowiast, że ktoś może potępiać prababki swoje! Wyrzekać się prababek swoich! Co jest zupełnie zbyteczną troską z mej strony, bo można się wyrzec zostania prababką, lecz zpod prawnuctwa nikt się nie uchyli. Nie poprzestaję przecież na dowodzeniu tak jasnej prawdy, dowodzę prócz tego o konie-

cznem dziedzictwie złych i dobrych skutków zarazem, o wspólności tego dziedzictwa, spadającego nie według ograniczonego pewnej genealogi porządku, ale spadającego na masy całe następców. Że moja znajoma skarży się dzisiaj na sługi swoje, toby jeszcze nie było tak dziwnem, zważywszy na jej pochodzenie, ale, że ja chwalić się niemi nie mogę, to zpozoru daleko niesprawiedliwiej wygląda, bo wiem z pewnością, że moja babka bardzo łagodną była kobietą, a przytem pracowitą i nadzwyczaj mało wymagającą—i prababka podobnież, a nawet kto wie czy ona właśnie nad muślinem indyjskim oczu nie straciła, bo w tradycyach rodzinnych słyszałam coś podobnego. Zpozoru przeto jabym powinna od przykrości złej służby domowej być wolną, jednak choć wolną nie jestem, na groby zmarłych kamieniami nie ciskam, bo wiem że jest wyższe prawo, które ma pewne cele i przyczyny wyższe i dalsze, niż je krótkim wzrokiem moim objąć potrafię —

Quand il a neigé sous les pères,
L'avalanche est pour enfans.

To nas zaraz w oczy bije, a innych względów, szczególniej tych prac i dobrodziejstw, które w życie wsiąknęły, zupełnie zapominamy i nie cenimy sobie. Byłam raz w okolicy, gdzie susły wielkie szkody w zbożu robiły. Opowiadano sobie ze zgorszeniem, jak pewien książę, podobno Radziwiłł, kilka par tych zwierzątek dla zabawy sobie z obcych stron sprowadził, a potem się rozmnożyły i plagą całych powiatów stały. Wszyscy złorzeczyli pańskim fantazyom, wszyscy przeklinali te susły nieszczęśliwe, nikt nie wspomniał o niedźwiedziach, które pozabijał, a przecież każdy jest szczęśliwy, że ich dzisiaj w podróży nigdy nie spotyka. Ciężkie byłoby gospodarstwo, gdyby stada łosiów, żubrów i turów przebiegały po naszych polach; niedość wdzięcznie jednak zachowujemy się względem tych, którzy je wytępili do szczętu. Jak

mało kto da im słowo poczciwe i pobożne choć w dzień zaduszny wspomnienie? A że zostawili po sobie dość jeszcze susłów i wilków, byle kto ciągle wymawia ich cioniom—o łowcy, łowcy!...

Zapuszczonemi susłami w układzie naszego społecznego życia jest stosunek nasz ze służącymi. Kochając przeszłość, jak świętość, ceniąc jej pamięć, jak relikwie, przyznać niemniej musimy, że to w dziedzictwie po niej dostał nam się taki moralny stan naszych domowników, że nie mamy surowych cenzorów, niechętniejszych współpracowników, szkodniejszych dzieciaków, upartszych i tępszych na wszelkie lekcye studentów, jak służących naszych.

Wszystko co im dane było niegdyś, z przykładką nam oddają: za zepsucie zepsucie, za pychę lekceważenie, za nadużycia niesumienność, za krzywdę krzywdę, za bezlitosne nieuwzględnianie w nich człowieka nienawiść!...

Ile złego między dzieci nasze się wciska przez służących, ile szczęścia domowego zatruło się przez ich niesumienność, ile życia chwilkami niby drobnemi zmarnowało się przez ich niedbałość, przez ich lenistwo i złą wolę, tegoby w żadnej statystyce nie objęto — nawet niekażda z was umiałaby swój własny rachunek porządnie ułożyć, bo to nieraz od jednej godziny spóźnionego obiadu tyle ważnych interesów zawisło. Nie mówiąc już nic o humorze pana domu, ale o jego zatrudnieniach rzeczywistych, o obowiązkach, które też pani sama do spełnienia mieć powinna, wszystko się łamie, plącze, miesza i rozrywa przez te niby drobnostki, wnoszące razporaz nieład i niezadowolenie w rodziny. Niesmak domu u jednych, gorzkie o to rozżalenie u drugich, ze wszystkiemi takiego stanu następstwami, może się jak nitka z upadłego na pochyłość kłębuszka wysnuć z tego i poplątać rozpaczliwie.

Gdybym miała nadzieję, że mnie sługi czytać będą, tobym się niewątpliwie odezwała do nich, przedstawiłabym im wszystkie nasze zażalenia i, seryo

mówiąc, starałabym się rozrzewnić je nad naszym losem, a nadewszystko dać im poznać ważność i świętość „*zobowiązania.*“ Życie towarzyskie byłoby zupełnem niepodobieństwem, gdyby ludzie ludziom zobowiązań nie dotrzymywali; mogą zmieniać warunki ugody, mogą się targować o najlepsze, ale przyjętych muszą dotrzymywać, bo inaczej chyba do lasu uciec!... A w lesie są wilki, z któremi także w zobowiązania żadne wchodzić nie można. Zdaje mi się, że przekonałabym je o tej prawdzie i w ich własnych oczach podniosła zajmowane przez nie stanowisko. Wszakże coraz więcej uciera się to wyrazenie: „iść w obowiązek,“ zamiast dawnego „iść w służbę.“ Istotnie dzisiaj niema służby, bo niema służebnictwa, niema konieczności przywięzującej do jednego domu, do jednej osoby — dla wszystkich tylko, dla tych co płacą i tych co są za pracę swoję płaceni, jest „obowiązek.“ Wystawiłabym później służącym *osobistą ich korzyść* w dopełnieniu obowiązku, w zachowaniu przykazań Bożych, w moralnem prowadzeniu, korzyść duszy zbawionej, korzyść nawet pieniężną, korzyść losu, zamężcia, uważania w świecie i t. d.

Ponieważ jednak nie spodziewam się, by słowa moje wprost służących dosięgały, nawet przy pomocy *Zorzy* i *Opiekuna domowego*, lub przynajmniej dosięgały tak szczupłej liczby, iżby im później brak skuteczności zarzucić można było, więc zwracam się do więcej i częściej czytających: do pań. Panie przeczytają wszystko, co o tym przedmiocie mam powiedzieć, a wtedy — marzyłam, pisząc — zaraz mnóstwo szczegółów się sprostuje, dobrego przybędzie — oh! ja w to wierzę doprawdy — nie w marzeniu tylko!

Bądźcobądź, nie stawiam dogmatów żadnych, proszę tylko do wspólnej narady. Czy jest sposób na poprawienie stosunku sług do państwa? — Mnie się zdaje, że są dwa rodzaje sposobów: jedne każdemu pojedynczo do użycia przystępne, natychmiast przez każdego mogące być zastosowanemi — drugie ogólne-

go wymagające porozumienia, wspólnych potrzebujące starań, plenniejsze w przyszłości, lecz utrudnione w teraźniejszości. Pierwsze przedstawiam paniom w charakterze namowy, drugie w charakterze życzenia.

Pośród pierwszych, pierwszym środkiem będzie... niech się panie na mnie nie gniewają, wiem że znaczna liczba go używa, ale dla porządku wspomnieć muszę: „wyrozumiałość.“ Niezawodnie macie ją panie w wysokim stopniu dla służących waszych, szczególniej jeźli się z prababkami swemi porównacie.

Przypuszczam że żadna z czytających nie przeciąży sługi swojej pracą nad siły, nie da jej marznąć w źle opatrzonej izbie, żywić się zepsutym lub niedostatetcznym pokarmem, zasług jej nie zatrzyma, nawet w chorobie jej nie opuści. Może są gdzieniegdzie wyjątki osobliwe, zabytki archeologiczne przedchrześciańskich czasów. Wogóle wszakże panie ściśle dotrzymują kontraktowych warunków i wcale jakoś na ciemiężycielki nie wyglądają. Gderzą niektóre, bo gderzą, krzyczą nawet, oj!... krzyczą, słychać aż w pokojach, lecz nie znam takiej, któraby skrzywdziła — ledwie czasem posłuch dojdzie, kto wie czy nie plotka?... Jest zatem wyrozumiałość *na potrzeby* służących, jest wyrozumiałość, która służące zabezpiecza, ale niema tej wyrozumiałości, która spokój daje, która jest więcej jeszcze do szczęścia pań, niż do dobrobytu sług potrzebna — wyrozumiałości *na błędy*. Taka wyrozumiałość składa się głównie z uznania praw nieodwołalnych dziedzicznej przeszłości, tych praw, o które się na mnie moja znajoma rozżaliła, i to nawet niedokładnie się wyrażam: o uznanie mi bynajmniej nie chodzi, jeźli uznanie ma być synonimem bezczynnej rezygnacyi, ale o rozumowe pojęcie konieczności że tak jest, więc jest. Łam sobie głowę i ręce, żeby było lepiej, że *jest*, tego nie zmienisz; dlaczego jest? jak się dowiesz, to cię może bardzo uspokoi. Dzisiejsze sługi nasze żyją w chwili przejściowej, my wszyscy

żyjemy w chwili przejściowej — nasza epoka jest epoką przejściową, dzięki Bogu... tylko przejściową!

W tej epoce została dość świeża pamięć dawnych nadużyć, a jeszcze nie weszły w zwyczaj nowe zasady. Całe warstwy biedniejszych rozbudziły się z przygnębienia i nasłuchały się o swoich prawach, o swojej godności, a jeszcze ani jedno pokolenie nie wychowało się z godnością i prócz cierpień minionych, nie przyniosło żadnej nowej z nowego stanowiska pracy, nie nabyło jeszcze wprawy w prawa swoje.

Najumiejętniejsza i z najbrudniejszym fartuszkiem kucharka ma już głębokie poczucie tej półprawdy ewangielicznej, że jest tak samo jak jej pani człowiekiem, że jest jej równą zupełnie, a jednak widzi że pani inaczej się ubiera, dłużej sypia, smaczniej jada, więc się tem oburza, jak niesprawiedliwością największą. Gdyby jej przez miesiąc pańskiem życiem żyć kazano, jestem pewna że urwałaby się, jak dzika koza z powrozu; nie licząc grzebienia szyldkretowego, sznurówki i chustki batystowej, mnóstwo innych drobiazgów codziennych gorzej niż worek piaskuby jej zaciężyły, a cóż dopiero, gdyby zliczyć ważniejsze sprawy, a czytanie, a próżnowanie przyzwoite, niewiodące na pokuszenie, próżnowanie bez kieliszka i hałasów — jestem pewna, żeby tego nie wytrzymała, lecz właśnie to jej na myśl nie przychodzi wcale, nie zdaje sobie sprawy, że różnica między nią a panią bynajmniej na majątku, ani na sukni, ani na smaczniejszem jedzeniu nie polega, tylko na szlachetniejszych skłonnościach, wykwintniejszych upodobaniach, zwyczajach, choćby na tem, że pani potrafi spokojniej, bez cudzego zgorszenia próżnować. Wogóle nawet dość wysoko stojące w hierarchii garderobowej panny służące daleko więcej zazdroszczą paniom swoim strojów, niż edukacyi – zdarza się to wprawdzie i nie w garderobach, ale w wielu bawialnych pokojach, w mnóstwie salonów, tylko mi się zdaje, że w garderobie jest powszechniejsze.

Dziwna rzecz jednak, obok tej powszechnej zazdrości sług naszych, jest w nich pewien rodzaj uszanowania dla moralnej wyższości. Służąca, do służącej mówiąc, wcale nie cedzi wyrazów i bardzo się mało niecedzonemi obraża, przeciwnie zaś, niechaj kto z państwa odezwie się pogardliwym głosem i grubem słowem obelgi, zaraz to nienawiść rozbudza, nawet pozorną uległość do otwartego uzuchwala buntu. Najkrzykliwsze panie najkrnąbrniejsze mają sługi. Wyraźnie przeto jest w instynkcie służących dwoista miara na wyższe i niższe ukształcenie — to bieda, że do wyższego nie zatęskniły jeszcze: nie mówię o fortepianie i francuzczyźnie — wyższem ukształceniem nazywam to, co i każda z pań zapewne: ukształcenie moralne, ukształcenie duszy poczciwej i chrześciańskiej...

Otóż tedy zazdrość pierwszą dobrą nowiną o równości praw zbudzona, ciemnota z dawnej nierówności pozostała, trochę przeczuć lepszych, żadnej jeszcze do wykształcenia chęci ani sposobności—takie jest w sumie ogólnej stanowisko dzisiejszych służących. Pamiętajmy jak długo trwały wieki ich krzywdy, policzmy lata zaczynającej się dla nich reformy, a zrozumiemy co to jest epoka przejściowa, nie rozbijemy sobie głowy o nieprzeparte trudności i nie zwątpimy o lepszej doli późniejszej.

Alboż taka pociecha może się przydać komu w bieżącym zaraz tygodniu? Może się przydać do ułatwienia wyrozumiałości. Jak tylko możemy szczególik jakiś z osobistego życia naszego przenieść na szerokie pole historycznych zdarzeń i zaszczepić go w wątek dziejów ludzkości, inaczej zupełnie wyglądać nam zaczyna; nie jesteśmy przypadkowością jakąś — nie wiedzieć czemu i czemu — jesteśmy zarysowani w haft prześliczny i rozumny na tle bez granic nieskończonej sztuki materyi — zawszeć to trochę człowiekowi pochlebia i pani domu także.

Teraz muszę znów przeprosić znajome i nieznajome czytelniczki, że po wyrozumiałości rozumowej,

będę je namawiała do czegoś jeszcze zwyczajniejszego, pospolitszego między cudami — do wyrozumiałości uczuciowej. Na to potrzeba tylko *dobrego serca.* Któraż z pań wątpi o sobie i któraż pyta nawet, czy ma dobre serce? Ja takiej niegrzeczności nie popełnię. Jestem pewna, że panie mają dobre serca — wszelako panie mają także kluczyki, zegarki, a jakże często zapominają o kluczykach i nie nakręcają zegarków! „Pamięć nie w ludzkiej mocy,“ zaśpiewał ów poeta, co go wszystkie prawie na pamięć właśnie umiemy. Zapominamy o kluczykach, zapominamy o zegarkach, zapominamy o własnych dobrych sercach naszych. Sto razy na dzień zdarzy nam się przykrość mimowolną zrobić naszej służącej, przyczynić jej krętaniny, przysporzyć roboty, zmarnować jej czas bez potrzeby, a wszystko z braku pamięci; jeżeli nawet rozgniewamy się, upokorzymy, wyhałasujemy, to wszystko z braku pamięci.

Więc na przypomnienie tylko wspomnę tutaj o tem, o czem panie zawsze pamiętaćby powinny, wspomnę że jakkolwiek społeczne znaczenie służących się podniosło, los ich rzeczywisty jednak niebardzo się polepszył i do dzisiejszej chwili są-to bardzo biedne, bardzo nieszczęśliwe stworzenia. Dzieciństwo ich zawsze prawie rozwija się wśród niedostatku i złych przykładów. Pomyślcie tylko panie: wasze dzieci, wasze dzieci ucałowane przy każdym rannym i wieczornym pacierzu, strzeżone jak oczu źrenice, zachęcane prośbą i groźbą do nauki, żywione mniejwięcej hygienicznie, otulone przed zimnem i złem tego świata — wasze dzieci tak mało jeszcze procentują na przyszłość — ileż z nich wyrasta na marnotrawców i wietrznic światowych, ile kokietek, niedołęg, plotkarek, istot poziomych bez żadnego poczucia piękna, porządku!... Weźcie teraz indywidua pozbawione wszelkiej do dobrego pomocy, mające często bardzo dodatnią ku złemu pomoc, a jeśli nie pomoc, to przynajmniej pokusę na wszystkie strony; weźcie je od kolebki karmione niezdrowym lub niedostatecznym

pokarmem, otoczone brudem, niełademi, bite i potrącane za lada usterką dziecinną, przy zupełnem dla wad pobłażaniu — weźcie je panie w tych izbach przepełnionych, gdzie się starsi kłócą niesłusznie, godzą nieprzyzwoicie, gdzie nikt słuchu ani wzroku tego maleństwa nie uszanuje, gdzie to biedactwo nie może się czasem w podartej sukienczynie do pieca docisnąć, bo je silniejsza pięść odepchnie, i głodu nie może zaspokoić, bo matka nawet musi skąpić, gdy niedostatek grozi. Weźcie je panie z ich duszyczką nieśmiertelną rzucone tak bezbronnie na pastwę przypadków, na Tantalowe próby — oczy ich zasłonięte jak w „ślepej babce“ i stokroć gorzej, bo zasłonięte przyrosłą do czoła zasłoną, a trzeba im wśród tylu rumowisk i przepaści drogę swoję kierować. Weźcie je panie w tych wszystkich warunkach i trzymajcie je ciągle przed sądem waszego sumienia; jeźli wtedy rozgniewacie się i oburzycie aż do zniechęcenia, to się nie oburzycie na ich zdrożności, na ich lekkomyślność, lenistwo, oszukaństwo, tylko oburzycie się na ich biedę, na ich prawdziwe nieszczęście — a dobre serce gdzie? a dobre serce od czego? alboż-to z dobrem sercem można się na bardzo, na prawdziwie nieszczęśliwych oburzać?

Dajmy na to, żeśmy już ten punkt rozpatrzyły i zgodnie o nim zawyrokowały.

Dobrego serca pań czytelniczek moich tak jestem pewna, że się aż zbytku jego lękać zaczynam. Najpierwej lękam się, żeby przez zbytek dobrego serca w wyrozumiałość na pobłażanie złemu się nie zamieniła, żeby panie *maślanemi* paniami dla służących nie były. Oh! co o tego to nie wymagam — radzę tylko wyrozumiałość rozumną dla własnej spokojności, a uczuciową dla spokojności służących, lecz żadnego mazgajstwa eterycznego!... Prawidło ogólne: przebaczenie w sercu, a łagodne i cicho wydane napomnienie w ustach za wszelkie pojedyncze szkody i przekroczenia. Sporadyczność łagodnie żnoszona, lecz dla ciągu złego, dla złego charakteru, nałogu, prowadze-

nia—żadnej względności; trzeba się koniecznie rozstać, innej rady niema. Szukaj pani i dobieraj sobie służących póty. póki nie spotkasz jednej, coby miała takie wady, jakie ty w niej znieść możesz; nie podejmuj się pani heroizmów, ani się spostrzeżesz, jak łatwo ściągną cię w poniżenie—zrazu zaczniesz zrzędzić, potem zaczniesz się unosić, a potem krzyczeć, kłócić się poprostu ze sługami swojemi; bo sługi zawsze się kłócą z taką panią, co na nie krzyczy. Tylko sługom to mniej szkodzi, po męzku mówiąc, nie obraża to ich honoru, a pani każdem słowem grubiańskiem niezawodnie sobie więcej niż służącej ubliża, a nad każdem do siebie powiedzianem więcej cierpi, niż może służąca chciała jej dokuczyć; cierpi w swojej pańskiej powadze, w rodzinnem znaczeniu, bodaj nawet czy nie w zachwianej męża miłości. Mężczyzna sam nieraz unosi się gwałtownością gniewu, staje się absolutnym i niedelikatnym, ale kobieta którą kocha to jego ideał miłosny, ideał piękna i uczucia, widzieć ją więc zeszpeconą nizką namiętnością złości, widzieć ją twardą, przykrą, cierpienie zadającą, jest dla niego odczarowaniem, pod którem ginie najpiękniejszy kwiat uczuć.

Do tej ostateczności nieszczęśliwej bardzo często się dochodzi zbytkiem źle zastosowanej dobroci serca —ztąd druga obawa moja.

Lękam się, żeby panie w pedagogikę się nie wdawały; ponieważ służących dobrego wychowania brakuje, a zatem trzeba je wychowywać nanowo. Szczególniej młode, rozpoczynające swój zawód gospodarski panie są bardzo skoro do takich przedsięwzięć, prawią sługom długie i piękne morały, dają książki do czytania, lub nawet im same czytują, a gdy raz i drugi edukacya się nie powiedzie, te, co poprawiać chciały, same trochę się psują Na nieszczęście taka jest ludzka natura, że łatwiej złe wyrządzone sobie przebaczyć, niż brak uznania dla dobrego, które chcieliśmy zrobić. Jak tylko sobie do głowy przypuścimy, że ktoś jest lub był względem nas niewdzięczny, już

na wieki sprawa rozegrana — „dobre serce“ dla niego zamknięte. Najsurowsze, najokrutniejsze mogłabym powiedzieć, gdyby okrucieństwo leżało jeszcze w prawach i obyczajach obecnego stulecia, są te panie, które niewdzięczności służących doznały. Tymczasem one pierwsze zawiniły. Służących się nie wychowuje. Służące nie są dziećmi, to są dorosłe, we właściwy sobie charakter urobione osobistości. Wymagać się od nich powinno tylko dopełnienia przyjętych zobowiązań, a wpływać na nie tylko ogólną atmosferą — urządzeniem domowem. Nie dla nich, ale dla siebie samej każda pani niechaj się stara o zaprowadzenie porządku, zgody, przyzwoitości, chwały Bożej i miłości bliźniego; niech doda jeszcze cierpliwość, wyrozumiałość i względność dobrego serca, to skuteczniej na obcego przybysza zadziała, o ile przybysz jest zdolnym, by na niego cośkolwiek działało skutecznie, niż gdyby całe poobiedzia i wieczory nauce jego poświęciła. Życie codzienne powinno być formą żelazną, kształtnie raz na zawsze odlaną; co do tej formy przypadnie, co się w nią zmieścić może, to zatrzymać, co nie, to usunąć.

Gotów mnie kto posądzić, że lekceważę pracę koło oświaty domowników podjętą, że skąpię wykształcenia biedniejszym, że im zdolności odmawiam wszelkiej. Uroczyście temu zaprzeczam. Jak własnej duszy zbawienia, tak pragnę dla tych wszystkich biednych dusz wydziedziczonych ziemskiego i niebieskiego chleba, zdrowia, swobody, rozumu, wiedzy i cnoty, ale nie widziałam jakoś, żeby do tego prowadziło spóźnione wychowanie, zaczęte w najniekorzystniejszych warunkach między osobami, które interes złączył i interes cochwila rozłączyć może. Zresztą nie potępiam bezwarunkowo. Jeśli pani ma prawdziwe w takiem nauczycielstwie upodobanie, jeśli to czyni z własną przyjemnością, jeśli wdzięczności za to wymagać nie będzie, jeśli się nie obrazi, gdy jej kazanie w zapomnienie pójdzie, nie rozdrażni, gdy od wpajanych przez nią zasad szeroko odstąpią, jeżeli czuje, że

w podobnych ewentualnościach ani cierpliwszą, ani niecierpliwszą, ani gorszą nie będzie, to i owszem — byle tylko na odpłatę z pewnością nie liczyć i dojrzenie owocu przypadkowi zostawić.

Trzeci środek, którego natychmiast i każda pani użyć może, dla uwolnienia się od wielu przykrości ze służącemi, jest czysto mechaniczny, rzadko bardzo stosowany, a jednak, widziałam to na własne oczy, zadziwiająco pomocny. Tym środkiem jest stały i prawie biurowo-jednostajny rozkład pracy gospodarskiej. Zawsze to samo, zawsze tak samo, zawsze o tej samej godzinie. Przy roztargnieniu, przy niedbałości bezmyślnej naszych służących, owa nieco klasztorna reguła wielkiem jest dla nich ułatwieniem i szkołą najlepszą. Gdyby panie domu utrzymywały statystyczne regestra wszystkich uchybień podwładnych swoich, jestem pewna, że większa ich połowa przypadałaby na jakieś niedokładności lub oporności w spełnianiu nowych, nie na czasie wydanych rozkazów. Kucharki od komina, praczki od balii, młodszej od szczotki bez ważnych bardzo powodów nie godzi się odrywać; im więcej układ zajęć domowych do systematyczności fabrycznej się zbliża, tem prędzej i służących i usługę dobrą mieć będziemy. Wszakże w wielkich rękodzielniach tysiące robotników przy warsztatach stoi, niewszyscy wzorowej cnoty i delikatnego sumienia, a jednak wszyscy oddają to, do czego się zobowiązali, i takie jak oddać powinni — czy szpilki, czy perkaliki. Wyznaczenie godzin, uporządkowanie i wymiar zatrudnień jest równie w najdrobniejszem gospodartwie potrzebny. Prawda że niejednę ofiarę ze strony państwa za sobą pociąga, lecz któż co dobrego bez ofiar mógł sobie zabezpieczyć? Trzeba się wyrzec niejednej fantazyi, ograniczyć w niejednem zachceniu, ale to będzie dla naszej własnej sprawiedliwości arcy-roztropną asekuracyą. Żyjąc z dnia na dzień bez planu, z godziny na godzinę bez zegarka, nie spostrzegamy nawet, o ile nasze drobne, jedno lub pięciominutowe polecenia głównej robocie i przynależnemu

spoczynkowi sług naszych czasu odkradają. Kiedy zaś pani z namysłem i chrześciańską względnością choć raz spróbuje na papierze lub na palcach rozliczyć, ile za swoje pieniądze ma prawo żądać czasu codziennego od sług swoich, to się jej wiele rzeczy we właściwem świetle przedstawi, to się jej wiele należących do tego kwestyj sumienniej rozstrzygnie. Na przykład: daję kwartalnie tyle a tyle — potrzebuję żeby mi za to zrobiono tyle a tyle, człowiek może pracować godzin tyle a tyle, więc wstać ma o tej a tej godzinie, spać się o tej a o tej położy, na jedzenie, na ogarnięcie się tyle chwil przypada — we właściwych odstępach na zabawę tyle — pozostałość cała idzie na pracę; czy tej pracy nie zanadto? Jeśli zanadto, a pieniędzy więcej wydać nie mogę, to w czemże się ograniczyć? jeśli zamało, strasznie wielka dla nieumiejącego próżnować pauza! Więc czem godziny zapełnić? Domyślacie się panie całego szeregu snujących się na ten temat myśli i sąsiadujących z niemi wyobrażeń; nie żartem wtedy trzeba sobie zdać sprawę, co jest słusznem, co niesłusznem, co zdrowem, co szkodliwem, co moralnem, a co wiodącem do złego. Wyborna to, jak powiadam, asekuracyjna metoda. Dalszem rozwinięciem tego mechanicznego, jak go nazwałam, środka, byłoby też mechaniczne ułatwienie pracy służących, na wzór tego co się za granicą praktycznem okazało—machinki różne domowe do prania, prasowania i t. p.

Czwartym środkiem, wprost z poprzedniego wynikającym, powinna być jasność ugody. Stanowczo powiedzieć trzeba służącej, czego się od niej żąda, i cierpliwie wysłuchać, nawet wybadać, do czego ona się zobowiązuje. Wartoby nawet przyzwyczajać sługi, aby piśmiennie taki kontrakt zawierały; wciąga je to do porządku, a prócz tego bardzo często na ich dziecinną jeszcze wyobraźnię sam widok pióra i papieru uroczyste czyni wrażenie; co już czarne na białem stoi, to więcej u nich znaczy, niż słowo i obietnica— i nie u nich tylko!

Warunki kontraktu muszą być urządzeniu domowemu odpowiednie, to się samo przez się rozumie, więcej też o nich nie mam do powiedzenia — to jest przepraszam, nasunęła mi się wątpliwość maleńka, o maleńkim szczególe — o szkodach. Raczcie to panie w sumieniu waszem i mądrości waszej rozsądzić, a nadewszystko nie zapominajcie przy ugodzie. Wiem że potrącanie z zasług brzmi jakoś nieszlachetnie, ale wiem i to, że gdzie dochody szczupłe, gdzie każda złotówka ma swoje oznaczone przeznaczenie, tam szkody wielką są krzywdą dla pani, a trudno mówić wbrew oczywistości, służące wogóle nadzwyczaj wiele szkód robią—psują, tłuką, rodzdzierają; więc cóż? pilnować? nie upilnujesz — łajać? piekło w domu i wszystko na nic się nie zda. Służąca z dawnych jeszcze zabytków uniosła jakieś dziwne przekonanie, że co państwo, to bogacze; choć widzi przymuszoną oszczędność, choć wie nawet, że bardzo szczupłe są ich dochody, nigdy tego nie pamięta; koniecznie trzeba więc władze pamięci zastanawiania się rozbudzić. Jużcić przypuszczam, że nie ze złej woli, tylko wprost z nieuwagi i roztrzepania nasze susły domowe zniszczenie wkoło nas sieją. Mnie się zdaje, że przy ugodzie należy sobie zastrzedz wynagrodzenie każdej szkody w połowie (na to, ma się rozumieć, trzeba zdać rzeczy pod regestrem i z oznaczoną jaknajakuratniej ceną). Stłucze się szklanka dziesięciogroszowa, tłukąca pięć zapłaci i t. p. potem dopiero można raz i drugi przebaczyć, jest zaraz do wspaniałomyślności sposobność, nakoniec trzeba raz z energią, spokojnie artykułu umowy dotrzymać; jeśli to na czas jakiś przynajmniej nie zapobiegnie dalszej ruinie, to już niema nadziei, widać, że jest z natury szkodny temperament. Obliczcie się wtedy z woreczkiem, z cierpliwością, z innemi wadami lub zaletami waszego susełka, moje panie, a potem decydujcie, czy możecie, czy nie możecie ze sobą wytrzymać.

Teraz zkolei godzi się mówić o środkach posiłkowych na przyszłość, niezależnych dziś od was i któ-

re tylko jako życzenie przedstawiam, aby życzeniem między ogół się rozeszły i na kiedyś — na Bóg wie kiedy, jako życzenie grunt pod rzeczywistość przysposobiły. Długo też o nich rozpisywać się nie będę, choć każdy mógłby w rozwinięciu swojem materyału na osobny rozdział, ba! na osobną książkę i na osobny komitet dostarczyć. Smutno mówić o rzeczach, które się jeszcze tak dalekiemi, tak na razie niepodobnemi czuje. Ach, bo one nie odemnie i nie od ciebie, pani, która mnie czytasz, i nie od żadnej pani zosobna zależą, tylko potrochu od wszystkich... Same widzicie, najnieprzystępniejsze jest to, co od wszystkich zależy. Więc życzymy sobie!... nowy rok jeszcze nie w zbyt odległą przeszłość zapadł.—Życzymy sobie: 1) Urządzenia jakiegoś ogniska zabawy dla służących, niby to coś nawzór resursy obywatelskiej, których członkami byłyby tylko wolne od ważniejszych zarzutów osobistości. nieposzlakowane o kradzież, nałogowe pijaństwo lub nielegalne i niemoralne stanowisko towarzyskie.

Goście mogliby tylko na odpowiedzialność którego z członków być wprowadzani. Program zabaw i maximum wydatku tygodniowo przez członków oznaczone. Jestem mocno przekonana, że rozpowszechnienie takich powiem kasyn — by resursy nie obrażać — rozpowszechnienie więc takich kółeczek, w którychby się małoletnie dusze, naszej stolicy zwłaszcza, przyzwyczajały do maleńkiego samorządu i do maleńkich areopagów, bardzo cywilizacyjnie na ogół działaćby mogło.

2) Na wyższy stopień zabawy po kasynach, a może i przed kasynami, zaprowadzić czytania niedzielne, wykłady z różnych potrzebniejszych naukowych wiadomostek, więcej dla rozbicia zabobonów i przesądów, niż dla rozbudzenia .spekulacyi umysłowej: dać gruntowniejsze o naturze wyobrażenie i tak dalej, co pilniejsze podawać, a przedewszystkiem nie nudzić.

3) Szkółki! szkółki! szkółki! żeby przyszłość ratować! Żeby dzieciom naszym i wnukom spokój ro-

dzinny i przynajmniej pół szczęścia zapewnić, trzeba szkółek! Służąca od której tyle się wymaga, nigdy niczego porządnie uczoną nie była — wszystko dzieje się dorywczo, jakby przypadkowo. A przecież kiedy służba stanowić ma sposób zarobkowania, zatem rzemiosło, potrzebuje przygotowania specyalnego, by sumiennie mogła być pełnioną. Pranie, szycie, gotowanie i służba pokojowa stanowią główną treść zadania, bardzo łatwego w praktyce, skoro mu się da podstawy naukowe. Wszystko, co się robi, powinno być dobrze zrobione, a tego z instynktu się nie nabiera; do wszelkiej umiejętności trzeba aplikować, terminować.

4) Nakoniec, dla zabezpieczenia losu starców, chorych, okaleczałych przypadkowo, założenie stowarzyszeń emerytalnych, lub takich jakie są dla podupadłych artystów i innych specyalnych zbiorków społeczności naszej.

Teraz pozwolę sobie dwóch maleńkich idealików — bo choć, jak czytelniczki moje widzicie, bardzo praktycznie upominam się o spóźniony nawet obiad, przyznaję się że mam dwa idealiki moje.

Najwyższy z nich obejmuje wychowanie dziś rosnącego pokolenia paniczów i panienek. My dziś żyjące nie potrafimy tego, jednej sił i zdrowia, drugiej sił i wprawy brakuje. Nie żądam niczego, żadnej zmiany zwyczajowej od pań dzisiejszych, ale od przyszłych wymagam, aby to dobrze zrozumiały, że służącą jedynie do pomocy się przyjmuje, służąca powinna to jedynie robić, na co pani sama nie ma czasu, lub czego zupełnie sama zrobić nie może i nie umie. Wszelka drobna obsługa osobista jest resztką dawnej „à la châtelaine“ epoki kobiecego życia. W epoce przyszłej kobieta hartowniej się wykształci, czas, dzisiaj zajęty pielęgnowaniem mnóstwa cacek i niekończącą się do obiadu, a zaczynającą znów przed wieczorem tualetą, potrzebny jej będzie na zarobkową pracę, lub szlachetniejsze przyjemności. Wymyśli modę łatwej do włożenia i złożenia odzieży. Nauczy się obywać bez tysiąca przydatków, w których dziś

dnawet z najdraźliwszem sumieniem cienia grzechu nie postrzega; nauczy się w domu żyć tak, jak czasem w podróży bez służącej żyje, byle tylko od wschodnich zwyczajów odwykła, byle na moralne przekonanie to wzięła, że istotnie złem jest nie zrobić dla siebie i koło siebie wszystkiego, co zrobić *można*, i grzechem narzucać służącej do zrobienia to, czego ona *może* nie zrobić. Alboż nie ideał?

Drugi, z którego wyspowiadać się muszę, jest ten: chciałabym żeby panie, znające się na gospodarstwie i prawdziwie z dobrem sercem panie, same sobie sługi wychowywały. Nie jestem w sprzeczności z tem, co wyżej powiedziałam, bo nie radzę wychowywać dorosłych, ale małe dziewczynki. Nie tak małe znowu, by aż macierzyńskich starań, macierzyńskiego hodowania potrzebowały, lecz takie, o których naturze, usposobieniu, zdolnościach możnaby już cośkolwiek wnioskować i które pracą swoją mogłyby się w czemkolwiek do pracy domowej przyczynić, n. p. między dziesiątym a jedenastym rokiem. Zbyt wcześnie wzięte uważałyby się za wychowanice — niema nieszczęśliwszych pod słońcem istot amfibijnych, jak te między kuchnią a pokojem tułające się aż do śmierci dusze, które się mimowolnie za strącone z tronu królewny uważają. Broń Boże wychowanic! chyba że się kto podejmie kochać je prawdziwie, szczerze, jak rodzone dzieci swoje, ale wychowanic na służące nie podejmujcie się panie; lepiej tak jako radzę wziąć odrazu służącą maleńką, wyznaczyć jej maleńką pensyjkę i maleńką robotę, a potem niech wszystko rośnie w odpowiednich sobie rozmiarach i niech się kształci na obraz i podobieństwo myśli naszej. Zabezpieczycie sobie tym sposobem na kilka lat przynajmniej wprawną do pomocy rękę, a wierzcie mi, nawet pierwej, nawet odrazu mniej wprawna, byle dość chętna i przypilnowana, zdolna jest bardzo obsługą swoją dany jej kawałek chleba opłacić. Widziałam dwunastoletnie dziewczynki wcale zręcznie zamiatające pokoje, ścierające kurze, noszące wodę niezbyt ciężką konewką, cerujące

pończochy i bieliznę, przytem wyuczyły się czytać, pisać, rachować, Pana Boga chwalić. Czy były wdzięczne? nie wiem, ale wiem, że im potem lepiej jak innym w życiu było. Gdyby się taki zwyczaj kształcenia sobie służących upowszechnił, toby do pewnego stopnia szkółkę zastąpiło i byłaby szkółka w rozproszeniu—zawsze jednak zdrowszej przyszłości materyał. Co w przyszłość sięga, to ideałem — więc proszę o przebaczenie. Odpuśćcie mi ideały moje, jako ja wam pełno niepraktyczności waszych odpuściłam, i niech was ta gawędka na pokuszenie nie uwiedzie, ale do głębszego zastanowienia się i sumienniejszych sądów o jej przedmiocie pomoże.—*Amen.*

KONIEC TOMU OSTATNIEGO.

SPIS PRZEDMIOTÓW

W TOMIE PIĄTYM ZAWARTYCH

Nr. 18